

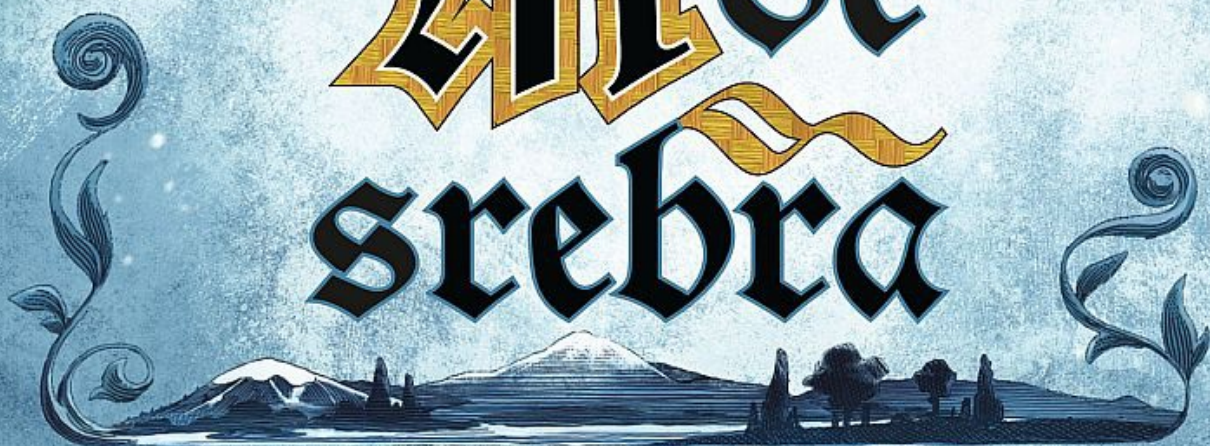
Cudowna, wielowątkowa i magiczna.
Książka, w której chciałbyś zamieszkać na zawsze”.

„Publishers Weekly”



Naomi Novik

Moc
srebra



Naomi Novik

**Moc
srebra**

Przełożył
Zbigniew A. Królicki



DOM WYDAWNICZY REBIS

Rozdział 1

Prawdziwa historia nie jest wcale tak ładna jak ta, którą słyszeliście. Naprawdę jest tak, że złotowłosa córka młynarza chce złowić pana, księcia, syna bogacza, więc idzie do lichwiarza, pożycza pieniądze na pierścień oraz naszyjnik i stroi się na festyn. A jest dość urodziwa, więc ten pan, książę, syn bogacza zauważa ją, prosi do tańca i po tańcach tarza się z nią na sianie w stodole, a potem wraca do domu i poślubia bogatą kobietę, którą wybrała mu jego rodzina. Wtedy rozpuszczona córka młynarza opowiada wszystkim, że lichwiarz sprzymierzył się z diabłem, i wieśniacy wypędzają go albo nawet kamienują, a ona przynajmniej ma klejnoty jako posag i kowal poślubia ją, po czym rodzi się im pierworodny – aczkolwiek trochę przedwcześnie.

Ponieważ właśnie o tym jest ta opowieść: o unikaniu spłacania długów. Nie tak ją opowiadają, ale ja wiem lepiej. Widzicie, mój ojciec był lichwiarzem.

Nie był zbyt dobry w swoim fachu. Jeśli ktoś nie płacił mu na czas, nigdy nie dopominał się o swoje. Dopiero kiedy nasz kredens był naprawdę pusty, buty rozpadały się nam na nogach, a moja matka rozmawiała z nim cicho, jak już poszłam spać, wtedy niechętnie szedł i pukał do kilku drzwi, żeby niemal przepraszająco poprosić o część tego, co ludzie byli mu winni. A jeśli w domu były jakieś pieniądze i ktoś przyszedł prosić o pożyczkę, nie lubił odmawiać, choć nawet nam samym brakowało. Tak więc wszystkie jego pieniądze, w tym większość pieniędzy mojej matki wniesionych w posagu, pozostawały w rękach innych ludzi. A im wszystkim bardzo się to podobało, mimo że wiedzieli, że powinni się wstydzić, więc często opowiadali tę historię, nawet – albo szczególnie – wtedy, kiedy byłam w pobliżu.

Ojciec mojej matki też był lichwiarzem, ale bardzo dobrym. Mieszkał w Wyżni, czterdzieści mil jazdy wyboistym starym traktem handlowym wiodącym od wioski do wioski niczym sznurek z mnóstwem brudnych węzłków. Mama często mnie zabierała, wybierając się do niego w odwiedziny, kiedy stać ją było na zapłacenie jakiemuś domokrażcy kilku groszy za przewiezienie nas na wozie lub saniach,

z pięcioma lub sześcioma postojami po drodze. Czasem widzieliśmy między drzewami inną drogę, należącą do Starzyków, lśniąca jak rzeka w zimie, gdy wiatr zwieje z niej śnieg. „Nie patrz, Mirjem” – mówiła mi matka, lecz ja zawsze obserwowałam ją kątem oka w nadziei, że będzie biegła blisko, ponieważ to oznaczało szybszą podróż: woźnica smagnie batem konie, popędzając je, dopóki droga znów nie zniknie.

Pewnego razu usłyszeliśmy z tyłu tętent, odgłos jak trzask pękającego lodu, gdy tamci zjechali ze swej drogi, i woźnica pospiesznie popędził konie, wjeżdżając między drzewa, po czym wszyscy skuliliśmy się na wozie między workami, a matka objęła mnie i przytrzymała za głowę, żeby nie kusilo mnie popatrzeć. Przejechali obok i nie zatrzymali się. Wóz należał do biednego handlarza i był obwieszony zwykłymi blaszanymi garnkami, a Starzykowych rycerzy interesowało tylko złoto. Tętent ich koni ucichł w oddali i owiał nas lodowato zimny wiatr, tak że gdy w końcu się wyprostowałam, mój warkoczyk był cały biały od szronu, tak samo jak rękaw matki oraz jej i moje plecy. Jednak ten szron zaraz stopniał i gdy tylko znikł, handlarz rzekł do mojej matki:

– No cóż, starczy tego odpoczynku, prawda? – jakby nie pamiętał, dlaczego się zatrzymaliśmy.

– Tak – odpowiedziała matka, kiwając głową, jakby też nie pamiętała, więc wrócił na kozioł wozu, cmoknął na konie i pojechaliśmy dalej.

Byłam na tyle duża, żeby to zapamiętać, ale nie aż tak, żeby przejmować się Starzykami bardziej niż dokuczliwym mrozem i burczeniem w brzuchu. Nie miałam zamiaru nic mówić, żeby nie zatrzymali wozu, bo bardzo chciałam jak najprędzej dojechać do miasta i domu dziadka.

Babcia zawsze miała dla mnie nową sukienkę, prostą i burą, ale ciepłą i dobrze uszytą, a na zimę parę nowych skórzanych bucików, które nie obcierały mi nóg i nie były łatane ani popękane. Karmiła mnie do przesyty trzy razy dziennie, a w ostatni wieczór przed naszym wyjazdem zawsze piekła sernik, swój sernik, złocisty na wierzchu, z grubym, białym kruchym spodem, o lekkim posmaku jabłek i obsypany słodkimi rodzynkami. Kiedy powoli, przeciągając to jak najdłużej, zjadłam co do okruszka kawałek szerszy niż moja dłoń, kładli mnie spać na piętze, w dużej wygodnej sypialni, w której moja matka i jej siostry sypiały jako dziewczęta, na tym samym wąskim łóżku rzeźbionym w gołębie. Matka siadała przy kominku ze swoją matką i kładła głowę na jej ramieniu. Nie rozmawiały, lecz gdy byłam trochę starsza i nie zasypiałam od razu, w blasku ognia widziałam ślady łez na ich twarzach.

Mogłyśmy tam zostać. W domu mojego dziadka znalazłoby się dla nas miejsce i byłybyśmy tam mile widziane. Jednak zawsze wracałyśmy do domu, ponieważ

kochałyśmy mojego ojca. Był strasznie nieporadnym lichwiarzem, ale zawsze był miły i łagodny i usiłował wynagrodzić nam swoje niepowodzenia; niemal cały dzień spędzał w zimnym lesie, polując lub zbierając drewno na opał, a kiedy był w domu, pomagał matce we wszystkim. W naszym domu nie było gadania o kobiecych zajęciach, a kiedy chodziliśmy głodni, on był najgłodniejszy, ponieważ zgarniał porcje ze swojego talerza na nasze. Gdy wieczorami siadał przy kominku, zawsze był czymś zajęty; strugał jakąś nową zabawkę dla mnie albo coś dla mojej matki, ozdobę krzesła albo drewnianą łyżkę.

Zima jednak zawsze była długa i ciężka i od kiedy pamiętam, każdy kolejny rok był gorszy od poprzedniego. Nasze miasteczko nie miało murów, a właściwie i nazwy; niektórzy mówili, że nazywa się Pakel, ponieważ jest przydrożne, a ci, którym się to nie podobało, ponieważ przypominało im o biegnącej w pobliżu Starzykowej drodze, zakrzykiwali ich i twierdzili, że zwie się Pavys, gdyż leży nad rzeką, ale nikt nie pofatygował się umieścić go na mapie, więc ta kwestia pozostała nierozstrzygnięta. W rozmowach wszyscy zawsze nazywaliśmy je „miasteczkiem”. Było gościnne dla podróżnych, w jednej trzeciej drogi pomiędzy Wyźnią a Minaskiem, nad przecinającą ją rzeczką płynącą ze wschodu na zachód. Wielu gospodarzy przywoziło swoje plony łodziami, więc w dni targowe panował tu ożywiony ruch. Na tym jednak kończyło się jego znaczenie. Żaden z wielmożów szczególnie się nami nie interesował, a car w Koronie wcale. Nie potrafiłabym wam powiedzieć, dla kogo pracuje poborca, dopóki nie dowiedziałam się przypadkowo podczas jednego z pobytów w domu dziadka, że księżę Wyźni jest zły, ponieważ jego dochody z naszego miasteczka maleją z roku na rok. Zimno coraz wcześniej nadciągało z lasów, pożerając nasze plony.

A tego roku, w którym ukończyłam szesnaście lat, zjawili się także Starzykowie, w tygodniu, który powinien być ostatnim tygodniem jesieni, zanim zebrano wszystkie późne zboża. Od zawsze co jakiś czas urządzali wypady po złoto; ludzie opowiadali o nieuchwytnych zjawach i martwych, których pozostawiali za sobą. Jednak w ciągu ostatnich siedmiu lat, z nadejściem coraz sroższych zim, stali się bardziej zaborczy. Jeszcze sporo liści pozostało na drzewach, gdy zjechali ze swojej drogi na naszą, żeby przejechać zaledwie dziesięć mil od naszej osady do bogatego klasztoru przy drodze, zabić kilkunastu mnichów i ukraść złote lichtarze, szczerozłoty kielich oraz wszystkie pozłacane ikony, po czym zabrać je do nieznanego królestwa leżącego na końcu ich drogi.

Ziemia zamarzła na kamień tamtej nocy, gdy przejeżdżali, a przez wszystkie następne dni z lasu nieustannie wiał lodowaty wiatr niosący tumany zmrożonego śniegu. Nasz domek stał na uboczu i na samym końcu miasteczka, gdzie ściany innych domów nie osłaniały go od wiatru, a my byliśmy coraz bardziej wychudli,

głodni i zmarznięci. Ojciec wciąż unikał tej pracy, której nie znosił. Nawet gdy w końcu ulegał naciskom mojej matki i próbował odzyskać swoje, wracał zaledwie z kilkoma monetami i usprawiedliwiał dłużników, mówiąc: „Zima jest sroga. To trudny okres dla wszystkich”, lecz ja nie wierzyłam, żeby oni fatygowali się choć taką wymówką. Idąc nazajutrz przez miasteczko do piekarza po chleb, słyszałam, jak zadłużone u nas kobiety rozmawiają o potrawach, które zamierzają ugotować, i słodyczach, które kupią na targu. Zbliżał się środek zimy. Wszyscy chcieli mieć na stole coś dobrego; coś specjalnego na festyn, na ich festyn.

Tak więc odsyłałi mojego ojca z pustymi rękami, a światło z ich okien padało na śnieg i zapach pieczonego mięsiwa sączył się przez szpary, gdy powoli szłam do piekarza, żeby dać mu ostatni grosz za prząsny niedopieczony chleb, który wstydziałabym się sprzedać. Dobry chleb miał dla innych klientów, a nieudany trzymał dla nas. W domu matka gotowała cienki kapuśniak i zlewała zużytą oliwę do lampki, żeby paliła się w trzecią noc naszych świąt. Kaszłała przy tym, gdyż z lasów przyszedł kolejny siarczasty mróz, który wdzierał się przez każdą szparę w ścianach i dachu naszego starego domku. Lampka paliła się tylko kilka minut, zanim zgasił ją zimny podmuch.

– Cóż, to chyba oznacza, że czas iść spać – powiedział ojciec, zamiast ponownie ją zapalić, ponieważ olej prawie się już skończył.

Ósmego dnia matka była zbyt zmęczona kaszlem, żeby podnieść się z łóżka.

– Wkrótce wydobrzeje – powiedział ojciec, nie patrząc mi w oczy. – Ten ziąb niebawem się skończy. Trzyma już tak długo.

Strugał świeczki z drewna, cienkie patyczki do palenia, ponieważ poprzedniego wieczoru spaliliśmy resztki oliwy. W naszym domu nie miało być żadnego cudownego światła.

Poszedł wygrzebać spod śniegu trochę drewna na opał. Ono też się kończyło.

– Mirjem – przemówiła matka ochryple, kiedy wyszedł. Zaparzyłam jej filiżankę słabej herbaty z odrobiną miodu, bo tylko tak mogłam jej trochę ulżyć. Upiła łyk, opadła na poduszki i powiedziała: – Kiedy skończy się zima, chcę, żebyś poszła do domu dziadka. Ojciec cię tam zawiezie.

Kiedy ostatnio byliśmy u dziadka, pewnego wieczoru siostry mojej matki przyszły tam na obiad ze swoimi mężami i dziećmi. Wszyscy oni nosili ubrania z grubej wełny, w sieni zostawili futra i mieli złote pierścienie oraz bransoletki. Śmiali się i śpiewali, i w całym pokoju było ciepło, chociaż był środek zimy, i jedliśmy świeżo upieczony chleb, kurę oraz dobrze przyprawiony i osolony rosół, tak gorący, że para grzała moją twarz. Teraz, gdy matka powiedziała te słowa, przywołały mi one to miłe wspomnienie i zatęskniłam za tym, boleśnie zaciskając zmarznięte pięści. Pomyślałam, że mam tam zostać jak żebraczka, zostawiając ojca

samego, a złoto mojej matki na zawsze w domach naszych sąsiadów.

Mocno zacisnęłam wargi, a potem pocałowałam ją w czoło i kazałam jej odpoczywać, a kiedy zapadła w niespokojny sen, podeszłam do stojącej obok kominka skrzyni, w której ojciec trzymał swoją księgę rachunkową. Wyjęłam ją oraz jego zużyte pióro, zrobiłam atrament z sadzy wziętej z kominka i sporządziłam listę. Córka lichwiarza, nawet kiepskiego, umie liczyć. Pisałam i podliczałam, pisałam i podliczałam, pożyczki i daty, przerywane drobnymi i sporadycznymi wpływami. Ojciec bardzo starannie odnotowywał każdą, tak skrupulatny jak nikt z nich nigdy nie był wobec niego. A kiedy skończyłam sporządzać tę listę, wyjęłam z torby włóczkę, narzuciłam chustę na głowę i wyszłam w zimny poranek.

Poszłam do domów wszystkich naszych dłużników i waliłam w drzwi. Było wcześnie, bardzo wcześnie, jeszcze ciemno, ponieważ kaszel matki obudził nas w nocy. Wszyscy byli jeszcze w domach. Tak więc ludzie otwierali drzwi i patrzyli na mnie ze zdziwieniem, a ja patrzyłam im w oczy i mówiłam chłodno i stanowczo:

– Przyszłam odebrać dług.

Oczywiście próbowali mnie zbyć; niektórzy śmiali się ze mnie. Oleg, woźnica o wielkich dłoniach, zacisnął je w pięści i wsparł się pod boki, gapiąc się na mnie, podczas gdy jego mała jak wiewiórka żona ze spuszczoną głową siedziała przy ogniu, zerkając na mnie z ukosa. Kajus, który pożyczył dwie złote monety jeszcze rok przed moimi narodzinami i robił dobry interes na krupniku warzonym w wielkich mosiężnych dzbanach kupionych za te pieniądze, uśmiechnął się do mnie i zaprosił do środka, żebym się ogrzała i napiła czegoś na rozgrzewkę. Odmówiłam. Nie chciałam się rozgrzewać. Stałam w progach ich domów, pokazywałam moją listę i mówiłam, ile pożyczycy, jak niewiele oddali i jaki narósł procent.

Prychali, spierali się, a niektórzy krzyczeli. Jeszcze nikt nigdy na mnie nie krzyczał: ani cicho mówiąca matka, ani łagodny ojciec. Jednak odkryłam w sobie jakąś gorycz, nawianą w moje serce przez tę zimę; kaszel mojej matki i wspomnienie tej historii, tyle razy opowiadanej na rynku, o dziewczynie, która została królową za pożyczone złoto i nigdy nie oddała długu. Stałam w ich progach i nie ruszałam się. Moje wyliczenia były dokładne i oni o tym wiedzieli, a kiedy już się wykrzyczeli, pytałam:

– Macie pieniądze?

Myśleli, że się wykręcą. Mówili, że nie, oczywiście, że nie, nie mają takiej sumy.

– Zatem zapłacicie mi trochę teraz, a potem co tydzień, aż oddacie dług – mówiłam – razem z odsetkami za nieterminową spłatę, jeśli nie chcecie, żebym

zawiadomiła dziadka, że ma oddać sprawę do sądu.

Nikt z nich nie podróżował po świecie. Wiedzieli, że ojciec mojej matki jest bogaty, mieszka w wielkim domu w Wyżni i pożycza pieniądze rycerzom, a nawet – jak głosiła plotka – jednemu panu. Tak więc niechętnie oddali mi trochę; w niektórych domach tylko kilka groszy, ale każdy coś mi dał. Brałam także towar: osiemnaście łokci ciepłego wełnianego materiału w ciemnoczerwonym kolorze, dzban oliwy, dwa tuziny długich świec z białego pszczelego wosku, nowy nóż od kowala. Dawałam wszystkim uczciwe ceny – tyle, ile policzyliby komuś innemu kupującemu na targu, nie mnie – zapisywałam wszystko przy nich i mówiłam, że zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

W drodze do domu zaszłam do Ludmiły. Nie pożyczyła pieniędzy; sama mogła je pożyczać innym i mogłaby nie liczyć odsetek, ale nikt w miasteczku nie był taki głupi, żeby pożyczać od kogoś innego niż mój ojciec, który pozwalał im oddawać długi, kiedy chcieli albo wcale. Otworzyła drzwi z wyćwiczonym uśmiechem: przyjmowała podróżnych na noc. Na mój widok ten uśmiech znikł.

– Tak? – rzuciła ostro. Myślała, że przyszedłam po prośbie.

– Moja matka jest chora, proszę pani – powiedziałam uprzejmie, żeby myślała tak jeszcze przez chwilę, a potem poczuła ulgę, kiedy dodałam: – Przyszedłam kupić coś do jedzenia. Ile za zupę?

Zapytałam ją o cenę jajek i chleba, jakbym miała pusto w sakiewce, a ponieważ nie wiedziała, jak jest naprawdę, szorstko podała mi normalne, a nie dwukrotnie zawyżone ceny. Potem była zła, gdy w końcu odliczyłam sześć groszy za garnek gorącej zupy z połówką kury, trzy świeże jaja, bochen chleba oraz miskę miodu nakrytą serwetką. Dała mi jednak wszystko, choć niechętnie, a ja zaniósłam to długą ulicą do naszego domu.

Ojciec wrócił przede mną; podkładał do ognia i spojrzał z niepokojem, gdy ramieniem pchnęłam drzwi. Zdziwił się, widząc, że mam pełne ręce jedzenia i czerwonej wełny. Położyłam to wszystko na stole, a resztę groszaków i jedną srebrną kopiejkę do dzbanka przy palenisku, w którym wcześniej było zaledwie kilka groszy. Potem dałam mu listę z zanotowanymi płatnościami i zajęłam się matką.

Od tej pory ja byłam lichwiarką w naszym miasteczku. A byłam dobrą lichwiarką i mnóstwo ludzi było naszymi dłużnikami, więc bardzo szybko w naszym domu słomę zastąpiła podłoga z gładkich złocistych desek, pęknięcia kominka zostały zalepione porządną gliną, dach pokryty nową strzechą, a moja matka miała ciepłe, grzejące jej pierś futro do nakrywania się lub noszenia. Nie podobało jej się to, tak samo jak ojcu, który wyszedł na zewnątrz i cicho popłakiwał w dniu, w którym

przyniosłam to okrycie do domu. Odeta, żona piekarza, zaproponowała mi je jako spłatę całego długu jej rodziny. Było piękne, ciemno- i jasnobrązowe; wniosła je w posagu, zrobione z gronostajów, które jej ojciec upolował w lesie bojara.

Ta część starej opowieści okazała się prawdą: dobry lichwiarz musi być okrutny. Ja jednak byłam gotowa okazać się równie bezlitosna dla moich sąsiadów jak oni wobec mojego ojca. Nie żądałam ich pierworodnych, lecz pewnego dnia późną wiosną, gdy drogi w końcu znów były przejezdne, posłam do jednego z wieśniaków mieszkającego na odludziu, a on nie miał niczego, co mógłby mi dać, nawet bochenka chleba. Gorek pożyczył kiedyś sześć srebrnych kopiejek, czyli kwotę, jakiej nigdy nie zdołałby spłacić, nawet gdyby zbierał obfite plony co roku do końca życia. Nie wierzyłam, żeby kiedykolwiek miał w ręku więcej niż pięć groszy naraz. Z początku próbował przekleństwami przepędzić mnie ze swojej chaty, tak jak wielu innych, ale gdy nie ustąpiłam i powiedziałam, że oddam sprawę do sądu, w jego głosie usłyszałam szczerą rozpacz.

– Mam cztery gęby do nakarmienia! – powiedział. – Nie wyciśniesz krwi z kamienia.

Zapewne powinnam mu współczuć. Mój ojciec by współczuł i moja matka również, lecz ja, spowita moim chłodem, czułam tylko grożące mi niebezpieczeństwo. Gdybym mu odpuściła, przyjęła jego wymówki, za tydzień wszyscy by je mieli; już widziałam, jak wszystko by się zawaliło.

Wtedy chwiejnie weszła jego córka, wysoka dziewczyna z chustą na długich jasnych włosach i koromysłem na ramionach, niosąc dwa wiadra wody, czyli dwukrotnie więcej, niż ja potrafiłam przynieść, kiedy sama szłam do studni po wodę.

– A więc twoja córka przyjdzie do mojego domu, żeby odpracować dług, pół grosza za każdy dzień – powiedziałam.

Posłam do domu, mrużąc z zadowolenia jak kot, i nawet zrobiłam kilka tanecznych kroków na drodze, kiedy nikt mnie nie widział pod drzewami.

Na imię miała Wanda. Przyszła milcząca o świcie następnego ranka, pracowała jak wół do obiadu, a potem poszła; przez cały czas miała spuszczoną głowę. Była bardzo silna i przez te pół dnia wykonała niemal wszystkie prace domowe. Naniosiła wody i narąbała drewna, nakarmiła stadko kur, które teraz grzebały w ziemi na naszym podwórku, wyszorowała podłogi, palenisko i wszystkie nasze garnki, a ja byłam bardzo zadowolona ze swojego pomysłu.

Kiedy poszła, po raz pierwszy w życiu moja matka powiedziała kilka gniewnych słów do mojego ojca, obwiniając go, czego nie robiła nawet wtedy, kiedy była najbardziej zziębnięta i chora.

– I nie przejmujesz się tym, co to z nią robi? – usłyszałam, jak krzyczy do niego,

wciąż ochrypłym głosem, gdy przy bramie strząsałam błoto z podeszew butów; dzięki Wandzie nie miałam rano nic do roboty, więc pożyczyłam osiołka i pojechałam aż do najdalszych wiosek, żeby odebrać pieniądze od ludzi, którzy zapewne myśleli, że nikt o nie się nie upomni. Zwieziono już oziminy, więc miałam dwa pełne worki ziarna, dwa wełny i dużą torbę orzechów laskowych, które lubiła matka, przez całą zimę przechowywanych w chłodnym miejscu, a ponadto starego, lecz dobrego dziadka do orzechów, więc nie będziemy już musieli rozbijać ich młotkiem.

– A co mam jej powiedzieć? – zawołał. – Co? Nie, powinnaś głodować; nie, powinnaś marznąć i chodzić w łachmanach?

– Gdybyś miał siłę sam to robić, nie musiałbyś jej na to pozwalać – powiedziała matka. – To nasza córka, Josef!

Tego wieczoru ojciec próbował coś mi powiedzieć cichym i rwącym się głosem: że dość już zrobiłam, to nie mój obowiązek, żebym nazajutrz została w domu. Nie odrywałam oczu od łuskanych orzechów i nie odpowiadałam, trzymając ten chłód w mojej klatce piersiowej. Myślałam o ochrypłym głosie matki, a nie o słowach, które powiedziała. Po chwili zamilkł. Ten chłód we mnie powstrzymał go i odepchnął, tak jak zbywano jego, kiedy prosił ludzi o zwrot tego, co byli mu winni.

Rozdział 2

Tato często mówił, że pójdzie do lichwiarza. Dostanie pieniądze na nowy pług albo na zakup kilku świń lub dojrzałej krowy. Nie wiedziałam, czym są pieniądze. Nasza wioska była daleko od miasta i płaciliśmy podatki zbożem. Tato mówił o pieniądzach jak o magii, lecz w ustach mamy to słowo brzmiało groźnie.

– Nie idź, Gorek – mówiła. – Długi zawsze sprowadzają kłopoty, prędzej czy później.

Wtedy tato krzyczał na nią, żeby pilnowała swoich spraw, i bił ją, ale nie szedł.

Poszedł, kiedy miałam jedenaście lat. Kolejne dziecko przyszło na świat i odeszło, i mama była chora. Nie potrzebowaliśmy następnego dziecka. Mieliśmy już Siergieja i Stepona, a także cztery martwe w ziemi pod białym drzewem. Tato zawsze chował pod nim dzieci, chociaż ziemia była tam twarda, ponieważ nie chciał tracić żyznego gruntu. A pod tym białym drzewem i tak nie mógł niczego zasiać. Pożerało wszystko wokół. Kiełki żyta wschodziły, aż pewnego zimnego ranka wszystkie więdły i białe drzewo miało jeszcze więcej białych liści. Nie mógł go ściąć. Było całe białe, więc należało do Starzyków. Gdyby je ściął, oni by przyszli i zabili go. Tak więc mogliśmy tam tylko chować martwe dzieci.

– Twoja matka potrzebuje lekarstwa – powiedział tato, kiedy przyszedł zły i spocony po zakopaniu kolejnego martwego dziecka. – Pójdę do lichwiarza.

Popatrzyliśmy po sobie, ja, Siergiej i Stepon. Chłopcy byli mali i za bardzo się bali, żeby coś powiedzieć, a mama była zbyt chora. Ja też nic nie powiedziałam. Mama leżała w łóżku, krwawiła, była rozpalona i zaczerwieniona. Nie odzywała się, kiedy do niej mówiłam. Tylko kaszłała. Chciałam, żeby tato wrócił z magicznym lekiem, żeby wstała z łóżka i żeby znów wszystko było dobrze.

No i poszedł. Przepił w mieście dwie kopiejki i dwie przegrał, zanim wrócił do domu z lekarzem. Ten wziął dwie ostatnie kopiejki i dał mi jakiś proszek, który miałam rozpuszczać w gorącej wodzie i podawać mamie. Lek nie złagodził gorączki. Trzy dni później próbowałam dać jej trochę wody do picia. Znów

kaszlała.

– Mamo, mam wodę – powiedziałam.

Nie otworzyła oczu. Położyła szeroką dłoń na mojej głowie, tak dziwną, bezwładną i ciężką, a potem umarła. Siedziałam przy niej przez resztę dnia, aż tato wrócił z pól. W milczeniu popatrzył na nią.

– Zmień słomę – powiedział mi.

Potem zarzucił ją sobie na ramię jak worek ziemniaków, zaniósł pod to białe drzewo i pochował obok martwych dzieci.

Lichwiarz przyszedł kilka miesięcy później i poprosił o zwrot pieniędzy. Wpuściłam go do domu. Wiedziałam, że jest sługą diabła, ale nie bałam się go. Był bardzo szczupły, miał wąskie dłonie, talię i twarz. Mama poleciła przybić do ściany ikonę wyrzeźbioną z okorowanego konara. Właśnie tak wyglądał. Miał spokojny głos. Dałam mu kubek herbaty i kawałek chleba, ponieważ pamiętałam, że mama zawsze dawała coś do zjedzenia ludziom, którzy przychodzili do naszego domu.

Kiedy tato wrócił, nawrzeszczał na lichwiarza i wyrzucił go z domu. Potem pięć razy mocno zdzielił mnie pasem za to, że go wpuściłam i jeszcze dałam mu jeść.

– Po co tutaj przyszedł? Nie wyciśniesz krwi z kamienia – powiedział, zapinając pas.

Przyciskałam do twarzy fartuch matki, aż przestałam płakać.

Kiedy do naszego domu przyszedł poborca, tato powiedział to samo, ale tylko pod nosem. Poborca podatków zawsze przychodził w dniu, w którym zwieźliśmy ostatnie worki zboża, jesienią i wiosną. Nie wiem, jak się o tym dowiadywał, ale zawsze wiedział. Odchodził i podatek był zapłacony. To, czego nie zabrał, zostawało dla nas. Nigdy nie było tego dużo. Na początku zimy mama zwykle mówiła tacie: „To zjemy w listopadzie, a to w grudniu” i pokazywała co, dzieląc wszystko aż do wiosny. Mamy jednak już nie było. No i tato wziął jedną z młodych kóz do miasta. Wrócił bardzo późno, pijany. Spaliśmy przy piecu i wchodząc, potknął się o Stepona. Ten krzyknął, a wtedy tato się rozzłościł, zdjął pas i bił nas wszystkich, aż uciekliśmy z domu. Koza przestała dawać mleko i pod koniec zimy zabrakło nam żywności. Musieliśmy do wiosny wykopywać żołądź spód śniegu.

Gdy jednak na jesieni przyszedł poborca, tato i tak zabrał worek z ziarnem do miasta. Wszyscy poszliśmy spać do szopy z kozami. Siergiejowi i Steponowi nic nie zrobił, ale mnie zbił rano, gdy wytrzeźwiał, ponieważ nie dostał kolacji, kiedy wrócił do domu. Tak więc rok później czekałam w domu, aż zobaczyłam, jak tato idzie drogą. Miał lampę, która zataczała wielkie kręgi, taki był pijany. Postawiłam na stole miskę z gorącą polewką i uciekłam. Było już ciemno, ale nie zapalałam świeczki, bo nie chciałam, żeby tato mnie zobaczył.

Zamierzałam pójść do szopy, ale wciąż się oglądałam za siebie, żeby sprawdzić,

czy tato za mną nie idzie. Jego lampa kołysała się wewnątrz domu, zmieniając okna w oczy, gdy mnie szukał. Potem jednak przestała się poruszać, więc widocznie postawił ją na stole. Wtedy pomyślałam, że jestem bezpieczna. Zaczęłam patrzeć, gdzie stawiam stopy, ale nic nie widziałam w ciemności, ponieważ wcześniej patrzyłam na jasne okna. Na pewno nie byłam na ścieżce prowadzącej do szopy. Zapadałam się w śnieg. Nie słyszałam beczenia kóz ani nawet chrząkania świń. Była ciemna noc.

Pomyślałam, że prędzej czy później natrafię na ogrodzenie lub drogę. Szłam z wyciągniętymi przed siebie rękami, żeby złapać się płotu, ale nie natrafiłam nań. Było ciemno i z początku się bałam, potem byłam tylko zmarznięta, a w końcu zrobiłam się senna. Nie czułam palców nóg. Śnieg dostawał się przez pęknięcia moich łapci z łyka.

Nagle ujrzałam przed sobą jakieś światło. Poszłam ku niemu. Byłam blisko białego drzewa. Miało cienkie gałęzie i nadal wszystkie liście, chociaż była zima. Poruszały się na wietrze, wydając dźwięk przypominający najcichszy z szeptów. Po drugiej stronie drzewa biegła szeroka droga, gładka jak lód i lśniąca. Wiedziałam, że to Starzykowa droga. Jednak była taka piękna, a ja wciąż czułam się dziwnie, zziębnięta i senna. Nie pamiętałam, że powinnam się bać. Ruszyłam ku niej.

Groby stały rzędem pod drzewem. Na każdym leżał jeden płaski kamień. Mama przyniosła je z rzeki dla dzieci. Ja przyniosłam jeden dla niej i jeden dla ostatniego dziecka. Były mniejsze od pozostałych, ponieważ jeszcze nie mogłam udźwignąć takich dużych kamieni, jakie przyniosła mama. Gdy przechodziłam przez ten rząd kamieni, by wyjść na drogę, gałąź drzewa uderzyła mnie w plecy. Upadłam jak długa. Zaparło mi dech. Wiatr poruszył białymi liśćmi i słyszałam, jak mówią: „Uciekaj do domu, Wanda!”. Nagle już nie byłam senna, tylko tak przestraszona, że wstałam i pobiegłam z powrotem do domu. Widziałam go z daleka, ponieważ lampa wciąż oświetlała okna. Tato już chrapał na swoim łóżku.

Rok później stary Jakob, nasz sąsiad, przyszedł do naszego domu i poprosił ojca o mnie. Chciał, żeby tato dał mu jeszcze kozę, więc tato wygonił go, mówiąc:

– Dziewica, zdrowa i silna, a on chce ode mnie jeszcze kozę!

Potem pracowałam bardzo ciężko. Starłam się wykonywać jak najwięcej pracy za tatę, bo nie chciałam rodzić martwych dzieci i umrzeć. Jednak urosłam, miałam jasne długie włosy i duże piersi. W ciągu dwóch następnych lat jeszcze dwóch mężczyzn przyszło o mnie prosić. Tego drugiego w ogóle nie znałam. Przyszedł z drugiego końca miasta, odległego o sześć mil. Nawet zaferował za mnie jedną świnie. Jednak tato widział już, jak ciężko pracuję, więc zrobił się chciwy i zażądał trzech świń. Mężczyzna splunął na podłogę i wyszedł z naszego domu.

Zbiory były bardzo słabe. Co roku śnieg topniał później na wiosnę i spadał wcześniej jesienią. Gdy poborca zabrał swoje, niewiele zostawało do przepicia. Nauczyłam się chować żywność w różnych miejscach, żeby nie zabrakło nam jej aż tak jak tamtej pierwszej zimy, ale Siergiej, Stepon i ja byliśmy coraz więksi. Kiedy skończyłam szesnaście lat, po wiosennych żniwach, tato wrócił z miasta gniewny i nieco mniej pijany. Nie zbił mnie, ale spojrzał tak, jakbym była jedną z jego świń, ważąc mnie w myślach.

– W przyszłym tygodniu pójdiesz ze mną na targ – powiedział.

Następnego dnia poszłam pod białe drzewo. Trzymałam się z daleka od niego od tamtej nocy, w której ujrzałam Starzykową drogę, ale tego dnia czekałam, aż słońce stanie wysoko na niebie. Potem powiedziałam, że idę po wodę, ale zamiast tego podeszłam pod drzewo. Uklękałam pod jego gałęziami.

– Pomóż mi, mamó – powiedziałam.

Dwa dni później do naszego domu przyszła córka lichwiarza. Była podobna do ojca, chuda, o ciemnobrązowych włosach i zapadniętych policzkach. Nie sięgała tacie nawet do ramienia, ale stała w drzwiach i rzucała długi cień przez środek domu, i powiedziała, że odda sprawę do sądu, jeśli nie dostanie pieniędzy. Krzyczał na nią, ale ona się nie bała. Kiedy skończył mówić jej, że nie wycisnie krwi z kamienia, i pokazywać pustki w kredensie, powiedziała:

– A więc twoja córka przyjdzie do mojego domu, żeby odpracować twój dług.

Kiedy poszła, wróciłam do białego drzewa i powiedziałam: „Dziękuję, mamó”, a potem zakopałam między korzeniami jabłko, całe jabłko, chociaż byłam taka głodna, że zjadłabym je z pestkami. Nad moją głową drzewo wypuściło malutki biały kwiat.

Następnego ranka poszłam do domu lichwiarza. Bałam się iść sama do miasta, ale to było lepsze niż iść na targ z tatą. Tak naprawdę wcale nie musiałam iść do miasta: ich dom stał na skraju lasu. Był duży, z dwiema izbami i podłogą z gładkich, pachnących świeżością desek. Żona lichwiarza leżała w łóżku w drugim pokoju. Była chora i kaszlała. Ścisnęło mnie w gardle, gdy tego słuchałam.

Córka lichwiarza miała na imię Mirjem. Tego ranka nastawiła garnek z zupą i para napełniła chatę zapachem, od którego mój pusty brzuch zacisnął się jak węzeł. Potem wzięła z kąta dzieżę z rosnącym ciastem i wyszła. Wróciła późnym popołudniem z zaciętą miną, zakurzonymi butami, a także bochnem świeżego razowego chleba od piekarza, skopkiem mleka, osełką masła i zawieszonym na ramieniu workiem z jabłkami. Postawiła na stole talerze, w tym jeden dla mnie, czego się nie spodziewałam. Kiedy usiedliśmy do stołu, lichwiarz wypowiedział magiczne zaklęcie nad chlebem, ale i tak go zjadłam. Był smaczny.

Starałam się zrobić jak najwięcej, żeby chcieli, abym wróciła. Zanim wyszłam,

żona lichwiarza zapytała mnie ochrypłym od kaszlu głosem:

– Zechcesz mi powiedzieć, jak ci na imię?

Po chwili powiedziałam jej.


– Dziękuję ci, Wando – rzekła. – Bardzo nam pomogłaś.

Kiedy opuszczałam ich dom, słyszałam, jak mówi, że skoro tyle zrobiłam, to pewnie dług szybko zostanie spłacony. Przystanęłam pod oknem i słuchałam.

– On pożyczył sześć kopiejek! – powiedziała Mirjem. – Przy pół grosza za dzień będzie spłacać to przez cztery lata. Nie próbuj mi wmawiać, że to nie jest uczciwa stawka, skoro je z nami obiad.

Cztery lata! Moje serce trzepotało z radości jak ptak.

Rozdział 3

pady śniegu i ataki kaszlu mojej matki trwały do późnej wiosny, ale w końcu zrobiło się cieplej i jednocześnie kaszel jej przeszedł, wyleczony rosołem, miodem i odpoczynkiem. Gdy tylko znów mogła śpiewać, powiedziała mi:

– Mirjem, w przyszłym tygodniu pojedziemy odwiedzić mojego ojca.

Wiedziała, że rozpaczliwie próbuje oderwać mnie od mojej pracy. Nie chciałam jechać, ale bardzo chciałam zobaczyć babcię i pokazać jej, że jej córka nie śpi snem wiecznym i zimnym, a jej wnuczka już nie chodzi jak żebraczka; chciałam choć raz nie widzieć, jak płacze. Poszłam na ostatni obchód i powiedziałam wszystkim, że wyjeżdżam do miasta i będę musiała doliczyć im odsetki za dodatkowe tygodnie, chyba że będą zostawiali należności w naszym domu podczas mojej nieobecności. Powiedziałam Wandzie, że nadal ma przychodzić codziennie, gotować mojemu ojcu obiad, karmić kury oraz sprzątać dom i podwórze. W milczeniu skinęła głową, nie spierając się.

A potem pojechałyśmy do domu dziadka, lecz tym razem zapłaciłam Olegowi, żeby zawiózł nas tam swoimi wygodnymi, wymoszczonymi sianem i kocami saniami, zaprzężonymi w dobre konie z pobrzękującymi dzwoneczkami, nakrytymi futrem osłaniającym od wiatru. Zdziwiona babcia wyszła nas powitać, gdy zajechałyśmy pod dom, a matka padła jej w ramiona, milcząc i tuląc twarz do jej piersi.

– Cóż, wejdźcie i ogrzejcie się – powiedziała babcia, patrząc na sanie, nasze porządne nowe szaty z czerwonej wełny, obszyte króliczym futerkiem oraz złoty wisiołek na mojej szyi, który pochodził ze skrzyni tkaczki.

Kazała mi zanieść imbryk z wrzątkiem do gabinetu dziadka, żeby porozmawiać sobie z moją matką. Dziadek rzadko się do mnie odzywał, tylko z dezaprobatą mierzył mnie wzrokiem, gdy pojawiałam się w sukienkach kupionych przez matkę. Nie wiedziałam, skąd wiem, co myśli o moim ojcu, ponieważ nigdy nie powiedział o nim ani słowa, ale wiedziałam.

Tym razem przyjrzał mi się uważnie i zmarszczył krzaczaste brwi.

– Teraz futro? I złoto?

Powinnam powiedzieć, że zostałam dobrze wychowana, i wiedziałam, że nie powinnam pyskować do dziadka, ale już złościło mnie niezadowolenie matki i to, że babcia też była niezadowolona, a teraz te docinki akurat z jego strony.

– A dlaczego nie powinnam ich nosić ja, tylko ktoś, kto kupił je za pieniądze mojego ojca? – zapytałam.

Dziadek był tak zaskoczony, jak można się spodziewać po kimś, kto usłyszał coś takiego od swojej wnuczki, ale zaraz uświadomił sobie, co powiedziałam, i znów zmarszczył brwi.

– Zatem kupił ci to ojciec?

Lojalność i miłość do ojca kazały mi milczeć, więc tylko spuściłam oczy i w milczeniu skończyłam wlewać gorącą wodę do samowara i zmieniać herbatę. Dziadek nie zatrzymywał mnie, gdy wychodziłam, ale następnego ranka znał już całą historię o tym, że przejęłam obowiązki ojca, i nagle był tak zadowolony, jak jeszcze nigdy wcześniej i jak nikt inny.

Jego pozostałe dwie córki wyszły za mąż lepiej niż moja matka, za bogatych mieszczan z dobrymi zawodami, ale żadna nie urodziła mu wnuka, który mógłby przejąć jego interes. W mieście mieszkało tylu ludzi, że można było zostać tam kimś więcej niż bankierem czy rolnikiem żyjącym z upraw. Ludzie z miasta chętniej kupowali nasze towary i tuż obok naszej dzielnicy był duży i dobrze prosperujący targ.

– To nie przystoi dziewczynie – próbowała ganić moja babcia, ale dziadek tylko prychnął.

– Złoto nie wie, w czyjej jest dłoni – rzekł i zmarszczył brwi, patrząc na mnie, choć z sympatią. – Będiesz potrzebowała służących – powiedział mi. – Na początek jednego, jakąś dobrą i silną osobę, która nie będzie miała nic przeciwko pracy u Żyda: znajdziesz taką?

– Tak – odpowiedziałam, myśląc o Wandzie; już przyzwyczała się przychodzić do nas, a w naszym miasteczku nie było innych możliwości zarobku dla córki ubogiego rolnika.

– Dobrze. Więcej nie chodź sama po pieniądze – powiedział. – Wysyłaj służącą, a jeśli klienci zechcą się spierać, będą musieli przyjść do ciebie. Kup sobie biurko, żebyś mogła za nim siedzieć, kiedy oni będą stali.

Kiwnęłam głową i kiedy odjeżdżałyśmy, dał mi sakiewkę pełną drobniaków, łącznie pięć kopiejek, na pożyczki dla mieszkańców sąsiednich miasteczek, które nie miały swojego lichwiarza. Po powrocie do domu zapytałam ojca, czy Wanda przychodziła, kiedy mnie nie było. Spojrzał na mnie smutnie, głęboko zapadniętymi i smutnymi oczami, chociaż już od miesiący nie chodziliśmy głodni.

– Tak – odrzekł cicho. – Mówiłem jej, że nie musi, ale przychodziła codziennie.

Zadowolona porozmawiałam z nią tego dnia, kiedy skończyła pracę. Jej ojciec był postawnym mężczyzną i ona też była wysoka i barczysta, z szerokimi kwadratowymi dłońmi, czerwonymi od pracy, krótko obciętymi paznokciami, brudną twarzą i długimi jasnymi włosami schowanymi pod chustką; pospolita, milcząca i uparta jak muł.

– Chcę spędzać więcej czasu nad księgami rachunkowymi – powiedziałam. – Potrzebny mi ktoś, kto będzie chodził i zbierał dla mnie pieniądze. Jeśli się tego podejmiesz, będę ci płaciła nie pół, a cały grosz za dzień.

Stała tam przez długą chwilę, jakby nie wiedząc, czy dobrze mnie zrozumiała.

– Dług mojego ojca zostanie spłacony prędzej – powiedziała w końcu, jakby się upewniając.

– Kiedy zostanie spłacony, nadal będę ci płacić – powiedziałam z udawaną beztroską.

Gdyby jednak Wanda zbierała za mnie pieniądze, ja mogłabym krążyć po okolicznych wioskach i dawać nowe pożyczki. Chciałam zainwestować to jeziorko srebra, które dał mi dziadek, żeby wróciło do mnie jako rzeka groszy.

Wanda znów milczała, po czym zapytała:

– Będziesz mi dawać monety?

– Tak – odparłam. – I co?

Skinęła głową i ja też. Nie próbowałam uścisnąć jej dłoni; nikt nie podaje ręki Żydom, a gdyby ktoś to zrobił, wiedziałabym, że to udawana uprzejmość. Gdyby Wanda nie dotrzymała umowy, przestałabym jej płacić; to była lepsza gwarancja niż jakakolwiek inna.

Tato był zły i ponury, od kiedy poszłam do pracy w domu lichwiarza. Nie mógł mnie nikomu sprzedać, nie zajmowałam się domem i nadal nie mieliśmy co jeść. Częściej krzyczał i używał pięści. Stepon i Siergiej większość czasu spędzali z kozami. Ja uchylałam się jak mogłam i znosiłam wszystko w milczeniu. Trzymałam język za zębami i liczyłam. Jeśli dług mojego ojca zostałby spłacony po czterech latach pracą za pół grosza dziennie, to teraz wystarczą dwa lata. A dwa lata to sześć kopiejek. Później będę mogła pracować jeszcze przez dwa lata, zanim ojciec uzna, że dług został spłacony. Będę miała sześć kopiejek. Sześć moich własnych kopiejek.

Tylko raz widziałam podobną sumę pieniędzy, gdy ojciec wsunął dwie błyszczące srebrne monety w nadstawioną dłoń lekarza. Może gdyby nie przepił i nie przegrał pozostałych czterech, matka by żyła.

Nie miałam nic przeciwko temu, by pukać do drzwi domów obcych ludzi

i prosić ich o pieniądze. To nie ja prosiłam, tylko Mirjem, to były jej pieniądze i część z nich miała być potem moja. Stojąc w progach, widziałam wnętrza domów, eleganckie meble, ogień na kominkach. Nikt w tych domach nie kaszłał.

– Przyszłam w imieniu lichwiarza – oświadczałam, a potem mówiłam, ile są winni, i nie odzywałam się, gdy próbowali mi wmówić, że to błąd w obliczeniach. W kilku domach oznajmiono mi, że nie mogą zapłacić, na co odparłam, że muszą iść i porozmawiać z nią w jej domu, jeśli nie chcą, żeby oddała sprawę do sądu. Wtedy jednak coś mi dawali, tak więc kłamali. To jeszcze mniej mnie obchodziło.

Miałam duży i solidny kosz, do którego wkładałam wszystko, co mi dawali. Mirjem obawiała się, że zapomnę, kto mi co dał, ale nie zapominałam. Pamiętałam każdą monetę i wszystkie towary. Ona zapisywała wszystko w swojej wielkiej czarnej księdze, bez przerwy skrobiąc w niej grubym gęsim piórem, pewnie trzymanym w dłoni. W dni targowe brała wszystkie te rzeczy, których nie chciała zatrzymać, a ja szłam za nią z koszykiem do miasta. Sprzedawała i handlowała, aż koszyk był pusty, a jej sakiewka pełna, zamieniając materiały, owoce i guziki na monety. Czasem najpierw robiła coś innego; jeśli jakiś rolnik dał jej dziesięć motków wełny, zanosila ją do zadłużonej u niej tkaczki i kazała jej w ramach spłaty zrobić z niej płaszcz; potem sprzedawała ten płaszcz na targu.

I pod koniec dnia usypywała na podłodze jeziorko groszaków, robiła z nich ruloniki i zawijała je w papier, zamieniając w srebro; jeden rulonik groszy długości mojego serdecznego palca miał wartość kopiejki. Wiedziałam to, ponieważ gdy następnym razem szła na targ bardzo wcześnie rano, znajdowała jakiegoś przyjezdnego kupca, który dopiero rozkładał swój stragan, i dawała mu taki rulonik, a on otwierał go, liczył grosze, a potem dawał jej jedną srebrną kopiejkę. Tych srebrnych monet nie wydawała ani nie rozmieniała na targu. Zanosila je do domu i też zawijała w papier, w ruloniki długości mojego małego palca, z których każdy miał wartość jednej złotej monety. Chowała je do skórzanej sakiewki, którą dał jej dziadek. Widywałam tę sakiewkę tylko w dni targowe, wtedy leżała na stole, gdy przychodziłam, i była tam nadal, kiedy wychodziłam po pracy. Nie chowała jej ani nie brała ze sobą, kiedy wychodziła, a jej ojciec i matka nigdy nie dotykali tej sakiewki.

Nie rozumiałam, skąd wie, ile co jest dla kogoś warte, skoro nie chciała tego zatrzymać dla siebie. Powoli jednak nauczyłam się odczytywać liczby, które zapisywała w swojej księdze, wyceniając przedmioty, a kiedy słyszałam, ile dostała za nie na targu, te sumy przeważnie były niemal takie same. Chciałam zrozumieć, jak ona to robi. Jednak nie pytałam. Wiedziałam, że uważa mnie za rodzaj konia lub muła, jakieś pospolite, milczące i silne stworzenie. Tak się czułam przy niej i jej rodzicach. Miałam wrażenie, że mówią przez cały dzień; rozmawiają,

śpiewają, a nawet się kłóć. Nigdy jednak na siebie nie krzyczeli i nie podnosili rąk. I wciąż się dotykali. Matka kładła dłoń na policzku Mirjem albo ojciec całował ją w czubek głowy, ilekroć przechodziła obok. Czasem gdy opuszczałam ich dom po całym dniu pracy, kiedy doszłam drogą na pola i nikt mnie nie widział, kładłam sobie na głowie dłoń, która stała się duża, ciężka i silna, i próbowałam sobie przypomnieć dotyk matczynej ręki.

W moim domu była tylko cisza, ciężka jak ziemia. Przez całą zimę głodowaliśmy, chociaż jadłam obiady na służbie. Później musiałam przejść sześć mil, żeby wrócić do domu. Teraz nadeszła wiosna, ale wciąż byliśmy głodni. Wracając do domu, zbierałam grzyby, a jeśli miałam szczęście, to dziką rzepę i inne warzywa. Nie było ich wiele. Większość nie nadawała się do jedzenia. Te dawaliśmy kozom. Potem wykopywałam w ogrodzie wczesne ziemniaki, zbyt młode, więc niezbyt pożywne, ale i tak je jedliśmy. Odcinałam najmniejsze kawałki z oczkami i zakopywałam je. Wchodziłam do domu i przegarniałam żar pod garnkiem z kapustą, którą nastawiłam rano. Dodawałam do niej te małe ziemniaki i wszystko inne, co udało mi się znaleźć. Jedliśmy, siedząc przy stole ze spuszczoneymi głowami i nie odzywając się.

Nic nie rosło dobrze. Ziemia była zamarznięta na kamień aż do kwietnia, a żyto rosło ospale. Gdy tato w końcu zdołał zasiać fasolę, po tygodniu spadł śnieg i wymroził połowę roślin. Tego ranka po przebudzeniu myślałam, że jeszcze jest noc. Jednak był dzień, szary jak kamień, a śnieg sypał tak, że nie widzieliśmy płotu sąsiada. Tato zaczął kłąć i wykopał nas z łóżka. Wszyscy wybiegliśmy na zewnątrz, żeby wprowadzić kozy pod dach, piątkę małych kozłat. Jedno już było martwe. Pozostałe wprowadziliśmy do domu razem z ich matkami. Meczwały, żuły nasze koce i o mało nie wlażyły do kominka, ale przeżyły. Kiedy śnieg przestał padać, poćwiartowaliśmy martwe kozłę i zasoliliśmy tę niewielką ilość mięsa. Ugotowałam zupę na kościach i zjedliśmy wątrobę oraz płucka. Przez jeden dzień nie byliśmy głodni.

Siergiej mógłby zjeść trzy razy więcej, niż mu przypadało. Zaczynał szybciej rosnać. Podejrzewałam, że czasem poluje, chociaż wiedział, że za kłusowanie mogą go powiesić albo gorzej, jeśli polował w lesie. Jedynymi zwierzętami, które mogliśmy łapać w sidła, były te oznakowane czarną lub brązową plamą. Niewiele jednak ich zostało, a białe zwierzęta, całe białe, należały do Starzyków. Nie wiedziałam, co oni by zrobili komuś, kto polował na ich zwierzęta, ponieważ nikt tego nie robił, ale wiedziałam, że coś by zrobili. Starzykom nie zabiera się niczego, co do nich należy. Oni przychodzą i okradają ludzi, ale nie lubią, gdy ktoś okrada ich.

Czasem jednak Siergiej przychodził i zjadał całą swoją porcję, nie podnosząc

oczu ani nie przerywając, tak samo jak ja moją. Jakby wiedział, że zjadł więcej niż pozostali siedzący przy stole. Dlatego podejrzewałam, że poluje tam, gdzie nikt inny nie śmiał. Nie mówiłam mu, żeby tego nie robił: wiedział, że nie powinien. Ponadto w moim domu nie było tak jak w domu lichwiarza. Tu nie przychodziło mi na myśl słowo „miłość”. Ta została pochowana razem z moją matką. Siergiej i Stepon byli tylko kolejnymi dziećmi, po których się rozchorowała. Nie umarli, ale jeszcze przysporzyli pracy jej, a teraz mnie. Zjadali część żywności, a ja musiałam prząść kozią wełnę, szyć i prać im ubrania. Tak więc niezbyt martwiłam się tym, co będzie, jeśli Starzykowie zrobią coś Siergiejowi. Myślałam, że może powinnam mu powiedzieć, żeby przyniósł mi kości na zupę, ale potem pomyślałam, że gdybyśmy wszyscy ją zjedli, to wszyscy mielibyśmy kłopoty, a nie warto dla paru rozłupanych kości, które już obrał do czysta.

Jednak Stepon kochał Siergieja. Kazałam Siergiejowi opiekować się nim, kiedy umarła matka. Ja miałam jedenaście lat i umiałam prząść, a Siergiej miał dopiero sześć, więc tato na to pozwolił. Zanim Siergiej był na tyle duży, żeby pracować w polu, przyzwyczał się do towarzystwa Stepona i nie próbował mi go podrzucić. Stepon chodził za nim, starał się nie przeszkadzać i przynosił im wodę. Pomagał przy kozach i razem spali w ich ciepłej szopie, kiedy ojciec był zły, nawet w zimie. Siergiej czasem bił brata, ale niezbyt mocno.

Tak więc Stepon przyszedł do mnie, gdy Siergiej zachorował. Było to przed południem. Pracowałam w ogrodzie lichwiarza, ścinając główki kapusty. Jeszcze nie były dojrzałe, ale nad ranem chwycił przymrozek, chociaż była to jeszcze wczesna jesień, i Mirjem orzekła, że lepiej zebrać je teraz, zanim całkiem się zepsują. Miałam oko na drzwi. Wkrótce się otworzą i żona lichwiarza zawoła mnie na obiad. Tego ranka w worku z ziarnem dla kur była skórka zeschniętego chleba, którą wzięłam i gryzłam po kawałku, zmiękczając w ustach łykami wody z beczki na deszczówkę, zimnej pod skorupą lodu, ale wciąż ścisnęło mnie w brzuchu z głodu. Właśnie znów spojrzałam na drzwi, gdy Stepon zawołał: „Wanda!”. Opierał się o płot i łapał powietrze. „Wanda!”

Gdy wykrzyknął moje imię, drgnęłam, jakby tato zdzielił mnie kijem po plecach.

– Co jest?

Byłam zła na Stepona, że przyszedł. Nie chciałam go tu.

– Wanda, podejź – powiedział, machając do mnie. Nigdy wiele nie mówił. Siergiej rozumiał go bez słów, a gdy nasz dom zaczynał rozbrzmiewać krzykami ojca, on wychodził, jeśli tylko mógł. – Wanda, podejź.

– Czy coś się stało w domu? – Żona lichwiarza stała w drzwiach, opatulona szalem. – Idź, Wando. Powiem Mirjem, że wysłałam cię do domu.

Nie miałam ochoty iść. Domyślałam się, że coś się stało Siergiejowi, ponieważ tylko dlatego mógł tu przyjść Stepon. Nie chciałam rezygnować z obiadu, żeby pomóc Siergiejowi, który nigdy w niczym mi nie pomógł. Nie mogłam jednak tego powiedzieć żonie lichwiarza. Wstałam i w milczeniu wyszłam przez bramę, a kiedy przeszliśmy kawałek drogą i znaleźliśmy się pod drzewami, potrząsnęłam Steponem.

– Nigdy więcej po mnie nie przychodź – powiedziałam gniewnie. Miał dopiero dziesięć lat, więc z łatwością mogłam nim potrząsać.

On jednak tylko złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą. Poszłam z nim. Powinnam pójść do domu i powiedzieć tacie, że Siergiej wpakował się w tarapaty, ale tego nie mogłam zrobić. Nie kochałam Siergieja, ale on by nie doniósł na mnie ojcu, więc i ja na niego nie doniosę. Stepon próbował biec. Usiłowałam dotrzymać mu kroku, żeby przebiec kawałek, nie myśląc, a potem przystawałam i on także, żeby złapać oddech, a po chwili znów zaczynał biec. Pokonaliśmy sześć mil zaledwie w godzinę. Kiedy byliśmy już niedaleko domu, zaczął ciągnąć mnie w bok, do lasu. Nabrałam podejrzeń.

– Co mu się stało? – zapytałam.

– Nie może wstać – powiedział Stepon.

Siergiej był nad strumieniem, do którego w lecie chodziliśmy po wodę, jeśli bliższy strumyk wysechł. Leżał na boku, na brzegu. Nie wyglądał, jakby spał. Miał otwarte oczy, a kiedy przytknęłam palec do jego warg, poczułam, że oddycha, ale się nie ruszał. Spróbowałam unieść jego rękę – była ciężka i bezwładna. Rozejrzałam się. Obok niego był do połowy zanurzony w wodzie martwy biały królik, z zaciśniętym na nodze sznurkiem skręconym z koziego włosia. Bez żadnej plamki na futrze. Wszystkie ścieżki pokrywał szron, a brzegi strumienia były ścięte lodem. Zrozumiałam, że Starzyk przyłapał Siergieja i zabrał jego duszę.

Położyłam jego rękę na ziemi. Stepon patrzył na mnie, jakby spodziewał się, że coś zrobię. Jednak nic nie można było zrobić. Kapłan nie przyjedzie z odległego miasta, żeby nam pomóc, a poza tym Siergiej kradł, chociaż wiedział, że nie powinien. Nie sądziłam, by Bóg ratował kogoś, kto sam był sobie winien.

Nic nie powiedziałam. Stepon też nic nie mówił, ale nadal patrzył na mnie, jakby wiedział, że coś mogę zrobić, aż zaczęłam mieć wrażenie, że mogłabym, chociaż nie chciałam. Zaciśnęłam zęby i usiłowałam nie myśleć o tym, co by tu zrobić, potem spróbowałam ocucić Siergieja, klepiąc go po twarzy i przyskając mu na twarz zimną wodą, chociaż wiedziałam, że to nic nie da. I nie dało. Nie ruszał się. Woda ściekała mu po twarzy, a kilka kropel nawet zalało mu oczy, a potem spłynęło z nich jak łzy, ale on nie płakał, tylko leżał tam bezwładnie jak spróchniała w środku kłoda.

Stepon nie patrzył na Siergieja. Przez cały czas spoglądał na mnie, prawie nie mrugając. Miałam ochotę go spoliczkować albo zdzielić kijem. Co dobrego obaj kiedykolwiek dla mnie zrobili, żebym była im coś winna? Przestałam go cucić i stałam, zaciskając pięści, a potem powiedziałam: „Weź go za nogi”. Te słowa miały smak zgniłych żołądździ.

Siergiej nie był jeszcze taki duży, żebyśmy we dwoje nie mogli go unieść. Obróciłam go na plecy i złapałam pod pachy, a Stepon umieścił kostki jego nóg na swoich chudych ramionach, i razem powoli wynieśliśmy go z lasu na sam skraj naszych pól, aż do białego drzewa. Kiedy tam dotarliśmy, byłam jeszcze bardziej rozżłoszczona. Trzy razy upadłam w lesie, idąc tyłem i taszcząc go, potykając się o korzenie i ślizgając w na pół zamrożonym błocku. Nabiłam sobie siniaka na jakimś kamieniu, ubrudziłam się ziemią i zgniecionymi trującymi jagodami, tak że będę musiała uprać ubranie. Jednak nie to mnie złościło. Odebrali mi ją, oni wszyscy: Siergiej, Stepon i ci pozostali martwi chłopcy w grobach. Zabrali mi matkę. Nie chciałam się nią dzielić. Jakie mieli do niej prawo?

Nic jednak nie powiedziałam. Puściłam Siergieja, pozwalając mu bezwładnie osunąć się na ziemię pod białym drzewem, obok grobu naszej matki, stanęłam pod tym drzewem i powiedziałam:

– Mamo, Siergiej jest chory.

Powietrze było nieruchome i zimne. Za nami żyto ledwie wschodziło na długim, zielonkawym, ciągnącym się w dal polu, kiełkami o wiele mniejszymi, niż powinny być, i widziałam dym unoszący się nad naszym domem prostą szarą smugą. Ojca nie było w pobliżu. Wiatr ucichł, lecz białe drzewo westchnęło, jego gałęzie zadrżały i kawałeczek jego kory odskoczył. Złapałam go i oderwałam od pnia jeden długi pas.

Podnieśliśmy Siergieja i zanieśliśmy go nad nasz strumyk, po czym posłałam Stepona do domu po gorący węgiel i kubek. Nazbierałam suchej trawy oraz patyków i zrobiłam z nich stosik, a kiedy Stepon wrócił, rozpałam ognisko i zaparzyłam herbatę z tego kawałka kory. Gdy woda w kubku zrobiła się popielatoszara i miała zapach ziemi, unieśliśmy Siergiejowi głowę i zmusiliśmy go do przełknięcia kilku łyków. Trząsł się przy tym jak pies strząsający pchły w lecie. Wmusiłam w niego jeszcze jeden łyk, a potem następny, a wtedy obrócił się i zaczął wymiotować, raz po raz, zwracając mnóstwo parującego surowego mięsa, cuchnącego i obrzydliwego. Odwróciłam się, żeby też nie zwymiotować. Gdy w końcu przestał, sam odczołgał się od tej sterty, popłakując.

Dałam mu trochę wody do wypicia, a Stepon zakopał tę stertę surowego mięsa, które zwrócił. Siergiej płakał jeszcze przez chwilę, dysząc. Był chudy i wymizerowany, jakby długo głodował, ale przynajmniej znów był z nami. Musiał

oprzeć się na mnie, kiedy wstawaliśmy. Poszliśmy wzdłuż strumienia do głązu, gdzie był wodopój kóz, które pasły się i skubały liście na brzegu. Najstarsza podeszła do nas z nastawionymi uszami, a Siergiej objął jej szyję i przycisnął twarz do jej boku, gdy ja wydołam z niej kubek mleka i dałam mu do wypicia.

Opróżnił kubek do ostatniej kropli, a potem czujnie spojrzął na mnie. Nasz ojciec zauważał, jeśli któraś z kóz nie dała tyle mleka, ile powinna, i wszyscy dostaniemy lanie, jeśli się nie dowie, kto je wypił. Pomimo to wyjęłam z ręki Siergieja kubek, ponownie go napełniłam i mu dałam. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Jednak zrobiłam to, a potem rano, gdy ojciec przyszedł ze skopkami po dojeniu i zaczął krzyczeć, wstałam i powiedziałam mu głośno:

– Siergiej musi więcej jeść!

Ojciec spojrzął na mnie ze zdumieniem, a Siergiej i Stepon także. Na ich miejscu też bym wytrzeszczyła oczy. Po chwili spoliczkował mnie i kazał mi się zamknąć, ale potem wyszedł i na tym sprawa się skończyła. Siergiej, Stepon i ja czekaliśmy w chacie, ale nie wrócił. Nie pobił nas. Siergiej popatrzył na mnie, a ja na niego i nic nie powiedzieliśmy. Po jakiejś minucie wzięłam chustę oraz worek i poszłam do pracy. Moje ubranie było nadal brudne i sztywne od zaschniętego błota. Upiorę je dopiero razem z rzeczami ojca i braci.

Kiedy po południu wróciłam do domu, Siergiej wyciągnął balię, a Stepon napełnił ją wodą przyniesioną ze strumienia. Nawet zagrzali trochę wody, żeby była ciepła i rzeczy się lepiej uprały. Popatrzyłam na nią, a potem wyjęłam z kieszeni i pokazałam im trzy jajka, które dostałam od żony lichwiarza. Zapytała mnie, co się stało. Kiedy powiedziałam jej, że mój brat rozchorował się po czymś, co zjadł, stwierdziła, że najlepsze na niestrawność są surowe jajka, i dała mi trzy. Wypiłam jedno, Siergiej półtora, a Stepon ostatnie pół. Potem pokroili za mnie główkę naszej kapusty, gdy ja prałam ubranie, a kiedy skończyłam, zrobiłam obiad.

Rozdział 4

Przez cały ten zimny rok siałam moje srebro. Wiosna znów przyszła późno, a lato było krótkie i nawet warzywa rosły powoli. Śnieg padał aż do kwietnia. Ludzie przychodzili do mnie z daleka, z tuzinów okolicznych wiosek, i pożyczali pieniądze, żeby przeżyć. Gdy następnej wiosny znów pojechaliśmy do Wyżni, zabrałam ze sobą sakiewkę dziadka pełną ruloników z kopiejkami gotowymi do wymiany na złote i złożenia w banku, żeby były bezpieczne za grubymi ścianami sejfu i jeszcze grubszymi murami miasta. Dziadek nic nie powiedział, tylko przez chwilę trzymał sakiewkę w dłoni, ważąc ją, ale widziałam, że jest ze mnie dumny.

Kiedy u nich byliśmy, dziadkowie zwykle nie miewali gości poza siostrami mojej matki. Wcześniej nie zwracałam na to uwagi, ale teraz tak, ponieważ nagle dom był pełny wpadających na herbatę i zostających na obiad ludzi, świateł, pięknych sukni i rozbawionych głosów. Przez te dwa tygodnie poznałam więcej mieszkańców miasta niż w ciągu wszystkich poprzednich odwiedzin. Zawsze niejasno zdawałam sobie sprawę, że dziadek jest ważną osobą, ale teraz miałam na to mnóstwo dowodów. Ludzie z szacunkiem zwracali się do pana Moszela, nawet rabin, a przy stole on i inni mężczyźni toczyli poważne dyskusje o polityce i często rozstrzygali spory, jakby mieli prawo to robić.

Nie rozumiałam, dlaczego ci goście nie przychodzili wcześniej. Wszyscy byli uprzejmi i miło im było mnie widzieć.

– Czy to mała Mirjem? – spytała pani Idin, uśmiechając się i gładząc mnie po policzku; była żoną jednego z przyjaciół moich dziadków. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek ją widziała, a jeśli już, to bardzo dawno temu. – Już taka dorosła! Na pewno wkrótce zatańczymy na twoim weselu.

Usłyszawszy to, babcia wyduła usta, a moja matka miała jeszcze bardziej niezadowoloną minę. Gdy przychodzili goście, siedziała w kącie salonu, pochylona nad lnianą koszulą, którą szyła dla mojego ojca, i prawie się nie odzywała, a jeśli już, to niezbyt uprzejmie: matka, miła dla ludzi z naszej wioski, przez których nie

miała co włożyć do ust i którzy nie zapraszali jej do swoich domów.

– Nie sprzedawałbym świńskiego ucha jako jedwabnej sakiewki – bez ogródek powiedział mi dziadek, gdy w końcu zapytałam go o gości. – Twój ojciec nie mógłby cię wyposażyć tak, jak przychodzący do tego domu goście mogliby oczekiwać po mojej wnuczce, a gdy twoja matka za niego wyszła, przysięgłem, że nie będę więcej wpychał pieniędzy do jego dziurawej kieszeni.

Wtedy zrozumiałam, dlaczego wcześniej nie zapraszał bogatych gości i dlaczego nie chciał, by babcia kupowała mi suknie, jakie jego zdaniem powinnam nosić, obszyte futrem i ze złotymi guzikami. Nie zamierzał robić księżniczki z córki młynarza, żeby za pożyczone pieniądze złowiła sobie na męża jakiegoś głupca, który da się zwieść albo zerwie zaręczyny, kiedy dowie się prawdy.

Nie rozzłościło mnie to. Nawet jeszcze bardziej go polubiłam za tę chłodną i rzeczową szczerłość i byłam dumna z tego, że teraz zaprasza gości, a nawet chwali się mną, mówiąc, że wzięłam sakiewkę srebra, a oddałam pełną złota. Lubiłam czuć na sobie ich spojrzenia, wążące mnie jak sakiewkę, i podobało mi się, że mogę znosić to z podniesioną głową, bo znam swoją wartość.

Natomiast zaczęłam być zła na moją matkę. Jej siostry znów przyszły na kolację wieczorem przed naszym wyjazdem, tak że przy stole siedziało nas dwanaścioro, a gromada dzieci wrzeszczała i hałasowała na podwórzu. Obok mnie siedziała moja kuzynka Basia: o rok starsza piękność z pulchnymi rękami, lśniącymi kasztanowymi włosami, naszyjnikiem i kolczykami z pereł, pewna siebie i zgrabna. Miesiąc wcześniej była u swatki, a teraz z roześmianymi oczami i ustami słuchała, jak jej matka mówi o pewnym młodzieńcu, którego brali pod uwagę: Izaaku, jubilerze jak jej ojciec i równie zręcznym, chociaż mój dziadek nieco sceptycznie kręcił głową i zadał wiele pytań o stan jego interesów. Dłonie miała gładkie i miękkie. Nigdy nie musiała ciężko pracować, a jej stroje były dobrze uszyte i pięknie haftowane w kwiaty i śpiewające ptaszki.

Nie zazdrościłam jej, nie teraz, kiedy mogłam sobie kupić haftowany fartuszek, gdybym chciała wydać na to pieniądze. Byłam zadowolona ze swojej pracy. Jednak czułam, że moja matka siedzi obok mnie spięta, jakby nie chciała, żebym spojrzała na życie Basi i zapragnęła takie mieć. Następnego dnia pojechałyśmy do domu saniami mknącymi po zmrożonym śniegu przez ciemny las. Było bardzo zimno jak na wiosenną porę, ale miałam futrzany płaszcz i trzy halki pod suknią, a ponadto byłyśmy opatulone trzema kocami, więc było nam ciepło i wygodnie. Pomimo to matka miała przygnębioną minę. Nie rozmawiałyśmy.

– Wolałabyś, żebyśmy nadal byli biedni i głodni? – wypaliłam w końcu, gdy nasze milczenie zaczęło mi ciążyć w środku tego ciemnego lasu.

Ona objęła mnie, pocałowała i powiedziała z płaczem:

– Moja kochana, moja kochana, tak mi przykro.

– Przykro? – powiedziałam. – Że jest ci ciepło, a nie zimno? Że jesteś bogata i zdrowa? Że masz córkę, która umie zamienić srebro w złoto?

Odsunęłam się od niej.

– Patrzyć, jak robisz się zimna jak lód, żeby to osiągnąć – powiedziała.

Nie odpowiedziałam, tylko skuliłam się pod kocami. Oleg popędzał konie; w oddali między drzewami pojawił się srebrny blask widocznej Starzykowej drogi. Nasze konie pomknęły jeszcze szybciej, lecz ona podążała wraz z nami aż do domu, lśniąć między drzewami. Czułam to na moich żebrach, ten zimniejszy wiatr napierający na mnie i usiłujący wdrzeć się pod skórę, ale nie przejmowałam się tym. Wewnątrz byłam zimniejsza.

Następnego ranka Wanda przyszła później do pracy, a kiedy się zjawiała, była zdyszana, czerwona i spocona, a jej pończochy i spódnica były pokryte skorupą zmarzniętego śniegu, jakby próbowała nowej drogi przez pola, zamiast iść wiejską drogą.

– Starzykowie są w lesie – powiedziała, nie podnosząc oczu.

Kiedy wyszliśmy na podwórze przed naszym domem, zobaczyliśmy, że Starzykowa droga nadal tam jest, słabo migocząc między drzewami, odległa o niecałe ćwierć mili.

Nigdy nie słyszałam, żeby ta droga przebiegała tak blisko. Nasze miasteczko nie ma murów, ale nie jest na tyle bogate, żeby ich skusić. Płacimy podatki w zbożu i wełnie, a bogaci wymieniają w dużym mieście srebro na złoto i zostawiają je w bankach, tak jak ja. Może jakaś kobieta ma tu złoty naszyjnik czy pierścionek – za późno przypomniałam sobie o złotym guziku przy kołnierzyku mojej sukni – ale nie zebrałiby nawet małego kuferka złotej biżuterii, nawet gdyby przetrząsnęli każdy dom przy głównej ulicy.

Z lasu płynął przeszywający ziąb; gdyby przyklęknąć i dotknąć ziemi gołą ręką, poczułoby się pełznący po niej chłód, niczym słaby oddech jakiegoś olbrzyma w oddali, a w powietrzu unosił się silny zapach połamanych sosnowych gałęzi. Las był w śniegu, ale pomimo to ten chłód wydawał się nienaturalny. Popatrzyłam na miasteczko i zobaczyłam innych ludzi stojących na podwórzach sąsiednich domów i spoglądających na tę drogę tak samo jak my. Pani Gavelytę zmarszczyła brwi, gdy nasze spojrzenia się spotkały, zanim pospiesznie wróciła do domu, jakby to była nasza wina.

Jednak nic więcej się nie stało, a poranne prace czekały, więc jedni po drugich wszyscy wróciliśmy do domów, a kiedy nie widzieliśmy tej drogi, przestaliśmy o niej myśleć. Usiadłam nad moimi księgami, żeby przejrzeć wszystko, co Wanda

przyniosła przez te dwa tygodnie, kiedy nas nie było. Ona wzięła koszyk suchego chleba i ziarna dla kur, po czym poszła je nakarmić i pozbierać jajka. Matka w końcu zaprzestała prób wykonywania wszelkich prac na zewnątrz, co mnie cieszyło; siedziała przy stole, obierając ziemniaki na obiad, przy ciepłym kominku, miała lekko zarumienione policzki, które trochę się zaokrągliły od poprzedniej zimy. Nie przejmowałam się tym, jak na mnie patrzy, kiedy siedziałam nad księgami.

Wszystko było poprawnie i czytelnie wyliczone, a sumy się zgadzały. Dziadek pytał, czy moja służąca jest dobra: wcale nie uważał, że głupio zrobiłam, obiecując Wandzie pieniężną zapłatę.

– Sługa łatwo może stać się nieuczciwy, jeśli przynosi ci pieniądze, a sam nigdy ich nie dostaje – rzekł. – Niech czuje, że jej majątek rośnie wraz z twoim.

Byłam ostrożna w ocenie mojego rosnącego majątku, choć miałam już czternaście złotych monet w solidnym sejfie mojego dziadka. Wiedziałam, że tak naprawdę nie są to pieniądze zarobione przeze mnie, ale posag mojej matki, który w końcu do nas wrócił. Ojciec bardzo szybko rozpozyczył je po ślubie, więc niemal zanim przyszedłam na świat, wszystkie znalazły się w cudzych kieszeniach i niewiele mu oddano, tak że wszyscy nasi sąsiedzi w promieniu wielu mil nadal byli u nas zadłużeni. Ponaprawiali sobie domy i stodoły, pokupowali bydło i ziarno na siew, powydawali za mąż córki i zapewnili dobry życiowy start synom, a tymczasem moja matka chodziła głodna, a ojca wyganiano z ich podwórek. Zamierzałam odzyskać wszystkie te pieniądze razem z odsetkami.

Tylko że już odebrałam najłatwiejsze długi. Niektórych nigdy nie odzyskam. Niektórzy z dłużników mojego ojca poumierali albo wyjechali tak daleko, że nie wiedziałam, gdzie ich szukać. Już musiałam odbierać ponad połowę należności w towarach, pracy lub innych usługach, a zamiana ich na brzęczącą monetę nie była łatwa. Nasz dom był teraz przytulny i mieliśmy stado kur, tak liczne, jak się dało. Ludzie proponowali mi również owce lub kozy, ale nie mieliśmy pojęcia o ich hodowli. Mogłam je odsprzedawać, ale to było trudne, a wiedziałam, że nie mogę liczyć moim dłużnikom ani grosza mniej, niż wezmę za ich towar na targu. Powiedzieliby, że ich oszukuję, chociaż musiałam poświęcać czas i siły, żeby go sprzedać.

Teraz pożyczalam pieniądze jedynie tym, którzy mogli je oddać, a ponadto niewielkie sumy, tylko że w rezultacie wpływy były równie małe i nie wiedziałam, ilu z nich przestanie płacić, zanim oddadzą długi do końca. Pomimo to, patrząc na te wszystkie drobne sumy, zdecydowałam, że zacznę już płacić Wandzie: każdego dnia spłaci pół grosza z długu ojca i weźmie pół grosza do domu, będzie miała pieniądze, więc ona i jej ojciec poczują, że zarabia, nie będą to tylko liczby

zapisane w moich księgach.

Właśnie postanowiłam, że powiem jej to tego popołudnia, zanim pójdzie do domu, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadła do środka, przyciskając do piersi koszyk, wciąż pełen ziarna dla kur.

– Byli pod domem! – powiedziała.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, kogo ma na myśli, ale pomimo to zerwałam się z krzesła; twarz miała bladą i przestraszoną, a nie była lękliwa.

– Pokaż mi – powiedział mój ojciec i wziął żelazny pogrzebacz sprzed kominka.

– Złodzieje? – cicho spytała matka.

Taka też była moja pierwsza myśl, gdy wreszcie jakaś się pojawiła. Cieszyłam się, że wywiozłam pieniądze i umieściłam je w banku. Zaraz jednak wyszliśmy za ojcem na zewnątrz i za dom, gdzie rozczarowane kury wciąż głośno gdakały, czekając na karmę, a Wanda pokazała nam ślady. To wcale nie były złodzieje.

Ślady kopyt były zaledwie płytkimi wgłębieniami w cienkiej warstwie świeżego śniegu. Nie przebiły zmrożonej skorupy, ale były bardzo duże, wielkości końskich kopyt, ale rozdwojone jak jelenie i ze śladami pazurów na przednich krawędziach. Prowadziły aż do ściany domu, gdzie ktoś najwidoczniej zsiadł i zajrzał przez nasze okno: ktoś noszący dziwne buty z długimi wąskimi czubkami.

Na początku nie wierzyłam własnym oczom. Z pewnością było to dziwne, ale pomyślałam, że ktoś bawi się naszym kosztem, jak wiejscy chłopcy, którzy czasem rzucali we mnie kamieniami, gdy byłam mała. Ktoś podkradł się i zostawił te ślady, żeby nas przestraszyć, albo w jeszcze gorszych zamiarach: zamierzał nas obrabować. Zanim jednak otworzyłam usta, żeby to powiedzieć, uświadomiłam sobie, że nikt nie mógł zostawić tych śladów, nie zapadając się w śniegu, chyba że zrobił je butem na kiju, siedząc na dachu. Tyle że śnieg na dachu był gładki, a ślady kopyt ciągnęły się z naszego podwórka aż do lasu, gdzie znikwały pod drzewami. A kiedy spojrzałam w tamtym kierunku, znów dostrzegłam błyszczącą między nimi srebrzystą drogę.

Nic nie powiedziałam, a moi rodzice też się nie odezwali i wszyscy spoglądaliśmy na tę drogę w lesie, tylko Wanda rzekła beznamiętnie:

– To Starzyk. Był tu Starzyk.

Jednak Starzyk nie chodziłby po naszym podwórku z kurami ani nie zaglądał przez okno do naszego dużego pokoju. Pochyliłam się, żeby zajrzeć: zerkając nad moim wąskim łóżkiem, można było zobaczyć tylko piec ze stojącym na nim garnczkiem, kredens zrobiony przez mojego ojca w prezencie dla matki i worki ze zbożem w spiżarni.

Mój dom wyglądał tak zwyczajnie i pospolicie, że ten pomysł wydawał się po prostu śmieszny, więc wyprostowałam się i ponownie spojrzałam na ślady, niemal

spodziewając się, że znikną i przestaną czynić świat takim nieporządnym i absurdalnym.

A wtedy ojciec wziął pogrzebacz, wbił go w ślady i potruchtał po nich aż na skraj lasu, po czym wrócił, zacierając je. Podszedł do nas i rzekł:

– Nie słuchajmy takiego gadania. Nie wiadomo, kto je zostawił, zapewne jakieś dzieci zrobiły głupi kawał. Wracaj do swoich zajęć, Wando.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Nigdy nie słyszałam, żeby tak ostro do kogoś mówił. Nie wiedziałam, że to potrafi. Wanda zawahała się. Popatrzyła tam, gdzie wcześniej były ślady, ale zaraz powoli przeszła po zdeptanym śniegu i zaczęła karmić kury. Matka stała w milczeniu okutana szalem, z zaciśniętymi wargami i pięściami.

– Wracaj do domu, Mirjem – powiedziała. – Musisz mi pomóc obierać ziemniaki. Poszłam za matką do domu, a ona, idąc, zerknęła na drogę prowadzącą do miasta. Jednak wszyscy inni też już wrócili do swoich zajęć i domów; nikt nie został na zewnątrz, żeby obserwować okolice.

Kiedy weszliśmy do domu, ojciec podszedł do mojego łóżka i zmierzył szerokość oraz wysokość okna, robiąc nacięcia na kijku wyjętym ze sterty drewna. Potem wziął płaszcz, kapelusz oraz toporek i znów wyszedł, trzymając kij. Patrzyłam, jak wychodzi, a potem spojrzałam na matkę, która przyglądała się Wandzie zajętej zamiataniem podwórza.

– Mirjem – powiedziała matka – myślę, że byłoby lepiej dla ojca, gdyby miał jakiegoś młodzieńca do pomocy. Poprosimy brata Wandy, żeby nocował u nas, i zapłacimy mu.

– Mamy płacić komuś tylko za spanie w naszym domu? A co on by zrobił, gdyby przyszedł tu jakiś Starzyk?

Po tych słowach roześmiałam się, tak śmieszny był ten pomysł. Nawet nie wiedziałam, dlaczego w ogóle potraktowałam go poważnie. Miałam wrażenie, że wszystko to było tylko snem, który już zaczynałam zapominać.

Matka jednak skarciła mnie.

– Nie mów takich rzeczy. Nie chcę więcej słyszeć czegoś takiego. I nie rozmawiaj o Starzyku z nikim i nigdzie w miasteczku.

Teraz rozumiałam jeszcze mniej. Wszyscy będą mówić o Starzykach i tej drodze w lesie, a jutro był dzień targowy.

– No to nie pójdziesz na targ – stwierdziła, kiedy to powiedziałam, a gdy zaprotestowałam, że muszę zabrać na targ i sprzedać rzeczy przywiezione z Wyżni, położyła mi dłonie na ramionach i powiedziała: – Mirjem, zapłacimy bratu Wandy, żeby przenocował u nas, a ona nikomu nie powie, że Starzykowie przychodzą do naszego domu. I ty też nikomu o tym nie powiesz.

Przestałam się spierać.

– Dwa lata temu – cicho ciągnęła matka – pod Minaskiem banda Starzyków wyszła z lasu i splądrowała trzy miasteczka, trochę większe od naszego. Spalili kościoły i domy bogatych ludzi, zabrali całe złoto, jakie zdołali znaleźć. Jednak przejechali przez wioskę Jazuda, gdzie mieszkają Żydzi i nie spalili ich domów. Dlatego ludzie powiedzieli, że Żydzi zawarli pakt ze Starzykami. I teraz nie ma Żydów w Jazudzie. Rozumiesz, Mirjem? Nie będziesz mówiła o tym, że Starzyk przychodzi pod nasz dom.

To nie były bajdy o elfach, czarach czy innych absurdach. To było coś, co bardzo dobrze rozumiałam.

– Pójdę jutro na targ – oznajmiłam po chwili, a gdy matka chciała coś powiedzieć, dodałam: – Byłoby dziwne, gdybym nie poszła. Pójdę, sprzedam te dwie nowe suknie, które kupiłam, i będę rozmawiać o nowych fasonach w Wyżni.

Matka po chwili przytaknęła, pogłaskała mnie po głowie i wzięła ją w dłonie. Potem razem usiadłyśmy przy stole i zaczęłyśmy obierać resztę ziemniaków. Słyszałam, jak Wanda na zewnątrz rąbie drewno, w miarowym tempie, rytmicznie uderzając siekierą. Ojciec wrócił szybko z naręczem świeżych gałęzi i przez resztę ranka siedział przy kominku, strugając je i robiąc z nich kratę, którą przybił gwoździami do framugi okna.

– Pomyślałyśmy, że moglibyśmy zapłacić bratu Wandy, żeby u nas nocował – powiedziała matka, nie odrywając oczu od robótki na drutach, kiedy pracował.

– Byłoby dobrze mieć tu jakiegoś młodego człowieka – przyznał ojciec. – Nie wiem tylko, czy w domu są jakieś pieniądze. Ponadto przydałaby mi się pomoc. Nie jestem już taki młody.

– Może moglibyśmy jednak trzymać kilka kóz – powiedziałam. – Mógłby ich dla nas doglądać.

Rankiem następnego dnia po powrocie z Wyżni Mirjem powiedziała do mnie:

– Wando, chcielibyśmy, żeby jakiś młody człowiek nocował tutaj i pomagał nam w domu, a ponadto zajmował się kozami, które będziemy mieć. Czy twój brat mógłby tu przyjść i nam pomagać?

Nie odpowiedziałam od razu. Chciałam odmówić. Prowadziłam jej rachunki przez całe te dwa tygodnie, kiedy jej nie było. Ja, sama. Codziennie robiłam obchód, każdego dnia po innych domach, a potem wracałam do tego domu i gotowałam obiad dla siebie i jej ojca lichwiarza, a potem siadałam przy stole i lekko drżącymi rękami ostrożnie otwierałam księgę. Skóra okładki była taka miękka, a w środku każda cienka kartka była pokryta literami i liczbami. Przewracałam jedną po drugiej, żeby znaleźć domy, które odwiedziłam w tym dniu.

Każdy dom miał swój numer, a przy nim widniało nazwisko osoby, która w nim mieszka. Zanurzałam pióro w inkauscie, wodziłam nim po papierze i znów zanurzałam, bardzo wolno zapisywałam każdą liczbę, najładniej jak umiałam. Potem znów zamykałam książkę, czyściłam pióro i odkładałam je na półkę razem z kałamarzem. Robiłam to wszystko sama.

Przez całe lato, gdy dni były długie i mogłam dłużej zostać, Mirjem nauczyła mnie, jak zapisywać liczby. Po obiedzie wychodziła ze mną na dwór i kreśliła je patykiem na ziemi, raz po raz. I nie uczyła mnie tylko tego, jak je notować. Nauczyła mnie, jak je tworzyć: jak otrzymać nową liczbę, łącząc dwie inne albo odejmując jedną od drugiej. Nie tylko małe liczby, które mogłam policzyć na palcach lub za pomocą kamyków, ale duże. Nauczyła mnie, jak zrobić ze stu groszy kopiejkę, z dwudziestu srebrnych kopiejek jeden złoty oraz jak ponownie zmienić srebrną monetę na grosze.

Z początku się bałam. Minęło pięć dni, zanim wzięłam kijek i zaczęłam nim wodzić po znakach, które nakreśliła. Mówiła o tym jak o czymś zwyczajnym, ale ja wiedziałam, że uczy mnie magii. Potem nadal się bałam, ale nie mogłam się powstrzymać. Nauczyłam się kreślić magiczne znaki na ziemi, a potem starym i zużytym piórem oraz popiołem zmieszany z wodą na gładkim płaskim kamieniu, a w końcu jej własnym piórem i inkaustem na kawałku starego papieru, poszarzałego od wielokrotnego zapisywania i wywabiania. I pod koniec zimy, kiedy wyjeżdżała, mogłam prowadzić za nią rachunki. Nawet zaczęłam trochę czytać. Znałam nazwiska na każdej stronie księgi, cicho powtarzałam je sobie, dotykając palcem, i widziałam, które litery odpowiadają za każdy dźwięk. Czasem, gdy się myliłam, Mirjem mnie poprawiała. W ten sposób dała mi wiele magii, którą nie chciałam się dzielić.

Rok wcześniej powiedziałabym nie, żeby zatrzymać to wszystko dla siebie. Jednak tak było, zanim uwolniłam Siergieja od Starzykowej klątwy. Teraz, gdy wracałam do domu, stawiał przede mną obiad. On i Stepon przez całą zimę nazbierali dla mnie koziego włosa z krzaków i słomy, tyle że zrobiłam sobie z niej szal, który nosiłam, kiedy wychodziłam do miasteczka. Był moim bratem.

Omiał nie powiedziałam nie – ze strachu. A jeśli zdradzi moją tajemnicę? Ta była tak wielka, że ledwie byłam w stanie ją ukryć. Co noc kładłam się spać, myśląc o sześciu srebrnych kopiejkach zaciśniętych w garści, lśniących i zimnych. Tworzyłam je, dodając grosze, jeden do drugiego, aż zmorzył mnie sen.

Teraz jednak po chwili powiedziałam powoli:

– Czy swoją pracą szybciej spłaci dług?

– Tak – odrzekła Mirjem. – Każdego dnia razem zarobicie dwa grosze. Połowa pójdzie na spłatę długu, a połowę dam wam w monetach. Tu jest pierwsza, za

dzisiejszy dzień.

Wyjęła okrągły, czysty, błyszczący grosz i położyła mi na dłoni jak nagrodę za zgodę. Popatrzyłam nań, a potem zacisnęłam palce.

– Porozmawiam z Siergiejem – oznajmiłam.

Kiedy jednak powiedziałam mu to, szeptem, głęboko w lesie, gdzie tato nie mógł usłyszeć, brat zapytał:

– Chcą tylko, żebym był w ich domu? Dadzą mi pieniądze tylko za to, że tam będę, i za karmienie ich kóz? Dlaczego?

– Boją się złodziei – odparłam, ale zaraz przypomniałam sobie, że to nieprawda. Tylko nie mogłam sobie przypomnieć, co właściwie jest prawdą.

Musiałam wstać i udawać, że trzymam koszyk z karmą dla kur, i chodzić, zanim powróciło wspomnienie wydarzeń tamtego ranka. Wyszłam na dwór i ukradkiem zjadłam trochę suchego chleba, stojąc za rogiem domu, gdzie oni nie mogli mnie zobaczyć, a i kury także, a potem przeszłam za róg i zobaczyłam ślady...

– Starzyk – powiedziałam. To słowo mroziło mi usta. – Był tam Starzyk.

Gdyby Mirjem nie dała mi tego grosza, nie wiem, co bym zrobiła. Wiedziałam, że dług mojego ojca nie ma już znaczenia. Żadne prawo nie zmusiłoby mnie do pracy w domu, do którego podchodził Starzyk i zaglądał w okna. Jednak Siergiej patrzył na grosz w mojej dłoni, i ja także.

– Grosz każdego dnia? – zapytał.

– Na razie połowa idzie na spłatę długu – powiedziałam. – Jeden grosz każdego dnia.

– Ty zatrzymasz ten – rzekł po chwili – a ja wezmę następny.

Nie powiedziałam: „Chodźmy do białego drzewa i spytajmy o radę”. Byłam wtedy jak tata. Nie chciałam usłyszeć, jak głos matki mówi: „Nie idźcie tam, będą kłopoty”. Wiedziałam, że będą. Jednak wiedziałam również, co by się stało, gdybym przestała tam pracować. Gdybym powiedziała to tacie, powiedziałaby, że nie muszę ani na minutę dłużej wracać do tego diabelskiego domu, a potem sprzedałby mnie na targu za dwie kozy komuś, kto chciałby żony o silnych rękach, a nie z liczbami w głowie. Nie byłabym warta nawet sześciu kopiejek.

Tak więc powiedziałam ojcu, że lichwiarz chce kogoś do pomocy przy kozach i że szybciej spłaci swój dług, jeśli pozwoli Siergiejowi chodzić tam na noc. Gniewnie zmarszczył brwi i rzekł do Siergieja:

– Wracaj godzinę po wschodzie słońca. Kiedy dług będzie spłacony?

Siergiej spojrzął na mnie. Otworzyłam usta i powiedziałam:

– Za trzy lata.

Spodziewałam się, że mnie uderzy i wrzaśnie, że jestem głupia i nie umiem liczyć. Tymczasem tata tylko warknął: „Krwiopijcy i pijawki”, po czym rzekł do

Siergieja:

– Powiedz im, że muszą ci dawać śniadanie! Nie będzie więcej podpijania kozom mleka.

Tak więc teraz mieliśmy trzy lata. Najpierw będzie grosz co drugi dzień, a potem codziennie. Siergiej i ja uścisnęliśmy sobie ręce za domem.

– Co za to kupimy? – spytał szeptem.

Nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Nie myślałam, co kupię za te pieniądze. Chciałam tylko je mieć, prawdziwe pieniądze, w ręku.

– Jeśli je wydamy – rzekł Siergiej – on się dowie. Zmusi nas, żebyśmy mu je oddali.

Najpierw pomyślałam, że przynajmniej tato nie zechce zabrać mnie na targ. Gdybym codziennie przynosiła do domu grosz, chętnie pozwoliby mi pracować u lichwiarza. Potem jednak wyobraziłam sobie, jak zabiera moje pieniądze, jak muszę oddawać mu każdą błyszczącą monetę. Zobaczyłam, jak idzie do miasta i przepija je, przegrywa, nigdy już nie pracując. Byłby szczęśliwy.

– Nie dam – powiedziałam, czując ucisk w dołku. – Nie oddam mu ani grosza.

Tylko że nie wiedzieliśmy, co robić.

– Schowamy je – oznajmiłam w końcu. – Schowamy wszystkie pieniądze. Jeśli przepracujemy trzy lata i nie wydamy ich, będziemy mieli po dziesięć kopiejek. Razem jeden złoty. Jedną złotą monetę. Zabierzemy Stepona i wyjedziemy.

Dokąd moglibyśmy się udać? Nie wiedziałam. Byłam jednak pewna, że z taką sumą pieniędzy będziemy mogli wyjechać dokądkolwiek. Robić, co zechcemy. A Siergiej kiwnął głową; on też tak uważał.

– Gdzie możemy je ukryć? – zapytał.

Tak więc jednak poszliśmy do białego drzewa i pod kamieniem na grobie mojej matki wykopaliśmy dołek, do którego włożyliśmy ten jeden grosz, po czym znów nakryliśmy go kamieniem.

– Mamo – powiedziałam – proszę przechowaj go dla nas.

Potem pospiesznie odeszliśmy, nie czekając na to, czy coś się stanie. Siergiej też nie chciał usłyszeć, jak mama mówi nam, żebyśmy tego nie robili.

Tego wieczoru po kolacji poszedł do miasta w czapce, którą zrobiłam mu z gałganów, żeby nie zmarzły mu uszy. Stałam na podwórku przed domem, patrząc, jak idzie. Starzykowa droga wciąż lśniła w pobliżu w lesie. Nie była jak lampa, lecz jak gwiazdy w pochmurną noc. Jeśli próbowałeś na nią spojrzeć, nie mogłeś jej zobaczyć. Kiedy odwróciłeś wzrok, widziałeś ją – błyszczącą – kątem oka. Siergiej starał się trzymać od niej jak najdalej. Już nie lubił chodzić do lasu. Przez cały czas szedł poboczem wiejskiej drogi, po przeciwnej stronie niż drzewa, chociaż musiał brnąć w śniegu, zamiast iść po twardym. Mimo to szybko znikł

w ciemnościach.

Rano widziałam jego ślady na śniegu, gdy sama szłam do miasta. Niemal pragnęłam, by szedł po drodze, żebym ich nie widziała, ponieważ obawiałam się, że w pewnym miejscu się urwą. Tak się jednak nie stało. Doszłam po nich aż do domu Mirjem i Siergiej siedział tam przy stole, jedząc z miski kaszę pachnącą orzechami. Na ten widok ja też poczułam głód. Już nie jadaliśmy śniadań w naszym domu. Nie było co jeść.

– Noc była spokojna – powiedział do mnie, a ja wzięłam koszyk i wyszłam nakarmić kury. W koszyku była cała pięćka chleba, z wciąż miękkim środkiem. Zjadłam ją, a potem poszłam do kur, ale one nie wyszły mi na spotkanie.

Powoli podeszłam bliżej. Wokół kurnika było mnóstwo śladów. Kopyt jakby jelenich, ale większych i z pazurami. Okienko na górze, które zamknęłam wczoraj, kiedy odchodziłam, było szeroko otwarte, jakby ktoś wpychał tam swój nos. Nachyliłam się i wetknęłam rękę do kurnika. Kury były tam, wszystkie razem siedziały na grzędzie z nastroszonymi piórami. Zniosły tylko trzy małe jajka, a kiedy je wyjęłam, jedno z nich było szare, białawoszare jak popiół z paleniska.

Cisnęłam to szare w las, najdalej jak mogłam, po czym pomyślałam, że mogłabym zatrzeć te ślady i udawać, że ich nie widziałam. A jeśli lichwiarz powie Siergiejowi, żeby już nie przychodził, ponieważ nie odstraszył Starzyka? Może odeślą i mnie. Gdybym zmiotła te ślady do czysta, sama bym o nich zapomniała, tak jak o wczorajszych. Byłoby niemal tak, jakby nigdy ich nie było. Poszłam i wzięłam miotłę, którą zamiatałam podwórze. Stała oparta o boczną ścianę domu i po drodze zobaczyłam ślady butów. Było ich wiele. Starzyk był na tyłach ich domu, ten sam, z butami z ostrymi noskami, i trzy razy przeszedł tam i z powrotem wzdłuż ściany, za którą spali.

Rozdział 5

Brat Wandy był jeszcze chłopcem: wysokim, barczystym i niezgrabnym jak na pół zagłodzony koń ze swymi grubymi kośćmi sterczącymi w łokciach i przegubach. Gdy po raz pierwszy pojawił się tego wieczoru, ze spuszczoną głową powiedział, że ojciec pozwolił mu przychodzić, jeśli damy mu kolację i śniadanie, a kiedy usiadł do stołu, zobaczyłam, że Gorek niegłupio zrobił, stawiając te warunki: chłopak jadł jak wilk. Przy obecnych cenach żywności lepiej wyszlibyśmy, gdybyśmy podwoili mu stawkę. Nic jednak nie powiedziałam, nawet gdy moja matka dała mu kolejną kromkę chleba z masłem. Rodzice przenieśli moje łóżko do ich pokoju i dali Siergiejowi dwa koce, żeby spał tam, gdzie poprzednio stało.

Zbudziłam się nad ranem. Ojciec wchodził do dużego pokoju i drzwi zaskrzypiały, wpuszczając podmuch zimnego powietrza. Usłyszałam, jak Siergiej tupie, strząsając śnieg z butów, i mówi do niego:

– Wszędzie spokój.

– Śpij dalej, Mirjem – łagodnie powiedziała matka. – Siergiej rozglądał się tylko wokół domu.

Tej nocy jeszcze dwukrotnie otwierałam oczy, słysząc, jak wychodzi, i czując nagły powiew zimnego powietrza, ale zaraz potem je zamykałam. Nic się nie stało. Wstaliśmy rano i zaczęliśmy gotować kaszę na śniadanie. Siergiej był na dworze i wbijał w ziemię paliki, robiąc zagrodę dla kóz. Starzykowa droga wciąż biegła między drzewami, ale gdy spojrzałam na nią przez okno, wydało mi się, że chyba trochę dalej. Był zimny szary dzień i słońce nie wyszło, lecz ta droga i tak lśniła. Kilku chłopców przeszło obok naszego domu, zachęcając jeden drugiego, żeby spróbował rzucić kamień na Starzykową drogę albo jej dotknąć; słyszałam ich wesołe wysokie głosy.

Wanda przysłała, gdy jej brat jeszcze siedział przy stole i jadł, po czym wyszła z koszykiem karmy dla kur. Wróciła z niemal pustym, przynosząc zaledwie dwa jajka, chociaż mieliśmy teraz dziewięć niosek. Położyła je na stole i wszyscy na nie

spojrzeliśmy. Były małe, o bardzo białych skorupkach.

– Znów są ślady za domem – powiedziała nagle.

Poszliśmy je obejrzeć. Od razu je poznałam, chociaż wcześniej nie pamiętałam, jak wyglądają; dopóki Wanda nie powiedziała o nich, niemal zupełnie zapomniałam, że były. Te buty z długimi noskami przeszły wzdłuż tylnej ściany sypialni, trzy razy tam i z powrotem, a to parzystokopytne zwierzę było przy kurniku i pozostawiło wokół niego wiele śladów, jak lis, który usiłuje znaleźć jakąś dziurę, żeby dostać się do środka. Wszystkie kury zbiły się w jeden pierzasty kłęb.

– Pilnowałem, przysięgam! – powiedział Siergiej, ale ojciec rzekł:

– Nieważne, Siergiej.

Wanda zamiotła podwórze, a te dwa jajka rzuciliśmy mrówkom. Gdy wracałyśmy do domu, matka mocno mnie objęła.

Siergiej wrócił do domu ojca, a Wanda posprzątała i poszła po wodę. Już nie zapominałam o tych śladach nóg, chociaż bardzo chciałam, lecz gdy wróciła, wstałam i powiedziałam:

– Chodź, pójdziemy na targ – i poszłam po mój szal, jakby w tym dniu nie wydarzyło się nic dziwnego czy niezwykłego.

Kiedy szłyśmy, byłam odwrócona plecami do lasu. Podążający za nami wiatr pożądliwie wpychał zimne palce pod skraj mojej długiej sukni. Nie odwróciłam się, by popatrzeć, czy srebrzysta Starzykowa droga nadal tam jest.

Wanda niosła koszyk z ozdóbkami kupionymi w Wyżni na sprzedaż oraz dwiema sukniami, które nabyłam w przypływie buntu, kiedy matka nie pozwoliła mi kupić żadnej dla niej. Były ciepłe i piękne, wełniane z dużymi kwiatami na dole, ciemnozielonymi i błękitnymi na czerwonym tle. Poszłam prosto do straganu krawcowej Marii i pokazałam jej suknie.

– Spójrz, jaki nowy wzór mają w tym roku w Wyżni – powiedziałam.

Natychmiast zebrała się wokół nas grupka zaciekawionych kobiet, bezpiecznym murem odgradzająca nas od wszystkich innych plotek, które mogły krążyć. Nowy wzór był dla nich ważniejszy od Starzykowej drogi, o której i tak nikt nie chciał zbyt długo myśleć. Z rynku nie było jej widać. Oczywiście Maria spytała mnie, ile chcę za te suknie. Nie odpowiedziałam od razu. Wokół mnie stało sześć kobiet, które nie odrywały oczu od mojej twarzy, niczym wrony gotowe dziobać. Przez jedną krótką chwilę miałam ochotę sprzedać suknie tanio, żeby zaskarbić sobie przychylność, która stanie w mojej obronie, gdyby ktoś zaczął mówić o Starzykowej drodze i o tym, jak blisko biegnie naszego domu. Nagle zaczęłam lepiej rozumieć ojca.

Nabrałam tchu i powiedziałam:

– Nie wiem, czy tak od razu mogę je sprzedać. Widzicie, ile włożono w nie

pracy w najlepszym zakładzie w Wyżni. To ślubne suknie i sporo zapłaciłam, żeby je dostać i przywieźć. Nie mogę ich sprzedać za mniej niż jeden złoty za każdą.

Przez cały dzień na targu stałam w jednym miejscu, a kobiety przychodziły i oglądały suknie warte tyle pieniędzy, szeptem wymieniając uwagi o haftach, kroju i żywych kolorach. Oglądały szwy i kiwały głowami, gdy z powagą pokazywałam, jak starannie i idealnie uszyto te suknie, używając do tego najcieńszych nici. Tymczasem sprzedawałam im wszystkie pozostałe rzeczy, które przywiozłam z Wyżni. Wszystkie osiągnęły wyższe ceny, niż zakładałam, jakby spłynęła na nie część blasku sukni. Pod koniec dnia przyszedł poborca, który od czasu do czasu lubił zachodzić na targ, chociaż miał sługę, który robił mu zakupy. Zapłacił mi dwa złote i wziął obie suknie jako ślubną wyprawę dla swojej córki.

Wróciłam do domu z mocno bijącym sercem, rozpierającym mnie jakby gniewnym triumfem i lekką obawą: nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Za każdą z tych sukni dałam tylko kopiejkę. Matka i ojciec nic nie powiedzieli, gdy położyłam na stole dwa złote wraz ze wszystkimi groszami i trzema kopiejkami, które zarobiłam na sprzedaży innych rzeczy. Ojciec cicho westchnął, prawie bezgłośnie.

– Cóż, moja córka naprawdę potrafi zamieniać srebro w złoto – rzekł niemal bezradnie, po czym położył dłoń na mojej głowie i pogładził ją, jakby był zasmucony, a nie dumny.

Pałace łzy gniewu stanęły mi w oczach, ale zacisnęłam zęby i schowałam złoto do sakiewki, a potem dałam matce słoik z wiśniami w syropie, które kupiłam jej w prezencie. Po obiedzie zaparzyła mocną herbatę i podała wiśnie w szklanej miseczce ze srebrną łyżeczką – ostatnią częścią serwisu do herbaty, który wniosła w posagu. Pozostałe z biegiem lat zostały sprzedane na targu, kiedy głodowaliśmy. Osłodziliśmy herbatę wiśniami, piliśmy ją gorącą i słodką, a potem zjedliśmy miękkie ciepłe owoce, bardzo delikatnie wypluwając pestki na łyżeczki.

Wanda sprzątnęła ze stołu i zarzuciła chustę na głowę, szykując się do wyjścia, gdy nagle znieruchomiała i spojrzała na nas, bo w pokoju zrobiło się ciemno. Za oknami nagle zaczął padać śnieg, a sypał tak gęsto, że gdy otworzyliśmy drzwi, nie widzieliśmy sąsiedniego domu. Po drugiej stronie Starzykowa droga nadal była widoczna, bielejąc przedziwnie, jaśniej od śniegu, i przez moment wydawało mi się, że widzę, jak coś porusza się tam między drzewami.

– Nie możesz iść w taką pogodę – powiedziała matka. – Zostaniesz, dopóki śnieg nie przestanie padać.

Wanda cofnęła się od drzwi i zamknęła je, walcząc z napierającym wiatrem.

Jednak śnieg nie przestał padać do wieczora. Sypał równo, cały czas. Z nadejściem nocy Wanda i ojciec wyszli zrzucić śnieg z dachu kurnika i odgarnąć

go od jego ścian, żeby kury się nie podusiły. My kuliliśmy się w domu jak one na grzędzie. Zapach polewki się ulotnił, choć jej resztki jeszcze grzała się na piecu, a matka włożyła ziemniaki do popiołu, żeby upiekły się na kolację. W powietrzu unosił się ziąb, który czułam w nosie, bez odrobiny ciepła czy życia, nawet bez zapachu ziemi czy butwiejących liści. Próbowałam przeglądać księgi, a potem szyć, ale musiałam przestać. Było zbyt ciemno, a światło świecy najwyraźniej nie mogło sięgnąć poza blat stołu.

– Słuchajcie, nie będziemy siedzieć tak beczynnie – rzekł w końcu ojciec, gdy wszyscy w milczeniu kuliliśmy się w futrach, szalach i kocach. – Zaśpiewajmy razem.

Wanda słuchała, jak śpiewamy, a kiedy przerwaliśmy na moment, żeby złapać oddech, zapytała:

– Czy to czary?

Ojciec przestał śpiewać, a matka stanowczo powiedziała:

– Nie, Wando, oczywiście, że nie. To psalm do Boga.

– Och – powiedziała i nie dodała nic więcej. Przez chwilę nikt z nas już nie śpiewał, a wtedy spytała: – Dzięki temu będą trzymać się z daleka, tak?

– Nie wiem, Wando – cicho odrzekł po chwili ojciec. – Bóg nie chroni nas przed cierpieniami na tej ziemi. Starzykowie dręczą zarówno prawych, jak grzesznych, tak samo jak choroba i smutek.

A potem z pamięci przytoczył nam biblijną przypowieść o Hiobie. Oczywiście nie była krzepiąca, chyba że komuś podoba się jej zakończenie; mnie nie, ale tego dnia ojciec nawet do niego nie doszedł; właśnie był przy tym, jak Hiob skarżył się na boską niesprawiedliwość, straciwszy całą rodzinę, gdy rozległo się głośne stukanie do drzwi, jakby ktoś załomotał w nie pałką. Wszyscy podskoczyliśmy, a ojciec zamilkł. W milczeniu popatrzyliśmy na drzwi.

– Cóż, Siergiej nie powinien był przychodzić w taką pogodę – w końcu powiedział ojciec.

Wstał i podszedł do drzwi. Chciałam krzyknąć, zaprotestować, powiedzieć mu, żeby się cofnął; widziałam, jak Wanda z przestraszoną miną kuli się pod kocami. Ona też nie sądziła, że to jej brat. Nawet ojciec tak nie myślał; idąc do drzwi, wziął pogrzebacz i nagłym szarpnięciem otworzył je lewą ręką, trzymając go w uniesionej prawej.

Jednak przed drzwiami nikogo nie było. Nawet wiatr nie wpadł do środka. Śnieg przestał sypać równie nagle, jak zaczął, i na zewnątrz była tylko zwykła ciemność nocy, w której ostatnie nieliczne śnieżynki migotały w blasku ognia, spadając za otwartymi drzwiami. Spojrzałam na to i odwróciłam się, by popatrzeć przez zakratowane okno na las; Starzykowa droga znikła.

– Co jest, Josef? – zapytała matka.

Ojciec wciąż stał w progu i patrzył. Odrzuciłam koce, wstałam i podeszłam do niego. Już nawet nie było zimno; szal mi wystarczał. Jednak dróżka przed naszym domem była znów po kolana zasypana śniegiem, który nawet pod okapem na kamieniach zalegał grubą warstwą. Rząd śladów kopyt wychodził z podwórza na tyłach i okrążał nasz dom, a w świeżym śniegu przed nim widniały wgłębienia od butów z wąskimi noskami. Na samym środku ośnieżonego ganku leżała ściągnięta sznurkiem sakiewka z białej skóry.

Ojciec rozejrzał się. Teraz widzieliśmy już domy sąsiadów; wszystkie zmieniły się w niskie białe grzyby, żółtymi światłami okien spoglądające na śnieg pokrywający ich parapety. Na drodze nie było żywej duszy, ale dostrzegłam w jednym z okien jakiś ruch; dziecięcą dłoń przecierającą oszronioną szybę. Ojciec pospiesznie schylił się i wziął skózaną sakiewkę. Wniósł ją do środka, a ja zamknęłam za nim drzwi.

Położył mieszek na stole. Wszyscy zebraliśmy się wokół i patrzyliśmy nań, jakby był rozżarzoną węglą, który w każdej chwili może podpalić dom. Był ze skóry, z białej skóry, ale nie farbowanej w żaden znany mi sposób: wyglądał tak, jakby zawsze był cały biały. Nie dostrzegłam żadnego łączenia ani szwu. W końcu, gdy nikt nie spróbował go dotknąć, rozwiązałam biały jedwabny sznurek, otworzyłam sakiewkę i wysypałam z niej monety. Sześć małych srebrnych monet, cienkich, płaskich i idealnie okrągłych, upadło na stół, brzęcząc jak dzwoneczki. Nasz dom był pełen ciepłego blasku kominka, lecz one lśniły zimno jakby odbitym światłem księżyca.

– To bardzo miło z ich strony, że robią nam taki prezent – sucho powiedział ojciec.

Oczywiście Starzyk nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Czasem słyszy się opowieści o wrózkach przynoszących dary. Nawet moja babcia czasem powtarzała opowieść zasłyszaną od swojej babki, że z kolei jej babka jako mała dziewczynka, mieszkająca w Elkurcie na zachodzie, pewnego dnia na parapecie swojego pokoju na poddaszu znalazła krwawiącego lisa, jakby poszarpanego przez psa. Wpuściła go do środka, opatrzyła mu ranę i dała mu pić. Wychłęptał wodę, powiedział ludzkim głosem: „Uratowałam mnie i pewnego dnia ci się odwzajemnię”, a potem wyskoczył przez okno. Kiedy była dorosłą kobietą i miała już dzieci, pewnego dnia otworzyła drzwi, usłyszawszy skrobanie, a na progu był lis, który powiedział jej: „Weź całą swoją rodzinę oraz wszystkie pieniądze, które są w domu, i ukryjcie się w piwnicy”.

Zrobiła, co lis kazał, i zaledwie się ukryli, usłyszeli gniewne głosy na zewnątrz. Jacyś ludzie wpadli do domu, przewracając meble i rozbijając wszystko nad ich

głowami, a potem w powietrzu rozszedł się silny zapach dymu. Jednak jakimś cudem rabusie nie znaleźli drzwi do piwnicy i nie sięgnął jej dym ani ogień.

W końcu wyszli z niej w nocy i zobaczyli, że ich dom, synagoga i wszystkie domy sąsiadów po obu stronach drogi zostały spalone. Wzięli resztę dobytku i uciekli z tej dzielnicy, po czym wynajęli woźnicę, który zawiózł ich na wschód, i w ten sposób przybyli do Wyżni, której brama była otwarta dla Żydów, jeśli mieli pieniądze.

To jednak była opowieść z innej krainy. Nie słyszeliście takich opowieści o Starzykach. Tutaj mówiono, że raz dziwne białe zwierzę przyszło do stajni wieśniaka z rannym rycerzem Starzykiem bezwładnie leżącym na grzbiecie, a przestraszony wieśniak zaniósł go do domu i opatrzył mu rany. Gdy rycerz się ocknął, wziął miecz i pozabijał wszystkich, a potem wgramolił się na swego rumaka i odjechał z powrotem do lasu, nadal brocząc krwią, a dowiedziano się o tym tylko dlatego, że matka kazała dwojgu najmłodszych dzieci schować się na stryszku stajni i nie wychodzić, dopóki Starzyk nie odjedzie.

Tak więc wiedzieliśmy, że Starzyk nie dał nam tej sakiewki srebra w prezencie. Nie miałam pojęcia, po co je zostawił, ale leżało na naszym stole, świecąc jak jakiś znak, którego nie mogliśmy zrozumieć. A potem matka głośno wciągnęła powietrze, spojrzała na mnie i cicho powiedziała:

– Chcą, żebyś zamieniła je w złoto.

Ojciec usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach, ale ja wiedziałam, że to moja wina, bo w środku lasu, na saniach jadących przez śniegi, mówiłam o zamianie srebra w złoto. Starzyk zawsze pożądał złota.

– Weźmiemy złoto z sejfu – rzekła matka. – Przynajmniej je mamy.

– Jutro wrócę do miasta – powiedziałam, ale wyszłam na dwór i zaciskając pięści, stałam na podwórzu naszego domu w świeżo spadłym śniegu. Już zamarznął na twardą i litą skorupę: będzie dobry do podróży, szybkiej jazdy. W sakiewce było sześć srebrnych monet, a ja odłożyłam czternaście złotych monet tylko po tej ostatniej wizycie. Mogłabym wynająć Olega z saniami, pojechać z powrotem do Wyżni, wyjąć sześć złotych monet z sejfu bankowego dziadka i dać je Starzykowi; sześcioma złotymi monetami, na które zapracowałam, kupić sobie bezpieczeństwo.

Wanda wyszła opatulona szalem, żeby nakarmić nową kozę, którą przyprowadziliśmy z targu. Oczywiście Siergiej nie przyszedł w tej śnieżycy, a teraz było już za późno, żeby szła do domu. Spojrzała na mnie i bez słowa poszła do obory, a kiedy wróciła, nagle mnie zapytała:

– Oddasz im twoje złoto?

– Nie – odparłam, mówiąc zarówno do niej, jak do Starzyka w lesie. – Nie, nic im nie dam. Chcą, żebym zamieniła srebro w złoto, a więc to zrobię.

Rozdział 6

Nazajutrz rano Mirjem wzięła Starzykową sakiewkę, poszła do domu Olega i poprosiła go, o to żeby zawiózł ją do Wyżni. Nie poprosiła mnie, żebym prowadziła księgi. Nawet nie przypomniała mi, żebym poszła odebrać należności. Matka odprowadziła ją do bramy i stała tam długo, przytrzymując szal na ramionach, nawet gdy sanie już odjechały.

Jednak niczego nie trzeba mi było przypominać. Wzięłam kosz i poszłam na obchód. Był szósty dzień miesiąca, więc dziś zbierałam w mieście. Nikt nie lubił, gdy przychodziłam, ale Kajus i tak zawsze się do mnie uśmiechał, jakbyśmy byli przyjaciółmi, chociaż nie byliśmy. Kiedy zaczęłam pracować u Mirjem, z początku zawsze płacił jej dzbanami z krupnikiem. Mirjem się to nie podobało, gdyż sprzedawał ten krupnik na targu codziennie, w zimie gorący z czajnika, i wszyscy kupowali go od niego, a nie od niej. Znalazła gościniec przy drodze, który go od niej kupował, kiedy miała dziesięć dzbanów napitku, ale było z tym sporo kłopotu i musiała płacić za transport.

Potem jednak dał mi butelkę zepsutego trunku, który pozornie wyglądał na dobry, ale Mirjem obwąchała zalakowaną szyjkę, a potem otworzyła ją i wokół rozszedł się odór przypominający woń zbutwiałych liści. Spojrzała na nią z gniewną miną, ale potem kazała mi postawić tę butelkę oddzielnie, w kącie domu, i nic mu nie mówić. W ciągu dwóch następnych miesięcy dał mi jeszcze dwie takie. Za trzecim razem Mirjem dała mi wszystkie trzy i posłała mnie z nimi do niego, żebym mu powiedziała, że trzy zepsute butelki to za wiele i więcej nie będzie od niego brała zapłaty w towarze. Dlatego teraz musiał płacić pieniędzmi. Tamtym razem nie uśmiechał się do mnie.

Dziś jednak się uśmiechnął.

– Wejdz i ogrzej się! – powiedział, chociaż na dworze nie było już tak bardzo zimno. – Będiesz musiała chwilę poczekać. Mój najstarszy poszedł zanieść pani Ludmile świeży produkt. Wróci z pieniędzmi.

Dał mi nawet kieliszek krupniku do wypicia. Zazwyczaj miał przygotowane

pieniądze, więc wcale nie musiał mnie zapraszać do środka.

– A więc Mirjem wraca do Wyżni po nowe suknie? Robi dobre interesy! I ma szczęście, że to ty ich pilnujesz.

– Dziękuję – odparłam uprzejmie, odstawiając kieliszek. – To dobry krupnik.

Zastanawiałam się, czy zamierza mnie przekupić, żeby wzięła od niego mniej pieniędzy. Niektórzy próbowali. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego myśleli, że to zrobię. Gdybym przyniosła Mirjem mniej i okłamała ją, że więcej nie mieli, zapisałaby w swojej księdze mniejszą kwotę, a oni nadal byłiby jej winni to, czego nie zapłacili. Zaoszczędziliby pieniądze tylko wtedy, gdyby zamierzali później powiedzieć, że spłacili już dług, a ja ukradłam te pieniądze; a dlaczego nie mieliby mnie oszukać, gdybym ja pomogła im w oszustwie.

– Tak, ona zna się na rzeczy – ciągnął Kajus. – Potrafi znaleźć pracowitą dziewczynę do pomocy. Masz głowę, a nie tylko ładną buzię. Ach, jest Lukas.

Jego syn wrócił do domu ze skrzynką pustych butelek. Był trochę starszy od Siergieja, nie tak wysoki jak on czy ja, ale miał okrągłą twarz i sporo ciała. Nie chodził głodny. Zmierzył mnie wzrokiem.

– Lukas – powiedział mu ojciec – daj jej siedem groszy dla lichwiarki.

Lukas odliczył mi do ręki siedem groszy, czyli więcej, niż powinni zapłacić.

– Ja też robiłem dobre interesy – powiedział Kajus, przyjacielsko do mnie mrugnawszy. – Ten ziąb! Człowiek potrzebuje czegoś na rozgrzewkę. W waszym gospodarstwie musi być szczególnie kiepsko – dodał. – Już dawno nie widziałem w miasteczku twojego ojca.

– Tak – odparłam czujnie. Ojciec nie przychodził, ponieważ nie mieliśmy niczego, co mógłby wymienić na napitki.

– Masz – rzekł Kajus, wręczając mi zalakowany dzban, mały, jeden z tych, które sprzedawał bardzo tanio, jeśli oddawało mu się dzbanek. Spojrzałam na niego ze zdziwieniem, nie biorąc. Nie wiedziałam, za co to; już mi zapłacił. Kajus jednak wcisnął mi dzbanek w rękę. – Prezent dla twojego ojca – powiedział. – Oddasz mi dzbanek, kiedy będziesz mogła.

– Dziękuję, panie Simonis – powiedziałam, ponieważ tak wypadało. Nie chciałam zanosić ojcu dzbanka z krupnikiem, żeby upił się w domu i nas bił, ale nie wiedziałam, jak odmówić. Kiedy następnym razem tato przyjdzie do miasta, Kajus będzie oczekiwał od niego podziękowań i jeśli się wyda, że nie dałam mu dzbanka, naprawdę mi się oberwie. Tak więc włożyłam dzbanek do koszyka.

W innych domach nikt nie zapraszał mnie na krupnik. Krawcowa Maria jako jedyna coś do mnie powiedziała, a nie tylko dała mi pieniądze.

– A więc Mirjem zamierza sprowadzić więcej sukien z Wyżni, tak? – rzekła niespodziewanie. Dała mi tylko jeden grosz. – To chyba kawał drogi i bardzo drogi

towar. Kto wie, czy jeszcze zdoła jakąś sprzedać.

– Nie wiem, czy przywiezie więcej sukien, proszę pani – powiedziałam.

– Cóż, robi, jak jej wygodnie, i nie zważa na nikogo, to pewne – powiedziała Maria i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Wróciłam do domu i wypakowałam to, co zebrałam. Jeden z dłużników dał mi starą kurę, która przestała znosić jajka i nadawała się do garnka.

– Chcecie zjeść ją dzisiaj, pani Mandelsztam? – spytałam matkę Mirjem. – Mogę ukręcić jej łeb i oskubać.

Szyła i kiedy spytałam ją o kurę, podniosła głowę i rozejrzała się, jakby szukając czegoś, co zgubiła.

– Gdzie jest Mirjem? – zapytała mnie, jakby zapomniała, a potem potrząsnęła głową i rzekła: – Och, jestem głupia. Wróciła do Wyżni po więcej sukien.

– Tak, pojechała do Wyżni po suknie – powoli powtórzyłam. Coś mi nie pasowało. Jednak oczywiście właśnie po to tam pojechała. Wszyscy tak myśleli.

– Cóż, w domu jest co jeść. Oszczędzimy tę kurę – powiedziała pani Mandelsztam. – Na razie daj ją do pozostałych, a potem wróc tu. Czas na obiad.

Zaniosłam starą kurę do kurnika i umieściłam w środku. Potem stałam, patrząc na śnieg za domem, teraz głęboki i gładki, z zasypaną do połowy miotłą opartą o ścianę; tą miotłą zacierałam ślady Starzyka, który zeszłej nocy przyszedł pod dom i zostawił Mirjem sakiewkę srebra, żeby zamieniła je w złoto. Zadrżałam i wróciłam do izby, żeby znów o tym zapomnieć.

Po obiedzie powinnam iść. Ojciec już będzie zły, że wczoraj nie byłam w domu i nie podałam mu obiadu z powodu śnieżycy. Pomimo to zamiotłam podłogę, poszłam zajrzeć do kur i zapisałam wszystko w księdze, zanim wyszłam. Tę noc przespałam na pryczy, którą zrobili dla Siergieja, ciepło i wygodnie w tym dużym pokoju z piecem, pachnącym zaczynem, polewką, miodem i kaszą. Mój dom tak nie pachniał. Matka Mirjem dała mi do obiadu kubek świeżego krowiego mleka, z dużego skopka, którym zapłaciła pani Gizis, oraz dwa grosze za dwa dni, chociaż Siergiej nie przyszedł zeszłego wieczoru z powodu śnieżycy, a także włożyła do koszyka zawiniątko z chlebem, masłem i jajkami.

– Siergiej nie dostał kolacji ani śniadania – powiedziała.

Narzuciłam szal i wyszłam, dźwigając ciężar jej uprzejmości.

Poszłam okrężną drogą przez las, ukryłam zawiniątko w korzeniach białego drzewa i znów zakopałam srebrne gorsze. Po jednym na stosiki mój i Siergieja. Potem weszłam do domu. Stepon właśnie próbował rozmieszać stwardniałą owsiankę. Miał czerwony ślad na twarzy i krzywił się, kiedy chodził. Spojrzał na mnie ponuro. Pewnie ojciec kazał mu wczoraj ugotować obiad i zbił go za to, że nie wiedział, jak go zrobić.

– Usiądź i odpocznij – powiedziałam mu. – Później coś ci dam.

Rozcieńczyłam owsiankę wodą i ugotowałam trochę kapusty. Ojciec przyszedł rozniewany i już ściągając buty, krzyczał, że nie powinnam zostawać w mieście z powodu odrobiny śniegu, który zaraz przestał padać, i że lichwiarka ma odjąć od długu jeden dzień za to, że mnie zatrzymała.

– Powiem im to – rzekłam, pospiesznie stawiając na stole kapustę, zanim jeszcze na dobre wszedł do środka. – Pan Simonis dał mi prezent dla ciebie, tato.

Postawiłam na stole butelkę z krupnikiem. Pomyślałam, że mogę równie dobrze wykorzystać ją, żeby teraz uniknąć bicia, bo potem i tak się upije.

– Za co Kajus daje mi prezenty? – mruknął tato i podejrzliwie obwąchał dzbanek, zanim go otworzył. Wkrótce jednak zaczął pić tęgimi łykami i wypił wszystko, zjadłszy tylko połowę kapusty i owsianki. My szybko zjedliśmy nasze porcje, nie podnosząc oczu.

– Ponieważ nie było mnie w domu, pójdę teraz po drewno – powiedziałam.

Tato mi nie zabronił. Siergiej i Stepon wymknęli się ze mną, a ja zaprowadziłam ich do białego drzewa. Zawiniątko było tam, gdzie je zostawiłam, i jeszcze nie zamrzło. Podzieliliśmy się jedzeniem, a potem pomogli mi nazbierać drewna. Potem Siergiej pomaszerował drogą do miasta. Stepon skulił się ze mną na dworze pod stertą drewna, grzejąc mnie własnym ciałem, gdy słuchaliśmy dolatującego przez szpary w ścianie głośnego śpiewu ojca.

W pewnej chwili przestał śpiewać i zawołał mnie.

– Głupia dziewczucha, poszła za daleko – mruknął, gdy nie odpowiedziałam. – Teraz ogień przygasa.

Minęło sporo czasu, zanim położył się na łóżku i zaczął chrapać. Do tej pory bardzo zmarzliśmy. Jak najciszej wśliznęliśmy się do domu i podłożyliśmy do ognia, żeby nie zgasł do rana, a ja nastawiłam kaszę na śniadanie. Pokazałam Steponowi, jak się to robi, żeby następnym razem wiedział. Potem wśliznęliśmy się do łóżka i zasnęliśmy. Rano ojciec sześć razy mocno zdzielił mnie pasem za to, że poszłam za daleko, chociaż ogień się palił i śniadanie było gotowe. Myślę, że bił mnie głównie dlatego, że nie mógł mnie zbić wieczorem. Jednak paskudnie bolała go głowa i był głodny, więc gdy Stepon postawił na stole wielką michę z parującą kaszą, przestał mnie bić i usiadł, żeby zjeść. Otarłam twarz, przełknęłam ślinę i usiadłam naprzeciw niego.

Było już późno, gdy dotarłam do Wyżni na saniach Olega. Noc przespałam w domu dziadka i następnego dnia wczesnym rankiem poszłam na targ w naszej dzielnicy i pytałam, aż znalazłam stragan jubilera Izaaka, za którego miała wyjść moja kuzynka Basia. Był przystojnym młodzieńcem w okularach i miał pulchne,

ale zręczne palce, ładne zęby, miłe piwne oczy oraz krótko przyciętą brodę, żeby nie przeszkadzała mu w pracy. Pochylał się nad miniaturowym kowadłem, wykuwając srebrny krążek swoimi maleńkimi narzędziami, niewiarygodnie precyzyjnymi. Chyba z dziesięć minut stałam i obserwowałam, jak pracuje, zanim westchnął i powiedział: „Tak?” z lekko zrezygnowaną miną, jakby miał nadzieję, że sobie pójdę, zamiast fatygować go jakimiś interesami. Wyjęłam sakiewkę i wysypałam sześć srebrnych monet na czarne sukno, na którym pracował.

– To nie wystarczy, żeby coś tu kupić – stwierdził z roztargnieniem, ledwie spojrzawszy; już miał znów zająć się swoją pracą, ale nagle lekko zmarszczył brwi i odwrócił się z powrotem. Podniósł jedną monetę i uważnie się jej przyjrzał, obrócił ją w palcach, potarł, a potem odłożył i popatrzył na mnie. – Skąd je masz?

– Od Starzyka, jeśli możesz w to uwierzyć – powiedziałam. – Możesz coś z nich zrobić? Bransoletkę lub pierścionek?

– Kupię je od ciebie – zaproponował.

– Nie, dziękuję – powiedziałam.

– Zrobienie z nich pierścionka kosztowałoby cię dwa złote – rzekł. – Albo kupię je od ciebie za pięć.

Ucieszyłam się; skoro kupiłby je ode mnie za pięć, to oznaczało, że za zrobioną z nich biżuterię dostałby więcej. Nie próbowałam się jednak targować.

– Muszę oddać za nie Starzykowi sześć złotych monet – wyjaśniłam. – Tak więc mogę ci zapłacić jeden złoty za zrobienie dla mnie pierścionka albo, jeśli wolisz, możesz sprzedać to, co z nich zrobisz, i podzielić się ze mną zyskiem, który zostanie po spłaceniu Starzyka. – Tego właśnie chciałam; byłam pewna, że Izaak może otrzymać za biżuterię lepszą cenę niż ja. – Jestem Mirjem, kuzynka Basi – dodałam, zostawiwszy ten argument na sam koniec.

– Och – powiedział, znów spojrzął na monety i dotknął ich palcami, a potem wreszcie się zgodził.

Usiadłam na stołku za jego kontuarem, a on zabrał się do pracy. Stopił monety we wspólnym tyglu jubilerów, który stał między ich straganami, a potem wlał płynne srebro do grubej formy zrobionej z żelaza. Kiedy prawie ostygło, wyjął je palcami w grubych skórzanych osłonkach i wygrawerował na nim kunsztowny wzór z liści i gałązek.

Nie zajęło mu to dużo czasu; srebro łatwo się topiło, stygło i dawało rzeźbić końcem rylca. Kiedy skończył, położył pierścień na czarnym aksamicie i przez chwilę oboje spoglądaliśmy nań w milczeniu. Wzór zdawał się przedziwnie poruszać i zmieniać; przyciągał i przykuwał wzrok, i lśnił zimnym blaskiem nawet w południowym słońcu.

– Książę go kupi – nagle powiedział Izaak i posłał terminatora do miasta.

Chłopak wrócił z wysokim, władczym sługą w aksamitnych szatach szamerowanych złotem, który wyraźnie okazywał każdym rysem swojej twarzy, jaki jest zirytowany tym, że odrywa się go od jego ważnych zajęć, jakiegokolwiek by one były, ale natychmiast przestał się złościć, gdy zobaczył pierścień i zważył go na dłoni.

Od razu kupił pierścień za dziesięć złotych i zabrał go w zamkniętej szkatułce, którą ostrożnie niósł w obu rękach. Izaak trzymał w dłoni dziesięć złotych monet, a mimo to oboje tylko siedzieliśmy i obserwowaliśmy odchodzącego sługę księcia, jakby ten pierścień nawet zamknięty w szkatułce przyciągał nasz wzrok. Mężczyzna coraz bardziej się oddalał, idąc ruchliwą targową ulicą, a jednak bez trudu odnajdywałam go w tłumie. W końcu przeszedł przez bramę i znikł, a my mogliśmy spojrzeć na naszą nagrodę, dziesięć złotych monet, które zrobiliśmy ze Starzykowego srebra.

Sześć z nich włożyłam do białej sakiewki. Izaak zatrzymał dwie – pójdą na zapłatę za dobrą oblubienicę – a dwie pozostałe zaniósłam do domu dziadka i z dumą dałam mu do złożenia w sejfie z resztą mojego złota. Nagrodził mnie skąpym, lecz pełnym satysfakcji uśmiechem i postukał palcem wskazującym w moje czoło.

– Moja spryciara – powiedział, a ja odpowiedziałam uśmiechem równie skąpym i pełnym satysfakcji.

– Chyba nie zamierzasz jechać tak późno! – z lekką przyganą powiedziała babka, gdy zamierzałam zebrać się po obiedzie: był piątek.

– Dotrę przed zachodem słońca, jeśli pojedziemy szybko – odparłam. – A to Oleg będzie powoził, nie ja.

Kazałam mu przenocować i poczekać na mnie w zamian za umorzenie kolejnej spłaty; tak było taniej, niż płacić woźnicy z Wyżni za odwiezienie mnie do domu. Spał ze swoim koniem w stajni mojego dziadka, ale nie chciałby zostać dłużej, nie bez kolejnej zapłaty, i inaczej nie moglibyśmy wyjechać wcześniej jak jutro po zachodzie słońca. Tak czy inaczej, Starzykowie nie przestrzegali szabasu, a ja nie wiedziałam, jak mam im oddać pieniądze. Pomyślałam, że może powinnam zostawić je na progu mojego domu, żeby przyszli i je sobie wzięli.

– Będzie w domu na czas – orzekł dziadek, zgadzając się, więc wspięłam się na sanie Olega.

Jechaliśmy szybko po twardym zmrożonym śniegu, a koń rażno kłusował, bo tylko ja obciążałam sanie. Pod drzewami robiło się ciemno, ale słońce jeszcze całkiem nie zaszło i byliśmy już blisko domu. Miałam nadzieję, że dojedziemy za dnia, ale nagle koń zwolnił do stępa, a potem się zatrzymał. Stał nieruchomo, niespokojnie strzygąc uszami, i w zimnym powietrzu para buchała mu z nozdrzy.

Pomyślałam, że może musi odpocząć, ale Oleg ani go nie zatrzymał, ani nie kazał teraz ruszać.

– Dlaczego stoimy? – spytałam w końcu.

Oleg nie odpowiedział: kulił się na koźle, jakby spał. Zerwał się zimny wiatr, mrużąc za moimi plecami, wkradając się do sań i wdzierając pod okrycia, żeby dotknąć mojej skóry. Na śniegu wyciągnęły się długie niebieskie cienie, rzucone przez bladą poświatę gdzieś za mną, a gdy wokół mojej twarzy uniosły się kłęby pary mojego oddechu, śnieg zaskrzypiał pod jakimś ciężkim stworzeniem zmierzającym ku saniom. Przełknęłam ślinę, otuliłam się płaszczem, a potem przywołałam całą zimną jak lód odwagę, którą zdołałam w sobie znaleźć, i odwróciłam się.

W pierwszej chwili Starzyk nie wydawał się tak okropnie dziwny; właśnie z tego powodu był naprawdę straszny. Gdy jednak dłużej na niego patrzyłam, jego wyrzeźbione z lodu i szkła rysy straciły ludzki wygląd, a oczy zmieniły się w srebrne sztylety. Twarz miał gładką jak chłopiec, lecz była to twarz dorosłego mężczyzny, i był wysoki, zbyt wysoki, gdy podszedł bliżej i stał nade mną jak marmurowy posąg na placu w Wyżni, niezwykle duży. Białe włosy miał zaplecione w długie warkoczyki. Miał ubiór zrobiony z takiej samej nienaturalnie białej skóry jak sakiewka i siedział na jeleniu większym niż koń pociągowy, mającym rogi o dwunastu odgałęzieniach obwieszonych kryształowymi łezkami, a gdy ten rumak wysunął czerwony ozór, żeby się oblizać, zobaczyłam ostre jak u wilka kły.

Chciałam wrzasnąć i się skulić. Zamiast tego jedną ręką mocno ścisnęłam płaszcz pod szyją, broniąc się przed bijącym od Starzyka chłodem, a drugą podałam mu sakiewkę, kiedy zbliżył się do sań.

Zatrzymał się, mierząc mnie jednym srebrzystoniebieskim okiem, z głową obróconą bokiem, jak ptak. Wyciągnął urękawiczoną dłoń i wziął sakiewkę, otworzył ją i wysypał sobie na dłoń sześć złotych monet; ich cichy brzęk wydał się donośny w zalegającej wokół ciszy. W jego dłoni monety wyglądały jakoś inaczej, ciepłe i żółte jak słońce, błyszcząc nienaturalnie jasno na tle zimnej bieli jego rękawicy. Popatrzył na nie i wyglądał na zdziwionego, a także lekko rozczarowanego, jakby żałował, że zdołałam to zrobić. Wsypał je z powrotem do sakiewki i mocno ściągnął sznurek, gasząc złoty blask, jakby więził promień słońca, po czym mieszek znikł pod jego długim płaszczem.

Starzykowa droga ciągnęła się za nim szeroką i lśniącą wstęgą, tuż między drzewami. Bez słowa obrócił ku niej swojego rumaka, zabierając te sześć złotych monet, które zdobyłam w trudzie i strachu. Wezbrał we mnie gniew.

– Następnym razem będę potrzebowała więcej czasu, jeśli znów zechcesz, żebym je zmieniła! – zawołałam za nim, ciskając słowa w twardą lodowatą ciszę,

otaczającą nas jak skorupa.

Odwrocił głowę i spojrzał na mnie, jakby zaskoczony, że śmiałam coś do niego powiedzieć, a potem ostrorogi jeleni wszedł na tę drogę i już go nie było. Oleg otrząsnął się, cmoknął na konia i znów ruszyliśmy kłusem. Opadłam w koce, drżąc, jakby nagle zrobiło się o wiele zimniej; straciłam czucie w końcach palców, w których trzymałam sakiewkę. Ściągnęłam rękawiczkę i wetknęłam je pod pachę, żeby je ogrzać, krzywiąc się, gdy dotknęły skóry. Przez resztę drogi padały na nas lekkie jak piórka płatki śniegu.

Tego wieczoru zauważyłam na palcu mojego ojca srebrny pierścień, którym z irytacją postukiwał o puchar, miarowo pobrzękując. Kazał mi raz w tygodniu brać udział w uroczystej kolacji; żebym nabrała dobrych manier w zacnym towarzystwie, powiedział. Moje maniery nie wymagały poprawy – Magreta zadbała o to – lecz jakikolwiek był prawdziwy powód, ojciec na pewno nie robił tego dla własnej przyjemności. Za każdym razem gdy mnie widział, był niezadowolony, jakby miał nadzieję, że stanę się piękniejsza, mądrzejsza, bardziej czarująca. Niestety, nie. Jednak byłam jego jedynym dzieckiem na tyle dorosłym, żeby już się o nie martwić, gdyż moi przyrodni bracia byli jeszcze w powijakach, a ojciec nie lubił, żeby cokolwiek, co do niego należy, się marnowało.

Tak więc przychodziłam na kolację i zachowywałam się jak należy w towarzystwie, żeby Magreta nie została ukarana, a kiedy podejmował przy swoim stole jakiegoś rycerza, bojara, a czasem nawet przejezdnego barona, siedziałam ze skromnie spuszczonej oczami i słuchałam, jak rozmawiają o wojskach, podatkach, granicach i polityce – przebłyskach innego, szerokiego świata, tak odległego od moich ciasnych pokojów na górze jak raj. Chciałabym myśleć, że mam szansę pewnego dnia wejść w ten świat; moja macocha robiła to, uśmiechem i otwartymi ramionami witając naszych gości, pilnując, by jej stół i gościnność odpowiadały każdemu, jako piękna i wykwintna postać u boku mojego ojca, gdy sami wizytowaliśmy kogoś lub gościliśmy bardziej znamienitych szlachciców. Od żon, sióstr i córek wydobywała prawdę o stanie ich dóbr, a wieczorami mój ojciec słuchał jej rad i opinii; mąż ją cenił. Chciałabym mieć nadzieję, że mój też będzie cenił mnie.

Jednak irytacja ojca mówiła mi coś innego. Od początku go rozczarowywałam; matka potrzebowała zbyt wielu lat, żeby mnie urodzić, a wkrótce potem poroniła późno poczętego syna i umarła razem z nim. Trzeba było kilku lat, żeby znaleźć odpowiednią zastępczynię, i chociaż Galina robiła, co mogła, miał tylko mnie i dwóch małych chłopców, podczas gdy wszyscy mężczyźni z jego kręgu, którzy pomogli zasiać na tronie staremu carowi, mieli córki gotowe do zamążpójścia

i synów szukających żon o urodzie i gracji większej od tych, które mogłabym im zaoferować, a przynajmniej z większym posagiem, niż mógł zaoferować im mój ojciec jako rekompensatę za ich brak.

Kiedy byłam młodsza i jeszcze mógł mieć nadzieję, że okażę się naprawdę przydatna, gdy dorosnę, czasem zadawał mi wnikliwe pytania o książki, które czytałam, lub domagał się, żebym recytowała mu nazwiska wszystkich szlachciców w Litwasie, od cara po hrabiów, według ich znaczenia, ale ostatnio przestał się trudzić. Moja ostatnia guwernantka teraz zaczęła uczyć pisać mojego starszego brata, więc jeśli miałam jakąś książkę do czytania, to tylko dlatego, że czasem udawało mi się ukradkiem wziąć ją z regałów na dole. A gdy przy stole nie było nikogo, kto odwróciłby jego uwagę od mojego milczenia i bladej, pociągłej twarzy, ojciec patrzył na mnie, marszcząc brwi i stukając palcami w puchar.

Tego wieczoru przy stole nie siedział żaden gość. Niebawem miał nas odwiedzić car i od kilku miesięcy nikogo nie zapraszano, żeby zebrać pieniądze na nieuniknione wydatki. Ojciec zamierzał wydać jak najmniej, ale i tak z powodu tego marnotrawstwa był ze mnie bardziej niezadowolony niż zwykle. Może ta wizyta jeszcze dotkliwiej uzmysławiała mu, jak niewielkie będzie miał ze mnie korzyści, chociaż nawet gdybym była piękna, z pewnością nie byłby jednym z tych panów, którzy zadłużają się, żeby ugościć cara, podsuwając mu swoje córki jak przynętę i robiąc z siebie głupców.

Car nie zamierzał poślubić żadnej z nich, choćby nie wiedzieć jak pięknej; miał poślubić księżniczkę Wasylię. Była równie mało urodziwa jak ja, lecz jej ojcem był książę Ulryk, który władał trzema miastami, a nie jednym, miał dziesięć tysięcy żołnierzy i wielką kopalnię soli, tak więc nie musiała być piękna, żeby zostać carycą. Car już powinien się z nią ożenić, ale najwidoczniej wolał, by inni szlachcice jeszcze przez jakiś czas mieli nadzieję; niebezpieczna gra z dumą Ulryka, ale w ten sposób car mógł tak często podróżować i przerzucać na barki innych koszty utrzymywania licznego dworu, zamiast samemu podejmować gości.

A mój ojciec teoretycznie miał córkę na wydaniu, tak więc można się było do niego wprosić. Stałam się zatem zbyt dużym wydatkiem, szczególnie że ojciec najwyraźniej nawet nie liczył na jakieś uboczne korzyści – na przykład, że jakiś użyteczny członek carskiej świty uzna mnie za odpowiednią kandydatkę na żonę dla swojego syna lub jakiegoś kuzyna. Byłam rada, że nie zwróci na mnie uwagi car, który był młody, przystojny i okrutny, ale chciałabym być na tyle ładna lub czarująca, żeby ktoś zechciał mnie poślubić, zamiast traktować jedynie jako kodycył do jakiegoś skromnego posagu, który uda mu się wycisnąć z mojego ojca. Albo chociaż mieć pewność, że ktokolwiek zechce się ze mną ożenić: tylko tak mogłam uniknąć dożywocia za murami tych ciasnych komnat. Irytacja ojca

wyraźnie mówiła, jaki okropny czeka mnie los.

Gdy pierścień na jego palcu z cichym brzękiem postukiwał o puchar, obserwowałam, jak zimne srebro lśni w blasku świec, i zapomniałam, że robi to ze zniecierpliwienia. Myślałam tylko o płatkach śniegu sypiącego za oświetlonym oknem, o ciszy na początku zimy, staniu na zewnątrz w ogrodzie, gdy liście okrywa lśniący czysty lód. Nie pamiętałam nawet, że powinnam słuchać, co do mnie mówi, dopóki ostro nie spytał:

– Irino, słuchasz mnie?

Musiałam uczciwie przyznać, że nie.

– Wybacz mi, ojczy – powiedziałam. – Patrzyłam na twój pierścień. Jest magiczny?

Był to jeszcze jeden powód rozczarowania moją matką: magiczne zdolności, których nie miała. Jej prababka została zgwałcona przez Starzykowego rycerza pewnej nocy w trakcie zimowego napadu, w którym zabito jej męża, a chłopiec, którego po tym urodziła, miał srebrne włosy i oczy, mógł chodzić w śnieżycy i zamrażać przedmioty dotknięciem. Jego dzieci też miały srebrne włosy, ale niewiele jego mocy, a mój ojciec poślubił moją matkę, urzeczony legendą, jej jasnymi oczami i srebrnym puklem włosów nad jej czołem.

Tyle że całą jej magią była uroda, a ja nie miałam nawet tej, tylko zwyczajne kasztanowe włosy, piwne oczy ojca, i jak wszyscy trzęsłam się na mrozie. A jednak gdy patrzyłam na ten pierścień, widziałam padający śnieg. Ojciec zamilkł i spojrzał na pierścień na swoim palcu. Był na niego trochę za mały. Nosił go nad knykciem wskazującego palca prawej dłoni i potarł kciukiem. Robił to przez cały czas przy kolacji, bezwiednie. Po chwili rzekł: „Niezwykle kunsztowny, to wszystko” zdecydowanym tonem oznaczającym, że nie będziemy już o tym mówić. Tak więc nie wiedział, że to magiczny pierścień, nie znał jego mocy i nie obchodziło go, czy ktoś wie więcej od niego.

Nic nie powiedziałam, spuściłam oczy i do końca kolacji uważnie słuchałam, jak obojętnie mówił, czego ode mnie oczekuje podczas wizyty cara – czyli niczego. Nie zamierzał wykosztowywać się na nowe suknie dla mnie. Tak więc miałam być niedysponowana, zostać na górze i nie wchodzić nikomu w drogę, natomiast Galina dostanie trzy nowe suknie. Nic już nie mówił o pierścieniu i nie wspominał o moim wcześniejszym roztargnieniu.

Byłam zadowolona z tego, że mam trzymać się z daleka od cara, ale trzy nowe suknie bardziej przydałyby się mnie niż Galinie, jeśli ojciec zamierzał niebawem wydać mnie za męża. Tej nocy postawiłam świecę na parapecie i patrzyłam, jak płatki śniegu wirują w jej blasku, gdy Magreta szczotkowała moje włosy; ostrożnie rozczesywała kędziory od dołu do góry srebrnym grzebieniem i szczotką, które

zawsze miała w mieszkaniu przywiązany do pasa; potem jeszcze siedemnaście pociągnięć od góry do dołu, po jednym za każdy rok mojego życia. Pielęgnowała moje włosy jak ogród, a one wynagradzały jej zabiegi; były tak długie, że sięgały podłogi i gdy siedziałam przy oknie, ona szczotkowała ich końce na swoim fotelu przy kominku.

– Magra – zapytałam – czy mój ojciec kochał moją matkę?

Była tak zaskoczona, że przestała szczotkować. Wiedziałam, że służyła mojej matce, zanim przyszłam na świat, ale jeszcze nigdy ją o to nie pytałam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby spytać. Byłam taka mała, kiedy umarła, że myślałam o niej tylko jak o dawno nieżyjącym przodku. Ojciec opisał ją krótkimi i dobranymi słowami, tak że bym zrozumiała, że była marną kobietą. Nie chciał, że bym wiedziała więcej.

– Ależ tak, duszeńko, oczywiście – powiedziała Magreta, a chociaż powiedziała by tak nawet wtedy, gdyby nie było to prawdą, nie zawahała się, co oznaczało, że przynajmniej sama w to wierzyła. – Poślubił ją bez posagu, prawda? – dodała, a wtedy z kolei ja spojrzałam na nią ze zdziwieniem. O tym nigdy mi nie mówił. To było wprost niewyobrażalne.

– Nie mówi o niej tak, jakby ją kochał – zauważyłam, teraz też trochę nieostrożnie.

– Cóż, musi myśleć o twojej macosze – bez wahania odparła Magreta.

Nie chciałam, by Magreta mówiła mi, że miłość schwytała mojego ojca jak rybę na haczyk i zerwawszy się z niego, chętnie zapomniał, że dał się złapać. Niewątpliwie moja macocha wniosła spory posąg w złocie, ciężki kufer monet, większy ode mnie, który teraz stał w skarbcu w podziemiach. Ojciec drugi raz nie dał się złapać. I zapewne był jeszcze bardziej rozczarowany moją matką, jeśli miała dość magii, by go oczarować, ale nic więcej.

Tej nocy śniłam o pierścieniu, tyle że nosiła go kobieta ze srebrnym lokiem opadającym na czoło – srebrzystym jak pierścień na jej palcu. We śnie nie widziałam wyraźnie jej twarzy, ale odwróciła się do mnie plecami i poszła przez las białych i srebrnych drzew. Zbudziłam się, myśląc nie o matce, ale tym pierścieniu; chciałam go dotknąć, potrzymać.

Magreta zwykle trzymała mnie z daleka od ojca, ale codziennie zabierała na przechadzkę po ogrodach, nawet gdy było zimno. Tego ranka skręciłam w ich starszą część, oddaloną od domu; wciąż stała tam zaniedbana kaplica, na pół skryta pod bezlistnymi pnączami, z lekko zbutwiałego poszarzałego drewna, z rzeźbionymi zwieńczeniami sterczącymi jak ciernie z warstwy śniegu na dachu. Magreta została na dole i wołała mnie z niepokojem, ale ja wspierałam się po trzeszczących schodach na dzwonnice, żeby spojrzeć przez okrągłe okienko na

rozległy dziedziniec za murem ogrodu, gdzie ojciec codziennie ćwiczył swoich ludzi.

Tego obowiązku nigdy nie zaniedbywał. Nie był już młody, ale był urodzonym bojarem, a nie księciem, i przed wieloma laty w jednym dniu zabił trzech rycerzy w bitwie i zdobył dla ojca cara mury Wyżni, za co otrzymał prawo nazywania tego miasta swoim. Nadal nadzorował ćwiczenia swoich rycerzy, brał krzepkich wiejskich chłopców i wcielał ich do straży miejskiej. Nawet dwaj arcyksiężęta i jeden książę z rodziny carskiej zniżyli się do tego, by przysłać do niego swoich synów, wiedząc, że dobrze ich wyszkoli.

Pomyślałam, że mógł zdjąć ten pierścień przed ćwiczeniami; jeśli tak, to zostawiłby go w gabinecie, na biurku. Już układałam plan. Magreta nie pozwoliłaby mi tam wejść, ale mogłabym ją namówić, żeby zaprowadziła mnie do biblioteki znajdującej się obok, po czym zgubić ją między regałami; wtedy mogłabym wejść do gabinetu i chociaż przez chwilę podotykać pierścienia.

Kiedy jednak spojrzałam na dziedziniec, gdzie żołnierze ćwiczyli pod nadzorem pokrzykującego setnika, zauważyłam, że ojciec nie ma rękawic; zwykle nosił skórzane, a czasem żelazne. Stał z rękami założonymi do tyłu, lewą dłoń zaciskając na przegubie prawej. Chociaż niebo było ciemnoszare i sypał śnieg, ten srebrny pierścień błyszczał jak w słońcu, równie nieosiągalny dla mnie jak inny świat.

Starzykowy pan wciąż chodził mi po głowie, nawet gdy już znów byłam w domu. Nie myślałam o nim przez cały czas; tylko w tych chwilach, kiedy byłam sama albo zajęta czymś innym. Gdy wychodziłam na dwór i szłam za dom, żeby nakarmić kury, przypominały mi się ślady, które tam zostawił, i cieszyłam się, że nie ma ich na śniegu. W szopie, karmiąc kozy w słabym świetle wczesnego ranka, zagłębiałam w ciemny kąt, gdzie stały grabie, i przypominało mi się, jak wyszedł z cienia drzew ze swoimi białymi warkoczykami i okrutnym uśmiechem. Gdy wychodziłam po śnieg do stopienia na herbatę, marzyły mi dłonie i myślałam: „A jeśli wróci?”. To mnie złościło, ponieważ gniew jest lepszy od strachu, ale potem wracałam z cebrzykiem śniegu i odkrywałam, że stoję przed piecem rozgniewana bez żadnego powodu, a matka patrzy na mnie zdziwiona.

Nie pytała mnie wcale o Starzyka, tylko o to, jak mają się dziadkowie i czy miałam spokojną podróż, jakby i ona zapomniała, dlaczego w ogóle pojechałam do Wyżni. Nie zostało mi ani odrobiny tego magicznego srebra, żeby ułożyć to sobie w głowie, nie miałam nawet tej białej sakiewki. Pamiętałam, że poszłam na targ i patrzyłam, jak pracuje Izaak, ale oczami duszy nie mogłam zobaczyć pierścienia, który zrobił.

Jednak pamiętałam dość, by każdego ranka iść popatrzeć za dom,

a w poniedziałek Wanda wyszła nakarmić kury, gdy jeszcze tam byłam. Dołączyła do mnie, spojrzała na gładki niezdeptany śnieg i niespodziewanie zapytała:

– Zatem zapłaciłaś mu? Odszedł?

O mało nie zapytałam: „Kogo masz na myśli?”, ale zaraz znów sobie przypomniałam i zacisnęłam pięści.

– Zapłaciłam mu – powiedziałam, a Wanda po chwili skinęła głową, energicznie, jakby rozumiała, że mówię, że tylko tyle wiem: może wróci, a może nie.

Przywiozłam z Wyżni kilka fartuszków z nowym haftowanym wzorem – fartuszków, a nie sukien, żeby sprzedać je taniej niż po złotówce i nie wyjść na oszustkę, która zawyżyła cenę. W ten targowy dzień poszły wszystkie, tak samo jak chusteczki, które również przywiozłam. Jakaś kobieta z odległego gospodarstwa zapytała mnie nawet, czy wkrótce znów pojedę do Wyżni i czy moim zdaniem mogłabym tam uzyskać dobrą cenę za jej przedzę. Dotychczas nikt nie robił ze mną interesów, jeśli nie musiał, chyba że kupował ode mnie za grosze i sprzedawał mi drogo; zazwyczaj poprosiłaby któregoś z woźniców, Olega lub Pietrowa, żeby zawiózł towar do miasta, gdyby nie zdołała sprzedać go na targu. Jednak w ostatnich latach owce i kozy podczas długich i srogich zim miały tyle wełny, że jej cena spadała, więc nie dostałaby za nią dużo.

Ta wełna była lepsza niż zwykle, miękka i gruba; wiedziałam, że starannie ją wyczesaała, uprała i uprzedła. Potarłam pasmo palcami i przypomniałam sobie, że dziadek mówił, że z nadejściem wiosny będzie wysyłał towary na południe, w dół rzeki: wynajął barkę. Zamierzał pakować je w słomę, ale może zamiast niej mógłby używać wełny i uzyskać za nią wyższą cenę na południu, gdzie nie było tak zimno.

– Daj mi próbkę, a zabiorę ją ze sobą, kiedy znów tam pojedę, i powiem ci, ile mogę za nią dostać – powiedziałam kobiecie. – Ile tego masz?

Miała tylko trzy worki, ale widziałam, że inni przysłuchują się naszej rozmowie. Wiele osób sprzedawało na targu wełnę, żeby trochę zarobić albo nawet mieć za co żyć, i gnębiła ich ta obniżka cen. Byłam pewna, że jeśli wrócę na targ i zaproponuję jej dobrą cenę tak, żeby inni słyszeli, to jeszcze wielu z nich przyjdzie do mnie prywatnie.

Zanim tego dnia wróciłam do domu z targu, już postanowiłam, że pojedę do Wyżni po następny towar na sprzedaż, żeby rozkręcić interes. Ciągnęłam na sznurku trzy nowe kozy, kupione tanio z powodu spadających cen wełny, i już układałam w głowie kolejne plany: poproszę dziadka, żeby za pieniądze ze sprzedaży wełny kupił mi kilka sukien na południu, w trochę innym, tamtejszym stylu, żeby sprzedać je w Wyżni i tu na targu.

Wieczorem na stole była pieczona kura ze smażoną marchewką i chociaż raz

matka jadła ten porządny posiłek, nie mając takiej miny, jakby każdy kęs miał ją otruć. Zjedliśmy, a potem Wanda poszła do domu, a my usiedliśmy przy ogniu. Ojciec czytał, bezgłośnie poruszając wargami, nową Biblię, którą kupiłam mu w Wyżni; matka z cienkich jedwabnych nici robiła koronkowy stroik, który pewnego dnia może będzie częścią ślubnej sukni. Złocisty blask oblewał ich twarze, miłe i strudzone, a ja przez moment czułam, że cały świat znieruchomiał w szczęściu i spokoju, jakbym dotarła do miejsca, którego przedtem nawet nie mogłam sobie wyobrazić.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi, głośnie i energiczne.

– Otworzę – powiedziałam, odkładając szycie.

Kiedy jednak wstałam, rodzice nawet nie podnieśli oczu. Przez moment stałam nieruchomo, ale nadal na mnie nie spojrzeli; matka cicho nuciła coś, miarowo poruszając szydełkiem. Powoli poszłam do drzwi i je otworzyłam, a Starzyk stał na progu z całą zimą ze plecami, w wirującej chmurze śniegu, który nie padał za oknami.

Podał mi następną sakiewkę, pobrzękującą jak ogniwa łańcucha, i przemówił wysokim, dobitnym głosem, jak wiatr świszczący pod krokwiemi.

– Tym razem masz trzy dni, zanim przyjdę po to, co moje – oznajmił.

Popatrzyłam na sakiewkę. Była duża i ciężka od monet; więcej srebra, niż miałam w złocie, nawet gdybym opróżniła mój sejf; o wiele więcej. Śnieg spadał i topił się na moich policzkach, oprószył mój szal. Miałam przyjąć te pieniądze bez słowa, ze spuszczoną głową i strachem. Bałam się. Przy butach miał ostrogi, a na palcach biżuterię jak kawały lodu, a za nim wyły dusze wszystkich zaginionych w śnieżycach. Oczywiście, że się bałam.

Jednak nauczyłam się bardziej bać innych rzeczy: pogardy, powolnej utraty szacunku dla samej siebie, szyderstw i wykorzystywania. Z podniesioną głową zapytałam, równie zimno jak on mógłby na to odpowiedzieć:

– A co mi za to dasz?

Szeroko otworzył oczy, które nagle straciły barwę. Śnieżyca zawyła za nim i podmuch lodowatego powietrza uderzył mnie w twarz śniegiem i lodem, kłując w policzki jak igłami. Spodziewałam się, że mnie uderzy, i wyglądał tak, jakby chciał to zrobić, ale zamiast tego powiedział do mnie śpiewnie, jakby słowami piosenki:

– Trzy razy, śmiertelniczko. Trzy razy zamienisz mi srebro w złoto albo sama zostaniesz zamieniona w lód.

Już byłam jak zlodowaciała, a ręce miałam tak zimne, że wydawało mi się, że czuję mróz w kościach palców zdrętwiałych dłoni. Przynajmniej byłam zbyt zmrożona, żeby drzeć.

– A wtedy? – zapytałam pewnym głosem.

Zaśmiał się dźwięcznie i przerażająco.

– A wtedy, jeśli zdołasz to zrobić, uczynię cię moją królową – rzekł drwiąco i rzucił mi sakiewkę pod nogi, aż głośno zabrzęczała.

Gdy oderwałam od niej wzrok, już go nie było, a za moimi plecami matka powiedziała powoli i niepewnie, jakby trudno jej było mówić:

– Mirjem, dlaczego otworzyłaś drzwi? Zimno ciągnie.

Rozdział 7

Zostawiona przez Starzyka sakiewka była dziesięć razy cięższa od poprzedniej, pełna błyszczących monet. Ułożyłam je w równiutkie słupki, usiłując zebrać przy tym myśli.

– Odejdziemy stąd – powiedziała moja matka, patrząc, jak je układam. Nie powiedziałam jej o Starzykowej obietnicy, czy może groźbie, ale i tak się jej to nie podobało: legendarny władca, który przybył i zażądał ode mnie złota. – Udamy się do mojego ojca albo gdzieś indziej.

Ja jednak czułam, że to nic by nie dało. Jak daleko musielibyśmy wyjechać, żeby uciec przed zimą? Nawet gdyby był jakiś odległy o tysiąc mil kraj leżący poza jego zasięgiem, trzeba by było dawać łapówki za przekroczenie każdej granicy i kupić nowy dom tam, gdzie w końcu byśmy się zatrzymali, a kto wie, jak by nas tam traktowano. Słyszeliśmy wiele opowieści o tym, co się przytrafiało naszym pobratymcom w innych krajach, pod rządami królów i biskupów, którzy chcieli zapomnieć o swoich długach i napełnić sobie kiesy skonfiskowanymi dobrami. Jeden z moich wujecznych dziadków przybył z pewnego ciepłego kraju, gdzie miał dom w pomarańczowym gaju otoczonym ogrodem; teraz ktoś inny zrywał pomarańcze z drzew pracowicie zasadzonych i pielęgnowanych przez jego rodzinę, która miała szczęście, że zdołała tu dotrzeć.

I nie sądziłam, abym nawet w takim ciepłym kraju była już zawsze bezpieczna. Pewnego dnia powiałby wiatr, temperatura by spadła i w środku nocy mróz wkradłby się przez próg. Spędziłabym całe życie w strachu, wciąż oglądając się za siebie, a on w końcu przybyłby spełnić swoją obietnicę i dokonać zemsty, po czym zostawiłby mnie zamarznąłą na pustym ganku.

Tak więc umieściłam te sześć słupków monet, po dziesięć w każdym, z powrotem w sakiewce. Wtedy przyszedł Siergiej; wysłałam go po Olega, żeby przyjechał saniami i jeszcze tego wieczoru zawiózł mnie do Wyżni.

– Powiedz mu, że odejmę mu kopiejkę od jego długu, jeśli zawiezie mnie tam i przywiezie z powrotem w sobotę wieczorem – powiedziałam ponuro; było to

dwukrotnie więcej, niż powinien kosztować taki przejazd, ale musiałam wyruszyć natychmiast. Starzyk może i dał mi trzy dni, ale musiałam się uwinąć do zachodu słońca w piątek; nie sądziłam, żebym zdołała mu się usprawiedliwić szabasem.

Następnego dnia o świcie byłam na targu i gdy tylko Izaak zobaczył mnie przed swoim straganem, pospiesznie zapytał:

– Masz więcej tego srebra? – A potem zarumienił się i przypomniał sobie o dobrych manierach, dodał: – Chciałem powiedzieć: witaj ponownie.

– Tak, mam – odrzekłam i wysypałam zawartość ciężkiej sakiewki lśniąca strugą na czarny aksamit jego lady; jeszcze nawet nie zdążył wystawić tego dnia towaru. – Tym razem muszę oddać sześćdziesiąt sztuk złota – powiedziałam mu.

Już obracał monety w dłoniach, z twarzą rozjaśnioną żądzą.

– Nie mogłem sobie przypomnieć... – zaczął, jakby sam do siebie, lecz zaraz pojął, co powiedziałam, i wytrzeszczył oczy. – Ja też chcę mieć jakąś korzyść z pracy, jakiej to będzie wymagało!

– Wystarczy tego na zrobienie dziesięciu pierścieni, po dziesięć złotych każdy – powiedziałam.

– Nie zdołam sprzedać ich wszystkich.

– Owszem, zdołasz – zapewniłam go. Byłam tego pewna: teraz, kiedy książę miał pierścień z magicznego srebra, wszyscy bogaci ludzie w mieście będą chcieli też mieć taki, i to natychmiast.

Zmarszczył brwi, przesuwając monety palcami, i westchnął.

– Zrobię naszyjnik i zobaczę, ile uda nam się zań dostać.

– Naprawdę uważasz, że nie zdołasz sprzedać dziesięciu pierścieni? – zapytałam ze zdziwieniem, zastanawiając się, czy mogłam się mylić.

– Chcę zrobić naszyjnik – odparł.

Nie wydało mi się to zbyt rozsądne, ale może myślał, że w ten sposób wykaże swój kunszt i zdobędzie sławę. Nie miałam nic przeciwko temu, jeśli tylko ponownie zdołam zapłacić Starzykowi i zyskać trochę czasu.

– I trzeba z tym zdążyć przed szabasem – dodałam.

Jęknął.

– Dlaczego musisz żądać rzeczy niemożliwych!

– Czy to się wydaje możliwe? – zapytałam, wskazując na monety, a on nie mógł się ze mną spierać.

Musiałam siedzieć przy nim, gdy pracował, i obsługiwać ludzi, którzy przychodzili do stoiska kupić inne rzeczy; nie chciał z nikim rozmawiać i odrywać się od pracy. Większość przychodzących była zaaferowanymi i zirytowanymi służącymi, niektórzy chcieli odebrać ukończone wyroby; burczeli i robili gniewne miny, próbując mnie nastraszyć, ale ja się nie dałam.

– Z pewnością widzisz, nad czym pracuje mistrz Izaak – mówiłam chłodno. – Jestem pewna, że twój pan lub pani nie chcieliby przeszkadzać w wykonaniu zlecenia dla klienta, którego nazwiska nie mogę wymienić, a który zakupi taki wyrób.

I machnięciem ręki kierowałam ich wzrok na stolik jubilerski, gdzie w jego rękach srebro lśniło w pełnym blasku słońca. Jego zimny blask ich uciszał; stali jeszcze przez chwilę, a potem odchodzili, nie próbując się spierać.

Izaak pracował bez przerwy aż do zachodu słońca i wznowił pracę następnego ranka. Zauważyłam, że podczas pracy starał się zostawić kilka całych monet, jakby chciał zachować je na pamiątkę. Już miałam poprosić go, żeby zostawił jedną dla mnie, ale nie miałyby to sensu. W południe westchnął i stopił ostatnią z nich, robiąc z niej ostatni fragment srebrnego koronkowego wzoru.

– Gotowe – rzekł potem i podniósł naszyjnik; srebro zwisało niczym sople z jego szerokich dłoni i przez chwilę razem spoglądaliśmy na nie w milczeniu.

– Wysłiesz wiadomość do księcia? – spytałam.

Pokręcił głową i spod stolika wyjął pudełko, drewnianą rzeźbioną szkatułkę wyłożoną czarnym aksamitem, w której starannie ułożył naszyjnik.

– Nie – rzekł. – Z tym sam do niego pójde. Chcesz iść ze mną?

Poszliśmy razem do bramy naszej dzielnicy i wyszliśmy na ulice miasta. Nigdy przedtem nie chodziłam po tej części miasta. Domy stojące najbliżej murów miejskich były brzydkie i niskie, zaniedbane, ale Izaak poprowadził mnie szerszymi ulicami, obok ogromnego kościoła z szarego kamienia z oknami przypominającymi wyroby jubilerskie, aż do wielkich rezydencji ludzi szlachetnie urodzonych. Mimo woli gapiłam się na żelazne ogrodzenia wykute we lwy i wijące się smoki, na ściany pokryte wyrzeźbionymi w kamieniu pędami winorośli i kwiatami. Chciałam być dumna i pamiętać, że jestem wnuczką mojego dziadka i mam złoto w banku, ale cieszyłam się, że nie jestem tu sama, gdy wchodziliśmy po szerokich kamiennych stopniach omiecionych ze śniegu.

Izaak porozmawiał z jednym ze służących. Zaprowadzono nas do małego pomieszczenia i kazano czekać. Nikt nie zaproponował nam niczego do picia ani nie zaprosił, żebyśmy usiedli, a lokaj stał i patrzył na nas z dezaprobatą. Byłam mu za to prawie wdzięczna; z powodu irytacji nie czułam się tak mało ważna i nie miałam ochoty się gapić. W końcu przyszedł ten służący, który poprzednio był u Izaaka na targu, i zapytał, czego chcemy. Izaak wyjął szkatułkę i pokazał mu naszyjnik: sługa spojrział nań, po czym rzekł tylko: „Bardzo dobrze” i znów odszedł. Wrócił po półgodzinie i polecił, żebyśmy poszli za nim. Poprowadził nas tylnymi schodami na górę i do sali tak okazałej, że jeszcze nigdy takiej nie widziałam, ze ścianami obwieszonymi gobelinami w jaskrawych kolorach

i podłogą nakrytą dywanem o pięknym wzorze.

Ten wyciszył nasze kroki i doprowadził nas do jeszcze bardziej luksusowego salonu, gdzie mężczyzna w kosztownych szatach i złotym łańcuchu siedział za biurkiem na ogromnym fotelu obitym aksamitem. Na małym palcu jego ręki dostrzegłam pierścień z magicznego srebra. Nie patrzył nań, ale zauważyłam, jak pociera go raz po raz, jakby chciał się upewnić, że nie znikł.

– W porządku, zobaczmy to – powiedział, odkładając pióro.

– Wasza wysokość.

Izaak skłonił się i pokazał mu naszyjnik.

Książę zajął do szkatułki. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale delikatnie przesunął jednym palcem po naszyjniku, ledwie muskając delikatne jak koronka ogniwa. W końcu nabrał tchu i wypuścił powietrze przez nos.

– A ile za niego żądasz?

– Wasza wysokość, nie mogę go sprzedać za mniej niż sto pięćdziesiąt.

– Absurd – warknął książę. Z trudem powstrzymałam chęć przygryzienia wargi; sama uważałam, że to oburzająca cena.

– W przeciwnym razie będę musiał go przetopić i zrobić z niego pierścienie – rzekł Izaak, przepaszająco rozkładając ręce.

To był sprytny argument; oczywiście książę nie chciałby, żeby ktoś jeszcze miał taki pierścień jak on.

– Skąd masz to srebro? – zapytał. – To nie jest zwyczajny kruszec.

Izaak zawahał się, a potem zerknął na mnie. Książę powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem.

– No?

Dygnęłam najniżej, jak umiałam, nie zginając karku.

– Dostałam od jednego ze Starzyków, panie. Chce, by je zamienić na złoto.

Obawiałam się, że mi nie uwierzy. Jego oczy spoczęły na mnie jak dwa ciężkie kamienie, ale nie powiedział: „Bzdura” ani nie nazwał mnie kłamczuchą. Ponownie spojrzał na naszyjnik i mruknął coś pod nosem.

– I chcielibyście to zrobić, biorąc je z mojej kiesy, jak widzę. Ile jeszcze będzie tego srebra?

Ja też się zastanawiałam, czy Starzyk następnym razem przyniesie jeszcze więcej srebra i co mam zrobić, jeśli tak: za pierwszym razem sześć, za drugim sześćdziesiąt; jak zdobędę sześćset sztuk złota?

Przełknęłam ślinę.

– Może... może dużo więcej.

– Hm – mruknął książę i znów przyjrzał się naszyjnikowi.

Potem sięgnął po dzwonek i zadzwonił nim; w drzwiach pojawiła się służąca.

– Idź i powiedz Irinie, że chcę ją widzieć – powiedział książe i służka się skłoniła.

Zaczekaliśmy kilka minut, niezbyt długo, a potem w drzwiach stanęła dziewczyna. Była mniej więcej w moim wieku, szczupła i poważnie wyglądająca w prostej sukni z szarej wełny ze skromnym wysokim kołnierzykiem, w ładnym szarym jedwabnym welonie okrywającym głowę. Za nią weszła jej przyzwoitka, stara kobieta niechętnie spoglądająca na nas, a zwłaszcza na Izaaka.

Irina dygnęła, nie podnosząc spuszczonego oczu. Książe wstał, podszedł do niej z naszyjnikiem i założył go na jej szyję. Potem cofnął się o trzy kroki i stanął, żeby się jej przyjrzeć. Powiedziałabym, że nie była zbyt ładna, zaledwie przeciętnej urody, jeśli nie liczyć długich, gęstych i lśniących włosów, ale z tym naszyjnikiem nie miało to żadnego znaczenia. Trudno było oderwać od niej wzrok, gdy stała z zimą na szyi oraz tym srebrzystym błyskiem w czarnych oczach, przeglądając się w wiszącym na ścianie lustrze.

– Ach, Irinuszka – z aprobatą zamruczała przyzwoitka.

Książe skinął głową.

– No cóż, jubilerze – rzekł, nie odrywając od niej oczu – masz szczęście. Dostaniesz sto złotych monet za twój naszyjnik, a następnie zrobisz koronę godną królowej na posag mojej córki i otrzymasz za nią dziesięć razy po sto sztuk złota, gdy zobaczę ją na jej skroniach.

– Jego wysokość chce cię widzieć, pani – powiedziała służąca i nawet dygnęła, co służba rzadko robiła; „panią” była dla nich moja macocha. Już samo pojawienie się jej w tej ładnej szarej sukni stanowiło wiadomość; była jedną ze starszych pokojowych, którym wolno było polerować meble, a nie jedną z szorujących podłogi i palących w kominkach podkuchennych wieśniaczek, które sprzątały mój pokój. Nie było w nim niczego szczególnie cennego, co mogłyby zniszczyć.

– Szybko, szybko – powiedziała Magreta, upuszczając robótkę, poprawiając moją szatę i warkocz na głowie, który splotła dwa dni temu; czułam, że chciałaby zrobić to od nowa, ale tylko pokręciła głową, kazała mi zdjąć fartuszek i przejechała szczotką po buciach oraz dole sukni. Stałam nieruchomo, pozwalając jej na to i rozważając moje szybko znikające możliwości.

Oczywiście mógł być tylko jeden powód tego, że ojciec wzywa mnie za dnia do swojego gabinetu, czego nigdy nie robił, szczególnie że wieczorem i tak miał się ze mną widzieć przy kolacji: ktoś jednak chciał mnie poślubić i sprawa była już bardzo zaawansowana. Może już złożono obietnicę posagu albo przynajmniej poważnie negocjowano jego wysokość; byłam tego pewna, chociaż kiedy ostatnio wieszczyłam z ojcem, nie wspomniał o tym ani słowem.

Pośpiech w tej sprawie jak najbardziej miał sens: jeśli nie mógł uniknąć kosztownej wizyty cara, to przynajmniej zaoszczędzi na moim weselu i nie tylko; dobrze zrobi jego pozycji i kiesie, jeśli car i jego świta będą gośćmi na weselu jego córki. Będą musieli wznosić toasty na cześć moją i mojego męża oraz wręczać prezenty, których wartość niewątpliwie zostanie uwzględniona w wysokości omawianego posagu.

Jednak nie wyobrażałam sobie, aby coś mogło mi się spodobać w tym małżeństwie. Oczywiście chciałabym być panią własnego domu, bezpieczna przed wszystkimi innymi okropnymi możliwościami, jakie przede mną stały, ale nie osiągnąć to wszystko w takim pośpiechu i najwyraźniej dla wygody mojego ojca. Mężczyzna poślubiający mnie w taki sposób wcale by się ze mną nie żenił; zawierałby umowę kupna dziewczynopodobnego przedmiotu, którego będzie używał jak mu wygodnie i którego nie będzie specjalnie cenił, skoro mój ojciec tak wyraźnie okazał, że dla niego nie mam żadnej wartości. W najlepszym razie mogłam liczyć, że będzie to jakiś mało ważny bojar, bogaty i ambitny lennik mego ojca, gotowy wziąć za żonę córkę księcia po okazyjnej cenie, żeby wzmocnić swoją pozycję w księstwie; w takim wypadku miałabym dla niego przynajmniej taką wartość. Jednak nie przychodził mi do głowy żaden taki kandydat. Po siedmiu latach ciężkich zim bojarzy mojego ojca więcej myśleli o swoich chudych kiesach niż o pozycji na dworze. Niepodobna, by któryś z nich chciał się wykosztować na żonę.

Ponadto taki człowiek nie byłby użyteczny. Bardziej prawdopodobne było to, że ojciec znalazł jakiegoś szlachcica, który nie mógł zdobyć młodej żony o należytej pozycji; kogoś tak odrażającego, że przynajmniej niektórzy ojcowie wzdragali się przed oddaniem mu córki. Może jakiegoś okrutnika pragnącego wziąć sobie dziewczynę, której ojciec nie będzie się szczególnie przejmował tym, co się z nią stanie.

Oczywiście pomimo to zeszłam na dół; nie miałam wyboru. Magreta prawie się trzęsła, kiedy schodziłyśmy po schodach. Równie dobrze jak ja rozumiała, co się dzieje, ale nie lubiła myśleć o kłopotach, zanim się pojawią, tak więc marzyła o dobrym i szczęśliwym małżeństwie dla mnie, a siebie widziała jako starą byłą piastunkę pani domu, a nie przyzwoitkę zamkniętą na poddaszu z zaniechanywą córką pana. Pozwoliłam jej się emocjonować, jednocześnie zastanawiając się, czy mam teraz zobaczyć tego mężczyznę, a jeśli tak, to jak ocenić, czy warto będzie rozgniewać ojca, starając się wypaść jak najgorzej w oczach konkurenta. Była to nieprzyjemnie wątła odrobina nadziei.

Jednak gdy otworzono drzwi, nie czekał za nimi żaden oblubieniec ani nawet nikt, kto mógłby być swatem potencjalnego małżonka, tylko dwoje Żydów,

mężczyzna oraz szczupła, smągła i ciemnooka kobieta, a on trzymał szkatułkę pełną zimy. Zapomniałam o wszystkim, w ogóle nie mogłam myśleć; naszyjnik lśnił zimnym blaskiem na czarnym aksamicie, a ja znów stałam w oknie wychodzącym na ogród, czując na policzkach oddech zimy i mróz pełznący po parapecie pod moimi palcami, tęskniąc za czymś nieosiągalnym.

O mało nie ruszyłam ku niemu z wyciągniętymi rękami; zacisnęłam je na fałdach mojej szarej wełnianej sukni i z trudem dygnęłam, zmuszając się do spuszczenia oczu, lecz gdy się wyprostowałam, znów spojrzałam. Nadal nie mogłam zebrać myśli, nawet gdy ojciec podszedł i wyjął naszyjnik z pudełka, a kiedy stanął z nim przede mną, tylko spojrzałam na niego, niczego nie pojmując: to wszystko było takie dziwne. Przecież niepodobna, żeby chciał dać mi coś takiego. On jednak niecierpliwie machnął ręką, więc po chwili powoli odwróciłam się i pochyliłam głowę, pozwalając, by założył mi naszyjnik.

W komnacie wesoło trzaskał ogień na kominku i było ciepło, o wiele cieplej niż w moich ciasnych pokoikach na górze. Jednak metal chłodził moją skórę, zimny i cudowny, odświeżający jak dotyk mokrych dłoni na policzkach w upalny dzień. Podniosłam głowę i odwróciłam się, a ojciec spoglądał na mnie. Wszyscy troje spoglądali na mnie ze zdumieniem.

– Ach, Irinuszka – czule zamruczała Magreta.

Podniosłam rękę i przesunęłam palcami po drobnych ogniwach. Nawet na mojej skórze nadal pozostały zimne, a gdy przejrzałam się w lustrze, nie ujrzałam siebie stojącej w gabinecie ojca. Byłam w ciemnym lesie ośnieżonych drzew, pod jasnoszarym niebem, i niemal czułam na skórze płatki padającego śniegu.

Stałam tam przez długą jak wieczność chwilę, głęboko wdychając słodkie chłodne powietrze, które wypełniało moje płuca zapachem świeżo ściętych sosnowych gałęzi, śnieżnych zasp i głębokiego lasu. A potem w oddali usłyszałam, jak ojciec obiecuje Żydom, że da im tysiąc sztuk złota, jeśli zrobią mi koronę na posag, tak więc miałam rację: zamierzał wydać mnie za mąż, i to naprawdę szybko.

Oczywiście nie pozwolił mi zatrzymać naszyjnika. Kiedy Żydzi wyszli, przywołał mnie skinieniem i choć zwlekał przez moment, znowu na mnie patrząc, wyciągnął ręce, zdjął naszyjnik i schował go z powrotem do pudełka. Później uważnie mi się przyjrzał, jakby musiał sobie przypomnieć, jak naprawdę bez niego wyglądam, po czym potrząsnął głową.

– Car będzie tu za dwa tygodnie – powiedział krótko. – Ucz się tańczyć. Do jego przyjazdu co wieczór będziesz jadła ze mną kolację. Zajmij się jej strojami – zwrócił się do Magrety. – Musi mieć trzy nowe suknie.

Dygnęłam i wróciłam na górę z Magretą, roztrzęsioną jak stado zaniepokojonych ptaków, które poderwały się, szaleńczo łopocząc skrzydłami,

zanim znów usiądą na drzewie.

– Muszę mieć parę pokojówek do pomocy – powiedziała, pochylając się, by podnieść swoją robótkę, chcąc mieć coś, na czym można zacisnąć ręce. – Tyle jest do zrobienia! Nic nie jest przygotowane. Twoja skrzynia posagowa nie jest nawet w połowie pełna! I trzeba uszyć trzy suknie!

– Tak – powiedziałam. – Powinnaś natychmiast porozmawiać z ochmistrzynią.

A Magreta przytaknęła i znów wypadła z pokoju, zostawiając mnie w końcu samą, żebym mogła usiąść przy kominku z moją robótką, białą nocną koszulą zdobioną haftem na noc poślubną.

Spotkałam już raz cara, siedem lat temu, zaraz po śmierci jego ojca i brata; mój ojciec pojechał do Koronu, żeby wziąć udział w koronacji i złożyć hołd nowemu carowi, a właściwie nowemu regentowi, arcyksięciu Dmitrowi. Po raz pierwszy zobaczyłam Mirnatiusa w kościele, gdy ksiądz monotonicznie recytował słowa ceremonii, ale wtedy nie zwróciłam na niego uwagi; byłam tak znudzona, że podrzemywałam na ławce obok Galiny w moim grubym i sztywnym stroju, aż ocknęłam się i zerwałam z miejsca, gdy w końcu go koronowali. Jakby ktoś mocno ukłuł mnie igłą, na moment zanim wszyscy wstali, żeby powitać nowego władcę.

Później nikt nie zwracał na niego uwagi. Wielcy panowie jedli i rozmawiali przy carskim stole, oddając hołd Dmitrowi, a Mirnatius wyszedł sam do ogrodów za pałacem, gdzie ja też się bawiłam, równie nieważna. Miał mały łuk i strzały i strzelał do wiewiórek, a kiedy trafiał, to podchodził i z zadowoleniem spoglądał na ich martwe ciała. Nie w zwyczajny sposób jak chłopiec dumny z tego, że jest dobrym myśliwym: łapał za strzały i patrząc zafascynowanym wzrokiem, poruszał nimi tak, że zabite wiewiórki poruszały się i podrygiwały.

Zauważył, że przyglądam mu się z oburzeniem. Byłam zbyt młoda i jeszcze nie nauczyłam się rozwagi.

– Na co się tak gapisz? – zapytał. – To tylko odrobina życia, która w nich pozostała. Nie ma w tym żadnych czarów.

Zapewne dobrze znał różnicę: jego matka była czarownicą, która uwiodła cara po śmierci pierwszej carycy. Oczywiście nikt nie aprobował tego małżeństwa i po zaledwie kilku latach została spalona na stosie, gdy przyłapano ją na próbie zabójstwa syna pierwszej carycy i uczynienia dziedzicem własnego potomka. Potem jednak car oraz najstarszy książę zachorowali i umarli, więc syn czarownicy i tak został carem, co – jak zwykła mówić Magreta – było nauczka dla wszystkich, że umiejętność rzucania czarów to nie to samo co mądrość.

Ja też nie byłam wtedy mądra, chociaż tłumaczył mnie mój młody wiek.

– Już je zabiłeś – powiedziałam mu, chociaż był carem. – Dlaczego nie zostawisz ich w spokoju?

Co nie było zbyt sensowne, ale wiedziałam, co chcę powiedzieć: nie podobało mi się, że poniewiera tymi ciałkami, poruszając nimi dla zabawy.

Zmrużył piękne zielone oczy, które stały się wąskie jak szparki i gniewne, po czym nałożył strzałę i wycelował we mnie. Byłam dostatecznie duża, żeby wiedzieć, że stanęłam oko w oko ze śmiercią. Chciałam uciec, ale zamiast tego po prostu zamarłam, całe moje ciało znieruchomiało i moje serce także, a wtedy on roześmiał się i opuścił łuk.

– Chwała obrońcy martwych wiewiórek! – drwiąco rzekł i złożył mi piękny uroczysty ukłon jak na weselu, po czym odszedł.

Ilekcroć bawiłam się w ogrodzie przez resztę tygodnia, natrafiałam na jakąś martwą wiewiórkę – zawsze dobrze ukrytą przed oczami ogrodników, a jednak biegnąc za piłką lub bawiąc się w chowanego z Magretą i kryjąc się w krzakach, znajdowałam je, wypatroszone i czekające na mnie.

Zamierzałam naskarżyć na niego: byłam pewna, że wszyscy by mi uwierzyli, dlatego że Mirnatius był taki piękny i z powodu jego matki. Ludzie już o nim szeptali. Najpierw jednak powiedziałam Magrecie, a gdy ona usłyszała ode mnie całą tę historię, rzekła, że kłopoty spotykają tych, którzy je sprawiają, czego powinien mi dowieść przykład wiewiórek, więc nie powinnam ich wywoływać. A potem przez resztę wizyty trzymała mnie w pokoju i kazała prząść, pozwalając wychodzić tylko na pospiesznie zjadane posiłki.

Od tamtej pory nigdy o tym nie mówiłyśmy, ale wiedziałam, że Magreta nie zapomniła tego tak samo jak ja. Wróciliśmy do Koronu cztery lata temu, na wystawny pogrzeb arcyksięcia Dmitira. Mirnatius zażądał, by uczestniczyła w nim większość szlachty, bo zapewne chciał jasno dać do zrozumienia, że już nie potrzebuje regenta, i zmusić wszystkich, żeby osobiście złożyli mu hołd. Byliśmy tam przez dwa tygodnie. Magreta przez cały czas nie odstępowała mnie na krok i nie pozwalała opuszczać moich komnat bez woalki, chociaż jeszcze nie byłam kobietą, a nawet sama przynosiła mi z kuchni wszystkie posiłki. Mirnatius pełnił rolę głównego żałobnika: był wtedy szesnastolatkiem, wysokim, dojrzałym i jeszcze piękniejszym, z czarnymi włosami i jasnymi oczami błyszczącymi jak klejnoty na tle ciemnej tatarskiej skóry, mnóstwem równych białych zębów, z koroną i szatami ze złotogłowi upodabniającymi go do jakiegoś posągu lub świętego. Obserwowałam go przez mój cienki woal, aż obrócił głowę w moim kierunku, a wtedy pospiesznie spuściłam oczy, starając się nie wyróżniać w trzecim rzędzie księżniczek i szlacheckich cór.

Jednak za dwa tygodnie miał przybyć do domu mojego ojca, a wtedy nie zdołam się ukryć. Mój ojciec nie wyda na jego cześć trzech hucznych uczt i nie zabierze na polowanie na niedźwiedzia do ciemnego lasu, żeby zminimalizować koszty.

Zamiast tego wyprawi nadzwyczaj kosztowny festyn trwający trzy dni, z żonglerami, magikami i tancerzami zabawiającymi cara i jego świtę w zamku, ale da mi te trzy nowe suknie i spróbuje mnie wydać za cara. Wyglądało na to, że ojciec naprawdę zamierza go usidlić, używając jako przynęty pierścienia, naszyjnika i korony z magicznego srebra.

Patrzyłam na odbicie mojej twarzy w okiennej szybie i zastanawiałam się, co takiego ujrzały twarde oczy mojego ojca, gdy zobaczył mnie z tym naszyjnikiem na szyi, że uznał, iż warto podjąć takie ryzyko. Nie wiedziałam. Nie widziałam mojej twarzy w tamtej chwili. Jednak nie był głupcem, więc nie mogłam pocieszać się, że nie wie, co czyni.

Nadal stałam przy oknie, opierając dłonie o zimny kamień i nie dbając o robótkę, gdy wciąż roztrzęsiona Magreta wróciła do pokoju i wetknęła mi w dłonie filiżankę ciepłej i słodkiej herbaty. Przyniosła nawet gruby kawałek mojego ulubionego makowca, który zapewne wyłudziła od kucharki; nie codziennie dostawałam takie łakocie. Za nią podążała pokojówka z kilkoma dodatkowymi polanami do ognia. Pozwoliłam jej zaprowadzić się z powrotem do kominka, wdzięczna za to, co próbowała zrobić, i nie powiedziałam jej, że to wszystko na nic. Tak naprawdę pragnęłam tego srebrnego naszyjnika, zimnego na mojej szyi, nawet jeśli miał być moją zgubą; chciałam założyć go, znaleźć wysokie lustro i zniknąć w gęstym zimowym lesie.

Był sobotni wieczór i słońce już zaszło, gdy znów wdrapałam się na sanie Olega. Umieściłam jeszcze dwadzieścia sztuk złota w sejfie mojego dziadka, a przy sobie miałam pękata białą sakiewkę Starzyka, rozciągniętą ciężarem złota. Byłam spięta, gdy wjechaliśmy w las, i przez cały czas zastanawiałam się, czy i kiedy Starzyk znów się pojawi, aż gdzieś w głębi lasu sanie zaczęły zwalniać i zatrzymały się pod czarnymi konarami. Znieruchomiałam ze strachu, rozglądając się i szukając go wokół, ale nikogo nie dostrzegłam; koń przestępował z nogi na nogę i parskał, a Oleg nie kulił się, tylko zarzucił lejce na podnózek.

– Słyszałeś coś? – spytałam ściszym głosem, a kiedy on zsiadł i wyjął spod opończy nóż, zbliżając się do mnie, uświadomiłam sobie, że zapomniałam się martwić o cokolwiek poza czarami. Pchnęłam ku niemu stertę koców i słomy jako zbyt wątlą barykadę, a sama zeskokczyłam z drugiej strony sań. – Nie rób tego – wykrztusiłam. – Oleg, nie!

Moje grube suknie wlokły się po śniegu, gdy próbowałam przed nim uciec.

– Oleg, proszę – błagałam, lecz on miał zaciętą minę, zimniejszą niż jakikolwiek mróz. – To nie moje złoto! – zawołałam z rozpaczą, pokazując mu sakiewkę. – Nie jest moje i muszę je oddać...

Nie zatrzymał się.

– Ono nie jest twoje – warknął. – Nie jest twoje, ty mała chciwa sknero zabierająca pieniądze uczciwie pracującym ludziom.

Każde słowo wychodzące z jego ust było mi równie znajome jak nóż; to była ta sama historia, tylko trochę zmieniona, opowieść, którą Oleg ułożył, żeby sobie wmówić, że nie robi nic złego, że ma prawo kraść lub oszukiwać, i wiedziałam, że mnie nie posłucha. Zostawi moje ciało wilkom, wróci do domu ze złotem schowanym pod oponczką i powie, że zaginęłam w lesie.

Upuściłam sakiewkę, podkasałam suknie i zaczęłam brnąć w śniegu sięgającym mi powyżej ud. Rzucił się na mnie, a ja odskoczyłam i runęłam na wznak. Skorupa śniegu zarwała się pod moim ciężarem, a gałęzie krzaków rozorały mi policzek. Nie mogłam się podnieść. Stał nade mną z nożem w jednej ręce, wyciągając drugą, żeby mnie złapać, lecz nagle znieruchomiał i obie mu opadły.

Nie ulitował się nade mną. Jego twarz zlodowaciała jeszcze bardziej, wargi posiniały, a gęstą kasztanową brodę pokrył szron. Z trudem podniosłam się, drżąc. Starzyk stał za nim, trzymając go jedną ręką za kark, jak pan swojego psa.

Po chwili go puścił. Oleg stał nieruchomo między nami, z twarzą bez kropli krwi, jakby zamarzl. Odwrócił się, powoli wrócił do sań i wspiął się na kozioł. Starzyk nie odprowadzał go wzrokiem, jakby nie obchodziło go to, co zrobił; patrzył tylko na mnie oczami błyszczącymi jak klinga noża Olega. Byłam roztrzęsiona i oszołomiona. Łzy zamarzały mi na rzęsach, zlepiając je. Zamrugalam, żeby otworzyć oczy, i zacisnęłam pięści, dopóki nie przestały drżeć, a potem pochyliłam się, podniosłam leżącą w śniegu sakiewkę i podałam mu.

Starzyk podszedł bliżej i wziął ją ode mnie. Nie wysypał złota na dłoń; było go za dużo. Zamiast tego zanurzył rękę w sakiewce i wyjął garść monet, po czym pozwolił, by przesywały mu się między palcami i z brzękiem znów do niej wpadły, aż w okrytych białą rękawicą palcach została mu tylko jedna, lśniąca jak słońce. Zmarszczył brwi, patrząc na nią i na mnie.

– Są wszystkie, sześćdziesiąt sztuk – powiedziałam. Serce zaczęło mi bić wolniej, bo chyba inaczej by pękło.

– Tak jak powinno być – rzekł. – Bo jeśli mnie zawiedziesz, zamienisz się w lód, choć jeśli ci się powiedzie, zdobędziesz moją rękę i koronę.

Powiedział to tak, jakby naprawdę tak myślał, i na dodatek gniewnie, chociaż sam ustalił takie warunki: czułam, że niemal wolałby mnie zamrozić niż dostać swoje złoto.

– Teraz wracaj do domu, śmiertelniczko, i czekaj, aż znów cię wezwę.

Bezradnie spojrzałam na sanie: Oleg siedział na koźle, zmrożoną twarzą obrócony ku ziemie, i jazda z nim była ostatnią rzeczą, jakiej chciałam. Nie mogłam

jednak wrócić stąd na piechotę do domu ani nawet do jakiejś wioski, w której mogłabym wynająć innego woźnicę. Oleg zjechał z drogi, żeby nas tu przywieźć: nie miałam pojęcia, gdzie jesteśmy. Odwróciłam się, aby to powiedzieć, ale Starzyk już znikł. Stałam sama pod ciężkimi od śniegu gałęziami sosen, otoczona jedynie ciszą i śladami stóp, a w miejscu, gdzie upadłam, pozostało głębokie wgłębienie w kształcie dziewczęcej postaci, jakie mogłoby pozostawić bawiące się dziecko.

Gdy tak tam stałam, zaczął padać śnieg; sypał gęsto, wymuszając decyzję. Ostrożnie podeszłam do sań i wspierałam się na ich tył. Oleg bez słowa szarpnął lejce i koń znów ruszył kłusem. Skierował go ku drzewom, oddalając się od drogi i zagłębiając w las. Usiłowałam zdecydować, czy bardziej się boję zawołać do niego i usłyszeć odpowiedź, czy jej nie otrzymać, a także czy powinnam zeskoczyć z sań. Nagle przejechaliśmy przez wąską lukę między drzewami na zupełnie inną drogę: taką, której nawierzchnia była blada i gładka jak lodowa tafla, i równie lśniąca. Płozy sań zagrzechotały raz, wjeżdżając na nią, a potem sunęły idealnie cicho. Grubo podkute kopyta konia dudniły o lód, a sanie ślizgały się po nim. Wokół nas stały wysokie i białe jak brzozy drzewa pokryte szeleszczącymi liśćmi; takie drzewa nie rosły w naszym lesie i powinny być bezlistne w zimie. Widziałam śmigające w ich koronach białe ptaszki i wiewiórki, a dzwonki sań wydzwaniały przedziwną melodię, różną, czystą i zimną.

Nie oglądałam się za siebie, żeby zobaczyć, skąd się wzięła ta droga. Znów skuliłam się pod kocami, mocno zacisnęłam powieki i nie otwierałam ich, dopóki nagle pod płozami znów nie zachrząścił śnieg i sanie nie zatrzymały się przed bramą naszego podwórza. Niemal wyskoczyłam z sań, przemknęłam przez bramę i do drzwi domu, zanim się obejrzałam za siebie. Nie musiałam uciekać. Oleg odjechał, nawet nie spojrzawszy na mnie.

Rozdział 8

Wando – powiedziała Mirjem rano po powrocie – czy zechcesz zanieść to do domu Olega? Umarzam mu kopiejkę za to, że czekał na mnie w Wyżni.

Dała mi pisemne pokwitowanie, ale nie patrzyła mi w oczy, kiedy zadała pytanie. Na policzku miała czerwone zadrapania, jakby zrobione przez jakąś gałąź lub czyjeś pazury.

– Tak, pójdę – powiedziałam.

Narzuciłam szal i wzięłam kwit, lecz gdy dotarłam do znajdującego się nieco dalej i za rogiem domu Olega, przystanąłam po drugiej stronie ulicy i patrzyłam. Dwaj mężczyźni nieśli jego ciało do kościoła. Przez moment widziałam jego twarz. Miał szeroko otwarte, wytrzeszczone oczy i sine wargi. Jego żona siedziała skulona w pobliżu stajni. Sąsiedzi schodzili się do ich domu, niosąc zakryte naczynia. Jedna z kobiet, Varda, zatrzymała się przede mną. Znałam ją; była winna drobną sumę, kiedy zaczynałam ściągać długi, i spłaciła ją trzema młodymi nioskami.

– No co? Co chcesz zabrać z ich domu? Ciało zmarłego?

Kajus też szedł do domu Olega ze swoją żoną i synem, niosąc wielki parujący dzban krupniku.

– Niech pani da spokój, pani Kubilius, jest niedziela. Wanda na pewno nie ściąga dziś długów – powiedział.

– Odrobił kopiejkę swojego długu, zawożąc Mirjem do Wyżni – wyjaśniłam. – Przyniosłam mu kwit.

– No widzi pani – rzekł Kajus do Vardy, a ta z gniewną miną popatrzyła na niego i na mnie.

– Kopiejkę! – powiedziała. – Jedną mniej jego biedna żona będzie musiała odjąć od ust swoich dzieci, żeby napęlić żydowską kiesę. Daj mi ten kwit! Ja go jej zaniosę, nie ty.

– W porządku, proszę pani – rzekłam i dałam jej pokwitowanie.

Potem wróciłam do Mirjem i powiedziałam jej, że Oleg nie żyje, znaleziono go zamrożonego i spoglądającego niewidzącymi oczami w niebo przed jego stajnią,

do której wprowadził konia i sanie.

Wysłuchała mnie w milczeniu, nic nie mówiąc. Stałam z nią przez kilka chwil, a potem, ponieważ nic innego nie przychodziło mi do głowy, powiedziałam:

– Pójdę nakarmić kozy.

A ona skinęła głową.

Następnego dnia zbierałam płatności za miastem, przy wschodniej drodze. Do tej pory już wszyscy o tym słyszeli. Pytali mnie, czy to prawda, i wyrażali żal, kiedy mówiłam, że tak. Oleg był rośłym i wesołym człowiekiem, który zimą w zajeździe stawiał piwo i wódkę swoim przyjaciom i potrafił dowieźć jakiejś wdowie drewno, kiedy sam je sobie przywoził. Nawet mój ojciec, gdy wróciłam do domu i powiedziałam mu, że Oleg nie żyje, wydał okrzyk żalu. Kiedy chowano Olega we wtorek, wdowa po nim była jedyną żałobniczką, która wyszła z cmentarza z suchymi oczyma.

Wszyscy mówili o jego śmierci, ale nie jako o czymś, co zrobił Starzyk. Pękło mu serce, mówili, potrząsając głowami. To smutne, gdy coś takiego przydarza się krzepkiemu, postawnemu i zdrowemu mężczyźnie. Jednak nie widziano niczego dziwnego w tym, że zamarznął na kość w nocy w środku zimy.

Nic nie powiedziałam o tym nikomu, tylko Siergiejowi, gdy razem staliśmy na drodze w cichym lesie, w jasnym blasku księżyca. Znów szedł, by zostać przez noc. Mirjem nie wydała polecenia, żeby przestał przychodzić, chociaż nie mógłby w żaden sposób powstrzymać Starzyka. I nie przestała nam płacić. Przez większość czasu udawało się nam zapomnieć dlaczego, wmówić sobie, że przychodzi tam tylko doglądać kóz. Tak więc nadal tam chodził i zjadał u nich dwa posiłki dziennie, a w drodze do domu zakopywaliśmy nasze grosze pod białym drzewem.

– Pamiętasz? – spytałam go, a on znieruchomiał.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co przydarzyło mu się w lesie, nigdy. Wiedziałam, że nie chce o tym mówić, ale stałam tam z nim, milcząco pytając, aż w końcu rzekł:

– Oprawiałem królika. On wyjechał spomiędzy drzew. Powiedział mi, że ten las jest jego, a ja jestem złodziejem. Potem rzekł...

Siergiej urwał, zrobił dziwną i obojętną minę, po czym potrząsnął głową. Nie pamiętał i nie chciał pamiętać.

– Czy jechał na stworzeniu z pazurami zamiast kopyt? I nosił buty z długimi noskami? – zapytałam, a Siergiej kiwnął głową.

Zatem to był ten sam: nie tylko Starzyk, ale w dodatku pan, i jeśli nie kłamał, władca całego lasu. Słyszałam, jak ludzie na targu mówili, że ten las ciągnie się aż do brzegów północnego morza. Wielki Starzykowy pan przychodził do Mirjem po złoto, a ona wiedziała, że gdyby nie zdołała mu go dostarczyć, to ją znaleźlibyśmy

martwą na podwórzu, a wokół niej ślady tych butów o długich noskach.

A wtedy nie byłoby już długu do spłacenia. Gdyby mój ojciec usłyszał, że ona nie żyje, natychmiast powiedziałyby mi, że nie muszę niczego odpracowywać. Byłby gotowy przepędzić krzykami ojca Mirjem, lecz nawet nie musiałyby tego robić. Jej matka miałaby oczy czerwone od płaczu, ale nawet pogrążona w żałobie pomyślałaby o mnie. Kiedy przyszedłabym następnym razem, powiedziałyby mi, że dług został spłacony i dość już zrobiłam. Aby nadal pracować, musiałabym powiedzieć ojcu, że mi płacą, a wtedy zabrałyby mi pieniądze. Codziennie wracałby z miasta do domu pijany, zabierał moje grosze, bił mnie i dostawał obiad. I tak byłoby już każdego dnia, zawsze.

– Moglibyśmy mu powiedzieć, że nam płacą, ale mniej – powiedziałam Siergiejowi, ale spojrzał na mnie z powątpiewaniem i zrozumiałam go. Ojciec teraz niczego nie podejrzewał. Dlaczego ktoś miałby nam płacić, kiedy miał nas za darmo i nie musiał tego robić? Gdybyśmy jednak mu powiedzieli, że nam płacą, żeby pozwolił nam tam nadal chodzić, nabrałyby podejrzeń. Poszedłby do ojca Mirjem i zapytał, ile nam płacono, a pan Mandelsztam szczerze by odpowiedział. Nie mogliśmy go prosić, żeby dla nas kłamał. Tylko popatrzyłby na nas, zgnębiony tym, że chcemy okłamać ojca i że nie może nam pomóc.

A gdyby ojciec się dowiedział, że skłamałyśmy o tym, ile nam płacono, zapytałby, ile naprawdę dostaliśmy. I wtedy wiedziałyby, że te pieniądze gdzieś są, że je ukryliśmy. A za ukrycie przed nim pieniędzy nie biłby nas pasem ani wielkimi pięściami, ale pogrzebaczem, i mógłby nie przestać nawet wtedy, gdybyśmy powiedzieli mu, gdzie one są.

Kościelne dzwony bijące chowanemu trzy dni później Olegowi brzmiały jak pobrzękiwanie dzwoneczków jego sań, dźwięczących w lesie białych drzew. To mnie znaleziono by zamarznąłą, tak jak jego, gdybym nie oddała Starzykowi jego złota, ale i tak musiałam się obawiać tego, co będzie, kiedy mu je oddam. Czy posadzi mnie za sobą na tym białym rumaku i uwiezie w ten zimny biały las, żebym na zawsze mieszkała tam samotnie, nosząc koronę z magicznego srebra? Nigdy przedtem nie współczułam córce młynarza z opowieści powtarzanej przez wieśniaków; współczułam mojemu ojcu i sobie, i byłam zła. Jednak kto naprawdę chciałby poślubić króla, który ochoczo utnie ci głowę, jeśli nie zamienisz mu srebra w złoto? Tak samo nie chciałam być królową u boku Starzyka, jak nie chciałam stać się jego niewolnicą czy bryłą lodu.

Już nie mogłam o nim zapomnieć. Teraz przez cały czas tkwił w jakimś zakątku mojej pamięci, codziennie zajmując jej większy kawałek, trochę tak jak szron pokrywający szybę. Co noc budziłam się z jękiem, trzęsąc się z zimna, którego nie

mogły odpędzić ramiona mojej matki, przerażona wspomnieniem jego srebrzystych oczu.

– Możesz zdobyć mu to złoto? – zapytała mnie tego ranka Wanda, równie nagle jak przedtem.

Nie musiałam pytać, kogo ma na myśli. Zajmowałyśmy się kozami i moja matka była na podwórzu, zaledwie kilka kroków od nas, więc nie mogłam wybuchnąć płaczem, nawet gdybym chciała; rodzice już coś podejrzewali, obserwując mnie ze zdziwieniem i niepokojem. Przycisnęłam dłoń do ust, żeby powstrzymać okrzyk protestu.

– Tak – odparłam krótko. – Tak, mogę zdobyć to złoto.

Wanda nic nie powiedziała, tylko popatrzyła na mnie z ustami zaciśniętymi w wąską linię, a mnie ścisnęło w gardle.

– Gdyby – powiedziałam do niej – gdyby coś przez jakiś czas zatrzymało mnie z daleka od domu... czy nadal będziesz przychodzić i pomagać mojemu ojcu? On będzie ci płacił. Nawet podwójnie – dodałam z nagłą desperacją. Pomyślałam o rodzicach samych w tej wiosce, beze mnie, zmuszonych stawiać czoło złości, którą wywołałam we wszystkich domach. Przez moment znów byłam na tej polanie i grzęzłam w śniegu, patrząc na wykrzywioną twarz Olega, nie zmrożoną, lecz zaczerwienioną i pełną nienawiści.

Wanda przez chwilę nie odpowiadała.

– Mój ojciec będzie chciał zatrzymać mnie w domu – powiedziała powoli.

Uniosła głowę znad koryta i zerknęła na mnie z ukosa. Popatrzyłam na nią ze zdziwieniem, ale oczywiście zrozumiałam. Nie dawała ojcu pieniędzy; nie chciałby zatrzymywać jej w domu, gdyby przynosiła mu codziennie jeden grosz. Zatrzymywała pieniądze dla siebie.

Szczotkowałam kozę, zastanawiając się nad tym. Przez cały czas sądziłam, że umawiam się z jej ojcem, nie z nią, i muszę tylko dawać mu trochę pieniędzy, więcej, niż była warta praca jego córki w gospodarstwie. Nie przyszło mi do głowy, że ona może chcieć tych pieniędzy dla siebie.

– Chcesz je mieć jako posag? – zapytałam.

– Nie! – odparła bardzo stanowczo.

Nie rozumiałam, dlaczego w takim razie pragnie ukryć te pieniądze. Zapłaciłam jej już dwanaście groszy za pracę jej i brata, a ona nadal chodziła w tej starej obszarpanej sukni i łapciach z łyka, a kiedy byłam wtedy u Gorka, żeby odebrać dług, cała jego farma wyglądała na skrajnie ubogą. Mieli na co wydać te dwanaście groszy.

– Co zrobił twój ojciec z tymi sześcioma kopiejkami, które pożyczył? – spytałam po chwili.

Powiedziała mi. Oczywiście niewiele to pomogło. Był jej ojcem. Miał prawo pożyczyć pieniądze od kogoś, kto mu da pożyczkę, miał prawo wydać je tak głupio, jak zechce, i miał prawo posłać córkę do pracy jako spłatę swego długu, a także miał prawo zabrać jej wszystkie zarobione pieniądze. Jeśli nie chciała wyjść za mąż, w żaden sposób nie mogła się od niego uwolnić. Nie powiedziała, co robi z pieniędzmi, ale nie mogła robić z nimi niczego innego, jak gromadzić je gdzieś niczym smoczyca skarb. Już by ją przyłapał, gdyby wydała je na cokolwiek; dlatego nie kupiła sobie porządnej sukni ani butów. Miała szczęście, że jej ojciec ostatnio nieczęsto przychodził do miasteczka; gdyby cokolwiek mi powiedział, gdyby głośno zarzucił mi, że wykorzystujemy biedaków, odpaliłabym mu gniewnie, bez zastanowienia, a wtedy odkryłyby prawdę. Nie chciałam myśleć, co by wtedy było. Ten człowiek przegrywający i przepijający cztery kopiejki, których nigdy nie zdołałby zwrócić, wyglądał mi na takiego, który pobiłby do utraty przytomności córkę, nie myśląc o pieniądzach, jakie mogłaby jeszcze dla niego zarobić.

– Możesz mu powiedzieć, że wyjechałam, żeby wyjść za bogacza – oświadczyłam. W końcu byłaby to prawda. – Powiedz mu, że jak tylko wrócę do domu, znów sprawdzę wszystkie księgi.

I to też byłoby prawdą.

– A kiedy... kiedy dług będzie spłacony, możesz mu powiedzieć, że proponujemy mu zapłatę w wysokości jednego grosza za tydzień w brzęczącej monecie, za pracę was dwojga. Płatne raz na miesiąc. A potem od razu daj mu cztery grosze. Kiedy je wyda, znów będzie zadłużony i nie będzie mógł odmówić. W następnym miesiącu zrób to samo.

Wanda skinęła głową bez słowa. Nagle bez zastanowienia wyciągnęłam do niej rękę i poczułam się głupio, gdy moja dłoń zawisła w powietrzu, a ona spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale zanim ją opuściłam, Wanda wyciągnęła swoją szeroką, czerwoną i szorstką dłoń. Uścisnęła moją trochę za mocno, ale nie miałam nic przeciwko temu.

– Jutro wrócę do Wyżni – oznajmiłam, trochę spokojniej. Nie sądziłam, by miejskie mury mogły powstrzymać Starzyka, ale równie dobrze mogłam spróbować. Przynajmniej nie będzie mnie w domu. Nie zostawi śladów na podwórku moich rodziców, żeby reszta wioski snuła o tym jakieś złośliwe opowieści. – Tak czy inaczej muszę tam być, kiedy przyjdzie – dodałam i opowiedziałam Wandzie o Izaakowi oraz o tym, jak zdobyłam złoto dla Starzyka.

Nie opowiedziałam jednak o tym matce; wolałam nie przypominać jej o Starzyku, nawet kiedy spytała:

– Znowu tam wracasz, tak szybko?

Cieszyłam się, że nie pamięta i dziwi się, zamiast się o mnie bać.

– Chcę przywieźć jeszcze kilka fartuszków – powiedziałam.

Tego popołudnia upewniłam się, że rejestr jest wyprowadzony na czysto, a kiedy skończyłam, wyszłam na zewnątrz i spojrzałam na nasz dom, przytulny teraz ze zrobionymi przez stolarza okiennicami, stadkiem kur i kóz hałasujących na podwórzu, a potem wzięłam koszyk i powoli przeszłam przez miasteczko. Nie wiem dlaczego. To nie był dzień targowy, a ponadto Wanda robiła obchody. Nie miałam nic do roboty w miasteczku i nic się tam nie zmieniło poza tym, że wszyscy gniewnie krzywili się do mnie, zamiast uśmiechać się drwiąco jak wtedy, gdy widok moich zelowanych butów i łachmanów przypominał im o pieniądzach, których nigdy nie zamierzali zwrócić.

Może właśnie dlatego to zrobiłam; przeszłam przez całe miasteczko tam i z powrotem, a kiedy wróciłam do domu, nie było mi żal go opuszczać. Nie kochałam miasteczka ani jego mieszkańców, chociaż był to przynajmniej znany mi teren. Nie było mi przykro, że mnie tu nie lubią, i nie żałowałam, że byłam dla nich tak surowa. Byłam zadowolona, bardzo zadowolona. Chcieli, żebym pochowała matkę, a mój ojciec został wdowcem i umarł sam. Chcieli, żebym była żebraczką w domu mojego dziadka i spędziła resztę życia jako szara kuchenna mysz. Pożarliby moją rodzinę i dłubali w zębach jej kośćmi, i wcale nie byłoby im przykro. Lepiej zostać zamienioną w lód przez Starzyka, który przynajmniej nie udawał dobrego sąsiada.

Nie było już Olega, którego mogłabym wynająć, więc następnego dnia rano poszłam i stanęłam na drodze na targ. Kiedy nadjechał sympatycznie wyglądający woźnica wielkimi saniami wyładowanymi beczkami z solonymi morskimi śledziami, zatrzymałam go i zaproponowałam pięć groszy za zawieszenie mnie do Wyżni. Mogłam zapłacić więcej, ale już dostałam nauczkę. Tym razem czekałam na starszego mężczyznę oraz starszy zaprzęg i schowałam w skrzyni porządne okrycie z futrzanym kołnierzem i mankietami. Miałam na sobie wyświechtany płaszcz mojego ojca, który zamierzałam przeznaczyć na szmaty, ponieważ kupiłam mu już nowy, podbity futrem.

Stary woźnica podczas jazdy mówił mi o swoich wnuczkach i pytał, ile mam lat; był rad, że jedna z nich, o rok młodsza ode mnie, już jest mężatką, a ja nie, i spytał, czy udaję się do miasta szukać męża.

– Zobaczymy – powiedziałam i roześmiałam się w głos z nagłą ulgą, ponieważ to było takie śmieszne.

Siedziałam na saniach z rybami w zabłoconych butach i wyglądałam jak strach na wróble w łatanym płaszczu ojca; do czego potrzebowałyby mnie Starzyk? Nie byłam księżniczką ani nawet urodziwą złotowłosą wieśniaczką. Zapewne nie

robiłoby mu żadnej różnicy, że jestem Żydówką, ale byłam niska, koścista i chuda, a mój nos był haczykowany i nieco przyduży. W rzeczy samej nie bez powodu nie byłam jeszcze mężatką: dziadek radził mi poczekać jeszcze dwa lata z pójściem do swatki, żebym trochę przytyła, a mój posag też się powiększył, co pomogłoby mi zdobyć męża na tyle rozsądnego, żeby chciał żony wnoszącej w wianie coś więcej niż urodę, ale nie tak chciwego, by wcale nie dbał o jej wygląd.

To byłby mężczyzna dla mnie, trzeźwo patrzący i rozważny człowiek, który naprawdę by mnie pragnął; nie byłam nagrodą dla króla elfów. Z pewnością Starzyk tylko żartował, ponieważ nie sądził, że poradzę sobie z tym zadaniem. Przecież nie mógł poważnie myśleć o poślubieniu mnie. Kiedy dam mu trzeci worek złota, tylko tupnie nogą ze złości – albo co bardziej prawdopodobne, pomyślałam, znów trzeźwiejąc, pomimo to zamieni mnie w lód z zemsty za to, że dowiodłam, że się mylił. Potarłam ramiona i popatrzyłam na las: dziś nie było widać Starzykowej drogi, tylko ciemne drzewa, biały śnieg i biegnący w dal lśniąca taflą lity lód rzeki.

Przybyłam do domu dziadka późno, tuż przed zachodem słońca. Babcia trzykrotnie powtórzyła, jak miło znów mnie widzieć tak szybko, i trochę niespokojnie zapytała, czy moja matka dobrze się czuje i czy już sprzedałam cały towar. Dziadek nie zadawał żadnych pytań. Bacznie spojrzął na mnie spod krzaczastych brwi i rzekł tylko:

– No, dość gadania. Prawie pora kolacji.

Rozpakowałam moje rzeczy i przy kolacji mówiłam o sprzedanych fartuszkach i ładunku wełny, który popłynie na barce dziadka, gdy w końcu stopnieje lód na rzece: trzydzieści bel, niezbyt dużo, ale zawsze coś na początek. Cieszyłam się, że otaczają mnie grube mury dziadkowego domu, solidne i prozaiczne jak nasza rozmowa. Jednak tego wieczoru, gdy robiłam na drutach z babcią w przytulnym saloniku, kuchenne drzwi za nami zagrzechotały na zawiasach i choć był to głośny dźwięk, babcia nawet nie podniosła głowy. Powoli odłożyłam robótkę, wstałam i podeszłam do drzwi. Otworzyłam je i cofnęłam się o krok: nie widać było ciasnego zaułka za Starzykiem ani ceglanej ściany sąsiedniego domu, ani stwardniałego błota pod jego nogami. Stał na zewnątrz na polance otoczonej kręgiem jasnych drzew, a za nim biała lodowa droga biegła w dal pod szarym niebem rozmytym czystym i zimnym światłem, jakby jeden krok za próg mógł mnie przenieść do innego świata.

Zamiast sakiewki przed progiem była skrzynka, kuferek z jasnego drewna wyblakłego jak kość, opasany grubymi pasami białej skóry, ze srebrnymi zawiasami i zamkiem. Uklękłam i otworzyłam go.

– Tym razem daję ci siedem dni na zwrot mego srebra zmienionego w złoto –

rzekł Starzyk swoim śpiewnym głosem, gdy gapiłam się na stertę monet w środku. Dość srebra, by zrobić koronę o mocy księżycy i gwiazd, i ani przez moment nie wątpiałam, że car poślubi Irinę, jeśli będzie miała taki posag.

Starzyk spoglądał na mnie tymi bystrymi srebrzystymi oczami, bacznie i groźnie jak jastrząb.

– Myślałaś, że drogami śmiertelników można przede mną uciec, a mury śmiertelników mnie powstrzymają? – rzekł, a ja właściwie wcale tak nie myślałam.

– Nie próbuj przede mną uciec, śmiertelniczko, bo za siedem dni przyjdę po ciebie, dokądkolwiek umkniesz.

Oznajmił to, uśmiechając się do mnie, okrutnie i z zadowoleniem, jakby był pewny, że postawił przede mną niewykonalne zadanie, co mnie rozzłościło. Wstałam, podniosłam głowę i powiedziałam chłodno:

– Będę tu, z twoim złotem.

Z jego twarzy znikł uśmiech, co mnie ucieszyło, ale zaraz za to zapłaciłam, gdyż w odpowiedzi rzekł:

– A jeśli zrobisz to, co powiedziałaś, zabiorę cię ze sobą i uczynię moją królową.

I to wcale nie wydawało się żartem tutaj, na kamiennym progu ozdobionym białym wzorem szronu, który wypełznął niczym koronka z jego gaju, i w zimnym srebrzystym blasku dobywającym się z kufierka.

– Zaczekaj! – zawołałam, gdy zaczął się odwracać, aby odejść. – Dlaczego miałbyś mnie wziąć? Musisz wiedzieć, że tak naprawdę nie potrafię czarować: nie zmienię dla ciebie srebra w złoto w twoim królestwie, jeśli mnie tam zabierzesz.

– Oczywiście, że potrafisz, śmiertelniczko – rzucił przez ramię, jakbym to ja była głupia. – Moc upragniona, poddana próbie i trzykrotnie użyta jest prawdziwa; dowodzi tego wynik.

A potem zrobił krok naprzód i grube drzwi zatrzasnęły się przed moim nosem, pozostawiając mnie z kufierkiem pełnym srebrnych monet i niepokojem.

Izaak zrobił koronę w ciągu tygodnia gorączkowej pracy, ślęcząc nad nią w swoim stoisku na targu. Topił kubki srebra i klepał je na cienkie płyty, żeby zrobić z nich koronę w kształcie wachlarza, a potem mozolnie dodawał imitujące perły krople stopionego srebra, nakładając je zgrabnymi spiralnymi wzorami, przeplatającymi się i rozchodzącymi. Pożyczył formy od wszystkich jubilerów na targu i setkami wytapiał maleńkie płaskie ogniwa, po czym zawieszał te lśniące łańcuszki tak, by łączyły jedną stronę korony z drugą i zwisały z jej szerokiego dolnego brzegu. Już na drugi dzień ludzie zaczęli przychodzić, żeby obserwować, jak pracuje. Ja siedziałam przy nim, milcząca i nieszczęśliwa, i ich odganiałam. Co wieczór

zabierał niedokończoną koronę do domu, a ja brałam coraz lżejszy kuferek, który nieśli mi dwaj słudzy dziadka. Nikt nas nie niepokoił. Nawet mali kieszonkowcy, którzy zamierzali ukraść ze stołu jedną ze srebrnych monet, byli zauroczeni ich zimnym blaskiem; kiedy podchodzili zbyt blisko, ich wargi rozchyłały się z podziwu, w oczach pojawiało się zdumienie, a gdy na nich spoglądałam, otrząsali się i znikali w tłumie.

Pod koniec piątego dnia kuferek był pusty, a korona skończona.

– Podejź tu – powiedział Izaak po złożeniu jej w całość, po czym nałożył mi ją na głowę, żeby zobaczyć, czy jest dobrze wyważona. Korona była chłodna i lekka jak cienka warstewka śniegu. W jego lusterku z brązu wyglądałam jak moje dziwne odbicie w głębokiej wodzie, ze srebrnymi gwiazdkami na czole, a wszyscy wokół mnie stopniowo zamilkli i na targowisku zapadła głęboka cisza, jak na polance, na której stał Starzyk. Chciałam wybuchnąć płaczem lub uciec; zamiast tego zdjęłam koronę z głowy i oddałam ją Izaakowi, a gdy ostrożnie spowił ją lnem i czarnym aksamitem, tłum w końcu odszedł, szepcząc.

Słudzy mojego dziadka strzegli nas w drodze do pałacu. Powitał nas tam gwar gorączkowych przygotowań: car miał przybyć za dwa dni i służba ledwie skrywała podniecenie; wszyscy wiedzieli o planach księcia i odprowadzali wzrokiem owiniętą aksamitem koronę, którą Izaak niósł korytarzami. Tym razem kazano nam czekać w ładniejszym przedpokoju, a potem przyszła po mnie przyzwoitka.

– Weź ją ze sobą. Mężczyźni zostaną tutaj – powiedziała, posyłając im ostre i podejrzliwe spojrzenie.

Zaprowadziła mnie na górę, do dwóch małych komnat, o wiele skromniejszych niż te na dole: zapewne pospolitej urody córka dotychczas nie zasługiwała na lepsze. Irina siedziała przed szklanym lustrem, sztywna jak kij od szczotki. Miała na sobie srebrzystoszarą jedwabną suknię ze śnieżnobiałym dołem i znacznie większym dekoltem, tworzącym oprawę dla naszyjnika. Jej długie i piękne włosy były zaplecione w grube warkocze, gotowe do upięcia, a dłonie kurczowo zaciśnięte.

Nerwowo ścisnęła palce, gdy przyzwoitka upinała jej warkocze, a potem ja rozpakowałam koronę i ostrożnie umieściłam na jej głowie. Rozbłysła w świetle tuzina świec i przyzwoitka zamilkła, szeroko otwartymi oczami patrząc na swoją podopieczną. Irina powoli wstała i zrobiła krok bliżej do swego odbicia w lustrze, wyciągając ku niemu rękę, jakby chciała dotknąć tej nieznajomej za szkłem.

Jakikolwiek czar rzucało to srebro na ludzi w pobliżu, to albo słabł z czasem, albo już na mnie nie działał; pragnęłam, żeby było inaczej i żeby moje oczy nie widziały niczego poza nim. Zamiast tego obserwowałam twarz Iriny w lustrze, bladą, delikatną i zmienioną, gdy spoglądała na siebie w tej koronie,

i zastanawiałam się, czy będzie zadowolona, kiedy wyjdzie za cara i opuści swoje zaciszne pokoiki dla odległego pałacu i tronu. Gdy opuściła rękę i znów odwróciła się twarzą do nas, nasze spojrzenia się spotkały; nic nie mówiłyśmy, lecz przez moment czułam się jak jej siostra. Życie nas obu było w rękach innych. Zapewne nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, tak samo jak ja.

Potem drzwi się otwarły i sam książę przyszedł ją obejrzyć. Przystanął w progu. Irina dygnęła i wyprostowała się, lekko unosząc brodę, by nie spadła jej korona; już wyglądała jak królowa. Książę spoglądał na nią ze zdumieniem, jakby nie poznawał własnej córki; po chwili otrząsnął się lekko, przerywając czar, a potem odwrócił się do mnie.

– Bardzo dobrze, panienko – powiedział bez wahania, chociaż nie odezwałam się słowem. – Dostaniesz to złoto.

Dał nam tysiąc sztuk złota: dość, abyśmy znów napełnili kufer Starzyka i zostawili kilkaset sztuk sobie. Prawdziwa fortuna, choć dla mnie teraz bezużyteczna. Słudzy dziadek zanieśli kuferek i woreczki do jego domu. Zszedł na dół, usłyszawszy okrzyki mojej babci, i spojrzał na ten skarb; potem wyjął z woreczków cztery złote monety i dał po dwie sługom, zanim ich odprawił.

– Jedną wydaj, a jedną odłóż; pamiętajcie tę mądrą zasadę – powiedział, a oni obaj skłonili się, podziękowali mu i pobiegli świętować, szturchając się łokciami i uśmiechając.

Potem odesłał z pokoju babcię, prosząc, by upiekła sernik, żeby uczcić mój sukces, a kiedy poszła do kuchni, odwrócił się do mnie i rzekł:

– A teraz, Mirjem, opowiedz mi resztę.

A ja zalałam się łzami.

Nie powiedziałam rodzicom ani babci, ale powiedziałam jemu: uważałam, że dziadek potrafi to znieść, a oni nie, i nie chciałam łamać im serc. Wiedziałam, co zrobiliby rodzice, gdyby się dowiedzieli; osłoniliby mnie własnymi ciałami przed Starzykiem, a wtedy zobaczyłabym, jak zamieni ich w lód, zanim mnie zabierze.

Gdyż teraz już wierzyłam, że mnie zabierze. Wcześniej nie widziałam w tym sensu: co za pożytek ze śmiertelniczki dla władcy elfów i dlaczego przechwałki miałyby czynić mnie godną ożenku, nawet jeśli jakoś zdołałam zebrać sześćset sztuk złota posagu? Lecz oczywiście Starzykowy król chciałby mieć królową, która naprawdę potrafi zmieniać srebro w złoto, śmiertelną czy nie. Starzyk zawsze pragnie złota.

Jednak mój dziadek tylko słuchał, gdy się przed nim wypłakiwałam.

– Przynajmniej ten cały Starzyk nie jest głupcem, skoro chce się żenić z takiego powodu. Każdemu królestwu przyniosłoby to fortunę. Co jeszcze o nim wiesz? –

Spojrzałam na niego ze zdumieniem, wciąż zapłakana. Wzruszył ramionami. –

Może nie pragnęłaś roli królowej, ale w życiu zdarzają się gorsze rzeczy.

Mówiąc to, oddał mi przysługę: zmienił to w zwyczajny związek, który można omawiać i rozważać, nawet jeśli nie jest realny. Przełknęłam ślinę, otarłam łzy i poczułam się lepiej. W końcu, jeśli rozważyć tę kwestię na zimno, była to dobra partia dla córki biedaka. Dziadek skinął głową, gdy się uspokoiłam.

– Dobrze. Spokojnie się nad tym zastanów. Panowie i królowie często biorą bez pytania, co chcą, ale mogą sobie pozwolić na takie złe maniery. Nie ma nikogo innego, prawda?

– Nie – odrzekłam, kręcąc głową.

Nie było nikogo, chociaż gdy wracaliśmy z pałacu księcia, to Izaak, zanim odszedł z czterema woreczkami złota, które mu się należały, radośnie powiedział:

– Przekaż dziadkowi, że jutro przyjdę z nim porozmawiać.

Co oznaczało, że miał już dość pieniędzy i nie musiał dłużej czekać, żeby się ożenić, a ja tak zazdrościłam Basi, że mogłabym pęknąć. Nie chodziło mi akurat o Izaaka; raczej o to, że ona wyjdzie za mężczyznę o delikatnych dłoniach i ciemnobrązowych oczach i będzie miała swój dom, w którym miłość rozkwitnie na glebie użyźnionej złotem zdobytym dzięki mnie.

– Wyjdiesz za mąż, obdarzona fortuną – rzekł dziadek, wskazując na kuferek złota, jakby wiedział, co mi leży na sercu. – A on jest dostatecznie mądry, aby cenić to, co mu wnosisz, nawet jeśli jeszcze nie zna innych twoich zalet. To dość, żeby trzymać podniesioną głowę. – Ujął dłonią moją brodę i mocno ścisnął. – Miej podniesioną głowę, Mirjem.

A ja kiwnęłam głową, zaciskając wargi, żeby już nie płakać.

Mirnatius przyjechał na wielkich krytych saniach w kolorach czerni i złota, zaprzężonych w cztery czarne konie parujące i parskające na mrozie, z żołnierzami jadącymi zwartymi szeregami z tyłu i po bokach. Zapewne byli tam też inni, na innych saniach, ale trudno było patrzeć na kogokolwiek innego, gdy szeroko otworzył drzwi i wysiadł w chmurze pary, która uniosła się w zimnym powietrzu. Jego strój też był czarny, kunsztownie haftowany złotymi nićmi, błyszczącymi na wyłogach jego grubego wełnianego płaszcza. Jego czarne włosy były długie i kręcone, i wszyscy skupiali na nim uwagę jak ćmy lecące do ognia.

Zdawkowo powitał mojego ojca, a zapytany o podróż rzucił jakąś umiarkowanie kwaśną uwagę o srożej zimie oraz wychudzonej i słabej zwierzynie. Ta wzmianka znacznie zmniejszyłaby entuzjazm mojego ojca, gdyby ten zamierzał zabawiać cara łowami – co rzeczywiście zamierzał robić, a Mirnatius najwyraźniej chciał mu za to dopieć. Ojciec jednak tylko skinął głową.

– Istotnie – powiedział – łowy niestety stały się nudne, Wasza Wysokość, ale

mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowany naszą gością.

Co dało carowi do myślenia.

Byłam niemal całkowicie ukryta za zasłoną, ale i tak cofnęłam się, gdy car podniósł głowę i omiół wzrokiem okna domu jak jastrząb usiłujący wypłoszyć jakąś zwierzynę. Na szczęście patrzył na główne piętro domu, a nie w moje okienka na poddaszu. Ojciec nie przydzielił mi nowych komnat. W świecie cara było wielu gości, na których chciał zrobić wrażenie, a poza tym miał nadzieję, że niebawem wyjadę.

Mirnatius uśmiechnął się do mojego ojca z zadowoleniem jak ktoś zamierzający dobrze się zabawić czyimś kosztem.

– Ja również mam taką nadzieję – powiedział. – Powiedz mi, Erdivilasio, jak twoja rodzina? Mała Irina musi już być dorosłą kobietą. Z pewnością piękną, jak słyszałem?

Kolejna drwina; oczywiście niczego takiego nie słyszał. Podróżowałam z ojcem, więc jego dworzanie i doradcy wiedzieli, że nie jestem żadną piękną, a na pewno nie taką, żeby zawrócić w głowie carowi – jeśli w ogóle mógł dostać zawrotu głowy, to chyba tylko od kręcenia nią w kółko jak sowa.

– Mają się dobrze, a Irina jest zdrowa, panie, i to wszystko, o co ojciec może prosić Boga – odparł ojciec. – Nie nazwałbym jej piękną, ale nie będę kłamał: myślę, że jest w niej coś więcej niż w większości dziewcząt. Zobaczysz ją tutaj i powiesz mi, czy się ze mną zgadzasz. Chętnie usłyszę twoje zdanie, gdyż jest już w odpowiednim wieku do zamążpójścia i chciałbym znaleźć godnego jej mężczyznę.

To bezceremonialne oświadczenie było niemal nieokrzesane wedle standardów dworskich rozmów, w których za punkt honoru zawsze uważano kluczenie wokół tematu, a nie przechodzenie do sedna, ale spełniło swój cel: wytrąciło Mirnatiusa z pozy dobrodusznego złośliwca. Z zamyśloną miną wszedł za ojcem do budynku. Zrozumiał wiadomość – że mój ojciec poważnie zamierza zaoferować mnie jako narzeczoną, pomimo niezwykle niekorzystnego wydźwięku politycznego takiego związku, i nie jest głupcem, który próbowałby wepchnąć carowi do łóżka brzydulę, wykorzystując do tego słabe oświetlenie i silny trunek, tak więc szykowało się coś niezwykłego.

Potem wszyscy weszli do środka, chroniąc się przed mrozem, i zostali powitani przez moją macochę oraz służbę. Stałam nieruchomo za zasłoną, gdy rozlokowano resztę carskiego orszaku; żołnierze, dworzanie i słudzy rozeszli się po wszystkich zakątkach i zakamarkach domu oraz stajni. Nie było już na co patrzeć; w moich ciasnych pokojach inne kobiety, które tłoczyły się przy oknach, już wróciły na swoje miejsca i do swoich robótek, a służące z wiadrami zajęły się opróżnianiem

wanien wciąż stojących przy kominku: w jednej umyłam się cała, a w drugiej tylko włosy.

– Wybacz, pani – nieśmiało powiedziała do mnie jedna ze służek, prosząc w ten sposób o pozwolenie użycia okienka, przy którym stałam, a poniżej którego znajdowała się rynna, więc mydliny nie opryskałyby innych okien. Odsunęłam się, robiąc jej miejsce. Moje włosy były jeszcze wilgotne i rozpuszczone na ramiona, spływając na plecy. Lekko pachniały mirtem, gdyż Magreta włożyła do wody kilka gałązek tej rośliny.

– Mówią, że on chroni przed urokami i czarami – powiedziała rzeczowo – lecz w rzeczywistości tylko ładnie pachnie.

Rozpalono na kominku, żebym nie zmarzła, więc wszystkie pozostałe kobiety zajęte robótkami były spocone i zaczerwienione z gorąca. Nie włączałam się do ich podekscytowanych rozmów. Były dla mnie niemal obcymi osobami; znałam ich twarze i imiona, ale tak naprawdę nic o nich nie wiedziałam. Macocha uważała za swoją powinność zatrudnianie ich, poznawanie i rozmawianie z nimi, żeby dobrze pracowały, ale nigdy nie włączała mnie do nadzorowania pracy służby. W końcu mogła jeszcze mieć własną córkę.

Jednak nigdy nie była dla mnie niemiła; nawet przysłała swoje najlepsze pracownice, żeby pomogły mi szyć, chociaż chciałyby wykorzystać wizytę cara jako pretekst do uszycia sobie nowych sukien. Oczywiście rozumiała zalety uzyskania przeze mnie takiej pozycji – gdyby to się udało. Gdy inne kobiety wróciły na swoje miejsca, zerknąwszy na cara, wszystkie zaczęły spoglądać na mnie z powątpiewaniem. Chciałabym je podzielać. Jednak one nie widziały mnie w tym naszyjniku i koronie. Tylko Magreta widziała, a ona załamywała ręce, kiedy sądziła, że tego nie widzę, i posyłała mi promienne krzepiące uśmiechy, kiedy myślała, że na nią patrzę.

Teraz dwie kobiety pracowały nad bielizną. Moje suknie były już gotowe i czekały, w trzech odcieniach szarości, jak zimowe niebo. Ojciec kazał je zrobić niemal bez zdobień, z dobrego jedwabiu, tylko z odrobiną białego haftu. Nosiłam jedną z nich do ostatniej przymiarki wczoraj, gdy kobieta jubilera przyniosła mi koronę; dała ją Magrecie, która włożyła mi ją na głowę, i w lustrze stałam się kobietą w mrocznym zimowym lesie. Wyciągnęłam rękę do szklanej tafli i poczułam zimno mocno szczypiące czubki moich palców. Zastanawiałam się, czy naprawdę mogłabym to zrobić: uciec do tego białego świata w lustrze. Chłód ziębiący moje palce był ostrzeżeniem: nie sądziłam, by jakiś śmiertelnik mógł żyć w tym mroźnym świecie.

Kiedy się odwróciłam, jednocześnie pragnąc i bojąc się tego, kobieta jubilera – która była w moim wieku lub trochę starsza, chociaż chuda i koścista – patrzyła na

mnie tak, jakby wiedziała, co zobaczyłam w lustrze. Chciałabym zadać jej tysiąc pytań – jak zrobiono tę koronę, jakie wykorzystano do tego srebro – ale skąd miałyby to wszystko wiedzieć? Była tylko służką. Potem przyszedł ojciec, żeby mnie obejrzeć, więc i tak nie mogłam z nią porozmawiać. Zapłacił jej bez targowania się, ale i tak tanio jak za tron; nie wydał nawet połowy zawartości tego wielkiego kufra, który wniosła w posagu moja macocha, Galina.

Ona sama przyszła do mojej komnaty trochę później, rozlokowawszy dworzan cara. Jej wystudiowany spokój był jak tafla wody, po której raz po raz rozchodzą się kręgi wywoływane przez śmigające w toni ryby.

– Tyle zamieszania – rzekła. – Piotr nie mógł zasnąć przez godzinę. Wyszły ci włosy? Ależ są długie! Zawsze o tym zapominam, gdy nosisz je upięte.

Wyraźnie miała ochotę wyciągnąć rękę i je pogłodzić, ale tylko uśmiechnęła się do mnie. Zirykowałabym się, gdyby ich dotknęła, a jednak trochę żałowałam, że tego nie zrobiła. Tak naprawdę żałowałam, że nie zrobiła tego dziesięć lat temu, kiedy byłam mała, irytująca i bez matki – dziecko innej kobiety, którą jej mąż kochał bardziej niż ja, więc wiedziałam, dlaczego tego nie zrobiła, chociaż byłoby to rozsądne.

Dobrze jednak, że mnie nie kochała i nie wzbudziła we mnie miłości, ponieważ i tak w żaden sposób nie mogłaby mi pomóc. Nie dlatego, że ojciec nie chciałby mnie słuchać lub nie uwierzyłby, gdybym mu powiedziała, że car jest czarownikiem. Wszyscy wiedzieli, że jego matka była czarownicą. Jednak ojciec tylko kazałby mi jak najszybciej urodzić dziecko, zanim car pogrąży się czarną magią, i tak zostać matką jego następcy. A ten byłby jego wnukiem – kolejnym użytecznym narzędziem, tym lepszym, gdyby jego ojciec oddał nam przysługę i umarł dostatecznie młodo, żeby trzeba było mianować regenta. Jeśli małżeństwo z takim człowiekiem było dla mnie trudne lub nieprzyjemne, to cóż: w końcu dla niego wojaczka też była trudna i nieprzyjemna. Zapewnił wysoką pozycję swojej rodzinie i moim obowiązkiem było wynieść ją jeszcze wyżej, jeśli zdołam; nie wahałby się poświęcić mnie, tak samo jak sam się poświęcał.

I dlaczego Galina miałyby bronić mnie przed takim losem? Ona też się poświęciła. Była bezdzietną wdową, która mogła wygodnie i dostatnio żyć sama, a zamiast tego wniosła mojemu ojcu w posagu kufer złota, żeby zostać księżną. Teraz mogła zostać teściową cara: tak więc okazałoby się to doskonałą inwestycją.

– Tak, pani, masz rację – powiedziała Magreta – włosy Iriny są suche. Czas je wyszczotkować.

Postawiła dla mnie krzesło w kącie i zajęła się moją głową. Powoli i delikatnie jak nigdy rozczesywała splątane włosy i cicho nucila przy tym piosenkę, którą zawsze lubiłam jako dziecko, o mądrej dziewczynce, która uciekła z chaty Baby-

Jagi w lesie.

Należyte rozczesanie moich włosów zajęło jej godzinę, a następną zaplecenie warkoczy i upięcie ich w koronę na głowie. Kamerdyner ojca przyszedł, zapukał do drzwi i podał na progu szkatułkę z biżuterią. Dziś wieczór miałam założyć tylko pierścień, jutro dodać naszyjnik, a trzeciego wieczoru koronę, żeby przesądzić sprawę, gdyby nie została rozstrzygnięta wcześniej. Zastanawiałam się, czy nie założyć innego: po matce zostało kilka srebrnych ozdób, których Galina nie chciała, między innymi pierścionek. Był ładny i dobrze wypolerowany, ale każdy, kto zobaczyłby go na mojej ręce, nie uznałby mnie za piękną.

Ojciec jednak zauważyłby różnicę, a następnego dnia miałam założyć naszyjnik, którego nie miałam czym zastąpić. Dziś wieczorem car miał tylko spojrzeć na mnie, zmarszczyć brwi i popatrzeć ponownie, żebym utkwiała mu w głowie jak cierń na cały następny dzień – tak jak mój ojciec bezwiednie nieustannie dotykał pierścienia na swoim palcu. Jutro wieczorem naprawdę zostanę wystawiona na sprzedaż, a pojutrze ojciec miał nadzieję połączyć siły z przyszłym zięciem i razem triumfalnie mnie zaprezentować.

Jednak prawdę mówiąc, pragnęłam mieć ten pierścień. Chciałam nałożyć go na palec i poczuć to chłodne srebro na mojej skórze, tylko moje. Wstałam i poszłam z Magretą do sypialni, żeby włożyć suknię. Zawiązała mi rękawy i przeciągnęła przez wielką chmurę jedwabnej koszuli, a gdy już byłam ubrana, wróciłam do saloniku i wezwałam kamerdynera. Pierścień, który ojciec nosił na swym wielkim i stwardniałym od miecza palcu, z łatwością wsunęłam na mój kciuk, gdzie dobrze pasował. Wyciągnęłam przed siebie rękę, zabłysło srebro i rozmowy siedzących wokół kobiet ucichły, a może po prostu przestałam je słyszeć. Na zewnątrz szybko zachodziło słońce i świat stawał się szaro-niebieski.

Rozdział 9

Wśród wieczorem moje ciotki ze swoimi rodzinami przyszły do domu dziadka na kolację i wszyscy gwarnym tłumem zebrali się przy stole. Moja kuzynka Basia też tam była, rzecz jasna, i kiedy rozkładaliśmy naczynia na stole, odciągnęła mnie na bok, mocno uściskała i szepnęła na ucho:

– Wszystko już uzgodnione! Dziękuję ci, Mirjem, dziękuję, dziękuję!

Po czym pocałowała mnie w policzek, zanim wróciła do kuchni. I och, dlaczego Basia nie miałaby być szczęśliwa? Wolałabym jednak, żeby mnie spoliczkowała i wyśmiała, przez co mogłabym jej nienawidzić. Nie chciałam być dobrą wróżką w jej opowieści, przynoszącą szczęście jej domowi. Skąd się biorą te wszystkie dobre wróżki i skąd mają w sobie tyle radości, żeby po całych dniach latać do mniej lub bardziej zasługujących na to dziewcząt i spełniać ich życzenia? Samotna staruszka z sąsiedztwa, która umarła nieopłakiwana i zostawiła pusty dom do splądrowania, stado kur oraz kufer pełen sukien do przeróbki, była jedyną dobrą wróżką, w jaką wierzyłam. Jak Basia śmiała mi dziękować, skoro niczego nie chciałam jej dać?

Przy stole ukroiłam sobie wielki kawał sernika i zjadłam go bez słowa, niegrzeczna, głodna i zła, usiłując sobie wmówić, że chętnie uwolnię się od nich wszystkich i zostanę królową Starzyków. Chciałam znaleźć w sobie dość chłodu, żeby tego chcieć. Jednak za bardzo byłam podobna do ojca. Chciałam uściskać Basię i cieszyć się z nią, chciałam pobiec do domu, do rodziców, i błagać, żeby mnie ratowali. Sernik miał znajomy smak, był słodki i miękki w moim ściśniętym gardle, a gdy skończyłam jeść, wymknęłam się, poszłam na górę do sypialni babci i wodą z miski obmyłam twarz. Potem przycisnęłam do niej lniany ręcznik i przez chwilę przezeń oddychałam.

Nagle usłyszałam radosny gwar dobiegający z dołu i kiedy tam wróciłam, był tam Izaak ze swoimi rodzicami. Przyszli wypić z nami kieliszek wina; rodzice Basi właśnie ogłosili ich zaręczyny, chociaż oczywiście wszyscy w domu już o nich wiedzieli. Wypiłam ich zdrowie i starałam się cieszyć, naprawdę, nawet gdy

usłyszałam, jak Izaak opowiada mojemu dziadkowi o swoich planach, stojąc przed nim i trzymając Basię za rękę; właśnie wystawiono na sprzedaż taki mały domek na tej samej ulicy, przy której mieszkali jego rodzice, kupi go od razu za złoto, które dzięki mnie zarobił, i za tydzień – za tydzień! – pobiorą się, tak szybko wszystko się ułożyło; szybko jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Dziadek pokiwał głową i powiedział, że skoro dom jest mały i odpowiedni dla nowej rodziny, to może chcieliby pobrać się w tym domu, co świadczyło o jego aprobacie: podobało mu się, że nie zamierzają wydać zbyt wiele pieniędzy na okazalszą siedzibę. Babcia już z obiema matkami zaczęła po cichu omawiać, kogo zawiadomić, a kogo zaprosić, gdy Izaak i Basia podeszli do mnie razem, oboje uśmiechnięci. Ona wyciągnęła do mnie rękę i powiedziała:

– Obiecuj nam, że przyjdiesz i zatańczysz na naszym weselu, Mirjem! To jedyny prezent, o jaki cię prosimy.

Zdołałam się uśmiechnąć i powiedzieć, że to zrobię. Jednak świece się dopalały i nie były to jedyne zaręczyny, które miały się odbyć tego wieczoru. Pośród radosnego gwaru usłyszałam pobrzękiwanie dzwonków sań, zbyt dźwięczne i dziwnie brzmiące. Stawało się coraz głośniejsze, aż dotarło przed próg; rozległ się stukot kopyt, a potem ktoś załomotał pięścią w drzwi. Nikt poza mną nie zwrócił na to uwagi. Dalej rozmawiali, śmiali się i śpiewali, chociaż ich głosy wydawały mi się stłumione przez to rozbrzmiewające echem stukanie.

Powoli odeszłam od wszystkich w salonie i ruszyłam korytarzem. Kufer pełen złota wciąż stał przy drzwiach, na wpół schowany pod płaszczami i opończami wiszącymi na wieszaku; jakoś wszyscy o nim zapomnieliśmy. Otworzyłam drzwi, a na zewnątrz na białej drodze stały odkryte sanie, wąskie, zgrabne, z jasnego drewna, zaprzężone w cztery jeleniopodobne stworzenia w uprzęży z białej skóry, z woźnicą na koźle i dwoma lokajami z tyłu. Wszyscy byli bladzi i wysocy jak... mój Starzyk, bo zapewne tak powinnam o nim myśleć, chociaż nawet w przybliżeniu nie tak dostojni. Każdy z nich miał białe włosy zaplecione w warkoczyk, tu i ówdzie kilka skrzących się paciorków i stroje w różnych odcieniach szarości.

Ich pan stał w progu i przybył wystrojony: tym razem miał na głowie koronę, opaskę ze złota i srebra z zębami sterczącymi jak ostre liście jemioly, z jasnymi klejnotami osadzonymi na środku każdego. Był odziany w strój z białej skóry i obsyty białym futrem płaszcz, z którego rąbka zwisały liczne przezroczyste kryształki niczym falbanka ze szkła. Spojrzał na mnie z góry z gniewną i niezadowoloną miną, krzywiąc usta, jakby nie podobało mu się to, co widzi. Bo i co miało mu się podobać? Miałam na sobie moją najlepszą suknię, z rękawami zdobionymi na mankietach czerwonym haftem i dołem w tym samym kolorze,

wełnianą kamizelkę i fartuszek w pomarańczowy wzór, ale nie był to wykwintny strój: ubranie córki kupca, nic więcej, nawet złote guziczki przy kamizelce i kołnierzyk z czarnego futra świadczyły jedynie o umiarkowanym powodzeniu w interesach. Mała, smagła i kruczowłosa, byłam absurdalną kandydatką na jego żonę, więc zanim zdążył coś powiedzieć, wypaliłam:

– Nie możesz chcieć mnie poślubić. Co by wszyscy pomyśleli?

Jeszcze bardziej się skrzywił i przeszył mnie wzrokiem.

– Co obiecałem, to zrobię – syknął do mnie – choćby przez to skończył się świat. Czy zamieniłaś moje srebro w złoto?

Tym razem nawet nie powiedział tego groźnym tonem, jakby stracił nadzieję, że mi się nie powiedzie. Pochyliłam się, złapałam za wieko skrzynki i otworzyłam ją tam, gdzie stała, między płaszczami i wełnianymi opończami; sama nie zdołałabym nawet przesunąć jej do jego stóp.

– Masz! – powiedziałam. – Zabierz je i zostaw mnie w spokoju; to nonsens zenić się ze mną, kiedy ani ty tego nie chcesz, ani ja. Dlaczego nie obiecałeś mi jakiegoś drobiazgu?

– Tylko śmiertelnik może tak mówić o zapłacie fałszywą monetą i niewdzięczności – rzekł z pogardą, a ja przeszyłam go wzrokiem, zadowolona, że mogę się gniewać, zamiast bać.

– Moje księgi rachunkowe są prowadzone uczciwie – powiedziałam – i nie nazwałabym nagrodą odciągania mnie od domu i rodziny.

– Nagrodą? – powtórzył Starzyk. – Kim dla mnie jesteś, żebym miał cię nagradzać? To ty domagałaś się uczciwej zapłaty za dar wysokiej magii; myślałaś, że zniżyłbym się do udawania, że jestem jednym z pospólstwa, niezdolnym spełnić to żądanie? Jestem panem szklanej góry, nie jakimś bezimiennym chłystkiem, i nie zostawiam żadnych niespłaconych długów. Trzykrotnie dowiodłaś prawdziwości twego daru, nieważne dzięki jakiemu szczęśliwemu trafowi – dodał, wyraźnie tym sfrustrowany – zatem nie okażę się oszustem, obojętnie, jaki będzie tego koszt.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja zawołałam rozpaczliwie:

– Nawet nie wiem, jak ci na imię!

Spojrzał na mnie z takim gniewem, jakbym zażądała, aby uciął sobie głowę.

– Moje imię? Chcesz znać moje imię? Będziesz miała moją rękę, koronę, i tym się zadowolisz; jak śmiesz domagać się więcej?

Złapał mnie za przegub lodowato zimnymi urękawiczonymi palcami, a potem szarpnięciem pociągnął za próg. Zimno opuściło mnie jak wschodzące słońce umykające po szerokiej rzece, chociaż stałam w tym białym lesie, ze śniegiem pod miękkimi domowymi kapciami, i nie miałam nawet szala na ramionach. Usiłowałam się wyrwać. Trzymał mnie potwornie mocno, lecz gdy szarpnęłam się

z całej siły, puścił mnie. Potoczyłam się po śniegu i wstałam, jednocześnie odwracając się i zamierzając uciec.

Jednak nie miałam dokąd. Za mną i przede mną była tylko ta droga biegnąca między białe drzewa, i nigdzie nie było widać domu mojego dziadka ani miejskich murów. Została tylko ta biała jak kość skrzynia, z otwartym wiekiem. W zimnym blasku lasu złoto w niej lśniło, jakby każda moneta miała w środku uwięzione słońce i mogła się stopić jak masło, gdybyś ją podniósł.

Dwaj słudzy przeszli obok mnie i starannie, niemal z szacunkiem zamknęli wieko. Na ich twarzach ujrzałam tę samą tęsknotę, którą widziałam na targu w oczach ludzi urzeczonych magicznym srebrem. Z takim samym szacunkiem i łatwością podnieśli skrzynię, choć dwaj krzepcy słudzy mojego dziadka ledwie ją taszczyli, stękając. Odwróciłam się, odprowadzając ją wzrokiem, gdy nieśli ją do sań, po czym wrócili do Starzykowego pana. Ten władczo skinął na mnie ręką.

Co miałam robić? Podeszłam do niego, brnąc w głębokim śniegu, po czym wspierałam się za nim na sanie. Pocieszało mnie tylko to, że siedział sztywno wyprostowany i w pewnej odległości ode mnie, nie przesuwając się ani na cal od środka sań.

– Ruszaj – ostro rzucił do woźnicy i z głośnym brzękiem dzwoneczków uprząży pojechaliśmy szeroką białą drogą. Na dnie sań leżał pled z białych futer i okryłam nim kolana, żeby poczuć ich miękkość w zaciśniętych palcach. Wcale nie było mi zimno.

Siedziałyśmy z Magretą w gabinecie mojego ojca, czekając, aż nas wezwie. Już słyszałam dochodzącą z dołu muzykę, ale chciał, by wieczorna zabawa potrwała chwilę, zanim tam wejść, nie ostentacyjnie, lecz subtelnie, i spokojnie usiądę u boku macochy. Magreta nadal szyła, wesoło wyliczając wszystkie lniane elementy wyposażenia mojej skrzyni posagowej, tylko że jej głos cichł i milkł zupełnie, ilekroć poruszyłam ręką i widziała srebrny pierścień. Gdy Galina przyszła mi powiedzieć, żebym zaczekała w gabinecie, nawet ona przystanąła i spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem.

Nie próbowałam czytać. Na podołku miałam książkę wziętą z półki mojego ojca, co było rzadką przyjemnością, którą teraz nie potrafiłam się cieszyć. Spoglądałam na obrazek bajarki i sułtana, na dzina wyłaniającego się z dymu kaganka między jej rozłożonymi rękami, i nie mogłam doczytać nawet jednego zdania. Za oknem widziałam wciąż sypiący śnieg. Zaczął padać nagle późnym popołudniem, bardzo gęsty, jakby drwiąco uniemożliwiając mi i tak nierealną ucieczkę.

Z dołu dobiegł mnie ryk śmiechu, który niemal zagłuszył szcęk klamki, ale usłyszałam jej zgrzyt i pospiesznie zamknęłam leżącą na podołku książkę,

ukrywając pod nią dłoń z pierścieniem. Było za wcześnie, żeby ojciec przysłał kogoś po mnie, więc jakoś nie zdziwił mnie widok stojącego w progu Mirnatiusa, który wymknął się z uczty. Siedząca obok mnie Magreta zamilkła i znieruchomiała, zaciskając dłonie na robótce. Moja twarz nie była zasłonięta woalką i byliśmy sami, więc powinna była go wygonić. Tyle że oczywiście był carem, a nawet gdyby nim nie był, wiedziała, kim jest poza tym.

– No, no – rzekł, wchodząc do komnaty. – Moja mała obrończyni wiewiórek, która trochę już urosła. Niestety, nie sędzę, żeby można cię nazwać piękną – dodał z uśmiechem.

– Nie, panie – powiedziałam.

Nie mogłam się zmusić do spuszczenia oczu. On był piękny, a widziany z bliska jeszcze piękniejszy: miękkie zmysłowe usta okolone krótko przyciętą brodą i te nieziemskie oczy jak diamenty. Nie dlatego jednak nie odrywałam oczu od jego twarzy. Zbyt się go obawiałam, żeby odwrócić wzrok, jak mysz obserwująca krążącego kota.

– Nie? – powtórzył cicho i zbliżył się o kolejny krok.

Wstałam z krzesła, żeby nie górował nade mną. Drżąca Magreta stanęła obok mnie, a kiedy wyciągnął ku mnie rękę, w rozpaczliwej próbie obrony wypaliła:

– Czy Wasza Wysokość zechce wypić kieliszek winiaku?

Miała na myśli stojącą na komodzie butelkę i kryształowy kieliszek.

– Tak – odparł bez namysłu. – Ale nie tego. Winiaku, który podają na dole. Idź i go przynieś.

Magreta stała przy mnie jak wmurowana, szukając wzrokiem ratunku.

– Nie wolno jej zostawiać mnie samej – powiedziałam.

– Nie wolno? Nonsens. Ja jej pozwalam. Osobiście będę strzegł twojego honoru. Idź – zwrócił się do niej.

Słyszając ten rozkaz, wzdrygnęłam się, jakby dotknął mnie rozżarzoną żelazem, a Magreta wybiegła z komnaty.

Gdy skierował na mnie spojrzenie, mocno zacisnęłam palce na pierścieniu, z wdzięcznością wchłaniając jego chłód. Car zrobił następny krok, ujął moją brodę i poderwał w górę.

– Cóż więc powiedziałaś swemu ojcu, moja dzielna szara wiewiórko, że pomyślał, iż może mnie zmusić do ożenku z tobą?

Zatem uważał, że mój ojciec zamierza go szantażować.

– Panie? – rzekłam, wciąż usiłując trzymać się sztywnych ram dobrych manier, ale on zacisnął palce.

– Twój ojciec ochoczo wydaje pieniądze na rozrywki, a dotychczas nigdy nie sięgał tak głęboko do sakiewki. – Przesunął kciukiem po moim policzku,

pochylając się; wydało mi się, że wyczuwam w nim zapach magii, ostrą i drażniącą mieszaninę cynamonu, pieprzu i sosnowej żywicy, a także zamaskowaną nimi woń spalonego drewna. To było równie urocze i uwodzicielskie jak cała reszta i miałam wrażenie, że się duszę. – Powiedz mi – dodał cicho i te słowa ogrzały mi twarz jak oddech pokrywający mgiełką chłodną tafłę szyby w zimie.

Lecz pierścień pozostał zimny i mój rumieniec zbladł. Nie musiałam mu nic mówić. Jednak brak odpowiedzi sam w sobie byłby odpowiedzią.

– Nic. Nie zrobiłabym tego – odparłam, częściowo szczerze, usiłując odsunąć się od niego.

– Dlaczego nie? Nie chcesz być carycą w złotej koronie? – spytał drwiąco.

– Nie – powiedziałam i cofnęłam się o krok.

Zaskoczony rozluźnił chwyt i jego palce ześliznęły się z mojej twarzy. Patrzył na mnie i nagle na jego twarzy pojawiło się przerażające pożądanie, na moment zniekształcające piękne rysy jak falujące powietrze nad ogniskiem. Wydało mi się, że niemal widzę błysk w jego oczach, gdy zrobił kolejny krok ku mnie – lecz wtedy otworzyły się drzwi i do komnaty wszedł mój ojciec, zaniepokojony i rozgniewany: pokrzyżowano mu plany, a on nic nie mógł na to poradzić.

– Panie – powiedział i zacisnął wargi, widząc, że chowam dłoń pod książkę. –

Właśnie chciałem przyprowadzić Irinę na dół. Miło z twojej strony, że się nią zaopiekowałeś.

Podszedł do mnie i wyciągnął rękę po książkę, a ja niechętnie mu ją dałam i srebro pierścienia rozbłysło zimno między nami, gdy ją brał. Spojrzałam na Mirnatiusa i w ponurym milczeniu spodziewałam się, że zaraz ze zdziwieniem zmarszczy brwi, gdy zadziała na niego czar, lecz w jego oczach już palił się błysk pożądania i zadowolenia, a wyraz jego twarzy wcale się nie zmienił. Obserwował mnie, tylko mnie, i nawet nie zerknął na pierścień.

Patrzył jeszcze przez chwilę, po czym zamrugął i z jego oczu znikł ten gorączkowy błysk, gdy odwrócił się do mojego ojca.

– Musisz mi wybaczyć, Erdivilasie – rzekł po namyśle. – Twoje słowa rozbudziły we mnie nieodpartą chęć ponownego ujrzenia Iriny z dala od zgiełku sali. Wcale nie przesadzałeś. Istotnie jest w niej coś niezwykłego.

Ojciec milczał zdziwiony; jakby królik nagle zawrócił i rzucił się na ogara. Jednak determinacja pomogła mu pokonać zaskoczenie.

– Mówiąc to, czynisz zaszczyt mojemu domowi.

– Tak – rzekł Mirnatius. – Może zejdzie na dół bez nas. Sądzę, że powinniśmy natychmiast omówić jej zamążpójście. Myślę, że jest jej przeznaczony bardzo konkretny narzeczonej, i muszę cię ostrzec, że nie grzeszy cierpliwością.

Rozdział 10

Wando, widziałaś Mirjem? – codziennie przez cały ten tydzień pytał mnie jej ojciec, a ja za każdym razem przypominałam mu, że pojechała do Wyżni. Na co odpowiadał: – Och, oczywiście, jakże jestem głupi, że zapomniałem.

Każdego dnia przy obiedzie matka Mirjem stawiała dla niej talerz i nakładała nań jedzenie, a potem oboje znów wyglądali na zdziwionych, kiedy odkrywali, że jej nie ma. Nic nie mówiłam, ponieważ dawali mi większą porcję.

Zbierałam płatności i starannie zapisywałam je w książce. Zajmowaliśmy się z Siergiejem kozami i kurami. Sprzątaliśmy podwórze, omiatając świeży śnieg z ubitego. W środę poszłam na targ i zrobiłam zakupy, i pewien człowiek, który przyjechał z północy sprzedawać ryby, zapytał mnie, czy Mirjem zostały jakieś fartuszki: widział je na paru kobietach i chciał kupić takie dla swoich trzech córek. W domu zostały jeszcze trzy fartuszki. Poczułam ściskanie w gardle.

– Mogę pójść i je przynieść, jeśli chcesz – powiedziałam w przypływie odwagi.
– Dwie kopiejki za każdy.

– Dwie kopiejki! – wykrzyknął. – Nie mogę dać więcej niż jedną.

– Nie mogę zmienić ceny – odrzekłam. – Mojej pani nie ma. Nikomu nie sprzedawała ich taniej – dodałam.

Zmarszczył brwi, ale się zgodził.

– Cóż, wezmę dwa.

A gdy skinęłam głową i powiedziałam, że pójdę po nie, zawołał za mną, żebym przyniosła wszystkie trzy. Poszłam, wzięłam te fartuszki i zaniósłam mu je. Obejrzał je bardzo dokładnie, szukając luźnych ściągów i przebarwień. Potem wyjął sakiewkę i odliczył mi do ręki pieniądze: jedną, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć kopiejek. Sześć kopiejek błyszczących w mojej dłoni. Nie były moje, ale zacisnęłam na nich palce.

– Dziękuję panu – powiedziałam.

Potem wzięłam koszyk i wyszłam z targowiska, a kiedy już nikt mnie nie

widział, rzuciłam się pędem i biegłam przez resztę drogi do domu. Wpadłam tam zdyszana. Matka Mirjem nakrywała do stołu. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Sprzedałam fartuszki – oznajmiłam.

Myślałam, że się rozpłaczę. Przełknęłam ślinę i dałam jej pieniądze.

Wyciągnęła rękę i wzięła je, ale nawet nie spojrzała na monety. Dotknęła mojej twarzy – małą i chudą, ale ciepłą dłonią.

– Wando, jak poradzilibyśmy sobie bez ciebie? – powiedziała z uśmiechem.

Odwróciła się, żeby wrzucić monety do dzbanka na półce. Ukryłam twarz w dłoniach, a potem otarłam oczy fartuchem, zanim usiadłam do stołu.

Znów ugotowała za dużo.

– Wando, mogłabyś zjeść trochę więcej? Szkoda, żeby jedzenie się zmarnowało – ponownie powiedział jej ojciec, przysuwając mi czwarty talerz.

Matka Mirjem z dziwną miną spoglądała przez okno, lekko stropiona.

– Jak dawno wyjechała Mirjem? – zapytała powoli.

– Tydzień temu – odrzekłam.

– Tydzień – powtórzyła, jakby próbowała to sobie zapamiętać.

– Będzie w domu, zanim się obejrzysz, Rachelo – powiedział jej mąż pocieszająco, jakby sam usiłował się przekonać.

– To długa droga – rzekła. Wciąż miała tę dziwną, zaniepokojoną minę. – Tak daleko pojechała. – A potem otrząsnęła się i spojrzała na mnie. – Cóż, Wando, tak się cieszę, widząc, że smakuje ci jedzenie.

Nie wiem dlaczego, lecz w tym momencie przyszła mi do głowy ta myśl: Mirjem nie wróci.

– Jest bardzo dobre – odparłam. Wciąż ścisnęło mnie w gardle. – Dziękuję.

Dała mi grosz za dniówkę i powoli poszłam do domu. Pomyślałam, że Mirjem zawsze będzie miała wkrótce wrócić. A oni będą na nią czekać bez końca. Codziennie będą stawiali dla niej talerz. Codziennie będą się dziwili, że nie wraca. Każdego dnia będą oddawali mi jej porcję. Może dadzą mi także część innych jej rzeczy. Zajęłabym się jej pracą, a matka Mirjem znów uśmiechałaby się do mnie tak jak dziś. Jej ojciec nauczyłby mnie nowych liczb. Próbowałam nie pragnąć tych rzeczy. To było tak, jakbym chciała, żeby ona nie wróciła.

Zakopałam mój grosz pod drzewem, a potem poszłam do domu i przystanąłam przed drzwiami. Idąc drogą, przez cały czas widziałam na niej ślady nóg. Nie było w tym nic dziwnego. Przy tej drodze mieszkali też inni ludzie. Teraz jednak zauważyłam, że te ślady zeszły z drogi i ciągnęły się aż do drzwi mojego domu: dwóch ludzi w skórzanych butach, co było bardzo dziwne. To nie była pora odwiedzin poborcy. Powoli podeszłam bliżej. Gdy byłam tuż przy drzwiach, usłyszałam śmiech i męskie głosy wznoszące toast. Pili. Nie chciałam wchodzić,

ale musiałam. Zmarzłam w drodze i musiałam ogrzać stopy oraz dłonie.

Otworzyłam drzwi. Nie miałam pojęcia, co zastanę. Wszystko by mnie zdziwiło. W domu byli Kajus i jego syn Lukas. Na stole stały duży dzban krupniku i trzy kubki. Ojciec miał zaczerwienioną twarz, więc pili już od jakiegoś czasu. Stepon kulił się w kącie przy palenisku, starając się nie rzucać w oczy. Spojrzał na mnie.

– No i jest! – rzekł Kajus, gdy weszłam do chaty. – Zamknij drzwi, Wando, i podejdź świętować z nami. No już, Lukas, pomóż jej!

Lukas wstał, podszedł do mnie i próbował pomóc mi zdjąć szal. Nie rozumiałam, po co się fatyguje. Zdjęłam go sama i powiesiłam przy ogniu, a z nim moją chustę. Odwróciłam się. Kajus uśmiechał się do mnie promiennie.

– Jestem pewny, że żal ci będzie ją stracić – powiedział do mojego ojca – ale taki to już los człowieka, który ma córkę! I jej dom będzie niedaleko. – Stałam nieruchomo. Spojrzałam na Stepona. – Wando – ciągnął Kajus – wszystko uzgodniliśmy! Wyjdiesz za Lukasa.

Popatrzyłam na Lukasa. Nie wyglądał na zadowolonego, ale też i nie był specjalnie zasmucony. Spoglądał na mnie z namysłem. Byłam dla niego świnią, którą postanowił kupić na targu. Miał nadzieję, że dobrze przybiorę na wadze i dam mu wiele prosiaków, zanim przyjdzie czas, żeby zrobić ze mnie boczek.

– Oczywiście twój ojciec opowiedział mi o tej sprawie z długim – rzekł Kajus. – Jednak powiedziałem mu, że nie będzie już musiał go spłacać. Ja go przejmę i od tej pory będziesz pracować dla mnie. I co tydzień będziesz tu przychodzić i przynosić mu dzban mojego najlepszego krupniku, żeby nie zapomniał, jak wygląda jego córka. Za twoje zdrowie i szczęście!

Podniósł kieliszek w toaście i umoczył wargi, a ojciec uniósł swój i wypił do dna. Kajus natychmiast znów mu nalał.

Tak więc mój ojciec nie miał dostać za mnie nawet mlecznej kozy ani paru świń. Nie będzie dostawał czterech groszy na miesiąc. Sprzedał mnie za wódkę. Za dzban krupniku tygodniowo. Kajus wciąż się uśmiechał. Widocznie domyślił się, że płacą mi pieniędzmi. Albo pomyślał, że jeśli będę należeć do jego rodziny, Mirjem zmniejszy jego dług. I tak by się stało, gdyby poszedł i porozmawiał z jej ojcem. Ten umorzyłby mu cały dług. W prezencie ślubnym dla mnie. Wtedy Kajus może pozwoliliby mi nadal u nich pracować, ale żądałby od nich coraz więcej pieniędzy. Mirjem nie było. Nie mogła tu przyjść i go powstrzymać. Zostali tylko jej rodzice, ale oni nie poradziliby sobie z Kajusem. Nie poradziliby sobie z nikim.

– Nie – powiedziałam.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Ojciec zamrugał.

– Co takiego? – wybełkotał.

– Nie – powtórzyłam. – Nie wyjdę za Lukasa.

Kajus przestał się uśmiechać.

– Słuchaj, Wanda – zaczął.

Ojciec jednak nie czekał, aż dokończy. Zerwał się i uderzył mnie w twarz tak mocno, że upadłam na ziemię.

– Ty mówisz nie? – ryknął. – Mówisz nie! Myślisz, że kto jest panem w tym domu? Nie będziesz mi mówić nie! Zamknij pysk! Poślubisz go jeszcze dziś, głupia krowo!

Złapał za pas i próbował go zdjąć, ale nie mógł odpiąć sprzączki.

– Gorek, ona była tylko zaskoczona – rzekł Kajus, wyciągając rękę, ale nie wstając. – Jestem pewny, że za chwilę to przemyśli.

– Nauczę ją myśleć szybciej! – wrzasnął ojciec, złapał mnie za włosy i zaczął wlec.

Zobaczyłam Lukasa. Wycofał się do drzwi. Wyglądał na przestraszonego. Mój ojciec był wielkim mężczyzną, większym niż on i Kajus.

– Mówisz nie? – powtarzał raz po raz, bijąc mnie po twarzy.

Próbowałam osłonić głowę, ale odtrącił moje ręce.

– Gorek, ona nie będzie dobrze wyglądała na swoim weselu – rzekł Kajus, jakby próbując obrócić wszystko w żart.

Mimo dzwonienia w uszach usłyszałam w jego głosie nutę strachu.

– Kogo obchodzi jej twarz! – powiedział ojciec. – Dostanie ten kawałek kobiety, którego potrzebuje. Nie zasłaniaj się rękami! – wrzasnął na mnie. – Mówisz nie?

Zaniechał prób zdjęcia pasa. Rzucił mnie na ziemię przy palenisku i złapał pogrzebacz.

A wtedy Stepon powiedział: „Nie” i złapał za koniec pogrzebacza. Ojciec znieruchomiał. Nawet na wpół oślepią łzami uniosłam głowę, żeby popatrzeć ze zdumieniem. Stepon nadal był mały i chudy jak roczne drzewko. Ojciec mógłby podnieść go w górę razem z pogrzebaczem. Pomimo to Stepon oburącz trzymał pogrzebacz i ponownie powiedział ojcu: „Nie!”.

Ojciec był tak zaskoczony, że na moment znieruchomiał. Potem próbował wyrwać pogrzebacz, ale Stepon trzymał go mocno, więc tylko przyciągnął go do siebie. Złapał Stepona za ramię i usiłował odepchnąć, ale pogrzebacz był dłuższy niż jego ręka, a on był zbyt pijany, by go puścić, więc zaczął nim szarpać, a Stepon zataczał się po izbie, wciąż nie puszczając drugiego końca. Ojciec wpadał w coraz większy gniew, aż w końcu z nieartykułowanym okrzykiem puścił pogrzebacz, złapał Stepona i uderzył go pięścią w twarz.

Stepon upadł z twarzą zalaną krwią, nadal ściskając pogrzebacz.

– Nie! – wyszlochał znowu.

Ojciec był tak wściekły, że już nawet nie mógł wrzeszczeć. Złapał stół

i uderzył nim Stepona w plecy, łamiąc mebel na kawałki. Stepon rozciągnął się na ziemi. Ojciec podniósł nogę od stołka i zaczął bić go nią po rękach, aż w końcu brat z krzykiem puścił pogrzebacz. Ojciec natychmiast go złapał.

Miał purpurową z wściekłości twarz i przekrwione oczy. Ściągnięte wargi odsłaniały zęby. Gdyby teraz zaczął bić Stepona pogrzebaczem, nie przestałby, aż by go zabił.

– Wyjdę za Lukasa! – zawołałam. – Tato, wyjdę za niego!

Kiedy jednak uniosłam spuchniętą twarz i się rozejrzałam, Lukasa już nie było, a Kajus chyłkiem zmierzał do drzwi.

– Gdzie idziesz? – ryknął na niego ojciec.

– Cóż, jeśli dziewczyna nie chce, to sprawa zamknięta! – rzekł Kajus. – Lukas nie pragnie dziewczyny, która go nie chce.

Miał na myśli to, że nie chce czegoś takiego w swoim domu. Przyszedł tu ze swoim krupnikiem i chytrym planem, spił ojca i rozpałił w nim gniew, a teraz ten ogień trawił wszystko, więc chciał przed nim uciec.

Bo mógł uciec. Zamierzał to zrobić, a Lukas już czmychnął. Ojciec nie mógł ich do niczego zmusić, choćby nie wiem jak głośno na nich ryczał. Byli bogatymi ludźmi z miasta, płacącymi wysokie podatki. Gdyby próbował ich bić, poskarżyliby się bojarowi, a ten kazałby ojca wychłostać. Ojciec o tym wiedział.

– To przez ciebie! – wrzasnął do mnie. – Jaki mężczyzna chciałby mieć kobietę nieznającą moresu!

Podchodził, żeby uderzyć mnie pogrzebaczem, a Kajus otworzył drzwi, w których stanął Siergiej. Usłyszał nasze krzyki. Wpadł do środka i złapał pogrzebacz, zanim ten spadł na moją głowę. Ojciec próbował mu go wyrwać, ale nie zdołał. Siergiej mocno go trzymał. Był teraz równie wysoki jak ojciec i już trochę przybrał na wadze, jadając dwa razy dziennie w domu Mirjem. A ojciec schudł przez zimę i z pijaństwa. Ponownie spróbował wyrwać pogrzebacz, a potem uderzyć Siergieja pięścią, ale brat był silniejszy. Odebrał mu pogrzebacz i uderzył go nim w głowę.

Myślę, że to najbardziej zaskoczyło tatę: że ktoś go uderzył. Nikt nigdy się z nim nie bił, nawet w mieście. Był zbyt duży. Zatoczył się, potknął o wciąż skulonego na podłodze Stepona i runął na wznak. Rąbnął głową o brzeg garnka z kaszą i wyrzucił kij, na którym gar był zawieszony. Upadł w ogień i wrząca zawartość wylądowała na jego twarzy.

Kajus jęknął i wybiegł z domu, gdy tato zaczął z wrzaskiem tarzać się po ziemi. Poparzyłam sobie dłonie, zdejmując z niego gar, i razem z Siergiejem wywlekliśmy go z popiołu, ale jego włosy i ubranie już stały w ogniu. Całą twarz miał w pęcherzach, a oczy wytrzeszczone jak dwie cebule pod spuchniętymi powiekami.

Zdusiliśmy płomienie, narzucając na nie nasze ubrania. Do tego czasu przestał wrzeszczeć i znieruchomiał.

Staliśmy nad nim we troje. Nie wiedzieliśmy, co robić. Już nie wyglądał jak człowiek. Jego głowa była wielką obrzmiałą banią, białą oprócz kilku czerwonych miejsc. Nic nie mówił i nie ruszał się.

– Nie żyje? – spytał w końcu Siergiej.

Tato nadal się nie poruszył i nic nie powiedział, więc zrozumieliśmy, że nie żyje.

Stepon odwrócił się i z przerażeniem spojrzał na Siergieja i na mnie. Miał zakrwawioną twarz i złamany nos. Chciał wiedzieć, co zrobimy. Siergiej był blady. Przełknął ślinę.

– Kajus powie wszystkim – rzekł. – Powie im...

Kajus powie wszystkim, że Siergiej zabił ojca. Ludzie bojara przyjdą, zabiorą go i powieszą. Nie będzie miało znaczenia, że Siergiej nie chciał go zabić. Nie będzie miało znaczenia, że ojciec chciał nas pozabijać. Nie wolno zabijać ojca. Może zabiorą i mnie. Kajus opowie wszystkim, że nie chciałam wyjść za jego syna i Siergiej zabił ojca, żeby przestał mnie za to bić. Tak więc zrobiliśmy to razem. Tak czy inaczej, Siergieja powieszą na pewno. A nawet jeśli nie wezmą i nie powieszą mnie, bojar zabierze farmę i da ją komuś innemu. Stepon jest za mały, żeby uprawiać ziemię, a ja jestem kobietą.

– Musimy stąd odejść – powiedziałam.

Poszliśmy do białego drzewa. Wykopaliśmy grosze. Było ich zaledwie dwadzieścia dwa, ale tylko tyle mieliśmy. Popatrzyliśmy na nie. Teraz już wiedziałam, co można kupić za dwadzieścia dwa grosze. Niewiele jedzenia i picia dla trzech osób, a będziemy musieli przebyć długą drogę, żeby znaleźć gdzieś pracę.

– Stepon – powiedziałam – musisz pójść do pani Mandelsztam. – Stepon zerknął na mnie. Był przestraszony. – Jesteś mały. Nikt nie powie, że ty to zrobiłeś. Ona pozwoli ci tam zostać.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – spytał Siergiej. – Nie przyda się im.

– Może doglądać kóz – wyjaśniłam.

Powiedziałam to tylko po to, żeby Stepon i Siergiej poczuli się lepiej. Wiedziałam, że matka Mirjem pozwoliłaby mu zostać, nawet gdyby niczego nie potrafił robić. Jednak naprawdę będzie tam przydatny. Stepon doskonale radził sobie z kozami. Tak więc nawet jeśli już nikt nie będzie zbierał płatności, nie będą głodowali. Ponadto będą mieli towarzystwo przez te wszystkie dni nieobecności Mirjem. Po chwili Stepon otarł oczy i kiwnął głową. Zrozumiał. Siergiej i ja mogliśmy iść szybciej i dłużej. Mogliśmy pracować i otrzymywać zapłatę. On

jeszcze nie. Tak będzie bezpieczniej dla nas wszystkich. Jednak to oznaczało rozstanie, może na zawsze. Siergiej i ja już nie mogliśmy tu wrócić. A Stepon nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy.

– Przepraszam, mam – powiedziałam do drzewa.

Pieniądze jednak ściągnęły na nas kłopoty. Powinniśmy jej byli posłuchać. Wiatr poruszył białymi liśćmi z dźwiękiem przypominającym przeciągłe westchnienie. Potem drzewo powoli pochyliło ku nam trzy niskie gałęzie, dotykając nimi naszych ramion. Jakby ktoś położył dłoń na mojej głowie. Na gałęzi dotykającej ramienia Stepona wisiał jeden bieluteńki owoc, dojrzały orzech. Brat spojrzał nań i na nas.

– Weź go – powiedziałam.

Tak było sprawiedliwie. Mama już raz uratowała mnie i Siergieja, a ponadto to my ściągnęliśmy na nas kłopoty. Stepon nie prosił się o nie.

Tak więc Stepon zerwał orzech i schował go do kieszeni, a wtedy Siergiej zapytał mnie:

– Dokąd pójdziemy?

– Najpierw udamy się do Wyżni – odpowiedziałam po chwili. – Możemy znaleźć dziadka Mirjem. Może on da nam jakąś pracę.

Wiedziałam, że jej dziadek nazywa się Moszel, ale nie sądziłam, że zdołamy znaleźć Wyżnię i jego. Musieliśmy jednak zmierzać do jakiegoś celu. Ponadto pamiętałam, że Mirjem mówiła coś o wysyłaniu wełny na południe, gdy rzeka odtaje. Gdybyśmy zdołali popłynąć rzeką na południe, za Wyżnię, przestano by nas szukać. Nikt nie ścigałby nas aż tak daleko.

Siergiej kiwnął głową, gdy mu to powiedziałam. Poszliśmy do zagrody i uwiązaliśmy na sznurku nasze cztery chude kozy. Stepon wziął je i powoli odszedł z nimi drogą, oglądając się za siebie co kilka kroków, aż znikł nam z oczu. Wtedy podzieliliśmy między siebie nasze grosze, po połowie, po czym schowaliśmy je do kieszeni. Nie chcieliśmy znów wchodzić do domu, ponieważ ojciec wciąż tam leżał, ale w końcu weszliśmy i zabraliśmy jego płaszcz z wieszaka na ścianie oraz pusty garnek z popieliska, żeby móc coś ugotować. Potem weszliśmy w las.

Mirnatius i ja pobraliśmy się rankiem trzeciego dnia jego wizyty, ja z pierścieniem, naszyjnikami i koroną. Ojciec zaoferował je jako posag, twierdząc, że należały do mojej matki.

– Tak, to wystarczy – niedbale rzucił Mirnatius, nie przywiązując do tego wagi.

Myszę, że wzięłyby mnie nawet bez żadnego posagu, ale mój ojciec był nieco wytrącony z równowagi i zaniepokojony tym łatwym zwycięstwem; wolałby

wierzyć, że odniósł je dzięki swoim machinacjom. Dworzanie spoglądali na mnie tęsknie, gdy weszłam do kościoła, jakbym niosła na szyi i głowie wszystkie gwiazdy z nieba, lecz dla mojego oblubieńca to magiczne srebro równie dobrze mogłoby być mosiądzem. Choć tak nalegał na pospieszny ślub, wypowiadał słowa przysięgi, jakby go nudziły, a potem puścił moją dłoń tak gwałtownie, jak gdyby był to rozżarzony węgiel. Mogłam się jedynie domyślać, że bawiła go możliwość zawarcia małżeństwa z przekory, z dziewczyną, która go nie chciała, podczas gdy wszystkie panny w królestwie wzdychały do niego i dałyby sobie uciąć palce, żeby za niego wyjść.

Zaraz po tym wyjechaliśmy. Moja tylko w połowie zapełniona skrzynia posagowa została w szalonym pośpiechu zapakowana na sanie pomalowane na srebrno-biało – bardzo niedawno pomalowane, gdyż były darem od jednego z bojarów mojego ojca i po prostu zostały pospiesznie odnowione – po czym zapakowano na nie i mnie. Nikt mi nie towarzyszył. Mirnatius powiedział mojemu ojcu, że w jego domu nie ma miejsca dla jeszcze jednej starej kobiety, więc Magreta została, załamana i szlochająca na progu, za plecami wszystkich innych służących.

Mirnatius ucałował ojca w policzki, jak przystało bliskiemu krewnemu, po czym usiadł na saniach obok mnie. Byłam wdzięczna, że nie siedzę z nim w krytych saniach; te nie były dość duże dla dwojga, szczególnie jeśli jednym z nich był car Litwasu. Jednak na naszych saniach i tak było niemal za gorąco; byliśmy okryci grubymi futrami, a pod nogami i siedzeniem mieliśmy ogrzewacze pełne rozgrzanych kamieni. Wyciągnął się wygodnie i podał mi sakiewkę.

– Rzucaj monety ludziom, gdy będziemy jechali, ukochana, żeby wszyscy dzielili naszą radość – mruknął. – I wyglądaj na tak szczęśliwą, jaką z pewnością jesteś. Uśmiechaj się do nich – dodał, co było kolejnym rozkazem, który przeszedł po moim ciele jak fala ciepła bijącego z ogrzewaczy, ale pod rękawiczką miałam na palcu pierścion i jego srebro mnie ochłodziło. Ostrożnie wyciągnęłam rękę, wzięłam sakiewkę i nie patrząc, rzucałam garście błyszczących kopiejek z jadących sań; nikt z podnoszących te pieniążki na ulicach nie mógł zauważyć, że się nie uśmiecham, a ja nie mogłam oderwać od niego oczu. Zmarszczył brwi, przyglądając mi się spod opuszczonych powiek, i nic już nie powiedział.

Sanie mknęły po zamrzniętej rzece i cztery razy stanęliśmy, żeby zmienić konie, aż tuż przed zmrokiem zatrzymaliśmy się na noc u księcia Azuolasa. Był bogatym ziemianinem posiadającym rozległe włości, lecz jego siedzibą było niewielkie miasteczko otoczone murami, które miały chronić je raczej przed Starzykowymi rabusiami niż oblegającym wojskiem. To spokojne miejsce nie mogło pomieścić całej carskiej świty, więc Mirnatius kazał niemal wszystkim

swoim dworzanom pojechać dalej, zakwaterować się u pomniejszych bojarów lub rycerzy przy drodze i dołączyć do niego nazajutrz. Stałam na schodach domu księcia, gdy odjeżdżali wszyscy, którzy widzieli moje zamążpójście, i zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Spojrzałam na Mirnatiusa. Może sprawiło to zachodzące słońce, ale w jego oczach przez moment ujrzałam krwawy błysk.

Poszłam na kolację we wszystkich mych srebrnych ozdobach błyszczących w blasku świec: nie zdjęłam nawet korony i wszyscy ludzie przy stole gapili się na mnie z otwartymi ustami jak dzieci, zaskoczeni, a jednocześnie zazdroszczący carowi, choć sami nie wiedzieli czego. Staralam się rozmawiać z tymi oszołomionymi srebrem ludźmi. Jednak ledwie zjadłam kilka kęsów ostatniego dania, gdy Mirnatius przeprosił ich w moim imieniu i odesłał mnie pod eskortą dwóch strażników do oczekujących służących.

– Dobrze pilnujcie drzwi carycy. Nie chcę, żeby uciekła – powiedział im i wszyscy roześmiali się z tego żarciku. Gdy odchodziłam od stołu, nagle obrócił się, złapał mnie za rękę, podniósł ją do ust i ucałował palącymi wargami. – Przyjdę do ciebie niebawem – wyszeptał ochryple i żarliwie, zanim mnie puścił.

Ten pocałunek wywołał rumieniec na moich policzkach i czekające służące zachichotały, sądząc, że niecierpliwie oczekuję na mojego pięknego małżonka. Cieszyła mnie ta ich pomyłka. Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi sypialni, odprawiłam je, zamiast pozwolić im, żeby mnie rozebrały.

– Myślę, że pomoże mi mój pan – powiedziałam, skromnie spuszczać oczy, żeby nie zauważyły, że nie mówię tego z podnieceniem, lecz z obawą.

Wszystkie znów się zaśmiały i posłusznie odeszły, pozostawiając mnie samą w mojej grubej sukni.

Dwa dni wcześniej powiedziałam do Galiny:

– Podróż do Koronu i z powrotem jest długa i mroźna, a moje futra są zbyt cienkie.

Wiedziałam, że dworzanie ze świty cara oraz bojarzy i rycerze mojego ojca będą w rozpaczliwym pośpiechu szukali odpowiednich ślubnych prezentów, i pomyślałam, że być może zasięgną rady mojej macochy. Tak więc teraz miałam piękne i grube sobolowe futro, dostatecznie okazałe dla carycy. Zostawiłam je w postaci białej i miękkiej sterty w kącie komnaty, a gdy tylko służące zamknęły za sobą drzwi, nałożyłam futrzaną kamizelkę, gruby płaszcz i mufkę. Nie mogłam jednocześnie nosić korony i nakrycia głowy, ale nie chciałam zostawiać tu czapki, bo ktoś mógłby zwrócić na nią uwagę i zauważyć brak reszty rzeczy, więc wepchnęłam ją do mufki.

Potem podeszłam do wysokiego lustra wiszącego na ścianie, spojrzałam w nie i zobaczyłam siebie stojącą w wirującym śniegu w ciemnym lesie. Podeszłam bliżej

i poczułam przejmujące zimno ziębiące mi twarz. Zamknęłam oczy i zrobiłam jeszcze krok, przerażona każdym możliwym rezultatem: że napotkam tylko twarde szkło, w które uderzę nosem, nie znajdując żadnej drogi ucieczki, żadnego przejścia, albo przejdę przez nie i znajdę się sama w nocnych ciemnościach, w innym świecie, z którego może nigdy nie zdołam powrócić.

Jednak moja twarz nie napotkała szklanej tafli, tylko zimno szczypiące w policzki. Znów otworzyłam oczy. Byłam sama, w lesie ciemnych sosen pokrytych śniegiem, otaczającym mnie swym bezkresem ze wszystkich stron. Niebo nad moją głową było ciemnoszare od późnego zmierzchu i pozbawione gwiazd, a mróz tak siarczysty, że musiałam przycisnąć mufkę do ust, żeby mój oddech nie zmroził mi twarzy. Wokół mnie tańczyły delikatne płatki śniegu, kłujące jak igły. Nie była to tylko mroźna zimowa noc ani nawet śnieżycą; to przeszywające, nienaturalne zimno próbowało wkraść się do mego serca i płuc, pytając, co tutaj robię.

Nigdzie nie dostrzegłam żadnego schronienia – żadnego domu, w którym mogłabym poprosić o nocleg. Kiedy jednak się odwróciłam, zobaczyłam, że stoję na wysokim brzegu niemal zupełnie zamrożonej rzeki, błyszczącej jak szkło, a gdy spojrzałam na jej powierzchnię, to zamiast swojego odbicia ujrzałam pustą komnatę, z której uciekłam, jakbym patrzyła z drugiej strony lustra.

Zobaczyłam, że drzwi się otwierają. Patrzyłam na to w napięciu, ale już po chwili nabrałam pewności: Mirnatius mnie nie widział. Wszedł do pokoju z szerokim i pożądlivym uśmiechem, który jeszcze się poszerzył, gdy mnie nie zobaczył. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami. Nie patrząc, sięgnął ręką i powoli przekręcił klucz. Usłyszałam lekko zniekształcony szcęk zamka, jakby dobiegający spod wody.

– Irino, Irino, czyżbyś chowała się przede mną? – powiedział cicho, lecz radośnie, wyjmując klucz z zamka i wkładając go do kieszeni. – Znajdę cię...

Zaczął mnie szukać – za osłoną kominka, pod łóżkiem, w garderobie. Podszedł nawet do lustra, a ja odskoczyłam, gdy szedł wprost na mnie, ale on tylko sprawdzał, czy za lustrem nie ma przejścia. Gdy się cofnął, jego uśmiech w końcu przygasł; podszedł do okna i odchylił zasłony, ale dobrze wybrał tę komnatę: miała tylko jedno okienko, w dodatku pewnie zamknięte.

Odwrócił się i gniew zaczął wykrzywiać mu twarz. Objęłam się rękami, stojąc na mrozie, gdy zaczął przetrząsać pokój. W końcu przestał, zerwawszy pościel z łoża i przewróciwszy połowę mebli, zdyszany, zdumiony i wściekły.

– Gdzie jesteś? – wrzasnął nieludzko przeraźliwym głosem. – Wyjdź i pokaż mi się! Jesteś moja, Irino, należysz do mnie! – Tupnął nogą tak mocno, że zatrzęsło się masywne rzeźbione łoże. – Albo zabiję ich, zabiję ich wszystkich! Twoją rodzinę,

twoich krewnych, wszystkich pozabijam! Chyba że zaraz wyjdiesz... Nie zrobię ci krzywdy... – dodał nagle przymilnym tonem, jakby naprawdę myślał, że mu uwierzę. Zamilkł i odczekał jeszcze chwilę, lecz gdy się nie pojawiłam, wpadł w dziki szał, już nie szukał, tylko rozbijał i szarpał rzeczy jak wściekła bestia, która chce zniszczyć siebie i cały świat.

Długo tak się miotał, po czym nagle przeraźliwie wrzasnął, padł na podłogę i zaczął wic się na niej w konwulsjach, tocząc pianę z ust. Ten gwałtowny atak trwał tylko chwilę, a potem równie nagle Mirnatus zwiotczał i leżał bezwładnie z szeroko otwartymi ustami i niewidzącymi oczami. Zdawał się patrzeć na mnie, niczego nie dostrzegając. Spoglądałam na to chyba przez kilka długich minut, zanim zamrugnął.

Mirnatus obrócił się na brzuch i klęknął, a potem krzywiąc się, wstał. Ubranie miał podarte i w nieładzie. Popatrzył wokół, na wybebeszone łóżko i zdemolowany pokój. Pożądliwy grymas znikł z jego twarzy; teraz było na niej tylko oszołomienie.

– Irino? – rzekł i nawet podniósł podartą kapę, żeby pod nią zajrzeć, jakby myślał, że tymczasem mogłam się pod nią pojawić. Puścił ją, a potem podszedł do okna i znowu na nie spojrzął, jakby nie pamiętał, że sprawdził je dopiero przed chwilą.

Wciąż ze zdziwioną miną Mirnatus przeszedł przez komnatę do kominka i stając przed nim, głośno powiedział, jakby spodziewał się odpowiedzi:

– No, teraz naprawdę wpakowałeś mnie w kłopoty. Córka księcia! I nawet nie zostawiłeś ciała. Co z nią zrobiłeś?

Płomienie strzeliły w górę i chmura iskier wyleciała na pokój. Zignorował je, a plamki sadzy znikły równie szybko, jak się na nim pojawiły.

– Znajdź ją! – powiedziały płomienie, sycząc, trzaskając i pochłaniając. – Sprowadź ją z powrotem!

– Co takiego? – zapytał Mirnatus. – Nie było jej tu?

– Muszę ją mieć! – rzekł ogień. – Będę ją miał! Znajdź mi ją! – zaskrzeczał równie przeraźliwie jak car zaledwie chwilę wcześniej.

– Och, wspaniale. Pewnie przekupiła strażników, żeby ją puścili. Co mam z tym zrobić? To ty uparłeś się, żebym poślubił jedyną dziewczynę na świecie, która ode mnie ucieka! Już miałbym dość kłopotu z uspokajaniem jej ojca po tragicznym i nieoczekiwanym wypadku; będzie to jeszcze trudniejsze, jeśli znikła.

– Zabij go! – prychnął ogień. – Ona jest moja, dali mi ją! Zabij ich wszystkich, jeśli pomogli jej uciec!

Mirnatus ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Nie bądź głupi! Z przyjemnością oddał mi ją za żonę; nie próbowałby jej

wykraść. Sama uciekła. Zapewne jest już w sąsiednim królestwie. Albo w klasztorze: to byłoby cudowne, nieprawdaz.

Ogień wydał dźwięk przypominający syk wody wylanej na rozżarzone węgle.

– Ta starucha – zasyczał, a mnie ścisnęło w gardle z przerażenia. – Ta starucha, której nie chciałeś zabrać. Sprowadź ją! Ona wie! Powie mi!

Mirnatius skrzywił się jakby z odrazy, ale się nie spierał.

– Tak, tak. Sprowadzę ją tu za dzień czy dwa. Tymczasem może pozwolisz, że to ja przekonam wszystkich, żeby uwierzyli w to, że moja ukochana, nowo poślubiona małżonka uciekła w środku nocy? A co z tym pobożowiskiem? Będziesz musiał dać mi miesięczny zapas mocy, żebym to wszystko naprawił, i nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś spragniony.

Płomienie strzeliły tak wysoko, że wypełniły całe palenisko i wspięły się do komina. Ich pomarańczowy blask oblał twarz cara, lecz on tylko patrzył na nie gniewnie z rękami założonymi na piersi i po chwili jeden jęzor płomienia oddzielił się od pozostałych i niechętnie wyciągnął ku niemu. Mirnatius zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu, rozchylając wargi, a płomień z głośnym trzaskiem wpadł mu do gardła, rozświetlając od środka całe jego ciało, tak że przez moment widziałam w nim dziwne kształty i siatkę lśniących linii pod jego skórą.

Stał spięty i drżący, chłonąc ten ogień, który w końcu oderwał się od reszty i znikł w jego ustach, po czym blask powoli zgasł. Mirnatius otworzył oczy, chwiejąc się bezsilnie w pijackiej ekstazie, zarumieniony i piękny.

– Aaach – westchnął.

Szumiący w kominku ogień szybko przygasał.

– Znajdź ją, znajdź ją – wciąż trzeszczał, lecz coraz ciszej, jak rozsypujące się węgle. – Jestem głodny, spragniony...

Potem zamigotał i zamilkł, a płomienie zgasły, pozostawiając tylko żar na palenisku.

Mirnatius odwrócił się plecami do kominka, wciąż z nikłym uśmiechem i zmrużonymi oczami. Podniósł rękę i leniwie nią machnął, a leżące wokół drzazgi poderwały się i ponownie złączyły w meble, porwane nitki zaczęły splatać się w tkaniny i wszystko zgrabnie i tanecznie naprawiało się na jego skinienie. Patrząc na to, uśmiechał się tak samo jak wtedy, gdy trącał zabite wiewiórki leżące w pyłe.

Kiedy w końcu powoli opuścił rękę wzdłuż boku, tak zgrabnie, jakby występował na scenie, pokój wyglądał na nietknięty, a jeśli już, to dłonią artysty: rzeźby łoża stały się kunsztowniejsze, naprawiona kapa miała haftowany srebrno-zielono-złoty wzór, który powtarzał się na zasłonach. Mirnatius z satysfakcją spojrział wokół, po czym kiwnął głową i wyszedł z komnaty, cicho podśpiewując pod nosem i pocierając palcem o palec, jakby wciąż czuł krążącą w jego ciele moc.

Gdy odszedł, pokój stał się pusty i cichy. Szalejący ogień zgasł; zostały tylko zwyczajne węgle, nieodparcie wabiące ciepłem, mimo że budzące grozę. Nie chciałam tam wracać, bo czy mogłam być pewna, że ten demon nie czai się wciąż w żarze? Jednak zdrętwiały mi stopy i straciłam czucie w całym ciele poza kciukiem, na którym miałam ten srebrny pierścień. Drżałam, ale nie mogłam tu zostać, a także nie miałam dokąd pójść. Musiałam tam wrócić i się ogrzać, przynajmniej przez chwilę.

Musiałam, ale ręka mi się trzęsła, gdy zmusiłam się, by uklęknąć i wyciągnąć ją ku gładkiej jak szkło powierzchni zamarznętej rzeki. Moja dłoń zanurzyła się w niej równie łatwo jak w wodzie w wannie i zobaczyłam, że wyłania się w pokoju po drugiej stronie. Zatrzymałam się z wysuniętymi tam palcami, czekając, patrząc na kominek; nie mogłam jednak długo czekać. Moja dłoń była ciepła, tak ciepła, że reszta mojego ciała wydawała się tysiąckrotnie zimniejsza, i kiedy żaden płomień nie skoczył, żeby mnie pochłonąć, nabrałam tchu i rzuciłam się w wodę.

Chwiejnie wypadłam z lustra na podłogę, w cudowne, cudowne ciepło. Natychmiast zerwałam się i przycisnęłam dłoń do lustra, gotowa skoczyć z powrotem, lecz ogień nie zatrzeszczał ani nie zasyczał. Cokolwiek to było, znikło. Podkrađłam się do kominka i po chwili czujnego wyczekiwania niezdarzonymi i drżącymi rękami zdjęłam lodowato zimne futra, żeby się trochę rozgrzać. Nie zdjęłam jednak moich cudownych klejnotów, mojego srebra, nawet gwałtownie trzęsąc się ze strachu, a nie tylko z zimna. Wiedziałam, że on nie ma wobec mnie dobrych zamiarów, ale nie wyobrażałam sobie czegoś takiego: nie sądziłam, że Baba-Jaga zamierza wsadzić mnie do pieca, zjeść mnie i ogryźć moje kości. A mogłam się ukryć tylko w tym mroźnym miejscu.

Gdy w końcu moje ciało przestało się trząść, a potem nawet w samej koszuli zrobiło mi się trochę za gorąco, przycisnęłam wciąż zimne dłonie do policzków i starałam się opanować, myśleć. Wstałam i odwróciłam się twarzą do pokoju oraz koszmaru jego idealnego ładu: kolejne kłamstwo, które Mirnatius i jego demon wciskali światu, pod powłoką piękna skrywając prawdę o zniszczonych meblach, podartych i zwęglonych zasłonach. Zabrał klucz, ale podstawiłam krzesło pod klamkę, tak więc miałabym co najmniej moment na ucieczkę, gdyby ktoś usiłował wejść do komnaty. Potem podeszłam do lustra.

Zdjęłam koronę i ostrożnie położyłam ją na podłodze. Wciąż widziałam to miejsce, w którym przed chwilą byłam, ten brzeg zamarznętej rzeki, teraz z płytkim wgłębieniem tam, gdzie stałam, już zakrywanym przez sypiący śnieg. Gdy dotknęłam szkła, miałam wrażenie, że przepycham palce przez grubą zasłonę, ale gdy napałam mocniej, w końcu przynajmniej moje dłonie przeszły przez nie, chociaż nosiłam na sobie tylko naszyjnik i pierścień. Tak więc naszyjnik i pierścień

wystarczały. Potem zdjęłam naszyjnik i spróbowałam znowu. Jednak tym razem moje dłonie zatrzymały się na szkle, chociaż wciąż widziałam śnieg i czułam zimno sączące się z tamtego świata wokół moich palców. Powierzchnia lustra był miękka i elastyczna, a nie gładka i twarda, ale nie chciała mnie przepuścić. Spróbowałam kolejno ze wszystkimi trzema ozdobami i żadna z nich sama nie pozwalała mi przejść; potrzebowałam co najmniej dwóch. Mogłam mieć na palcu pierścień przez cały dzień, a nawet w nocy, i nikogo by to nie dziwiło, ale noszenie przez cały czas naszyjnika i korony byłoby dziwactwem, które zwróciłoby uwagę. A gdyby Mirnatus odgadł, jak mu się wymknęłam, postarałby się, żebym już więcej nie miała takiej możliwości.

Podeszłam do lustra i znów w nie spojrzałam, na ośnieżony brzeg rzeki. Mogłam znów się ogrzać. Włożyć wszystkie halki, trzy nowe suknie, wszystkie pończochy i grube wełniane skarpety. Mogłabym przejść przez lustro i znów zniknąć. Gdybym poszła wzdłuż rzeki, zapewne znalazłabym jakieś schronienie. W szkatułce z biżuterią miałam garść ozdób, kolejnych prezentów ślubnych. Mogłam schować je do kieszeni i spróbować kupić za nie pomoc lub schronienie, jeśli ktoś mieszkał w tych lasach. Nie wiedziałam, jak działa ta magia, ale byłam gotowa zaryzykować zamrożenie na śmierć w śniegach, byle uciec przed tym demonem z ognia.

Jednak rano car pośle po Magretę. Ona przybędzie bez zastanowienia. Będzie podczas jazdy taka szczęśliwa; pełna nadziei, że jakoś przekonałam męża, żeby pozwolił mi mieć ją za towarzyszkę, tak więc car nie może być aż tak zły i z pewnością już mnie pokochał, i chce być miły. A on odda ją demonowi, żeby ten torturami wydobył z niej to, czego nie wiedziała – gdzie zniknęłam.

Sanie Starzyka niosły nas szybko po srebrzystej drodze. Ta biegła między dwoma szeregami wysokich białych drzew, których popielatoszara kora wyblakła na najniższych gałęziach pokrytych liśćmi koloru mleka, z przezroczystymi żyłkami. Sześciopłatkowe kwiatuszki sypały się jak wielkie płatki śniegu na nasze ramiona i podołki, gdy jelenie bębniły kopytami, ciągnąc zaprzęg po powierzchni gładkiej jak zamrożony staw. Nie widziałam niczego prócz zimy, wszędzie wokół. Kilkakrotnie próbowałam przerwać milczenie, zapytać, dokąd jedziemy i jak długo potrwa ta podróż, ale równie dobrze mogłabym pytać jelenia. Starzyk nawet na mnie nie spojrział.

W końcu jednak przed nami zaczęła się wznosić góra: tonąca we mgle i z początku ledwie widoczna, z powodu odległości, jak sądziłam, ale wcale nie było łatwiej ją zobaczyć, nawet gdy podjechaliśmy bliżej i stała się wielka. Światło przechodziło przez nią i lśniło na jej brzegach, ale tylko przez moment, a potem

znajdowało nową część tej góry do rozświetlenia, jakby cała była z rżniętego szkła, a nie z kamienia i ziemi, a droga wspięła się na stromy wjazd wiodący po zboczu do wysokiej srebrnej bramy.

Kiedy ją ujrzeliśmy, droga dziwnie się wydłużyła. Kopyta jeleni migają równie szybko i drzewa umykały w dal tak jak przedtem, ale ta góra nie stawała się bliższa, tylko stała tam i przesłaniała ten sam fragment nieba. Wydawało się, że wcale się do niej nie zbliżamy. Obok mnie Starzyk siedział zupełnie nieruchomo, zawsze spoglądając przed siebie. Nagle woźnica nieznacznie obrócił głowę; nie obejrzał się, ale lekko nią poruszył, i wargi Starzyka zacisnęły się na moment. Nie wykonał żadnego innego gestu i nic nie powiedział, ale góra nagle znów zaczęła się przybliżać, jakby zatrzymywała ją tylko jego siła woli.

Wyjechaliśmy z lasu, spod baldachimu białych drzew. Starzykowa droga wiodła teraz wzdłuż płynącej w przeciwną stronę rzeki, spływającej z góry i pokrytej cienką warstwą pękającego lodu, z kawałami kry widocznymi w ciemnej wodzie, stopniowo sunącymi z prądem. Gdy podjechaliśmy bliżej, zobaczyłam, że rzekę zasila wąski wodospad, niczym długi cienki welon spływający po zboczu tej szklanej góry w całun mgły, z którego wypływała rzeka. Nie mogłam zrozumieć, skąd wziął się ten wodospad: na tych dziwnych krystalicznych zboczach nie było śniegu, który by topniał i go zasilał, ani ziemi, z której mogłoby tryskać jakieś źródło. Przejeżdżaliśmy jednak dostatecznie blisko niego, abym poczuła wodną mgiełkę na policzku, zanim droga wspięła się wyżej i srebrne wrota otwarły się na nasze przyjęcie.

Sanie nie zwolniły i zanurzyły się w wnętrzu góry, w mgnieniu oka wjeżdżając z jednego światła w drugie: dziwną poświatę zdającą się sączyć ze ścian poprzecinanych srebrzystymi żyłami, z osadzonymi tu i ówdzie jasnymi kryształami o żywych kolorach. Mijaliśmy liczne ciemniejsze wyloty bocznych korytarzy, lecz nasza droga wciąż biegła w górę, coraz jaśniejsza, aż w końcu wyjechaliśmy na rozległą, białą jak szron łąkę. W pierwszej chwili pomyślałam, że przejechaliśmy przez całą górę i znaleźliśmy się po jej drugiej stronie, ale nie: znajdowaliśmy się wewnątrz ogromnej jaskini pod szczytem, z przezroczystymi kryształowymi taflami wysoko nad naszymi głowami. Swą diamentową jasnością przecinały błady bezkres szarego nieba, kreśląc na nim cienkie, oszałamiająco tęcze linie, a na środku łąki pod tym sklepieniem rósł gaj białych drzew.

Pomimo strachu, gniewu i bezsilności urzekło mnie niewiarygodne piękno tego miejsca. Ze zdumieniem spoglądałam na tę jaskinię oczami piekącymi od mroźnego blasku i niemal zdołałam sobie wmówić, że śnię. Jakoś nie mogłam wyobrazić sobie siebie w tym otoczeniu. Łatwiej było mi zobaczyć siebie znów leżącą na wąskim łóżku w domu dziadka, może chorą i w gorączce. Jednak ten

obraz nie opuszczał mnie. Sanie zwolniły i zatrzymały się, gdy woźnica wstrzymał jelenie za kręgiem drzew i tłum Starzykowych twarzy spojrzął na mnie spod gałęzi.

Po krótkiej chwili mój Starzyk wstał i sztywno zsiadł z sań. Stał plecami do mnie, wyprostowany i nieruchomy, dopóki powoli i ostrożnie nie zeszedłem. Pod moimi nogami cicho zachrzęściła srebrzystoszara trawa pokryta białym szronem. Była aż nazbyt rzeczywista. Starzyk nadal niczego mi nie wyjaśniał.

– Zabierz to do skarbcza – rzucił do woźnicy, ruchem ręki wskazując kufer ze złotem znajdujący się na saniach.

Woźnica skinął głową, obrócił zaprzęg i odjechał po łące, aż znikł nam z oczu za drzewami. Wtedy Starzykowy pan odwrócił się i natychmiast ruszył w głąb gaju, a ja musiałam truchtać, żeby za nim nadążyć.

Te białe drzewa gaju były zasadzone koncentrycznymi kręgami, w których ustawili się inni Starzykowie według rangi, a przynajmniej splendoru. Ci w najszerszych, najbardziej zatłoczonych, nosili szare stroje z odrobiną srebra; w następnych mieli po kilka klejnotów w intensywnych kolorach. W miarę jak kręgi stawały się węższe, klejnoty i stroje były coraz jaśniejsze, a stojący najbliżej środka olśniewali kamieniami w najjaśniejszych odcieniach różu, żółci i bieli oraz strojami w śnieżnobiałym i jasnoszarym kolorze.

Dopiero jednak gdy szliśmy przez najwęższy krąg, dostrzegłam błyski złota i nawet wtedy tylko niewielkie; złocenia na zapince płaszcza lub jakimś pierścieniu, jakby było ono tu równie rzadkie jak Starzykowe srebro w moim świecie. Z nich wszystkich tylko mój Starzyk nosił zupełnie białe szaty i przezroczyste klejnoty, a u podstawy jego srebrnej korony znajdował się szeroki pas złota. Nie zatrzymując się, przeprowadził mnie przez cały ten tłum na wzniesienie w samym środku gaju. Stało tam kilka ośnieżonych słupów czy może lodowych brył, a u ich podstawy wił się zamrożony strumień, srebrzystą linią biegnąc między drzewa.

Obok tych słupów stał ze spuszczonej oczami sługa, tak nieruchomo, jakby był wykuty z lodu. Trzymał białą poduszkę, a na niej spoczywała wysoka korona ze srebra, dziwnie mi znajoma: jakby skopiowana przez Izaaka. Starzyk podszedł do niej i przystanął, patrząc na tę delikatną, kunsztownie zrobioną ozdobę, a gdy odwrócił się twarzą do swego ludu, jego twarz także zastygła jak pośmiertna maska. Nie spojrzął na mnie i przemówił zimnym głosem:

– Powitajcie moją panią, a waszą królową.

Spojrzałam na to migoczące morze, te niewiarygodnie nieruchome twarze patrzące na mnie z beznamiętną dezaprobatą; oni też nie potrafili i nie chcieli mnie tu widzieć. W najbliższych kręgach zauważyłam kilka uśmiechów, okrutnych i znajomych: takie uśmiechy widziałam przez całe życie u ludzi, którzy opowiadali

mi historię o córce młynarza, u tych ludzi, do których drzwi pukałam pierwszy raz. Tylko że tym razem nawet nie śmiali się ze mnie: byłam na to zbyt mało znacząca. Śmiali się z niego, z lekkim niedowierzaniem, szlachta rozbawiona widokiem swego króla, który zniżył się do poślubienia zwyczajnej śmiertelniczki.

Starzyk natychmiast wziął koronę z poduszki, najwyraźniej chcąc szybko mieć to za sobą i zakończyć to upokarzające widowisko. Ja też nie chciałam tam być jako obiekt ich drwin, ale wiedziałam, co powiedziałyby mój dziadek: te twarze zawsze będą się śmiać, jeśli im na to pozwolę. Tylko że nie wiedziałam, jak mogłabym ich powstrzymać. Rośli rycerze o białych policzkach i brodach jak sople lodu nosili u boku miecze i sztylety, a na ramionach białe łuki, z których strzelali do śmiertelników, polując na nich dla przyjemności, i widziałam, jak ich król pozbawił człowieka życia jednym dotknięciem ręki. Każdy z nich mógł mnie zabić.

Pomimo to gdy król odwrócił się do mnie z koroną w dłoniach i twarzą zimną z niezadowolenia, śmiało wyciągnęłam ręce i ujęłam ją, zanim zdążył umieścić ją na mojej głowie. Spojrzał na mnie gniewnie ponad nią, w końcu zaskoczony na tyle, żeby okazać jakieś uczucie, a ja odpowiedziałam mu zdeterminowanym spojrzeniem. Wzbierał we mnie dobrze mi znany gniew, ale tym razem nie zimny; płonął we mnie tak, że para unosiła się z moich policzków, a dłonie zdawały się świecić. Korona, którą trzymałam w rękach, zaczęła się rozgrzewać i wszędzie wokół te nieprzyjemne uśmiechy zaczęły znikać, gdy spod moich palców wypełzły cienkie linie złota i rozeszły się w srebrze, coraz szersze i spowijające każdy kruchy element koronkowej roboty, każde ogniwo.

Starzykowy król stał nieruchomo, z wargami zaciśniętymi w ciekawą linię, patrząc, jak srebro się zmienia, aż cała korona w naszych rękach rozbłysła złocistym jak słońce blaskiem, dziwnym i żywym pod tym szarym niebem. Gdy to się stało, tłum westchnął przeciągle jak jeden mąż. Starzyk jeszcze przez moment trzymał koronę, a potem razem nałożyliśmy ją na moją głowę.

Była o wiele cięższa niż tamta, srebrna; czułam, jak mi ciąży, usiłując zgiąć mój kark i ramiona. Za późno przypomniałam sobie, że właśnie takiej mocy u mnie szukał, że właśnie dlatego chciał mnie mieć, a teraz pokazałam im wszystkim, że naprawdę ją mam. Teraz z pewnością już nigdy mnie nie wypuści. Pomimo to wysoko unosiłam głowę, gdy odwróciłam się twarzą do nich wszystkich. Teraz już się nie uśmiechali, a ich dezaprobata zmieniła się w czujność. Spojrzałam na ich zimne twarze i kolejny raz postanowiłam niczego nie żałować.

Nie złożyliśmy żadnych ślubów, nie było uczyty weselnej ani żadnych życzeń. Kilka twardych jak ze szkła twarzy spojrzało na mnie koso, ale większość po prostu odwróciła się i rozeszła po otaczającym nas gaju, pozostawiając nas samych na pagórku. Nawet sługa oddalił się z ukłonem i znikł, a gdy wszyscy odeszli,

Starzykowy król stał jeszcze przez moment, po czym i on odwrócił się na pięcie i odszedł wzdłuż szklistego jak lustro, zamarznętego strumyka.

Poszłam za nim. A co miałam robić? Gdy zbliżałam się do lśniącej szklanej ściany tej jaskini, ujrzałam innych Starzyków wchodzących do otworów, przejść i wylotów tuneli, jakby mieszkali w tych kryształowych ścianach, niczym w domach wokół łąki. Lodowy strumień stopniowo się poszerzał, gdy szliśmy wzdłuż niego; przy końcu jaskini, gdy dotarliśmy do lśniącej ściany, jego popękana powierzchnia ukazała wolno płynącą wodę, która wpadała do mrocznego tunelu i znikła w nim.

Przy tym otworze zaczynały się długie schody wykute w zboczu góry. Starzykowy król poprowadził mnie po nich w górę: długa i trudna wspinaczka, która zaprowadziła nas wysoko ponad czubki białych drzew. Gdy przypadkowo spjrzałam w dół – czego starałam się nie robić w obawie, że spadnę, bo schody nie miały poręczy – jeszcze wyraźniej zobaczyłam kręgi i otaczającą je białą łąkę. Dłonią opierałam się o ścianę góry i ostrożnie stawiałam stopy. Zanim wreszcie dotarłam na górę, Starzyk znacznie mnie wyprzedził, ale schody doprowadziły mnie do dużej komnaty, w której czekał z zaciśniętymi pięściami, plecami do mnie.

Komnata była bardzo długa, znajdowała się w ścianie jaskini i jeden jej bok był cienką szklaną taflą, idealnie przezroczystą i wychodzącą na zbrocze. Powoli podeszłam tam i spjrzałam na widok daleko w dole. Poniżej wodospad wypływał z szerokiej szczeliny w zboczu góry, o przydymionych brzegach jak szkło spękane w ogniu. Spadał w chmurę mgły i tylko tyle mogłam dostrzec z wysoka, tę na wpół zamarznąłą rzekę wylaniającą się z niej i znikającą w ciemnym lesie filigranowych drzew oprószonych bielą. Nie zdołałam dostrzec drogi w szpalerze białych drzew. Jechaliśmy tylko kilka godzin, ale nigdzie nie było widać Wyżni ani żadnej innej osady zamieszkaanej przez ludzi. Tylko bezkresny zimowy las rozpościerający się wszędzie wokół.

Nie podobał mi się ten widok, tej ogromnej ciemnej równiny okrytej białą kołdrą śniegu; nie podobało mi się, że nie było Wyżni na jej zwykłym miejscu ani drogi śmiertelników prowadzącej z niej do mojej wioski. Czy tęsknili za mną w domu? Czy może po prostu znikłam z ich pamięci, tak jak Starzyk z mojej, ilekroć nań nie patrzyłam? Czy matka pamiętała, dlaczego jeszcze nie wróciłam do domu, czy może w ogóle mnie zapomniała; że miała córkę, która zarobiła za dużo pieniędzy, chwaliła się tym i dlatego została uprowadzona przez króla?

Na ścianach komnaty wisały cienkie jedwabne gobeliny o srebrzystym połysku i nie było w niej dającego ciepła kominka, lecz rozmieszczone w regularnych odstępach wielkie, wyższe ode mnie bloki krystalicznego lodu chwytały światło i więziły je w sobie. Na dole nie było żadnej biesiady, ale tu czekał na nas

zastawiony stolik z białego kamienia, a na nim dwa już napełnione kielichy, srebrne i zdobione, jeden rytem jelenia, a drugi łani. Wzięłam ten z łanią, lecz zanim zdążyłam się napić, Starzykowy król odwrócił się, wyrwał mi puchar z ręki i cisnął nim o ścianę, tak mocno, że wygiął metal, zanim kielich z brzękiem potoczył się po podłodze. Wino rozlało się szeroką kałużą, a natychmiast wysychające krople pozostawiały dziwną białą pianę po czymś, co wsypano do kielicha.

Patrzyłam na to ze zdumieniem.

– Zamierzałeś mnie otruć!

– Oczywiście, że zamierzałem cię otruć! – gniewnie odparował. – Nie dość, że musiałem cię poślubić, to jeszcze...

Z odrazą spojrział na drugi koniec komnaty, a ja teraz uświadomiłam sobie, że te cienkie zasłony skrywają jakiś rodzaj alkowy, sypialnię.

– Przecież nie musiałeś mnie poślubić! – powiedziałam, przez moment bardziej zdumiona niż przestraszona, lecz on ponownie gniewnie machnął ręką, jakbym drażniła otwartą ranę. Zatem honor nakazał mu mnie poślubić, ponieważ obiecał to zrobić, ale nie powstrzymałby go przed zamordowaniem mnie zaraz po tym? W końcu niczego mi nie ślubował; powiedział tylko, że jestem jego królową, i wetknął mi koronę na głowę, nie obiecując mnie cenić ani chronić.

A potem przyprowadził mnie tutaj, żeby mnie zamordować, i oszczędził tylko dlatego... Powoli podeszłam i podniosłam leżący na podłodze puchar. Znów przywołałam wspomnienie zmieniającej się w moich dłoniach korony, ten ciepły blask, i gdy zacisnęłam dłoń na kielichu, złoto zaczęło się rozchodzić w srebrze. Odwróciłam się do niego, trzymając już całkowicie przemieniony puchar, a Starzyk spojrział nań ponuro, jakbym pokazała mu jego zgubę, a nie złote naczynie.

– Nie potrzebuję kolejnych przypomnień – rzekł szorstko. – Dostaniesz ode mnie to, co ci się należy.

A potem zdjął biały płaszcz i powiesił na oparciu krzesła. Później rozpiął mankiety i koszulę pod szyją; najwyraźniej zamierzał się rozebrać i...

O mało nie powiedziałam, że nie musi, ale z rosnącym niepokojem zrozumiałam, że to nic by nie dało; już mnie poślubił i ukoronował, ponieważ był mi to winien, nieważne, że próbowałam odmówić, a chociaż chętnie podałby mi truciznę, nie oszukałby mnie. Nasze małżeństwo uprawniało mnie do przyjemności małżeńskiego łoża, więc będę je miała, czy tego chcę, czy nie. Jakbym poprosiła jakąś złą wróżkę o klienta, który zawsze na czas spłaca swoje długi.

– Dlaczego tak bardzo pragniesz złota? – zapytałam rozpaczliwie. – Masz srebro, drogie kamienie i diamentową górę. Czy aż tyle jest dla ciebie warte? –

Całkowicie mnie zignorował, tak samo jak na saniach: byłam kłopotem, który

musiał znosić. Miał chyba z pięćdziesiąt srebrnych guziczków do rozpięcia, ale już szybko przesuwał palcami po ostatnich. Patrząc, jak to robi, wypaliłam w ostatniej rozpaczliwej próbie: – Co mi dasz w zamian za moje prawa?

Natychmiast odwrócił się do mnie z koszulą prawie rozchyłoną na nagiej piersi i odsłaniającą skórę równie mlecznobiałą jak marmurowe posadzki w pałacu księcia.

– Szkatułkę klejnotów z mojego skarbca.

Z ulgi o mało natychmiast się nie zgodziłam, ale najpierw uspokoiliłam się, robiąc trzy głębokie wdechy, jak zawsze gdy ktoś składał mi na targu propozycję, którą bardzo chciałam przyjąć. Starzyk obserwował mnie zmrużonymi oczami i nie był głupi: chociaż nie chciał iść ze mną do łóżka, wiedział, że ja też tego nie chciałam. Złożył mi kiepską ofertę, proponując coś, co nie miało dla niego żadnej wartości, i chciał wiedzieć, czy się na nią rzucę.

Oczywiście pragnęłam ją zaakceptować – teraz już nie mogłam nie widzieć tego łóżka za zasłonami, a on na pewno byłby okrutny; przypadkowo lub w pośpiechu, nawet jeśli nie rozmyślnie. Jednak postarałam się pomyśleć o tym, co powiedziałyby mi dziadek: lepsza żadna umowa od złej, przez którą już zawsze uważają cię za łatwy łup. Próbując nie zważać na bolesne skurcze brzucha, powiedziałam:

– Potrafię zmieniać srebro w złoto. Nie możesz zapłacić mi kosztownościami.

Zmarszczył brwi, ale nie wybuchnął.

– Czego więc chcesz? I dobrze się zastanów, zanim zażadasz zbyt wiele – dodał zimne ostrzeżenie.

Ostrożnie wypuściłam wstrzymywany oddech. Oczywiście teraz stałam przed nowym problemem: nie chciałam być wykorzystywana, ale także zażądać zbyt wiele, a skąd mogłam wiedzieć, co on zaaprobuje lub nie? Ponadto wiedziałam już, że mnie nie wypuści, ale także nie zabije, a nie przychodziło mi do głowy nic innego, czego mogłabym od niego chcieć. Poza wyjaśnieniami – pojęłam nagle.

– W zamian za moje prawa – powiedziałam – co noc zadam ci pięć pytań, a ty na nie odpowiesz, obojętnie jak głupie mogą ci się wydać.

– Jedno pytanie – rzekł – i nigdy nie zapytasz o moje imię.

– Trzy – powiedziałam, natychmiast nabierając odwagi; przynajmniej nie zareagował wybuchem wściekłości. Założył ręce na piersi i zmrużył oczy, ale nie odmówił. – No? Czy podajecie tu sobie ręce, zawierając umowę?

– Nie – odparł bez namysłu. – Masz jeszcze dwa pytania.

Gniewnie zacisnęłam wargi, a potem zapytałam:

– Zatem jak zawieracie tu umowy? – Wiedziałam bowiem, że to musi być ważne.

Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami.

– Składamy i akceptujemy propozycje.

Oczywiście nadal nie zamierzałam się o to spierać, ale widziałam, że znów poddaje mnie próbie, a skoro miałam tylko trzy pytania dziennie, straciłabym wieki, zanim w taki sposób wyciągnęłabym z niego cokolwiek.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, a skoro twoje odpowiedzi są dla mnie bezużyteczne, jutro nie zapytam – oznajmiłam dobitnie.

Zmarszczył brwi, ale uzupełnił swoją odpowiedź.

– Postawiłaś warunki i targowaliśmy się, dopóki nie zaprzestałem prób skłonienia cię do ich zmiany. Tak więc zadałaś swoje pytania zgodnie z taką umową, a ja ci na nie odpowiedziałem; kiedy zadasz trzecie i ja na nie odpowiem, umowa zostanie wypełniona i niczego nie będę ci winien. Czego jeszcze potrzeba? My nie potrzebujemy sideł waszych papierów i fałszywych gestów, a niegodni zaufania nie mogą dawać żadnych gwarancji.

Tak więc dopełnił umowy, częściowo odpowiadając na moje pierwsze pytanie – co wydało mi się swego rodzaju oszustwem. Nie zamierzałam jednak się z nim kłócić. To oznaczało, że do jutra zostało mi tylko jedno pytanie, a chciałam uzyskać tysiąc odpowiedzi. Najpierw jednak zadałam najważniejsze.

– Czego trzeba, żebyś mnie uwolnił?

Zaśmiał się w głos.

– A czego już nie dałem, żeby cię mieć? Moją rękę, koronę i godność, a ty prosisz, żebyśmy wyznaczył za ciebie jeszcze wyższą cenę? Nie. Zadowolisz się tym, co już ode mnie otrzymałaś w zamian za twój dar. I strzeż się, śmiertelniczko – syknął zimno, mrużąc oczy jak błękitne cienie w głębokiej szczelinie kry na rzece, ostrzegające przed upadkiem i utonięciem w płynącej pod nimi wodzie. – Tylko ten dar zapewnia ci twoją pozycję. Pamiętaj o tym.

Z tymi słowami chwycił swój płaszcz i zarzucił na ramiona, po czym wymaszerował z komnaty, zatraskując za sobą drzwi.

Rozdział 11

Lubię kozy, ponieważ wiem, co robią. Jeśli zostawię otwartą zagrodę lub znajdą obłuzowany palik, wydostaną się i uciekną, żeby zjadać uprawy, a jeżeli nie będę uważał, skopią mnie podczas dojenia, i uciekną, jeśli uderzę je kijem, lecz jeśli zbiję je bardzo mocno, już zawsze będą uciekać na mój widok, chyba że będą bardzo głodne, a ja będę miał jedzenie. Rozumiem kozy.

Próbowałem zrozumieć tatę, ponieważ myślałem, że jeśli zdołam, to nie będzie mnie tak bił, ale nigdy mi się nie udało i przez długi czas nie rozumiałem Wandy, ponieważ zawsze mnie odpędzała, ale robiła dla mnie jedzenie razem ze wszystkimi i czasem dawała mi ubrania. Siergiej najczęściej był dla mnie dobry, ale czasem nie, i także nie wiedziałem dlaczego. Kiedyś myślałem, że to dlatego, że zabiłem mamę przy moich narodzinach, ale zapytałem o to Siergieja i on mi powiedział, że miałem już trzy lata, gdy umarła mama, i zabiło ją inne dziecko.

Tamtego dnia poszedłem do drzewa, popatrzyłem na grób jej oraz dziecka i powiedziałem, że żałuję, że nie żyje. Ona powiedziała mi, że też żałuje i żebym trzymał się z dala od kłopotów oraz słuchał Wandy i Siergieja, więc to robiłem, jeśli mogłem.

Teraz jednak Wanda i Siergiej odeszli, a tata nie żył, więc byłem tylko ja i kozy, a przed nami długa droga do miasteczka. Przedtem tylko raz byłem w miasteczku, w dniu, gdy Starzyk złapał Siergieja, a i wtedy mało brakowało, a nie poszedłbym tam. Kiedy go znalazłem, najpierw pomyślałem, że mnie nikt by nie pomógł, ale potem przyszło mi do głowy, że może się mylę co do tego tak samo jak w innych sprawach, więc przynajmniej powinienem spróbować. Potem zastanawiałem się, kogo powinienem poprosić o pomoc, tatę czy Wandę. Tato był znacznie bliżej, pracował na polu, a Wanda daleko w mieście i wróciłaby do domu dopiero za kilka godzin, a przez cały ten czas Siergiej leżałby w lesie. Nadal jednak nie byłem pewny, więc pobiegłem i zapytałem mamę, a ona kazała mi iść po Wandę, tak więc zrobiłem. Tylko ten jeden raz byłem w miasteczku.

Teraz nie mogłem iść szybko, bo prowadziłem kozy, ale i tak nie chciałem się

spieszyć. Wiedziałem, że Wanda lubi panią Mandelsztam, a ona czasem dawała nam jajka, ale była kolejną osobą, której nie znałem, i nie wiedziałem, co zrobić, jeśli każe mi pójść precz. Nie sądziłem, że mógłbym wrócić i znów poprosić mamę o pomoc; inaczej nie dałaby mi tego orzecha, co oznaczało, że mam z nim odejść. Tak więc bałem się iść do miasteczka, gdyż pani Mandelsztam mogła nie pozwolić mi zostać, a wtedy byłbym w miasteczku sam z czterema kozami i nie wiedziałbym, co robić.

Jednak Wanda miała rację, ponieważ gdy w końcu dotarłem do ich domu, pani Mandelsztam natychmiast wyszła i zapytała:

– Stepon, dlaczego tu przyszedłeś? – Jakby wiedziała, kim jestem, chociaż tylko raz byłem w tym domu i nigdy z nią nie rozmawiałem, tylko z Wandą. Zastanawiałem się, czy nie jest czarownicą. – Czy Siergiej zachorował? Nie mógł przyjść dziś wieczór? Tylko dlaczego przyprowadziłeś kozy?

Mówiła tyle rzeczy i zadawała tyle pytań, że nie wiedziałem, na które odpowiedzieć najpierw.

– Pozwolicie mi zostać? – zapytałem zamiast tego rozpaczliwie, ponieważ nie mogłem się powstrzymać i to najbardziej chciałem wiedzieć. Pomyślałem, że potem będzie mogła zadać mi te wszystkie pytania. – I kozom?

Przestała mówić, popatrzyła na mnie, a potem powiedziała:

– Tak. Wprowadź je do zagrody, wejdź do domu i napij się herbaty.

Zrobiłem to, co kazała mi pani Mandelsztam, a kiedy wszedłem do środka, dała mi kubek gorącej herbaty, o wiele lepszej od tej, którą kiedykolwiek piliśmy w domu, i chleba z masłem, a gdy zjadłem wszystko, dała mi następną kromkę, a później jeszcze jedną, z miodem. Brzuch miałem taki pełny, że mogłem go namacać dłonią.

Pan Mandelsztam przyszedł, kiedy jadłem. Z początku byłem trochę zaniepokojony, ponieważ do tej pory zdążyłem pomyśleć, że może wszystko będzie dobrze, bo pani Mandelsztam jest matką. Tak naprawdę nie rozumiałem, czym są matki, ponieważ moja była w drzewie, ale wiedziałem, że są bardzo dobre i jest się bardzo złym i smutnym, jeśli się je straci, ponieważ Wanda i Siergiej tacy byli, a ponadto ilekroć tato wchodził do domu, zawsze chciałem uciekać, jak kozy. Teraz jednak, gdy przyszedł pan Mandelsztam, nie było tak jak wtedy, kiedy przychodził ojciec: nie zrobiło się głośno. Tylko spojrział na mnie, a potem podszedł do pani Mandelsztam i powiedział do niej bardzo cicho, jakby nie chciał, żebym usłyszał:

– Czy przyszła z nim Wanda?

Ona przecząco pokręciła głową.

– Przyprowadził swoje kozy. Co się stało, Josef? Były jakieś kłopoty?

Skinął głową i przysunął głowę tak blisko jej, że nie słyszałem, co szeptała, ale nie musiałem, gdyż oczywiście wiedziałem, jakie to kłopoty; chodziło o Wandę i Siergieja, którzy odeszli, ponieważ tato leżał w domu nieżywy. Gdy jej o tym mówił, pani Mandelsztam złapała fartuch i przycisnęła go do ust, a potem gniewnie rzuciła:

– Nie wierzę w to! Ani przez minutę. Nie nasza Wanda! Ten Kajus to złodziej, zawsze taki był. Narobić kłopotów tej biednej dziewczynie... – Pan Mandelsztam uciszał ją, ale ona odwróciła się i powiedziała do mnie: – Stepon, w mieście opowiadają straszne rzeczy o Wandzie i twoim bracie Siergieju. Mówią, że... że zabili waszego ojca.

– Zabili – powiedziałem, a oni oboje popatrzyli na mnie ze zdumieniem.

Potem spojrzeli na siebie nawzajem, a później pan Mandelsztam usiadł przy mnie przy stole i powiedział spokojnie, tak jak ja do kozy, gdy była przestraszona:

– Stepon, powiesz nam, co się stało?

Zaniepokoiła mnie myśl, że będę musiał opowiedzieć mu to wszystko, użyć tylu słów, ponieważ nie byłem dobry w mówieniu.

– Opowiedzenie tego zajmie mi dużo czasu – powiedziałem.

On jednak tylko skinął głową, więc starałem się opisać to jak najlepiej, a oni nic nie mówili i nie przerywali mi, chociaż rzeczywiście zajęło mi to dużo czasu. Po krótkiej chwili pani Mandelsztam też usiadła, wciąż przyciskając dłoń do ust.

Kiedy skończyłem, nadal przez chwilę nic nie mówili, a potem pan Mandelsztam rzekł:

– Dziękuję, że wszystko nam opowiedziałeś, Stepon. Bardzo się cieszę, że Wanda przysłała cię do nas. Masz u nas dom, jak długo będziesz chciał.

– A jeśli zechcę zostać na zawsze? – spytałem, żeby mieć pewność.

– To będziesz miał u nas dom tak długo, jak my będziemy go mieć – odrzekł.

Obok mnie pani Mandelsztam płakała, ale otarła oczy, a potem wstała i dała mi jeszcze kromkę chleba i herbatę.

Dziwnie spędziłam tę pierwszą noc jako caryca. Zrobiłam sobie przed lustrem poślanie z mojego białego futra i spałam na nim, żeby w razie czego móc je złapać i wyskoczyć przez szkło. Spałam czujnie, co pewien czas podnosząc głowę i nasłuchując. Jednak nikt nie przyszedł w nocy. W końcu zbudziłam się, gdy niebo jaśniało i dzwoniły poranne dzwony. Po chwili wstałam, wyjęłam krzesło spod klamki i stukłam w drzwi, aż otworzyli je dwaj ziewający strażnicy – inni niż ci, którzy wieczorem zaprowadzili mnie na górę. Zastanawiałam się, co się z nimi stało. Zapewne nic dobrego, jeśli Mirnatius naprawdę myślał, że ich przekupiłam.

– Muszę iść na poranne modły – oznajmiłam nowym strażnikom, starając się, by

zabrzmiało to stanowczo i zdecydowanie: „Muszę”. – Pokażecie mi drogę? Nie znam tego domu.

Ponieważ jakiś demon zamierzał mnie pożreć, naprawdę miałam ochotę się pomodlić, a nikt tutaj nie mógłby powiedzieć strażnikom, że w domu nie jestem tak żarliwie wierząca, więc wcale ich to nie zdziwiło. Zaprowadzili mnie do kościołka, a ja uklęknęłam w nim ze spuszczoną głową, pozwalając moim wargom poruszać się w modlitwie. W środku nie było wielu wiernych, tylko ksiądz i kilka staruszek z domostwa księcia, które spoglądały na mnie z aprobatą, co mogło mi się przydać. Pomimo ciepłej pory przez drewniane ściany ciągnęło chłodem. Jednak nie przeszkadzało mi to słabe echo mrozu tamtego zimowego królestwa po drugiej stronie lustra, mojego schronienia. Chłód pomagał mi trzeźwo myśleć.

W niszy obok mnie stał posąg Świętej Zofii, zakutej w łańcuchy, z oczami wzniesionymi ku niebu. Pogański car zakuł ją w nie i ściał głowę za jej kazania, ale wygrała wojnę, chociaż nie bitwę, i teraz te łańcuchy przechowywano jako świętą relikwię w katedrze w Koronie, a wyjmowano tylko przy koronowaniu carów i innych nadzwyczajnych okazjach. Wyjęto je, kiedy ostatnią carycę, matkę Mirnatiusa, przyłapano na próbie uśmiercenia starszego brata za pomocą czarów, i nawet jeśli miała na usługach jakiegoś własnego demona, to przytrzymały ją na tyle długo, żeby spłonęła na stosie.

Tak więc Mirnatius miał dobry powód, żeby nie ujawniać publicznie swoich mocy. Dlatego nie rzucił się na mnie na środku salonu ani na saniach i nie życzył sobie kłopotliwego tłumaczenia wszystkim, że od niego uciekłam. Usiłowałam czerpać z tego otuchę, ale była to mizerna pociecha. Mogłam spróbować nakreślić granice jego mocy, lecz ta była przerażająco wielka: był moim mężem i carem, a ponadto czarnoksiężnikiem mającym na usługach ognistego demona, który chciał mnie pożreć. A ja mogłam tylko uciec do lodowego świata i umrzeć w nieco mniej okropny sposób.

Nie mogłam jednak bez końca tkwić w tym kościele. Msza się skończyła. Musiałam wstać i wrócić z tymi staruszkami do domu księcia, a gdy weszliśmy do sali biesiadnej na śniadanie, Mirnatius już tam był.

– Czy ktoś widział dziś rano moją ukochaną żonę? – pytał małżonkę księcia, jakby nie miał pojęcia, co się mogło ze mną stać, wbijając w nią dziwnie skupione spojrzenie, jakby chciał coś jej wmówić.

Otaczał mnie tłum staruszek, słudzy podawali śniadanie i właśnie wszedł sam książę Azuolas. Jego obecność dodała mi otuchy, więc powiedziałam głośno i wyraźnie:

– Poszłam się pomodlić, mój panie.

Mirnatius o mało nie wyskoczył ze skóry, gwałtownie się odwrócił i popatrzył

na mnie, jakbym była duchem albo demonem.

– Co się z tobą działo w nocy? – wypalił pomimo obecności tylu świadków.

Nie wezwał jednak swojego demona ani nie rzucił się na mnie, żeby mnie stamtąd wywlec, więc z cichym westchnieniem ulgi skromnie spuściłam oczy.

– Bardzo dobrze mi się spało po tym, jak wyszedłeś, mój panie – powiedziałam.

– Mam nadzieję, że tobie również.

Zmierzył mnie wzrokiem, a potem stojących obok strażników, którzy teraz uśmiechali się do niego z uznaniem, wyraźnie niczego nie podejrzewając; wszyscy wokół skrywali uśmiechy wywołane entuzjazmem nowo poślubionej małżonki. Zanim mój mąż znów na mnie spojrział, zrobił się ostrożny. Demolując sypialnię, zniszczył także moją skrzynię posagową i moje suknie, po czym wszystko naprawił swoimi czarami. Z jego oczu wyczytałam, że w zawiłym wzorze mojej koronkowej narzutki rozpoznał dzieło swojej wyobraźni. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co o tym myśleć.

Zebrałam siły i przeszłam przez salę, po czym wzięłam go pod rękę.

– Naprawdę jestem głodna – dodałam, jakby nie zauważając, że zeszywniał. – Czy możemy zakończyć tę głodówkę?

Wcale nie kłamałam. Nie dał mi się najeść na weselnej uczcie, a na zimnie zgłodniałam jeszcze bardziej. Teraz przy stole jadłam za dwoje, podczas gdy on tylko skubał swoje dania i od czasu do czasu zerkał na mnie zmrużonymi oczami, jakby upewniając się, że naprawdę tu jestem.

– Zdałem sobie sprawę, moja droga – rzekł do mnie w końcu – że trochę zbyt pośpiesznie zabrałem cię z domu twego ojca. Musisz czuć się samotna, skoro nie masz przy sobie nikogo znajomego.

Nie spojrzałam na niego, tylko dobitnie powiedziałam:

– Ukochany mężu, teraz gdy mam ciebie u mego boku, nie pragnę niczyjego towarzystwa, ale przyznaję, że brak mi mojej drogiej starej piastunki, która była przy mnie od śmierci mojej matki.

Otworzył usta, żeby powiedzieć, że po nią pośle, ale nagle się rozmyślił.

– Cóż – rzekł jeszcze ostrożniej – kiedy już osiadziemy w Koronie, pošlemy po nią za jakiś czas.

Tak więc zapewniłam Magrecie chociaż tyle bezpieczeństwa, przekonując go, że chcę ją mieć przy sobie. Podziękowałam mu całkiem szczerze.

W nocy spadło dużo śniegu, który zatrzymał nas u księcia jeszcze przez następny dzień, a ja korzystałam z każdej okazji, by unikać towarzystwa małżonka: mój stary katecheta byłby zaskoczony korzystnym wpływem małżeństwa na moją wiarę. Żona księcia wyglądała na lekko zdziwioną, gdy zaprosiłam ją na wspólne modły po śniadaniu, ale wyznałam jej, że moja matka umarła w połogu i chcę

prosić Matkę Boską o szczęśliwy poród, a wtedy wyraziła głęboką aprobatę dla mojego poczucia obowiązku.

Oczywiście nikomu się nie podobało to, że car dotychczas nie postarał się o dziedzica, szczególnie że był tak delikatnej urody. Przy stole mojego ojca goście potrzęsali głowami i mówili, że już dawno powinien się być ożenić. Nie mogliśmy sobie pozwolić na walki o sukcesję. Gdybyśmy mogli, wybuchłyby one siedem lat temu, gdy stary car i jego pierworodny umarli, zostawiając jako dziedzica trzynastoletniego chłopca, podejrzanie pięknego jak kwiat, a wszyscy arcyksiężęta i księżęta wokół niego mierzyli się wzrokiem jak wygłodniałe lwy.

W ciągu lat wielu z nich przybywało do Wyżni, szukając poparcia mojego ojca, a ja siedziałam w milczeniu przy jego stole i ze wzrokiem wbitym w talerz słuchałam, co im mówi. Oni nigdy nie pytali bez ogródek i on również się nie deklarował, ale podsuwając im talerz pełen świeżo upieczonych ciasteczek z dżemem ze Svetii, niedbale rzucał:

– Na tutejszych targowiskach widzimy mnóstwo kupców ze Svetii. Zawsze narzekają na podatki. – Chciał przez to powiedzieć, że król Svetii ma liczną flotę i apetyt na nasz północny port. Albo mówił: – Słyszę, że trzeci syn chana w ubiegłym miesiącu splądrował Riodnę na wschodzie – co oznaczało, że Wielki Chan miał siedmiu synów żądnych łupów, samych doświadczonych wojowników dowodzących wielkimi bandami rabusiów.

Zaledwie w zeszłym roku pojechaliśmy z wizytą do księcia Ulryka. Wieczorami, gdy Wasylia i jej szepczące przyjaciółki odchodziły od stołu, posyłając mi zadowolone spojrzenia, ponieważ nie grzeszyłam urodą, ja zostawałam u boku ojca. Ulryk, którego córka jeszcze nie wyszła za cara, chociaż powinna była, mówił o rosnącej cenie soli, dzięki której się wzbogacił, oraz o tym, jak dobrze jego młodzi rycerze opanowali sztukę jeździecką. Ostatniego wieczoru tej wizyty ojciec wyciągnął rękę, aby wziąć z misy kilka orzechów laskowych, i napomknął mimochodem:

– Starzykowie tej zimy spalili klasztor leżący o dzień drogi od Wyżni.

Po czym rozłupał orzechy, wybrał ich zawartość i zostawił puste łupiny na swoim talerzu.

I wszyscy ci panowie zrozumieli, co chciał przez to powiedzieć: że nawet zwycięstwo, które raczej nie przysłoby szybko, uczyniłoby z nich łatwy łup dla większych drapieżników za naszymi granicami lub dla wewnętrznego wroga. Na razie wszyscy oni wzięli sobie tę radę do serca. Może tylko arcyksiężę Dmitir mógłby przejąć tron, nie wywołując wielkiego zamętu: był władcą Marchii Wschodnich oraz pięciu miast i miał wielu tatarskich jeźdźców w swojej armii. Nawet jednak on przezornie zadowolił się pozycją regenta, dopóki Mirnatius nie

osiągnie odpowiedniego wieku do ożenku z jego córką.

Naturalnie gdy tylko urodziłby się im dziedzic, delikatny car zmarłby na jakąś pożałowania godną chorobę i Dmitir nadal byłby regentem władającym w imieniu swego zasiadającego na tronie wnuka. Zamiast tego trzy dni przed weselem sam niespodziewanie zachorował na ospę i zmarł – zapewne w wyniku działania dużej dawki czarnej magii, jak teraz przypuszczałam, gdyż śmierć starego cara i jego syna też wydawała się niezwykle dogodna dla Mirnatiusa – który po pogrzebie oznajmił, że jest zbyt przytłoczony żałobą po swym umiłowanym regencie, żeby w najbliższym czasie myśleć o ożenku. Księżniczka znikła w jakimś klasztorze i już nikt nigdy o niej nie usłyszał, a pięć miast przypadło pięciu jej kuzynom.

Od tej pory Mirnatius rządził samodzielnie i jeszcze nikt nie zaryzykował próby rzucenia go z tronu. Jednak wielcy panowie nadal zasiadali przy stole mego ojca lub przysyłali mu zaproszenia, a ostatnio coraz częściej. Minęły cztery lata od niedoszłego ślubu, a Mirnatius nie ożenił się z Wasylią ani żadną inną kobietą, więc szeptano, że jego łoże jest zimne. Kiedyś słyszałam, jak pewien niedyskretny baron przybywający z Koronu narzekał, późno i po pijanemu, że tak jak sprawy stoją, nie będzie nawet bękartów. Oczywiście ci panowie nie wiedzieli, że car ma demona, którego należy wziąć pod uwagę. Wiedzieli jednak, że jeśli Mirnatius nie spłodzi następcy, prędzej czy później dojdzie do walki o tron. I wielu z nich pragnęło, żeby stało się to prędzej.

Ojciec miał więcej niż jeden powód, by chcieć zobaczyć ożenek cara: w przeciwnym razie musiałby wkrótce zdecydować, po której stronie się opowiedzieć, co byłoby ryzykowne. Nie był też jedynym panem, który przewidywał nadchodzącą wojnę z bardzo nikłymi szansami na zwycięstwo. Książę Azuolas był prawie w takiej samej sytuacji: nie dość potężny, by samemu dążyć do objęcia władzy, a zbyt silny, by pozwolono mu przeczekać zmagania. Tak więc nikt w jego domu nie protestował, gdy odmawiałam kolejne modlitwy, i wszystkie kobiety chętnie służyły mi potem pomocą, gdy zapytałam, jakie pożywienie najbardziej sprzyja płodności. Pod koniec dnia miałam pełny kosz produktów, które polecały mi wziąć z kuchni.

– Musisz przytyć, duszeńko – orzekła matka księcia, klepiąc mnie po policzku: tylko to, co ona sama dla mnie wybrała, zapełniło pół kosza.

Czekał obok lustra, gdy zakładałam moje srebra do kolacji. Towarzyszył mi orszak dam, a ja nałożyłam koronę, po czym zaraz ją zdjęłam, poskarżyłam się, że boli mnie głowa, i powiedziałam, że może zamiast zejść na dół, zostaną w moim pokoju, żeby być bardziej wypoczęta, gdy dołączy do mnie mąż. Z aprobatą pokiwały głowami i poszły, a ja szybko włożyłam trzy wełniane suknie i futra, a na głowę nasunęłam koronę. Potem wzięłam kosz i przeszłam przez lustro.

W samą porę: Mirnatius pomknął na górę, gdy tylko powiedziano mu, że nie zejdę na kolację. Zapewne zamierzał nie spuszczać ze mnie oka przy kolacji, a potem zawlec do sypialni. Ja jednak wymknęłam się z moim koszem, gdy klucz zachrobotał w zamku, i siedziałam bezpieczna na brzegu rzeki, wraz z posiłkiem złożonym z ostryg, wiejskiego razowego chleba i owoców, gdy wpadł do komnaty i odkrył, że znów mnie nie ma.

Rozejrzał się po pustym pokoju i rozłożył ręce zniechęcony. Tym razem nie był z wściekłości, chociaż przez kilka minut krążył po pokoju, odchylając kapy i zasłony oraz zaglądając pod łóżko; potem wyszedł na środek i spoglądał przez okno na zachodzące słońce, zaciskając zęby i pięści. Ostatni pomarańczowy promień słońca przesunął się po jego twarzy i nagle jego rysy wykrzywił grymas szaleńczej furii, niewyładowanego gniewu. Myślałam, że znów zdemoluje sypialnię.

On jednak tylko jęknął zduszonym głosem:

– Czy znowu dasz mi moc naprawienia tego wszystkiego?

Mocno zacisnął powieki i cały zadygotał, a wtedy ogień z gniewnym trzaskiem gwałtownie wystrzelił w górę. Mirnatius osunął się na kolana i oparł dłonie o podłogę. Trwał tak, drżąc i dysząc, ze spuszczoną głową, po czym krzywiąc się, wstał i rzekł do ognia:

– To dlatego chciałeś ją mieć? Jest czarownicą?

Ogień zasyczał.

– Nie! Jest jak ci zimowi, zimna i słodka, a także głęboka jak studnia. Będę pił długo, zanim dojdę do jej końca... Chcę ją mieć! Znajdź ją!

– I czego ode mnie oczekujesz? – zapytał Mirnatius. – Jak znika, jeśli nie jest czarownicą? Ludzie przy drzwiach nie zostali przekupieni, ani poprzedniej nocy, ani teraz. Stąd nie ma innego wyjścia; ani wejścia, skoro o tym mowa.

Ogień zatrzeszczał do siebie.

– Nie wiem, nie widzę tego – zasyczał. – Ta starucha, sprowadziłeś ją dla mnie?

– Nie – ostrożnie odrzekł po chwili car. – Irina chciała, żebym po nią posłał. A jeśli to ona nauczyła ją tych wszystkich sprytnych sztuczek?

– Zrób to! – powiedział ogień. – Sprowadź ją! A jeśli Iriny nadal nie będzie, zamiast niej wypiję tę staruchę... tylko że och, wcale jej nie chcę! Jest stara i krucha, odejdzie tak szybko! Chcę Irinę!

Mirnatius zmarszczył brwi.

– A ja potem będę musiał wyjaśniać, jak to się stało, że moja żona i jej stara piastunka tajemniczo zmarły jedna po drugiej? Bądźże rozsądny! Nie mogę sprawić, żeby wszyscy o nich zapomnieli!

Potem odskoczył przerażony, gdy ogień z rykiem wystrzelił z kominka.

Płomienie przybrały kształt przerażającej twarzy, z rozdziawionymi ustami i pustymi oczodołami, która przemknęła przez pokój, rzucając się na niego.

– Chcę ją mieć! – wrzasnęła do niego, po czym zmieniła się w ognistą pałkę, która okładała go, jakby jakiś potwornie wielki kot bawił się myszą, zanim cofnęła się i zapadła z powrotem w płonące bierwiona, a car leżał na podłodze w ubraniu dymiącym i zwęglonym w miejscach, gdzie dotknął go płomień.

Ogień powoli przygasł, sycząc i pomrukując. Mirnatus leżał skulony i nieruchomy, zasłaniając głowę ramieniem. Gdy wreszcie ogień dogasł, pozostawiając słabo żarzące się węgle, car poruszył się powoli i z trudem, jak ciężko pobity człowiek. Nadal jednak był doskonale piękny, a gdy wstał, popiół oraz resztki spalonego odzienia osypały się z niego, nie pozostawiając żadnego śladu na jego ciele. Najwyraźniej demon dbał o pozory. Car jednak chwiał się osłabiony, przez chwilę spoglądał na drzwi, po czym wgramolił się na łóżko – moje łóżko – i niemal natychmiast zasnął.

Ja na brzegu rzeki mocno zacisnęłam dłoń. Dzięki warstwom odzieży i koszykowi z jedzeniem nie było mi tak zimno jak poprzedniej nocy. Martwiłam się, że wszystko natychmiast tu zamarznie, lecz każdy kęs był jak miłe wspomnienie kobiet, które mi je dały, wszystkich ich szeptanych rad i pocieszeń, a smak tego jedzenia rozgrzewał. Nie mógł jednak sięgnąć lodowatego ukłucia lęku w moim brzuchu. Jutro Mirnatus na pewno pośle po Magretę, obojętnie co powiem przy stole podczas śniadania, a ja wciąż nie znalazłam sposobu na to, jak uratować ją czy siebie.

Przez długi czas po tym, jak Starzykowy król odszedł, przechadzałam się po komnacie, rozgniewana i przestraszona. Pogięty złoty puchar stał na stole, szyderczo i niepotrzebnie przypominając mi o wszystkim. Takie teraz miałam wieść życie: uwięziona wśród tego ludu o lodowatych sercach, będę napełniać złotem skrzynie ich króla. A gdybym kiedyś mu odmówiła, z pewnością wkrótce znalazłby się dla mnie kolejny puchar trucizny.

Spałam niespokojnie za cienkimi jedwabnymi zasłonami, które upiornie szeptały, gdy ocierały się o siebie, a rankiem uświadomiłam sobie, że nie zadałam najważniejszego pytania: nie wiedziałam, jak wyjść z mojego pokoju. Na ścianach nie było widać zarysu żadnych drzwi. Byłam pewna, że weszłam tu przez znajdujące się w przeciwległej ścianie i on także, lecz przesuwając po niej dłońmi, nie znalazłam żadnego śladu otworu. Nie miałam jak zdobyć czegoś do jedzenia i picia, a nikt do mnie nie przyszedł.

Moim jedynym pocieszeniem było to, że pożądał złota tak bardzo, że się ze mną ożenił, więc nie zostawiłby mnie tu, żebym umarła z głodu; wprawdzie zdołałam

go nakłonić, żeby co wieczór odpowiadał na moje pytania, ale mógł dręczyć mnie tak całymi dniami. I kiedy przyjdzie wieczór? Krążyłam po komnacie, aż się zmęczyłam, a wtedy usiadłam pod szklaną ścianą i spoglądałam na bezkresny las, czekając, ale mijały godziny, a przynajmniej tak mi się zdawało, i na zewnątrz wcale nie zaczęło się ściemniać. Prószył śnieg; puchowa pierzyna na sosnach przez noc zrobiła się grubsza.

Byłam coraz bardziej głodna i spragniona, aż w końcu wypłam trunek z pozostawionego przez niego pucharu, po którym byłam oszołomiona, zziębnięta i wściekła, gdy wreszcie się pojawił, przechodząc przez drzwi, których moment wcześniej jeszcze tam nie było – i byłam pewna, że znajdowały się w innym miejscu niż te, którymi weszliśmy tu poprzedniego dnia. Za nim dwaj słudzy wnieśli spory kufer, który zabrzęczał, gdy postawili go u moich stóp. Kiedy próbowali go otworzyć, postawiłam nogę na wieku i splotłam ręce na piersi.

– Jeśli uda ci się złapać kurę znoszącą złote jaja – wycedziłam, gniewnie patrząc na króla – i chciałbyś dostawać je regularnie, to lepiej zadbaj o to, żeby była zadowolona, jeśli masz choć trochę rozsądku: masz go?

Obaj słudzy drgnęli przestraszeni, a on zeszywniał i wyprostował się na całą swoją okazałą wysokość, emanując gniewem: sople jak lśniące sztylety zjeżyły się na jego ramionach, a kości policzkowe uwydatniły jak wykute z kamienia. Ja jednak wyprostowałam się gniewnie, wysoko podnosząc głowę, i nagle przeszedł obok mnie do szklanej ściany. Spoglądał tam na las i zaciskał pięści opuszczonych rąk, jakby powstrzymywał gniew, po czym odwrócił się i rzekł lodowatym tonem:

– Tak, gdyby jej żądania były rozsądne.

– W tym akurat momencie żądam obiadu – warknęłam. – U twego boku, podanego tak jak tobie, jakbym była cenioną królową, którą radośnie poślubięś. Chociaż może przekracza to możliwości twojej wyobraźni.

Wciąż się jeżył, ale machnięciem ręki odprawił służących; skłonili się, pospiesznie opuścili komnatę i niebawem wrócili całym tłumem. W mgnieniu oka zastawili stół w sposób, który zrobił na mnie duże wrażenie: srebrne talerze i kryształowe kielichy, śnieżnobiały lniany obrus, dwa tuziny zimnych dań, których większości nie rozpoznawałam, ale z ulgą odkryłam, że mimo to mogę je jeść. Ostro przyprawiona ryba o różowym mięsie, plasterki jakiegoś białego owocu o żółtozielonej skórce, przezroczysta galaretka z kawałeczkami czegoś twardego i słonego, miska z czymś, co wyglądało jak śnieg, ale miało zapach róż i słodki smak. Wydawało mi się, że rozpoznaję ziarenka zielonego groszku, tylko maleńkie i zamrożone niemal na kość. Była także dziczyzna podana na soli, surowa, lecz pokrojona tak cienko, że mimo to można było ją jeść.

Gdy skończyliśmy posiłek, służba zabrała talerze, a wtedy król wybrał dwie

kobiety i powiedział im, że mają mi usługiwać. Obie wyglądały na niezbyt uszczęśliwione taką perspektywą, a i ja niewiele bardziej. Nie powiedział mi, jak się zwać, a ja z trudem odróżniłabym je od innych: jedna miała odrobinę dłuższe włosy, na lewej skroni splecione w bardzo cienki warkoczyk z kryształowymi paciorkami, a druga mały biały pieprzyk pod prawym okiem; tylko takie znaki szczególne zdołałam dostrzec. Miały siwobiałe włosy i nosiły takie same szare stroje jak wszyscy królewscy słudzy.

Te miały jednak srebrne guziczki z przodu, więc podeszłam do nich i dotknęłam ich palcem, jednego po drugim, zmieniając je w złote. Cała służba przyglądała się temu.

– Żeby wszyscy wiedzieli, że jesteście moimi służącymi – zimno oznajmiłam, gdy skończyłam.

Miały zrezygnowane miny, a Starzykowy król wyglądał na niezadowolonego, co mnie ucieszyło. Zapewne byłam małostkowa, ale nie przejmowałam się tym.

– Jak mam was wezwać, jeśli będę czegoś potrzebowała? – spytałam je, ale one nie odpowiedziały, tylko zerknęły na swego pana i natychmiast zrozumiałam, że oczywiście kazał im nie odpowiadać na moje pytania, żebym zadawała je jemu i traciła przysługujące mi trzy. Przygryzłam wargę, po czym chłodno go spytałam: – No?

Zadowolony uśmiechnął się słabo.

– Tym. – Skinął głową na tę z pieprzykiem, a ona wręczyła mi dzwoneczek. Potem odprawił służbę, a gdy wszyscy wyszli z komnaty, zimno powiedział do mnie: – Masz jeszcze jedno pytanie.

Miałam tysiąc pytań o różne praktyczne sprawy, szczególnie jeśli nikt inny nie miał się do mnie odzywać: gdzie mam się kąpać, skąd wziąć czyste ubrania, ale na usta cisnęło mi się jedno, zupełnie niepraktyczne, chociaż już wiedziałam, że odpowiedź mi się nie spodoba.

– Jak mam wrócić do Wyżni? Albo do domu?

– Ty? Miałabyś dotrzeć z mojego królestwa do słonecznego świata? – Pogarda w jego głosie wyraźnie świadczyła, że uważał, iż równie dobrze mogłabym dotrzeć na Księżyc. – Nie zdołasz, chyba że cię tam zabiorę.

Po czym wstał i wymaszerował z komnaty, a ja poszłam do mojej alkowy, zaciągnęłam zasłony, chowając się przed nieustannym półmrokiem, i skryłam twarz w dłoniach, zaciskając zęby i czując piekące łyzy cisnące się do oczu.

Rano jednak wstałam i z determinacją zadzwoniłam dzwonkiem. Moje nowe służące przyszły natychmiast i zamiast zadawać im pytania, po prostu spróbowałam wydawać im polecenia. To dało dość dobre rezultaty: przygotowały mi kąpiel, napełniając wielką i ładnie zaobloną srebrną wannę, w której wygodnie mogłam się

wyciągnąć. Jej brzeg był pokryty warstewką lodu, a ścianki oszronione, lecz gdy ostrożnie zanurzyłam dłoń w wodzie, ta jakimś cudem wydała mi się ciepła, więc trochę spięta weszłam do niej, gotowa wrzasnąć, ale najwyraźniej Starzyk, zabierając mnie do swego królestwa, zrobił coś, co pozwalało mi znosić zimno.

Przyniosły mi także jedzenie i czyste rzeczy, wszystkie w bieli i srebrze, które z determinacją zamieniłam w złoto: zamierzałam kontynuować to, co zaczęłam, i w miarę możliwości robić dobrą minę do złej gry. Jednak nawet usługując mi rano, żadna z kobiet nie powiedziała mi, jak się nazywa, a ja nie zamierzałam pytać o to ich pana. Zamiast tego, gdy w końcu usiadłam do śniadania, powiedziałam, zwracając się najpierw do tej z pieprzykiem, a potem do jej koleżanki z warkoczykiem:

– Będę nazywała cię Plamka, a ciebie Treska, chyba że wolicie, żebym zwała was jakoś inaczej.

Plamka drgnęła tak, że o mało nie rozlała napoju, który nalewała mi do kieliszka, i obrzuciła zdumionym spojrzeniem mnie, a potem Treskę, która patrzyła na mnie równie zaskoczona. Przez moment obawiałam się, że je obraziłam, ale obie oblały się lekkim sinoszarym rumieńcem.

– Jesteśmy zaszczycone – powiedziała Plamka, spuszczać oczy, i wydawała się naprawdę tak uważać. Nie sądziłam, żeby te imiona były szczególnie ładne – nie wysilałam się, ponieważ tylko próbowałam się w ten sposób dowiedzieć, jak naprawdę się zwa.

Pomimo to byłam zadowolona, aż skończyłam jeść i stanęłam przed koniecznością spędzenia całego długiego dnia z kufrem srebra, czekającym na środku komnaty. Zmarszczyłam brwi, patrząc nań, ale nie miałam niczego lepszego do roboty; w ogóle nie miałam co robić. Dobrze, że przynajmniej spełnił moje żądania. Nie chciałam dawać mu wszystkiego, czego sobie zażyczy, a tym bardziej złota, którego tak pożył, ale doskonale wiedziałam, że tej umowie zawdzięczam życie i jeśli się z niej nie wywiążę, równie dobrze mogłabym rozbić tę szklaną ścianę i rzucić się na skały wodospadu na dole.

– Wysypcie całą zawartość na podłogę – niechętnie poleciłam Tresce i Plamce.

Zrobiły to bez trudu i postawiły pusty kufer przy stercie srebra. Potem skłoniły się i zostawiły mnie z nim.

Podniosłam jedną ze srebrnych monet. W moim świecie wydawały się gładkie, lecz w tym dziwnym jasnym świetle przebijającym się przez kryształowe ściany pojawił się na nich ledwie widoczny wzór; po jednej stronie smukłe ośnieżone drzewo, a po drugiej szklana góra ze srebrną bramą u podnóża, tylko bez wodospadu. Kiedy wzięłam ją w ręce, wystarczyło, że niechętnie zażyczyłam sobie tego w myślach, a już zmieniła się w złoto, lśniąc żółtym jak masło blaskiem

w moich palcach.

To znów mnie rozgniewało, albo chciałam, by mnie gniewało, ten kontrast pomiędzy słonecznym ciepłem jakby uwięzionym w mojej dłoni a bezkresem zimnego szarego blasku na zewnątrz. Cisnęłam monetę do skrzyni, a potem następną i jeszcze jedną. Chwytałam garście srebrnych monet i bawiłam się, upuszczając je do skrzyni, przy czym każda w locie zmieniała się w złotą. To nie było trudne, ale nie spieszyłam się. Kiedy skończę, on po prostu każe mi zmienić zawartość następnej.

Gdy napełniłam jedną czwartą skrzyni, podeszłam do szklanej ściany i usiadłam tam, patrząc na moje nowe królestwo. Spadło jeszcze więcej śniegu. Cienka czarno-srebrna wstęga rzeki wiła się w dal pod skorupą lodu, jedyna wyrwa w zwartym lesie, a i ją wkrótce skrył śnieg. Nigdzie nie dostrzegłam żadnych gospodarstw, dróg ani żadnych znanych mi budowli, a na jednolicie szarym niebie nie było widać pojedynczych obłoków. Ta błyszcząca góra była samotną wyspą jasności, jakby chwytała całe światło odbite od śniegów i lodu, zazdrośnie gromadząc je dla siebie w swych niezdojanych zboczach. W ścianach łagodnie zapalały się i gasły tysiące odcieni szarego światła, a gdy przycisnęłam dłoń do zimnej powierzchni, przez moment pod moim dotknięciem rozbłysły barwami.

– Gdzie... pokaż mi, skąd pochodzi ta żywność – powiedziałam do Plamki, gdy przyniosła mi w południe posiłek, talerz z cienko krojoną rybą, otoczoną kręgiem ułożonych wokół niej owoców. Zawahała się stropiona, lecz gdy podeszłam do szklanej ściany i gestem wskazałam okolicę, szybko i niespokojnie spojrzała na las i nie dołączyła do mnie; potrząsnęła głową i tylko wyciągnęła przed siebie rękę.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na talerz z jedzeniem.

– Zatem zabierz mnie tam, skąd pochodzi ta ryba.

W mojej głowie zaczął się rodzić niejasny plan ucieczki rzeką spływającą ze zbocza góry, a poza tym chciałam wydostać się z tej komnaty. Podobno byłam królową; powinnam mieć prawo chodzić po moim królestwie.

Plamka miała wątpliwości, ale podeszła do ściany i otworzyła dla mnie drzwi. Nie zauważyłam, jak to zrobiła: nie dotknęła żadnej dźwigni, nie wykonała żadnego gestu i nie wymówiła żadnego zaklęcia; tylko podeszła do ściany, po czym odwróciła się do mnie i nagle czekała przy przejściu, jakby było tam cały czas. Weszłam za nią do korytarza, który wyglądał jak tunel; ściany miał gładkie jak szkło i nie dostrzegłam żadnych śladów łączenia tafli. Schodził stromo w dół, a ona z wahaniem poprowadziła mnie, często zerkając na boki; po drodze mijaliśmy komnaty, które rozpoznałam jako kuchnie, chociaż w żadnej nie palił się ogień. Przy długich stołach odziani w szare stroje słudzy Starzyka przygotowywali potrawy, zręcznie krojąc nożami wyjęte ze skrzynek owoce w białej skórce,

srebrnołuskie ryby i kawały sinoczerwonego mięsiwa.

Niemal cieszyłam się, że ich widzę, gdyż dzięki nim to miejsce wydało mi się zwyklesze: przynajmniej niektórzy z nich robili coś, co mogłam zrozumieć. Ilekroć jednak któryś z nich spojrzął i mnie zobaczył, rozdziawiał usta ze zdziwienia i spoglądał na Plamkę, która unikała ich wzroku. Zapewne królowa nie powinna kręcić się po kwaterach służby i robiłam z siebie widowisko. Pomimo to z podniesioną głową maszerowałam za nią dalej i za kolejnym zakrętem minęłyśmy ostatnie kuchenne drzwi, wychodząc na pusty korytarz. Plamka przystanęła tam i obejrzała się na mnie, jakby w nadziei, że widok kuchni mi wystarczył; tunel jednak biegł dalej, a ja byłam ciekawa, więc kazałam jej iść dalej, a ona odwróciła się i zaczęła iść nieco szybciej.

Gdy szłyśmy, światło w ścianach stawało się coraz słabsze, aż zmieniło się w migotliwe błyski następujące jeden po drugim, przygasającą i rozbłyskującą poświatę, jakbyśmy zeszły pod powierzchnię ziemi, gdzie dochodziły tylko odbicia światła z powierzchni. Maszerowałyśmy długo; kilkakrotnie schodziłyśmy po wąskich i krętych schodach, aż nagle Plamka gwałtownie skręciła w krótkie przejście prowadzące do jaskini o poszarpanych kryształowych ścianach z wąską kładką wokół głębokiego jeziora z ciemną wodą.

Jego powierzchnia była gładka i nieruchoma jak tafla szkła, lecz pod ścianą na stojakach wisiały sieci, a kiedyostałam tam kilka minut, dostrzegłam błysk srebrzystego boku jakiejś ogromnej ślepej ryby, przepływającej i znikającej głęboko w ciemnej toni. Uklękłam i dotknęłam powierzchni. Chociaż mogłam teraz wejść do wody ze stopionego lodu i uważać ją za nadającą się do kąpieli, ta silnie mroziła moje palce. Patrzyłam na powstające wokół nich kręgi; rozchodziły się, dopóki nie napotkały przeciwnego brzegu, a wtedy wracały do mnie, nakładając się na siebie, aż znikły.

Zadawałam sobie pytanie, ile takich jezior jest w tych podziemiach i ile sadów za kryształowymi ścianami; jak daleko rozciąga się ten niewiarygodny świat we wnętrzu góry, fortecy uwięzionego światła. Plamka czekała w milczeniu obok mnie. Zrobiła, co jej kazałam, ale niewiele mi to dało. Nie było dla mnie ucieczki, chyba że poprzez utonięcie, a nie mogła odpowiadać na moje pytania. Wstałam.

– W porządku – powiedziałam. – Zaprowadź mnie z powrotem do mojej komnaty. Inną drogą – dodałam.

Chciałam zobaczyć więcej, jeśli zdołam.

Zawahała się, znów zaniepokojona, lecz gdy odeszłyśmy od jeziora, ruszyła w innym kierunku niż ten, z którego przyszłyśmy, i poprowadziła mnie dalej, jakby musiała dopiero znaleźć inną drogę. Zrobiło się jeszcze ciemniej i mijałyśmy kolejne przejścia prowadzące do innych jezior. Jeszcze dalej, gdzie docierała

tylko odrobina światła, minęłyśmy następną jaskinię z jeziorem, lecz gdy do niej zajrzałam, nie dostrzegłam światła na wodzie. Weszłam tam, by popatrzeć: zobaczyłam tylko głęboką kryształową nieckę z dużą szczeliną na dnie i zupełnie pustą, jakby woda gdzieś z niej uciekła. Kiedy się obejrzałam, Plamka stała przy wejściu, patrząc na pustą nieckę, z opuszczonymi rękami i beznamiętną miną.

Minęłyśmy jeszcze kilka takich suchych jaskiń, zanim dotarłyśmy do skrzyżowania korytarzy, gdzie Plamka ochoczo skręciła do tunelu biegnącego w górę, jakby z zadowoleniem wracając na powierzchnię. Wkrótce pożałowałam, że kazałam jej zaprowadzić się tak daleko; straciłam poczucie czasu, ale moje nogi odczuwały tę wspinaczkę i byłam zmęczona na długo przed tym, zanim ściany zaczęły świecić jaśniej. A miałyśmy jeszcze spory kawałek drogi do pokonania. Plamka poprowadziła mnie drogą wiodącą przez jaskinię tak ogromną, że w mroku nie mogłam dostrzec jej ścian, z ciągnącym się od końca do końca polem dziwnych jasnioletowych grzybów, z kapeluszami tkwiącymi na wysokich trzonkach niczym jakieś przedziwne kwiaty. Minęłyśmy dwóch zbierających je do koszy Starzyków w strojach odrobinę ciemniejszych od innych. Ci nie spojrzeli na mnie ze zdumieniem; tylko zerknęli na samą Plamkę, zanim odwrócili wzrok. Ona obrzuciła ich równie przelotnym spojrzeniem, a potem patrzyła tylko na drogę przed sobą, dopóki stamtąd nie wyszłyśmy.

Następnie poszłyśmy w górę po długich spiralnych schodach, wąskich i owiniętych wokół cienkiego kryształowego filaru. Robiło się jaśniej, więc czułam, że idziemy w górę, ale poza tym nic się nie zmieniało i wydawało się, że będziemy tak iść w nieskończoność.

– Zabierz nas z tych schodów, jeśli możesz – powiedziałam, gdy już nie mogłam tego dłużej znieść.

Plamka tylko obejrzała się na mnie, spuściła głowę i wchodziła dalej, lecz za następnym zakrętem wyszłyśmy na podest.

Nie wiedziałam, czy czekał tam na nas, czy nie, i nic mnie to nie obchodziło; z wdzięcznością opuściłam tę ciasną klatkę schodową. Znalazłyśmy się w winnicy, którą w pierwszej chwili uznałam za kolejny dziw, lecz zaraz zrozumiałam, że jest wyschnięta: wąskie trejaże z jasnego drewna były widoczne pod suchymi badyłami ciemnoszarych pędów, które uschły aż do korzeni, stercząc ze spękanej i suchej ziemi. Między nielicznymi ciemnoszarymi i suchymi jak papier liśćmi widać było ciemne bryłki zeschniętych na kamień owoców. Plamka pospiesznie przeszła przez ten martwy gaj, a ja chętnie pospieszyłam za nią; czułam się tak, jakbym szła przez cmentarz.

Jeszcze trzykrotnie wspinaliśmy się po schodach, ale już nie tak wąskich, aż w końcu znalazłyśmy się w jaśniejszym przejściu biegnącym nieco łagodniej

w górę, po czym nieoczekiwanie skręciłyśmy w boczny korytarz i wróciłyśmy do mojej komnaty. Wcale nie przeczuwałam, że się do niej zbliżamy.

Byłam zadowolona, że to już koniec wędrówki. Byłam tak zmęczona, jakbym obeszła najdalej leżące od naszego domu wioski i wróciła, pokonawszy wiele mil, tylko że tu chodziłam w górę i w dół, przez cały czas głęboko wewnątrz tej ich góry. Jednak nie mogłam się cieszyć z powrotu do mojej komnaty. Nie była niczym innym jak celą, a cała ta góra wokół niej lochem. Plamka podała mi szklanekę wody, o którą poprosiłam, a potem skłoniła się i opuściła mnie z wyraźnym pośpiechem, niewątpliwie z zadowoleniem odchodząc, zanim każe jej odbyć kolejną taką głupią i męczącą wycieczkę, ponieważ nie wiedziałam, dokąd iść, i nie mogłam o to zapytać, a ona nawet nie mogła mnie odwieść od takiego pomysłu, kiedy kazałam się prowadzić przez miejsca, których unikała.

Gdy tylko odeszła, wyjście z komnaty znów znikło. Jednak i tak nie miałam dokąd pójść. Usiadłam przy skrzyni, podniosłam garść srebra i z niechęcią zmieniałam je w złoto. Robiłam to raz po raz, pracując szybko nie z rozmysłem, lecz wprawą nabytą w wyniku monotonnego powtarzania, i wrzucałam do skrzyni ostatnie monety, gdy przyszła Treska z tacą z moją kolacją. Zamierzałam nalegać, żeby Starzykowy król przyszedł i znów zjadł ze mną, żeby mu dokuczyć, ale ja nie zasługiwałam na taką karę, więc usiadłam do stołu i sama zjadłam posiłek, a on pojawił się dopiero wtedy, kiedy kończyłam.

Natychmiast przeszedł obok stołu do kufra i otworzył jego wieko. Przez długą chwilę nic nie mówił, tylko tam patrzył, a złocisty blask odbijał się w jego błyszczących pożądaniem oczach i rozświetlał wszystkie kontury jego zimnego jak lód ciała. Skończyłam jeść, odsunęłam tacę i podeszłam do niego.

– Służba dobrze się spisywała i wykonywała wszystkie moje polecenia – zapewniłam go słodko; chciałam, by wiedział, że dobrze sobie radziłam, i byłam zadowolona, że bez jego udziału.

On jednak nawet nie oderwał oczu od skrzyni.

– Tak powinno być – rzekł tylko. – Zadaj swoje pytania – niedbale rzucił, a ja natychmiast uświadomiłam sobie, że tylko ułatwiłam mu sprawę. Teraz wcale nie musiał o mnie myśleć; miałam po całych dniach siedzieć w moim pokoju, zmieniać srebro w złoto i kręcić młynka palcami, czekając, aż się zjawi i spełni niezbyt męczący obowiązek udzielenia mi odpowiedzi na trzy pytania dziennie.

Zacisnęłam wargi.

– Jakie są obowiązki Starzykowej królowej? – spytałam po chwili namysłu.

Oczywiście wcale nie chciałam być dla niego bardziej przydatna, ale praca zapewnia człowiekowi pozycję. Gdybym jakimś cudem została żoną księcia, otoczoną rojem służby, musiałabym wiedzieć, co powinnam robić – zajmować się

domem i dziećmi, gdy przyszłyby na świat; pięknie haftować, tkać i utrzymywać dwór. Tu nie miałam pojęcia, jakie mam obowiązki, i nawet jeśli nie podobała mi się moja sytuacja, to chciałam je zaniedbywać z rozmysłem, a nie tylko dlatego, że jestem głupią dziewczuchą, która nie wie, na czym one polegają.

– Zależą od jej zdolności, z których masz tylko jedną – odparł. – Zajmuj się tylko tym.

– Brak jakiegokolwiek urozmaicenia może mnie tak znudzić, że przestanę to robić – powiedziałam. – Równie dobrze możesz powiedzieć mi, jakie są inne obowiązki, i pozostawić mi decyzję, które powinnam spróbować wykonać.

– Czy stworzysz sto lat zimy w letni dzień lub las nowych śnieżnych drzew? – spytał szyderczo. – Czy skinieniem ręki naprawisz uszkodzone zbocze góry? Gdy zdołasz to zrobić, będziesz prawdziwą Starzykową królową. Do tego czasu przestań niemądrze wyobrazać sobie, że nią jesteś.

Mówił to głębokim i dźwięcznym głosem, niemal śpiewnie, i odniosłam nieprzyjemne wrażenie, że drwi ze mnie, mówiąc prawdę, a nie bzdury. Jakby Starzykowej królowej mogło naprawdę przyjść do głowy, żeby zrobić zimę w środku lata i machnięciem ręki zamknąć tę szczelinę w zboczu góry. A zamiast takiej potężnej czarodziejki lub lodowej wiedźmy siedziałam tu ja, zwykła śmiertelniczka mogąca tylko zrobić mu szeroką rzekę złota, którym będzie mógł się napawać.

Byłam pewna, że chciał mi dopiec tą drwiną, i nie zamierzałam dać mu tej satysfakcji. Dlatego gdy skończył, powiedziałam zimno:

– Ponieważ jeszcze nie nauczyłam się sprowadzać opadów śniegu, kiedy mi się podoba, zadowolę się pozostaniem sobą. Oto moje następne pytanie: jak mam poznać, że w świecie śmiertelników zaszło słońce?

Zmarszczył brwi.

– Nie możesz. I co to za różnica, skoro cię tam nie ma?

– Pomimo to muszę świętować szabas – odparłam. – Zaczyna się jutro wieczorem...

Niecierpliwie wzruszył ramionami, przerywając mi:

– To nie moje zmartwienie.

– Cóż, jeśli nie pomożesz mi dowiedzieć się, kiedy dokładnie zaczyna się szabas, będę musiała od dziś traktować każdy dzień jako święto, ponieważ z pewnością stracę rachubę dni, jeśli nie będę mogła ich odmierzać wschodami i zachodami słońca – wyjaśniłam. – W szabas nie wolno pracować, a jestem najzupełniej pewna, że zamiana srebra w złoto to praca.

– Może znajdziesz jakieś wyjście – rzekł gładko, a ja nie musiałam się specjalnie wysilać, żeby znaleźć ukrytą w jego słowach groźbę. Oczywiście

gdybym przestała wykorzystywać mój dar, stałabym się dla niego bezwartościowa i nie pozostawiłby mnie długo przy życiu.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Taki jest zwyczaj mego ludu i skoro nie łamałam go, żeby gotować sobie jedzenie, gdy byłam głodna, rozpalać ogień, kiedy marzłam, ani przyjmować pieniądze, gdy biedowałam, nie możesz oczekiwać, że złamię go dla ciebie.

Oczywiście była to bzdura i zrobiłabym to, gdyby przyłożył mi nóż do szyi. Mój lud nie gloryfikował umierania za wiarę – uważając to za zbyteczne – i wolno było złamać nakaz obchodzenia szabasu, żeby ratować życie, również własne. On jednak o tym nie wiedział. Zmarszczył brwi, a potem znów wyszedł z komnaty i wrócił po kilku minutach z lusterkiem na łańcuszku, małym i oprawionym w srebro jak medalion. Trzymając je w dłoni, przyjrzał mu się uważnie i lusterko zaświeciło ciepłym blaskiem zachodzącego słońca jak sterta złota w skrzyni. Odwrócił się, zakołysał lusterkiem w powietrzu przed moim nosem i to było tak, jakbym przez dziurkę od klucza zerknęła na skrawek horyzontu zabarwiony pomarańczowo na skraju granatowego nieba, przed zapadającą nocą.

– Spytaj, czy możesz je wziąć, jeśli tak bardzo chcesz je mieć – powiedział zimno.

– Czy mogę dostać to lusterko? – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Unióśł je w powietrze i upuścił mi na dłonie, żebyśmy przypadkiem się nie dotknęli, po czym natychmiast odwrócił się i wyszedł.

Nie dotarliśmy z Siergiejem do drogi do Wyżni. Ruszyliśmy ku niej przez las, lecz mniej więcej po godzinie usłyszeliśmy głosy i szczekanie psów. W wiosce nie zostało ich wiele. Większość ludzie zjedli w ciągu tej długiej zimy. Pozostawiono tylko najlepsze psy tropiące. Teraz tropiły nas. Przystanęliśmy.

– Mógłbym... pójść do nich – po chwili rzekł Siergiej.

Gdyby go złapali, zapewne zaprzestaliby pościgu. Nie ścigaliby mnie samej, przynajmniej większość z nich. Tak więc przynajmniej ja uszłabym z życiem. Jeśli zostaniemy razem i będziemy musieli biec, ja pierwsza opadnę z sił. Siergiej był wyższy i silniejszy ode mnie, a moje spódnice utrudniały mi ucieczkę przez las. Wyobraziłam sobie jednak, jak będą wieszać Siergieja, jak założą mu sznur na szyję i podciągną w górę, a on będzie wierzgał nogami w powietrzu, aż umrze. Raz widziałam, jak wieszali złodzieja złapanego na targowisku.

– Nie – powiedziałam.

Tak więc razem poszliśmy dalej przez las.

Przez krótki czas znów było cicho, ale potem do naszych uszu znów doleciało szczekanie. Najpierw jedno szczeknięcie w oddali, potem drugie. Zbliżali się.

Przyspieszyliśmy i te odgłosy znów ucichły, ale potem zmęczyliśmy się i zwolniliśmy, a wtedy znów usłyszeliśmy szczekanie, z jednej strony i drugiej. Zaganiali nas jak kozy do zagrody. Na ziemi leżał śnieg, który jeszcze nie stopniał, i zostawialiśmy w nim ślady stóp. Nic nie mogliśmy na to poradzić.

Nagle zaczęło się ściemniać. A słońce jeszcze nie zachodziło. Wydawało mi się, że idziemy tak już bardzo długo, ale tylko dlatego, że byłam zmęczona. Niebo pociemniało, ponieważ przesłoniła je ogromna ciemnoszara chmura. Podmuch wiatru owiał nam twarze, niosąc zapach śniegu. Nie liczyłam na to, że spadnie. O tej porze roku już nie zrywały się śnieżyce. Był prawie czerwiec. A jednak zaczął padać śnieg, najpierw kilka płatków, potem więcej, a później staliśmy sami na leśnej polanie, ze wszystkich stron zasłonięci białą kurtyną.

Nie słyszeliśmy już żadnego poszczekiwania ani ludzkich głosów. Śnieg sypał gęsto i równo, a nisko wisząca chmura zapowiadała, że będzie tak padał długo. Wszyscy z pewnością jak najszybciej wracali do wioski. Natomiast my pospiesznie poszliśmy dalej, chociaż nie mieliśmy dokąd pójść – tylko przed siebie. Świeży śnieg przykrywał stary, tak więc nie mogliśmy dostrzec płatów lodu, błotnistych dziur ani zasp. Kolano bolało mnie po upadku na ukryty twardy kamień, a Siergiej w pewnej chwili potknął się i rozciągnął jak długi na mokrej i zimnej ziemi, i potem włosy wisiały mu w śnieżnych strąkach, które rosły, gdy szliśmy.

Byłam przyzwyczajona do chodzenia na duże dystanse, ale już przeszliśmy znacznie większą odległość niż ta dzieląca nasz dom od domu Mirjem, i to nie drogą. Musieliśmy jednak iść dalej. Nawet nie próbowaliśmy szukać drogi. Już nie wiedzieliśmy, gdzie ona jest. Być może chodziliśmy w kółko. Zimno pełzło od moich palców do ramion i od stóp w górę nóg. Miałam mokro w butach, których łyko zaczęło pękać. Czułam to już od pewnego czasu, chociaż stopy zdrętwiały mi z zimna. Chwilami Siergiej musiał przystawać i czekać na mnie. W końcu but spadł mi z nogi, a ja potknęłam się i upadłam, upuszczając garnek.

Szukaliśmy go długo. Powinniśmy po prostu pójść dalej, ale pomyśleliśmy o tym dopiero wtedy, gdy przekopaliśmy wszystkie zasy wokół i niemal nie czuliśmy zmarzniętych rąk. Szukaliśmy, aż w końcu znalazłam dziurę sięgającą do dna wysokiej zasy i wykopaliśmy garnek. Był lekko wgięty z boku. Popatrzyliśmy nań – to był tylko garnek, w którym nie mieliśmy co ugotować. Wtedy oboje zrozumieliśmy, że powinniśmy byli zostawić go i pójść dalej, ale nie powiedzieliśmy tego na głos. Siergiej wziął garnek i wstaliśmy, żeby ruszyć.

Wtedy jednak spojrzałam na tę zaspę. Trochę śniegu zsunęło się z niej i pod nią był murek, który sięgał mi zaledwie do pasa, prawdziwy murek z kamieni. Niezbyt długi. Po drugiej stronie teren był prawie równy, jeśli nie liczyć innej bardzo dużej zasy, dwukrotnie wyższej od Siergieja. Mogła to być tylko kępa drzew czy

krzewów przykrytych śniegiem, lecz gdy przeszliśmy przez murek i podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że to chatka z kamienia, z dachem z gałęzi. Zakrywała ją kurtyna zeschniętego bluszczu, zasłaniająca ściany, okna i otwór drzwiowy. Lód zmroził suche liście, a na nim zebrała się gruba warstwa śniegu. Pnącza ułamały się i spadły, gdy ją pchnęliśmy.

Natychmiast weszliśmy do środka, nie czekając, aż nasze oczy oswoją się z półmrokiem. Nie było ważne, co tam jest; na pewno będzie tam lepiej niż na zewnątrz. Jednak po chwili dostrzegliśmy tam drewniany stół, krzesło i łóżko, a nawet piec. Deski krzesła i łoża zbutwiały, materac także, ale piec wciąż był cały i sprawny. Obok niego leżała sterta drewna.

Wygarnęłam spod łóżka kilka spróchniałych deseczek i trochę słomy z materaca na rozpałkę, a potem usiadłam przy piecu i zabrałam się do rozpalania ognia za pomocą dwóch patyków. Umiałam dobrze to robić, ponieważ czasem gasł nam ogień, gdy brakowało opału i musieliśmy rozpalać go na nowo. Siergiej postawił na stole nasz pocięty garnek i rozgrzał się, przytupując. Potem wyszedł na zewnątrz. Kiedy wrócił, ja już zdążyłam rozpalić w piecu. Przyniósł naręczce wilgotnego drewna i cudowną rzecz: ziemniaki.

– Jest tu ogród – rzekł.

Ziemniaki były małe, ale wykopał ich dziesięć i mieliśmy je tylko dla nas dwojga.

Podkładałam do ognia suche drewno, aż zaczął buzować. Przyniesione przez Siergieja wilgotne drwa położyliśmy na piecu i przed nim, żeby wyschły. Włożyliśmy ziemniaki do pieca, a na nim postawiliśmy nasz garnek pełen śniegu, żeby się roztopił. Siedzieliśmy przy ogniu, grzejąc się, aż zagotowała się woda, a wtedy piliśmy ją z kubków, żeby rozgrzać się w środku. Potem zagotowaliśmy więcej wody, pokroiliśmy ziemniaki i wrzuciliśmy do niej, żeby się ugotowały. W ten sposób będziemy mieli ziemniaki do zjedzenia i wodę do popicia. Wydawało się, że ziemniaki gotują się bardzo długo, ale w końcu były miękkie i zjedliśmy je gorące, parujące i parzące w język, i jakże dobre.

Przez cały ten czas nie myśleliśmy o niczym, również kiedy jedliśmy. Byliśmy tak zmarznięci i głodni. Zdążyłam się przyzwyczaić do tego, że marznę i głoduję, ale nie aż tak. To było gorsze niż tamtej zimy, kiedy zabrakło nam żywności. Dlatego nie myślałam o niczym innym, tylko o tym, żeby się ogrzać i znaleźć coś do zjedzenia. Kiedy jednak skończyliśmy jeść, rozgrzaliśmy się i zaczęliśmy popijać wodę po ziemniakach, pomyślałam o garnku z wrzącą kaszą spadającym na tatę i zadrzałam, wcale nie z zimna.

Potem znów zaczęłam myśleć. Nie o tacie, ale o nas. Nie złapali nas, nie powiesili Siergieja i mnie. Nie zamarzliśmy w lesie. Zamiast tego byliśmy tu, w tej

chatce w środku lasu, siedzieliśmy przy ciepłym piecu i znaleźliśmy ziemniaki, a ja wiedziałam, że to dziwne.

Siergiej też to wiedział.

– Już od dawna nikt tu nie mieszka – rzekł do mnie.

Powiedział to bardzo głośno, jakby chciał mieć pewność, że ktoś w pobliżu to usłyszy.

Chciałam w to wierzyć. Oczywiście żaden człowiek nie mógł tu mieszkać. Ten las należał do Starzyka. Nie wiodła tu żadna droga. Nie było żadnego gospodarstwa ani pola. Tylko opuszczona chatka w lesie dla jednej samotnie żyjącej osoby. Zapewne należała do jakiejś czarownicy i kto wie, czy ta wiedźma jest martwa, czy nie, i kiedy może wrócić.

– Tak – odrzekłam pomimo to. – Ktokolwiek tu mieszkał, już go nie ma. Spójrz na to łóżko i krzesło. Butwiały od dawna. Ponadto wkrótce stąd odejdziemy.

Siergiej skinął głową równie ochoczo jak ja.

Pomimo to baliśmy się spać w tej chatce czarownicy, ale nie mieliśmy dokąd pójść, tak więc nie było sensu o tym rozmyślać. Podłożyliśmy do ognia, a potem ułożyliśmy się na zapiecku, gdzie było ciepło. Zastanawiałam się, czy powiedzieć Siergiejowi, że jedno z nas powinno czuwać, ale zasnęłam, zanim te słowa zdołały wyjść z moich ust.

Rozdział 12

Sama w mojej komnacie ze szkła i lodu, z zachodzącym w lusterku słońcem, łamałam chleb i popijałam wino zostawione mi przez Plankę. Nie mogłam zapalić świecy; ona i Treska tylko spojrzały na mnie ze zdumieniem, gdy kazałam im jakąś przynieść. Odśpiewałam psalmy, które brzmiały dziwnie cicho bez wtórujących mi rodziców czy dziadków. Myślałam o tym ostatnim wieczorze w Wyżni, domu pełnym gości, wszystkich tak cieszących się szczęściem Basi i Izaaka. Jutro ona znów będzie świętować z moimi dziadkami i swoją matką, moimi kuzynkami i swoimi przyjaciółkami: szabas przed ślubem. Kiedy się kładłam, od łez ścisnęło mnie w gardle.

Nie miałam żadnej książki do czytania i nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Następnego dnia obchodziłam szabas, powtarzając sobie na głos Torę, tak jak ją pamiętałam. Przyznaję, że nigdy nie byłam szczególnie przywiązana do Tory. Ojciec kochał ją szczerze; myślę, że w głębi serca marzył, żeby zostać rabinem, lecz jego rodzice byli biedni, a on nie umiał dobrze czytać; z trudem przedzierał się przez litery i słowa, chociaż liczenie przychodziło mu z łatwością. Tak więc wysłali go na praktykę do lichwiarza, a ten znał pana Moszela, w trakcie praktyki ojciec poznał jego najmłodszą córkę i tak zaczęła się opowieść moich rodziców.

W każdym razie ojciec niemal w każdy szabas czytał nam Torę, i to z czasem zupełnie płynnie w wyniku wielokrotnego powtarzania. Ja wówczas jednak przeważnie myślałam o pracy, której nie mogłam wykonywać, lub usiłowałam zapomnieć o głodzie, a czasem zadawałam najtrudniejsze pytania, jakie przychodziły mi do głowy, żeby ojciec musiał się trudzić, odpowiadając na nie. Jednak te wspomnienia utkwily w mojej pamięci głębiej, niż przypuszczałam, więc gdy zamknęłam oczy i próbowałam przypomnieć sobie jego słowa oraz pomruk wtórujących mu głosów, odkryłam, że mniej więcej potrafię je powtórzyć. Byłam z Józefem w więzieniu faraona, nim słońce znów zaszło i skończył się szabas, i znów przyszedł do mnie mój mąż.

Nie od razu otworzyłam oczy, z radością każąc mu czekać, ale ku mojemu

zaskoczeniu nic nie powiedział, więc spojrzałam nań wcześniej, niż zamierzałam, i ujrzałam satysfakcję na jego twarzy zamiast gorzkiej rezygnacji. Ta zmiana była niezwykła. Na ten widok zacisnęłam zęby. Wyprostowałam się i zapytałam:

– Z czego się cieszysz?

– Rzeka znowu stanęła – rzekł, co w pierwszej chwili wydało mi się pozbawione sensu.

Potem wstałam i podeszłam do szklanej ściany. Szczelina w zboczu góry była grubo zasklepiona płatami lodu, a wąski wodospad zamarznięty. Nawet rzeka w dole zupełnie zamarzła i zmieniła się w lśniąca lodową drogę. Spadło dużo śniegu, tak dużo, że przykrył wszystkie drzewa ciemnego lasu.

Nie wiedziałam, dlaczego tak go to cieszy, że jego świat zamarzł, lecz było coś strasznego i złowrogiego w tej jednolitej błyszczącej bieli. Jakiś zamysł w tym całkowitym usunięciu wszelkiej zieleni i ziemi, coś, co przypominało mi wszystkie nasze srogie zimy, żyto zmarznięte na polach i drzewa w sadach, więc gdy podszedł i stanął przy mnie, spojrzałam na niemal ekstatyczną radość na jego twarzy i powoli powiedziałam:

– Kiedy w twoim królestwie pada śnieg, czy w moim pada także?

– W twoim królestwie? – powtórzył, patrząc na mnie z lekką pogardą dla tej koncepcji. – Wy, śmiertelnicy, chcielibyście uczynić je swoim, rozpalając ogień i stawiając mury, żeby mnie powstrzymać i zapomnieć o zimie, gdy tylko się skończy. To jednak wciąż moje królestwo.

– Cóż – odparłam – zatem teraz również moje. – I z satysfakcją zobaczyłam, jak z niezadowoleniem marszczy brwi, gdyż przypominałam mu, że mnie poślubił. –

Sformułuję jednak inaczej moje pytanie, jeśli chcesz: czy dziś w słonecznym świecie pada śnieg, mimo że powinna tam być wiosna?

– Tak – odrzekł. – Nowy śnieg pada tu tylko wtedy, gdy sypie także w świecie śmiertelników; dlatego długo się trudziłem, żeby go sprowadzić.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem, w pierwszej chwili zbyt zaskoczona, żeby się przerazić. Wiedzieliśmy, że Starzykowie przybywają zimą, która czyni ich silnymi, i ze śnieżycami ruszają ze swego lodowego królestwa; wiedzieliśmy, że to zima daje im moc. Jednak nie przyszło mi do głowy – i nikomu, kogo znałam – że to oni mogli sprowadzać zimę.

– Przecież wszyscy w Litwasie umrą z głodu, jeśli najpierw nie zamarzną! – zawołałam. – Zniszczysz wszystkie uprawy...

Nawet na mnie nie spojrzał, tak mało go to obchodziło; już znów sycił te jasne błyszczące oczy widokiem bezkresnej bieli spowijającej jego królestwo, podczas gdy ja widziałam tylko głód i śmierć. A na jego twarzy widziałam jedynie triumf, jakby właśnie tego chciał. Zacisnęłam pięści.

– Pewnie jesteś z siebie dumny – wycedziłam przez zęby.

– Tak – odparł natychmiast, odwracając się do mnie, i za późno zrozumiałam, że mógł to uznać za pytanie. – Ta góra nie będzie już cierpiała, gdy trwa zima, a ja istotnie mam powód do dumy; dotrzymałem słowa, choć ogromnym kosztem, i ziściły się wszystkie moje nadzieje.

Wypełniwszy swoją powinność, natychmiast się odwrócił i już miał wymaszerować z komnaty, ale nagle przystanął i spojrzał na mnie.

– Jednak posunąłem się za daleko – rzekł nagle. – Chociaż nie masz żadnej mocy w tym świecie ani w twoim, nadal jesteś naczyniem wysokiej magii i muszę to honorować. Tak więc od tej pory będziesz miała wszelkie wygody, jakich zapragniesz, i przyślę cię więcej odpowiednich pokojówek, dam o należytej pozycji, aby ci służyły.

Zabrzmiało to niezwykle niepokojąco: miałam być otoczona stadkiem uśmiechniętych szlachcianek, z pewnością darzących mnie głęboką nienawiścią lub pogardą.

– Nie chcę ich! – powiedziałam. – Obecne mi wystarczą. Jeśli chcesz być dla mnie miły, powiedz im, że mogą odpowiadać na moje pytania.

– Nie chcę – odparł z lekkim grymasem odrazy, jakbym zaproponowała, żeby skopał jakieś bezbronne zwierzątko. To zapewne zrobiłby z przyjemnością. –

Mówisz tak, jakbym im tego zabronił. To ty pragnęłaś uzyskać ode mnie odpowiedzi, gdy mogłaś zamiast tego poprosić mnie o niemal każdy inny dar. Kto udzieliłby ci ich teraz za darmo, skoro tak wysoko je cenisz? I czy jakikolwiek zwykły sługa śmiałyby wyznaczać ci jakąś cenę?

Kiedy wyszedł, miałam chęć załamać ręce ze zniechęcenia. Cieszyłam się jednak, że sobie poszedł. Jego zadowolenie i radość denerwowały mnie o wiele bardziej niż irytacja i zimny gniew. Patrzyłam przez okno na grubą pierzynę śniegu, którą okrył ten świat, chociaż lustreczko już pociemniało nocą. Nie przejmowałam się zbytnio losem księcia ani mieszkańców miasteczka. Wiedziałam jednak, co się stanie z moją rodziną, gdy wszystkie uprawy wymarzną, a zadłużeni ludzie wpadną w rozpacz.

Myślałam o matce i ojcu, zupełnie samych, o śniegu sięgającym po dach ich domu i jeszcze zimniejszej od niego nienawiści, jaka ich otacza. Czy wyjadą do Wyżni, do mojego dziadka? Czy chociaż tam będą bezpieczni? Zostawiłam fortunę, za którą mogli wykupić przejazd na południe, ale chociaż bardzo tego chciałam, nie mogłam uwierzyć, że do tej pory zupełnie o mnie zapomnieli. Nie wyjechaliby beze mnie. Nawet gdyby dziadek powiedział im, dokąd mnie zabrano, nigdy by nie wyjechali; mogłabym wysłać im list pełen kłamstw, że jestem królową i jestem szczęśliwa, nie myślcie już o mnie, ale nie uwierzyliby w to. A gdyby tak, to

załamałoby ich nawet bardziej niż moja śmierć; moją matkę, która płakała, kiedy zobaczyła, że jako zapłatę wzięłam futro kobiety plującej jej pod nogi. Pomyślałaby, że musiałam zamienić się w lód, skoro postanowiłam ich opuścić i zostać żoną straszliwego Starzyka, króla gotowego zamrozić świat, byle umocnić swoją fortecę.

– Chcę się udać na przejażdżkę – oznajmiłam następnego ranka, gdy Plamka i Treska zbierały talerze po śniadaniu.

Był to strzał na oślep, próba zrobienia czegoś, co być może przystoi Starzykowej szlachciance, a także kolejna nikła szansa ucieczki. Tym razem dopisało mi szczęście: Plamka bez namysłu skinęła głową i wyprowadziła mnie z komnaty na te długie i oszałamiająco wysokie schody prowadzące do wielkiej jaskini w środku góry.

Schodzenie było bardziej przerażające niż wchodzenie; o wiele lepiej zdawałam sobie sprawę, jak kruche są te stopnie wyglądające jak zrobione ze szkła oraz jak daleko w dole jest ziemia. O wiele wyraźniej, niżbym chciała, widziałam delikatne białe drzewa stojące w idealnie koncentrycznych kręgach, te w środku najwyższe i z największą liczbą liści, a w zewnętrznym ledwie drzewka, niektóre bezlistne.

W końcu jednak dotarliśmy na dół, a wtedy Plamka przeprowadziła mnie przez gaj istnym labiryntem ścieżek, wszystkich gładkich jak zamrażnięty staw i obramowanych mozaiką z przezroczystych kamieni. Nawet gdybym miała na to cały dzień, nie potrafiłabym odróżnić jednej od drugiej. Tam mijaliśmy kilku znamienitszych Starzyków, w strojach jaśniejszych niż ten, jaki nosiła Plamka, niektórych nawet w odcieniach kości słoniowej lub niemal białych, z podążającą za nimi służbą. Ci otwarcie się gapili, niektórzy z zaciekawionymi uśmiechami, na moje czarne włosy, smagłą skórę i złotą koronę: znów ją bowiem nałożyłam, żeby przypominała wszystkim napotkanym, że jestem ich królową.

Po drugiej stronie gaju poszliśmy kolejnym tunelem w ścianie góry, ale szerszym, dostatecznie dużym, by można nim było przejechać, i wychodzącym na następną łąkę wewnątrz góry, gdzie stado pazurzastych jeleni skubało przezroczyste kwiaty, a sanie stały pod gołym niebem – nie potrzebowały tu stajni ani wiaty. Ten sam woźnica, który nas tu przywiózł, siedział przy nich, trzymając uprząż – zapewne naprawiał ją, chociaż w jego rękach nie dostrzegłam żadnych narzędzi. Gdy Plamka powiedziała mu, że chcę udać się na przejażdżkę, bez słowa wstał, podszedł do dwóch jeleni i szybko je wprzągnął. Potem otworzył przede mną drzwi sań, tak po prostu.

Równie dobrze mógł powiedzieć, że w ten sposób nie uda mi się stąd uciec i to strata czasu. Pomimo to wsiadłam. Powiedział coś do jeleni i trzasnął lejcamy, a one lekko ruszyły naprzód; wjechaliśmy do następnego tunelu i pomknęliśmy po

ośnieżonych ścieżkach. Ścisnęłam bok sań, przytrzymując się. Wydawało mi się, że jedziemy o wiele szybciej niż poprzednio, ale może dlatego, że zjeżdżaliśmy w dół, w głąb ciemnego tunelu prowadzącego do srebrnej bramy. Kopyta jeleni stuknęły w tanecznym rytmie po lodzie, aż przed nami pojawiała się oślepiająco jasna linia światła, gdy wrota otwarły się przed nami i pomknęliśmy w dół drogą po błyszczącym zboczu góry, do okrytego śniegiem lasu.

Wciąż trzymałam się poręczy, lecz gdy zimne powietrze owiało mi twarz, głęboko wciągnęłam je w płuca i odkryłam, że mimo wszystko cieszy mnie ta przejażdżka, nawet jeśli miałyby się okazać bezowocna. Warto było spróbować.

– Furarz – powiedziałam. Woźnica drgnął, a Plamka i Treska także, oglądając się na mnie, jakby chcieli się upewnić, że mówię do niego. – Chcę pojechać do Wyżni. – Spojrzał na mnie pustym wzrokiem, więc dodałam: – Do miejsca, z którego mnie zabrałeś przed ślubem.

Zadrżał, jakbym kazała mu jechać do bram piekła.

– Do słonecznego świata? To za daleko; można tam dojechać tylko królewską drogą, jeśli taka jego wola.

Dopiero kiedy to powiedział, zdałam sobie sprawę z tego, że nie widzę białych drzew ani srebrzystobiałej drogi, którą przyjechaliśmy do góry. Odwróciłam się i spojrzałam za siebie. Zobaczyłam ten sam widok: wznoszącą się wysoką i jasno świecącą szklaną górę oraz dwie koleiny w głębokim śniegu, biegnące za saniami w dal aż do srebrnych wrót. Widziałam wodospad, teraz zmrożony, oraz lśniąca wstęgę rzeki wijącą się wśród drzew. Jednak Starzykowej drogi nie było, jakby nigdy nie istniała, a wszystkie drzewa przed nami były ciemnymi sosnami, białymi tylko od przygniatającego je śniegu.

Opadłam na siedzenie przygnębiona, a ponieważ nie kazałam mu zawrócić, woźnica pojechał dalej. Nie było tu jakiegokolwiek innej drogi: jechał po zamrożonej powierzchni rzeki – jedynej ścieżce, którą widziałam między drzewami. Jelenie bez trudu biegły nawet po lodzie; zapewne pomagały im w tym pazury kopyt.

Starzykowe królestwo wydawało się bezkresnym lasem. Wokół nas nic się nie poruszało i nie było żadnych zabudowań, a kiedy zapomniałam się i spytałam woźnicę, czy niektórzy z nich mieszkają poza tą lodową górą, nie odpowiedział, tylko spojrzał na mnie, jakby chciał rzec: „Spytaj króla”. Jechaliśmy długo i nic się nie zmieniało. Wkrótce powinno już być południe, a tymczasem w miarę jak oddalaliśmy się od góry, tylko robiło się trochę ciemniej, jednolicie szare niebo spowił wieczorny półmrok, a drzewa i śnieg wokół nas tonęły w nim i były ledwie widoczne.

W oddali na horyzoncie pojawiła się ciemniejsza linia w wąskiej luce pomiędzy

drzewami, gdzie rzeka stykała się z niebem. Jelenie zwolniły, a Furarz obejrzał się na mnie. Nie miał ochoty jechać dalej, tak samo jak Plamka nie chciała zapuszczać się w podziemia góry, a ból nóg przypominał mi o karze za mój upór. Gdybym jednak pozwoliła im decydować o tym, gdzie się udaję, z pewnością nigdy nie zdołałabym stąd uciec.

– Powinniśmy wracać? – powiedziałam pytającym i odrobinę złośliwym tonem, sprawdzając, czy uda mi się go sprowokować. Zawahał się, a potem bez słowa znów odwrócił do jeleni i krzyknął na nie. Pojechaliliśmy dalej, ku ciemnej linii na horyzoncie, i niebawem pod gałęziami drzew zapadła noc, a ja ledwie mogłam dostrzec ich pnie. Na ciemnym niebie nie było księżyca ani gwiazd; widać było tylko ciemniejsze kontury liści na tle jego szarości. Jelenie niespokojnie podrzucały łbami; wiedziałam, że im też się to nie podoba, i nie sądzę, żeby w ogóle obchodziło je, kto siedzi w ciągniętych przez nie saniach. Zamarznięta rzeka nadal umykała w ciemność przed nami.

– W porządku, zawróć – rzekłam w końcu, poddając się, a Furarz natychmiast zawrócił, z ogromną ulgą. Kiedy jednak to zrobił, jeszcze raz spojrzałam za siebie i zobaczyłam je: dwie postacie na brzegu rzeki, wyłaniające się z ciemności; dwie osoby zakutane w grube futra, a jedną z nich była królowa.

Mirnatius nawet nie drgnął, gdy w końcu zimno zmusiło mnie do powrotu przez lustro. Powolutku podkradłam się do kominka i ogrzałam się przy ogniu, wciąż czujnie wypatrując oznak, które świadczyłyby, że się budzi. Czar sprawił, że łoże stało się doskonałą oprawą jego urody i nawet nieprzytomny wyglądał na nim jak dzieło sztuki. Westchnął i poruszył się we śnie, mamrocząc coś niezrozumiale, z ręką wyciągniętą na pościeli i obróconą głową ukazującą kształt szyi, z rozchyłonymi wargami.

Powinnam zajmować miejsce w tym łóżu obok niego, jako oblubienica bojąca się zwyczajnych rzeczy, niezręczności i egoizmu. Byłyby to wystarczające powody do obaw; nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę miała jakieś poza takimi i koniecznością znalezienia innych niż łóżkowe sposobów zdobycia szacunku, tej najcenniejszej waluty. Z pewnością jednak przy takim urodziwym mężu powinnam mieć prawo żywić takie ostrożne nadzieje, gdyż tylko ze słyszenia wiedziałam, w jakie kłopoty pakują się kobiety.

Zamiast tego ta perłowa otoczka skrywała potwora, który chciał wypić mnie jak kielich dobrego wina, wyssać, a potem odrzucić, i musiałam przechytrzać go każdego dnia, żeby przeżyć. Już nie byłam pewna, który z nich dwóch jest panem, a który sługą, lecz ten demon osadził Mirnatiusa na tronie przed siedmioma laty i od tej pory karmił go swą magiczną mocą, a on najwyraźniej był gotowy i chętny

oddać mu mnie jako zapłatę, narzekając jedynie na konieczność uprzątnięcia moich szczątków jak strzępów na wpół spalonej odzieży, leżących na podłodze.

Cisnęłam je w ogień i zasnęłam przy kominku niespokojnym snem. Gdy tylko nadszedł ranek, wstałam i pospiesznie włożyłam nocną koszulę, jakbym miała ją na sobie całą noc, a potem zadzwoniłam dzwoneczkiem i natychmiast zjawiała się służba. Mirnatus ocknął się i rozejrzył wokół, zaskoczony nagłym hałasem, ale służące już były w komnacie. Poprosiłam, żeby przygotowały mi kąpiel i przyniosły nam śniadanie, a jedna z nich pomogła mi się ubrać, więc zaczęły się krzątać w sypialni, nie zostawiając nas samych, a wtedy słodko zapytałam mojego małżonka:

– Dobrze spałeś, mój panie?

Spojrzał na mnie z oburzonym zdziwieniem, ale w pokoju były jeszcze cztery inne osoby.

– Bardzo dobrze – odrzekł po chwili, nie odrywając ode mnie oczu, i widziałam, że zastanowił się nad tym, co ma powiedzieć i jak to będzie wyglądało w oczach jego dworu, gdy służące powiedzą wszystkim, że car, tak niepokojąco niezainteresowany cielesnymi uciechami, niewątpliwie spał w sypialni żony, a nie swojej własnej, i spał dobrze.

Nie sądzę, by zależało mu na uznaniu swoich dworzan, skoro mógł ich po prostu zahipnotyzować, kiedy byli skłonni się z nim nie zgadzać. Wolał jednak nie budzić ich niezadowolenia, żeby nie marnować zbyt wiele swej użyczonej przez demona magii. Tymczasem ja potrzebowałam każdej dostępnej mi broni, wszystkiego, co mogło mi się przydać, tak więc położyłam się na łóżku obok niego – a on odsunął się ode mnie, zerkając na mnie z ukosa – a gdy przyniesiono tacę, nalałam mu herbatę, a ponieważ wcześniej zauważyłam, że lubi słodką, dodałam do niej kilka łyżeczek powideł, zanim podałam mu szklanę. Kiedy spróbował, miał zaniepokojoną minę, jakby sądził, że to też jakiś czar.

Nie mógł mi nic powiedzieć w obecności służby, która nie zamierzała wyjść, mając taką sposobność zebrania tematów do plotek, skoro dałam im pretekst do pozostania. Szczególnie pokojówki. Mirnatus nie miał nic na sobie, gdyż demon w nocy zniszczył jego ubranie, a zsunięte prześcieradła odsłaniały jego nagie ramiona i pierś. Wszystkie dziewczęta rzucały mu powłóczyście spojrzenia, gdy sądziły, że tego nie widzę, i wykorzystywały każdą okazję, żeby znaleźć się blisko niego. Równie dobrze mogły oszczędzić sobie zachodu; ani na chwilę nie odrywał oczu ode mnie, ostrożnie brał podawane przeze mnie jedzenie i uprzejmie odpowiadał na moje pytania, dopóki nie napełniono wanny. Wtedy wstałam i rzekłam:

– Pójdę się pomodlić, gdy będziesz się kąpał, mój panie. – Po czym umknęłam.

Kiedy jednak tym razem wyszłam z kaplicy, na dziedzińcu czekały sanie, na które ładowano nasz bagaż.

– Pojedziemy do Koronu, moja gołąbeczko – powiedział do mnie na korytarzu Mirnatus, mrużąc oczy, więc nie miałam wyjścia: musiałam wsiąść razem z nim na sanie i pojechać przez ciemny las do carskiego pałacu pełnego jego żołnierzy i dworzan.

Weszłam do środka i nałożyłam srebrny naszyjnik oraz trzy wełniane suknie, po czym zeszłam na dół, niosąc szkatułkę z biżuterią, w czym nie było niczego niezwykłego; moja macocha zawsze miała swoją przy sobie, dokądkolwiek podróżowała. Ponadto nikt nie wiedział, że w pudełku nie ma nic oprócz korony ani że resztę ozdób poupychałam w moje rzeczy, żeby było łatwiejsze. Postawiłam je obok siebie, przy burcie sań. W razie potrzeby wyskoczyłabym z nim i pobiegła w las, żeby znaleźć tafłę zamrożonej wody, w której mogłabym ujrzeć moje odbicie i uciec.

Jednak gdy ruszyliśmy, w oczach Mirnatusa nie było demonicznego krwawego błysku i przypomniałam sobie, że nigdy nie widziałam go za dnia, tylko po zapadnięciu nocy. Zaczekał, aż oddaliliśmy się od domu księcia – przed którym wszystkie kobiety pożegnały mnie, machając chustkami – a potem syknął do mnie swoim ludzkim głosem:

– Nie wiem, gdzie uciekasz co noc, ale nie myśl, że nadal będę ci na to pozwalał.

– Musisz mi wybaczyć, drogi mężu – odparłam po chwili zastanowienia: co powinien sobie pomyśleć albo ile powinien wiedzieć o tym, co ja wiem? – Poślubiłam ciebie, ale to ktoś inny wciąż przychodzi do mojej sypialni. Wiewiórki instynktownie uciekają, gdy myśliwy podejdzie za blisko.

Zesztywniał i odsunął się ode mnie w kąt sań, po czym gniewnie milczał, wpatrując się we mnie. Siedziałam w wystudiowanej niedbałej pozie, wygodnie wyciągnięta na poduszkach, patrząc przed siebie. Mknęliśmy przez pogrążony w głębokiej ciszy las, w którym gałęzie drzew kłoniły się pod ciężarem świeżego śniegu, a ja pozwalałam się uspokajać temu monotonnemu krajobrazowi, zimnemu, lecz nie aż tak jak zimowe królestwo, w którym spędzałam wieczory, a chłodny pierścień na palcu dodawał mi otuchy.

Jechaliśmy długo, a potem nagle Mirnatus zapytał:

– I dokąd uciekają wiewiórki, kiedy chcą się ukryć?

Spojrzałam na niego lekko zdziwiona. Dopiero co dałam mu do zrozumienia, że wiem o jego demonie i planach co do mojej osoby, więc nie mógł oczekiwać, że coś mu powiem lub będę z nim współpracowała w jakikolwiek sposób. A gdy nie odpowiedziałam, zmarszczył brwi, nadał się jak zawiedzione dziecko, pochylił się

i syknął:

– Mów, gdzie się podziewasz!

Jego moc owiała mnie i spłynęła w mój pierścień, nie wywierając na mnie żadnego wpływu. O mało nie spytałam go, po co trwoni swoją moc: już wiedział, że na mnie nie działa. Zapewne jednak za bardzo przywykł polegać na swojej magii i nie nauczył się myśleć. Tylko myślenie przynosiło mi jakąkolwiek korzyść w domu mojego ojca; nikogo nie obchodziło, na czym mi zależy, czego pragnę i czy jestem szczęśliwa. Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby uzyskać to, czego chciałam. Dotychczas nigdy nie dziękowałam za to Opatrzności, dopiero teraz, gdy chciałam pozostać przy życiu.

Wiedziałam jednak, że gdybym tylko siedziała tam bez słowa, Mirnatus mógłby stracić panowanie nad sobą. Burzowe chmury już zbierały się na jego czole i nawet jeśli jego demon nie zamierzał pojawić się przed nadejściem nocy, to car mógł rozkazać swoim najzupełniej zwyczajnym strażnikom zamknąć mnie w celi, żebym tam na niego czekała. Oczywiście ludzie byliby naprawdę zaszokowani, gdyby kazał swoją nowo poślubioną żonę wtrącić do lochu, z którego znikłaby w niewytłumaczalny sposób, a mój ojciec niewątpliwie by to wykorzystał – lecz z powodu zachowania Mirnatiusa raczej nie mogłabym sądzić, że potrafi on dostatecznie daleko patrzeć w przyszłość, aby uniknąć tych konsekwencji.

Chyba że go do tego zmuszę.

– Dlaczego nie poślubiłeś Wasylii cztery lata temu? – spytałam go nagle, gdy otwierał usta, żeby znów na mnie krzyknąć.

To wywarło pożądany skutek, zapobiegając wybuchowi jego gniewu.

– Co? – zapytał głupawo, jakby nie rozumiał pytania.

– Córkę księcia Ulryka – wyjaśniłam. – On ma dziesięć tysięcy zbrojnych i kopalnię soli, a król Niemca chętnie przyjąłby jego hołd, gdybyś został zabity. Powinieneś go sobie zjednać po tym, jak kazałeś zabić arcyksięcia Dmitira. Dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

Na jego twarzy gniew zmagął się ze zdziwieniem.

– Mówisz jak jedna z tych starych kwok, które gdaczą na mnie w radzie.

– Których nigdy nie słuchasz i rzucasz na nie urok, kiedy za bardzo cię nękają?

– powiedziałałam i gniewny mars wygrał, lecz nie był to już ten sam gniew: widocznie takie polityczne połajanki były mu dobrze znane. – Tylko że oni się nie myślą. Litwas potrzebuje dziedzica i jeśli nie potrafisz go spłodzić, zostaniesz zdetronizowany prędzej czy później. A teraz, gdy poślubiłeś mnie zamiast Wasylii, Ulryk może zechcieć to zrobić, zanim ci się uda.

– Nikt mnie nie zdetronizuje – warknął, jakbym go obraziła.

– A jak ich powstrzymasz? – zapytałam. – Jeśli Ulryk wyda Wasylię za księcia

Kazimierza, to nie przyjadą do ciebie z wizytą do Koronu, żebyś mógł za pomocą czarów zabronić im pomaszerować z wojskiem na stolicę. Potrafisz kontrolować ich umysł z odległości trzystu mil? Możesz powstrzymać każdego z tysiąca łuczników na polu bitwy od wystrzelenia zabójczej strzały albo nakazać dziesięciu płatnym zabójcom, żeby rzucili miecze, gdy wpadną do twojej komnaty, żeby cię usiec?

Patrzył na mnie tak, jakby nigdy nie próbował sobie odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Zapewne uważał swoich doradców za głupców i panikarzy niewiedzących o jego magii, która może go obronić przed wszystkim, co mogłoby się zdarzyć. Jednak jego demon nie wydawał się wszechmocny, a czary nie uchroniły jego matki przed spaleniem na stosie. W obliczu tych pytań on też nie wydawał się niepokonany i nawet nie próbował twierdzić, że myślę się co do granic jego mocy.

– Czemu miałyby cię to obchodzić? – rzucił zamiast zaprzeczyć, jakby myślał, że udaję głęboką troskę o jego los. – Na pewno byś się ucieszyła.

– Moja radość trwałaby tylko chwilę, zanim zadźgałoby mnie zaraz po tobie – rzekłam. – Ulryk i Kazimierz woleliby mieć w moim ojcu sojusznika, a nie wroga, ale niekoniecznie, i nie mogliby ryzykować, że urodzę twojego syna po tym, jak zetną ci głowę. Oczywiście – dodałam – tylko gdybyś nie zamordował mnie pierwszy, budząc podejrzenia i dając im wszystkim wspaniały powód do zaatakowania ciebie.

Właśnie to chciałam mu uzmysłwić.

Mirnatius w ponurym milczeniu wycofał się w kąt sań, a ja uznałam za moje małe zwycięstwo to, że już nie gapił się na mnie, tylko na okolicę, marszcząc brwi i snując myśli, które mu podsunęłam, a których najwidoczniej dotychczas unikał.

Jechaliśmy przez cały ten długi i zimny dzień; stangret kilkakrotnie zatrzymywał się, by zmienić konie, w tym dwa razy w stajniach takiego czy innego bojara, gdzie ludzie kłaniali się nam w pas. Podczas tych dwóch postojów wysiadłam, przeszłam się po dziedzińcu i uprzejmie porozmawiałam z naszymi gospodarzami, wypowiadając kilka miłych słów o dzieciach, które przydreptały złożyć pokłon. Chciałam, by zapamiętało mnie jak najwięcej osób, na wypadek gdyby próbował czarami sprawić, by wszyscy o mnie zapomnieli. Mirnatius trzymał się na uboczu i przez cały czas obserwował mnie spod przymkniętych powiek, dzięki czemu wyglądałam na ukochaną nowo poślubioną małżonkę.

Noc długo nie przychodziła, co było dziwne w taki mroźny zimowy dzień i przy tak nienaturalnie grubej warstwie leżącego śniegu. Byłam za to wdzięczna losowi, lecz mimo to zachodzące słońce zaczęło zapalać krwawy błysk w oczach Mirnatiusa, gdy wjeżdżaliśmy na dziedziniec jego pałacu w Koronie. Na murach

było gęsto od żołnierzy, a na schodach stała Magreta, mocno przyciskając dłonie do piersi, mała i stara w swoim ciemnym płaszczu, ze strażnikami po bokach, jakby jeszcze zeszłej nocy wysłał po nią do Wyżni ludzi, każąc im w pośpiechu ściągnąć ją tu przed zmierzchem.

Kiedy weszłam po schodach, objęła mnie i trochę płakała, mówiąc: „Duszeńko, duszeńko”. Potem podziękowała mi za to, że pamiętałam o starej kobiecie i posłałam po nią, ale nie doceniłam jej: mówiła to drżącym głosem i ścisnęła mnie zbyt mocno. Rozumiała, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo.

Odegrałam komedię, dziękując mężowi za jego uprzejmość i cudowną niespodziankę, którą mi sprawił, sprowadzając ją tutaj, po czym zebrałam siły i ku jego zaskoczeniu pocałowałam go na schodach w obecności strażników; pewnie myślał, że tylko on może się posługiwać tą bronią. Tak więc nie zdążył odskoczyć, gdy musnęłam jego ciepłe wargi moimi, a potem szybko się od niego odsunęłam, jakby zmieszana własną śmiałością. Odwróciłam się do strażników i spytałam Magretę, czy dobrze się nią opiekowali, a następnie podziękowałam im, kiedy skinęła głową i powiedziała, że czuła się bezpiecznie nawet podczas tej długiej drogi z Wyżni.

– Wyjawcie mi wasze nazwiska, żebym mogła je zapamiętać – rzekłam, po czym wyjęłam dłoń z mufki i podałam im ją, a oni niezdarnie ją ściskali i jękali się, choć z pewnością kazano im pojechać i sprowadzić tę starą kobietę niezależnie od tego, co by kto im mówił i jak bardzo by płakała, więc uważali się raczej za strażników więziennych niż eskortę. To jękanie częściowo było spowodowane czarem pierścienia, ale podejrzewałam, że także nieco subtelniejszą magią; nie podejrzewałam, by Mirnatus dobrze traktował swoją służbę. – Matas i Vladas – powtórzyłam. – Dziękuję wam za opiekę nad moją starą nianią, a teraz wejdźmy do środka: po tak długiej podróży musicie napić się w kuchni gorącego krupniku.

Mirnatus nie mógł sprzeciwić się takiej drobnej uprzejmości, nie wychodząc na dziwaka i kutwę, lecz oczywiście nie podobało mu się, że jego ludzie przyjmują ode mnie jakieś rozkazy.

– Ty i twoja piastunka pójdziecie do moich komnat i zaczekacie na mnie – rzekł zimno, gdy tylko wszedł za mną do środka, po czym skinął na dwóch innych strażników stojących przy drzwiach. – Zaprowadźcie je na górę i zaczekajcie z nimi w pokoju, aż przyjdę – rozkazał, zastawiając właśnie taką pułapkę, jakiej się obawiałam, a potem wyszedł do wielkiej sali.

Mocno ścisnęłam dłoń Magrety, gdy wchodziłyśmy po schodach. Ona trzymała moją równie mocno i nie pytała, czy mój mąż jest dla mnie dobry ani czy jestem szczęśliwa.

– Czy zrobiłam coś złego, mówiąc strażnikom, żeby napili się krupniku? –

zapytałam jednego z tych dwóch, gdy szliśmy na górę. – Czyżby mój pan tego nie apróbował?

– Ależ skąd, pani – odparł strażnik, zerkając na mnie.

– Och – powiedziałam, udając trochę zasmuconą i rozczarowaną zmiennymi nastrojami męża. – Zapewne niepokoi się jakimiś sprawami wagi państwowej. Cóż, wieczorem spróbuję odwrócić od nich jego uwagę. Może zjemy kolację w pokoju. Magreto, wyszczotkujesz mi włosy i odświeżysz.

Sypialnia była tak wielka jak sala balowa mojego ojca i wręcz absurdalna w swym złoconym i niepraktycznym przepychu. Nie musiałam udawać oszołomienia, spoglądając na ogromne freski o wysokości niemal czterdziestu łokci – przedstawiające Ewę kuszoną przez węża, co uznałam za szczególnie nieprzystające do tych okoliczności – i samo łoże, które doskonale mogłoby pełnić rolę sypialni, wbudowane w dużą niszę w ścianie, ze złotymi kartuszami, kolumnami oraz grubymi zasłonami z adamaszku zdobionego jaśniejszym wzorem. Osadzone w wysokich ramach okna otwierały się na balkon z pięknie kutą żelazną barierką. Nad nim zwieszały się gałęzie rosnących w ogrodzie drzew, pokryte teraz śniegiem.

W komnacie były aż cztery kominki, wszystkie pełne czarnego dymu i szumiących płomieni, chociaż był środek dnia i maj; służąca podkładała do ognia, gdy tam weszłam. Był to pokój dla księcia Salvii lub Longinesu, jakiegoś kraju, w którym zima gościła krótko. Nikt rozsądny nie budowałby takiego pomieszczenia w Litwasie i widziałam, że tak też było: na murach dostrzegłam ledwie widoczne ślady po ściankach działowych i suficie pokoi zlikwidowanych niewątpliwie na polecenie Mirnatiusa, żeby uzyskać taką absurdalnie wielką przestrzeń.

Jednak pomimo ogromu komnata była piękna – owszem, ekstrawagancka, niepraktyczna i niewygodna, lecz ogólnie rzecz biorąc, jakoś mieściła się w granicach dobrego smaku. Była jak wzięta z obrazka z jakiejś bajki, namalowanego zręczną ręką, tworzącego harmonijną całość. Ledwie, ledwie, ale to jakimś cudem tylko robiło większe wrażenie, jak oglądanie człowieka zonglującego siedmioma ostrymi nożami, gdy się wie, że jeden błąd wystarczy, by wszystkie spadły z katastrofalnym skutkiem. Myślę że każdemu trudno byłoby stać w tym pokoju i – aczkolwiek niechętnie – nie ulec jego urokowi. Nawet strażnicy, którzy weszli tam z nami, rozglądali się, zapomniawszy o poważnych i nieprzeniknionych minach.

Nic nie powiedzieli, kiedy wzięłam szkatułkę z biżuterią i weszłam z Magretą za kąpielowy parawan. Po tej stronie też paliło się w kominku, ogrzewając powietrze wokół wspaniałej wanny, również złoconej i tak dużej, że mogłabym się w niej

wyciągnąć. Lecz co ważniejsze, obok niej stało jeszcze wspanialsze lustro, jakby Mirnadius, wychodząc z wanny, lubił podziwiać to dzieło sztuki, jakim był.

Zza parawanu zawołałam do strażników, żeby wysłali służącą po herbatę, natomiast Magreta w odpowiedzi na mój gest nałożyła mi naszyjnik i koronę. Miała przy tym zdziwioną minę, a jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy okryłam ją moim zapasowym płaszczem i uklękłam, by podnieść leżące przed kominkiem grube futro, które narzuciłam jej na ramiona. Otuliła się nim, gdy wetknęłam jego brzegi w jej dłonie, i nic nie powiedziała, tylko bezgłośnie poruszała wargami i formułowała pytania, które chciała zadać. Przyłożyłam palec do ust, żeby ją uciszyć, po czym gestem kazałam jej podejść do lustra.

Po jego drugiej stronie rósł ciemny las okryty grubą warstwą śniegu. Nie wiedziałam, czy to się uda, czy zdołam ją tam zabrać, ale na nic innego nie mogłam liczyć. Wyciągając rękę do Magrety, usłyszałam w korytarzu zbliżające się kroki, a gdy drzwi z trzaskiem otwały się na oścież, demoniczny syk Mirnadiusa:

– Gdzie jest moja słodka Irina?

Magreta wydała z siebie cichy jęk; gdy wzięłam ją za rękę, spoglądała w lustro, pobladała, instynktownie próbując się wyrwać. Mocniej ścisnęłam jej dłoń.

– Nie puszczaj mojej ręki – szepnęłam do niej, a ona z przestachem obejrzała się przez ramię, po czym kiwnęła głową.

Odwróciłam się do lustra i przeszłam przez nie, ciągnąc ją za sobą, na zamrznięty brzeg rzeki.

Rozdział 13

Rano pan Mandelsztam wszedł, zatupał, żeby strząsnąć śnieg z butów, i cicho rzekł do pani Mandelsztam:

– Nie złapali ich. Spadł śnieg.

Tak więc cieszył mnie śnieg. Chociaż nie wiedziałem, czy powinien mnie cieszyć, bo być może Wanda i Siergiej zamazli gdzieś na śmierć, ale potem zdecydowałem, że będę się cieszyć śniegiem, ponieważ czasem pracując w nim, byłem zmarznięty i senny, a tata dawał mi w ucho i pytał, czy chcę zamaznąć na śmierć, a ja nie chciałem, ale tylko zasypiałem i to nie bolało, i wcale się nie bałem. Zastanawiałem się, czy tata się bał, kiedy umierał. Wyglądało na to, że się bał.

Na śniadanie pani Mandelsztam dała mi dwie miski płatków owsianych z mlekiem i suszonymi czarnymi jagodami, posypawszy je brązowym cukrem, a ja zjadłem je i były bardzo dobre i słodkie. Potem chciałem zająć się kozami, ponieważ Wanda powiedziała, że mam to robić.

– One też powinny dostać gorące śniadanie w taki zimny dzień – rzekła pani Mandelsztam i pomogła mi ugotować sagan karmy.

Dopilnowałem, by moje kozy dostały duże porcje. Wyglądały mizernie przy kozach Mandelsztamów, które do tego poprzedniego dnia bodły je i gryzły. Teraz jednak te tutejsze kozy były zadowolone z towarzystwa przybyłych, ponieważ one były już ostrzyżone, a moje jeszcze nie, chociaż sierść miały brudną i pełną rzepów. Kiedy zjadły gorącą karmę, wszystkie przytuliły się do siebie nawzajem w szopie.

Na podwórzu leżało mnóstwo śniegu. Zgarnąłem część na wielkie sterty, żeby kozy i kury mogły się dobrać do trawy. Ziemia była zamaznięta, ale wyjąłem orzech z białego drzewa, popatrzyłem nań i zastanawiałem się, czy może powinienem go tu zasadzić. Jednak nie byłem pewny i nie chciałem popełnić błędu, więc schowałem go z powrotem do kieszeni i wszedłem do domu. Na obiad pani Mandelsztam dała mi trzy kromki chleba z masłem i dżemem oraz dwa jajka i kilka marchewek ugotowanych z suszonymi śliwkami. To też było bardzo dobre.

Potem nadeszło popołudnie i nie wiedziałem, co robić. Pani Mandelsztam usiadła przy kołowrotku, ale ja nie umiałem prząść, a pan Mandelsztam czytał książkę i tego też nie umiałem.

– Co mam robić? – zapytałem.

– Może wyjdiesz się pobawić, Stepon? – powiedziała pani Mandelsztam, ale również nie wiedziałem, jak to robić.

Pan Mandelsztam rzekł do niej:

– Inni chłopcy...

A ona zacisnęła wargi i skinęła głową, bo oboje pomyśleli, że inni chłopcy w miasteczku byłiby dla mnie niedobrzy, ponieważ pomogłem zabić ojca albo po prostu dlatego, że byłem jak nowa koza.

– Co robiła Wanda, kiedy tu była? – zapytałem, ale zaraz sobie przypomniałem.
– Zbierała należności.

– Jesteś za mały, żeby tym się zajmować – powiedziała pani Mandelsztam. –

Może pójdziesz do lasu i poszukasz grzybów do jedzenia. Wiesz, jak odróżnić dobre od trujących?

– Tak – powiedziałem.

Dała mi koszyk, ale w lesie było tego dnia mnóstwo śniegu, więc zbieranie grzybów nie miało sensu. Wyszedłem z domu, popatrzyłem na cały ten śnieg i nie widziałem żadnych grzybów. Potem pomyślałem, że mógłbym spróbować zebrać należności, chociaż jestem za mały, bo jeśli Mandelsztamowie tego nie zrobią i Wanda też nie, to nie wiem, kto mógłby to robić. W ich domu mieszkał jeszcze ktoś, pamiętałem, że Wanda tak mówiła, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kto to był. Dziwnie się czułem, próbując przypomnieć sobie to imię i nie mogąc tego zrobić, ponieważ imiona zawsze przychodziły mi na myśl, kiedy chciałem. Tak czy inaczej byłem pewny, że teraz nie ma nikogo innego w domu czy w stodole, ponieważ wszędzie zajrzałem. Gdybym znalazł tego kogoś, zapytałbym, jak mu na imię, i przestałbym się tak dziwnie czuć. Zajrzałem nawet do kurnika, na wypadek gdyby ktoś się tam schował, ale były tam tylko kury. Tak więc naprawdę nie było nikogo poza mną.

Było to dzień po targu w czwartym tygodniu miesiąca, co oznaczało, że Wanda miała zebrać długi w dwóch wioskach przy trakcie wiodącym z miasta na południe, od Rybernika, Hurola, Gnadysa, Provny, Tsumila i Dvuriego. Powtarzałem sobie te nazwiska po drodze, ponieważ w mojej głowie tworzyły ładną piosenkę. Gdy tam dotarłem, pukałem do każdych drzwi, pytałem o nazwisko i jeśli okazało się jednym z nich, wyciągałem rękę z koszykiem. Spoglądali na mnie i wkładali do niego różne rzeczy.

– Biedne dziecko! – łagodnie powiedziała do mnie pani Tsumil i pogłaskała

mnie po głowie. – A ci Żydzi już każą ci pracować!

– Nie? – powiedziałem, ale ona tylko potrząsnęła głową, włożyła mi do koszyka kilka motków wełny, a potem dała mi do zjedzenia coś, co nazywają ciasteczkami. Wanda raz przyniosła do domu kilka takich, które dała jej pani Mandelsztam, i były bardzo smaczne. Tak więc nie spierałem się z panią Tsumil, tylko zjadłem ciastko, które też było bardzo dobre. – Dziękuję – rzekłem i poszedłem dalej.

Potem zaniósłem koszyk do pani Mandelsztam i powiedziałem jej:

– Jednak nie jestem za mały.

A ona zajrzała do koszyka i była bardzo zła. Nie wiedziałem dlaczego, ale wtedy pan Mandelsztam bardzo łagodnie położył dłoń na moim ramieniu i powiedział:

– Steponie, powinniśmy ci byli wytłumaczyć. To bardzo ważne, żeby nie popełnić żadnych błędów podczas zbierania należności i żeby wszystko dokładnie zapisywać. Czy sądzisz, że jeśli się bardzo postarasz, to przypomnisz sobie i powiesz nam, gdzie dokładnie byłeś i kto ci dał każdą z tych rzeczy?

– Tak – powiedziałem. – Tego dnia miesiąca Wanda chodzi do Rybernika, Hurola, Gnadysa, Provny, Tsumila i Dvuriego.

A potem wskazywałem po kolei każdą rzecz i mówiłem, kto mi ją dał. Potem myślałem, że pani Mandelsztam nadal jest nieszczęśliwa, ale dała mi trochę klusek w gęstym sosie z marchewkami, ziemniakami i prawdziwym kurzym mięsem oraz kubek herbaty z dwiema dużymi łyżkami miodu, więc chyba się myliłem.

Siergiej i ja nie chcieliśmy zostawać w tej chatce, ale nie mogliśmy zaraz jej opuścić. Kiedy zbudziliśmy się pierwszego dnia, masa śniegu leżała na progu i na wszystkich parapetach. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, las był cały biały, a wszystkie drzewa mocno pochylone. Zaczęły się okrywać liśćmi, zanim spadł śnieg, więc teraz ugiwały się pod jego ciężarem. Nie wiedzieliśmy, gdzie znajduje się droga.

Rozejrzeliśmy się po domu. Znaleźliśmy wiele rzeczy. W ogrodzie ziemniaki i marchew oraz szopę dla kóz ze stertą starej słomy i drugą, sięgającą powyżej mojej głowy, surowej wełny. Ta nie była myta i jej dolne warstwy zawilgły i spleśniały, ale na górze było jeszcze sporo dobrej. Na półce stał kosz, a w rogu szpadel, który ułatwi wykopywanie ziemniaków. W domu znaleźliśmy na półce złożony koc.

Przez cały ten dzień świeciło słońce i było ciepło, choć na ziemi wciąż leżał śnieg. Zaczął szybko topnieć. Siergiej poszedł nazbierać drewna na opał, a ja nastawiłam ziemniaki i marchew, po czym zabrałam się do splatania nowych łapci ze słomy. Zgubiłam jeden but, a drugi już się rozpadał. Wyłożyłam je wełną, żeby nie były zbyt twarde, ponieważ nie mieliśmy dobrego łyka. Wełna była pełna rzepów, kolców i cierni. Zagrzałam garnek wody i przemyłam ją, ale nie miałam

zgrzebla. Kolce wbijały mi się w dłonie i piekły, ale musieliśmy mieć buty.

Skończyłam splatać parę dla Siergieja, zanim wrócił z drewnem na opał. Wypróbowałam je i nie były takie złe. Napchałam w nie trochę wełny, co pomogło. Zjedliśmy ziemniaki i marchewkę. Potem zrobiłam buty dla siebie, a kiedy skończyłam, splotłam zasłony do okien. Siergiej znalazł na drzewie ptasie gniazdo z jajkami w brązowe kropki, więc mogliśmy je wziąć. Zjedliśmy je, a potem zrobiło się ciemno, więc znów zasnęliśmy.

Rano znaleźliśmy skrzynię na zboże, ponieważ śnieg stopniał i ją odsłonił. Zajrzeliśmy do niej i była prawie pełna. Wystarczająco, żebyśmy mogli zostać tu i jeść jeszcze długo. Popatrzyliśmy na siebie z Siergiejem. Czarownica nie wróciła i zaczynałam myśleć, że może nigdy nie wróci. Jednak nie podobało mi się to, że znajdujemy tyle rzeczy.

– Może powinniśmy odejść – niechętnie powiedziałam do Siergieja.

Chciałam tego, a jednocześnie nie miałam ochoty. Kto wie, czy odnajdziemy drogę? Zaraz jednak Siergiej spojrział w niebo i ja też, i słońce już zachodziło. Znów zaczął padać śnieg. Nie mogliśmy iść.

Siergiej przez chwilę nic nie mówił. On też był nieswój. Potem rzekł:

– Powinniśmy naprawić krzesło i łóżko. Na wypadek gdyby ktoś tu kiedyś wrócił.

Wydało mi się to dobrym pomysłem. Gdybyśmy tylko brali ziemniaki, marchew, wełnę oraz ziarno i przebywali w tym domku, niczego nie dając w zamian, byłibyśmy złodziejami. Ktoś, kto by tu wrócił, byłby zły i miałby do tego prawo. Musieliśmy jakoś się odpłacić.

Tak więc wniosłam ziarno do środka i gdy się gotowało, wykonaliśmy nowe siedzisko do krzesła. Siergiej wyszedł na zewnątrz, przyniósł kilka cienkich gałęzi młodych drzewek i zrobił ramę, a ja oplotłam ją słomą i wełną, tak jak nasze buty, aż była dostatecznie mocna, żeby przywiązać ją do krzesła jako siedzisko. Krzesło zostało naprawione.

Zamierzaliśmy zrobić w podobny sposób materac na łóżko, lecz kiedy zjedliśmy i Siergiej poszedł po drewno na opał, niemal natychmiast wrócił. Znalazł zapas drewna opałowego w śniegu za domem, obok pieńka do rąbania, w którym ktoś zostawił wbitą siekierę. Była zardzewiała, a jej trzonek trochę spróchniały i pełen zadziórów, lecz Siergiej zdrapał rdzę kamieniem i wtedy już mógł nią rąbać drewno, chociaż ocierała mu dłonie. Tak więc teraz mogliśmy zrobić nową ramę do łóżka, nie tylko materac.

Baliśmy się tu zostać, ale teraz obawialiśmy się także odejść i zostawić niedokończoną pracę. Wyglądało na to, że powinniśmy zrobić to, co obiecaliśmy. Poza tym wciąż padał śnieg. Tak więc Siergiej zajął się ramą, a ja splatanie

materaca.

Do rana śniegu znów było po kolana. Przynajmniej mieliśmy co jeść i w domu było ciepło. Siergiej naprawił łóżko, a ja w podobny sposób jak siedzenie krzesła uplotłam sześć dużych mat, na których mogliśmy się położyć. Narzuciliśmy na nie słomę i czystą wełnę. Potem pomyślałam, że wreszcie skończyliśmy i moglibyśmy odejść, gdybyśmy chcieli. Cały ten dzień znów był słoneczny i śnieg stopniał jeszcze bardziej. Uzgodniliśmy z Siergiejem, że nazajutrz pójdziemy dalej.

Następnego ranka wyszliśmy na zewnątrz poszukać w ogrodzie jedzenia, które moglibyśmy zabrać, i znaleźliśmy całą grządkę truskawek. Mróz zwarzył rośliny i zamroził owoce na kość, ale wciąż nadawały się do jedzenia. Weszłam do domu poszukać czegoś, w czym mogłabym je nieść, i na półce w ciemnym kącie przy piecu znalazłam kilka starych słoików, których wcześniej nie zauważyłam, chociaż byłam prawie pewna, że tam zaglądałam. Jeden był pusty i dostatecznie duży, żeby pomieścić wszystkie truskawki. Drugi był pełen soli, a w trzecim znalazłam trochę miodu, który wciąż miał dobry smak.

Już to było wystarczająco niepokojące, ale na półce obok największego słoja zobaczyłam stary drewniany kołowrotek i druty. To oznaczało, że nasza praca jeszcze nie jest zakończona, ponieważ teraz mogłam prząść wełnę i robić na drutach, więc mogliśmy zrobić prawdziwy materac, taki jak ten, który był na łóżku i zgnił. Pokazałam to wszystko Siergiejowi.

– Jak długo to potrwa? – zapytał z niepokojem.

Potrząsnęłam głową. Nie wiedziałam.

Przez resztę dnia przędłam wełnę, a Siergiej płukał ją dla mnie. Zrobiłam sześć dużych motków, najszybciej jak mogłam, ale sądziłam, że potrzeba ich będzie więcej, żeby zrobić materac. Potem Siergiej poszedł po więcej drewna. Przyniósł go dużo, a ja ugotowałam duży garnek owsianki, żebyśmy następnego dnia nie musieli wychodzić na zewnątrz. Zawartość garnka wystarczy nam na cały dzień. Potem znów położyliśmy się spać przy piecu.

– Wanda – powiedział następnego dnia rano Siergiej.

Spoglądał na stół. Ja też spojrzałam. Wszystko wydawało się w porządku. Stół był uprzątnięty. Krzesło równo wsunięte pod niego, żeby nie zawadzało. Nagle przypomniałam sobie, że wieczorem postawiliśmy je pod ścianą. Może machinalnie odstawiliśmy je na miejsce, zanim poszliśmy spać. Jednak nie sądziłam, żeby tak było.

– Zjedzmy – rzekłam w końcu.

Wstawiony do piekarnika garnek z owsianką był jeszcze ciepły. Zdjęłam pokrywkę i znieruchomiałam, zajrzawszy do środka. Ugotowałam pełny garnek. Nie był duży i zjedlibyśmy wszystko przez jeden dzień. Tymczasem ktoś już się nią

poczęstował. Nie mogłam sobie wmawiać, że nie ani że może zrobił to Siergiej, ponieważ w garnku tkwiła wielka drewniana chochła, a właśnie wczoraj wieczorem pomyślałam, że przydałaby mi się taka, i w całym domu nigdzie takiej nie było.

Kiedy zawołałam „Stój!”, Furarz zatrzymał jelenie, ale z przestachem spojrzął na te dwie postacie na brzegu rzeki, po czym rzekł pospiesznie i cicho:

– Tylko zjawy tu przybywają.

Ja jednak wiedziałam, kim jest ta dziewczyna stojąca tam w białych futrach i ze znajomo wyglądającą srebrną koroną na głowie; koroną, której zawdzięczałam moją własną. Irina, córka księcia. A jeśli ona znalazła jakąś drogę prowadzącą tutaj, to mogłam tą drogą wrócić.

– Podjedź do nich albo wytłumacz mi, dlaczego nie możemy – powiedziałam stanowczo, a Furarz po chwili niechętnie zawrócił i pojechał wzdłuż rzeki, aż zatrzymaliśmy się przy nich.

Irina miała na głowie koronę, na szyi błyszczący naszyjnik i pierścień na palcu, a z jej ust nie unosiła się para oddechu. Obejmowała ramieniem drugą kobietę, staruszkę, która drżała jak liść, choć była opatulona grubym futrem, a para oddechu gęstą chmura unosiła się wokół jej głowy.

– Jak się tu dostałyście? – zapytałam.

Irina popatrzyła na mnie, nie poznając.

– Nie mamy złych zamiarów – powiedziała. – Dacie nam schronienie? Moja piastunka nie może tak stać na mrozie.

– Wejdźcie na sanie – powiedziałam, choć Furarz wyraźnie drgnął.

Wyciągnęłam rękę. Irina wahała się tylko moment, patrząc na rzekę, a potem wsadziła staruszkę na sanie i sama też wsiadła. Zdjęłam płaszcz i okryłam nim staruszkę jak kocem. Trzęsła się jeszcze bardziej i miała sine wargi.

– Zawieź nas do najbliższego domostwa – powiedziałam Furarzowi.

Znów się wzdrygnął, ale po chwili popędził jelenie, wjechał na wysoki brzeg i między ciemne drzewa. Po naszej lewej była ciemna noc, a po prawej w oddali jaśniał blady półmrok, jakbyśmy poruszali się po samej granicy ciemności. Irina obróciła głowę, by spojrzeć za siebie na znikającą za nami w mroku rzekę, a potem spojrzała na mnie. Jej długie włosy były uderzająco ciemne na tle białych futer i pod srebrną koroną, a płatki śniegu opadały z drzew i lśniły na nich jak diamentki. Półmrok za nią podkreślał bladość jej skóry i rozjaśniał ją tak, że nagle pojęłam, że w jej żyłach musi płynąć Starzykowa krew któregoś z jej przodków; w tych błyszczących srebrnych ozdobach mogłaby zająć moje miejsce i pasowałaby do tego królestwa jak do swego.

– Jak się tu dostałyście? – zapytałam ponownie.

Lecz ona tylko popatrzyła na mnie, marszcząc brwi, i powoli powiedziała:

– Znam cię. Jesteś żoną jubilera.

Oczywiście nie znała prawdy; nikt jej nie podał mojego nazwiska ani Izaaka. Była księżniczką, a my byliśmy nieważni. W duchu pragnęłam, żeby miała rację, żebym była w domu na miejscu Basi.

– Nie – odparłam. – Ja tylko dałam mu srebro. Mam na imię Mirjem.

Furarz znów drgnął na kozle przede mną i obejrzał się wyraźnie wstrząśnięty. Irina tylko skinęła głową, wciąż marszcząc brwi w zadumie, i uniosła rękę, żeby dotknąć naszyjnika na szyi.

– Srebro stąd – powiedziała.

– A więc to tak – powiedziałam, nagle pojawiając się. – Przeprowadziło was srebro?

– Przez lustro – rzekła Irina. – Ocaliło mnie, uratowało nas... – Pochyliła się nad staruszką. – Magra! Magra, nie zasypiaj.

– Irinuszka – wymamrotała staruszka. Oczywiście miała na wpół zamknięte i przestała się trząść.

Sanie gwałtownie się zatrzymały. Furarz mocno ściągnął lejce i jelenie podrzuciły łbami, stając. Spoglądał prosto przed siebie, sztywno wyprostowany, prężąc ramiona. Dotarliśmy do niskiego muru ogrodu, niemal przysypanego śniegiem, i po drugiej jego stronie ujrzałam słaby, znajomy pomarańczowy blask: migotanie ognia palącego się w piecu, ciepłe i zapraszające. Po minie Furarza można by sądzić, że zaraz wypadnie stamtąd rozwścieczony tłum.

– Kto tam mieszka? – spytałam bez zastanowienia, ale Furarz tylko posłał mi zaniepokojone spojrzenie, a poza tym i tak nie miało to znaczenia; stan staruszki szybko się pogarszał. – Pomóż nam zdjąć ją z sań – poleciłam, a on z ogromną niechęcią zaczepił lejce o kozioł i zsiadł. Podniósł Magrę, jakby była małym dzieckiem, chociaż pomimo grubej warstwy ubrania i futra jęknęła, kiedy ją dotknął.

Niosąc ją, bez trudu poszedł po śniegu, lecz Irina i ja zapadałyśmy się w głębokie zasy. Brnęliśmy za nim, aż nagle warstwa śniegu stała się cieńsza, gdy dotarliśmy do murku. Domek był mały, zwyczajna wiejska chata z piecem zajmującym niemal całą izbę, ale płynął z niej zapach gotującej się owsianki, a przez szpary w zasłonach okiennych i drzwiach wydobywał się blask palącego się w piecu ognia. Furarz zatrzymał się dobry kawałek przed chatą i jego lęk obudził moją czujność, lecz Irina podeszła do drzwi i pchnęła je bez namysłu; były tylko cienką płytą z deseczek oplecionych słomą, mającą powstrzymać wiatr, i z trzaskiem upadły na podłogę.

– Nikogo tu nie ma – powiedziała po chwili Irina, oglądając się na nas.

Weszłam za nią do środka: łatwo było zauważyć, że dom jest pusty. Była w nim

tylko jedna izba, z małą pryczą, na której leżała sterta słomy. Irina nakryła ją płaszczem, który dałam Magrze, a Furarz bardzo niechętnie wszedł i położył staruszkę na tym pośłaniu, ani na chwilę nie odrywając oczu od pieca, i zaraz potem pospiesznie zrejterował za próg. Obok pieca stała skrzynia z drewnem, więc otworzyłam piekarnik i znalazłam w nim garnek ze świeżą i gorącą owsianką.

– Pozwól, że dam jej trochę – powiedziała Irina.

Na półce znalazłyśmy drewnianą miskę i łyżkę. Nałożyła solidną porcję owsianki na miskę, z której zaczęła się unosić para, i uklękła przy pryczy. Zaczęła karmić Magrę, która poczuwszy zapach, poruszyła się i ocknęła na tyle, by jeść małymi łyčzkami. Furarz wzdrygał się przy każdej, jakby obserwował kogoś zażywiającego truciznę. Popatrzył na mnie i jego wargi poruszyły się, jakby chciał coś powiedzieć i tylko strach kazał trzymać mu język za zębami. Ja przez cały czas miałam wrażenie, że zaraz stanie się coś strasznego; zajrzałam we wszystkie kąty chaty, upewniając się, że nic się tam nie kryje, a potem wyszłam na zewnątrz i sprawdziłam także podwórze. Ktoś powinien być w pobliżu, skoro w chacie palił się ogień i czekał gorący posiłek, ale nie znalazłam nawet śladów nóg na śniegu wokół domu, oprócz tych ciągnących się do sań i pozostawionych przez Irinę i mnie, gdy brnęłyśmy przez zaspy. A Starzyk oczywiście nie zostawiłby żadnych. Tylko że...

– To nie jest Starzykowy dom – powiedziałam do Furarza, stwierdzając, a nie pytając.

Nie skinął głową, ale także nie popatrzył na mnie ze zdumieniem czy zaskoczeniem, tak jak Plamka i Treska, gdy coś źle zrozumiałam. Znów spojrzałam na ogród. Dom stał na samej granicy: jedna połowa ogrodu była pogrążona w półmroku, druga w ciemnościach nocy, a chata znajdowała się pomiędzy nimi.

Popatrzyłam na Furarza.

– Zamierzam zamknąć te drzwi – powiedziałam.

– Ja zostanę na zewnątrz – odparł natychmiast, co dało mi nadzieję. Weszłam do środka, podniosłam drzwi i umieściłam na ich miejscu, a potem odczekałam chwilę i gwałtownym szarpnięciem znów je odsunęłam...

Zobaczyłam jednak tylko puste podwórze i stojącego na nim Furarza z zaniepokojoną miną. Wycofał się jeszcze dalej, za murek ogrodu. Wróciłam do środka rozczarowana. Magra otworzyła oczy i trzymała dłoń Iriny w swoich.

– Jesteś bezpieczna, Irinuszka – szepnęła. – Modliłam się o to, żebyś była bezpieczna.

Irina spojrzała na mnie.

– Możemy tu zostać?

– Nie wiem, czy tu jest bezpiecznie – odparłam.

– Nie mniej bezpiecznie niż tam, gdzie byliśmy.

– Czy car nie chciał cię poślubić? – spytałam.

Pomyślałam, że księżę mógł się o to na nią rozgniewać; nie wyglądał na człowieka, który jest zadowolony, gdy ktoś pokrzyżuje mu plany.

– Chciał – odrzekła. – Jestem carycą. Dopóki żyję. – Powiedziała to sucho, jakby nie spodziewała się, by to miało trwać długo. – Car jest czarnoksiężnikiem. Jest opętany przez ognistego demona, który chce mnie pożreć.

Roześmiałam się; nie zdołałam się powstrzymać. Nie był to śmiech rozbawienia, ale gorzki.

– A więc magiczne srebro tobie dało ognistego potwora za męża, a mnie lodowego. Powinniśmy zamknąć ich razem w jednym pokoju, żeby zrobili z nas wdowy.

Rzuciłam to gniewnie, jako gorzki żart, lecz Irina powiedziała z namysłem:

– Demon mówił, że długo będzie gasił mną pragnienie. Chce mnie, ponieważ... jestem zimna.

– Ponieważ masz Starzykową krew i srebro – rzekłam równie powoli.

Skinęła głową. Nachyliłam się do drzwi i zerknęłam przez szparę: Furarz nadal stał daleko od domu, poza zasięgiem głosu, i nic nie wskazywało, żeby zamierzał podejść bliżej. Zaczepnęłam tchu i odwróciłam się.

– Sądysz, że można by się potargować z demonem? Zaproponować mu, żeby zamiast ciebie pożarł Starzykowego króla?

Irina pokazała mi, jak przechodzi tam i z powrotem za pomocą Starzykowego srebra; razem poszłyśmy za dom i znalazłyśmy tam dużą balię. Nalałyśmy do niej gorącej wody, rozpuszczając leżącą obok stertę śniegu, żeby otrzymać powierzchnię, w której można się przejrzeć.

– Widzę to miejsce, z którego przybyłyśmy: sypialnię w pałacu – powiedziała, spojrzawszy w nią. – Widzisz ją? – spytała mnie, lecz ja widziałam tylko nasze twarze pływające na lekko falującej wodzie, a gdy wzięła mnie za rękę i spróbowała ją wetknąć w wodę, moja ręka zmoczyła się do łokcia, chociaż Irina wyjęła swoją całkiem suchą. Pokręciła głową.

– Nie mogę zabrać cię ze sobą.

Jakbym przestała istnieć w realnym świecie, jakby Starzykowy król wyrwał mnie z niego z korzeniami.

– Muszę więc namówić go, żeby mnie tam zabrał – stwierdziłam ponuro; tak jak mi mówił.

Nie zamierzałam pozostać po tej stronie, kiedy mojego małżonka spotka przedwczesny koniec i jeśli w ogóle to się stanie. Nie sądziłam, by reszta

Starzyków zaakceptowała mnie jako swoją królową, przynajmniej dopóki sama nie nauczę się wywoływać wieloletnich zim, wyczarowywać z ziemi śnieżnych drzew i czego tam jeszcze by ode mnie oczekiwano.

Szybko ułożyłyśmy plan: właściwie nie był to plan, tylko czas i miejsce oraz rozpaczliwa próba wykorzystania jedynej szansy, jaką obie miałyśmy.

– Demon nie może się zjawić za dnia – powiedziała Irina. – Pojawia się tylko w nocy. Nie wiem dlaczego, ale gdyby było inaczej, z pewnością próbowałyby mnie już schwytać; dziś byłam w pałacu niemal sama. – Przerwała, po czym dodała w zadumie: – Gdy matkę cara skazano na śmierć za czary, spalili ją tego samego dnia, nim zaszło słońce.

– Zatem w nocy. – Zamilkłam, zastanawiając się, jak przekonać Starzykowego króla, żeby mnie tam zabrał. – Czy mogłabyś namówić cara, żeby wrócił do Wyżni? – powoli zapytałam. – Za trzy dni?

– Jeśli tylko zdołam go przekonać, żeby mnie nie zabijał – odrzekła.

Kiedy skończyłyśmy, Irina wróciła do środka do swojej piastunki, a ja do sań. Furarz nie zadawał żadnych pytań; za bardzo chciał stamtąd odjechać. Przez całą drogę powrotną patrzyłam niewidzącym wzrokiem przed siebie, z zamętem w głowie i uciskiem w brzuchu.

Oczywiście byłam przerażona. Perspektywą podjęcia tej próby, porażki, sukcesu. To było niczym morderstwo – nie, nie będę się okłamywała, to byłoby morderstwo, gdyby się udało. W końcu jednak Starzyk wydawał się uważać zamordowanie mnie za najzupełniej rozsądne, a ja też nie składałam mu żadnych obietnic; nawet nie byłam pewna, czy naprawdę jestem mężatką. Wprawdzie dał mi koronę, ale z pewnością nie zawarliśmy żadnej umowy małżeńskiej i wcale się nie znaliśmy. Zapytam o to rabina, jeśli kiedykolwiek będę miała okazję znów z jakimś porozmawiać. Jednak zamężna czy nie, byłam niemal pewna, że każdy rabin powiedziałby mi, że mam prawo wzorować się na Judycie i pozbawić Starzyka głowy, jeśli nadarzy się taka okazja. Był wrogiem mojego ludu, a nie tylko moim. W ten sposób jedynym problemem pozostała ogromnie trudna realizacja tego zamiaru.

Furarz zatrzymał sanie u stóp stromych schodów do moich komnat: Treska siedziała tam na niskim gładzie, jakby przez cały dzień czekała na mój powrót – niespokojnie, jak można było sądzić po uldze, jaka pojawiła się na jej twarzy, gdy mnie zobaczyła. Z trudem wspierałam się na górę: jechaliśmy długo i bolało mnie całe ciało. Treska prowadziła mnie do mojej komnaty tak szybko, że brakowało mi tchu, i z wyraźnym zniecierpliwieniem podrygiwała w miejscu, gdy musiała przystawać. Wciąż zerkała w dół, więc powiodłam wzrokiem za jej spojrzeniem, na gaj białych drzew: ich białe kwiaty powoli się zamykały, jakby zwiastując

nadejście nocy. Zapewne król byłby rozgniewany, gdyby nie zastał mnie w mojej kwaterze i nie mógł mi udzielić swoich trzech odpowiedzi. Potem uświadomiłam sobie, że gdyby nie był w stanie tego zrobić, mógłby jednak poczuć się zobowiązany do spełnienia obowiązków małżeńskich, więc przyspieszyłam kroku.

Czekał w mojej komnacie z rękami założonymi na piersi i gniewną miną, w blasku rozświetlającym jego policzki i oczy.

– Pytaj – wypalił, gdy tylko weszłam; słońce już zachodziło w lusterku, które mi dał.

– Kto mieszka w domu na skraju nocy? – spytałam.

Wprawdzie i tak nie mogłabym temu zapobiec, ale miałam nadzieję, że nie zostawiłam tam Magrety na pożarcie jakiemuś potworowi.

– Nikt – odparł bez namysłu. – Pytaj.

– To nieprawda – rzekłam.

Treska, która kłaniając się, wychodziła z pokoju, podskoczyła jak koń zniecka smagnięty batem. Wstrząśnięty Starzyk wytrzeszczył oczy i zacisnął pięści; zrobił krok ku mnie, jakby zamierzał mnie uderzyć.

– Była tam owsianka w piecu! – wypaliłam, instynktownie się broniąc.

Staął jak wryty. Mocno zacisnął wargi i po chwili rzekł: „o ile mi wiadomo”, kończąc w ten sposób zdanie.

– Pytaj.

O mało nie zapytałam znowu o to samo. Jarzył się gniewem, słabą poświatą oblewającą raz po raz jego skórę, a ja mimowolnie pomyślałam o Furarzu podnoszącym Magretę jak worek wełny, a nie osobę, o Tresce i Plamce z łatwością unoszących skrzynię pełną srebra; jeśli zwyczajny Starzyk to potrafił, co taki król mógłby zrobić ze mną? Chciałam załagodzić sytuację. Znajome pragnienie: ustąpić, zamknąć się w sobie i umknąć przed czyhającym niebezpieczeństwem. Przez moment znów leżałam na śniegu, a Oleg szedł na mnie z nożem, z wykrzywioną twarzą i zaciśniętymi pięściami. Chciałam uciec, prosić o litość, czując zimny dreszcz strachu przebiegający po plecach.

Jednak za każdym razem był to ten sam wybór. Pomiędzy jedną śmiercią a wieloma. Starzyk patrzył na mnie gniewnie, niesamowity i przerażający. Tylko co by mi dało, gdybym się go bała? Pomimo swojej magii i siły nie mógł mnie zabić więcej razy niż Oleg. A gdybym rozgniewała go tak, że zechciałby mnie zamordować, nie powstrzymałyby go wszystkie prośby świata, tak jak Olega nie powstrzymały moje błagania w lesie. Nie zdołałabym uratować życia w ostatniej chwili, gdy zacisnąłby ręce na mojej szyi. Mogłam je kupić, tylko ustępując za każdym razem; jak Szeherezada, co noc pokornie prosić grożącego mi śmiercią małżonka, żeby mnie oszczędził. I doskonale wiedziałam, że i tak może to zrobić.

Nie zamierzałam się na to godzić. Spróbuję go zamordować, nawet jeśli niemal na pewno miało się to nie udać, i nie będę się go bała. Wyprostowałam się i spojrzałam w te jego błyszczące oczy.

– Powiedziałałabym, że powinieneś podać mi jakiś uzasadniony domysł, jeżeli potrafisz. Jeśli na przykład wiesz, kto go zbudował.

– Powinienem? – prychnął. Kątem oka widziałam, jak Treska cofa się powoli i ostrożnie, po czym umyka z komnaty. – Powinienem?

Nagle znalazł się tuż przy mnie, poruszywszy się tak szybko, że nie zdołałam uchwycić tego wzrokiem; zacisnął dłoń na mojej szyi, wbijając kciuk w dołek pod brodą i podnosząc ją tak, że wciąż patrzyłam mu w twarz.

– A jeśli powiem, że powinienem tylko udzielić ci odpowiedzi na jeszcze dwa pytania? – rzekł łagodnie, patrząc na mnie błyszczącymi oczami.

– Możesz powiedzieć, co chcesz – rzekłam nieustępliwie, z trudem wydobywając słowa przez ściśnięte gardło.

– Zapytam jeszcze raz: jesteś pewna? – syknął.

W jego głosie słychać było głuche i złowrogie ostrzeżenie, jakby zaraz miał stracić cierpliwość. Ja jednak już dokonałam wyboru. Zrobiłam to poprzedniej zimy, siedząc przy łóżku mojej matki i słysząc, jak wykasłuje z siebie życie. Zrobiłam to, stojąc w stu na wpół zamarzniętych sieniach, domagając się zwrotu należności. Przełknęłam kulę żółci podchodzącą mi do gardła.

– Tak – powiedziałam równie zimno, jak mógłby to rzec jakiś pan zimy.

Wściekle warknął i gwałtownie się odwrócił. Pomaszerował na koniec komnaty i stanął tam plecami do mnie, z zaciśniętymi pięściami.

– Śmiesz – rzekł do ściany, nie odwracając się, żeby na mnie spojrzeć – śmiesz mi się przeciwstawiać, udawać, że jesteś mi równą.

– Ty uczyniłeś mnie równą tobie, kiedy nałożyłeś mi koronę na głowę! – powiedziałam. Moje dłonie chciały się trząść, z triumfu lub gniewu, albo obu naraz. Zaciskałam je mocno. – Nie jestem twoją poddaną ani służką, a jeśli chcesz mieć za żonę tchórzliwą mysz, to idź i znajdź sobie jakąś inną, która może zamienić twoje srebro w złoto.

Wydał z siebie syk frustracji i niezadowolenia i stał tak jeszcze przez chwilę, sapiąc, unosząc i opuszczając ramiona. Potem jednak powiedział:

– Potężną czarownicę zmęczyli śmiertelnicy, którzy prosili o jej łaski, więc zbudowała sobie dom na granicy słonecznego świata, żeby nie mogli jej tam znaleźć, gdy nie będzie sobie życzyła towarzystwa. Odeszła jednak dawno temu i nie wróciła, albowiem wiedziałbym, gdyby ktoś o tak wielkiej mocy wrócił do mego królestwa.

Ja oddychałam równie ciężko, wciąż rozgniewana, i z początku nie uznałam

tego za zwycięstwo i odpowiedź na moje pytanie; miałam wrażenie, że przyszło zbyt łatwo.

– Jak dawno temu? – zapytałam zbyt pośpiesznie.

– Myślisz, że obchodzą mnie te ulotne chwile, którymi odmierzasz wasze życie w słonecznym świecie? – rzekł. – Śmiertelne dzieci urodzone wówczas już dawno pomarły, a dzieci ich dzieci są teraz stare, tylko tyle mogę powiedzieć. Zadaj jeszcze jedno pytanie.

Była to w miarę pocieszająca odpowiedź: przynajmniej mogłam mieć nadzieję, że żadna potwornie potężna wiedźma nie pojawi się, by spożyć na kolację Magretę zamiast zjedzonej przez staruszkę owsianki. Chciałabym dowiedzieć się więcej o tym, skąd ta mogła się wziąć i kto rozpałił ogień, ale nie mogłam o to zapytać, gdyż miałam ważniejsze pytanie.

– Obiecałam kuzynce, że zatańczę na jej weselu – powiedziałam. – A ona wyjdzie za mąż za trzy dni.

Sądziłam, że będę musiała rozwinąć ten temat, ale on już się odwrócił, by spojrzeć na mnie z błyskiem w oku; sędzę, że ponieważ tak poważnie traktowano tu dane słowo, natychmiast pojął, że przyparł mnie do muru. Tak też było, chociaż nie w taki sposób, jak myślał.

– A więc wygląda na to, że musisz mnie prosić o pomoc – rzekł spokojnie, z widoczną uciechą. – I mieć nadzieję, że nie odmówię.

– Cóż, nie musisz mi pomagać – powiedziałam, a on kiwnął głową rozbawiony. – I jasno dałeś mi do zrozumienia, że dla ciebie istotne jest tylko jedno, co robię. Zatem ile złota mam dla ciebie zrobić w zamian za zawieszenie mnie na ślub Basi?

Zmarszczył brwi z lekkim żalem, jakby niecierpliwie czekał, że rzucę mu się do nóg, błagając o pomoc, ale nie pozwolił, by to go powstrzymało.

– Mam trzy skarbce pełne srebra – rzekł – każdy większy od poprzedniego, i zamienisz wszystkie znajdujące się w nich monety w złoto, nim cię zabiorę na ślub; a musisz pracować szybko, bo jeśli nie ukończysz pracy na czas, to nie zawiozę cię i złamięz przyrzeczenie.

Powiedział to triumfalnie, jakby potrząsał toporem nad moją głową, i może tak też było; podejrzewałam, że gdybym złamała przyrzeczenie, a on by o tym wiedział, uważałby to za zbrodnię karaną śmiercią.

– Świetnie – rzekłam.

Drgnął i spojrzał na mnie stropiony.

– Co?

– Świetnie! – warknęłam. – Właśnie zażądałeś...

– A ty po raz pierwszy nie próbujesz się targować... – Urwał, znów czerwony na twarzy, a ja nagle podupałam na duchu, gdy rzekł kwaśno: – Umowa stoi.

Postaraj się wywiązać z niej w takim stopniu, w jakim zdołasz.

– A jak duże są te skarbce? – zapytałam, ale on już wychodził i nie zatrzymał się.

Ja też nie zwlekałam. Pospiesznie zadzwoniłam dzwonkiem, po czym Treska nieśmiało weszła do komnaty i zerknęła na mnie, sprawdzając chyba, czy nie zostałam uduszona, pobita lub w inny sposób ukarana za moje zuchwalstwo.

– W pałacu są trzy skarbce ze srebrem – powiedziałam. – Musisz mnie do nich zaprowadzić.

– Teraz? – spytała z powątpiewaniem.

– Teraz – odparłam.

Rozdział 14

Patrzyłam, jak Mirjem odchodzi, a potem wróciłam do chaty. Magra kulila się przy piecu, zakutana we wszystkie swoje ubrania, płaszcz i futro. Poprosiłam, żeby się położyła, ale odmownie pokręciła głową i oświadczyła, że wyścielona tylko warstwą słomy prycza jest za twarda dla jej starych kości.

– Śpij, duszeńko – powiedziała. Już znalazła sobie zajęcie, kołowrotek i motek wełny; nigdy nie lubiła bezczynności. – Połóż się i odpocznij, a ja ci zaśpiewam.

Prycza była wąska, twarda i niewygodna, ale nie spałam dobrze od moich zaślubin i nie miałam starych kości. Słuchając znajomego drżącego głosu Magrety, zapadłam w głęboki sen. Kiedy się zbudziłam, na zewnątrz było jeszcze ciemno, ale czułam się za bardzo wyspana, żeby mógł to być środek nocy. Magra drzemała na krześle. Narzuciłam na siebie futrzany płaszcz i wyszłam z chaty.

Przecinająca ogród linia oddzielająca noc od zmierzchu nie przesunęła się. Po drugiej stronie muru stał gęsty i cichy las, bez żadnych oznak życia; w głębokiej ciszy brakowało mi odgłosów ptaków i zwierząt. Poszłam za dom, żeby zajrzeć do tej dużej balii. Mirjem pomogła mi przystawić ją do tylnej ściany komina, więc woda w niej całkiem nie zamarzała. Kijem rozbiłam warstwę lodu i w ciemnej toni ujrzałam blask słońca w carskiej sypialni, odbijający się we wszystkich złoceniach. Mirnatus był na nogach, ubrany, i krążył po pokoju, lekko utykając, jakby obolały. Służba pospiesznie wносиła mu śniadanie, kuląc ramiona i pochylając głowy. Nie mogłam sobie wyobrazić, co według nich się ze mną stało.

Wróciłam do chatki i pocałowałam Magretę w policzek; wciąż przędła przy piecu.

– Irinuszko, nie powinnaś tam wracać – powiedziała drżącym głosem, łapiąc mnie za rękę. – To zbyt niebezpieczne, ten wasz plan. Ten okropny stwór chce pożreć twoją duszę.

– Nie możemy zostać tu na zawsze – rzekłam.

– Zatem poczekaj, aż nie będzie patrzył – nalegała Magra. – Poczekajmy, a potem wróćmy i ucieknijmy.

– Przed carem? Mamy wymknąć się z pałacu tak, żeby nikt nas nie zobaczył? – Pokręciłam głową. – I co potem?

– Wrócimy do twojego ojca... – zaczęła Magra, lecz zaraz zamilkła.

Ojciec może pomściłby mnie, gdyby car mnie zamordował, ale nie mógłby odseparować mnie od męża. Nawet by nie próbował.

Nie uwolniłam moich dłoni z jej uścisku; zastanawiałam się.

– Jeśli teraz zniknę, z jakiegokolwiek powodu – powiedziałam – wybuchnie wojna. Ojciec sprzymierzy się z Ulrykiem i Kazimierzem i da im powód. A Mirnatus i jego demon nie dadzą się łatwo pokonać. Obaj bez namysłu spalą pół Litwasu. Obojętnie kto zwycięży, królestwo legnie w gruzach. A Starzyk skuje wszystko lodem.

– Duszeńko – wykrztusiła Magra – to nie twoje zmartwienie.

– A czyje? Jestem carycą.

To teoretycznie oznaczało, że powinnam urodzić carewicza, a poza tym siedzieć cicho i do niczego się nie wtrącać, co jednak robiła mało która caryca, a ja po prostu nie mogłam.

– Muszę tam wrócić.

– A jeśli demon nie zechce tego Starzykowego króla? – spytała. – Nie powinnaś nawet próbować się targować z takim stworem.

Byłam skłonna się z nią zgodzić, ale delikatnie uwolniłam ręce i łagodnie powiedziałam:

– Uczesz mi znowu włosy, Magreto.

Zdjęłam koronę, nadstawiłam głowę i usiadłam na podłodze, żeby ułatwić jej zadanie. Przez moment trzymała dłonie na moich ramionach. Potem ze swojej torebki wyjęła srebrny grzebień i zabrała się do pracy, a dotyk jej dłoni był mi tak dobrze znany jak chleb. Kiedy skończyła, razem znów umieściliśmy koronę na mojej głowie, a potem poszłam spojrzeć w wodę.

Słudzy zostawili Mirnatiusa samego. Przez chwilę siedział tam sam plecami do mnie, piniąc się ze złości i raz po raz gniewnie pociągając łyk ze swego kielicha; nie tknął jedzenia na talerzu. Powoli i ostrożnie weszłam w wodę i wyszłam z jednego z tych ogromnych lusterek w złoconych ramach na ścianie za nim. Odeszłam kilka kroków od lustra, po czym wyciągnęłam rękę i po cichu otworzyłam jedne z balkonowych drzwi, jakbym właśnie przez nie weszła.

– Dzień dobry, mężu – powiedziałam jednocześnie, a on zerwał się z krzesła i gwałtownie obrócił się w moją stronę, upuszczając puchar i plamiąc czerwonym winem podłogę.

Dzieliła nas spora odległość; chyba tylko rozmiarom jego ekstrawagancko wielkiej sypialni zawdzięczałam to, że nie skręcił mi natychmiast karku; zanim

mnie dopadł, znów złapałam klamkę drzwi.

– Czy mam zniknąć na dobre – rzuciłam ostro – a wtedy zobaczysz, jak to się spodoba twojemu demonowi, czy jesteś gotów przedyskutować tę sytuację?

Znieruchomiał i spojrzał na balkonowe drzwi, przez które już wpadł śnieg i zebrał się wokół moich stóp, jakbym przywiana wiatrem przybyła tu znikąd i równie łatwo mogła odlecieć.

– A o czym tu dyskutować? – gniewnie prychnął. – Po co w ogóle wciąż wracasz?

– Z powodu podatków zbieranych przez mojego ojca – odparłam. Trochę się zastanawiałam nad tym, co go może poruszyć: jego, a nie jego demona; potrzebowałam cara jako pośrednika i byłam prawie pewna, że on chce tylko nakarmić tego wściekłego stwora, żeby nie szalał i go nie bił. – Czy znasz ich wysokość? Czy wiesz, ile ty dostajesz? – dodałam, naprowadzając go.

– Oczywiście, że wiem, ile dostaję! – warknął, co oznaczało, że nie ma pojęcia, ile zbiera mój ojciec, chociaż powinien to wiedzieć. – Mam uwierzyć, że chcesz, bym zmniejszył podatki twojego ojca...

– Co się dzieje z twoimi wpływami? – brutalnie mu przerwałam. – Zmniejszają się?

– Tak, oczywiście, maleją z roku na rok. Zamierzałem podnieść podatki, ale rada narobiła o to takiego strasznego rwetesu... Dlaczego rozmawiamy o podatkach? – wybuchnął. – Próbujesz zrobić ze mnie durnia?

– Nie – odrzekłam. – Dlaczego maleją twoje wpływy z podatków? Dlaczego rada nie pozwoliła ci ich podnieść?

– Ponieważ... – rzekł podniesionym głosem, ale urwał i dokończył nieco wolniej: – Ponieważ zimy są coraz sroższe.

Przynajmniej nie był głupi. Mówiąc to, patrzył mi przez ramię na balkon, zasypany grubą warstwą śniegu w ostatni dzień maja, oraz na wirujące płatki wciąż wpadające i znikające w bieli mojego futra, i teraz już nie widział dziwnego kaprysu pogody. Gdy tylko przestał postrzegać to jako niefortunny traf, zobaczył też resztę: śnieżycę i wymarzniete uprawy, głodujących wieśniaków, buntujących się panów, atakujące go dobrze odżywione wojska sąsiadów, jego wspaniałą pałac leżący w ruinie i siebie pochłanianego przez wygłodniały ogień. Z jego twarzy odczytywałam wszystkie te myśli przychodzące jedna po drugiej. Zaczął się bać, tak jak tego chciałam.

– To Starzykowie – powiedziałam. – Przez Starzyków zima trwa tak długo.

Nadal był niezadowolony, ale teraz już mnie słuchał. Opadł na jeden z tych złoconych i aksamitnych foteli, a ja usadowiłam się na drugim, naprzeciw niego. Między nami był duży stół z lustrzanym blatem ze srebrzonego szkła, z widocznym

w nim ciemnym niebem i padającym śniegiem – jak prostokątny staw, w który mogłabym dać nura. Gdy się odchyliłam do tyłu, żeby nie pojawiło się w nim moje odbicie, ten obraz znikł i pojawił się sufit, z zielonym węzłem owiniętym wokół jabłka. Mirnatus wygodnie się wyciągnął, podpierając dłonią brodę, i w ponurym milczeniu wysłuchał mojej propozycji.

Po tamtej stronie uzgodniłam z Mirjem, że musimy sprowadzić Starzykowego króla tutaj, a nie tam. Po tej stronie lustra miałam wsparcie w nazwisku ojca i jego wpływach oraz koronę carycy na głowie. Jeśli dopisze nam szczęście i oba nasze potwory zniszczą się wzajemnie, najprawdopodobniej żołnierze Mirnatusa będą słuchać mnie, z braku kogoś innego, a mój ojciec miał dwa tysiące zbrojnych, którzy mogli mnie poprzeć. Nadal nie obchodziło go to, czego ja chcę, ale wtedy oboje pragnęlibyśmy tego samego: ocalić moją głowę.

Nie dzieliłam się z Mirnatiusem tymi szczegółami mojego planu. Powiedziałam mu tylko, że Starzyk wydłuży zimą, aby wzmocnić swoje królestwo.

– Twój demon pragnie mnie, ponieważ mam w żyłach Starzykową krew – zakończyłam. – Chyba o wiele bardziej chciałby mieć Starzyka czystej krwi, a w dodatku ich króla? Jeśli się zgodzi, przyprowadzę ci go i będziesz mógł uratować królestwo, a jednocześnie nakarmić twojego demona.

– A dlaczego właściwie miałbym ci uwierzyć?

– Jak myślisz, dlaczego wciąż tu wracam? Do tej pory powinieneś już wiedzieć, że nie muszę, a ty nie możesz mnie powstrzymać. Naprawdę myślisz, że wzmocnienie pilnujących mnie straży coś da? Gdyby miało dać, czy ryzykowałabym powrót tutaj?

Zbył moje słowa niedbałym machnięciem ręki.

– Nadal nie mam pojęcia, dlaczego to wszystko robisz! Co cię obchodzi, że Starzykowie zamrożą królestwo? Jesteś niemal jedną z nich.

Dobre pytanie; Magreta też je zadała. Nie umiałam jej odpowiedzieć.

– Wiewiórki też giną z głodu, gdy umierają drzewa – powiedziałam.

– Wiewiórki! – Gniewnie na mnie spojrział, ale chociaż powiedziałam to żartobliwie, te słowa zabrzmiały dziwnie prawdziwie, gdy wyszły z moich ust.

– Tak, wiewiórki – powtórzyłam z przekonaniem. – A także wieśniacy, dzieci, staruszki i wszyscy ci ludzie, których nawet nie zauważasz, ponieważ są dla ciebie beużyteczni; wszyscy, którzy umrą prędzej niż ty i twoi żołnierze.

Nie wiedziałam, jakie uczucie kazało mi wypowiedzieć te słowa. Chyba gniew. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej była rozgniewana. Gniew zawsze wydawał mi się bezsensowny, jak gonitwa psa za własnym ogonem. Co by mi dało gniewanie się na ojca, macochę lub nieuprzejmą służbę? Ludzie czasem gniewali się na pogodę, na kamienie, o które się potknęli, lub noże, które skaleczyły im rękę,

jakby one robiły to rozmyślnie. Wszystko to wydawało mi się bezsensowne. Gniew był jak ogień w kominku, a ja nie miałam dość drewna, by go podsycać. Teraz najwyraźniej się to zmieniło.

Mirnatius miał taką samą nadąsaną minę jak w ogrodzie przed siedmioma laty, gdy mówiłam mu, żeby zostawił martwe wiewiórki w spokoju. Jak śmiałam uważać, że one są czymś więcej jak jego zabawkami? To wspomnienie jeszcze bardziej mnie rozgniewało i dodałam ostrzejszym tonem:

– Naprawdę interesują cię moje pobudki? Nie byłbyś w gorszej sytuacji, nawet gdybym kłamała.

– Mógłbym być, jeśli nie mówisz mi całej prawdy, a tej mi nie wyjawiasz – odparłam. – Nadal nie wyjaśniłaś mi, w jaki sposób znikasz ani dokąd się udajesz, a także gdzie schowałaś tę twoją staruchę. I z pewnością niewiele mi powiedziałaś o tym, jak zamierzasz sprowadzić tu tego Starzykowego pana.

– Oczywiście, że nie – odparłam. – Dlaczego miałabym ci ufać? Od kiedy złożyliśmy małżeńskie śluby, ciągle tylko usiłujesz wepchnąć mnie w gardziel twojego potwora.

– Jakbym miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Naprawdę sądzisz, że chciałem poślubić ciebie? To on chciał cię mieć, dlatego poszedłem do ołtarza.

– A ja do niego poszłam, ponieważ mój ojciec chciał posadzić mnie na tronie. Nie usprawiedliwisz się przede mną, twierdząc, że musiałeś.

– A więc nie zrobiłaś tego wszystkiego, żeby ratować wiewiórki i umazanych błotem wieśniaków? – zadrwił, ale nie spojrzał mi w oczy i po chwili powiedział: – Świetnie. Dziś wieczór zapytam go, czy w zamian za ciebie weźmie Starzykowego króla.

– Dobrze. A póki co – dodałam – napiszesz do wszystkich twoich książąt i każesz im przybyć i świętować z nami nasze zaślubiny. I pamiętaj, żeby zawiadomić księcia Ulryka, że chcę zobaczyć moją drogą przyjaciółkę Wasylię. A gdy tu przybędzie, mianuję ją moją pierwszą damą dworu.

Zmarszczył brwi.

– Co to ma wspólnego z...

– Nie możemy pozwolić, żeby wyszła za Kazimierza – przypomniałam mu z lekkim zniecierpliwieniem; przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Jeśli Kazimierz i Ulryk zechcą pozbawić mnie tronu, to myślisz, że będą się przejmowali losem twojej damy dworu? – zapytał.

– Będą się przejmowali tym, że nie łączą ich żadne więzy krwi – wyjaśniłam. – Dlatego najlepsze byłyby takie, które łączyłyby Ulryka z tobą. Wydamy ją za mąż, jak tylko tu przybędzie. Czy masz na dworze jakiegoś odpowiedniego krewniaka, kogoś młodego i przystojnego, jeśli to możliwe? Nieważne – dodałam, widząc jego

minę. Miał dwie ciotki, a ja wiedziałam, że miały liczne potomstwo. Nie poznałam ich wszystkich i nie pamiętałam imion, ale liczyłam na to, że znajdzie się przynajmniej nieżonaty lub owdowiały. – Sama kogoś poszukam. Dziś musisz zaprezentować mnie twojemu dworowi.

– A to dlaczego? Zapewniam cię, że nie będzie to dla ciebie przyjemne doświadczenie. Mój dwór ma wysokie standardy urody.

Najwyraźniej kiedy żenił się ze mną, nie przypuszczał, że pożyję dostatecznie długo, żeby musiał mnie przedstawiać. Może nadal tak myślał.

– Jestem carycą, więc będą musieli się przyzwyczać do niedostatków mojej urody – powiedziałam. – Musimy zdusić w zarodku wszelkie plotki. Słudzy zapewne już rozpowiadzieli w całym zamku, że znikłam w nocy, a nie możemy sobie pozwolić na takie pogłoski. Nawet jeśli zdołamy powstrzymać zimę, zbiory w tym roku będą słabe. A ty już rozżłościłeś wielu wielmożów.

Widziałam, że chciał zaprotestować, ale z niepokojem spojrzął na stertę śniegu na balkonie i nic nie powiedział. Pomimo wszystko nie był głupcem; tylko – o ile mogłam to stwierdzić – nigdy nie interesował się polityką. Przypuszczałam, że pragnął jedynie przyjemności związanych z rządzeniem, bogactwa, luksusów i piękna, a nie pracy; nie miał żadnych ambicji.

Oczywiście gdyby kiedyś zastanawiał się nad polityką, zadałby mi teraz o wiele ważniejsze pytanie: kto będzie żoną Kazimierza? A miałam nią być ja – gdy tylko Mirnatus i jego demon zostaną zamrożeni lub spaleni na stosie, a przynajmniej zdemaskowani przed całym dworem i zmuszeni do ucieczki, a moje całkowicie nieskonsumowane małżeństwo unieważnione.

Niezbyt lubiłam księcia Kazimierza. Raz zatrzymał się w domu mojego ojca i wtedy nie zwracał na mnie uwagi, więc nie zachowywał się najlepiej. Kazał służącej siedzieć mu na kolanach i uśmiechać się, jakby jej się to podobało, kiedy miętosił jej piersi i klepał po tyłku; lecz gdy wyjechał trzy dni później, miała złoty naszyjnik, którego nie mogłaby kupić ze swoich zarobków, więc przynajmniej coś jej za to dał. Był nieco młodszy od mojego ojca. Choć bardzo powierzchowny, nie był jednak głupcem ani okrutnikiem. A co więcej, byłam prawie pewna, że nie próbowałby pożreć mojej duszy. Jak widać, moje oczekiwania wobec męża znacznie się zmniejszyły.

Splotę sieć, w którą złowię Litwas. Kazimierz ożeni się ze mną i będzie zadowolony, że zasiadł na tronie. Małżeństwo Wasylii z siostrzeńcem zmarłego cara powinno co najmniej zaskoczyć Ulryka, a ja szepnę mu do ucha, że byłoby dobrze, gdyby moja droga przyjaciółka zaczęła rodzić dzieci w tym samym czasie co ja, w ten sposób obiecując mu, że jego wnuk mimo wszystko zasiądzie na tronie. To powinno usatysfakcjonować jego i krewnych Mirnatusa. Musiałam tylko

wszystko zaaranżować tak, by Mirnatius wpadł w potrzask i runął w otchłań Piekieł – jeśli mi się powiedzie.

Najpierw jednak jego demon musiał zabić Starzykowego króla, inaczej w ogóle nie będzie Litwasu, który można by uratować. Wstałam z fotela i znieruchomiałam, lekko marszcząc brwi, jakbym nagle wpadła na jakiś nowy pomysł.

– Poczekaj – powiedziałam. – Na wesele powinniśmy wrócić do domu mojego ojca. W listach do ksiąząt i arcyksiąząt każ im przybyć do Wyzni, a nie tutaj.

– Dlaczego miałbym... ach, nieważne – mruknął, machając ręką w powietrzu, zwinnie jak zrywający się do lotu ptak, którego ogonem był koronkowy mankiet.

Byłam wdzięczna losowi; miałam kilka przygotowanych wyjaśnień, ale nieco naciąganych, więc dobrze, że nie musiałam ich podawać. Nie zamierzałam wcześniej mu mówić, że Starzykowy król zapewne za trzy dni pojawi się w Wyzni jako gość na innym weselu.

W poniedziałek po południu, kiedy wracałam do domu pani Mandelsztam po zebraniu należności, spotkałam w lesie dwóch bawiących się chłopców z miasteczka. Nie byłem taki duży jak Siergieju, ale i tak większy od nich, więc nie próbowali mnie zabić, ale pan Mandelsztam miał rację, bo bawić się ze mną też nie chcieli.

– Jak to jest zabić ojca? – zawołał za mną jeden z nich.

Potem uciekli w las i nie czekali, aż odpowiem, ale ja myślałem o tym przez resztę drogi. Nie byłem pewny, czy zabiłem mojego ojca, ponieważ ja tylko nie chciałem, żeby uderzył Wandę pogrzebaczem; nie chciałem, żeby się o mnie potknął. Jednak potknął się o mnie i częściowo dlatego był nieżywy, więc może nie miało znaczenia, czego chciałem. Nie wiem.

Wiedziałem, że dobrze jest mieszkać u pana i pani Mandelsztam. Już zupełnie przestałem być głodny. Ilekroć jednak myślałem o Siergieju i Wandzie, nawet jeśli siedziałem przy stole, to miałem wrażenie, że przetykam kamienie, a nie jedzenie. Czułbym się bardzo dobrze, gdyby Siergieju i Wanda mieszkali ze mną u pana i pani Mandelsztam. Ich dom był mały, ale ja i Siergieju moglibyśmy spać w stodole. Tylko że nie mogliśmy, bo Siergieju popchnął ojca i on nie żył.

Potem zastanawiałem się nad tym, czy to lepiej, że ja sam mieszkam u Mandelsztamów, niż gdybyśmy wszyscy troje mieszkali z ojcem. Doszedłem do wniosku, że jednak lepiej byłoby mieszkać z ojcem, gdyby tylko Siergieju i Wanda byli tam cali i zdrowi. Tyle że nie mogliśmy, nawet gdyby ojciec nie został zabity, ponieważ zamierzał zmusić Wandę do wyjścia za syna Kajusa. Potem zacząłem myśleć, czy lepiej jest być tu, u Mandelsztamów, niż gdzieś, gdzie może nie byłoby tak dobrze, ale z Siergiejem i Wandą. Trudno było mi zdecydować,

ponieważ nie wiedziałem, jak byłoby mi gdzie indziej, ale po długim namyśle w końcu zdecydowałem, że mimo to chciałbym być z Siergiejem i Wandą. Nie mogłem być szczęśliwy z kamieniami w brzuchu.

W kieszeni miałem orzech z białego drzewa. Myślałem o zasadzeniu go na podwórzu Mandelsztamów, ale jeszcze tego nie zrobiłem. Wyjąłem go, spojrzałem nań, a potem głośno powiedziałem:

– Mamo, nie mogę zasadzić tu tego orzecha, ponieważ Siergiej i Wanda nie będą mogli nigdy wrócić do domu. Nie zasadzę go, dopóki nie znajdę miejsca, gdzie wszyscy troje będziemy mogli mieszkać razem i być bezpieczni.

Potem znów go schowałem. Było mi przykro, że nie mogę go zasadzić, ponieważ brakowało mi poczucia, że mama jest w pobliżu, a jednak wydawało się to słuszną decyzją. Siergiej i Wanda dali ten orzech, żebym go zasadził, ale mama chciałyby, żeby mogli mnie odwiedzać.

Wróciłem z koszykiem do domu. Gdy pan Mandelsztam starannie wszystko zapisywał, spytałem go:

– Czy ktoś wie, gdzie są Siergiej i Wanda?

Przestał pisać i spojrzał na mnie.

– Dziś ludzie poszli ich szukać. Nie znaleźli.

Byłem zadowolony, ale zaraz zastanowiłem się nad tym i zrozumiałem, że to też niedobrze.

– Ale ja muszę ich znaleźć – powiedziałem.

Jeśli nikt inny nie mógł, nawet duzi mężczyźni, to jak ja to zrobię?

Pan Mandelsztam położył dłoń na mojej głowie.

– Może przyślą ci wiadomość, kiedy będą już w jakimś bezpiecznym miejscu – powiedział, ale zbyt łagodnie, tak jak się mówi miłe rzeczy do kozy, kiedy próbuje się ją złapać i uwięzić. To nie oznaczało, że chciał mi zrobić krzywdę. Chciał tylko trzymać mnie w dobrym, ciepłym miejscu, żebym nie zamarznął gdzieś w śniegu. Gdybym jednak został w tym dobrym, ciepłym miejscu, już nigdy nie zobaczyłbym Siergieja i Wandy.

– Oni nie mogą przysłać wiadomości – powiedziałem. – Gdyby to zrobili, wszyscy tutaj by wiedzieli, gdzie oni są, i poszliby ich złapać.

Pan Mandelsztam nic mi nie odpowiedział, tylko spojrzał na panią Mandelsztam, która przestała prząść i patrzyła na niego. Tak więc wiedziałem, że mam rację, ponieważ gdybym jej nie miał, powiedzieliby mi to.

– Siergiej i Wanda zamierzali pójść do Wyżni – powiedziałem. – Chcieli prosić kogoś, żeby dał im pracę.

Musiałem się nad tym zastanowić, ponieważ ten ktoś był czyimś dziadkiem, a ja nie wiedziałem czyim, co było dziwne. Znałem jednak nazwisko dziadka.

– Pana Moszela.

– To mój ojciec – powiedziała pani Mandelsztam. A potem rzekła do pana Mandelsztama: – Ślub Basi jest w środę. Moglibyśmy pojechać. I... – Zamilkła, marszcząc brwi z lekkim zdziwieniem. – I... – powtórzyła, jakby spodziewała się, że jakieś słowo wyjdzie z jej ust, ale nie wyszło.

On też marszczył brwi ze zdziwienia. Wstała od kołowrotka i przeszła po izbie, załamując ręce i patrząc w dal, aż stanęła przed półką znajdującą się nad piecem. Popatrzyła na stojące tam drewniane lalki.

– Tam jest Mirjem – nagle wypaliła. – Mirjem jest z wizytą u mojego ojca.

Wypowiedziała to imię tak, jakby przepychała je przez mur. Pan Mandelsztam wstał tak szybko, że pióro upadło mu na podłogę, i pobladł. Już miałem ich zapytać, kto to taki, ale zanim otworzyłem usta, już nie mogłem sobie przypomnieć tego imienia. Pani Mandelsztam odwróciła się, wyciągając rękę.

– Josef – powiedziała. Głos się jej łamał. – Josef... jak długo...?

Zamilkła i nie podobał mi się wygląd jej twarzy. Przypominał mi leżącego na podłodze ojca, który wydawał dziwne odgłosy, a potem był nieżywy.

– Pójdę wynająć sanie – rzekł pan Mandelsztam.

Robiło się już późno, ale pomimo to wkładał płaszcz, jakby chciał zaraz wyjść. Pani Mandelsztam pospieszyła do dzbanka schowanego w palenisku i włożyła do sakiewki sześć srebrnych monet, a potem mu ją dała. Wziął sakiewkę i wyszedł.

Jak tylko wyszedł, pani Mandelsztam złapała torbę, poszła do sypialni i zaczęła się pakować. Byłem zadowolony, że pojedziemy szukać Siergieja i Wandy, ale nie podobał mi się ten pośpiech. Wyglądało to tak, jakby się bała, że stanie się coś złego, jeśli przestanie się poruszać. Uklękła i zaczęła wyjmować ubrania z kufra. Pomogłem jej, przytrzymując otwartą torbę, gdy wkładała do niej kolejne rzeczy, ale nagle przestała. Siedziała w kucki, gapiąc się na kufer. Były w nim rzeczy za małe na nią, a także para czarnych skórzanych bucików. Dotknęła ich drżącą dłonią.

– Były pani? – spytałem.

Nic nie powiedziała, tylko pokręciła głową. Włożyła jeszcze kilka rzeczy do torby i zamknęła kufer. Myślałem, że skończyliśmy, ale wciąż tam klęczała z rękami na wieku skrzyni, a potem spojrzała na mnie i znów ją otworzyła. Wyjęła buciki i dała mi je. Przymierzyłem. Były na mnie trochę za duże, ale bardzo miękkie. Nigdy przedtem nie miałem skórzanych butów.

– Włóż inną parę skarpet – powiedziała i dała mi parę ze skrzyni, grubych, robionych na drutach, też małych. Z nimi buty już dobrze pasowały. Było mi ciepło w stopy, nawet gdy wyszedłem na zewnątrz zając się kozami. Mogłem chodzić po śniegu i wcale go nie czuć.

– Kto będzie karmił kozy i kury, kiedy nas nie będzie? – zapytałem ją, gdy wróciłem do domu.

– Porozmawiam z panią Gavelytę – odrzekła, włożyła płaszcz oraz chustę, wzięła kilka groszy z dzbanka i wyszła.

Patrzyłem, jak poszła do domu po drugiej stronie ulicy i zapukała do drzwi. Pani Gavelytę nie zaprosiła jej do środka. Założyła ręce na piersi, jakby zagradzała wejście, i trzymała ją na progu, kiedy rozmawiały. Stała tak murem, dopóki pani Mandelsztam nie dała jej pieniędzy, a wtedy wzięła je i pospiesznie znikła, zamykając jej drzwi przed nosem.

Pani Mandelsztam wyglądała na zmęczoną, gdy wróciła do domu, jak po całym dniu ciężkiej pracy w polu, ale nic nie powiedziała. Wzięła koszyk i zapakowała do niego żywność na drogę. Potem rozgarnęła węgle w piecu i przysypała je popiołem, aż zrobiły się ciemne i ogień zgasł. Kiedy skończyła, sanie już podjeżdżały do drzwi. Pan Mandelsztam siedział z tyłu. Zsiadł, wziął koszyk oraz sakwę i pomógł jej wsiąść na sanie. Usiadłem obok niej, a on okrył nas dwoma futrzanymi płaszczami i kilkoma kocami, zamknął drzwi domu i bramę, po czym usiadł po mojej drugiej stronie.

Woźnicą był chudy młodzieniec mniej więcej w wieku Siergieja. Jednak miał na sobie płaszcz dorosłego mężczyzny, a pod nim zapewne jeszcze dwa, więc wydawał się duży. Cmoknął na wielkie konie, sanie szarpnęły i ruszyliśmy. Pojechaliśmy drogą przez miasto. Była zatłoczona. Chyba wszyscy skończyli już pracę. Na polach i tak nie było wiele do roboty, gdyż śnieg jeszcze nie stopniał. Ludzie z zaciętymi i gniewnymi minami patrzyli, jak jedziemy. Na końcu ulicy kilku mężczyzn wyszło z bardzo dużego domu z dużym kominem i szyldem, na którym był namalowany duży kufel z parującym krupnikiem. Zatrzymali sanie na drodze i powiedzieli do pana Mandelsztama:

– Nie myśl, że się o tym nie dowiemy, Żydzie, jeśli pomożesz mordercom uniknąć sprawiedliwości.

– Jedziemy do Wyżni na ślub – spokojnie powiedział pan Mandelsztam.

Mężczyzna prychnął. Spojrzał na naszego woźnicę.

– Jesteś synem Olega, tak? Algis? – Woźnica kiwnął głową. – Zostań z Żydami. Miej ich na oku. Rozumiesz?

Algis znów kiwnął głową.

Popatrzyłem na ten dom. Kajus stał w drzwiach z rękami założonymi na piersi i podniesioną głową, jakby był z czegoś dumny. Zastanawiałem się z czego. Spojrzałem na niego uważnie. Zerknął na mnie i zmarszczył brwi, ale już nie miał takiej dumnej miny. Odwrócił się i pospiesznie wszedł do środka. Algis znów popędził konie. My wszyscy na saniach za nim milczeliśmy. Przedtem też nic nie

mówiliśmy, ale teraz nie było to miłe milczenie. Chociaż siedzieliśmy na otwartych saniach, czułem się tak, jakbyśmy byli z nim na nich zamknięci. Gdy wyjechaliśmy z miasta, szybko otoczyły nas drzewa. A kiedy obróciłem głowę, by patrzeć, jak umykają w dal, wszystkie zbiły się w wiążącą nas drewnianą ścianę wokół drogi.

Właściwie już wiedziałam, co zobaczę, gdy Treska zaprowadziła mnie na dół do skarbców, lecz było coś okropnego w widoku otwieranych drzwi do pierwszej małej komnaty, trzykrotnie większej od sejfu mojego dziadka, w której kufry i worki ze srebrem piętrzyły się aż do sufitu pod każdą ścianą. W ponurym milczeniu podreptałam wąskim przejściem między nimi do drugiego pomieszczenia, trzykrotnie większego niż pierwsze, choć w tym przynajmniej między stosami były szersze odstępki i drewniane półki na te skarby. Jednak na drugim końcu tej komnaty znajdowały się drzwi do trzeciej: podwójne grube wrota z białego drewna okutego srebrem. Gdy je pchnęłam, ujrzałam salę niewątpliwie powoli wykuta w tej górze przez tysiąc lat: ogromną, ze stromymi wzgórzami worków i stosów błyszczących monet sięgających powyżej mojej głowy. Przez sam środek tej sali wiła się rzeka, lśniąca zamarznęta wstęga wychodząca z jednego ciemnego przejścia i znikająca w drugim; jakby wiła się tu przez górę aż z gaju białych drzew, żeby potem spłynąć wodospadem z jej zbocza. Przez cały jeden dzień przemieniałam zawartość jednego kufra. Nie miałam pojęcia, ile magii będzie trzeba, żeby zamienić to wszystko w złoto, a także ile czasu. Więcej, niż miałam.

Treska stała obok, zerkając na mnie.

– Przynies mi coś do jedzenia i picia – poleciłam jej ponurym głosem, a potem wróciłam do pierwszej komnaty.

Miałam już za sobą długi dzień i chciałam położyć się do łóżka. Zamiast tego opróżniałam worki i chwytając pełne garście srebra, żeby wypuścić je jako złoto. Próbowałam wkładać ręce do worków i zmieniać całą zawartość naraz, ale to nie działało; nie wszystkie monety się zmieniały i gdy je wysypywałam, niektóre wciąż były srebrne. Nie zamierzałam pozwolić na to, żeby po przemianie znajdującego się tutaj skarbu król poderżnął mi gardło za jakąś monetę, która niezauważona potoczyła się w kąt. Byłam najzupełniej pewna, że gdybym przez pomyłkę pozostawiła choć jedną niezmienioną, on by to odkrył. A szybciej było zmieniać je garściami niż dokładnie sprawdzać zawartość worków. Wcale nie mówię, że szło mi to szybko. Przemieniłam zawartość tylko kilku worków, zanim Treska wróciła z tacą jedzenia i picia.

Przełknęłam kilka kęsów, po czym spojrzałam na leżącą na tacy serwetkę i rozłożyłam ją na ziemi. Wzięłam następny worek i wysypałam na nią połowę jego zawartości, tworząc jedną warstwę srebrnych monet, żeby widzieć, które się

zmieniły. Po kilku próbach odkryłam sposób przemieniania ich muśnięciem ręki – niezbyt szybkim, inaczej zmiana nie zachodziła do końca, lecz jeśli zrobiłam to niespiesznym ruchem i wpływałam na nie siłą woli, zmieniały się wszystkie.

– Przynieś mi duży ciemny obrus, największy, jaki znajdziesz – powiedziałam Tresce, a kiedy go przyniosła, zaczęłam opróżniać nań worki i skrzynie. Na obrusie mieściła się zawartość dwóch lub trzech jednocześnie, a kiedy skończyłam ją zmieniać, wyciągałam spod niej obrus i znów rozkładałam go na niej.

Po chwili stało się to nudne, co może wydać się śmieszne. Zużywałam magię wiadrami, zmieniając palcami srebro w lśniące złoto, ale szybko straciło to jakikolwiek urok. Wolałabym zmieniać część monet w ptaki albo podpalać. Przestałam nawet postrzegać ją jako fortunę, tak jak wielokrotnie powtórzone słowo zmienia się w bełkot. Byłam zmęczona, zeszywniała, bolały mnie stopy i palce, ale wciąż pracowałam. Siedziałam na złocie i ślizgałam się na nim, gdy zdejmowałam z półek kolejne worki i skrzynie, żeby rzucać puste na rosnącą stertę w kącie. Czas biegł niepostrzeżenie, aż opróżniłam ostatnią skrzynię w tym pierwszym pomieszczeniu i zamieniłam wszystkie znajdujące się w niej monety, co do jednej. Chwiejnie przeszłam wzdłuż wszystkich półek w tej komnacie, szukając jeszcze czegoś do przemienienia, a gdy nie znalazłam, trzykrotnie obszedłszy ją całą, jeszcze przez chwilę stałam tam otępiała, a potem niczym smoczyca położyłam się na tej mojej stercie złota i zasnęłam, chociaż wcale nie zamierzałam.

Ocknęłam się nagle i ujrzałam nad sobą Starzykowego pana oglądającego skarb, który mu zrobiłam; trzymał w dłoni garść monet i z wyraźnie wypisanym na twarzy nienasyconym pożądaniem podziwiał ich ciepły blask. Zaniepokojona z trudem wstałam, słaniając się na warstwach złota. On bez trudu utrzymywał równowagę. Nawet wyciągnął rękę, żeby złapać mnie za ramię i podtrzymać, choć nie z grzeczności, ale dlatego że nie chciał, bym miotała się obok niego.

– Która godzina? – wykrztusiłam.

Zignorował mnie i nie odpowiedział na to pytanie, co przynajmniej oznaczało, że jeszcze nie wieczór; nie straciłam całego dnia. I nie czułam, żebym długo spała; powieki wciąż mi się kleiły i same zamykały. Nabrałam tchu. Oddalił się, żeby zbadać pomieszczenie, spoglądając na opróżnione kufry i worki, wciąż trzymając tę garść złota.

– No? – rzuciłam wyzywająco. – Jeśli jakąś pominęłam, powiedz to teraz.

– Nie – rzekł, wypuszczając z ręki monety, a te z brzękiem upadły na inne, leżące na podłodze. – Przemieniłaś wszystkie monety w pierwszym skarbcu. Zostały jeszcze dwa.

Powiedział to niemal uprzejmie, a nawet skłonił głowę, co zaskoczyło mnie tak, że niemo spoglądałam w ślad za nim, gdy znów odszedł. Potem otrząsnęłam się

i ślizgając się na stercie złota, skoczyłam do drzwi, żeby pobiec do moich komnat na górze.

Tam jednak na łóżku znalazłam lusterko, które mi zrobił, a w nim różowo-złoty wschód słońca. Bezsilnie opadłam na łożo, wzięłam je do ręki i spojrzałam w nie. Całą lub prawie całą noc spędziłam w najmniejszym skarbcu. Mogłam liczyć na to, że zdołam zmienić zawartość drugiego, jeśli znów nie zasnę, ale na pewno nie uda mi się zmienić nawet jednej monety w trzecim, zanim skończy mi się czas.

Pomyślałam o ucieczce. Może zdołałabym dotrzeć aż do tej chaty w lesie, ale co by mi to dało? Nie mogłam opuścić jego królestwa. Jednak nie zesłam na dół. Zamiast tego wezwałam dzwonkiem Treskę i Plamkę, po czym kazałam im przynieść śniadanie i zjadłam je niespiesznie. Siedziałam, powoli opróżniając talerze z rybą i zimnymi owocami, jakbym niczym się nie przejmowała, a już najmniej ogromnym srebrnym mieczem wiszącym nad moją głową. Uprzejme zachowanie męża tylko mnie upewniło, że niepowodzenie będzie oznaczało moją śmierć, a Treska i Plamka nawet spoglądały na siebie nawzajem, gdy myślały, że tego nie widzę, jakby się zastanawiały, co robię. Po co jednak się trudzić, żeby zostawić mu większą stertę złota, kiedy utnie mi głowę? Ich prawo najwyraźniej nie tolerowało pomyłek i jeśli ktoś nie potrafił dotrzymać obietnicy, naprawiali ten błąd, usuwając delikwenta z tego świata.

Już miałam wychylić kolejny puchar wina – a dlaczego się nie upić pod koniec życia – lecz nagle rozmyśliłam się i odstawiłam go. Wstałam od stołu.

– Chodźcie ze mną na dół do skarbcza – powiedziałam do Treski i Plamki. – I poślijcie po Furarza. Kaźcie mu wziąć największe sanie, jakie są w stajni. Ma tam nimi zajeżdżać.

Treska spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Do skarbcza?

– Tak – odrzekłam. – Przecież rzeka jest teraz zamrznięta. Kaźcie mu, żeby po niej jechał z gaju, aż dojedzie tutaj.

Jelenie wyglądały na nieco zdziwione, kiedy wyłoniły się z tunelu i ostrożnie manewrowały między stertami srebra; musiał zsiąść i je prowadzić. Plamka, Treska i Furarz wyglądali na jeszcze bardziej zdumionych, gdy wyjaśniłam im, co mają robić. Przezornie nie zapytałam, czy to zrobią, tylko rozkazałam.

– Ale... gdzie mamy je zwieźć? – spytała po chwili Treska.

Wskazałam na ciemny wylot tunelu po drugiej stronie sali.

– Wjedźcie tam saniami i zrzućcie je. Postarajcie się zmieścić je tam całe.

– Tak po prostu... zostawić je? – zapytała Plamka. – W tunelu?

– Czy ktoś je stamtąd ukradnie? – chłodno spytałam.

Wszyscy troje wzdrygnęli się i pospiesznie odwrócili wzrok, żebym nie

wyczytała odpowiedzi z ich twarzy. Wcale mnie nie obchodziło, czy srebro będzie tam bezpieczne. Obiecałam zmienić każdą sztukę srebra w tych trzech skarbcach. Tak więc powinno go tu być znacznie mniej – i to szybko. A jeśli mojemu mężowi nie spodoba się, gdzie umieściłam jego pieniądze, może je z powrotem przenieść do skarbcza, kiedy skończę.

Po chwili Furarz bez słowa wziął w obie ręce po trzy worki i rzucił je na sanie. Jelenie zastrzygły uszami, słysząc głuchy łoskot. Po chwili Plamka i Treska zaczęły mu pomagać.

Kiedy zobaczyłam, że naprawdę to robią, odwróciłam się, poszłam z powrotem do drugiej komnaty i znów zabrałam się do roboty. Ta była jeszcze bardziej nużąca niż poprzedniego dnia; bolały mnie wszystkie kości, ale nie byłam jeszcze tak wyczerpana jak wczoraj, więc praca była nudniejsza i bardziej męcząca. Jednak opróżniałam jeden worek po drugim i zamieniałam srebro w złoto, srebro w złoto, po czym odgarniałam przemienione monety, robiąc miejsce dla następnych. Znów nie przerywałam pracy, żeby coś zjeść lub wypić; zawiesiłam sobie na szyi łańcuszek z lusterkiem, w którym słońce zaczęło świecić zatrważająco szybko. W komnacie było sześć wielkich regałów z niezliczonymi skrzyniami srebra, a ja nie doszłam nawet do połowy jednego, gdy na skraju lusterka pojawił się złocisty blask zachodzącego słońca. Minął pierwszy z wyznaczonych trzech dni.

Mój mąż pojawił się kilka chwil później, zabójczo punktualny. Podniósł garść złotych monet z nierównego stosu przy drzwiach i przesypał je przez palce, patrząc, jakie poczyniłam postępy. Zacisnął wargi i pokręcił głową, jakby zirytowany tym, ile jeszcze zostało do zrobienia.

– O której godzinie jest ślub? – zapytał mnie.

Próbowałam się skupić, gdyż odkryłam, że mogę zmienić dwie warstwy naraz, jeśli się postaram, lecz jego pytanie przeszkodziło mi w tym. Usiadłam z głośnym westchnieniem.

– Obiecałam zatańczyć na ich weselu, a muzykanci będą grali do północy – odparłam chłodno. – Do tej chwili mam czas.

Choć nie dawałam tego po sobie poznać, nie wydawało mi się, że mam go dużo; zostały mi dwie noce i dwa dni na przekopanie tej góry srebra łyżką.

– Jeszcze nie skończyłaś w tej, a została cała trzecia komnata – rzekł kwaśno, choć to była jego wina, bo domagał się niemożliwego. Cieszyłam się, że drzwi są zamknięte i nie widzi, co się dzieje z jego skarbem w trzeciej sali. – Cóż, zmienisz, ile zdołasz, zanim poniesiesz klęskę.

Posłałam mu gniewne spojrzenie. Gdybym nie miała żadnej nadziei na sukces, natychmiast przerwałabym pracę.

– Zadaj swoje pytania – powiedział, ignorując moje gniewne spojrzenie.

Bardziej potrzebowałam czasu niż odpowiedzi. Zapewne mogłam zapytać go, co by ze mną zrobił, gdyby mi się nie udało, ale niekoniecznie chciałam to wiedzieć i bać się jeszcze i tego.

– Jak mogę to przyspieszyć, jeśli znasz jakiś sposób? – spytałam.

Nie liczyłam, że wyjawi mi jakąś przydatną metodę, ale z pewnością wiedział o magii więcej niż ja.

– Możesz robić to tylko tak szybko, jak potrafisz – rzekł, mierząc mnie podejrzliwym wzrokiem, jakby to pytanie było tak śmieszne, że nie mógł uwierzyć, że je zadałam. – Skąd mógłbym wiedzieć, jeśli ty nie wiesz?

Potrząsnęłam głową ze zniechęceniem i otarłam dłonią czoło.

– Co znajduje się za granicą twojego królestwa? Tam, gdzie kończy się światło.

– Ciemność – powiedział.

– To sama widzę! – burknęłam zirytowana.

– Czemu więc pytasz? – odparł z taką samą irytacją.

– Ponieważ chcę wiedzieć, co jest w tej ciemności! – powiedziałam.

Niecierpliwie machnął ręką.

– Moje królestwo! Mój lud i nasza ogromna moc, która wzmacnia tę górę. Przez wieki waszych śmiertelnych istnień wznosiliśmy jej lśniące ściany i razem wydarliśmy ją ciemności, żeby zamieszkać w niej w wieczystej zimie. Myślisz, że łatwo było tego dokonać, że możesz swobodnie przekroczyć granice mego królestwa i znaleźć drogę do innego? – Potem z głębokim niesmakiem spojrział na komnatę i stertę srebra. – Teraz może żałujesz pospiesznie złożonej obietnicy i zastanawiasz się, dokąd mogłabyś umknąć przed skutkami niedotrzymanego przyrzeczenia. Nie wyobrażaj sobie, że znajdziesz drogę do królestwa karłów ani że pozwoliliby ci się tam przede mną schronić.

Szydził ze mnie, jakbym powinna się wstydzić tego, że chcę przed nim uciec. Cóż, śmiało i bez wahania podjęłabym próbę ucieczki, lecz nadal nie miałam pojęcia, jak znaleźć to królestwo karłów, i byłam pewna, że ma całkowitą rację co do tego, jak przyjmą mnie ci, którzy je zamieszkują. Teraz jednak nie miałam żadnych pytań. Przestały mnie interesować jego zwyczaje i królestwo; opuszczę je w taki czy inny sposób, więc teraz chciałam tylko znów zabrać się do pracy.

– Czy możesz mi jakoś w tym pomóc? – zapytałam.

Niecierpliwie machnął ręką.

– Nie wiem jak, a nawet gdybym wiedział, nie masz już niczego, co mogłabyś mi zaproponować za moją pomoc – rzekł. – Niemądrze obiecałaś zbyt wiele i nie liczę na to, że zdołasz tego dokonać.

Odwrócił się i wyszedł, a ja spojrzałam na te obrzydliwe góry srebra wokół mnie i pomyślałam, że zapewne miał rację.

Rozdział 15

Po odejściu Iriny w chatce było bardzo zimno, a białe drzewa na zewnątrz zdawały się podkradać bliżej okien, jakby chciały wetknąć w nie swe gałęzie. Ramiona nadal miałam opatulone grubym futrem, przyciągnęłam krzesło do pieca i rozdygotana siedziałam na nim, jedząc następną porcję owsianki. Kości bolały mnie tak, że czułam, jak ocierają się o siebie w stawach przy każdym ruchu. Najgorsza jednak była samotność w tej srogiej zimie panującej na zewnątrz. Wetknęłam następny patyk do ognia i poruszałam nim, żeby zapłonął jaśniej, dotrzymując mi towarzystwa i odganiając tę zimną ciemność za oknem, która nie stawała się jaśniejsza. To nie było miejsce dla starej i zmęczonej kobiety.

– Trzymaj się z dala od lasu, bo porwie cię Starzyk i zabierze do swego królestwa – mawiała moja matka, gdy byłam mała.

A teraz kryłam się jak mysz w jego królestwie i co będzie, jeśli ogień zgaśnie i skończy się owsianka? Przynajmniej w skrzyni przy piecu był spory zapas drewna.

Dziwna gospodyni tu mieszkała. Gdy Irina rozmawiała z tą nieznaną żydowską dziewczyną, ja znalazłam truskawki, miód, sól i płatki owsiane, a przy staroświeckim kołowrotku sześć wielkich motków szorstkiej wełny, równie nieudolnie sporządzonej jak ta owsianka. Nitka wzięła mi w palcach, ale sama wełna była dobra; została tylko nieumiejętnie lub niedbale zrobiona przez kogoś, kto za bardzo się spieszył. Moja pani księżna zdzieliłaby mnie trzcinką po palcach, gdyby zobaczyła coś takiego. Oczywiście nie obecna żona księcia: Galina dobrze zarządzała pałacem, ale nie interesowała się przędzą; ani matka Iriny, która przędła, kiedy tylko mogła, a schodząca z jej kołowrotka nitka lśniła jak alabaster, gdy ona spoglądała za okno i cicho podśpiewywała, i nigdy nie sprawdzała pracy innych. Poprzednia księżna, ta przed nimi obiema.

Oczywiście już dawno poszła do klasztoru i słyszałam, że umarła przed dziesięcioma laty, niech Bóg ma ją w opiece. Po raz ostatni widziałam ją tamtego strasznego dnia, gdy ojciec Iriny zdobył mury miasta w bitwie, która uczyniła go

księciem i pomogła osadzić na tronie ojca obecnego cara. Razem obserwowaliśmy z pałacu bitewny dym, wszystkie kobiety z pałacu zbite w gromadę, dopóki nie zaczął zasnuwać miasta. Wtedy odwróciła się plecami do okna i powiedziała: „Chodźcie” do mnie i innych dziewcząt, sześciu z nas niezamężnych, po czym zaprowadziła do lochów, do małej celi na samym ich końcu, z solidnymi drzwiami osadzonymi w kamiennej ścianie. Zamknęła nas tam i wtedy widziałam ją ostatni raz.

Tam było tak zimno i ciemno. Teraz znów czułam się jak w tamtej celi, w tej zimnej i ciemnej chacie, z napierającą na nią zimą. Obejmowałyśmy się, płakałyśmy i drżały. A oni i tak nas tam znaleźli – żołnierze. Znaleźli wszystko, co było w domu – klejnoty, meble, słodką małą złotą harfę, na której grała panienska Ania, zanim zmarła na gorączkę; widziałam ten rozbity instrument leżący w sali. Byli jak mrówki znajdujące każdy pozostawiony okruch.

Lecz zanim nas znaleźli i wyważyli drzwi tej małej celi, była już późna noc, a oni byli zmęczeni i zostało ich tylko kilku; większość zasnęła. Znaleźli nas tylko dlatego, że do tego czasu byłyśmy już tak przestraszone, że zdawało się nam, iż minęło kilka dni, a nie godzin, i jedna z dziewcząt zaczęła się kołysać i mówić, że nikt nas tu nie znajdzie i umrzemy w tym zamknięciu. Zaraziła nas swoim strachem, więc gdy usłyszałyśmy głosy przechodzących korytarzem, zaczęłyśmy krzyczeć, najpierw ona, a potem reszta nas. Tak więc gdy nas uwolnili, z płaczem padłyśmy im w ramiona, a oni byli dla nas mili i dali nam napić się wody, o którą błagałyśmy, a jednym z nich był sierżant, który zaprowadził nas do swego pana i powiedział, że siedziałyśmy zamknięte w lochu.

Erdivilas, wtedy baron Erdivilas, był w gabinecie księcia i już czuł się tam jak u siebie w domu, wszędzie porozkładał swoje papiery, a jego ludzie nieustannie wchodzili i wychodzili. Ja nie widziałam żadnej różnicy. Wcześniej byłam tam zaledwie parę razy. Nie byłam taka ładna, żeby księżę po mnie posyłał, ani tak brzydka, żeby wysyłała mnie tam księżna, kiedy chciała przekazać mu jakąś wiadomość. Nowy księżę miał surowszą twarz niż poprzedni.

– I dobrze – rzekł, przyjrzawszy się nam. – Zaprowadź je do kobiecych kwater i każ ludziom, żeby zostawili je w spokoju; nie zawsze musimy być brutalni. Pomóżcie innym, jak możecie – powiedział do nas.

Staralam się, a jeśli nie mogłam zrobić nic więcej, chodziłam prząść wełnę, która została w pokojach mojej pani, i robiłam wiele motków ładnej nici, gdy w mieście gaszono pożary, tak więc kiedy wszystko trochę się uspokoiło, zatrzymał mnie na służbie, a nie zostawił nikogo, kto nie byłby przydatny.

Byłam mu za to wdzięczna, tak samo jak byłam wdzięczna tym nieprzyjacielskim żołnierzom, którzy wypuścili mnie z lochu. Nie miałam męża,

posagu ani przyjaciół. Moja matka była żoną ubogiego rycerza, który stracił swoje niewielkie włości przez hazard i Żydów. Załatwił jej miejsce u księżnej i pojechał na wyprawę krzyżową, by zginąć, a księżna z grzeczności pozwoliła mi zostać wśród dwórek, gdy moja matka również zmarła – na tę samą gorączkę i tej samej mroźnej zimy. Księżna nadal opłakiwała Anię, a ja byłam od niej tylko kilka lat młodsza. Jednak nie byłam już młoda, gdy miasto zostało zdobyte, a ona udała się do świątobliwych sióstr, zanim wypuszczono mnie z lochu.

Nie miałam już nikogo. Nie było nikogo, od kiedy zmarła moja matka. Zostałam na dworze i przędłam, a lata mijały, więc zaczęły mnie boleć ręce, jeśli przędłam za długo, i nie widziałam już tak dobrze, żeby ładnie szyć. Tak więc gdy Silvija, matka Iriny, zmarła wraz z nienarodzonym chłopcem, nie zostałam z innymi damami, żeby ją opłakiwać. Zakradłam się do pokoju dziecinnego, gdzie spała mała. Nikt nie lubił jej ani jej matki, ponieważ obu nie zależało na tym, żeby je lubiano. Irina zawsze była zbyt cicha, cały czas, i choć nie miała dziwnych oczu matki, nazbyt skłonna do zadumy. Kiedy weszłam, siedziała na łóżeczku, jakby zbudziły ją łkania. Nie płakała. Tylko spojrzała na mnie tymi ciemnymi oczami, aż poczułam się nieswojo, ale usiadłam przy niej i śpiewałam jej, i mówiłam, że wszystko będzie dobrze, tak więc gdy Erdivilas tam przyszedł, zastał mnie już opiekującą się nią i kazał mi robić to nadal. Ucieszyłam się, że znów mam zapewnione miejsce w jego domu, lecz gdy opuścił pokój, Irina wciąż spoglądała na mnie zbyt poważnie, jakby rozumiała, dlaczego przyszedłam się nią zająć. Oczywiście i tak bardzo szybko ją pokochałam. Nie miałam nikogo innego i mimo że nie była moim dzieckiem, traktowałam ją jak córkę. Nigdy jednak nie byłam pewna, co ona do mnie czuje. Inne dzieci obejmowały i całowały swoje piastunki i matki. Ona nigdy. Przez te wszystkie lata mówiłam sobie, że taka po prostu jest, chłodna i cicha jak świeżo spadły śnieg, lecz w głębi serca nie byłam pewna jej uczuć, dopóki car nie wysłał po mnie swoich ludzi, żeby ją zranić, i zobaczyłam, że to by mu się udało. Och, był to dziwny powód do zadowolenia.

Spała na pryczy w chacie, ale tylko trochę, a ja śpiewałam jej, mojej dziewczynce, siedząc przy ogniu, tak jak przez te wszystkie lata, tyle że teraz wiedziałam, że jest moja, a nie tylko pożyczona na krótki czas. Włóczka, którą znalazłam, była na tyle luźna, że z łatwością mogłam ją poszarpać nawet moimi palcami o spuchniętych stawach, i miałam srebrny grzebień oraz szczotkę, które były całym spadkiem pozostawionym Irinie przez matkę. Wyczesalam wełnę, aż stała się miękka, i uprzedłam ją od nowa, zwinęłam w motki, a po każdym zrobionym podkładałam następną kłodę do pieca i tak przędłam, aż Irina się zbudziła.

Teraz jednak wróciła do niego, do tego potwornego stwora czającego się

w pałacu, mrocznego zła udającego piękno. Jeśli ją skrzywdzi, jeśli nie wysłucha... Tylko jaki sens się martwić? Nic nie mogłam zrobić, ja, stara kobieta tak długo niesiona tu i tam przez nurt życia, a teraz wyrzucona na ten obcy brzeg. Kochałam ją i opiekowałam się nią, najlepiej jak umiałam, ale nie mogłam jej obronić przed ludźmi ani bestiami. Znow zaplotłam jej włosy, nałożyłam koronę na głowę i pozwoliłam odejść. A kiedy poszła, robiłam, co mogłam, czyli czekałam i przedłam, aż moje ręce stały się ciężkie; wtedy złożyłam je na podołku i na chwilę zamknęłam oczy.

Ocknęłam się nagle przy trzasku ostatniej kłody. Na zewnątrz słyszałam kroki, a ja byłam przestraszona i zagubiona, usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie jestem i dlaczego jest tak zimno. Kroki zbliżały się, a potem Irina otworzyła drzwi. Przez jeden okropny moment nie poznałam jej – wyglądała tak obco i srebrzyście w drzwiach, z tą wysoką koroną na głowie i napierającą za nią zimą, której wydawała się częścią. Jednak to była jej twarz i trwało to tylko moment. Weszła, zamknęła drzwi, a potem przystanęła i spojrzała na nie.

– Ty to zrobiłaś, Magra? – zapytała mnie.

– Co zrobiłam? – odrzekłam, nie pojmując.

– Drzwi – powiedziała Irina. – Są teraz solidnie przymocowane do ściany.

Nadal nie rozumiałam: a przedtem nie były?

– Ja tylko przedłam – powiedziałam i chciałam pokazać jej wełnę, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie położyłam motki; nie leżały na stole. To jednak nie było ważne. Wstałam, podeszłam do mojej dziewczynki i wzięłam ją za rękę, jej zimne rękę; przyniosła mi koszyk różności. – Nic ci nie jest, duszeńko? Nie zrobił ci krzywdy?

Znow była bezpieczna, jeszcze przez chwilę, a w końcu całe życie składa się tylko z chwil.

Razem z Siergiejem zajrzeliśmy do garnka z owsianką i nic nie powiedzieliśmy. Potem odwróciliśmy się i popatrzyliśmy na izbę. Nagle przypomniałam sobie, że odłożyłam włóczkę na półkę razem z kołowrotkiem i drutami, a teraz wszystko to leżało na stole. A raczej sądziłam, że to moja włóczka, ale myliłam się. Była pozwijana w motki, a gdy podniosłam jeden z nich, okazała się inna, gładka, miękka i o wiele cieńsza. Obok leżał srebrny grzebień, tak piękny, że mógłby należeć do carycy, ozdobiony wzorem dwóch wielkorogich jeleni ciągnących sanie przez ośnieżony las.

Spojrzałam na półkę, szukając mojej włóczki, ale znikła. Ta gładsza miała ten sam kolor. Gdy dokładnie ją obejrzałam, odkryłam, że to ta sama wełna. Tylko inaczej ją zrobiono, jakby pokazując mi, jaka ma być.

Siergiej zajrzał do skrzyni na drewno. Była w połowie pusta. Popatrzyliśmy na siebie. W nocy robiło się bardzo zimno, więc jedno z nas mogło zejść z pieca i dołożyć do ognia. Wiedziałam jednak, że ja tego nie robiłam, a widząc minę Siergieja, zrozumiałam, że on też nie.

– Pójdę i zobaczę, czy uda mi się upolować jakąś wiewiórkę lub królika – powiedział. – A przy okazji przyniosę więcej drewna.

Wciąż miałam mnóstwo wełny, którą umył dla mnie Siergiej. Jeszcze nigdy nie udało mi się uprząść tak cienkiej włóczki jak ta, ale teraz starałam się robić to lepiej niż zwykle. Długo cesałam wełnę srebrnym grzebieniem, uważając, żeby nie złamać jego zębów, a kiedy w końcu zaczęłam prząść, nagle przypomniałam sobie, jakich rad udzielała mi matka. „Spróbuj robić to szybciej, Wando”. Zapomniałam. Kiedy umarła, przestałam zważać, jak przędę. Ale nawet w domu księcia nikt nie wiedziałby lepiej ode mnie, jaka ma być włóczka. Spojrzałam na moją wełnianą spódnice, którą zrobiłam na drutach. Zanim umarła, matka robiła wielkie kłębki wełny z naszych kóz, zanosila do mieszkającej trzy domy dalej sąsiadki mającej krosna i wracała z materiałem. Jednak ta tkaczka nigdy nie brała mojej wełny, więc zawsze musiałam robić nasze ubrania na drutach.

Zrobienie jednego kłębka dobrej włóczki zajęło mi sporo czasu – kilka godzin. Siergiej wrócił, gdy kończyłam. Złapał królika, brązowo-szarego. Kiedy go oprawiał, ugotowałam drugą porcję owsianki. Włożyłam do garnka mięso i kości oraz kilka marchewek, żeby zrobić gulasz. Ugotowałam go pełny garnek, więcej, niż zdołalibyśmy zjeść we dwoje. Siergiej zauważył to i nic nie powiedział, ja też nie, ale oboje myśleliśmy to samo: nie chcemy, by ta osoba, która wyjadała nam owsiankę i przędła, była głodna. Gdyby nie jadła owsianki, to kto wie, co mogłaby zjeść zamiast niej.

Kiedy gulasz się gotował, pomyślałam, że zacznę robić na drutach. Chciałam sprawdzić, ile łóżka zakryje ta kapa, którą dotychczas zrobiłam, żeby nie uprząść więcej włóczki, niż potrzebowaliśmy. Zrobiłam pas dwukrotnie większy od szerokości łóżka, mierząc go raz po raz, dopóki nie był dostatecznie długi, a potem zaczęłam go poszerzać. Ta praca nie szła szybko. Starałam się, żeby nakrycie było równe i gładkie. Jednak tak starannie robić na drutach też nie byłam przyzwyczajona. Trudno było pamiętać, że nakrycie nie powinno być zbyt luźne. W jednym miejscu zacisnęłam splot zbyt mocno, ale zauważyłam to dopiero wtedy, kiedy robiłam trzy następne rzędkie i zaczęłam mieć kłopoty z przepchnięciem drutów. Potem starałam się uważać, ale i tak ostatni rząddek był tak ciasny, że praca szła mi bardzo wolno, jakbym brodziła w gęstym błocie, aż w końcu poddałam się, sprułam trzy rzędy i zrobiłam tę nieudaną część od nowa.

Kiedy zużyłam pierwszy kłębek wełny, przerwałam pracę i sprawdziłam, ile

zrobiłam. Pas miał szerokość mojej dłoni. Włóczka była tak dobrze zrobiona i zwinięta, że było jej więcej, niż sądziłam. Zmierzyłam długość łożka dłońmi i naliczyłam ich dziesięć. Zostało mi pięć kłębków oraz ten, który dziś zrobiłam. Tak więc jeśli zrobię jeszcze trzy, to powinno wystarczyć. Starannie złożyłam robótkę, położyłam na półce i znów zaczęłam prząść.

Przędłam całe popołudnie. Robiło się coraz zimniej. Wokół drzwi i okien unosiły się obłoczki pary w miejscach, gdzie przez szpary wdzierało się powietrze z zewnątrz, i do izby zaczynał wkradać się mróz. Siergiej nie mógł mi pomóc, więc zamiast tego zrobił drewniane zawiasy do drzwi. W kącie szopy znalazł kilka starych gwoździ i lekko zardzewiałą piłę, za której pomocą je zrobił. Przybił kilka gałęzi wokół otworu drzwiowego po jego wewnętrznej stronie, zmniejszając go, żeby zatrzymać wiatr. To samo zrobił z każdym oknem. Potem zalepił szpary trawą i gliną. Zimne powietrze już nie mogło się wedrzeć do chaty, a nam było w niej ciepło i wygodnie. Wypełniał ją miły zapach owsianki i palącego się drewna. Dziwnie było siedzieć w tym ciepłym, spokojnym miejscu i mieć co jeść. Dziwnie, ponieważ już się do tego przyzwyczaiałam. Tak łatwo można było do tego przywyknąć.

Kiedy skończyłam prząść, przerwaliśmy pracę, żeby zjeść.

– Myślę, że skończę nakrycie za trzy dni – powiedziałam Siergiejowi, gdy jedliśmy smaczny gulasz. W garnku zostawiliśmy go jeszcze dużo.

– Jak długo tu jesteśmy? – spytał mnie Siergiej.

Musiałam przerwać i policzyć w myślach. Zaczęłam od dnia targowego. Sprzedałam fartuszki na targu. Zrobiłam to rano, a potem wróciłam do domu, a tam czekał Kajus. Nawet w myślach pospiesznie przebiegłam resztę wydarzeń, ale i tak był to jeden dzień. Potem uciekliśmy do lasu i szliśmy do późnej nocy. Aż znaleźliśmy ten domek. Znaleźliśmy go tego samego dnia. Wydawało się, że to wszystko nie mogło się wydarzyć jednego dnia, ale tak było.

– Poniedziałek – rzekłam w końcu. – Dziś jest poniedziałek. Jesteśmy tu pięć dni.

Po tym jak to powiedziałam, oboje zamilkliśmy nad naszymi miskami. Nie czuliśmy, że jesteśmy w tym domu od pięciu dni. Jednak wcale nie dlatego, że wydawało nam się, że dopiero co tu przyszliśmy. Wydawało nam się, że jesteśmy tu od zawsze.

– Może wysłali wiadomość o nas do Wyżni – powiedział potem Siergiej.

Przestałam jeść i popatrzyłam na niego. Chciał powiedzieć, że może w ogóle nie powinniśmy stąd odchodzić. Chciał rzec, że powinniśmy tu zostać.

– Trudno byłoby im ją wysłać przy takim śniegu – powiedziałam powoli.

Ja też nie chciałam stąd odchodzić, ale także wciąż bałam się tego domu,

w którym rzeczy pojawiały się znikąd, ktoś za mnie prządl, jadł naszą owsiankę i palił naszym drewnem. I nie wiedziałam, czy mamy prawo tu zostać. Mieliśmy prawo zostać, kiedy groziło nam zamrożenie na śmierć. Musieliśmy się tu zatrzymać. I odpracować zjedzoną żywność. Naprawiliśmy krzesło i naprawimy łóżko. Uszczelniliśmy okna i drzwi. To jednak nie czyniło tego domu naszym i nie moglibyśmy zostać tutaj na zawsze. Ktoś go zbudował, i to nie my. Nie wiedzieliśmy kto. Nie mogliśmy go zapytać, czy możemy tu zostać, nawet gdyby mógł nam pozwolić.

– I tak nie możemy odejść wcześniej jak za trzy dni – przypomniał Siergiej. – Może do tej pory śnieg się stopi.

– Zobaczymy – powiedziałam po chwili. – Może zrobię nakrycie wcześniej.

Jednak kiedy sprzątnęliśmy ze stołu, wróciłam do półki, na której zostawiłam moją robótkę, i nie znalazłam jej tam. Zamiast niej na półce było pół bochenka jeszcze ciepłego chleba oraz nakryta ładną serwetką mała szynka, krążek sera i mała osełka masła – wszystko to ledwie napoczęte. Było też duże pudełko z herbatą, a nawet słóiczek z wiśniami w syropie, takimi, jakie Mirjem kupiła kiedyś na targu. Był nawet koszyk na tyle duży, żeby to wszystko pomieścić.

Stałam i patrzyłam na te rzeczy tak długo, że Siergiej zaniepokoił się i też przyszedł je zobaczyć. Nie wiedzieliśmy, co robić. To nie było coś, co moglibyśmy uznać za nierzeczywiste. Nie mogliśmy udawać, że po prostu nie widzimy tych wszystkich produktów. Ani udawać, że ktoś wszedł do domu, zostawił je i znów wyszedł. Przecież nie spaliśmy.

Oczywiście chcieliśmy zjeść trochę tych pyszności. Moje usta pamiętały smak tych wisienek, gęstego syropu, słodkiego jak zapach lata. Jednak baliśmy się spróbować, jeszcze bardziej niż przedtem płatków i miodu. To jedzenie absolutnie nie pasowało do tej chaty. A my dopiero co jedliśmy, więc nawet nie byliśmy naprawdę głodni.

– Powinniśmy zostawić to na później – orzekłam po chwili. – Teraz nie musimy tego jeść.

Siergiej skinął głową. Potem wziął siekiere.

– Pójdę narąbać trochę polan – powiedział i wyszedł na podwórze, chociaż było ciemno.

Potrzebowaliśmy więcej drewna. Przez cały dzień nie podkładaliśmy do ognia, ale skrzynia była prawie pusta.

Znalazłam moją robótkę leżącą na pryczy. Wydawała się jakaś inna, a kiedy ją rozwinęłam, zobaczyłam, że ma taką samą wielkość, ale została zrobiona od nowa. Teraz była ozdobiona pięknym wzorem kwitnącej winorośli, który mogłam wyczuć palcami. Nigdy nie widziałam czegoś takiego, chyba że wystawione na sprzedaż na

targu, a i te nie tak ładne.

Sprułam kawałek, próbując odkryć, jak go zrobiono, ale każdy rząddek był inny, a oczka tak bardzo różniły się jeden od drugiego, że nie mogłam tego zapamiętać. Potem pomyślałam, że to oczywiście magia. Wyjęłam z paleniska kijek z jednym zwęglonym końcem i użyłam magii, której nauczyła mnie Mirjem. Zaczęłam od początku pnącza w pierwszym rządku i policzyłam, ile jest w nim oczek, po czym zapisałam tę liczbę i jeśli były to zwykłe oczka, stawiałam znak nad nią, a jeśli odwrócone, to poniżej niej. Musiałam także zaznaczać oczka lewe i prawe. Musiałam kreślić małe cyfry, jakbym zapisywała je w książce Mirjem. Zapisałam dwadzieścia różnych ściegów, zanim znów natrafiłam na pierwszy.

Wtedy jednak miałam cały wzór na podłodze, zapisany liczbami. Wyglądał inaczej. Nie mogłam uwierzyć, że może to być ten sam obraz. Pamiętałam jednak, że te małe liczby w książce Mirjem zmieniały się w srebro i złoto, więc wzięłam druty i zaczęłam dodawać następny rząddek. Podczas pracy nie patrzyłam na wzór. Pomyślałam, że mogę zaufać liczbom. Tak więc kierowałam się nimi, robiąc trzydzieści rzędków, a potem przerwałam pracę i popatrzyłam na robótkę, a tam były pędy i liście, równie piękne, i to wszystko moje dzieło. Ten czar zadziałał i dla mnie.

Siergiej wrócił, przytupując. Ramiona miał przyprószone śniegiem. Włożył duże naręczce drewna do skrzyni, ale napełniła się tylko do połowy.

– Muszę pójść po więcej – rzekł. – Znów pada śnieg.

– Ciepło ci, Stepon? – zapytał mnie pan Mandelsztam.

Powiedziałem, że tak, ponieważ musiała mi wystarczyć ta ilość ciepła, którą miałem, i nic nie można by z tym zrobić. Siedziałem na najlepszym miejscu, wtulony między pana i panią Mandelsztam pod kocami i futrami, ale było mi coraz zimniej. Z początku myślałem, że jest mi tak zimno, ponieważ Algis nas szpieguje, ale powód był inny. Po południu zaczęło się robić coraz zimniej, a nad naszymi głowami wisały ciemnoszare chmury, które wciąż gęstniały. Jeszcze nie byliśmy w połowie drogi do Wyżni, gdy w końcu zaczął padać śnieg. Z początku tylko prószył, lecz potem zaczął sypać coraz mocniej, aż nie widzieliśmy niczego przed końskimi łbami. Po pewnym czasie pani Mandelsztam powiedziała:

– Może powinniśmy się zatrzymać na noc w następnej wiosce. Chyba nie jest daleko.

Jednak nie napotkaliśmy żadnych domów, chociaż sanie jechały długi czas.

– Algis – w końcu spytał woźnicę pan Mandelsztam – jesteś pewny, że wciąż jedziemy drogą?

Algis skulił się w swoich płaszczach i zerknął na nas przez ramię. Nic nie

powiedział, ale miał wystraszoną minę. Wtedy zrozumiałem, że zgubił drogę. Zapewne w którejś chwili, na zakręcie, konie wjechały między dwa drzewa, które nie rosły po obu stronach drogi, tylko obok siebie. Śnieg przysypał drogę i krzaki, więc Algis się nie zorientował. Pojechał dalej. Teraz zabłądziliśmy w lesie. A ten las był bardzo duży i nie było w nim żadnych domów poza tymi przy drodze i nad rzeką. Starzykowie zabijali każdego, kto budował dom z dala od rzeki.

Konie już nie gnały tak szybko. Były zmęczone i brnęły w śniegu. Ich wielkie kopyta zapadały się w nim i musiały je wyciągać przy każdym kroku. Wkrótce zupełnie staną.

– Co robimy? – zapytałem.

Algis znów się odwrócił plecami do nas i siedział skulony, trzymając lejce. Pan Mandelsztam spojrzał na niego, a potem powiedział:

– W porządku, Steponie. Zatrzymamy się gdzieś, gdzie nie będziemy osłonięci przed wiatrem, okryjemy konie kocami i damy im obrok oraz tyle trawy, ile zdołamy znaleźć. Schowamy się między nimi pod kocami i będzie nam ciepło do rana. Gdy wzejdzie słońce, zobaczymy, gdzie jesteśmy. Jestem pewny, że znajdziesz zaraz jakieś dobre miejsce, Algis.

Algis nic nie powiedział, ale za chwilę skręcił i zatrzymał sanie pod bardzo dużym drzewem. Gdybyśmy wcześniej nie wiedzieli, że jesteśmy w lesie, to odkrylibyśmy to teraz, ponieważ nigdzie przy drodze nie było takich dużych drzew. Ktoś dawno by je zrąbał i zabrał, gdyby rosło dostatecznie blisko niej, żeby je wywieźć z lasu. W pniu o szerokości końskiego grzbietu był płytki wypróchniały otwór, który dawał osłonę przed wiatrem.

Pani Mandelsztam i ja trzymaliśmy lejce, gdy pan Mandelsztam z Algisem udeptywali śnieg i usypywali wał wokół pnia. Konie są o wiele większe od kóz. Trochę się ich bałem, ale musiałem pomóc je trzymać, a one tylko stały nieruchomo i nie skakały tak jak kozy, więc wiedziałem, że są bardzo zmęczone. W końcu wprowadziliśmy je do tej prowizorycznej zagrody, a potem zdjęliśmy z sań wszystkie koce i okryliśmy je nimi. Pan Mandelsztam wziął z sań torby i umieścił w dziupli drzewa, a potem pomógł pani Mandelsztam zejść, przejść po śniegu i usiąść na nich.

Potem odwrócił się i spojrzał na Algisa. Ten stał z tyłu sań. Miał zwieszoną głowę.

– Nie napełniłem wiadra – rzekł cicho.

Mówił o wiadrze z obrokiem. Tak więc nie było czym nakarmić koni.

Pan Mandelsztam przez chwilę nic nie mówił. Cisza wydawała się bardzo długa.

– Na szczęście to późny śnieg – powiedział w końcu. – Pod nim musi być jeszcze trochę świeżej trawy. Musimy wykopać ją spod śniegu i zebrać to, co pod

nim znajdziemy i co mogłyby zjeść.

Nadal był miły, ale myślałem, że wcale nie ma ochoty być miły i dlatego mówi tak cicho. Pomyślałem, że to oznacza, że bardzo się niepokoi. Tak więc ja też się zaniepokoiłem. Staralem się pomóc im kopać. Ponieważ pani Mandelsztam dała mi buty, mogłem odgarniać nogami śnieg i odsłaniać ziemię. Jednak pod tym wielkim drzewem były niemal tylko suche igły.

Rozeszliśmy się w różne strony.

– Nie odchodź tak daleko, żebyś nie widział tego drzewa – powiedział mi pan Mandelsztam. – Śnieg zasypie twoje ślady i nie znajdziesz powrotnej drogi. Co dziesięć kroków odwracaj się i patrz.

To drzewo było tak duże, że widziałem je z daleka. Liczyłem kroki i co dziesięć oglądałem się za siebie, aż dotarłem do miejsca, z którego widać było niebo. Pod śniegiem leżało duże uschnięte drzewo, tworzące pagórek. Stało tu, a potem upadło. Powstała mała polanka. Odgarnąłem śnieg butami oraz złamaną gałęzią i znalazłem trochę trawy. Była zmarznięta, ale jeszcze nie całkiem zeschnęła, a pod nią było jeszcze trochę starej, suchej. Staralem się narwać jej jak najwięcej. Nie było tego dużo, ale nawet odrobina jedzenia jest dobra, kiedy jesteś bardzo głodny. Pomyślałem, że może z końmi jest tak samo jak z ludźmi. Kiedy miałem już całe narzędzie, wróciłem z trawą do drzewa. Pani Mandelsztam została z końmi. Klepała je po szyjach i nuciła im coś. Miały zwieszane łby. Dała im pić. Nie wiedziałem, skąd wzięła wodę, ale potem zobaczyłem, że drży, i domyśliłem się. Nałożyła śniegu do wiadra i ogrzała je własnym ciałem, żeby go stopić.

Dałem obu koniom po połowie tej trawy, którą znalazłem. Z początku nie chciały jeść, ale pani Mandelsztam wzięła ją i zaczęła je karmić z ręki. Wtedy zjadły, i to bardzo szybko. Pan Mandelsztam i Algis też wrócili. Nie znaleźli trawy, lecz Algis przyniósł trochę drewna, żeby spróbować rozpalić ognisko. Było jednak wilgotne i nie sądziłem, żeby to się udało.

– Tam gdzie znalazłem trawę, było jej więcej – powiedziałem.

– Pójdę z nim – rzekł Algis do pana Mandelsztama.

Nadal nie podnosił głowy. Sądzę, że wstydził się, że zgubił drogę i nie napełnił wiadra obrokiem, a teraz próbował powiedzieć, że jest mu przykro. Tak naprawdę nie chciałem jego przeprosin, ale nie mogłem powiedzieć, że nie chcę, by ze mną szedł, więc wróciłem z nim na polankę. Algis rozłożył na śniegu swój największy płaszcz i narzucaliśmy na niego trawę, aż zrobiła się jej duża sterta, wtedy Algis zaniósł ją do drzewa, a ja nadal ją rwałem, dopóki nie wrócił, żeby znów mi pomóc.

Z Algisem było mi łatwiej to robić niż samemu, ponieważ był wyższy i silniejszy ode mnie. Wolałbym jednak, żeby byli z nami Siergiej i Wanda. Oboje

byli wyżsi i silniejsi od Algisa, więc nazrywaliby więcej trawy, a przede wszystkim nie zapomnieliby napełnić wiadra obrokiem. Może nie napełniliby go, ale tylko gdyby nie było obroku, a nie przez niedopatrzenie. No i nie szpiegowaliby nas.

Nie było mi miło. Myślałem, że wszyscy możemy tu umrzeć z zimna. Myślałem, że jeśli nie umrzemy z zimna, ale konie padną ze zmęczenia oraz braku paszy i zostaniemy w lesie bez zaprzęgu, nie mogąc dalej jechać, to tak, jakbyśmy zbudowali tu dom. A wtedy mogą na nas napaść Starzykowie. Nie chciałem myśleć o tym, co Starzyk zrobił Siergiejowi, ale mimo woli myślałem o tym czasem w nocy. I myślałem o tym teraz.

W końcu zerwaliśmy z Algisem całą trawę, jaką zdołaliśmy znaleźć. Teraz odgarniając śnieg, natrafialiśmy tylko na miejsca, w których już ją zerwaliśmy. Wróciliśmy do drzewa. Konie zjadły całą trawę, ale potem nadal miały zwieszony łby i wciąż były głodne. A także zziębnięte, ponieważ nie rozpaliliśmy ogniska. Pan Mandelsztam próbował to zrobić, ale drewno i chrust były zbyt mokre, żeby się zająć. Mieliśmy trochę jedzenia, ponieważ pani Mandelsztam zapakowała je do koszyka na drogę. Ona też nie zapomniaby napełnić wiadra obrokiem. Pomimo to podzieliła się jedzeniem z Algisem, a nawet dała mu równie dużą porcję jak panu Mandelsztamowi.

Kiedy skończyliśmy jeść, jeden z koni przeciągle westchnął i powoli położył się na ziemi. Na ziemi było bardzo zimno, ale koń był zbyt zmęczony, żeby znów wstać, chociaż pan Mandelsztam i Algis próbowali go podnieść. Pani Mandelsztam trzymała drugiego i usiłowała namówić, go żeby stał, ale po chwili on też się położył. Oba jeszcze niżej spuściły łby. Pomyślałem, że pewnie umrą. A wtedy, nawet jeśli nie umrzemy w nocy, to rano będziemy sami w środku lasu. Tak jak Siergiej i Wanda, ale nie byliśmy tak silni jak oni. Siergiej i Wanda zostawili mnie, ponieważ oni mogli długo wędrować przez las, a ja nie. Chociaż może nie zaszli daleko. Może zatrzymali się w lesie i umarli w śniegu, tak jak my umrzemy.

Nic nie mogłem zrobić. Nie byłem nawet na tyle duży, żeby przytrzymać konie. Gdy pan Mandelsztam i Algis zrezygnowali z prób podniesienia koni, pani Mandelsztam kazała mi usiąść obok niej i przytulić się do końskiego boku. Okryliśmy się kocem i futrzanym płaszczem. Ciało konia osłaniało nas od wiatru i drzewo też. Nadal było nam zimno, ale tylko tyle mogliśmy zrobić. Pan Mandelsztam i Algis tak samo przytulili się do drugiego konia. Włożyłem ręce do kieszeni i skuliłem się przy pani Mandelsztam. Orzech wciąż był w mojej kieszeni, więc złapałem go w palce i mocno ścisnąłem.

Kiedy Starzykowi król zostawił mnie w skarbcu, wstałam i wróciłam do największej komnaty, żeby zobaczyć postępy pracy. Nie miałam wygórowanych

nadziei – srebra było zbyt dużo. Lepsza jednak słaba nadzieja niż żadna, a dodatkową korzyścią będzie zirytowanie męża, nawet jeśli miałby się mnie pozbyć, tak jak ja tego srebra.

Jednak Treska, Plamka i Furarz zrobili więcej, niż się spodziewałam. Z pewnością łatwiej jest wyrzucać pieniądze niż je gromadzić, a Starzykowa siłą ułatwiała im zadanie: już oczyścili duży krąg na środku pomieszczenia i sanie znów były w połowie pełne. Wywieźli niemal wszystkie worki i zostawili tylko leżące luzem monety. Jednakże tych leżących luzem monet było bardzo dużo. Wszyscy troje wyprostowali się, gdy weszłam; pomimo magicznej siły oni też wyglądali na zmęczonych. Nie martwiło mnie wyrzucanie srebra mojego małżonka, ale zmuszałam ich do niewolniczej pracy, a żeby mieć jakąś szansę ucieczki, będę musiała wykorzystywać ich do samego końca. Przez całą tę noc i jutrzejszy dzień, a potem kolejną noc i następny dzień, przez każdą godzinę, dopóki nie skończą się tańce. Na szczęście wesele Basi zacznie się późno, ponieważ jest miastową dziewczyną. Ani oni, ani ja nie zaznamy snu i odpoczynku, tyle że ja sama się w to wpakowałam, więc czemu mieliby się tym przejmować?

– Muszę coś zjeść i wypić – powiedziałam. – Przynieście też dla siebie. A jeśli po tym wszystkim będę żywa – dodałam – przyniesiecie mi całe srebro, jakie macie lub możecie pożyczyć, a ja zamienię je w złoto jako podziękowanie za pracę, którą dla mnie wykonujecie.

Wszyscy troje zamilkli i znieruchomieli. Po chwili popatrzyli po sobie – upewniając się, czy naprawdę to powiedziałam – a potem Treska wypaliła:

– Jesteśmy sługami.

– Musicie mieć lepszy od tego powód, aby mi pomóc – odrzekłam ostrożnie.

Nic to nie dało. Wciąż mieli zaniepokojone miny, jakbym zaprosiła ich do przechadzki po pokoju pełnym węży. Plamka zaciskała dłonie, wpatrując się w nie.

– Hojna – nagle powiedział do mnie Furarz, wypowiadając to jak moje imię – chociaż nie wiesz, co czynisz, przyjmuję twoją propozycję i zrewanżuję się za nią jak należy, jeśli się na to zgadzasz. – Przycisnął pięść do obojczyka i skłonił mi się.

Treska przełknęła ślinę.

– I ja też – rzekła i także się ukłoniła.

Spojrzałam na Plamkę, wyraźnie wstrząśniętą i nieszczęśliwą.

– Ja również – wyszeptała niemal bezgłośnie i przyciskając dłonie do piersi, też się skłoniła.

Cóż, Furarz się nie mylił. Naprawdę nie wiedziałam, co czynię, ale niewątpliwie coś już zrobiłam i warto było.

– Tak – natychmiast powiedziałam.

Plamka wybiegła z komnaty, żeby przynieść nam coś do zjedzenia, a Treska

i Furarz zaczęli wrzucać na sanie ostatnie worki z takim zapalem, jakby teraz zależało od tego i ich życie, nie tylko moje. Równie dobrze mogło tak być. Złoto nie wydawało mi się za to należyta rekompensatą, ale jeśli oni uważali inaczej, to nie zamierzałam protestować.

– Muszę zmienić zaprzęg – powiedział mi Furarz, gdy Plamka wróciła i dołączyłam do nich w największej komnacie, żeby zjeść.

Skinęłam głową. Wszyscy pochłonęliśmy kilka kęsów, po czym popiłam je zimną wodą i wróciłam do pracy w drugim skarbcu.

Chyba przysypiałam kilka razy w ciągu tej nocy, ale nie na długo; drzemałam na siedząco i budziłam się po krótkiej chwili, słysząc stukot kopyt w sąsiedniej komnacie, gdy wywozili następny ładunek srebra, żeby wrzucić je do tunelu. Oczy piekły mnie ze zmęczenia, plecy i ramiona bolały, gdy przesuwiałam dłonią po leżących na obrusie monetach i wysypywałam następne.

Godziny płynęły zbyt wolno, a zarazem za szybko. Chciałam tylko, żeby ta udręka już się skończyła, lecz kiedy w lusterku pojawiła się pomarańczowa smuga zachodu, serce zaczęło mi bić mocniej. Już opanowałam sztukę jednoczesnego zamieniania dwóch warstw i byłam w połowie pierwszego regału. Jednak zostały jeszcze trzy inne; musiałabym pracować tak szybko do samego końca, żeby się z nimi uporać. Nie mogłam robić przerw na posiłki: Treska przyniosła mi talerz z czymś do zjedzenia i szklankę wody, ale ręce tak mi się trzęsły, że woda o mało się nie wylała. Nie czując smaku, zjadłam wszystko, co przyniosła, i wróciłam do tej niekończącej się, męczącej, strasznej pracy.

Mój małżonek pojawił się, gdy tylko w moim lusterku zgasło słońce. Przysiadłam na piętach i otarłam ręką czoło. Nie byłam spocona, ale miałam wrażenie, że powinnam być. Z chłodnym niezadowoleniem rozejrzał się po komnacie, sprawdzając, ile mi jeszcze zostało. Do tego czasu prawie skończyłam czwarty regał, ale miałam już tylko noc i dzień, a on sądził, że pozostał mi jeszcze ten monstrualnie wielki trzeci skarbiec.

– Co u was oznacza podarowanie czegoś komuś? – spytałam.

Bardzo chciałam wiedzieć, co właściwie zrobiłam, zawierając umowę z moją służbą.

Zmarszczył brwi.

– Podarowanie? Oddanie czegoś za darmo?

W jego ustach zabrzmiało to jak morderstwo.

Nie wiedziałam, jak opisać to, co zrobiłam.

– Coś przekazane w podziękowaniu za to, czego w innym wypadku można by zażądać.

Nie zmienił pogardliwej miny.

– Tylko ktoś bezwartościowy mógłby sobie wyobrazić coś takiego. Nic nie ma za darmo.

Wolałam mu nie przypominać, że sam z przyjemnością kazał mi zamieniać swoje srebro na złoto zupełnie za darmo, dopóki go nie przycisnęłam.

– Dałeś mi różne rzeczy za darmo – powiedziałam.

Szeroko otworzył te swoje srebrzyste oczy.

– Dałem ci to, czego masz prawo się ode mnie domagać, nic więcej – pospiesznie powiedział, jakby myślał, że się obrazę, po czym dodał: – Już jesteś moją żoną; nie możesz przypuszczać, że zamierzam cię uczynić moją lenniczką.

Zatem za dar, za który nie można zapłacić, należało odwzajemnić się... czym?

– A kim jest lenniczka?

Zamilkłam, ponownie zaskoczony moją porażającą ignorancją w tak oczywistych sprawach.

– Osobą, której los jest związany z inną – powiedział bardzo wolno, jakby mówił do dziecka.

– To dla mnie niewystarczające wyjaśnienie – rzekłam szorstko.

Niecierpliwie uniósł brwi.

– Osobą, której los jest związany z inną! Gdy pozycja pana rośnie, jego lenników także; jeśli traci znaczenie, oni również; kiedy pan okrywa się hańbą, oni też i tak jak on muszą ją zmyć swoją krwią.

Spoglądałam na niego zaniepokojona. Nie sądziłam, że Plamka, Treska i Furarz ryzykują życie, i chociaż podejrzewałam, że niepowodzenie oznaczałoby moją śmierć, nie wiedzieć czemu jeszcze gorzej było słyszeć te słowa padające z jego ust. Hańbę można było tylko zmyć krwią, niczym poplamioną odzież wymagającą zafarbowania na nowo.

– To brzmi strasznie – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło, próbując wyciągnąć z niego coś więcej; może źle go zrozumiałam. – Nie wyobrażam sobie, dlaczego ktoś miałby się zgodzić na taką zależność.

Założył ręce na piersi.

– Jeśli zawodzi cię wyobraźnia, to nie oznacza, że nie zdołałem odpowiedzieć na twoje pytanie.

Zacisnęłam wargi, ale sama się o to prosiłam. Następne pytanie sformułowałam ostrożniej.

– No dobrze. Jakie zatem są te istotne powody, dla których ktoś miałby zaakceptować lub odrzucić taką okazję?

– Aby zająć wyższą pozycję społeczną, oczywiście – odparł bez namysłu. – Lennik zawsze stoi w hierarchii co najmniej o jeden stopień niżej od swego pana. Jego dzieci dziedziczą zarówno zależność, jak pozycję, lecz wnuki tylko pozycję

i mają prawo decydować, czy chcą być lennikami pana swego dziadka. A co do tego, kto mógłby odmówić: ci, którzy mają już wysoką pozycję lub podejrzewają, że ewentualny pan się stoczy, gdyż tylko głupiec wiązałby z takim swój los. – Z wyraźnym zadowoleniem przedstawiał mi swój punkt widzenia w tej kwestii, ale nagle przerwał. – Dlaczego tak cię interesują lennicy? – zapytał podejrzliwie.

– Czy to ja mam odpowiadać na twoje pytania? – spytałam najśłodszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć, z rozmysłem formułując to jako pytanie.

Otworzył usta, a potem znów je zamknął i spojrzał na mnie z irytacją, zanim wyszedł bez słowa: przecież nie mógł mi odpowiedzieć na czwarte pytanie.

Po jego wyjściu siedziałam tam sama i milcząca, zamiast wrócić do pracy. Nie wiedziałam, do czego nakłoniłam Furarza, Treskę i Plamkę, a teraz, gdy się dowiedziałam, usiłowałam sobie wmówić, że i tak bym to zrobiła. W końcu ja tylko im to zaproponowałam, a oni przyjęli propozycję, lepiej ode mnie wiedząc, co ryzykują.

Mimowolnie jednak myślałam o tych koncentrycznych kręgach na ślubie i służących w szarych strojach, w milczeniu i z pochylonymi głowami stojących w najdalszych z nich. Obiecałam im nie tylko bogactwo. Nagle otworzyłam przed nimi drogę wyjścia z tego zewnętrznego kręgu wprost od najwyższych, niczym wróżka trzymająca w jednej ręce zatruty owoc, a w drugiej spełnienie marzeń. Kto nie skorzystałby z takiej okazji, nawet jeśli ryzykowałby życie? Potem zimny dreszcz przebiegł mi po plecach: Plamka niemal ją odrzuciła. Furarz i Treska bali się, ale postanowili to zrobić; ona naprawdę się wahała.

Nie chciałam wiedzieć dlaczego. Nie chciałam o tym myśleć. Usiłowałam się usprawiedliwić tym, że nie mogę jej o to zapytać, ale ręce mi się trzęsły i nie chciały przestać, kiedy wyciągnęłam je nad srebrnymi monetami. W końcu wstałam i otworzyłam drzwi do sąsiedniej komnaty, w której Furarz, Treska i Plamka najszybciej jak mogli ładowali srebro na sanie, choć zmęczenie stąpiło wyraziste rysy ich twarzy, a niebieskie jak lód oczy zasnuwała mgiełka, jak para oddechu na szybie. Opróżnili prawie pół skarbca. To oznaczało, że wciąż miałam szansę, którą uzyskałam dzięki ich sile i odwadze. Przystanęli, żeby na mnie spojrzeć. Nie chciałam tego mówić. Nie chciałam się przejmować.

– Jeśli macie dzieci – powiedziałam ze ściśniętym gardłem – powiedzcie mi ile.

Treska i Furarz milczeli, ale spoglądali na Plamkę. Ona nie patrzyła mi w oczy.

– Mam córkę, tylko jedną – szepnęła cichutko, a potem odwróciła się i znów zaczęła ładować, a monety spadały z szufli na podłogę, dźwięcząc jak straszliwy srebrny grad.

Rozdział 16

Nie chciałem się budzić, ale zdawało mi się, że słyszę mamę wołającą mnie głosem jak bicie dzwonu, więc otworzyłem oczy. Śnieg leżał na grzbietach koni i w fałdach futrzanego płaszcza, którym okryła nas pani Mandelsztam. Wszyscy pozostali też zasnęli. Pomyślałem, że może powinienem ich zbudzić, ale wciąż padał śnieg i było bardzo zimno, więc pomyślałem, że i tak pewnie nie dożyjemy do rana. Wydało mi się, że nie warto ich budzić tylko po to, żeby się bali. Ja też się bałem, ale potem usłyszałem jakiś dźwięk. To ten odgłos mnie zbudził. Dochodził z niewielkiej odległości.

Po chwili wyśliznąłem się spod futrzanego płaszcza. Było bardzo zimno i zaraz zacząłem się trząść, ale poszedłem w tym kierunku, z którego dobiegał ten dźwięk, i niebawem rozpoznałem uderzenia siekiery, a wtedy przystanąłem. Ktoś rąbał drewno i nie miałem pojęcia, kto mógłby rąbać drewno w lesie w środku nocy i w padającym śniegu, ponieważ to było bardzo dziwne. Jeśli jednak rąbał drewno siekierą, to zapewne potrzebował go na opał, a jeśli miał ogień i pozwoliłby nam przy nim usiąść, to nie umarlibyśmy.

Tak więc poszedłem dalej. Dźwięczne uderzenia rozbrzmiewały coraz głośniej, aż ujrzałem mężczyznę rąbiącego drewno i w pierwszej chwili pomyślałem, że to Siergiej, lecz zaraz oczywiście zrozumiałem, że to nie on, tylko ktoś podobny do niego. Potem powiedziałem „Siergiej?”, a on się odwrócił i to naprawdę był Siergiej, a ja podbiegłem do niego. Przez moment myślałem, że może wszyscy umarliśmy i to jest Niebo, o jakim kapłan mówił w kościele, kiedy zabierał nas tam tato, co czasem robił, jeśli ksiądz zobaczył go w miasteczku. Nie sądziłem jednak, że w Niebie byłbym zmarznięty i głodny. Miałem nadzieję, że nie jesteśmy w Piekło za zabicie taty.

– Nie, żyjemy! – powiedział Siergiej. – Skąd się tu wzięłeś?

Wziąłem go za rękę i zaprowadziłem z powrotem do wielkiego drzewa i pokazałem mu wszystkich pozostałych, śpiących.

– Tyle że on jest szpiegiem – powiedziałem, wskazując na Algisa. – Ludzie

w wiosce powiedzieli mu, że ma ich zawiadomić, jeśli was zobaczymy.

Siergiej po chwili wzruszył ramionami. Chciał przez to powiedzieć, że i tak nie możemy zostawić Algisa, żeby zamarznął, nawet jeśli jest szpiegiem, zapomniał napełnić wiadro obrokiem i zgubił drogę. Podejrzewałem, że Siergiej ma rację. Ponadto gdybyśmy nie zabłądzili, nie znalazłbym Siergieja, więc może nie powinienem już być zły na Algisa.

Zbudziliśmy Mandelsztamów i Algisa, a oni wszyscy bardzo się zdziwili na widok Siergieja, ale oczywiście się cieszyli, aczkolwiek Algis się bał, chociaż był rad, że możemy się schronić gdzieś, gdzie będzie ciepło. Siergiej podszedł do koni. Jeden z nich był martwy, a drugi nie chciał wstać, ale Siergiej wsunął ręce pod jego przednie nogi i zaczął go podnosić, podczas gdy Algis ciągnął za wodze, a państwo Mandelsztamowie i ja popychaliśmy z tyłu, aż koń wreszcie wstał.

Siergiej poprowadził nas przez las z powrotem do miejsca, gdzie rąbał drewno, i po kilku kolejnych krokach dostrzegłem blask ognia. Na jego widok wszyscy zaczęliśmy iść szybciej, nawet koń. Stał tam mały domek z kominem i duża szopa ze stertą siana. Siergiej wprowadził do niej konia, a ten zaraz zaczął jeść.

– W chacie jest owsianka – rzekł Siergiej. – Wejdźcie.

Wanda była w domu, ale otworzyła drzwi, gdy nas usłyszała. Pani Mandelsztam na jej widok wydała okrzyk zadowolenia, podbiegła do niej, objęła i ucałowała w policzki. Widziałem, że Wanda nie wiedziała, co robić, ale też wyglądała na zadowoloną.

– Wejdźcie – powiedziała, więc weszliśmy do domu.

W środku było bardzo ciepło i przyjemnie pachniało owsianką. Było tylko jedno krzesło i pieńek do siedzenia, ale także prycza i legowisko na zapiecku. Daliśmy pani Mandelsztam krzesło i posadziliśmy ją przy ogniu, a Wanda nakryła ją dużym kocem. Pan Mandelsztam usiadł na pieńku obok niej. Algis usadowił się i skulił na podłodze przy piecu. Wanda kazała mi wejść na zapiecek, a ja zrobiłem to i było mi bardzo ciepło.

– Zaparzę herbatę – powiedziała Wanda, a ja zastanawiałem się, z czego ją zrobi i skąd się wzięł ten dom, choć głównie myślałem o tym, jak dobrze będzie napić się gorącej herbaty, ale zasnąłem, zanim się zaparzyła. Zbudziłem się dopiero wczesnym rankiem, gdy usłyszałem chrobot i poczułem zimny podmuch owiewający mi głowę. Uniosłem ją. Nadal leżałem na zapiecku, a pani i pan Mandelsztam spali po obu moich stronach. Wanda i Siergiej spali na podłodze przed piecem.

Chrobotowały zamykane drzwi. Algis wychodził na zewnątrz. Opuściłem głowę. Potem znów ją podniosłem.

– Siergiej! – zawołałem, ale już było za późno.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, Algis znikł. Zabrał konia. Siergiej nakarmił go owsem, rozmasował mu nogi i napił ciepłą wodą, więc rano zwierzę poczuło się lepiej. Był to duży i silny koń pociągowy. Pomyślałem, że z Algisem na grzbiecie pobiegnie szybko. Zapewne sam odnajdzie powrotną drogę do stajni. A Algis powie wszystkim w miasteczku, gdzie jesteśmy.

– Musimy spróbować dotrzeć do Wyżni, zanim śnieg się stopi – powiedziała pani Mandelsztam, gdy siedzieliśmy przy stole. Wanda zrobiła herbatę, a teraz gotowała dla wszystkich owsiankę, żebyśmy zjedli przed podróżą. Siergiej i pan Mandelsztam przynieśli jeszcze parę pieńków do siedzenia. – Mamy żywność i ciepłe okrycia. Dotrzemy do drogi, zatrzymamy kogoś i poprosimy, żeby zawiózł nas do miasta. W dzielnicy nikt nas nie wyda, a w banku mam trochę pieniędzy. Może uda się opłacić kogoś, żeby nas oczyścił z podejrzeń. Mój ojciec będzie wiedział, do kogo pójść.

– Muszę skończyć materac, zanim odejdziemy – powiedziała Wanda.

Poszła po duży koc, który robiła na drutach, a ja teraz zobaczyłem, że to nie koc, ale powłoczka materaca. Była bardzo ładna. Miała piękny wzór przedstawiający liście.

– Wando, to piękna rzecz – pochwaliła pani Mandelsztam, dotykając powłoczki.
– Powinnaś zabrać ją ze sobą.

Wanda przecząco pokręciła głową.

– Musimy naprawić łóżko.

Nie wiedziałem dlaczego, ale skoro tak powiedziała, to trzeba było to zrobić. Popatrzyłem na prycę i powłoczkę materaca.

– Jest już prawie gotowa, nieprawdaż? – zapytałem. – Ma odpowiednią wielkość.

Wanda podniosła powłoczkę i ta okazała się dostatecznie duża. Gdy trzymała ją w podniesionych rękach, sięgała niemal do podłogi. Wanda znów ją odłożyła i pomyślałem, że wygląda na lekko przestraszoną, chociaż nie wiedziałem, dlaczego miałyby się bać tego, że powłoczka jest ukończona, skoro chciała ją ukończyć.

– Tak – powiedziała. – Teraz szybko zakończę pracę.

– Wando – rzekł powoli pan Mandelsztam, jakby chciał zadać jakieś pytanie, lecz Wanda gwałtownie potrząsnęła głową, bo nie chciała o tym mówić, i chociaż pan Mandelsztam tak bardzo lubił słowa, zobaczył, że ona nie chce rozmawiać, i zamilkł.

– W porządku, Wando – powiedziała po chwili pani Mandelsztam. – Zrób to, co musisz. Ja ugotuję więcej owsianki.

Wanda szybko zszyła boki powłoczki, potem wypchała ją dużą ilością wełny,

zaszyła ostatni bok i położyła materac na pryczy. Z leżącym na niej matercem prycza wyglądała bardzo ładnie. Tymczasem pan Mandelsztam, Siergiej i ja uporządkowaliśmy podwórze i szopę. Napełniliśmy skrzynię drewnem, bo opróżniliśmy ją przez noc. Nie wiedziałem, dlaczego ten piec zużywa tyle drewna, ale teraz rozumiałem, dlaczego Siergiej rąbał je w nocy, i dobrze, że to robił. Pani Mandelsztam poprosiła mnie, żebym przyniósł jej długi kij, a potem przywiązała do jego końca wiecheć słomy i zamiotła izbę.

Owsianka była gotowa, więc ją zjedliśmy. Wyszliśmy na zewnątrz z talerzami, to znaczy po prostu krążkami drewna, które Siergiej odciął z pieńka, po czym umyliśmy je do czysta śniegiem. Postawiliśmy je na półce w chacie. Wanda zrobiła następny garnek owsianki i umieściła go w popiele, żeby się dogotowała, chociaż odchodziliśmy. Zamknęła drzwiczki pieca i rozejrzeliśmy się wokół. Chata wyglądała ładnie i schludnie. Była prawie tak duża jak nasz stary dom, ale bardziej mi się podobała. Niemal nie było szpar między deskami, piec był solidny, a dach szczelny. Przykro mi było go opuszczać i myślę, że Siergiejowi i Wandzie również.

– Dziękujemy, że dałaś nam schronienie – powiedziała Wanda do chaty, jakby ta była żywą osobą.

Potem podniosła koszyk i wyszła na zewnątrz. Wszyscy podążyliśmy za nią.

Minuty przelatywały mi między palcami wraz ze srebrnymi monetami i znikwały, gdy zmieniały się w złote. Byłam już tak blisko drzwi, że słyszałam cichy brzęk szufli dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia, pospieszny, popędzany tym samym terminem, ale nie poszłam tam, by sprawdzić, ile zrobili. Pracowaliśmy przez całą noc bez przerwy. Gdy owal lusterka rozjaśnił się świtem, z trudem zmusiłam się do systematycznego przemieniania monet. Kiedy spojrzałam i zobaczyłam to, kręciło mi się w głowie i miałam mdłości. Został mi jeszcze cały regał monet do zamienienia w złote; w pierwszym odruchu chciałam rzucić się na te kufry i spróbować zmienić jednocześnie zawartość ich wszystkich. Na moment zamknęłam oczy i zacisnęłam pięści, zanim byłam w stanie kontynuować pracę.

Nie przerwałam jej, żeby zjeść śniadanie. Byłam mimowolnie wdzięczna mężowi, że nie przyszedł tego ranka sprawdzić, jak idzie mi praca – o ile byłam w stanie odczuwać cokolwiek. Byłam cała obolała, jakby ktoś mnie pobił. Jednak strach pozwalał mi pracować dalej. Wciąż myślałam o tym, jak by to zrobili, co by zrobili. Czy wetknęliby sztylet w dłoń małego dziecka i oczekiwali, że poderżnie sobie gardło, czy zrobiliby to sami? Czy kazaliby mu patrzeć na śmierć matki, czy jej na śmierć dziecka? Czy zmusiliby do tego Plamkę? Wiedziałam, że obojętnie jak by się to odbyło, nie okazałoby litości ani współczucia. Martwi nie odwzajemniają takich uczuć.

Na środku skarbcza piętrzyła się sterta pustych kufrów, a ja pracowałam, aż wysypałam ostatnie monety i przemieniłam je w złote. Zsypałam ostatnią stertę z obrusa i chwiejnie wstałam. Błękit nieba w lusterku właśnie zaczął ciemnieć z nadejściem zmierzchu. Miałam może godzinę, zanim skończy mi się czas. Ciągając za sobą obrus, otworzyłam drzwi.

Skarbiec był prawie pusty. Sanie stały przy wylocie tunelu po jego przeciwnej stronie, znów prawie pełne, a w głębi niego widziałam błysk srebra piętrzącego się od zlodowaciałego podłoża po sufit. Plamka i Treska pracowały w jednym kącie po stronie bliższej rzeki, a Furarz w drugim. Podbiegłam do nich.

– Pomóżcie mi! – powiedziałam Plamce i Tresce.

Nawet nie kiwnęły głowami, tylko poszły tam, gdzie pracował Furarz, i dołączyły do niego. Rozłożyłam obrus, nagarnęłam na niego srebrne monety i przemieniłam je. Został tylko niewielki stosik, niemal żałośnie mały w tej ogromnej przestrzeni, jak warstewka miodu wyskrobywana ze słoika, w którym już nic więcej nie zostało. Był to jednak duży słoik i nawet ta resztką powinna być złota, a nie srebrna.

Kiedy zmieniałam ostatnie monety, trzęsły mi się ręce. Furarz pojechał i złożył kolejny ładunek w głębi tunelu, a gdy to robił, Plamka i Treska zgarnęły resztę srebra z kąta na stertę przy brzegu rzeki, tak więc gdy wrócił, mogły szybko załadować sanie. Zostawiłam je przy tym, a sama obeszłam skarbiec, zaglądając we wszystkie kąty w poszukiwaniu błysku srebra, jakiejś pozostawionej monety. Moje lusterko prawie zupełnie pociemniało.

Jednak dokładnie wyczyściły komnatę. Tylko na jednej półeczce na ścianie znalazłam tkwiącą w szparze srebrną monetę. Za moimi plecami zastukały jelenie kopyta, gdy Furarz obracał sanie z ostatnim, niewielkim kopczykiem. Zapakowali tunel tak szczelnie, że musiał wjechać do niego tyłem, żeby zrzucić ten ładunek na lód. Plamka i Treska powoli podeszły do mnie. Podniosłam monetę i potarłam ją kciukiem oraz wskazującym palcem w chwili, gdy podwoje skarbcza otworzyły się i mój mąż wszedł do komnaty.

Miał ponurą i gniewną minę, która natychmiast znikła. Zatrzymał się z rozdziawionymi ustami, spoglądając na opróżniony skarbiec. Drżałam ze zmęczenia i ulgi, ale wyprostowałam się i rzuciłam ochryple, wyzywająco:

– Gotowe. Zmieniłam w złoto wszystkie monety w twoich skarbcach.

Gwałtownie poderwał głowę i popatrzył na mnie. Spodziewałam się, że będzie wściekły; zamiast tego wyglądał na niemal zaskoczonego, jakby nie miał pojęcia, co myśleć o tym i o mnie. Powoli obrócił głowę, by popatrzeć na srebro spiętrzone w tunelu, na zgarbionego Furarza trzymającego zaprzężone do sań jelenie, na Plamkę i Treskę chwiejące się jak młode wierzby na wietrze, a w końcu znów na

mnie. Powoli przeszedł przez komnatę, wyjął z moich palców tę ostatnią monetę, przyjrzał jej się i gołymi rękami przełamał na pół.

– Cała jest złota! – warknęłam.

– Tak – odparł spokojnie. – Jest.

Stał tam jeszcze przez moment, zanim w końcu otrząsnął się z oszołomienia. Położył obie połowy monety na półce i złożył mi ukłon, formalny i dworny.

– Zadanie, które ci dałem, zostało wykonane. Zabiorę cię do słonecznego świata, tak jak obiecałem, żebyś zatańczyła na weselu kuzynki. Teraz zadaj pytania, moja pani.

Ta kurtuazja stropiła mnie: szykowałam się do słownej potyczki. Teraz spojrzałam na niego tępo. Nie przychodziło mi do głowy żadne pytanie.

– Czy zdążę się wykąpać? – spytałam po chwili.

Byłam w strasznym stanie, po trzech dniach i nocach walki ze srebrem.

– Nie musisz się spieszyć. Masz tyle czasu, ile ci będzie trzeba – odrzekł. Nie wyglądało mi to na konkretną odpowiedź, ale jeśli był tego taki pewny, to nie zamierzałam się spierać. – Zadaj jeszcze dwa pytania.

Spojrzałam na Plamkę, Treskę i Furarza.

– Obiecałam zmienić całe ich srebro w złoto w zamian za ich pomoc. Zaakceptowali tę propozycję i wywiązali się z umowy. Czy teraz są moimi lennikami?

– Tak – odparł i lekko im się skłonił, jakby bez problemu uznając ich za szlachciców, tak po prostu.

Im trojgu przyszło to nieco trudniej; zaczęli nisko się kłaniać, po czym przerwali w połowie, a gdy Plamka doszła do siebie i nagle pojęła, że skończyliśmy i już jest po wszystkim, nagle obróciła się, kryjąc twarz w dłoniach ze zduszonym okrzykiem udręki i ulgi.

Sama miałam ochotę usiąść i zapłakać.

– Czy mam czas na to, żeby teraz zmienić ich srebro w złoto? – zapytałam.

Nie zamierzałam tu wracać, jeśli nie będę zmuszona.

– Już o to zapytałaś i otrzymałaś odpowiedź – odparł. – Zadaj inne pytanie.

To było irytujące, tym razem bowiem chciałam jak najprędzej wyczerpać limit moich pytań.

– Co to oznacza? – zapytałam. – Dlaczego nie ma znaczenia, czy chcę teraz wziąć kąpiel i zamienić ich srebro w złoto?

Zmarszczył brwi.

– Skoro dotrzymałaś słowa, ja też to zrobię, w nie mniejszym stopniu – odparł lekko urażonym tonem. – Zatrzymam upływ czasu w razie potrzeby, żebyś miała go tyle, ile będzie trzeba. Tak więc szykuj się do drogi, jak długo chcesz, a gdy

będziesz gotowa do wyjazdu, pojedziemy.

Jeszcze raz rozejrzał się po komnacie, podczas gdy ja z trudem ogarniałam to, co powiedział.

– A więc mogłeś mnie tam zawieźć na czas, obojętnie co by się stało! – wybuchłam, ale za późno, gdyż powiedziałam to do pustych drzwi, które zapewne przejęły się tym tam samo jak on.

Gniewnie spoglądałam w ślad za nim, gdy Treska nieśmiało powiedziała:

– Nie mógł.

– Co? – zdziwiłam się.

Treska pokazała ręką pustą komnatę.

– Wykonałaś wspianiałą pracę. Dlatego teraz on może ci się zrewanżować. Ponieważ wysoka magia zawsze ma swoją cenę.

– Cóż to za wspianiała praca, skoro wsypaliśmy ponad połowę jego skarbu do tunelu? – spytałam ze zdziwieniem.

– Postawiono ci niewykonalne zadanie, a ty znalazłaś sposób, żeby je wykonać – odparła Treska.

– Och – mruknęłam i nagle uświadomiłam sobie coś. – Odpowiedziałaś mi! Dwa razy!

– Teraz jestem twoją lenniczką, Hojna – rzekła z lekkim zdziwieniem w głosie. – Nie musisz zawierać za mną umów.

– Zatem teraz będziecie odpowiadać na wszystkie moje pytania? – powiedziałam, usiłując to zrozumieć, a wszyscy troje skinęli głowami. Teraz, kiedy żadne pytanie nie przychodziło mi do głowy. A raczej chciałam ich zadać całe mnóstwo, ale wypowiedanie ich wydawało się nierozsądne, nawet w tych okolicznościach: jak zabić Starzykowego króla, jaką on dysponuje magią, czy może pokonać demona? Zamiast tego rzekłam: – Cóż, jeśli mam teraz mnóstwo czasu, to naprawdę chcę się wykąpać. A potem zmienię wasze srebro w złoto, zanim odjadę.

Sama napisałam listy do księcia Ulryka i księcia Kazimierza, ale Mirnatius je podpisał i nawet niechętnie zabrał mnie na dół, żeby posadzić przy swoim stole przy kolacji – po pewnych przygotowaniach.

– Miałaś to na sobie dwa dni temu – rzucił ostro, gdy wyszłam ubrana z alkowy, i na moment zamarłam.

Myślałam, że w końcu zauważył moje Starzykowe ozdoby, ale zaraz zrozumiałam, że narzekał na moją jasnoszarą suknię, najlepsze dzieło krawcowych macochy. I owszem, zamierzałam znowu ją nosić, nie zastanowiwszy się nad tym. Nawet arcyksiężne nie były na tyle bogate, żeby mieć inną suknię na każdy dzień.

On jednak najwyraźniej upierał się przy noszeniu zupełnie nowego stroju

każdego dnia, ekstrawagancji tak oburzającej, że niewątpliwie musiał zaczarować swoich doradców, żeby nie wyli ze zgrozy, ilekroć zaglądali w jego księgi rachunkowe. I najwidoczniej chciał, żebym brała z niego przykład.

– Naprawdę powinieneś więcej wiedzieć o wpływach z podatków – zauważyłam, gdy z marsową miną grzebał w mojej skrzyni posagowej, bo chciał naocznie się przekonać, że mam tylko – tylko – trzy odpowiednie suknie, wszystkie już za często noszone, więc nienadające się dla jego carycy.

Wyprostował się i gniewnie na mnie spojrzał, a potem nagle położył dłonie na moich ramionach i pod jego dotknięciem materiał sukni zmienił się w zielony aksamit i jasnoniebieski brokat, niczym barwny motyl wyłaniający się z kokonu. Bufiaste rękawy wydeły się, a srebrne frędzle z cichym szmerem opadły na podłogę. On sam miał na sobie bladoniebieską szatę i płaszcz z ciemnozielonym obszyciem, tak więc schodząc do sali na dole, tworzyliśmy dobraną parę. Pomimo to nadal nie był zadowolony z mojego wyglądu.

– Przynajmniej twoje włosy są ładne – mruknął z niezadowoleniem, spoglądając na kunsztownie upięte z tyłu głowy warkocze; widocznie spodziewał się szyderstw z powodu wyboru małżonki.

Od czterech lat nie byłam w Koronie, ale przy ojcowskim stole słyszałam dość narzekań, żeby wiedzieć, czego się spodziewać. Mirnatius uczynił dwór swoim lustrem: oczywiście wielu najznamienitszych wielmożów Litwasu miało domy w stolicy i ci byli najważniejsi, ale nawet pozostali, dworacy i pieczeniarze, których obecność tam zależała od jego kaprysu, wszyscy byli piękni i elegancy. Połowa kobiet miała odsłonięte ramiona i wydekoltowane suknie, chociaż na parapetach leżała gruba warstwa śniegu, a wszyscy mężczyźni nosili jedwabie i aksamity równie nienadające się do konnej jazdy jak jego strój, tyle że nie dysponowali magią utrzymującą je w nienagannym stanie lub zmieniającą na nowe. Spoglądali na siebie jak wygłodniałe wilki, szukając jakichś wad, i współczuwałabym każdej dziewczynie, którą Mirnatius rzuciłby im na pożarcie, nieważne jak pięknej.

Jednak oszołomieni Starzykowym srebrem stali się mniej skłonni do krytyki. Kiedy weszliśmy, przyglądali mi się zmrużonymi oczami z kątów sali i z początku uśmiechali się drwiąco, a potem przyjrzeni się uważniej i mieli zaskoczone miny, aż wreszcie zaczęli się gapić na mnie ze zdziwieniem i lekkim niedowierzaniem, zapominając o obowiązku prowadzenia uprzejmej rozmowy. Niektórzy mężczyźni spoglądali na mnie pożądliwie, i to nawet podczas rozmowy z samym Mirnatusem. Kiedy czwarty taki potknął się, schodząc z podium, ponieważ zapatrzył się na mnie, Mirnatius obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem.

– Rzucasz na nich czar? – zapytał w krótkiej przerwie między kolejnymi hołdami; dwaj nieokrzesani młodzi szlachcice dokładnie takiej samej rangi

gwałtownie spierali się z heroldem, który ma być przedstawiony mi pierwszy.

Nie chciałam, żeby zaczął się zastanawiać, w jaki sposób staję się piękniejsza. Nachyliłam się, żeby konspiracyjnie szepnąć mu coś do ucha.

– Moja matka miała dość magii, by przed śmiercią zostawić mi trzy dary – powiedziałam, a on odruchowo skłonił do mnie głowę. – Pierwszym był rozum, drugim uroda, a trzecim to, że głupcy ich nie dostrzegą.

Poczerwieniał.

– Mój dwór jest pełen głupców – warknął. – Zatem wygląda na to, że coś się jej pomyliło.

Wzruszyłam ramionami.

– Cóż, nawet gdybym rzucała czary, robiłabym to samo co ty. Kiedy czary przestają działać, magiczny urok zawsze w końcu znika, nieprawdaż? I okazuje się, że pod nim zawsze kryła się okropna brzydota.

Wytrzeszczył oczy.

– Ja niczego nie skrywam!

A jednak kiedy myślał, że patrzę gdzie indziej, ukradkiem dotknął twarzy czubkami palców, jakby się bał, że jakiś paskudny troll kryje się gdzieś pod maską jego urody. Przynajmniej odwróciłam jego uwagę.

– Którzy z tych mężczyzn są twoimi krewnymi? – zapytałam, żeby utrzymać go w tym stanie, a on z irytacją wskazał mi tuzin kuzynów. W większości byli podobni do nieżyjącego cara: postawni i brodaci, w brudnych butach, z minami ludzi przemocą ściągniętych na ten elegancki dwór. Oczywiście wszyscy byli starsi od Mirnatiusa, który był dzieckiem drugiej żony swego ojca. Jednak jeden nadąsany, lecz dość urodziwy młodzian stał obok ciotki Mirnatiusa, staruszki spowitej w brokaty i drzemiącej przy kominku. Najwyraźniej był jej ulubieńcem, a chociaż nie był tak urodziwy jak Mirnatus, to przynajmniej wzorował się na swoim carze i kuzynie, jeśli chodzi o ubiór, a ponadto był wysoki i barczysty. – Czy on jest żonaty?

– Ilias? Nie mam zielonego pojęcia – rzekł Mirnatus, ale trzeba przyznać, że wstał i poszedł przedstawić mnie ciotce, która szybko uzupełniła braki naszej wiedzy.

– Kto jest twoim ojcem? – zapytała mnie głośno. – Erdivilas... Erdivilas... Co? Księżę Wyżni? – Zerknęła na mnie z lekkim powątpiewaniem. – Nawet nie arcyksiężę? – Jednak po chwili namysłu potrząsnęła głową i powiedziała Mirnatusowi: – Nieźle, nieźle. Najwyższy czas na ożenek. Może przynajmniej on sprawi swojej starej matce radość, wyprawiając wesele – dodała, szturchając zirytowanego Iliasa upierścienionym palcem.

Ilias niezwykle chłodno skłonił się nad moją dłoń, pomimo czaru moich

sreber, co szybko się wyjaśniło, gdy spojrzął na Mirnatiusa. Ten bardziej zajął się krytycznym badaniem szerokich klap jego płaszcza, z wyhaftowanymi na nich pawiami o oczach z błyszczących diamencików.

– Uroczy wzór – powiedział kuzynowi, który pokraśniał z zadowolenia i posłał mi kolejne zazdrosne i udręczone spojrzenie.

– Przynajmniej byłby lojalny – powiedziałam, gdy wróciliśmy na nasze miejsca.

Oczywiście dla mnie nie było to zaletą, natomiast była nią jego bystrooka matka: każdy znaczący szlachcic przystawał, aby złożyć jej wyrazy szacunku, a połowa wskazanych przez Mirnatiusa kuzynów była jej synami. Ilias mógł być nieszczęśliwy z powodu ożenku Mirnatiusa, ale ona z przyjemnością widziałaby ukochanego syna w łóżku Wasylii – choćby niezbyt mu się tam podobało – i zapewne mogłaby uznać awans syna za należyłą rekompensatę za ożenek bratanka.

– Dlaczego tak sądzisz? – odrzekł kwaśno Mirnatius. – Nikt tutaj nie jest lojalny, jeśli nie ma w tym interesu.

– On ma – zauważyłam sucho.

Myślałam, że się obrazi, lecz on tylko ze zniecierpliwieniem uniósł oczy ku niebu.

– Oni wszyscy mają – prychnął.

Wydało mi się to dziwne i po chwili uświadomiłam sobie, że słyszałam to już wielokrotnie, ale zawsze od kobiet, a najczęściej pokojówek; dwóch młodych rozmawiających przy czyszczeniu sreber z komody przy schodach, którymi najłatwiej mogłam się dostać na strych, innej przyzwoitki rozmawiającej z Magretą na balu, matki ładniejszej ode mnie dziewczyny, która miała mniej wpływowego ojca. W jego głosie brzmiała niechęć niepasująca do korony: jakby ciążyły mu ich pożądliwe spojrzenia i potrzeba zachowania czujności.

Jednak jego matka została stracona za czary, gdy był jeszcze dzieckiem, a jego brat jeszcze wtedy żył i zdaniem dworu był obiecującym młodzieńcem; niewyraźnie pamiętałam, że był bardzo podobny do tych rośliwych i krzepkich mężczyzn obecnych na sali. Mirnatius z pewnością był po tym ledwie tolerowany przez dwór jako zbyt urodziwy syn spalonej na stosie wiedźmy – dopóki śmiertelna choroba z dnia na dzień nie zabrała jego ojca i brata, dzięki czemu został carem. Może miał inne powody poza żądzą władzy, żeby zawrzeć pakt z demonem, oddając mu się w zamian za koronę.

Jeśli tak, to mogłam jednak darzyć go odrobiną współczucia, ale niewielką. Jego własny ojciec, brat i arcyksiążę Dmitir nie byli jedynie zwykłą przekąską dla demona. Mirnatius z rozmysłem poświęcił ich życie w zamian za koronę i wygody. Tak jak poświęcił niezliczonych bezimiennych ludzi, których przez te wszystkie

lata oddał na pożarcie demonowi, pozwoliwszy, by ten wpełznął mu do gardła i zamieszkał w jego trzewiach. Byłam najzupełniej pewna, że nie byłam pierwszym posiłkiem, który zaoferował temu ognistemu stworowi z ognia, wyjącemu z nienasyconego pragnienia i głodu.

Podniosłam się z fotela, gdy jeszcze trwały tańce. Przy tak zachmurzonym niebie nie mogłam zauważyć nadejścia zmierzchu. Nie chciałam być kolejnym takim posiłkiem i nadal nie miałam umowy z demonem, nawet jeśli Mirnatus zgodził się na ten plan. Niespecjalnie ufałam im obu.

– Zamierzam spotkać się ze służbą, zanim położę się spać, chyba że zamierzasz znów zamknąć mnie w naszej sypialni? – powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to jak dziecinny kaprys.

– Tak, bardzo dobrze – odparł krótko i z roztargnieniem. Znad pucharu z winem spoglądał na wysokie, niepraktyczne okna sali balowej, za którymi łagodnie opadały świeże płatki śniegu, dołączając do leżących na zamrożonej białej ziemi.

W kuchni kazałam lekko zdziwionej, lecz posłusznej służbie przygotować mi koszyk z prowiantem. Zabrałam go ze sobą, kiedy wracałam na pokoje, i znalazłam jeden pusty, ze stojącą między obitymi aksamitem sofami harfą, czekającą, aż ktoś na niej zagra. W ściennym lustrze o złożonych ramach ujrzałam niski murek ogrodu, a za nim ciemne drzewa miejsca, które opuściłam. Niosąc na ręce ciężki koszyk, przeszłam do tej chatki w lesie.

Śnieg nie padał, przynajmniej przez chwilę, lecz kiedy mnie tam nie było, spadło go sporo, tak samo jak w Litwasie; sięgał do połowy ścian chaty. Moje stopy z chrzęstem łamały skorupę zamrożonego śniegu na zaspach. Przystanąłam na pustym podwórzu, na przechodzącej przez środek chaty granicy zmierzchu, po czym pod wpływem nagłego impulsu wyjęłam z koszyka kromkę chleba i pokruszyłam ją, rozsypując okruchy na śniegu. Może były tu jakieś żywe stworzenia, a nie wyglądało na to, że miały tu więcej jedzenia niż wiewiórki w Litwasie.

Kiedy weszłam, Magreta spała; miała twarz pooraną głębokimi zmarszczkami i siwe pasemka we włosach. Choć raz jej ręce spoczywały beczynn timer na podołku, jakby ktoś zabrał jej robótkę. Ogień ledwie się palił, ale przynajmniej skrzynia z drewnem była wciąż pełna.

– Jeszcze ciemno – wymamrotała Magreta, gdy podłożyłam do ognia następną kłodę i przegarnęłam węgle. – Śpij dalej, Irinuszka – powiedziała jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką, budziłam się za wcześnie i chciałam wyjść z łóżeczka. Potem się zbudziła, kazała mi odejść od ognia i uparła się, że sama nastawi wodę na herbatę oraz pokroi ser i szynkę. Nigdy nie lubiła, gdy podchodziłam za blisko do ognia albo groziło mi, że skaleczę się nożem.

Znów podrzemywałam na pryczy, patrząc, jak druty Magrety migają w blasku ognia, tak jak robiłam to jako dziecko w moim pokoiku na samej górze domu – zimnym w zimie, dusznym latem. Chłód Starzykowego królestwa wkradał się do chaty tak samo jak pod parapety i krokwie domu mojego ojca. Pomimo to wołałam tę chatę od pałacu cara.

Rozdział 17

Moja droga caryca znów znikła po kolacji, gdzieś pomiędzy kuchnią a moją sypialnią. Już przestało mnie to dziwić. Nie miałem też nic przeciwko temu. Po kilku latach nieprzerwanych wykładów o znaczeniu wyboru odpowiedniej oblubienicy oraz wszystkich tych nudnych czynnikach, jakie należy uwzględnić, te stare kwoki z rady na wyścigi gratulowały mi związku z dziewczyną niemającą posagu ani żadnych politycznych wpływów, na których tak im zależało, co było wystarczająco irytujące, a wszystkie młode koguty z mojego dworu na wyścigi gratulowały mi zdumiewającej urody tej szarej myszy domowej, którą poślubiłem.

Nawet mój nadworny cynik, lord Reynauld, choć z przekonaniem postawiłbym tysiąc sztuk złota na to, że wygłosi jakąś złośliwie obraźliwą uwagę o mojej młodej żonie – naturalnie w swój wspaniale uprzejmy sposób – późnym wieczorem podszedł do mojego tronu i spokojnie oznajmił mi, że dokonałem naprawdę mądrego i nieoczekiwanego wyboru, a następnie rozejrzał się po sali i zapytał, gdzie ona się udała, tak doskonale obojętnym tonem, że z oburzeniem pojąłem, iż gorąco pragnęłyby popatrzeć na nią jeszcze trochę.

To wystarczyło, żebym zaczął się zastanawiać, czy mówiła prawdę o tym uroku, który zawdzięcza matce. Olśniewanie urodą głupców wydawało się raczej przekleństwem niż darem, zważywszy na ich liczbę wśród szlachty, ale jak sam dobrze wiedziałem, w tej kwestii na matkach nie zawsze można polegać, nieważne, co mówią o tym pieśni i opowieści. A może miałem rację i dar działał na opak.

Tylko że moja ciotka Felicja, która niewątpliwie nie była głupia – przekonałem się, że nie można jej zwieść bez użycia naprawdę ogromnej mocy – przed wyjściem kazała Iliasowi zaprowadzić się do mnie i powiedziała zrezygnowanym tonem:

– No cóż, ożeniłeś się, tak jak większość mężczyzn, dla ładnej buzi, więc teraz postaraj się nadać temu sens i wyprawić chrzciny, nim upłynie rok.

I oznajmiła to przy Iliasie, który robił, co mógł, żeby wleźć mi do łóżka, jeszcze zanim doszedł do tego, co chciały tam robić – nie zliczyłbym tych okropnych

wierszy, których kazał mi słuchać – a on stał tam i wyglądał tak, jakby chciał zalać się łzami.

Ja chciałem wstać i zawołać do nich wszystkich, że moja żona nie tylko nie jest bosko piękna, ale nawet interesująco brzydka; że jej wypowiedzi to same zniewagi, ponure ostrzeżenia i nudne wykłady, których niestety nie mogłem zignorować; a oni wszyscy są kompletnymi idiotami, skoro wyobrażają sobie, że mógłbym okazać taki brak dobrego smaku, żeby zakochać się w nudnej, pospolitej sekutnicy o końskiej twarzy. Tylko dlatego nie uległem tej pokusie, że musiałbym jakoś wytłumaczyć, dlaczego ją poślubiłem. „Ponieważ kazał mi to zrobić mój demon” – nie jest powszechnie akceptowanym powodem, nawet jeśli ma się koronę na głowie. Sprzeciwiałbym się energiczniej, gdybym wiedział, w co mnie pakuje.

Zazwyczaj, gdy mój przyjaciel chce się posilić, zwykle nie trwa to długo. Ja zwykle trzymam się na uboczu i pogrążam w myślach, dopóki krzyki nie ucichną, a potem zacieram ślady i czasem wysyłam sakiewkę z gratyfikacją do odpowiedniej osoby. Rozmawiałem z nim o porywaniu niewłaściwych osób, takich jak szlachcice i rodzice małych dzieci, z niewielkim skutkiem, ale tylko dlatego, że on nie jest wybredny. Jeśli nie zrobię czegoś głupiego, takiego jak zachęcający uśmiech do pokojówki lub przystojnego lokaja, nawet za dnia, bo wtedy na pewno kilka nocy później znajdę ich zwłoki w moim łóżku. „Dlaczego nie poślubiłeś córki Ulryka?” – rzeczywiście. On uwielbia robić takie rzeczy – czerpać dodatkową przyjemność z zaskoczenia biednej głupiej ofiary, która myśli, że czeka ją przyjemny wieczór i należyta nagroda rano. Z przerażeniem myślę o tej nocy, gdy Ilias w końcu wykrzesze z siebie odrobinę przedsiębiorczości i przekupstwem znajdzie drogę do mojej sypialni. Moja ciotka nie będzie uszczęśliwiona. Co do córki Ulryka, to gdybym pozwolił moim doradcom wepchnąć się do jej łóżka, to miałyby potem bardzo wiele obiekcji, jeśli nie przedtem.

Jednak nie słodka niewinna Irina, która najwyraźniej nawet nie mrugnęła okiem na widok ognistego koszmaru. Teraz rozumiałem, że nie powinienem był myśleć, iż będzie miała jakiegokolwiek problemy z dworem; kobieta, która spokojnie potrafi się targować z demonem chcącym pożreć jej duszę, na pewno nie przestraszy się lorda Reynaulda D’Estaigne’a. Ani, co ważniejsze, swojego męża.

Już widziałem, jak przede mną nabiera kształtu odrażająca przyszłość. Będę skazany na jej towarzystwo. Mój przekłety demon rzuci się na jej propozycję. Ciotkę Felicję uraduje możliwość ożenienia Iliasa z bogatą księżniczką, cały mój dwór już uznał Irinę za urzekająco piękną, a moi doradcy byli gotowi mnie wielbić za posiadanie żony, która będzie słuchała ich nudziarstw o wpływach z podatków, a potem sama będzie godzinami mnie męczyć, ponieważ jej nie będę mógł odprawić. I wszyscy będą ją kochać tak bezgranicznie, jak nikt nie kocha mnie.

Och, i za pięć minut niewątpliwie poinformuje mnie, że oczekuje ode mnie skonsumowania tego związku, żeby mogła wydać na świat dziedzica lub dwóch ku jeszcze powszechniejszemu aplauzowi. Po czym wcale nie będę zdziwiony, jeśli znajdę pewnego ranka tkwiący w moich plecach nóż. To wszystko miało posmak ponurej nieuchronności. Moje życie było szeregiem spotkań z potworami wykorzystującymi mnie do spełniania ich zachcianek; potrafiłem wyczuć, gdy zbliżało się następne.

A z pewnością właśnie nadchodziło. Zanim słońce zaczęło opadać, za oknem sali balowej wypilem pół butelki winiaku, a resztę zabrałem do moich komnat. Nie miałem pojęcia, co służba myśli o zniknięciu Iriny tym razem, i nic mnie to nie obchodziło. Niech sama się martwi plotkami, które wywołuje, jeśli tak jej zależy.

Tyle że – co z przygnębieniem pojąłem – wszystkie plotki niewątpliwie będą dotyczyły mnie. To ja będę złoczyńcą zamykającym moją biedną niewinną żonę w jakiejś szafie, a jeśli nie legnę i nie dam się dosiąść, gdy ona zdecyduje, że przyszedł na to czas, zostanę żalosnym impotentem, który nie mógł zrobić dziecka z kobietą uważaną przez wszystkich za najpiękniejszą na świecie.

Byłem w kiepskim nastroju, zanim dotarłem do moich komnat, a na domiar złego ledwie zdążyłem przełknąć ostatni łyk winiaku, gdy ogień wyskoczył z węzła tkwiącego przy podstawie mojej czaszki, poderwał mnie nogi i potrząsnął mną jak kukłą.

– Gdzie ona się podziała? – zasyczał moim językiem i gardłem, szarpiąc pazurami mój umysł i pamięć, żeby odkryć, że znów znikła, a wtedy zawył z wściekłości i cisnął mnie w powietrze, owijając ognistą macką moje ciało. –

Dlaczego pozwoliłeś jej uciec? – warknął i nie czekał na odpowiedź. Wepchnął mi do gardła płonąca głownię, tłumiąc moje krzyki, nim zdołały się z niego wyrwać, rzucił mną o podłogę i zaczął smagać ognistymi biczami, a każde uderzenie wywoływało przeszywający ból. Nic nie mogłem na to poradzić, jedynie cierpieć. Na szczęście obalił mnie na plecy: odkryłem, że nieco łatwiej to znosić, wpatrując się w złoconą sztukaterię na suficie, biegnącą przez całą długość pokoju. Demon był tego wieczoru w dobrej formie: obiegłem wzrokiem cały wzór pięć razy, zanim w końcu przestał i rzucił mnie na podłogę przy kominku. Skurczył się do trzaskających płomieni i prychnął na mnie: – Jaka to umowa?

A zatem już tyle wychwycił z moich myśli, chociaż to nie przeszkodziło mu porządnie mnie sponiewierać.

Przy najmniejszym ruchu czułem przeszywający ból, a gardło miałem tak pokiereszowane, jakbym połykał tłuczone szkło, co oczywiście nie liczyło się jako prawdziwe obrażenia. Demon odczuwa potrzebę dotrzymania podstawowych warunków umowy gwarantującej mi urodę, koronę i władzę niezależnie od

okoliczności, więc zapewne naznaczenie mnie siatką blizn byłoby jej naruszeniem. Jednak przez te lata nabrał dużej wprawy w wywoływaniu wrażenia, że dokonał trwałych uszkodzeń, w rzeczywistości nie pozostawiając żadnych śladów.

– Starzykowy król zamiast niej – powiedziałem zupełnie normalnym głosem.

Musiałem włożyć wiele trudu w to, żeby mi nie zadrżał, ale demon lubi łązy i udrękę, więc staram się nie sprawiać mu tej przyjemności; nie chcę zachęcać go do zdwajania wysiłków. Ostatnio stałem się dla niego raczej nudnym nawykiem niż ekscytującą zabawką. Znalazłem granicę między służalczością, która zbyt go cieszy, a oporem sprawiającym, że wpada w szał. Minął prawie rok, od kiedy ostatnio mnie pobił. Dopóki na scenie nie pojawiła się droga Irina. A jeśli coś doprowadza go do szału i ja jestem pod ręką – a nieuchronnie jestem – niewiele mogę zrobić, żeby temu zapobiec.

Rozwijanie tego tematu było więcej niż trochę ryzykowne, ale propozycja Iriny wywarła zauważalny skutek: demon znów wyleciał z paleniska i owinał się wokół mnie, mrużąc jak kot. Jego płomienie nadal lizały moją skórę, ale tylko przypadkowo; już nie próbował mnie skrzywdzić. Pomimo to nic nie osłaniało mnie przed ich parzącymi witkami, ponieważ dokonały trwałych uszkodzeń mojego odzienia. Irina prychnęła z dezaprobatą, gdy zadbałem o to, żeby nie nosiła tej samej sukni dwa dni pod rząd. Podejrzewam, że wolałaby rozdawać jałmużnę biedakom lub wesprzeć jakąś bandę zawodzących mnichów, co znacznie lepiej pasowałoby do tej świętoszkowatej gadaniny, którą próbowała mi wciskać. Ja jednak zadaję sobie wiele trudu, by mieć pewność, że wszyscy wiedzą, iż nigdy dwukrotnie nie pojawiając się w tym samym stroju. Już najmniej potrzebuję tego, żeby ktoś zaczął się zastanawiać, co się stało z moją ulubioną parą spodni lub tych drogich butów do konnej jazdy, które nosiłem trzy dni temu. Wolę być uważany za zwariowanego utracjusza niż czarownika – i wyglądałoby dziwnie, gdybym nie należał, by moja caryca dorównywała mi elegancją.

– Jak? – syknął mi do ucha demon, zaciskając na moim ramieniu ogniste szpony, tak że znów poczułem przeszywający ból. Zacisnąłem zęby, żeby nie zawyć: puści mnie za chwilę jeśli nie obudzę jego zainteresowania. – Jak ona mi go da...?

– Nie wdawała się w szczegóły – zdołałem wykrztusić. – Mówiła, że on wydłuża zimy.

Demon wydał z siebie cichy ryk i znów mnie puścił, pozostawiając dymiące ślady na dywanach w drodze powrotnej do kominka. Zamknąłem oczy i zrobiłem kilka głębokich wdechów, zanim zebrałem siły, żeby się podnieść.

– Ona z pewnością najczęściej kłamie jak najęta, ale przecież rzeczywiście gdzieś się ukrywa – powiedziałem. – A dwie śnieżyce od Święta Wiosny

zwiększają prawdopodobieństwo, że w tej sprawie mówi prawdę.

– Tak, tak – zatrzeszczał do siebie, leniwie trawiąc kłodę. – On zamknął ich przede mną pod śniegiem, a ona ucieka tam, dokąd nie mogę pójść... tylko czy może mi go przyprowadzić?

Chociaż nie wierzyłem w nazbyt gładkie wyjaśnienia Iriny – ani przez sekundę nie wyobrażałem sobie, że leży jej na sercu moje dobro – to podała kilka doskonałych argumentów.

– Nawet jeśli nie zdoła, nie zaszkodzi spróbować – powiedziałem. – Jesteś pewny, że możesz go pokonać, jeśli go tu sprowadzi?

Wydał z siebie trzeszczący śmiech.

– Och, zaspokoję moje pragnienie, będę pił tak długo – zamruczał. – Tylko trzeba go mocno przytrzymać! Srebrny łańcuch go unieruchomi, a krąg ognia mocy pozbawi... Przyprowadź mi go! – syknął do mnie. – Przyprowadź mi go i przygotuj się!

– Oczywiście ona chce twojej obietnicy – powiedziałem.

Pomimo swego sprytu i świętoszkowatości Irina wydawała się skłonna polegać na słowie piekielnego stwora, zapewne doszła do wniosku, że ja zawarłem z nim umowę, żeby zasiąść na tronie, a on jej dotrzymał, bo rzeczywiście objąłem panowanie i czerpałem wszystkie związane z tym korzyści. Osobiście uważałbym moją sytuację za najlepszy przykład tego, że człowiek powinien uważać, czego sobie życzy.

– Tak, tak – powiedział demon. – Będzie carycą w złotej koronie i otrzyma wszystko, czego zapagnie, tylko niech mi go przyprowadzi!

A zatem miałem rację: naprawdę będę do końca moich dni skazany na towarzystwo cudownej drogiej Iriny i nie miałem w tej sprawie zupełnie nic do powiedzenia.

Moja Irina rano wróciła do demona. Przez całą noc zbyt szybko robiłam na drutach. Kiedy poszła, wygładziłam wełnę drżącymi palcami, które nie trzęsły się, kiedy pracowałam. Zrobiłam wzór kwitnącej winorośli, nakrycie na małżeńskie łóżko, i wydawało mi się, że ilekroć zamknęłam oczy, pędy rosły same, szybciej, niż mogłabym je zrobić. Drzemałam przy ogniu, pod ciężarem leżącego na moim podółku nakrycia, aż otworzyły się drzwi i znów poczułam na ramieniu dłoń Iriny.

– Przestraszyłaś mnie, Irinuszko. Czy znów zapadła noc? – spytałam.

– Nie – odrzekła. – Umowa zawarta, Magreto. Zostawi mnie w spokoju i zamiast mnie weźmie Starzykowego króla. Chodź. Ruszamy do Wyżni. Musimy tam być za dwa dni.

Wyszłam z nią, zostawiwszy robótkę na łóżku. Może pewnego dnia ktoś inny

przyjdzie do tego domku i druty mu się przydadzą. Nie spierałam się z Iriną. Chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, była teraz podobna do swego ojca, więc wiedziałam, że nic by to nie dało. On wyglądał tak samo, gdy siedział w gabinecie dawnego księcia i kiedy prowadził Irinę do kaplicy, żeby wyszła za cara; kroczył drogą, którą wybrał, i jeśli były na niej jakieś zakręty, nie zamierzał ich omijać. Ona teraz też tak wyglądała.

Miałam tylko nadzieję, że nie będzie mi już tak zimno, gdy zabrała mnie do pałacu, do pokoju pełnego lśniących luster i ciszy, ze złotą harfą, na której nikt nie grał. Jednak na parapetach leżała gruba warstwa śniegu, a w tym ciemnym pokoju nie palił się ogień, przy którym mogłabym ogrzać dłonie. Nie było czasu szukać kominka, na którym by się palił. Kiedy się tam przeniosłyśmy, w całym domu panował rozgardiasz i służba biegała po korytarzach, tylko na widok Iriny przystawała i się kłaniała. Pytała każdego z nich, jak się nazywa, a gdy odeszli, trzykrotnie powtarzała sobie te imiona – sztuczka, której używał jej ojciec, ilekroć rozmawiał z którymś ze swych nowych zbrojnych. Tylko w czym mogliby jej pomóc służący i podkuchenne, gdy miała do czynienia z demonem i diabłem?

Wyszłam za nią na dziedziniec: przygotowywano do drogi carskie sanie, wspaniałe pojazdy z licznymi złoceniami, świeżo pomalowane na biało, być może tego ranka, a obok niego stał car w czarnym futrze ze złotymi chwostami, w czerwonych rękawiczkach z wełny i czarnego futra; och, ten próżny chłopiec wpatrywał się w moją dziewczynkę, a ja już nie mogłam jej przed nim ukryć.

– Magro, car jest czarnoksiężnikiem – powiedziała mi; miała wtedy dziesięć lat i włosy już jak ciemna rzeka pod srebrną szczotką, gdy siedziałyśmy przy kominku w pokoiku w pałacu dawnego cara.

„Car jest czarnoksiężnikiem” – a powiedziała to w taki sposób, spokojnie i głośno, jakby można było to w każdej chwili powiedzieć i nic złego z tego by nie wynikło, jakby dziewczyna mogła powiedzieć to przy stole w obecności całego dworu równie swobodnie jak po wyjściu z kąpieli do swojej starej niani; dziewczyna będąca tylko córką księcia, którego nowa żona już chodziła z brzuchem.

Jednak było jeszcze gorzej; kiedy uderzyłam ją w policzek szczotką i kazałam nie mówić takich rzeczy, przycisnęła dłoń do policzka, który już zaczął blednąć, i spojrzała na mnie.

– Przecież to prawda – powiedziała, jakby to miało jakieś znaczenie, po czym dodała: – Zostawia mi martwe wiewiórki.

Do końca pobytu w Koronie nie pozwalałam jej wychodzić do ogrodu, chociaż zrobiła się jeszcze bledsza, zgaszona i znużona przesiadywaniem po całych dniach przy kominku i pomaganiem mi przy kołowrotku. Motkami przedzy przekupiłam

dziewczynę szorującą podłogi, żeby codziennie mówiła mi, kiedy car odchodzi od stołu: wiedziała to od swojej siostry, która była dwa lata starsza i nosiła talerze. Za ładną przędzę po odniesieniu carskiego talerza wbiegała do połowy schodów i krzyczała do siostry, a ta pędziła do naszych pokoi na poddaszu i dopiero wtedy zabierałam Irinę na dół, żeby zjadła trochę zimnych potraw w ostatniej chwili przed zebraniem talerzy.

Tak minęło siedem tygodni, siedem trudnych tygodni, gdyż car zawsze późno przychodził do stołu i długo przy nim siedział; lecz każdego ranka, gdy głodne i zmarznięte czekałyśmy na górze, szcztokowałam włosy Iriny, dopóki służąca nie przyszła i nie powiedziała, że on odszedł, a co wieczór kazałam jej gręplować wełnę i podawać mi ją, dopóki nie można było bezpiecznie zakraść się na dół i zjeść to, co zostało.

W końcu pewnego ranka, chuda i blada, zeskoczyła z krzesła i podbiegła do okna; wiał zimny wiatr, przynoszący pierwszy przymrozek, a ona zawołała:

– Wkrótce będzie zima, a ja chcę wyjść na dwór! – I zapłakała.

Serce mi się łamało, ale nie byłam już młodą dziewczyną bojącą się, że zostanie zamknięta na zawsze. Wiedziałam, że w pokoju za zamkniętymi drzwiami jest bezpiecznie, że nie zawsze będą zamknięte, i nie pozwoliłam jej wyjść. Tego wieczoru przyszedł służący jej ojca, zniecierpliwiony wspinaczką po schodach, ponieważ nie znalazł nas przy stole; ostrym tonem powiedział nam, że drogi zamarzyły, więc rano wyjeżdżamy. Kiedy wyszedł, podziękowałam wszystkim świętym.

Tymi siedmioma tygodniami cierpliwości zyskałam dla niej siedem lat bezpieczeństwa, więc nie był to próżny trud. Jednak okazał się daremny, gdy zobaczyłam, jak on patrzy na nią oczami twardymi jak kamień. Siedem lat minęło tak szybko, a ja już nie mogłam zamknąć przed nimi drzwi. Otworzył je ktoś silniejszy ode mnie. Wyciągnął urękawiczoną dłoń, a ona puściła moją.

– Wsiądź na sanie ze strażnikami, Magra – mruknęła do mnie. – Zaopiekują się tobą.

Ci żołnierze byli młodzi, ale miała rację; byłam starą siwowłosą kobietą, a moja pani była teraz ich carycą. Ci twardzi chłopcy pomogli mi wejść na sanie, okryli mnie kocami, postawili ogrzewacz u moich stóp i grzecznie nazywali babcią lub starą nianią, a poza tym nie zwracali na mnie uwagi; rozmawiali o dobrych winiarniach w Wyżni i narzekali na skromne wyżywienie u księcia, a gdy myśleli, że śpię, mówili o takich lub innych dziewczynach.

Żartowali i kpili z jednego postawnego młodzieńca z wąsami, wystarczająco urodziwego, żeby wzdychały do niego dziewczyny, który jednak o żadnej nic nie mówił, aż jeden z nich zaśmiał się i powiedział:

– Ach, dajcie Timurowi spokój, ja wiem, gdzie jest jego serce: w szkatułce z biżuterią carycy.

I wszyscy się śmiali, ale tylko trochę, i już z niego nie kpili, a gdy usiadłam i ziewnęłam, żeby myśleli, że naprawdę spałam, zobaczyłam w jego oczach ból, jakby trafiła go strzała. Patrzył przed siebie nad ramieniem woźnicy, na jadące przed nami białe sanie i ja też zobaczyłam ciemne włosy Iriny pod jej białą futrzaną czapką.

Podczas podróży Mirnatus odzywał się do mnie tylko wtedy, jeśli musiał, a jego zwykle nieprzenikniona twarz zdawała się mieć kwaśny wyraz.

– Jak chcesz – odparł krótko, gdy powiedziałam mu, że powinniśmy natychmiast wyruszyć. – A kiedy dokładnie pojawi się ten Starzyk? Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie możemy cierpliwie czekać w nieskończoność.

– Jutro wieczorem w Wyżni – powiedziałam.

Skrzywił się, ale się nie spierał. Posadził mnie obok siebie na saniach i ignorował, z wyjątkiem krótkiej przerwy w podróży, gdy zatrzymaliśmy się w domu pewnego szlachcica. Wszyscy jego mieszkańcy wyszli i skłonili się nam, włącznie z samym księciem Gabrieliusem, dumnym i siwowłosym. Walczył u boku starego cara, a jego wnuczka była jedną z kandydatek na carycę, więc chłodna uraza na jego twarzy, z jaką mnie powitał, była najzupełniej uzasadniona, lecz zaraz znikła, gdy zbyt długo ścisnął moją dłoń w swojej i gapił się na mnie, po czym cicho powiedział: „Pani” i nisko się pokłonił.

Podczas kolacji Mirnatus cały czas patrzył na mnie z gniewną rozpaczą, jakby do szaleństwa doprowadzało go pytanie, co też reszta świata we mnie widzi.

– Nie, nie zostaniemy na noc – szorstko i nieuprzejmie powiedział potem księciu, niemal wlokąc mnie do sań w przypływie czegoś, co zapewne wyglądało jak męzowska zazdrość. Z impetem wcisnął się w kąt, zaciskając zęby, po czym warknął na woźnicę, żeby ruszał, a gdy jechaliśmy, posyłał mi ukradkowe, niemal mimowolne spojrzenia, jakby chciał zaskoczyć moją tajemniczą urodę i niespodziewanie ją schwytać, zanim umknie jego oczom.

Nie minęła godzina, a nagle zatrzymał sanie w środku lasu i kazał służącemu przynieść szkicownik: pięknie zrobioną z drewna skrzynkę, intarsjowaną i złoconą, która rozkładała się, tworząc małe sztalugi, z zeszytem z dobrego papieru w środku. Machnięciem ręki kazał woźnicy ruszać i otworzył ją. Kiedy przewracał kartki, dostrzegłam spoglądające z nich na mnie szkice, wzory i twarze, niektóre piękne i znane mi z pobytu na jego dworze, lecz na jednej kartce mignęła mi inna, obca i straszna. Nawet nie twarz, pomyślałam, gdy znikła; zaledwie sformowana kilkoma cieniami tu i ówdzie, jak smugami dymu, co jednak wystarczało, żeby

budziła przerażenie.

Otworzył pustą kartkę przy samym końcu.

– Wyprostuj się i patrz na mnie – rzekł rozkazująco.

Usłuchałam bez sprzeciwu, sama lekko zaciekawiona; zastanawiałam się, czy czar nadal będzie działał na ludzi spoglądających na moją podobiznę. Rysował ją pewną ręką, częściej patrząc na mnie niż na papier. Gdy sanie sunęły naprzód, moja twarz szybko nabierała kształtu w jego zeszycie, a kiedy skończył, przez chwilę spoglądał na nią, a potem gwałtownym szarpnięciem wydarł z notatnika i podał mi.

– Co oni widzą? – zapytał.

Wzięłam kartkę i po raz pierwszy zobaczyłam się w koronie. Wydało mi się, że w tych kilku kreskach ukazał mnie lepiej, niż kiedykolwiek sama widziałam się w lustrze. Nie złośliwie, chociaż absolutnie nie schlebiając, złożył mnie z kawałków: wąskie wargi i pociągła twarz, gęste brwi i haczykowaty, choć nie złamany nos mojego ojca oraz jedno oko umieszczone nieco wyżej od drugiego. Na szyi miałam naszyjnik, na głowie koronę, a na ramieniu gruby warkocz, narysowany w sposób sugerujący bujne i lśniące sploty. Była to zwyczajna, niezbyt ładna twarz, ale z pewnością moja i niczyja inna, chociaż naszkicowana zaledwie kilkunastoma kreskami.

– Mnie – odpowiedziałam i chciałam mu oddać rysunek, ale nie wziął go.

Obserwował mnie, a zachodzące słońce zapaliło w jego oczach czerwony błysk, gdy pochylił głowę i zasyczał do mnie jak płomień, pieszczący i straszny:

– Tak, Irino, widzą ciebie, słodką i zimną jak lód. Czy spełnisz obietnicę? Sprowadź mi króla zimy, a uczynię cię królową lata.

Zacisnęłam palce, mnąc papier, i opanowałam strach, zanim się odezwałam.

– Zabiorę cię do Starzykowego króla i oddam go twojej mocy – rzekłam. – A ty przysięgniesz, że zostawisz w spokoju mnie i wszystkich, których kocham.

– Tak, tak, tak – powiedział demon niemal ze zniecierpliwieniem. – Będziesz miała urodę, władzę i bogactwo, wszystkie trzy; złotą koronę i wysoki zamek; dam ci wszystko, czego pragniesz, tylko sprowadź mi go szybko...

– Nie chcę twoich obietnic ani darów, poza tym już mam koronę i zamek – odparłam. – Przyprawdzą ci go, żeby zakończyć zimę, dla Litwasu, ale życzę sobie tylko tego, żebyś zostawił w spokoju mnie i moich bliskich.

To mu się nie spodobało. Obraz, który mignął mi w szkicowniku, ten przerażający cień, spojrział na mnie z twarzy groźnie patrzącego na mnie Mirnatiusa i ledwie zdołałam opanować lęk.

– Tylko co mam dać ci w zamian? – rzekł z niezadowoleniem. – Pragniesz wiecznej młodości lub magicznego płomienia w dłoni? Mocy wpływania na umysły ludzi i naginania ich do twej woli?

– Nie, nie i jeszcze raz nie – powiedziałam. – Niczego nie wezmę. Odmawiasz?

Z pogardliwym sykiem w dziwaczny sposób skulił się na siedzeniu sań, unosząc nogi Mirnatiusa i obejmując je rękami, kołysząc jego głową jak ogień spowijający kłodę.

– Ale ona mi go sprowadzi... – mruczał – sprowadzi mi go... – Po czym znów spojrzał na mnie czerwonymi ślepiami i zasyczał: – Zgoda! Zgoda! Jeśli jednak mi go nie przyprowadzisz i tak się posilę, lecz tobą i twoimi bliskimi.

– Zagroź mi jeszcze raz, a zabiorę ich wszystkich, aby zamieszkali ze mną w Starzykowej krainie – powiedziałam z udawaną odwagą. – A ty będziesz mógł głodować samotnie przez niekończącą się zimę, aż skończy ci się pożywienie i twój ogień zgaśnie, gdy żar zmieni się w popiół. Jutro wieczorem będziesz miał twojego Starzykowego króla. Teraz odejdz i nie wracaj wcześniej. Jeszcze mniej pragnę twojego towarzystwa niż jego, delikatnie mówiąc.

Zasyczał na mnie, ale widocznie zdołałam przestraszyć go moją groźbą albo jemu też nie odpowiadało moje towarzystwo, gdyż jak gasnąca iskra zapadł w Mirnatiusa, czerwony błysk znikł z jego oczu i car, dysząc z zamkniętymi oczami, opadł na poduszki, aż złapał oddech. Wtedy obrócił głowę i spojrzał na mnie.

– Odrzuciłaś jego dar – powiedział do mnie niemal gniewnie.

– Ja nie jestem na tyle głupia, żeby przyjmować dary od potworów – odparłam.

– Jak myślisz, skąd się bierze jego moc? Takie dary mają swoją cenę.

Zaśmiał się piskliwie i nieprzyjemnie.

– Owszem, rzecz w tym, żeby ktoś inny ją za ciebie zapłacił – rzekł, a potem krzyknął do woźnicy: – Koszyk! Znajdź nam jakieś domostwo na nocleg! – i znów opadł na siedzenie, zasłaniając dłonią twarz.

Nie przemyślał dobrze swojej decyzji, gdy kazał nam pospiesznie znów ruszać w drogę, i ja też nie, wygłaszając moją dumną przemowę do demona. Teraz jedynym naszym schronieniem mógł być skromny dom bojara, nie tak wygodny jak księcia Gabrieliusa. Naturalnie bojar oddał carowi i carycy swoją sypialnię, a w niej zasłonięte kotarami łoże, ale wszyscy pozostali z trudem pomieścili się w jego domu. Znów było bardzo zimno, tak że wszystkie konie i zwierzęta domowe trzeba było umieścić pod dachem; żadnego nie można było pozostawić na zewnątrz, a w stajniach było i tak mało miejsca. To oznaczało, że część służby musiała spać na podłodze w naszym pokoju, więc nie mogłam uciec i chociaż nie było tam demona, nadal pozostał mój mąż.

Moja noc poślubna tak długo była dla mnie czymś odrażającym i budzącym potworny strach, że wyzbyłam się zwyczajnej obawy przed dzieleniem łoża z obcym człowiekiem. Z ulgą powiedziałam sobie, że on przynajmniej mnie nie

pragnie, obojętnie jak nieprzyjemne będzie samo leżenie razem w jednym łóżku. Kiedy słudzy zaczęli go rozbierać i zauważył, że nadal tam jestem, on również z ponurą rezygnacją spojrzął na łożo. A potem, gdy zgaszono świece i leżeliśmy nieruchomo obok siebie za szczelnie zaciągniętymi wokół zasłonami, a zimowy chłód wciąż wkradał się do środka pomimo drewnianych ścian i ognia na kominku, gniewnie westchnął i obrócił się do mnie, zaciskając wargi jak skazaniec prowadzony do kata.

Powstrzymałam go, opierając dłonie o jego pierś i spoglądając na niego w słabym różowym blasku ognia, z nagle mocno bijącym sercem.

– Cóż, moja ukochana żono? – rzekł kwaśno i zbyt głośno, z udawaną dla naszych słuchaczy czułością.

Pojęłam, że jednak zamierza mnie mieć. Nie mogłam zebrać myśli; miałam zupełną pustkę w głowie. W komnacie było czworo służących, którzy nas słuchali: gdybym powiedziała nie albo jeszcze nie, a oni to usłyszeli... nagle jego dłoń złapała moją koszulę i podciągnęła cienki len powyżej kolan, a jego palce przesunęły się po mojej skórze.

Mimo woli zadrżałam, a moje policzki stały się boleśnie czerwone i rozpalone.

– Och, ukochany – powiedziałam zbyt głośno, oparłam dłonie na jego piersi i odepchnęłam go z całej siły.

Nie spodziewał się tego, a ponieważ podpierał się tylko jedną ręką, padł na wznak; zaraz podniósł się z lekko oburzoną miną, bo przecież robił to tylko dlatego, że musiał, a ja nachyliłam się do niego i szepnęłam mu do ucha:

– Podskakuj na łóżku!

Wytrzeszczył oczy. Zademonstrowałam mu to, sama poruszając się na łożu, wystarczająco energicznie, by stare drewno zaczęło głośno trzeszczeć, a on z lekkim niedowierzaniem na twarzy dołączył do mnie, aż wydałam cichy okrzyk przeznaczony dla naszego audytorium, a on nagle złapał poduszkę, przycisnął do niej twarz i zaczął trząść się ze śmiechu tak mocno, że przez chwilę myślałam, że znów dostał demonicznego ataku.

Potem nagle zapłakał, tak cicho, że nie słyszałam tego nawet z tak bliskiej odległości, tylko kiedy musiał na moment przestać, żeby złapać oddech. Nawet gdyby usłyszała go służba, nie zwątpiłaby w odegrany przez nas teatr; robił to bardzo cicho, tłumiąc poduszką wszystkie inne dźwięki.

Siedziałam nieruchomo jak drewniana lalka; nie wiedziałam, co robić. Nie chciałam niczego czuć i z początku tylko miałam mu za złe, że rozplakał się przy mnie, jakby miał prawo oczekiwać mojego współczucia, ale nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak szlochał. Bywałam przestraszona, zraniona i zrozpaczona, ale nigdy nie wydawałam z siebie takich odgłosów. On wydarłby je ze mnie, gdyby nakarmił

mną swego demona. Może tak jak sam był pożerany.

Mogłam powiedzieć, że sam jest sobie winien, i powtarzałam to sobie raz po raz, siedząc tam, gdy jego ciało powoli rozluźniało się obok mnie jak topniejący śnieg, aż zwiotczał i umilkł wyczerpany. Jednak współczułam mu, chociaż nie chciałam, jakby rzucił na mnie urok. Siedziałam z podciągniętymi do piersi kolanami, mocno obejmując je rękami, aż pomyślałam, że może zasnął. Zaryzykowałam i spojrzałam na niego: oczy miał otwarte i niewidzące, lecz krwawy błysk już z nich zniknął; zamknął je i mocniej wtulił twarz w poduszkę.

Rozdział 18

Kiedy opuściliśmy chatkę, bałam się, że Steponowi i matce Mirjem trudno będzie iść przez ten śnieg. Był jednak mocno zmrożony i nie zapadał się pod nami. Tylko pod Siergiejem, dwa razy, a my otrzepaliśmy mu ubranie ze śniegu, żeby się nie stopił i nie wyziębił jego ciała. I nie trwało to długo. Szliśmy może jakieś pół godziny, wliczając w to nawet te zapadnięcia w śnieg, gdy nagle Siergiej powiedział:

– Chyba widzę drogę.

I miał rację. Wyszliśmy spomiędzy drzew i była tam rzeka, zupełnie zamrznięta, a obok niej droga z widocznymi już w śniegu śladami płóz.

Przez resztę dnia mijaliśmy przydrożne domy i wioski. Znajdowały się tak blisko siebie, ponieważ zbliżaliśmy się do Wyżni, powiedziała matka Mirjem. Nie rozumiałam, jak mogliśmy być tak blisko tyłu domostw. Przecież byliśmy tak daleko od drogi, tak głęboko w lesie, kiedy znaleźliśmy tę chatkę. To dziwne, że nie słyszeliśmy żadnych ludzkich głosów, a Siergiej nigdy nikogo nie widział, kiedy chodził po drewno. Jednak te domy i wioski tam były. Trochę się bałam, gdy zobaczyliśmy ludzi, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Kiedy zaczęło się ściemniać, ojciec Mirjem kazał nam zaczekać na drodze, a sam poszedł naprzód, do pobliskiego gospodarstwa. Wrócił z koszykiem jedzenia i powiedział, że dał im pieniądze za pozwolenie przespania tej nocy na stryszku ich obory, nad zwierzętami. Rankiem ruszyliśmy dalej do Wyżni, od której dzieliło nas tylko kilka godzin marszu.

Myślałam, że Wyżnia będzie jak nasze miasteczko, tylko większa, lecz w rzeczywistości przypominała budynek. Widzieliśmy tylko mur ciągnący się jak okiem sięgnąć w obie strony. Był zrobiony z czerwonych cegieł ułożonych jedna na drugiej, tak wysoki, że nie można było za niego zajrzeć, i jeszcze wyższy. Nie było w nim okien, tylko bardzo wąskie otwory na samej górze, tak małe, że trzeba by przycisnąć do nich twarz i patrzeć tylko jednym okiem. Jedynym wejściem była wielka brama na końcu drogi, przez którą mogły przejechać duże sanie zaprzężone

w cztery konie i załadowane wełną.

Żadna inna droga nie dochodziła do tego muru, u którego stóp był wykopany duży rów. Był pełen śniegu, ale wiedzieliśmy, że jest, ponieważ śnieg leżał tam niżej i sterczały z niego ostre końce pali zrobionych z drzew z poobcinanymi konarami i zaostrzonymi końcami. Wyglądało na to, że mieszkańcy nie chcieli, żeby ktoś wszedł do miasta.

Jednak bardzo wielu ludzi czekało przy miejskiej bramie, żeby wejść. Nigdy nie widziałam tylu ludzi. Stali na drodze jak idące rzędem kury. Kiedy zbliżyliśmy się na tyle, żeby zobaczyć ten mur i rząd ludzi, przycisnęłam się do Siergieja, a Stepon wsunął swoją dłoń w moją i lekko szarpnął. Nic nie mówił, dopóki nie nachyliłam się do niego, żeby mógł mi szeptać do ucha.

– Czy nie moglibyśmy wrócić do domu?

Jednak rodzice Mirjem nie wyglądali na zaniepokojonych.

– Będziemy dziś długo czekać – powiedziała matka Mirjem. – Widocznie ktoś ważny przyjeżdża zobaczyć się z księciem. Widzicie, nikogo nie przepuszczają przez bramę, dopóki nie przejedzie.

– Słyszałam, że przyjeżdża car – powiedziała stojąca przed nami kobieta, odwracając się. Miała na sobie porządną wełnianą suknię, brązową i z haftowanym rąbkiem, na głowie czerwoną chustę i koszyk na ręce; jej syn był wysokim milczącym młodzieńcem noszącym takie kosmyki jak pan Mandelsztam, więc oni też byli Żydami.

– Car! – wykrzyknęła matka Mirjem.

Kobieta skinęła głową.

– W zeszłym tygodniu poślubił córkę księcia. I już wracają z wizytą! Mam nadzieję, że to nie jest zły znak.

– Biedna dziewczyna pewnie tęskni za domem – powiedziała matka Mirjem. – Ile ma lat?

– Och, jest w odpowiednim wieku do zamążpójścia – odrzekła kobieta. – W ubiegłym roku moja siostra pokazała mi ją w mieście, jak szła ze swoją służbą. Powiedziałabym, że nie ma na co patrzeć, ale mówią, że car zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

– Cóż, serce nie sługa – powiedziała pani Mandelsztam.

Nigdy nie słyszałam, żeby rozmawiała z kimś w taki sposób. Pomyślałam, że pewnie się znają, lecz po chwili zapytała:

– Macie rodzinę w mieście?

Kobieta odrzekła:

– Mieszka w nim moja siostra z mężem. My mamy gospodarstwo w Hamsku. Skąd wy jesteście?

– Z Pavysu – powiedziała matka Mirjem. – To dzień drogi stąd. Przyszliśmy na ślub mojej siostrzenicy, Basi.

Kobieta wydała okrzyk zachwytu i wzięła ją w objęcia.

– Z moim bratankiem Izaakiem! – zawołała.

Wycalowały się i wyściskały, a potem zaczęły rozmawiać o ludziach, których nie znałam: już się zaprzyjaźniły, ot tak. Nie rozumiałam, jak odnalazły się w tej długiej kolejce, wśród tylu ludzi. Wydawało się, że zadziałał jakiś czar.

Czekaliśmy długo. Sądziłabym, że łatwiej jest stać niż iść, ale wcale tak nie było. Kobieta miała jedzenie w koszyku i nalegała, żebyśmy trochę zjedli, a ja wciąż miałam trochę w moim, więc podzieliliśmy się wszystkim. Odgarnęliśmy śnieg z kilku pniaków i co większych kamieni przy drodze, żeby usiąść na nich.

Kiedy jedliśmy, ziemia pod naszymi stopami zaczęła dudnić, a potem usłyszeliśmy słabe podzwanie. Zbrojni wyszli z bramy miasta i przeszli drogą, spychając z niej stojących, a kiedy doszli do nas, powiedzieli ostro, żebyśmy wstali i szykowali się do pokłonu. Mieli miecze przy pasach, prawdziwe miecze, nie zabawki. My wciąż długo czekaliśmy i słyszeliśmy coraz głośniejsze podzwanie, które nagle zabrzmiało tuż przy nas. Zobaczyłam czarne konie ze złotymi i czerwonymi rzędami oraz długie niskie sanie z licznymi zdobieniami i złoceniami oraz siedzącą na nich dziewczynę w srebrnej koronie. Jechali tak szybko, że w następnej chwili już ich nie było. Te wielkie sanie przejechały przez bramę tego wielkiego budynku miasta i znikły, nie zwalniając.

– Caryca, caryca! – krzyczeli ludzie, lecz zapomnieliśmy się pokłonić, kiedy przejeżdżali, a potem skłoniliśmy się za późno, ale to nic, bo wciąż jechali ludzie, którym mogliśmy się kłaniać: sanie pełne sakw, pudeł i osób, tyle ludzi, że mogliby założyć swoją wioskę, wszyscy podążający za carem, jakby nie był tylko jedną osobą, ale nimi wszystkimi, kimś złożonym z wielu.

Gdy w końcu wjechali za carem do miasta, zbrojni zaczęli nas przepuszczać. Cały ten czas czekaliśmy tylko po to, żeby car mógł od razu wjechać do miasta. Kolejka za nami była jeszcze dłuższa niż przed nami. Kiedy jednak zaczęli nas wpuszczać, po jakiejś półgodzinie doszliśmy do bramy, chociaż trzymali nas tam wcześniej już trzy godziny. Byłam taka zmęczona tym czekaniem, że chciałam tylko dotrzeć do bramy, ale Stepon szedł bardzo wolno, tak wolno, że zniecierpliwieni ludzie za nami zaczęli deptać nam po piętach. Patrzył na bramę.

– A jeśli nie będziemy mogli stamtąd wyjść? – zapytał mnie.

Nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Potem podeszliśmy bliżej i zobaczyłam, że czekający nie tylko przechodzili przez tę bramę. Ludzie z mieczami zadawali im pytania i zapisywali odpowiedzi. Nagle poczułam lęk. A jeśli zapytają nas, kim jesteśmy, skąd przybyliśmy i po co? Nie wiedziałam, co wtedy powiem.

Ale pani Mandelsztam wyciągnęła rękę i ujęła moją drugą dłoń, której nie trzymał Stepon. Lekko ją uścisnęła i cicho powiedziała:

– Po prostu nic nie mów.

Kiedy doszliśmy do bramy, pan Mandelsztam powiedział coś do mężczyzny z mieczem i zobaczyłam, że daje mu srebrną monetę, a zbrojny powiedział: „Dobrze, dobrze” i machnięciem ręki kazał nam przejść.

Poczułam taką radość i ulgę, że po prostu przeszłam, nie myśląc o tym, i w następnej chwili znalazłam się w mieście. Mur był tak gruby, że od jednych drzwi do drugich trzeba było zrobić dwadzieścia kroków. Po drodze słyszeliśmy coraz głośniejszy gwar. Potem znaleźliśmy się po drugiej stronie, pod otwartym niebem, a wszędzie wokół stały inne budynki, jakby miasto połknęło je tak jak nas i wszystkich innych ludzi.

Stepon stanął, zatkał uszy rękami i nie chciał iść dalej. Kiedy go dotknęłam, drżał.

– Chodź – powiedziała pani Mandelsztam – z dala od tych ruchliwych ulic będzie spokojniej.

On jednak nadal nie chciał iść.

– Chodź, Stepon, poniosę cię na plecach – powiedział w końcu Siergiej, chociaż ostatnio robił to bardzo dawno temu, gdy Stepon był bardzo mały, a teraz urósł on tak, że jego stopy w butach od pani Mandelsztam zwisały po bokach i zawadzały o łydki idącego Siergieja. Stepon wtulił twarz w kark brata i przez cały czas nie patrzył na nic.

Niełatwo było iść. Na ulicach od pewnego czasu leżało mnóstwo śniegu, więc żeby móc nimi chodzić, ludzie odgarnęli go ze środka, w dwie wysokie ściany po obu stronach, z wykopanymi przejściami do drzwi każdego domu. Ponieważ jednak ulice nie były zbyt szerokie, a zaledwie wczoraj znów padało, te ściany sięgały teraz powyżej naszych głów, a na drodze leżał śnieg, którego nie było gdzie odgarnąć, czarny od brudu, na wpół zamarznięty i śliski. Wszędzie stały wielkie domy, wszystkie przyciśnięte do siebie bez odrobiny miejsca po bokach i tak wysokie, że miałam wrażenie, iż pochylają się ku nam, nad ulicą. Wszędzie, gdzie popatrzeć, byli ludzie. Nie było takiego miejsca, gdzie nie byłoby nikogo.

Szliśmy za panią Mandelsztam. Ona wiedziała, dokąd idzie. Nie miałam pojęcia skąd. Dla mnie każdy mijany narożnik wyglądał tak samo jak inne. Ona jednak szła miarowo i pewnie, jakby nie musiała się zastanawiać, gdzie skręcić, i rzeczywiście nie musiała, gdyż w końcu doszliśmy do innego wysokiego muru, nie tak dużego jak pierwszy, ale z bramą i dwoma innymi mężczyznami z mieczami. Im też pan Mandelsztam dał monetę i przepuścili nas. Pomyślałam, że może opuszczamy miasto, lecz po drugiej stronie tego muru również ono było. Tyle że tu wszyscy

wokół nas byli Żydami.

Wcześniej nigdy nie widziałam żadnego Żyda poza członkami rodziny Mandelsztamów, tą kobietą z kolejki i jej synem. Teraz nie widziałam nikogo prócz nich. To było dziwne uczucie. Pomyślałam, że tak mogła się czuć Mirjem, gdy musiała się udać do Starzykowego królestwa. Nagle wszyscy wokół są podobni do siebie nawzajem, ale nie tacy jak ty. A potem pomyślałam, że Mirjem czuła się tak już wcześniej. Dla niej cały czas tak było w miasteczku. Tak więc może nie było to dla niej takie dziwne.

Zatem myślałam o Mirjem, zastanawiając się, co czuła, i dlatego nagle zrozumiałam, że pani Mandelsztam przybyła tu dla Mirjem. Zatrzymałam się na środku ulicy. Nie zapytałam wcześniej, dlaczego tu jadą. Byłam tak zadowolona, kiedy zobaczyłam w lesie ich i Stepona, że tylko się cieszyłam, o nic nie pytając. A przecież to oczywiste, że dlatego tu przybyli. Ona szukała Mirjem. Tylko że Mirjem tu nie będzie.

Musiałam iść dalej, ponieważ pani Mandelsztam nie zatrzymywała się, a gdybyśmy się zgubili, Siergiej, Stepon i ja nie wiedzielibyśmy, co robić. Nie wiedziałam, jak opuścić to miasto. Jakbym znalazła się w domu z tysiącem izb i drzwi, wszystkich wyglądających tak samo. Przeszliśmy przez wielkie i rojne targowisko na placu, pełne sprzedających i kupujących ludzi, a potem skręciliśmy w uliczkę, która wydawała się cicha po gwarze targowiska, ale i tak o wiele głośniejsza w porównaniu z lasem. Niebawem stała się jeszcze cichsza, a domy przy niej były duże i szerokie, z oknami pełnymi szkła. Tu śnieg leżał w równiejszych stertach, a do drzwi domów prowadziły schodki. W końcu dotarliśmy do bardzo dużego domu z podcieniami i przylegającym do nich dziedzińcem, na którym było wiele koni i bardzo zajętych ludzi noszących rzeczy.

Matka Mirjem przystanęła na dole schodów. Trzymała pod rękę pana Mandelsztama, a on patrzył na drzwi i pomyślałam, że nie chce wchodzić do tego domu, ale zaraz razem wspięli się po schodach, a ona odwróciła się i skinęła na nas, więc poszliśmy za nimi na górę i do środka.

– Rachela! – mówiła jakaś kobieta; miała niemal całkiem siwe, srebrne i białe włosy, a jej twarz wydała mi się dziwnie podobna do twarzy pani Mandelsztam, a gdy się całowały, pomyślałam, że to babka Mirjem. Zatem matka Mirjem też miała matkę, która jeszcze żyła. – I Josef! Tyle czasu. Wejdźcie, wejdźcie, rozbierzcie się – mówiła, całując policzki pana Mandelsztama.

Bałam się, że pani Mandelsztam od razu zapyta ją o Mirjem, ale nie zrobiła tego. Inne kobiety wyszły z kuchni, po czym zapanował gwar powitań i rozmów. Z początku myślałam, że mówią tak szybko, że bym nie mogła zrozumieć, ale potem pojęłam, że wypowiadały słowa, których w ogóle nie rozumiałam,

zmieszane z takimi, które znałam. Nagle zapragnęłam odejść stamtąd, wrócić do tej chatki w lesie. Siedząc przy stole w domu pani Mandelsztam, jedząc z talerza Mirjem, w głębi serca żywiłam cichą nadzieję, aczkolwiek bezwiedną, że może zdołam zająć jej miejsce, ale teraz poczułam, że nigdy nie wiedziałam, jakie ono jest. Widziałam jego część, ale nie wszystko. To było miejsce Mirjem, nie dla mnie. Wcale mnie tu nie chciano.

Wyszłabym, gdybym wiedziała, dokąd iść. Siergiej był przy mnie, a Stepon zszedł z jego pleców i tulił się do mnie, przyciskając głowę do mojego boku i zasłaniając twarz fartuszkami. Odeszliby ze mną. Tyle że nie znaleźliśmy drogi. Potem usłyszałam moje imię; pani Mandelsztam odciągnęła matkę na bok, dalej od tych wszystkich hałasów i rozmów, i cicho mówiła jej coś o mnie, a ona słuchała zaniepokojona, patrząc na nas. Chciałam wiedzieć, o czym mówią, co ją tak zaniepokoiło, i zastanawiałam się, co zrobimy, jeśli powie, że nie chce nawet, żebyśmy się tu przespali. Oznaczaliśmy kłopoty, a ona nas nie znała.

Jednak nie powiedziała tego. Powiedziała coś do matki Mirjem, a ta podeszła do nas z uśmiechem, który mówił, że wszystko będzie dobrze, chociaż wcale nie był tego pewny, a potem zabrała nas w głąb tego wielkiego domu. Były tam schody wiodące w górę, a my weszliśmy za nią do dużego korytarza z dywanem na środku. Na końcu tego korytarza były następne schody, po których weszliśmy, a potem jeszcze jedne schody, drewniane, i znaleźliśmy się w korytarzyku, w którym nie było dywanu, tylko sama podłoga z desek i dwoje drzwi po bokach oraz jedne w suficie, ze zwisającym z nich sznurkiem. Otworzyła drzwi po lewej i wprowadziła nas do pokoju wielkości tej chatki w lesie, tak duży był ten dom, że można było wchodzić i wchodzić, a potem na górze znaleźć jakby cały następny dom – tak wielkie było to miasto, z ogromną liczbą takich domów, które niczym się nie różniły jeden od drugiego.

Jednak w ścianie tego pokoju naprzeciw drzwi było okno i Stepon puścił mnie, po czym podbiegł, przywarł do niego twarzą i krzyknął. Myślałam, że z gniewu, ale nie.

– Jesteśmy ptakami! – zawołał. – Wando, Siergieju, spójrzcie, jesteśmy ptakami!

A ja podeszłam do niego trochę przestraszona i razem spojrzeliśmy przez szybę. Stepon miał rację: byliśmy ptakami. Weszliśmy w tym domu tak wysoko, że spoglądaliśmy z góry na dachy innych domów i na ulice. Widziałam stamtąd targowisko, przez które przeszliśmy, tylko teraz tak małe, że mogłam je zasłonić dłonią, gdy położyłam ją na szybie, a także potężny mur miasta, który był tylko cienką ciemnopomarańczową linią oplatającą je jak wąż, wąż ze śniegiem na grzbiecie, a za nim las z wszystkimi ciemnymi drzewami tworzącymi jedną wielką

plamę przykrytą grubą warstwą śniegu, od patrzenia na którą bolały mnie oczy. Biały śnieg leżał również na dachach wszystkich domów, ale na ulicach był brudny i czarny, natomiast z tak wysoka nie wyglądał źle.

– Wejdźcie, usiądźcie i odpocznijcie – powiedziała matka Mirjem.

Z powodu okna jeszcze nawet nie popatrzyłam na pokój. Były w nim trzy łóżka, prawdziwe łóżka z drewna, każde z materacem, kocami i poduszkami. Był mały kominek, na którym nie palił się ogień, ale w pokoju i tak było ciepło, a przed oknem stał stoliczek, przy nim jedno krzesło, a dwa inne przed kominkiem. Obicia na ich siedziskach były tylko lekko wytarte.

– Wiem, że na pewno jesteście głodni. Każę przynieść wam coś do jedzenia. Przepraszam, że umieściłam was tak wysoko, w pokoju dla służby; wszystkie pokoje na dole już zajęli goście. Niektórzy z nich jednak wyjadą jutro po ślubie, a wtedy w domu nie będzie tak tłoczno.

Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć, więc nic nie mówiliśmy, a wtedy zostawiła nas tam, a my wszyscy usiedliśmy na łóżkach i przez cały pokój patrzyliśmy na siebie nawzajem. Wiedziałam, że dziadek Mirjem jest bogaty, ale dotychczas nie miałam pojęcia, co oznacza to słowo. Oznaczało, że ten pokój z trzema łóżkami, stołem i krzesłami oraz oknem pełnym szkła był czymś, za co trzeba przeproszać. A był nawet większy, niż z początku myślałam, ponieważ gdy usiedliśmy, pomiędzy nami był rozległy obszar podłogi bez żadnego paleniska, stosu drewna czy garnków, a pod żadną ścianą nie stała siekiera ani miotła. Na ścianie nad moim łóżkiem wisiał namalowany przez kogoś obrazek miasta za oknem, tylko wiosną, z zielonymi drzewami i ptakami w powietrzu.

Po chwili pani Mandelsztam wróciła na górę, a z nią szła dziewczyna, wysoka i silna z włosami skrytymi pod chustką, niosąca dużą i ciężką tacę z jedzeniem; postawiła ją na stole, skinęła głową pani Mandelsztam i odeszła. Odprowadziłam ją wzrokiem i myślałam, że ta dziewczyna to ja; nie było tu dla mnie miejsca, nawet gdybym chciała przynosić i odnosić rzeczy. Już mieli do tego kogoś.

Stepon i Siergiej zaraz zaczęli jeść, ale ja nie czułam głodu. Byłam głodna, ale ścisnęło mnie w brzuchu, gdy patrzyłam na jedzenie.

– Na nic się wam tu nie przydamy – zwróciłam się do pani Mandelsztam i o mało nie dodałam: „Powinniśmy odejść”, ale nie mogłam, bo nie mieliśmy dokąd pójść, chyba że zmienilibyśmy się w ptaki i odlecieli.

Pani Mandelsztam spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Wando! – powiedziała. – Po tym jak bardzo nam pomogłaś? Mam powiedzieć: „Och, ale do czego ona mi się teraz przyda”? – Wyciągnęła ręce, ujęła moją twarz w dłonie i lekko nią potrząsnęła. – Jesteś dobrą dziewczyną i masz dobre serce. Tak ciężko pracowałaś, bez słowa skargi. Od kiedy przyszłaś do mojego domu, nie

musiałam nawet kiwnąć palcem. Wszystko było zrobione, zanim zdążyłam pomyśleć, że trzeba to zrobić. Byłam chora, ale wyzdrowiałam, ponieważ byłaś tam i pomagałaś. I nigdy o nic nie prosiłaś. Brałaś tylko to, co wciskaliśmy ci do ręki. Teraz też musisz mi na to pozwolić.

– Wciskacie mi do ręki więcej, niż sama mam! – oznajmiłam, ponieważ przykro mi było słuchać, jak mówi coś, co nie jest prawdą, jakbym przyszła i pomagała jej, bo jestem dobra, a nie dlatego, że pragnęłam srebra i bezpieczeństwa.

– A zatem masz za mało, a ja mam więcej, niż potrzebuję – odparła. – Cii, kochana. Nie masz już matki, ale pozwól mi przez chwilę mówić jej głosem. Posłuchaj. Stepon powiedział nam, co się stało w waszym domu. Niektórzy ludzie tak naprawdę są wilkami i chcą pożerać innych ludzi, żeby napełnić swoje brzuchy. Tak było w twoim domu, przez całe twoje życie. Jednak jesteś tutaj z twoimi braćmi i nie zostaliście pożarci, i żadne z was nie jest wilkiem. Wspieraliście się i trzymaliście go z daleka. Tylko tyle możemy dla siebie nawzajem zrobić na tym świecie, trzymać wilka z daleka. I jeśli w moim domu jest dla ciebie miejsce przy stole, to cieszę się z całego serca. Mam nadzieję, że zawsze będzie. Cii, nie płacz – powiedziała, kciukami ocierając łzy z mojej twarzy, chociaż płynęły szybciej, niż mogła je wytrzeć. – Wiem, że jesteś wystraszona i zaniepokojona. Dziś jednak odbędzie się ślub. To czas radości. Dziś nie pozwolimy, by w tym domu gościł smutek. Dobrze? A teraz usiądź i zjedz. Odpocznij trochę. Jeśli zechcesz i nie będziesz zmęczona, zejdź na dół i pomóż mi. Nadal jest co robić i to przyjemna praca. Ustawimy baldachim dla młodej pary, rozłożymy jedzenie na stołach i będziemy razem jeść i tańczyć, a wilk się tu nie dostanie. Jutro zastanowimy się nad innymi sprawami.

Kiwnęłam głową, nic nie mówiąc. Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Ona uśmiechnęła się do mnie i otarła więcej moich łez, a potem przestała to robić, tylko dała mi wyjętą z kieszonki spódnicy chusteczkę, znów dotknęła mojego policzka i wyszła. Siergiej i Stepon siedzieli przy stole, gapiąc się na jedzenie. Była tam zupa, chleb i jajka, a kiedy siadłam przy nich, Stepon powiedział:

– Nie wiedziałem, że to czary, kiedy przyniosłaś je do domu. Myślałem, że to tylko jedzenie.

Nagle wyciągnęłam do nich ręce, do Siergieja siedzącego po jednej i Stepona po drugiej stronie, a oni wyciągnęli ręce do mnie i do siebie, i trzymaliśmy je mocno, mocno; stworzyliśmy krąg, moi bracia i ja, wokół jedzenia, które nam dano, i nie było wilka w tym pokoju.

Rano Mirnatius wcześniej odsunął zasłony i służba zaczęła się krzątać, zanim zdążyłam usiąść na łóżku; przyniesiono nam tacę z gorącą herbatą, jeszcze ciepłym

chlebem z masłem i dżemem oraz półmisek z plasterkami szynki i sera: solidne śniadanie, z pewnością najlepsze, jakie mogli podać, choć tylko odrobinę lepsze od posiłku wieśniaka. Skrzywił się i ledwie go spróbował. Ja zmusiłam się do jedzenia, spuszczać oczy, żeby nie patrzeć na niego w tej bogato haftowanej nocnej koszuli, na jego dłonie i usta. Czułam na policzku ciepło ognia z kominka, ale drugi policzek też mnie piekł. Pamiętałam dotyk jego palców na moim udzie i mój pierścień nie był w stanie wchłonąć tego żaru.

Zażądał kąpieli i musiałam to znieść: dwie służące postawiły wannę przed kominkiem i umyły go, gdy ja usiłowałam nie obserwować ich dłoni przesuwających się po jego ciele i nie czuć czegoś w rodzaju zazdrości. Nie o niego, lecz o to, co przez niego czułam, bo to uczucie powinno być udziałem mężczyzny, któremu pozwoliłabym się dotykać; mężczyzny, który chciałby mnie dotykać i naprawdę był moim mężem. Chciałam, by ten dreszcz przeszywający moją nogę był darem, którego nigdy się nie spodziewałam; chciałam patrzeć na niego w kąpieli, rumienić się i cieszyć tym. Zamiast tego musiałam z rozmysłem odwracać oczy, bo jeśli mój plan się powiedzie, tego wieczoru popchnę go do walki ze Starzykowym królem, pozbędę się ich obu i poślubię gburowatego mężczyznę równie starego jak mój ojciec.

Magreta podkradła się do mnie, nieśmiało i odważnie, z grzebieniem i szczotką, żeby mnie uczesać; jej dłonie na moich ramionach zadały trwożne pytanie, na które nie byłam już w stanie odpowiedzieć. Jakiś czas temu powiedziała mi krótko i zwięźle o tym, co się dzieje między kobietą i mężczyzną, gdy byłam jeszcze tak mała, by uznać, że to wydaje się głupie, i bez wahania obiecać, że nigdy nie pozwolę na to żadnemu mężczyźnie, dopóki nie będziemy zaślubieni.

– Choć ty nie zostaniesz nigdy sama z jakimś mężczyzną, duszeńko – dodała poniewczasie, rozczesując moje włosy; powtarzała to, co ktoś powiedział jej kiedyś, dawno temu; to, czego wysłuchiwała i przestrzegała przez całe życie.

Kilka lat później, kiedy byłam już na tyle dorosła, by rozumieć, co małżeństwo oznacza dla córki księcia i dlaczego nigdy nie zostanę sama z żadnym mężczyzną na tyle długo, żeby dokonać jakiegokolwiek wyboru, zanim stracę taką możliwość, ponownie powiedziała mi o tym wszystkim uspokajająco jako o czymś, co trzeba znieść; nie jest tak źle, to zaledwie kilka minut, nie bardzo boli, i tylko za pierwszym razem. Ja jednak byłam już za duża, żeby to mnie pocieszyło. Zdawałam sobie sprawę, że kłamie, chociaż nie wiedziałam dokładnie co do czego: może to miało boleć zawsze albo bardzo i trwać całe wieki – szeroki zestaw nieprzyjemnych możliwości. Nawet zapytałam, skąd to wie, a ona zarumieniła się, zmieszała i odrzekła: „Każdy to wie, Irinuszka, każdy” – co oznaczało, że tak naprawdę wcale nie wiedziała.

Nigdy jednak nie powiedziała mi o innych możliwościach, nie wyjaśniła, dlaczego w ogóle kazała mi to obiecać. Teraz zadawałam sobie pytanie, czy kiedyś odczuwała takie pragnienie i jak je tłumiała; jaki okruszek chleba wciskała sobie do ust, żeby nie połknąć nasion nieszczęścia. Siedziałam i jej palce powoli splatały moje włosy, a moje dłonie spoczywały na moim podołku, srebro mojego pierścienia lśniło złotem odbijających się w nim płomieni, tak jak skóra mojego męża, obłana bursztynowym światłem, gdy ociekający wyszedł z kąpeli.

Stał przede mną jak posąg, przed szerokim kominkiem, gdy służące wycierały go miękkimi ręcznikami; trochę zbyt czule, czego usiłowałam nie zauważać. Obie były bardzo ładne, oczywiście zostały wybrane po to, żeby cieszyć oczy cara. On jednak tylko poruszył ramionami jak koń odganiający muchy.

– Moje ubranie – rzucił ostro i niecierpliwie.

Pospiesznie zostawiły go, gdy jego pałacowi lokaje odprawili je i przynieśli mu jego strój z jedwabiu i aksamitu, nakładany warstwami równie starannie jak zbroja mojego ojca, przy nieustannych krytycznych uwagach Mirnatiusa, niezadowolonego z jakiejś zmarszczki czy fałdy.

Ja już byłam ubrana. Słudzy skłonili się Mirnatiusowi, kiedy ich odprawił, a potem odwrócili się do mnie, gdy Magreta nakładała koronę na moje świeżo zaplecione i upięte warkocze. Przez moment patrzyli na mnie w milczeniu, a potem wszyscy znów skłonili się jeszcze niżej; obie służące dygnęły i razem wymknęły się z komnaty, niosąc kosze z ręcznikami i mydło, smętnie szepcząc. Mirnatius obserwował ich wszystkich z urażonym zdziwieniem, a potem nagle złapał swój szkicownik, który leżał pod ścianą. Nawet nie usiadłszy, znów szybkimi i gwałtownymi pociągnięciami narysował moją twarz i odwrócił się do jednego ze służących, który wciąż wchodził i wychodził z wiadrami, opróżniając wannę.

– Spójrz na to! Czy to jest piękna twarz? – zapytał.

Oczywiście nieszczęśnik był bardzo wystraszony i spoglądając na rysunek, próbował tylko zgadnąć, jakiej odpowiedzi car oczekuje.

– Czy to caryca? – zapytał natychmiast, patrząc nań, po czym spojrzał na mnie, znów na rysunek, a potem bezradnie na cara.

– No? – warknął Mirnatius. – Jest piękna czy nie?

– Tak? – wykrztusił zdesperowany sługa.

Mirnatius zgrzytnął zębami.

– Dlaczego? Co jest w niej pięknego? Spójrz na to i powiedz mi, a nie bąkaj tylko tego, co twoim zdaniem chcę usłyszeć!

Przerażony mężczyzna przełknął ślinę.

– Czy to wierna podobizna? – zapytał.

– Ty mi powiedz – rzekł Mirnatius.

– Tak? Tak, bardzo dobra – powiedział służący i pospiesznie sprecyzował, gdy Mirnatus zrobił krok w jego kierunku: – Tyle że nie mnie to osądzać, Wasza Wysokość! Wybacz!

Pochylił głowę.

– Zostaw go – ulitowałam się nad nim. – Lepiej spytaj bojara.

Mirnatus obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem, ale machnięciem ręki odprawił służbę, a później istotnie wetknął rysunek w rękę stojącego przy drzwiach bojara, gdy cała nasza świta znów siadała na sanie i sanki. Bojar i jego żona spojrzeli na rysunek, a ona musnęła go palcami.

– Jaki piękny, Wasza Wysokość – powiedziała.

– Dlaczego? – warknął, natychmiast odwracając się do niej. – Co konkretnie ci się w nim tak podoba?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a potem znów na rysunek.

– Cóż... chyba nic konkretnego, Wasza Wysokość. Kiedy jednak nań patrzę, znowu widzę twarz carycy. – Nagle uśmiechnęła się do niego. – Może widzę to, co widzą twoje oczy – rzekła łagodnie i dobrodusznie, a on odwrócił się na pięcie oniemiały z wściekłości, po czym wskoczył na sanie, zostawiając jej kartkę z rysunkiem.

Tego dnia narysował mnie jeszcze tuzin razy, w różnych pozach; okropnie sfrustrowany, trzymając za podbródek, ustawiał moją głowę pod takim czy innym kątem. Pozwalałam mu na to, nie narzekając. Mimo woli wciąż myślałam o jego cichym płaczu. Zapełnił szkicownik rysunkami i pokazywał je służącym oraz bojarowi, w którego domu zatrzymaliśmy się późnym rankiem. Dotarliśmy do Wyżni trochę po południu i sanie podjechały pod dom mojego ojca. Jeszcze się nie zatrzymały, gdy Mirnatus wyskoczył z nich; bez słowa powitania wetknął szkicownik w rękę mego ojca.

– No? – rzekł niemal gniewnie.

Ojciec powoli obejrzał rysunki, przewracając kartki stwardniałymi od miecza palcami i z dziwnym wyrazem twarzy. Wysiadłam z pomocą służącego, a moja macocha Galina na powitanie wyciągnęła do mnie rękę. Wycalowałyśmy się i kiedy ją puściłam, mój ojciec wciąż przyglądał się ostatniemu szkicowi mojej twarzy patrzącej na niego spod ośnieżonych drzew; siedziałam na skraju sań, tak że był widoczny tylko mój profil, rzęsy, kącik ust i włosy.

– Jest na nim podobna do matki – powiedział i gwałtownym ruchem oddał Mirnatusowi szkicownik, zaciskając wargi, po czym obrócił się, by pocałować mnie w policzek.

Nigdy nie spałam w najwspanialszej komnacie pałacu mojego ojca. Kilkakrotnie odważyłam się do niej zajrzeć, gdy w domu nie było żadnych szacownych gości

i Magreta mi pozwoliła. Ten pokój zawsze wydawał mi się przytłaczający, ogromny. Parapety były z rzeźbionego kamienia, tak jak okazały balkon wychodzący na las i rzekę.

– To były komnaty dawnej księżnej – powiedziała mi kiedyś Magreta.

Na ścianach wisiały gobeliny: Magreta pomogła naprawić kilka z nich, ale ja nie szyłam dostatecznie dobrze, żeby pozwolono mi to robić; wykonałam część haftu na dwóch z wielu aksamitnych poduszek leżących na łożu z tymi zabawnymi nogami w kształcie łap, które zawsze mi się podobały; herbem dawnego księcia był niedźwiedź i w zamku było jeszcze trochę starych mebli z takimi rzeźbionymi nogami.

Teraz jednak ten pokój wydał mi się mały i duszny po delikatnym pięknie pomieszczeń carskiego pałacu. Gdy służby wnosili nasze rzeczy, uwijając się wokół, wyszłam i stanęłam na balkonie, gdzie chłodny wiatr owiewał mi twarz. Było wczesne popołudnie i słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Przyszła Magreta, karcąc służących wnoszących mój kufer z sukniami, ale potem podeszła i stanęła przy mnie w milczeniu, trzymając moją dłoń w swoich i gładząc ją.

– Kazesz któremuś ze służących ojca dowiedzieć się, gdzie jest dom pana Moszela? To gdzieś w żydowskiej dzielnicy. Dziś wieczorem będzie tam wesele i woźnica musi wiedzieć, gdzie ma jechać. I znajdź mi jakiś prezent dla młodej pary.

– Och, duszeńko – powiedziała cicho przestraszona. Przyłożyła moją dłoń do swojego policzka, a potem ucałowała ją i poszła zrobić to, o co prosiłam.

Wszedł jeden ze strażników Mirnatiusa, towarzyszący nam żołnierz z jego pałacu. Nie był służącym i w przeciwieństwie do służby krzątającej się w pokoju nie byłam dla niego córką księcia, lecz carycą, a gdy na niego spojrzałam, nisko się skłonił i przystanął w oczekiwaniu.

– Powiesz mojemu ojcu, że chciałabym się z nim widzieć?

– Natychmiast, Wasza Wysokość – rzekł dźwięcznym, basowym głosem i wyszedł.

Ojciec przyszedł do mnie. Zatrzymał się w drzwiach, a ja odwróciłam się, wciąż stojąc na balkonie, i z podniesioną głową spojrzałam na niego. Patrzył na mnie, uważnie i taksująco jak zwykle, szacując moją wartość, a po chwili przeszedł przez pokój i dołączył do mnie na zimnych kamieniach balkonu. Pod nami rozpościerała się niemal dziewicza biel lasu, a zamarznęta rzeka przecinała śnieżną pierzynę.

– Tegoroczne zbiory nie będą dobre – powiedziałam.

Niemal spodziewałam się, że będzie zirytowany, a nawet rozgniewany wezwaniem i ostro mi odpowie; dla niego z pewnością byłam tylko użytecznym pionkiem. Nie spodziewał się, że zacznę samodzielnie się poruszać po

szachownicy. Jednak on rzekł tylko:

– Nie będą. Żyto zmarzło na polach.

– Przykro mi narażać cię na wydatki, ale zamierzamy wyprawić tu wesele – oznajmiłam. – Wydamy Wasylię za kuzyna Mirnatiusa, Iliasa.

Zamilkł i przez długą chwilę spoglądał na mnie spod krzaczastych brwi.

– Jakoś się z tym pogodzę – powiedział powoli. – Jak szybko po jej przybyciu?

– Natychmiast – odparłam i popatrzyliśmy na siebie. Wiedziałam, że doskonale mnie zrozumiał.

W zadumie przesunął dłonią po wargach.

– Dopilnuję, żeby ojciec Idoros był gotowy i czekał w kaplicy, gdy konie Ulryka miną bramę. W domu będzie tłoczno, ale twoja matka i ja oddamy im naszą sypialnię. Ona będzie spała na górze z dwórkami, a ja w sypialni obok, z twoim kuzynem Dariuszem. Kilku innych mężczyzn ze świty twojego męża może dzielić z nami pokój.

Skinęłam głową i wiedziałam, że nie muszę się obawiać, że Ulryk w jakiś sposób zdoła zapobiec małżeństwu swojej córki.

– Czy księżę Kazimierz przybędzie z wizytą? – zapytał po chwili ojciec, wciąż mi się przyglądając.

– Obawiam się, że może przybyć dopiero następnego dnia – odparłam. – Posłaniec, którego do niego wysłaliśmy, wyjechał nieco później z powodu jakichś kłopotów z koniem.

Ojciec rozejrzył się po komnacie. Słudzy nadal się w niej krzątali, ale żaden nie znajdował się w pobliżu balkonu.

– Jak zdrowie twojego męża?

– Raczej dobre. Ma tylko problem z... nerwami – powiedziałam. – Zdaje się, że tak samo jak jego matka.

Ojciec zamilkł, w zadumie marszcząc brwi.

– Czy to mu... sprawia kłopoty?

– Dotychczas tak – powiedziałam.

Milczał chwilę, a potem powiedział:

– Szepnę słowo Kazimierzowi, kiedy przybędzie. On nie jest głupcem. To rozsądny człowiek i dobry żołnierz.

– Cieszę się, że masz o nim dobre zdanie – powiedziałam.

Ojciec podniósł rękę i na moment położył ją na moim policzku, tak niespodziewanie, że zaskoczona wstrzymałam oddech.

– Jestem z ciebie dumny, Irino – rzekł cicho i stanowczo, a potem opuścił dłoń.

– Czy ty i twój mąż zejdziecie dziś wieczorem na kolację?

– Nie dziś wieczór – odparłam po chwili. Słowa z trudem przechodziły mi przez

gardło. Nie sądziłam, że chcę, żeby ojciec był ze mnie dumny. Wprawdzie to zawsze wydawało się niemożliwe, ale nie wiedziałam, że ma dla mnie jakieś znaczenie. Z trudem znajdowałam słowa. – Jest jeszcze coś. Chodzi o coś... innego.

Baczenie mi się przyjrzał i skinął głową.

– Powiedz mi.

W milczeniu czekałam, aż słudzy na moment zostawią nas samych.

– To Starzykowie odpowiadają za tak długą zimę. Chcą nas wszystkich zamrozić.

Zesztywniał i instynktownie uniósł palec ku łańcuszkom zwisającym z mojej srebrnej korony, patrząc na nią.

– Ich król zamierza sprawić, że śnieg będzie leżał do jesieni.

Przeszywał mnie twardym i czujnym spojrzeniem.

– Dlaczego?

Pokręciłam głową.

– Nie wiem. Jest jednak sposób, żeby go powstrzymać.

W ciągu tej krótkiej chwili, gdy byliśmy sami, wyjawiałam mu mój plan, jasno i brutalnie zwięźle. Kiedy mówiłam o polityce, wiedziałam, jak przekazać mu tysiąc rzeczy, nie wypowiadając ani jednego obciążającego słowa, które ktoś inny mógłby zrozumieć, nigdy nie obawiając się, że on mógłby nie pojąć, o co mi chodzi, ale inaczej było ze Starzykowymi zimami i ognistymi demonami. One kryły się za naszymi słowami tak samo jak w naszym świecie, jako katastrofy przekraczające ludzkie pojęcie. Mówiłam krótko nie tylko dlatego, żeby nikt nas nie podsłuchał, ale ponieważ jak najprędzej chciałam mieć to za sobą: ta opowieść zdawała się nie mieć sensu w surowej rzeczywistości kamiennych murów i mordów, gdy słońce odbijało się od ośnieżonej balustrady balkonu.

Ojciec jednak uważnie mnie wysłuchał i nie powiedział: „Nie bądź głupia” ani „To szaleństwo”. Kiedy skończyłam, rzekł:

– Kiedyś na południowym krańcu miejskich murów, w pobliżu żydowskiej dzielnicy, stała wieża. Zburzyliśmy ją podczas oblężenia, gdy zdobywaliśmy miasto. Zaraz potem odbudowaliśmy mur i pozostawiliśmy loch oraz fundamenty wieży poza obrębem murów, przysypane ziemią. Kiedy miasto jeszcze płonęło, z dwoma moimi najlepszymi ludźmi wykopaliśmy tunel biegnący do niej z podziemi pałacu.

Szybko skinęłam głową, pojmując: na wypadek oblężenia przygotował sobie drogę ucieczki z miasta, czego nie zrobił dawny książę.

– Raz w roku przechodzę w nocy tym tunelem tam i z powrotem, żeby go sprawdzić. Dziś wieczór odkopię wejście własnymi rękami i zaczekam tam na

ciebie za murami. Masz ten łańcuch?

– Tak – powiedziałam. – W mojej szkatułce z biżuterią. I dwanaście świec, żeby zrobić ognisty krąg.

Skinął głową. Znów weszli służący i oboje zamilkliśmy. Nic nie mówił, gdy rozpakowywali następne dwa kufry kosztownych strojów, z ałtasu, jedwabiu i brokatu. Patrzył na nie, ale ich nie widział; wiedziałam, że jego umysł ostrożnie i cierpliwie rozwija spletaną nić, podążając za nią od jednego końca do drugiego.

– Co takiego? – spytałam, gdy służący znów wyszli.

– Ludzie mieszkali tu od dawna, Irino – odparł po chwili. – Mój pradziadek miał gospodarstwo za miastem. Starzykowie władają lasem i pożądają złota, więc przybywają z zimowymi śnieżycami, żeby je zdobyć, lecz dotychczas jeszcze nigdy nie stawali na drodze wiosny. – Spojrzał na mnie chłodnymi jasnymi oczami i wiedziałam, że mnie ostrzega, gdy powiedział: – Dobrze byłoby wiedzieć: dlaczego?

Starzykowy król złożył mi obietnicę, ale nie chciałam w nią uwierzyć; wciąż czułam ten sam strach, co w skarbcach. Byłam jednak tak zmęczona, że zasnęłam w wannie, gdy tylko mnie w niej umieścili. Zapewne mogłabym spać, jak długo bym chciała, lecz miałam sen o tym, że stoję w drzwiach sali balowej domu mojego dziadka, ale ona jest całkiem pusta, światła pogaszone, a obok mnie Starzyk szydzi: „Pomyliłaś datę”.

Zerwałam się przerażona, zupełnie obudzona, z łomoczącym sercem. Przez moment gapiłam się oszołomiona na ścianę mojego pokoju, która już nie była przezroczysta, lecz jednolicie biała, a potem niezdarnie wygramoliłam się z wanny, chwając się i owijając ręcznikiem. To nie ściana się zmieniła, ale cały świat stał się biały: las był tak zasypany śniegiem, że najbliższe sosny schowały się w nim aż po czubki, również pokryte jego grubą warstwą, a niebo nad nimi przybrało perłowoszarą barwę.

Patrzyłam na to i przyciskałam do piersi ręcznik, myśląc o całym tym śniegu zasypującym mój dom, zasypującym Wyżnię, aż jedna ze służących za mną spytała nieśmiało:

– Moja pani, chcesz się ubrać?

Plamka, Treska i Furarz znikli, bo najwidoczniej nie mogli już pełnić dotychczasowych obowiązków, ale przedtem przyszykowali wszystko do mojego wyjazdu. Furarz kazał innemu woźnicy przygotować sanie do podróży i wezwał tłum służby, która wykonywała moje polecenia szybko i z szacunkiem, jakby wieść już rozeszła się w królestwie i widzieli mnie w zupełnie innym świetle.

Przynieśli mi suknię z grubego białego jedwabiu oraz płaszcz z białego brokatu

ze srebrnym haftem i wysokim kołnierzykiem ze srebrzystej koronki, wyszywanym diamentami. Do tego wszystkiego tę ciężką złotą koronę – na początku niepasującą do reszty, lecz zaledwie spojrzałam w lustro i to zauważyłam, gdy nagle wszystkie srebrne elementy zmieniły się w złote, aż po haftowany rąbek. Wokół mnie kobiety oderwały dłonie od jedwabiu i oczy od mojej twarzy.

Mój strój był nieodpowiedni na wesele Basi, gdzie wyglądałabym jak lalka, którą wyobraził sobie i odział ktoś nieprzejmujący się kosztami i zdrowym rozsądkiem. Pomimo to nie kazałam im przynieść innej sukni. Zamierzałam sprowadzić Starzykowego króla na wesele jako gościa i zabić go w trakcie zabawy; mój strój był najmniej ważny. A jeśli dopisze mi szczęście i po tej nocy zarówno ja, jak moja suknia pozostaną nietknięte, sprzedam ją jakiejś szlachciance, żeby mieć posag, gdy będę zawierała prawdziwe małżeństwo. Nie wierzyłam, że w słonecznym świecie będę mogła zamieniać srebro w złoto, ale i tak po tym jednym występie będę do końca moich dni bogata.

Tak więc wysoko unosiłam obciążoną koroną głowę, gdy dostojnym krokiem przeszłam do drzwi komnaty. Treska i Furarz wrócili i czekali tam na mnie, każde trzymając szkatułkę ze srebrem: głównie była to biżuteria, kilka kubków, noże, widelce, talerze oraz dużo luzem wrzuconych monet. Oni również się przebrali, w szaty koloru najbielszej kości słoniowej. Treska przyszyła do nowej sukni złote guziki starej. Służba kłaniała się im, a jednocześnie spoglądała na nich z zazdrością.

Potem weszła Plamka, także w szacie koloru kości słoniowej i ze swoją szkatułką, a obok niej mała dziewczynka, Starzykowa. Była pierwszym dzieckiem, które tu widziałam, i wydała mi się jeszcze dziwniejsza niż dorosły Starzyk: chuda i prosta jak sople, niemal tak samo przezroczysta, tak że pod jej cienką jak lód skórą widać było ciemnoniebieskie żyłki. Przy niej inni Starzykowie wyglądali jak ośnieżone zbocza góry, a ona jak jej czubek, jeszcze niepokryty śniegiem. Spojrzała na mnie z zaciekawionymi, szeroko otwartymi oczami.

– Hojna, to moja córka, która teraz jest też twoją lenniczką – powiedziała cicho Plamka i dotknęła jej ramienia, a dziewczynka ukłoniła się zgrabnie. W dłoniach trzymała mały srebrny naszyjnik pięknej roboty, którego najwyraźniej nie chciała włożyć do szkatułki z resztą sreber, a ja wyciągnęłam rękę i dotknęłam go najpierw.

Wystarczyło leciutkie tchnienie mojej woli, by ciepły złoty blask przemknął po całej jego długości, a dziecko wydało cichy okrzyk, radosny i dźwięczny, który uczynił ten czar prawdziwszym od tych wszystkich, które rzuciłam w skarbcach na dole. Powoli obróciłam się do szkatułki trzymanej przez Plamkę i dotknęłam czubka znajdującego się tam stosiku srebra. Wszystko natychmiast rozblęzło

złotym blaskiem, równie szybko i łatwo, jakbym nagle nabrała wprawy w używaniu mojego daru – jakbym teraz mogła pójść i bez żadnych sztuczek zmienić zawartość wszystkich trzech skarbców pełnych srebra. Przemieniłam także srebro Treski i Furarza; oboje nie wyglądali na zdziwionych tym, z jaką łatwością to zrobiłam.

– Czy tutaj wolno dziękować, czy może jest to nieuprzejme? – spytałam, kiedy skończyłam.

– Moja pani, nie odmówilibyśmy przyjęcia niczego, co zechciałbyś nam dać – nieco bezradnie odparła Treska, gdy wszyscy troje wymienili spojrzenia. – Zawsze jednak słyszeliśmy, że w słonecznym świecie śmiertelnicy dziękują sobie nawzajem, żeby wypełnić pustkę, gdy nie mogą się odwzajemnić, a ty już dałaś nam tak wiele, że będziemy mogli w odpowiedzi na to jedynie dożywotnio ci służyć: osobiście nadałaś nam imiona, wyniosłaś nas i napełniłaś nasze dłonie złotem. A czym więcej są wasze podziękowania?

Kiedy przedstawiła to w taki sposób – chociaż nie uważałam za dar imion, jakie im nadałam – musiałam rozważyć, czym byłoby moje podziękowanie, jeśli nie zwykłą uprzejmością. Musiałam się chwilę zastanowić; wprawdzie już oprzytomniałam, ale wciąż z trudem zbierałam myśli, jakbym miała głowę wypchaną wełną.

– Kiedy dziękuję... kiedy dziękujemy... to jest jak kredyt – powiedziałam, nagle pomyślawszy o dziadku. – Dary i podziękowania przyjmujemy od kogoś, kto może je złożyć, i odwzajemniamy mu się w stosownej chwili, jeśli możemy. Zdarzają się nadużycia i niektóre długi nie są spłacane, lecz inne zostają spłacone z nawiązką i wszystkich nas stać na więcej, jeśli nie musimy płacić od razu. Tak więc dziękuję – dodałam pospiesznie – ponieważ wszyscy ryzykowaliście, pomagając mi, i nawet jeśli uważacie, że należycie się wam odwzajemniłam, ja nadal będę pamiętała, że podjęliście to ryzyko, i chętnie zrobię dla was więcej, jeśli będę mogła.

Spojrzeli na mnie ze zdumieniem i po chwili Plamka wyciągnęła rękę, położyła ją na główce córki, po czym powiedziała:

– Moja pani, zatem spytam, jeśli nie uznasz, że to zbyt wiele: czy nadasz prawdziwe imię mojej córce?

Chyba nie zdołałam ukryć zaskoczenia, gdyż Plamka spuściła oczy.

– Ten, kto ją spłodził, nie przyjął na siebie ciężaru, gdy się narodziła, i zostawił ją bezimienną – wyjaśniła cicho. – A gdybym poprosiła go teraz, zgodziłby się, ale miałby prawo domagać się mojej ręki, a ja już nie chcę mu jej oddać.

Nie znałam praw dotyczących Starzykowych małżeństw, ale dobrze wiedziałam, co sędzę o mężczyźnie, który płodzi dziecko i odmawia uznania go za swoje: ja też

bym go nie chciała.

– Tak. Jak mam to zrobić? – zapytałam, a gdy mi powiedziała, wyciągnęłam rękę do dziewczynki, a ona poszła ze mną na odległy koniec balkonu, gdzie nachyliłam się i szepnęłam jej do ucha: – Twoje imię to Rebeka bat Plamka.

Pomyślałam, że to znacznie utrudni sprawę każdemu Starzykowi, który będzie próbował odgadnąć jego znaczenie.

Mała rozjaśniła się cała, jakby ktoś zapalił w niej kaganek. Pobiegła z powrotem do matki.

– Mamo, mam imię! – zawołała. – Mam imię! Mogę ci je powiedzieć?

A Plamka uklękła, wzięła ją w ramiona i ucałowała.

– Śpij dziś z nim w swoim sercu, śnieżynko, i powiedz mi je rano.

Cieszyłam się, patrząc na ich radość; w tym momencie czułam, że należycie się odwzajemniłam, nawet za te kilka dni i nocy strachu, który ze mną dzielili, i gdybym już nigdy miała ich nie zobaczyć, to i tak miałam nadzieję, że będą sobie dobrze radzić. Poczułam lekkie ukłucie winy, ponieważ nie wiedziałam, co właściwie się zdarzy, jeśli mój plan się powiedzie i ktoś inny będzie rościć sobie prawo do zwolnionego tronu. Czy to będzie oznaczało utratę mojej pozycji, a więc również ich? Miałam jednak nadzieję, że w najgorszym razie znajdą się w niższym kręgu szlachty. Tak czy inaczej, musiałam zaryzykować dla mojego ludu, żywcem grzebanego pod tym nieustannie sypiącym za oknami śniegiem.

Nabrałam tchu.

– Jestem gotowa do drogi – powiedziałam.

Niemal natychmiast szklana ściana się rozwarła i wszedł mój mąż: mój małżonek, którego zamierzałam zamordować. W słusznej sprawie i nie tylko, lecz pomimo to czułam się trochę nieswojo i nie patrzyłam mu w oczy. Przedtem nie chciałam na niego patrzeć, gdyż był taki straszny i obcy, niczym ożywiony golem z błyszczących sopli, a teraz ponieważ nagle za bardzo wyglądał jak ktoś, jak osoba. Trzymałam za rączkę tę znieruchomiałą jak lodowy posąg dziewczynkę, która teraz była moją chrześnicą lub kimś takim, a gdy spojrzałam na Plamkę, Treskę i Furarza, ich twarze ocieplał blask złota w kuferkach u ich stóp, i były to twarze przyjaciół, moich przyjaciół, którzy mi pomogli i zrobiliby to znowu, gdyby mogli. To nieważne, że nie mówiono tu o grzeczności; oni wyświadczyli mi grzeczność czynem. Wiedziałam, co wybrałabym, gdybym miała wybierać.

Jednak przez nich nagle trudniej było mi dostrzegać tylko zimę w jego twarzy. Nie był moim przyjacielem; cały był stworzony z potwornie ostrych lodowych krawędzi, gotowy mnie wykończyć, wydusić ze mnie złoto i pochłonać mój świat. Jednak w tym momencie był zadowolonym potworem: utrudziłam się, napełniając dwa jego skarbce złotem, a on musiał mi dorównać, żeby nie stracić godności, tak

więc przyszedł do mnie otoczony splendorem równym mojemu, jakby z kurtuazyjną wizytą, i skłonił się tak dwornie, jakbym naprawdę była jego królową.

– Chodź więc, moja pani, i prowadź nas na wesele – rzekł, nagle nawet uprzejmy, teraz gdy najbardziej pragnęłam, żeby był zimny, niechętny i oporny.

Zapewne nie powinno mnie to dziwić: nigdy nie dawał mi tego, czego chciałam, chyba że zobowiązałam go do tego wcześniej.

Po raz ostatni spojrzałam na troje moich przyjaciół i skłoniłam głowę, żegnając ich, po czym wyszłam z komnaty ze Starzykiem. Razem zeszedliśmy na dziedziniec. Sanie czekały ze stertą białych futer bez najmniejszej plamki. Moja suknia i korona tak mi ciążyły, że chciałam złapać bok sań, żeby się na nie wciągnąć, lecz zanim zdążyłam, on objął mnie w pół i bez trudu na nie wsadził, po czym zajął miejsce obok.

Jelenie skoczyły, ledwie woźnica poruszył lejcami, i góra błyskawicznie zaczęła umykać w dal. Silny i miły wiatr owiewał mi twarz, niezbyt zimny, gdy pędziliśmy korytarzem do srebrnych wrót i z powrotem na świat; płozy sań szeptały na lodowej drodze, a kopyta jeleni wybijały na niej werbel. Po zaledwie kilku minutach mknęliśmy w kierunku lasu. Jelenie i sanie sunęły po świeżo spadłym śniegu, pozostawiając ledwie widoczne ślady, a na w pół przysypane drzewa wydawały się dziwnie małe, gdy jechaliśmy przez las.

Chciałam zobaczyć, co robi Starzyk, jakiego czaru lub zaklęcia użyje, by otworzyć drogę do słonecznego świata, lecz on tylko odwrócił się i spojrzał na mnie z niemal takim samym namysłem, jakby się zastanawiał, czy ja nie rzucę jakiegoś nieoczekiwanego czaru. Potem nagle rzekł do mnie:

– Dziś wieczór nie odpowiem na żadne twoje pytania.

– Co? – Głos o mało mi się nie załamał z przestachu: przez moment myślałam, że zgadł, że wie, co planuję, i wcale nie jedziemy na wesele, lecz na miejsce mojej karni. Potem zrozumiałam, co naprawdę chciał powiedzieć. – Zawarliśmy umowę!

– Tylko w zamian za twoje prawa. Nic mi nie zaproponowałaś w zamian za moje. Nie nadałem im żadnej wartości, a teraz widzę, że zawarłem złą... – Nagle urwał, patrząc przed siebie, po czym powoli powiedział: – Czy to dlatego żądałaś odpowiedzi na głupie pytania? Aby okazać pogardę dla mojej zniewagi?

Przez moment siedział w milczeniu i zanim zdążyłam to sprostować, nagle się roześmiał, co zabrzmiało jak chór dzwonek niosący się daleko po śniegu; zaskakujący dźwięk, bo nigdy nie wyobrażałam sobie, że może się śmiać. Milczałam z otwartymi ustami, trochę zdumiona i trochę wściekła, a on nagle się odwrócił, złapał mnie za rękę i ucałował ją, a muśnięcie jego warg było jak ciepły oddech na zamarznętej szybie.

Tak bardzo mnie zaskoczył, że nie byłam w stanie nic powiedzieć ani nawet uwolnić dłoni, a wtedy rzekł do mnie gniewnie:

– Naprawię to dziś wieczór, moja pani, i pokażę ci, że nauczyłem się lepiej cię cenić; nie będę potrzebował następnej lekcji poza tą.

I szerokim gestem pokazał rozległą równinę wokół nas, całą przysypaną śniegiem.

Najpierw spojrzałam, nie pojmując i zastanawiając się, co miał na myśli, lecz wokół nas była pustka, w której nie było nic prócz tej jego niekończącej się zimy. Stuletniej zimy, która nagle przysłała w środku lata, gdy Starzykowie powinni tkwić za szklanymi ścianami swojej góry i czekać na ponowne jej przyjście. Choć nigdy przedtem nie byli w stanie tak długo zatrzymać wiosny.

Stuletnia zima w środku lata.

– Nie ty sprowadziłeś tę zimę – wykrztusiłam przez nagle zaschnięte i ściśnięte gardło.

– Nie ja, moja pani – powiedział, wciąż patrząc na mnie z całym tym bezgranicznym samozadowoleniem człowieka, który znalazł skarb ukryty w brudnym korycie. Złoto, które Starzykowie zawsze tak cenili; a gdy zaczęli napadać nas częściej, zaczęli przychodzić po to złoto – właśnie wtedy zimy zrobiły się coraz sroższe. A teraz – teraz – były tam dwa wielkie skarbcze z piętrzącymi się w nich górami błyszczącego jak słońce złota; ciepło letniego słońca uwięzione w zimnym metalu, który Starzyk mógł skryć głęboko pod swoją górą, grzebiąc moją ojczyznę pod ścianą śniegu.

Uśmiechnął się do mnie, wciąż trzymając mnie za rękę; uśmiechnął się do mnie, a potem odwrócił do woźnicy.

– Jedź! – powiedział i z nagłym szarpnięciem znaleźliśmy się na białej drodze, którą Furarz zwał królewską; na Starzykowej drodze, którą znałam i widywałam w ciemnym lesie przez całe moje życie. Biegła przed nami, jakby była tam zawsze, i ciągnęła się za nami jak sięgnąć okiem, niekończący się tunel. Te dziwne nieziemsko białe drzewa stały rzędami z obu jej stron, z gałęziami obwieszonymi przezroczystymi lodowymi kroplami i białymi liśćmi, a jej nawierzchnia była gładka i zamglona jak niebiesko-biały lód. Sanie sunęły po niej i nagle poczułam silny zapach sosnowych igieł oraz żywicy, rozpaczliwej walki o życie. Nad naszymi głowami, za baldachimem białych gałęzi, niebo zaczęło zmieniać kolor: z jednej strony szarość powoli zabarwiła się błękitem, a po drugiej stało się złocistopomarańczowe: wieczorne letnie niebo nad lasem. Wiedziałam, że wyjechaliśmy z jego królestwa i wróciliśmy do mojego świata.

On wciąż trzymał moją dłoń w swojej. Z rozmysłem pozwoliłam mu na to, myśląc o Judycie śpiewającej słodkim głosem Holofernesowi, żeby zasnął

w swoim namiocie, a także o tym, co zносиła tam najpierw. Mogłam to znieść. Byłam tak rozgniewana, że poczułam przenikający mnie na wskroś chłód. Niech myśli, że mnie ma i wystarczy, by skinął palcem, a będzie miał moje serce. Niech myśli, że zdradzę mój lud i ojczyznę tylko po to, żeby być królową u jego boku. Może sobie trzymać mnie za rękę przez resztę drogi, jeśli chce, w zamian za dar, który mi dał, jedyny, jaki chciałam od niego dostać: mogłam go uśmiercić bez wahania i wyrzutów sumienia.

Rozdział 19

Kilka osób z pałacowej służby czasem chodziło do żydowskiej dzielnicy: pokojowa Galiny, Palmira, gdy jej pani chciała kupić sobie jakąś biżuterię, chodziła i oglądała wyroby na straganach jubilerów. Dotychczas była zbyt ważna, żeby ze mną rozmawiać, i ograniczała się do zniecierpliwionych uwag, ponieważ moja pani była niechcianą córką poprzedniej żony księcia; wszystkie te gry prowadzone we wspaniałych salach balowych i sypialniach my powtarzaliśmy między sobą w kwaterach dla służby. Teraz jednak byłam służącą carycy, która cenila mnie tak, że wezwała do stolicy, tak więc gdy zapukałam do gotowalni księżnej, Palmira oderwała się od czyszczenia biżuterii, podeszła i ucałowała mnie w policzki, po czym spytała, czy nie jestem zmęczona podróżą, posadziła mnie na swoim krześle pod ścianą, za którą znajdował się komin sypialni, i kazała posługaczce przynieść filiżankę herbaty. Chętnie usiadłam pod ciepłą ścianą i napiłam się herbaty: och, byłam zmęczona.

– Ten bankier? – powiedziała od razu, gdy wymieniłam jego nazwisko. – Nie wiem, gdzie on mieszka, ale kamerdyner będzie wiedział. – Uła – rzekła do dziewczyny – przynieś nam trochę faworków i powidła, a potem powiedz panu Noliusowi, że jest tu droga Magreta i pyta, czy wypiłby z nami filiżankę herbaty; nie możemy jej zmuszać do biegania po domu po tak męczących podróżach.

Kolejny ruch w grze, ponieważ chciała, żeby to kamerdyner przyszedł do niej, czego nie zrobiłby, gdyby mnie tam nie było. A byłam, siedziałam przy ciepłej ścianie, już za stara na takie gierki. Tylko siedziałam, wypiałam jedną, a potem drugą filiżankę herbaty z powidłami, zajadałam słodkie faworki i podziękowałam panu Noliusowi, gdy zechciał łaskawie przyjść, usiąść i napić się z nami.

– Pan Moszel mieszka w czwartym domu przy ulicy Warieńki – rzekł chłodno i oficjalnie, kiedy go zapytałam. – Czy Jej Wysokość chce załatwić pożyczkę? Chętnie służę pomocą.

– Pożyczkę? Caryca? – zdziwiłam się.

Irina mówiła o mężczyźnie z żydowskiej dzielnicy, co kojarzyło mi się

z lichwiarzami w maleńkich stoiskach, którzy spoglądali przez okrągłe okularki na twój srebrny pierścionek po matce, a potem dawali ci za niego pieniądze. Niewiele pieniędzy w porównaniu z tym, ile był dla ciebie wart, ale musiałaś je mieć, ponieważ jedna z dziewcząt zamkniętych wtedy z tobą w tej ciemnej celi przez wiele godzin zaczęła spotykać się z jednym z tych żołnierzy, którzy was uwolnili, a teraz potrzebowała lekarza, który mógł przyjść tylko za srebro i w środku nocy. Tak myślałam o kimś, kto pożyczka pieniądze w żydowskiej dzielnicy. Nie był to ktoś, z kim zadawaliby się książę czy caryca.

Noliusowi spodobało się, że niewiele wiem; może zostałam służącą carycy, ale nadal byłam głupią starą babą uważającą, że świat składa się z drobiazgów, a on był zaufanym kamerdynerem księcia. Tak więc trochę odtajał, wziął faworka i powiedział mi, zadowolony ze swojej wiedzy:

– Nie, nie, pan Moszel jest właścicielem banku; to bogaty człowiek, powszechnie szanowany. Pomógł załatwić pożyczki na odbudowę miejskich murów po wojnie, bardzo dyskretnie. Jego książęca mość już osiem razy wzywał go do swego domu i za każdym razem kazał traktować z wielkim szacunkiem. A Moszel nigdy nie próbował tego wykorzystać. Zawsze przybywa pieszo, nie w powozie; kobiety z jego rodziny ubierają się skromnie, a jego dom nie jest okazały. I nigdy o nic nie prosił za swoje usługi.

Zawsze myślałam o miejskich murach jako o czymś zbudowanym przez żołnierzy, a nie za pieniądze, lecz oczywiście jakoś trzeba było za nie zapłacić; za kamienie, zaprawę, jedzenie i ubrania ludzi, którzy je wznosili, ale nawet gdybym o tym pomyślała, to uważałabym, że pieniądze wzięto z jakiegoś skarbcza, z pełnej złota skrzyni, którą miał książę lub car. Nie przyszłoby mi do głowy, że pochodziły od cichych mężczyzn w skromnych szatach, którzy nie jeżdżą powozami.

Nolius nachylił się do mnie, żebym na pewno zrozumiała, iż przekazuje mi poufną informację znaną tylko takiemu ważnemu człowiekowi jak on.

– Dano mu do zrozumienia, że gdyby się nawrócił, wszystkie drzwi stanęłyby przed nim otworem. – Potem wyprostował się i wzruszył ramionami, rozkładając ręce. – On jednak nie chciał i jego książęca mość był zadowolony. Słyszałem, jak mówił, że woli pozostawiać swoje sprawy w rękach człowieka spełnionego niż spragnionego zaszczytów, a ryzykować może na polu bitwy. Jeśli Jej Wysokość pragnie załatwić jakieś finansowe sprawy, bez wahania mogę rekomendować jego usługi.

– Och, nie – powiedziałam. – Nie, chodzi o coś innego, kobiece sprawy. Dostała od jego wnuczki coś, co bardzo sobie ceni, i chce się jej zrewanżować jakimś ślubnym prezentem. Poprosiła mnie, żebym to załatwiła.

Nolius wyglądał na zdziwionego i zerknął na Palmirę; oczywiście myśleli, że

coś pokręciłam, i mieli rację, wiedziałam, że czegoś nie zrozumiałam w tej całej historii. To jednak nie miało znaczenia. Zostawmy w spokoju tę historię. I tak była już wystarczająco dziwna.

– Był to prezent, który caryca dostała przed swoim ślubem – dodałam jednak, żeby nie wydawało im się to takie dziwne.

– Ach! – powiedziała Palmira bardzo delikatnie i oboje natychmiast postanowili jednak nie drążyć tej kwestii. Nierozsądnie byłoby wracać do dawnych czasów, gdy mogli być nieuprzejmi, mijając mnie na korytarzach; czasów, gdy Irina i ja mieszkaliśmy w dwóch zimnych pokoikach zbyt blisko poddasza jak dla córki księcia i gdy mogłaby się cieszyć z każdego prezentu przysłanego jej przez wnuczkę Żyda: dalekowzroczną wnuczkę Żyda, która była mądrzejsza od nich i zasadziła ziarno wdzięczności mające teraz rozkwitnąć.

– No cóż, to oczywiście musi być coś godnego uwagi – orzekł stanowczo Nolius: należało nagrodzić każdego, kto szanował moją panią, natomiast ci, którzy ją lekceważą, powinni zostać ukarani. – Nie biżuteria i nie pieniądze. Może coś do domu...

– Powinniśmy spytać o radę Edytę – powiedziała Palmira.

Miała na myśli ochmistrzynię, a Nolius też był zadowolony z tego, że może ją wezwać, skoro sam zniżył się do przyścia tutaj, tak więc po kilku minutach ona też przyszła, dostała herbatę z powidłami i pytała mnie o pałac cara.

– Jest za zimny dla starej baby – powiedziałam. – Wszędzie tyle okien! Dwukrotnie wyższych niż ta ściana – pokazałam im ręką – a ściana pokoju jest tak długa jak sali balowej, chociaż to tylko sypialnia. W sześciu kominkach naraz pali się ogień, żeby nie zamarznąć, i wszystko jest połączane, wszystko: okna, nogi stołów i wanna, wszystko. Sześć kobiet sprząta pokój.

We troje westchnęli z zadowolenia, a Edyta rzekła do Noliusa:

– Nie zazdrościsz tej, która jest tam ochmistrzynią! Tyle pracy!

A on poważnie pokiwał głową. Oczywiście oboje skręcali się z zazdrości, ale ponieważ nie dotyczył ich ten problem, to przynajmniej pocieszali się myślą, że oni również mają mnóstwo pracy w wielkim domu i lepiej od innych rozumieją, jakie to trudne.

Pomimo to ta rozmowa nie była stratą czasu: dała nam wszystkim pretekst, by jeszcze chwilę posiedzieć i odpocząć razem, w tym pokoju z ciepłą ścianą za moimi plecami, w czwórce popijając gorącą herbatę. Musieliśmy mieć ten pretekst, inaczej bylibyśmy leniwymi sługami zaniedbującymi swoje obowiązki. A księżna nie trzymała leniwej służby. Edyta upiła kolejny łyżeczek z filiżanki i powiedziała do mnie z namysłem:

– A może obrus, droga Magreto? Czy pamiętasz ten prezent na wesele córki

bojara, z którego nic nie wyszło? Był tak pięknie zrobiony.

Pamiętałam, i to bardzo dobrze. Ten bojar walczył po stronie księcia, który chciał zrewanżować mu się pięknym prezentem dla córki. Wszystkie kobiety miały już pełne ręce pracy, księżna i jej dwórki, a ja przy Irinie z biegiem lat zwolniłam tempo i zaczęłam się oszczędzać. Wymawiałam się, tłumacząc, że muszę jej uszyć wiele rzeczy, a to, co przysyłała mi do zrobienia Edyta, robiłam trochę wolniej, niżby chciała, więc dawała mi coraz mniej pracy. Tego roku jednak Irina skończyła czternaście lat, więc przyniesiono do naszych pokoików kosze z jedwabną przędzą, a Edyta z uśmiechem powiedziała, że Irina musi już nauczyć się ładnie praść i robić na drutach; ja mogę ją tego nauczyć. I trzeba to zrobić w miesiąc, droga Magreto.

Tak więc w końcu to na nią spadła cała ta praca, której próbowałam sobie oszczędzić. Pomimo bólu palców i oczu musiałam sama praść jedwabne nici po nocach, gdy moja dziewczynka spała, ponieważ i tak już nie była piękna, z tą wąską twarzą i wydatnym nosem, i bałam się, że zbrzydnie od ślęczenia i pochylania się nad robótką przy kominku oraz z niedosypiania. Wprawdzie nie czeka jej wspiane małżeństwo, myślałam wtedy, ale może przynajmniej będzie miała własny dom z sypialnią nie na poddaszu; może przy jakimś mężczyźnie w podeszłym wieku, który nie będzie jej zbyt męczył, przy którym będzie panią. I znajdzie się tam dla mnie jakiś kąt, w którym będę mogła poruszać kołyską, jeśli będą mieli dziecko, i robić na drutach tylko małe ciuszki.

Uprzedłam jedwab, a potem robiłam na najcieńszych drutach obrus z wzorem kwitnącej winorośli z herbu księcia, żeby podczas każdego święta, patrząc na nakryty nim stół, myśleli o swoim dobroczyńcy, który wyświadczył im taki honor. Potem jednak nic z tego nie wyszło, gdyż córka bojara zachorowała i umarła, a jej chłopak poślubił jakąś mniej ustosunkowaną dziewczynę, więc wszystkie te długie godziny mojej pracy zawinięto w papier i schowano do komody księżnej do czasu, aż będzie chciała znów dać komuś prezent.

– Dziękuję ci, Edyto, jeśli możesz go poświęcić – powiedziałam.

Z jej strony była to uprzejmość, a także przeprosiny, ponieważ nie była tak sprytna, by trochę pomóc mi przy tym obrusie i uczynić go naszym wspólnym dziełem. Tak więc gdy księżna następnym razem będzie potrzebowała godnego uwagi prezentu, nie będzie zawiniętego w papier obrusa i to Edyta będzie musiała dopilnować zrobienia kolejnego, choć nie będzie miała na poddaszu pary rąk, którą mogłaby przy tym zatrudnić. Teraz Irina miała prezent, który musiała dać, ponieważ oszczędziłam jej urodę na tyle, by ojciec nie trzymał jej na poddaszu, gdzie zostałaby dodatkową parą rąk do pomocy bratowym; nałożył koronę na te czarne lśniące włosy, które cesałam, i oddał ją za żonę demonowi.

– No cóż, oczywiście, skoro włożyłaś weń tyle pracy – powiedziała Edyta, teraz nieco swobodniej, bo przyjął ją jej przeprosiny.

Wszyscy troje uśmiechnęli się do mnie z ulgą, ponieważ byłem zbyt stara i zmęczona, żeby podjąć z nimi tę grę i traktować ich tak szorstko, jak powinnam, skoro miałam carycę za panią, ani kazać im zbyt drogo płacić za ich dawne przewiny wobec mnie; byłoby to zbyt trudne. No i pragnęłam tylko znów zakraść się na górę do tych pokoików, przysunąć krzesło do kominka i zamknąć drzwi. Było jednak za późno.

Dopiliśmy herbatę i Edyta przyniosła mi obrus, a Nolius narysował plan ulic, zaznaczając na nim dom Moszela, i zabrałam oba na górę. Księżę stał na balkonie z Iriną. Ich zwrócone ku sobie twarze były ciemnymi konturami rozdzielonymi szarym niebem, lustrzanym wzorem na tkaninie; była równie wysoka jak on i miała jego nos. Ze spuszczoną głową umknęłam w kąt i czekałam kilka minut, dopóki nie wyszedł.

– Dziękuję, Magro – powiedziała z roztargnieniem po powrocie do pokoju, patrząc na leżący na łóżku i wystający z papieru obrus. Wzięła drewniane pudełko na biżuterię i otworzyła je: na jego dnie leżał gruby srebrny łańcuch i dwanaście świec z białego wosku. Na tym wszystkim położyła obrus. Dotknęła go machinalnie palcami; nie myślała o obrusach, nitkach ani czasie potrzebnym do ich zrobienia. Nie musiała tego robić. Pozwalałam jej spać, dlatego teraz mogła myśleć o koronach i demonach, a musiała myśleć, inaczej by zginęła.

Zamknęła pudełko, gdy do komnaty wszedł car, a za nim tłum służby: przyszedł się przebrać. Zimno spojrział na Irinę.

– Nie masz niczego innego, co mogłabyś włożyć? – zapytał, opadając na krzesło i wyciągając nogi.

Słudzy ściągnęli z nich buty, a wtedy wstał, wyszedł na środek pokoju i nie ruszał się, gdy skoczyli, by zdjąć z niego płaszcz, pas, koszulę i spodnie, wszystko.

– Masz tę błękitną suknię – szepnęłam do Iriny.

Szyłam ją dla niej. Postanowiłam ukończyć ją później, ponieważ i tak nie byłaby gotowa na czas, żeby umieścić ją w skrzyni posagowej, a nie była dostatecznie okazała dla carycy; miała ją nosić przy stole ojca, żeby podkreślała jej grube warkocze i dodawała trochę koloru jej twarzy. Potem jednak odjechała z carem saniami razem ze swoją skrzynią, a ja zostałam sama w zimnych komnatach. Wkrótce zrozumiałam, że umieszczą w nich ze mną kilka innych służących, ale miałam nadzieję, że przynajmniej pozwolą mi tam zostać, więc wyjęłam tę błękitną suknię i pracowałam nad nią, chociaż bolały mnie ręce, zamierzając przeznaczyć ją dla księżnej, zejść na dół i dać Palmirze tak, żeby żona księcia to widziała. Miałam nadzieję, że ta suknia wystarczy, żeby pozwolono mi nadal dla niej szyć. Tak więc

została ukończona.

Irina skinęła głową. Nie poszłam sama po suknię. Wyszłam z komnaty, znalazłam jedną z pokojówek i kazałam jej przynieść suknię na dół z tych zimnych komnat na górze, a ona zrobiła to, ponieważ byłam teraz dostatecznie ważną osobą, by przez godzinę pić herbatę z Palmirą, Noliusem i Edytą. Wróciłam do środka, a Irina znów stała przy drzwiach na balkon i patrzyła na las, podczas gdy car stał zupełnie nagi przed kominkiem, odmówiwszy włożenia różnych części garderoby, powyciąganych z sakw i pudeł piętrzących się niczym blanki twierdzy w tym pokoiku. Oczywiście nie zwracał na nas uwagi, ale nie dlatego, że byliśmy służbą: nawet Galina i książę nie staliby w nieskończoność nago przed lustrem, przymierzając każdą koszulę ze swojej garderoby, jakby uważali, że nie muszą się wstydić swojej nagości. Tymczasem car sprawiał wrażenie, że równie dobrze mógłby wyjść tak z pokoju i pokazać się wszystkim; jakby trzymał się ubieraniem tylko dla piękna swych strojów; i gdyby żaden go nie zadowolił, nie facygowałby się tym, zmuszając wszystkich do odwracania oczu lub udawania, że nie paraduje przed nimi nago.

Jednak dla Iriny rozstawiłam parawan w kącie pokoju, a potem dziewczyna przysłała z błękitną suknią i tam pomogłyśmy Irinie ją włożyć. Kiedy skończyłyśmy, złożyłyśmy parawan, a car był już ubrany, a przynajmniej prawie: miał na sobie płaszcz z czerwonego aksamitu oraz czerwoną kamizelkę ze srebrnym haftem i właśnie wkładano mu ładne buty z rzędami czerwonych błyszczących kamieni na szwach. Wstał, odwrócił się i z zimnym niezadowoleniem spojrział na Irinę.

– Wynoście się – powiedział do nas wszystkich i musiałam wyjść.

Obejrzałam się na nią od drzwi, ale nie wyglądała na przestraszoną; stała i patrzyła na niego spokojnie, moja opanowana cicha dziewczynka, z twarzą niezdradzającą żadnych uczuć.

Wyszli chwilę później i jej suknia nie była ta sama; szersza i pełniejsza, a błękit z ciemnego granatu w talii przechodził w bladoszary na dole, z wodospadem wylewających się spod niego haleczek, obrębiony srebrnym haftem z mrugającymi do mnie czerwonymi klejnocikami, których wcale tam nie naszyłam. W ramionach trzymała swoją szkatułkę z biżuterią, a długie rękawy oraz letni welon były teraz cienkie jak muślin i również ozdobione czerwonymi kamykami, jakby opryskał ją kropelkami krwi utoczony z jego czerwonego płaszcza. Zacisnęłam dłonie i spuściłam oczy, żeby nie patrzeć, gdy przechodzili obok. Zrobiłam tę suknię tak samo jak tamten obrus, w trudzie i znoju, więc wiedziałam, ile pracy wymagała. Wiedziałam także, ile kosztowałaby ta suknia, w którą ją odział, i nie chciałam myśleć, czym za nią zapłacił.

Wanda i Siergiej zeszli na dół, żeby pomóc przy weselu.

– Przyjdiesz, Steponie? – zapytał mnie Siergiej, lecz ja zadrżałem na wspomnienie wszystkich tych ludzi słoczonych w pokojach i na ulicach. Było ich tam więcej, niż sądziłem, że mieszka na całym świecie. Dlatego nie zgodziłem się, a oni mnie nie zmuszali, tylko poszli, i po jakimś czasie słońce zaczęło zachodzić, a mnie przestało się podobać, że jestem sam w tym pokoju. Nie miałem tam nikogo, nawet kóz, a Wanda i Siergiej sobie poszli. A jeśli znowu odeszli? A jeśli ktoś przyszedł, szukając ich, i musieli uciekać? Otworzyłem okno, wystawiłem przez nie głowę i popatrzyłem w dół, a kiedy to zrobiłem, usłyszałem dobiegający z dołu zgiełk. Przed domem było wielu ludzi i kilka koni, ale chociaż przez okno jeszcze zaglądało słońce, to na dole było już ciemno i nie widziałem ich twarzy. Nie widziałem Wandy ani Siergieja. Była tam jedna kobieta o żółtych włosach, ale nie byłem pewny, czy to ona.

Schowałem głowę, ale w tym domu było tak głośno i tak pełno ludzi, że słyszałem hałas, nawet kiedy zamknąłem okno. Wpadał przez kominek i szparę pod drzwiami. Robiło się coraz głośniejsze, a potem zaczęła grać muzyka. Była głośna i ludzie tańczyli przy niej. Dudniła w moich stopach, nie tylko w uszach. Usiadłem na łóżku, zatkałem uszy rękami i wciąż czułem, jak rozchodzi się w całym domu.

To trwało i trwało. Na zewnątrz było już całkiem ciemno i teraz naprawdę zacząłem się bać, bo Wanda i Siergiej nie miałoby powodu, żeby zostać na dole w tym hałasie, chyba że przydarzyło im się coś złego. Przyciskałem twarz do kolan i zasłaniałem głowę rękami, aż nagle usłyszałem pukanie do drzwi. Nie powiedziałem: „Wejść”, bo musiałbym odsłonić głowę, ale pani Mandelsztam i tak weszła do pokoju.

– Stepon, wszystko w porządku? – spytała.

Wiedziałem, że właściwie wcale mnie nie pyta. Myślała o czymś innym. Kiedy jednak nie odpowiedziałem i nie podniosłem głowy, naprawdę się zainteresowała. Podeszła do stołu, wzięła świeczkę, którą nam zostawiła, oderwała od niej dwie bryłki wosku i dmuchała na nie, aż ostygły.

– Masz, Steponie – powiedziała. – Zatkaj sobie uszy woskiem.

Pomyślałem, że spróbuję. Na moment odjąłem dłonie od uszu i wziąłem od niej wosk. Był jeszcze ciepły i miękki. Wepchnąłem go sobie do ucha, a on wypełnił otwór i przestał być taki ciepły i tym uchem nie słyszałem już bardzo głośnych dźwięków. Nadal czułem je swoim ciałem, ale trochę przycichły. Byłem bardzo zadowolony. Wziąłem drugą bryłkę wosku i zatkałem sobie także drugie ucho.

Pani Mandelsztam pogłaskała mnie po głowie. Podobało mi się to. Ona jednak znów myślała o czymś innym. Rozejrzała się po pokoju, jakby tego szukała

zmartwiona.

– Czy z Wandą i Siergiejem wszystko w porządku? – zapytałem, ponieważ to przypomniało mi, że się niepokoiłem. Tak się ucieszyłem, że hałas przycichł, że na moment o tym zapomniałem.

– Tak, są na dole – odparła pani Mandelsztam. Przez wosk w moich uszach jej głos brzmiał zabawnie i jak z oddali, ale nadal rozumiałem, co mówi.

Zatem znów byłem zadowolony i przestałem się martwić, ale ona nie, więc zapytałem:

– Czego pani szuka?

Rozglądała się po pokoju, a potem spojrzała na mnie.

– Wiesz co? Zapomniałam. Czy to nie głupie? – Uśmiechnęła się, choć nie zamierzała tego robić. Nie był to prawdziwy uśmiech. – Chcesz zejść na dół i zjeść kilka makaroników?

Nie wiedziałem, co to takiego, ale pomyślałem, że jeśli ktoś zszedł w ten zgiełk na dole, żeby je jeść, to muszą być naprawdę dobre, i było mi przykro, że nie mogę pomóc jej przypomnieć sobie, co zapomniała.

– Dobrze – powiedziałem. – Spróbuję.

Wyciągnęła do mnie rękę, a ja ująłem ją i razem zeszliśmy na dół. Hałas stał się głośniejszy, ale nie aż tak głośny, jak się obawiałem. W miarę jak się zbliżaliśmy, przestawał być jedynie dudnieniem. Teraz słyszałem muzykę i ludzi śpiewających słowa, chociaż wosk nie pozwalał mi ich zrozumieć. Wydawali się szczęśliwi. Pani Mandelsztam zaprowadziła mnie do dużego pokoju: dużego i pełnego ludzi. Znów się bałem, ponieważ niektórzy z nich mieli czerwone twarze, donośne głosy i cuchnęli wódką, ale nie byli rozgniewani. Śmiali się, wesoło pokrzykiwali i tańczyli wszyscy razem, trzymając się za ręce i tworząc koło, choć nie było to prawdziwe koło, gdyż pokój nie był dość duży, więc ledwie się w nim mieścili i deptali sobie po nogach, ale wydawali się na to nie zważać. Pomyślałem o tym, jak byłem na górze z Wandą oraz Siergiejem i trzymaliśmy się za ręce; tak to wyglądało. Siergiej był z nimi, a w środku tego kręgu tańczył jakiś młodzieniec, a wszyscy inni po kolei wchodzili do koła i tańczyli z nim.

Poszliśmy do następnego pokoju, który był pełny tańczących kobiet, a na środku tańczyła kobieta w czerwonej sukni zdobionej lśniącym srebrnym haftem, mająca na głowie welon sięgający prawie do podłogi. Była roześmiana i bardzo ładna. Pani Mandelsztam zaprowadziła mnie do stołu pod ścianą, gdzie były wolne krzesła i talerz z ciastkami, które były lekkie i słodkie, jakby ktoś upiekł obłok. Postawiła go przede mną i dała jeszcze inne jedzenie, mnóstwo jedzenia; grube plasterki miękkiego mięsa, jakiego jeszcze nigdy nie jadłem, a które nazwała wołowiną, pieczoną kurę i rybę, i ziemniaki, i marchewki, i kluski, i zielone warzywa, i wielki

kawał miękkiego słodkiego chleba. Siedziałem tam i jadłem, jadłem i jadłem, i wszyscy byli szczęśliwi, i ja też, tylko pani Mandelsztam siedziała obok mnie i nie była. Wciąż rozglądała się po pokoju, szukając tego czegoś, czego tam nie było. Ludzie wciąż przychodzili i rozmawiali z nią, na chwilę odwracając jej uwagę, tak że zapominała szukać tego czegoś, ale gdy odchodzili, przypominała sobie i znów zaczynała się rozglądać.

– Gdzie jest Wanda? – spytałem ją.

– Wanda jest w kuchni, skarbie, pomaga roznosić potrawy – powiedziała pani Mandelsztam, a ja zobaczyłem ją tam, gdzie wskazała palcem, więc to nie jej szukała. Spoglądała na pannę młodą, znów tańczącą w środku koła, i próbowała się uśmiechnąć, ale jakoś nie mogła.

Wszyscy zaczęli klaskać i mężczyźni wchodzili do pokoju z panem młodym na czele. Ludzie wstali z krzeseł i przesuwali je razem ze stołami pod ściany, a kobiety zaczęły robić w swoim kręgu miejsce dla mężczyzn, żeby i oni mogli z nimi tańczyć. Jeden z mężczyzn wziął krzesło, na którym nikt nie siedział, i postawił je na środku, a pan młody usiadł na nim, a jedna z kobiet postawiła na środku ich kręgu krzesło dla panny młodej. Chciałem zobaczyć, co będą robić, ale nic nie zrobili. Znieruchomieli nagle, bo ktoś zapukał do drzwi.

W tym pokoju panował taki gwar. Wszyscy śpiewali, śmiali się i rozmawiali tak głośno, że prawie krzyczeli, gdyż inaczej nie słyszeli jeden drugiego, i grała muzyka. Jednak to pukanie było głośniejsze od tego wszystkiego. Było tak donośne, że przebiło się przez wosk w moich uszach i dwie jego grudki upadły na podłogę. Tyle że nawet bez wosku gwar w pokoju już mi nie przeszkadzał, bo zupełnie ucichł, gdy rozległo się to stukanie. Nikt nic nie mówił i muzyka przestała grać.

W bocznej ścianie pokoju były wielkie drzwi prowadzące na dziedziniec i to do nich ktoś pukał. Po chwili zrobił to znowu. Poczulem to tak, jak przedtem na poddaszu muzykę rozchodzącą się po całym domu. Dudnienie. Przeszywało mnie do kości i przerażało.

Wtedy pani Mandelsztam nagle wstała i przebiegła przez pokój, przepychając się przez tłum, a pan Mandelsztam zrobił to samo w kręgu mężczyzn, po czym razem złapali drzwi i otworzyli je na oścież. Nikt ich nie powstrzymywał. Chciałem powiedzieć: „Nie, nie, nie”, ale nie mogłem. Chciałem zakryć głowę rękami, ale pomyślałem, że tylko wyobrażałbym sobie coś gorszego, niż cokolwiek było za tymi drzwiami.

Jednak nie wyobraziłbym sobie niczego straszniejszego. Stał tam Starzyk.

Siergiej i Wanda byli przy mnie. Podeszli, gdy usłyszeli pukanie, i teraz stali obok mnie, a Siergiej trzymał rękę na oparciu mojego krzesła. Był taki wysoki, że

dobrze widział nad głowami ludzi; usłyszałem, jak wciągnął powietrze przez zęby, i pomyślałem, że się boi. Ja też się bałem. Wszyscy się bali. To był Starzyk. Właściwie było ich dwoje w koronach na głowach – król i królowa. Oni też trzymali się za ręce. Król był równie wysoki jak Siergiej. Królowa nie, lecz miała tak wysoką koronę, że była w niej niemal równa mu wzrostem. Korona była ze złota, a suknia królowej złocistobiała. Stali w progu i nikt się nie ruszał.

Potem z tłumu wyszedł jakiś mężczyzna. Był stary, miał białą brodę i białe włosy. Stał przed Starzykiem i rzekł:

– Jestem Aron Moszel. To mój dom. Czego tu chcecie?

Gdy starzec to powiedział, Starzyk wyprostował się i spojrzał na niego z góry. Bałem się, że coś mu zrobi. Pomyślałem, że może wyciągnąć do niego rękę i dotknąć go, a wtedy starzec upadnie i będzie leżał na podłodze tak jak Siergiej w lesie, jakby nie zostało w nim ani trochę życia. Jednak zamiast tego Starzyk odparł:

– Przybyliśmy tu na zaproszenie, aby spełnić obietnicę mojej pani, która przyrzekła zatańczyć na weselu kuzynki.

Jego głos był jak chrzęst drzewa pokrytego lodem. Potem obrócił głowę do królowej, a wtedy pani Mandelsztam krzyknęła, królowa popatrzyła na nią i uświadomiłem sobie, że ona wcale nie jest Starzykową. Była tylko dziewczyną w koronie i płakała, a pani Mandelsztam też, więc wtedy pomyślałem, że to jej córka, i w końcu przypomniałem sobie: pani Mandelsztam miała córkę. Miała córkę, której na imię było Mirjem.

Wszyscy nadal milczeli, a potem ten starzec, pan Moszel, rzekł:

– Zatem wejdźcie i radujcie się z nami.

A ja znów pomyślałem: „Nie, nie, nie”, ale to nie był mój dom, tylko jego, i Starzyk wszedł z Mirjem. Na środku stały dwa wolne krzesła i oni na nich usiedli. Nawet wtedy nikt nic nie mówił i nie ruszał się. Tylko pan Moszel odwrócił się do muzyków.

– To jest wesele! Grajcie! Grajcie horę! – zawołał stanowczo i gniewnie.

Wtedy muzycy zaczęli cicho grać, a on klaskał im do wtóru, zwrócony twarzą do pokoju, pokazując nam, co robić, więc powoli wszyscy inni też zaczęli klaskać i tupać, jakby usiłowali narobić hałasu, który dorównałby głośnością temu stukaniu do drzwi.

Nie sądziłem, żeby ktoś zdołał tego dokonać. Byliśmy tylko ludźmi. Jednak muzykanci zaczęli grać głośniej i wszyscy zaczęli śpiewać, a ta pieśń wciąż rosła i wszyscy wokół nas wstawali, żeby dołączyć do tych, którzy już stali. Wzięli się za ręce i znów zaczęli tańczyć, wszyscy; dzieci mniejsze ode mnie wstawały i tańczyły, i bardzo starzy ludzie też: wprawdzie przeważnie pozostawali poza

kręgiem i tylko klaskali, ale wszyscy inni znów krążyli w tanecznych kołach, w jednym mężczyźni, a w drugim kobiety. Państwo młodzi byli w środku kręgów, jakby wszyscy chcieli, by byli bezpieczni.

Nagle ludzie jednocześnie ruszyli do środka tych kręgów, podnosząc ręce, a potem wrócili na poprzednie miejsca. Wszyscy tańczyli oprócz mnie, Wandy i Siergieja. My staliśmy poza kręgami, patrząc i bojąc się, a po drugiej stronie pokoju Starzykowy król i Mirjem siedzieli na krzesłach, również tylko patrząc. On wciąż trzymał ją za rękę. Koło wirowało przed nami, pełne obcych ludzi, których nie znałem, ale potem zobaczyłem zbliżającą się do nas panią Mandelsztam, która puściła dłoń kobiety obok i wyciągnęła rękę, a Wanda podała jej swoją.

Pan Mandelsztam zbliżał się do nas w drugim kole. Nie chciałem dołączyć do kręgu. Chciałem wpełznąć pod stół i tam siedzieć. Jednak pani Mandelsztam prosiła nas: chciała, żebyśmy przyszli i pomogli zamknąć te koła, a ja byłem przestraszony i nie chciałem, lecz Wanda wstała i weszła w krąg, a ja nie mogłem pozwolić jej iść samej, więc gdy pan Mandelsztam wyciągnął do mnie rękę, ująłem ją, podałem Siergiejowi moją i też zaczęliśmy tańczyć.

Wtedy już tańczyli wszyscy w całym domu oprócz Starzyka i Mirjem. Jednak koło wciąż wirowało, a potem pani Mandelsztam wyciągnęła rękę do Mirjem. Nie chciałem, żeby to robiła, nie chciałem tańczyć ze Starzykiem i jego królową, nawet jeśli była córką pani Mandelsztam. Ona jednak wyciągnęła rękę i Mirjem ją ujęła, a potem wstała i została wciągnięta do kręgu, a Starzykowy król nie puścił jej dłoni. On też wstał i zaczął tańczyć razem z nią.

Gdy zaczął tańczyć, zdarzyło się coś dziwnego. Wirowaliśmy w dwóch kołach, lecz po tym, jak dołączył do tańczących, było tylko jedno, z nami wszystkimi, i trzymałem dłoń Wandy, chociaż nie puściłem ręki pana Mandelsztama. A gdy tak krążyliśmy, wszyscy starzy ludzie poza kręgiem zaczęli do nas dołączać i tańczyć, chociaż byli starzy, a dzieci tańczyły, nawet jeśli były za małe, żeby dosięgnąć dłoni dorosłych.

I miejsca starczało dla wszystkich, mimo że już wcześniej było tłoczno. Już nie byliśmy wewnątrz. Nad naszymi głowami nie było sufitu. Byliśmy na zewnątrz, na śnieżnej polanie otoczonej białymi drzewami, tak białymi jak drzewo mamy, a wielki szary krąg nieba nad naszymi głowami nie wiedział, czy to dzień, czy noc. Byłem zbyt pochłonięty tańcem, żeby czuć strach lub zimno. Nie umiałem tańczyć ani śpiewać tej piosenki, lecz to nie miało znaczenia, ponieważ wszyscy w kręgu mi pomagali i podtrzymywali, i ważne było tylko to, że postanowiliśmy tam być.

Państwo młodzi wciąż siedzieli na krzesłach w środku koła. Mocno trzymali się za ręce. Tańcząc, zbliżaliśmy się do nich, a potem oddalaliśmy, a wtedy kilku mężczyzn wyszło z kręgu, nie przestając tańczyć. Wyszli na środek, pochylili się,

złapali krzesła i podnieśli je razem z siedzącymi na nich młodymi, po czym zaczęli ich nosić wokół, podnosząc i opuszczając, i wciąż śpiewając tę piosenkę. Była tak donośna, że naprawdę głośniejsza od Starzykowego stukania w drzwi. Tak donośna, że czułem ją całym sobą, ale nie przerażała mnie tak, jak wcześniej tamten zgiełk. Nie miałem nic przeciwko temu, że we mnie jest. Czułem się tak, jakby moje serce biło w jej rytmie, i brakowało mi tchu, ale byłem szczęśliwy. Wszystko tańczyło. Drzewa także tańczyły, kołysząc gałęziami, a ich liście szeleściły, jakby śpiewając.

Wciąż tańczyliśmy, i to coraz szybciej, ale nie czułem zmęczenia. Mężczyźni noszący krzesła męczyli się, ale inni podbiegali, żeby ich zmienić i dalej nosić wkoło państwa młodych. Nawet Siergiej raz przyszedł im z pomocą, widziałem, jak szedł, a potem wracał. Wszyscy wirowaliśmy i nikt z nas nie chciał, żeby to się skończyło. Tańczyliśmy i tańczyliśmy pod tym szarym niebem, a ja myślałem, że może po prostu już zawsze będziemy tak tańczyć, ale niebo zaczęło ciemnieć.

Nie pociemniało tak jak o zachodzie słońca. Stało się ciemniejsze jak po rozejściu się chmur w zimową noc; najpierw ich część odpłynęła i pozostawiła kawałeczek czystego nieba, a potem coraz więcej i więcej, aż nad naszymi głowami było tylko czyste nocne niebo, a na nim wszystkie gwiazdy świecące nad naszymi głowami, lecz nie takie, jakie są wiosną; to były zimowe gwiazdy, bardzo jasne i migoczące na tym czystym niebie, a wszystek śnieg pod naszymi stopami oraz białe kwiaty na drzewach mrugały do nich w odpowiedzi. Wszyscy przestaliśmy tańczyć i staliśmy, patrząc na nie razem, a potem nagle już nie byliśmy na zewnątrz, tylko znów wewnątrz tego domu, i wszyscy śmiali się i klaskali, ponieważ śpiewaliśmy piosenkę. Pomimo Starzyka, pomimo zimy, śpiewaliśmy piosenkę.

Nagle jednak rozległ się głośny brzęk, jak uderzenie kościelnego dzwonu, tylko bliżej, tuż za drzwiami, i wszyscy przestaliśmy się śmiać. To bicie dzwonu obwieszczało północ. Dzień przeminął i piosenka również. Muzyka przestała grać. Wesele się skończyło, a Starzyk wciąż tam był. Śpiewaliśmy piosenkę na przekór jemu, ale to nie skłoniło go do odejścia. Stał na środku pokoju i nadal trzymał rękę Mirjem.

Odwrócił się i rzekł do niej:

– Chodź, moja pani, tańce się skończyły.

Gdy to powiedział, wszyscy odsunęli się od niego najdalej jak mogli. Ja i Siergiej też chcieliśmy to zrobić, ale zatrzymaliśmy się, ponieważ Wanda trzymała nas za ręce i nie ruszyła się.

Pani Mandelsztam nadal trzymała drugą rękę Mirjem, a ścisnęła ją mocno i też się nie ruszyła. Stała tam z Mirjem i nie puszczała jej, a pan Mandelsztam trzymał

ją. Mirjem też nie chciała ich puścić. Starzyk patrzył na nich groźnie, marszcząc brwi jak błyszczące lodowe sopte.

– Puśćcie ją, śmiertelnicy, puśćcie – powiedział. – Otrzymała ode mnie tylko jeden wieczór tańców. Nie możecie jej zatrzymać. Teraz jest moją panią i już nie należy do słonecznego świata.

Jednak pan Mandelsztam nie puszczał jej i pani Mandelsztam też. Spoglądała na Starzyka, a jej twarz była biała i zboląła. Nic nie powiedziała, tylko lekko pokręciła głową. On podniósł rękę, ale Mirjem krzyknęła: „Nie!” i próbowała uwolnić dłoń z uścisku pani Mandelsztam, lecz ta wciąż jej nie puszczała, a wtedy drzwi w bocznej ścianie pokoju znów się otworzyły, tak gwałtownie, że wszyscy w pobliżu nich musieli odskoczyć. Z trzaskiem uderzyły o ścianę.

W drzwiach stanęła druga para władców. Tylko ona nosiła koronę, ale wiedziałem, że to car i caryca, ponieważ widzieliśmy ich tego dnia na saniach, jak przejeżdżali przez bramę, przed którą tak długo czekaliśmy. Car spojrział przez pokój na Starzyka i zaśmiał się tak, jak śmieje się ogień, a Starzyk znieruchomiał.

– Irino, Irino – rzekł car. – Dotrzymałaś obietnicy i on tu jest! Daj mi łańcuch!

Caryca otworzyła pudełko, wyjęła srebrny łańcuch i podała mu go, a on wszedł do pokoju, szczerząc zęby w uśmiechu. Nikt z nas nie stanął mu na drodze. Wszyscy przyciskaliśmy się do ścian jak najdalej od niego.

– Myślisz, że tak łatwo mnie schwytasz, pożeraczu? – spytał Starzyk. – Nigdy wcześniej nie widziałem twojej twarzy, ale znam twoje imię, Czarnobogu.

Doskoczył do niego i oburącz złapał łańcuch. Nagle lód skuł wszystkie ogniwa, długie kolce sopli wyrosły z nich w mgnieniu oka jak pod tchnieniem śnieżycy, dosięgając dłoni cara i wspinając się wyżej. Car zawył i puścił łańcuch. Starzyk z trzaskiem rzucił go na podłogę, po czym na odlew uderzył cara w twarz.

Czasem tato tak bił mnie, Wandę, a nawet Siergieja, a tato był duży i silny, ale nawet kiedy on mnie uderzył, ja tylko padałem na ziemię. Tymczasem gdy Starzyk uderzył cara, to jakby zdzielił słomianą kukłę. Car przeleciał w powietrzu i nawet kiedy już upadł na podłogę, to jego ciało jeszcze sunęło po niej, aż rąbnęło w podium i część instrumentów powywracała się na niego z okropnym rumorem.

Myślałem, że pewnie nie żyje po takim ciosie. Kiedy tato wziął pogrzebacz, żeby uderzyć Wandę, myślałem, że ją zabije, jeśli to zrobi, ale nawet pogrzebaczem nie mógłby uderzyć jej tak mocno, żeby przeleciała przez pokój. Jednak car nie był martwy. Nawet nie leżał na podłodze, ciesząc się, że nie jest martwy, ani nie próbował uniknąć następnego ciosu. Wstał z podłogi. Nie podniósł się tak po prostu, tylko jakoś dziwnie się skręcił. Krew płynęła mu z ust, plamiąc odsłonięte zęby, i syknął na Starzyka, a kiedy syczał, ta krew zaczęła dymić i płonąć w jego ustach, i miał czerwone oczy.

– Uciekajcie! – zawołała nagle caryca. – Wszyscy uciekajcie z tego domu!

Jakby uwolniła ludzi z niewidzialnego uścisku. Wszyscy zaczęli wybiegać z pokoju. Niektórzy pędzili obok niej i przez otwarte drzwi na dziedziniec, inni do drugiego pokoju, w którym wcześniej tańczyli mężczyźni, a kolejni kuchennymi drzwiami. Panna młoda i pan młody uciekli tamtędy, trzymając się za ręce. Brano na ręce dzieci i pomagano staruszkom. Wszyscy umykali.

Pomyślałem, że my też powinniśmy, ale Wanda nie zamierzała. Mirjem próbowała skłonić panią Mandelsztam do ucieczki z wszystkimi, lecz ona też nie chciała iść. Obiema rękami trzymała dłoń Mirjem i nie puszczała.

– Ojczy, proszę! Mamo, on was zabije! – powiedziała Mirjem.

– Prędeż umrzemy! – zawołała do niej pani Mandelsztam.

– Ty uciekaj, uciekaj – mówił pan Mandelsztam, próbując ją objąć.

Mirjem pokręciła głową, odwróciła się i zawołała:

– Wando! Wando, proszę, pomóż mi!

Tak więc Siergiej i ja nie mogliśmy uciec, ponieważ Wanda podbiegła do niej. Mirjem popchnęła matkę ku Wandzie.

– Proszę, zabierz ją stąd! – zawołała.

– Nie! – krzyknęła pani Mandelsztam, wciąż ściskając jej dłoń.

Widziałem, że Wanda nie wie, co robić. Chciała spełnić życzenie Mirjem, ale także i polecenie pani Mandelsztam. Tak bardzo tego chciała, że nie mogła opuścić tego pokoju, więc ja również nie mogłem odejść, ponieważ nie zostawiłbym tam Wandy i Siergieja.

Przez cały ten czas car walczył ze Starzykiem. Jednak nie walczył jak car. Myślałem, że car będzie walczył mieczem. Siergiej czasem powtarzał mi bajki, które opowiadała mu mama, o rycerzach zabijających potwory. Kiedyś rycerz przejechał naszą drogą. Pasłem kozy i widziałem z daleka, jak nadjeżdża. Nie widziałem, jak używa miecza, ale szedłem wzdłuż drogi najdalej jak mogłem, żeby na niego patrzeć. Mogłem to robić bardzo długo, bo nie jechał szybko. Miał miecz i zbroję, a także dwóch chłopców, którzy prowadzili za nim zapasowego konia i muła z bagażem. Kiedy więc już go zobaczyłem i wiedziałem, jak wygląda rycerz, czasem na pastwisku walczyłem mieczem, tyle że to był kij, a ja tylko udawałem, że to miecz.

Myślałem, że car będzie jak rycerz, tylko we wspanialszej zbroi i z większym mieczem, ale on wcale nie miał zbroi. Nosił płaszcz z czerwonego aksamitu, który był wspaniały, ale teraz podarty, mokry i osmalony. I nie miał miecza. Walczył gołymi rękami i usiłował złapać Starzyka, ale nie mógł. Nie rozumiałem, dlaczego nie może, ponieważ Starzyk tam był, lecz ilekroć car próbował go złapać, już go tam nie było. A jeśli car złapał stojące mu na drodze krzesło lub stół albo oparł

dłoń o podłogę, pozostawiał wypalony ślad swojej dłoni. Jego twarz miała w sobie coś takiego, że nie mogłem zbyt długo na nią patrzeć, inaczej miałem wrażenie, że dotyka mnie tą płonąca dłonią i wkłada mi ją w głowę.

Pomyślałem, że on tak naprawdę nie jest carem. To był Czarnobóg – tak nazwał go Starzyk – czyli ktoś podobny do Starzyka, po prostu inny potwór. Nie chciałem, żeby Starzyk zwyciężył, ale nie chciałem też zwycięstwa Czarnoboga. Miałem nadzieję, że będą walczyć wiecznie, a przynajmniej dostatecznie długo, żebyśmy wszyscy zdołali uciec. Widziałem jednak, że Starzyk zwycięży. Czarnobóg był potworem, ale w ludzkim ciele. Na każdy jego chybiony cios Starzyk odpowiadał celnym uderzeniem i car był cały zakrwawiony. Jego twarz zrobiła się dziwna i obrzmiała; przypominała mi twarz taty, gdy wylała się na nią kasza. Nie chciałem patrzeć na jego twarz, ale nie mogłem oderwać od niej oczu. Bałem się, że jeśli to zrobię, Starzyk zwycięży. A potem zabije panią Mandelsztam i pana Mandelsztama. Nie sądziłem, że powstrzymam go spojrzeniem, i nie chciałem tego widzieć, ale także nie chciałem popatrzeć ponownie i zobaczyć, że tak się stało.

Caryca podbiegła do Mirjem, omijając walczących.

– Srebrny łańcuch! – zawołała. – Potrzebny nam srebrny łańcuch, żeby go spętać!

Wtedy pan Mandelsztam odwrócił się i podniósł leżący na podłodze srebrny łańcuch. Ten był rozerwany na dwie części i każda z nich wydawała się za krótka, żeby owinąć nią Starzyka. Jednak caryca uniosła ręce i zdjęła z szyi naszyjnik. Był ze srebra, błyszczący i piękny jak płatki śniegu sypiącego za oknem. Przewlekła jego koniec przez ostatnie ogniwo najpierw jednej, a potem drugiej części łańcucha i zapięła naszyjnik. Łańcuch znów był cały i długi. Wtedy pan Mandelsztam wziął go od niej.

Car znów z sykiem zaatakował Starzyka, chociaż teraz całą twarz miał czerwoną od krwi, i nie tylko twarz. Miał powyłamywane niektóre palce i nogi uginały się pod nim jak nadłamane gałęzie, ale wciąż usiłował go złapać. Starzyk uchylał się i wyglądało to tak jak wtedy, kiedy chwytasz muchę ręką i już myślisz, że złapałeś, lecz gdy otwierasz dłoń, jej tam nie ma i za chwilę znów bzyczy ci nad uchem. Tylko że on nie był muchą. Stał przy kominku. Kiedy zaczęli walczyć, znajdowali się na środku pokoju, ale w trakcie przesunęli się na sam jego koniec. Przez cały czas gdy walczyli, Starzyk cofał się coraz bliżej kominka. Robił to rozmyślnie i teraz znaleźli się tuż przy nim, a kiedy car kolejny raz nie zdołał go schwytać, Starzyk złapał jego.

Wielki obłok pary z sykiem wytrysnął spod dłoni Starzyka i wydawało się, że to go zabolęło, ale on nie puścił cara, tylko cisnął go do kominka i rzekł:

– Zostań tam, gdzie twoje miejsce, Czarnobogu! Zaklinam cię na twoje imię!

Z gardła cara wyrwał się straszliwy ryk niczym trzask ognia płonącego w jego szeroko otwartych ustach i oczach, ale całe jego ciało zwiotczało. Trzask zmienił się w głos, który rzekł: „Wstań! Wstań!”, jakby mówił do siebie, ale car nie usłuchał. Nie podniósł się. Leżał tam w kominku i nie ruszał się.

Starzyk stał nad nim, ściskając obolałe dłonie i patrząc, czy nie spróbuje wyjść z kominka. Wtedy pan Mandelsztam podbiegł do niego i spróbował zarzucić na niego łańcuch.

Nie widziałem tego, ponieważ przestałem patrzeć, gdy tylko zaczął biec. Myślałem, że Starzyk go zabije, i nie chciałem tego oglądać. Dlatego spuściłem głowę i zasłoniłem ją rękami, a potem pani Mandelsztam krzyknęła: „Josef!”, a Mirjem zawołała: „Nie!” i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie spojrzeć. Pan Mandelsztam leżał na podłodze i nie ruszał się. Myślałem, że nie żyje, ale potem poruszył się, więc nie był martwy, ale Starzyk nie był owinięty łańcuchem. Ten leżał na podłodze, daleko od niego. Pani Mandelsztam podbiegła do pana Mandelsztama i klęczała przy nim. Mirjem podbiegła, stanęła przed Starzykiem, po czym nagle zerwała z głowy koronę i z brzękiem rzuciła ją na podłogę.

– Nigdy z tobą nie wrócę, jeśli ich skrzywdzisz! – powiedziała bardzo głośno. – Prędzej umrę! Przysięgam!

Starzyk stał z podniesioną ręką, jakby zamierzał coś zrobić panu Mandelsztamowi, ale powstrzymał się, gdy to powiedziała. Nie chciał się powstrzymać; był rozgniewany.

– Jesteś utrapieniem jak letni deszcz! – krzyknął do Mirjem. – Chciał mnie spętać łańcuchem! Mam na to nie zareagować?

– Ty pierwszy zacząłeś! – zawołała. – Przyszedłeś i zabrałeś mnie!

Starzyk wciąż był zły, ale po chwili burknął coś i opuścił rękę.

– Och, dobrze!

Powiedział to tak, jakby niezbyt mu się to podobało, ale może jednak nie będzie się trudził zabijaniem pana Mandelsztama. Potem wyciągnął rękę do Mirjem.

– Teraz chodź! Już późno; czas minął i już nigdy więcej cię tu nie zabiorę, żeby znieważali mnie słabeusze, którzy ośmielają się myśleć, że mogą ci mnie odebrać!

Wskazał ręką drzwi. Te znowu się otworzyły i na zewnątrz nie było dziedzińca. Był ten las, w którym tańczyliśmy, ale teraz bez gwiazd. Było tylko szare niebo i czekające na nich sanie z zaprzężonymi do nich stworami.

Mirjem nie chciała z nim iść. Ja też bym nie chciał, więc współczułem jej, ale mimo to chciałem, żeby poszła. Chciałem, żeby ujęła jego dłoń, ponieważ wtedy zabrałby tylko ją i już nie wrócił. Wtedy Czarnobóg utknąłby w kominku, Starzyk by znikł, a my wszyscy bylibyśmy bezpieczni. Pan Mandelsztam i pani Mandelsztam nie umarliby. Bardzo chciałem, żeby z nim poszła.

Obejrzała się na rodziców, a wtedy zobaczyłem jej twarz i odetchnąłem z ulgą, ponieważ widziałem, że pójdzie. Było mi przykro, ponieważ płakała, a ja poczułem bolesny skurcz brzucha na myśl o tym, co by było, gdybym znalazł się na jej miejscu, gdyby pani Mandelsztam była moją mamą i musiałbym od niej odejść ze Starzykiem, ale mimo to byłem rad. I bałem się, że zmieni zdanie, ale nie zmieniła. Tylko obejrzała się jeszcze raz, żeby popatrzeć na nich, a potem, choć z płaczem, odwróciła się do Starzyka i zrobiła krok w jego stronę.

– Nie! – krzyknęła pani Mandelsztam, ale już nie ścisnęła Mirjem za rękę, tylko klęczała na podłodze, trzymając na kolanach głowę pana Mandelsztama, i była za daleko. Pomimo to wyciągnęła dłoń i zawołała: – Mirjem, Mirjem!

Starzyk gniewnie prychnął.

– Wciąż śmiesz się sprzeciwiać? – syknął na panią Mandelsztam. – Chcesz ją związać? Tej nocy zwycięstwo samo wpadło mi w ręce i pozeracz został pokonany! Teraz na jedno ludzkie pokolenie zamknę białą drogę i dostęp do mego królestwa, aż wszyscy, którzy znają imię mojej pani, umrą, i nie pozostawię wam nawet strzępów wspomnień, żebyście nie próbowali jej nimi usidlić!

Potem wyciągnął rękę, żeby ująć dłoń Mirjem i pociągnąć ją do drzwi. A ja byłem tak zadowolony z tego, że odchodzi, że nie zauważyłem w porę, co robi Wanda, i nie zdążyłem się przestraszyć ani odwrócić wzroku, tak więc widziałem, jak zarzuciła na niego łańcuch.

Natychmiast zrozumiałem, w jaki sposób wymknął się poprzednio, ponieważ teraz niemal zrobił to znowu. Okręcił się, uchylając się przed łańcuchem, lecz tym razem Mirjem rzuciła się na podłogę, a ponieważ trzymał ją za rękę, to stracił równowagę, a wtedy Wanda szybko opuściła rękę i owinęła go łańcuchem. Tak więc gdy się wyprostował, nadal był nim owinięty. Miał tak gniewną minę, że jego twarz zdawała się jarzyć białym blaskiem. Nie puścił dłoni Mirjem, tylko sięgnął drugą ręką, złapał końce łańcucha i pociągnął.

O mało nie zwałił Wandy z nóg, lecz Siergiej podbiegł do niej przez pokój i też złapał za łańcuch. Trzymał jeden jego koniec, a Wanda drugi, zapierając się nogami w podłogę, jakby próbowali wyrwać z ziemi pień, z tą różnicą, że ten pień też ich ciągnął, tylko w dół. Ja się bałem, bardzo się bałem, ale pomyślałem, że to tak samo jak z tańcem, więc wyszedłem spod stołu, przebiegłem przez pokój, złapałem za węzeł fartuszka Wandy oraz za sznur, którym był przepasany Siergiej, i zacząłem ciągnąć z nimi.

A wtedy Starzyk wydał z siebie okrzyk, który był jak odgłos kry pękającej na rzece z końcem zimy. To był straszliwie głośny dźwięk, aż zaboląły mnie uszy, ale nie puściłem i przestał krzyczeć. Tupnął nogą i rzekł gniewnie do Wandy:

– Bardzo dobrze, spętaliście mnie! Czego żądacie za uwolnienie mnie?

Na co Wanda odpowiedziała:

– Zostaw Mirjem i odejdź!

Mirjem nadal leżała na podłodze, próbując się uwolnić, lecz on mocno trzymał jej rękę.

Lśniący Starzyk obrzucił ją gniewnym wzrokiem.

– Nie! Spętaлиście mnie srebrem, lecz wasze ręce nie są dość silne, żeby mnie utrzymać. Nie oddam mojej pani!

Potem znów szarpnął się w pętach i próbował rozerwać nasz uścisk. Tyle że teraz nie tylko my go trzymaliśmy: pan Mandelsztam podniósł się z podłogi, podszedł i złapał koniec łańcucha trzymany przez Wandę, pani Mandelsztam ciągnęła razem z Siergiejem, a zarówno ona, jak jej mąż podtrzymywali mnie, dodając mi sił. Chociaż napinaliśmy łańcuch, Starzyk o mało się nie wyrwał, lecz w końcu nie zdołał tego zrobić, znieruchomiał i znów się rozszłościł.

– Czego żądasz za uwolnienie mnie? Poproś o coś innego albo drzyj przed tym, co zrobię, gdy się zmęczycie! – rzekł do Wandy.

Ona jednak pokręciła głową i powiedziała:

– Uwolnij Mirjem!

Na to on znów wydał z siebie okrzyk przypominający odgłos pękającej kry.

– Nigdy! – syknął. – Nie zostawię cię, moja królowo, moja złota pani; raz byłem głupcem, nie będę nim znowu!

I ponownie zaczął się szarpać tak wściekle, że ciągnął nas po podłodze, chociaż zapieraliśmy się w nią stopami. Pomyślałem, że nie utrzymamy go dłużej. Widziałem, że dłonie Wandy i Siergieja ześlizgują się z łańcucha. Wetknęli palce w ogniwa, ale pociły im się dłonie i łańcuch wysuwał się z nich ogniwo po ogniwie, a nie mogli zaryzykować i puścić go na chwilę, żeby poprawić chwyt, ponieważ Starzyk natychmiast by się uwolnił.

Jednak jeszcze raz utrzymaliśmy go i znieruchomiał. Zrobił trzy głębokie wdechy. Wielkie chmury pary buchały mu z ust, gdy dyszał. Potem wyprostował się na całą swoją wysokość i zaczął pokrywać się lodem. Najpierw przezroczystą cieniutką warstewką, którą zaraz zakrywała następna, pogrubiając ją, i tak raz za razem, a ten lód robił się kolczasty i kłujący, aż na twarzy czułem bijący od niego straszliwy chłód. Siergiej i Wanda odchylali się od niego, a on po łańcuchu pełził do ich palców.

Starzyk nie krzyknął ponownie na Wandę. Kiedy tym razem przemówił, jego głos brzmiał łagodnie, tak jak wtedy, gdy śnieg przestaje padać, wychodzisz na zewnątrz i wszędzie jest tak spokojnie.

– Puść, śmiertelniczko, puść i zażądaj ode mnie innej nagrody – powiedział. –

Dam ci worek klejnotów lub eliksir długowieczności; nawet oddam ci wiosnę

w zamian za twoją wytrwałość. Jednak żądasz zbyt wiele i jesteś zbyt śmiała, kiedy prosisz o moją królową. Zrób to jeszcze raz, a pošlę zimę w twoje ciało i wyrwę ci serce, żeby zamarzło zakrwawione na tym śniegu; nie masz czarodziejskich mocy, żadnej magii, a sama miłość nie da ci dość siły, żeby mnie przytrzymać.

Gdy to mówił, wiedziałem, że nie kłamie. Wszyscy to wiedzieliśmy. Mirjem podniosła się z podłogi. Przestała się wyrywać, gdy objął ją wpół.

– Wanda – powiedziała, dając do zrozumienia, że chce, żebyśmy puścili Starzyka.

Wanda jednak spojrzała na Mirjem i powiedziała: „Nie”. I to było nie, które powiedziała naszemu ojcu, gdy chciał ją pożreć.

Tamtego dnia nie chciałem powiedzieć mu nie. Nigdy przedtem nie mówiłem mu nie, ponieważ wiedziałem, że zbije nas, jeśli to zrobimy, a on i bez tego nas bił, więc wiedziałem, że zbije nas jeszcze mocniej, jeżeli powiemy nie. Nigdy nawet nie pomyślałem, żeby powiedzieć mu nie, obojętnie co robił, gdyż zawsze mógł zrobić coś gorszego. I kiedy Wanda powiedziała mu nie, ja też powiedziałem, ale tak naprawdę nie zamierzałem tego mówić, po prostu tak wyszło. Teraz jednak myślałem, że powiedziałem to, ponieważ nie mogłem zrobić mi nic gorszego, jak zacząć bić Wandę tym pogrzebaczem, aż zabiłby ją, a ja tylko stałbym tam i na to patrzył. Gdyby to zrobił, ja też chciałbym umrzeć, bo to nie byłoby takie złe jak tylko stanie i patzenie.

Teraz Wanda mówiła nie, bo Starzyk nie mógł zrobić jej nic gorszego, jak zabrać Mirjem. Nie byłem pewny, czy ja też tak uważam, ale potem pomyślałem, że gdybym go puścił, to zmusiłbym do tego panią Mandelsztam i pana Mandelsztama, ponieważ oni obejmowali mnie. A lepiej byłoby umrzeć, niż musieć patrzeć na panią Mandelsztam, gdybym to zrobił.

Jednak Starzyk też nie kłamał. To nie było tak jak wtedy z tatą, gdy przyszedł Siergiej i był silniejszy od niego, i wepchnął go w ogień. Siergiej już robił, co mógł, ale nikt z nas nie był równie duży i silny jak Starzyk. Tak więc wszyscy mieliśmy umrzeć. Nic nie mogliśmy na to poradzić, jedynie go wypuścić. A tego nie zamierzaliśmy zrobić.

Wtedy nagle usłyszeliśmy okropny ochrypły głos:

– Srebrny łańcuch go unieruchomi, a krąg ognia mocy pozbawi.

I wokół nas zapłonęło dwanaście świec. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że car znów wstał, a caryca rozmieściła wokół nas te świece, gdy usiłowaliśmy przytrzymać Starzyka, a potem podeszła do cara i pomogła mu podnieść się z kominka. Podtrzymywała go, a on wypowiedział te słowa swoimi pokaleczonymi ustami, chociaż każde wychodziło z czerwonymi pęcherzykami krwi. Wyciągnął rękę; trzęsa się, a palce miał powyłamywane, ale wskazał jednym świecą, które

natychmiast zapaliły się płomieniami niemal równie wysokimi jak one same.

Spętany łańcuchem Starzyk wydał zduszony jęk, a spowijająca go lodowa zbroja rozpadła się na kawałki, które z cichym brzękiem upadły na podłogę. Cały zrobił się biały. Wtedy car wybuchnął śmiechem, tyle że to nie śmiał się car, lecz Czarnobóg, potwór. To był straszny dźwięk, jak trzask płomieni. Potem chwiejnie wyszedł z kominka, a wtedy wszystkie te jego powyłamywane palce się wyprostowały. Gdy zrobił następny krok, jego wybity bark wskoczył na swoje miejsce i złamany nos też się wyprostował. Podchodząc do Starzyka, stopniowo cały się naprawiał, aż jego twarz znów była piękna, a podarty płaszcz dobry i już nawet nie mokry. Tyle że on wcale nie był dobry, nie było w nim niczego dobrego i zbliżał się do nas.

Podniósł rękę i machnął nią, a łańcuch wysliznął się z dłoni Wandy i Siergieja, po czym mocno owinął Starzyka, przywiązując mu ręce do boków. Mirjem uwolniła dłoń z jego uścisku i odskoczyła, a wtedy wszyscy pośpiesznie odsunęliśmy się jak najdalej od Czarnoboga. On jednak wcale nie zwracał na nas uwagi. Podszedł, stanął przed Starzykiem i uśmiechnął się do niego. Ostatnie ogniwo łańcucha po lewej otworzyło się jak szczeka i zamknęło na tym po prawej, pętając go jeszcze mocniej.

– Mam cię, mam cię – rzekł śpiewnie Czarnobóg.

Podniósł rękę, dotknął twarzy Starzyka jednym palcem i przesunął go po policzku oraz szyi. Buchnęła para, a Starzyk zacisnął zęby, bo to go zabolalo. Czarnobóg przymknął oczy i wydał z siebie trzeszczący radosny śmiech, tyle że była to radość z jakiegoś okropnego powodu. Chciałem znów zatkać sobie uszy woskiem, ale nie wiedziałem, gdzie jest. Ścisnąłem dłoń Wandy, Siergiej stał przed nami, a Mirjem i jej rodzice mocno się obejmowali.

– Powiedz mi – rzekł Czarnobóg do Starzyka. – Powiedz mi twoje imię.

Wyciągnął rękę i znów go dotknął. Starzyk zadrżał, ale szepnął:

– Nigdy.

Czarnobóg gniewnie prychnął i oparł dłoń o pierś Starzyka. Wielka chmura białej pary buchnęła spod jego palców i spowiła ich, a Starzyk krzyknął.

– Twoje imię, imię! – syknął Czarnobóg. – Jesteś spętany, mam cię i będę cię miał całego! Powiedz mi twoje imię! Nakazuję ci to mocą więzi!

Starzyk zamknął swoje straszne oczy i drżał w srebrnych pętach, a jego ściągnięta twarz wyostrzyła się, jakby została napięta. Dyszał, jakby nie był w stanie robić niczego innego, tylko oddychać i tylko o tym myśleć, lecz gdy przestał dyszeć, znów otworzył oczy i rzekł słabym, cichym głosem:

– Nie ty mnie związałeś, Czarnobogu; trzymasz moje pęta, ale niczego nie jestem ci winien. Nie pokonałeś mnie ani siłą, ani podstępem. Nie zapłaciłeś za to

zwycięstwo, pozorne, oszukańcze, więc niczego ode mnie nie uzyskasz.

Czarnobóg przeraźliwie zasyczał i odwrócił się do nas – do carycy.

– Irino, Irino, czego chcesz? Wskaż dar, a będzie twój, wymień nawet dwa lub trzy! Tylko przyjmij zapłatę z moich rąk i oddaj mi go naprawdę.

Caryca jednak odmownie pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Przyprowadziłam ci go, tak jak obiecałam, i to wszystko, co przyrzekłam. Niczego od ciebie nie wezmę. Zrobiłam to dla Litwasu, nie z chciwości. Czyż nie jest spętany? Czyż nie możesz przerwać jego zimy?

Czarnobóg był bardzo zły i zaczął krążyć wokół Starzyka, mamrocząc, trzeszcząc i sycząc pod nosem, ale nie zaprzeczył.

– Będę pożywiał się tobą każdego dnia – wymamrotał, owijając się wokół Starzyka, po czym rozorał palcami jego twarz, pozostawiając kolejne parujące bruzdy. – A każdy łyk będzie słodki i zimny. I każdy przypali cię do szpiku kości. Jak długo będziesz mi mówił nie?

– Zawsze – szepnął Starzyk. – Choćbyś ucztował na mnie do końca dni. Nigdy nie otworzę przed tobą bram mego królestwa i nie dostaniesz ode mnie niczego, czego byś nie ukradł.

– Ukradnę wszystko! – rzekł Czarnobóg. – Jesteś skuty i bezsilny. Ukradnę wszystkie owoce waszych białych drzew i pożrę je całe; wypiję twoją służbę i dworzan, rozwalę całą waszą górę!

– I nawet wtedy – rzekł Starzyk. – Nawet wtedy niczego ci nie dam. Mój lud zginie w ogniu, zachowując swe imiona w sercach; niczego nie dostaniesz od nich i ode mnie.

Czarnobóg wściekle ryknął i złapał go oburącz za policzki, a Starzyk krzyknął tak jak poprzednio, tylko gorzej, jak krzyczał tata, gdy kasza oblała mu twarz, a ja schowałem twarz w spódnicy Wandy i zakryłem uszy rękami, ale nie mogłem nie słyszeć tego krzyku, chociaż ona położyła dłonie na moich, żeby mi pomóc. Kiedy ucichł, cały drżałem. Starzyk klęczał na podłodze wciąż owinięty łańcuchem, a Czarnobóg stał nad nim i miał mokre dłonie. Włożył jedną do ust i oblizał, a gdy przesunął po niej językiem, znów była sucha.

– Och, jaki słodki smak, jakie przyjemne zimno! – powiedział. – Królu zimy, królu lodu, wyssam cię, aż staniesz się tak mały, że będę cię mógł schrupać, i co wtedy będzie warte twoje imię? Może podasz mi je teraz i spłoniesz, dopóki jeszcze jesteś wielki?

Starzyk cały zadrżał, a potem odparł bardzo słabym głosem: „Nie” i to było takie samo nie jak nasze, bo mówiło, że obojętnie co zrobi mu Czarnobóg, nie będzie to takie złe jak wyjawienie mu imienia Starzyka.

Czarnobóg zatrzeszczał z rozczarowania.

– A więc będę cię trzymał spętanego srebrem i ogniem, aż zmienisz zdanie i wyjawisz mi twe imię! Wezwij ich! – wrzasnął. – Wezwij ich, niech go zabiorą i ukryją!

Nagle zachwiał się i o mało nie upadł, zataczając się; przewracał krzesła, usiłując złapać równowagę, aż chwycił jedno, które nie runęło, i przytrzymał się go drżący, ze zwieszoną głową. Caryca nagle przeszła przez pokój do niego, a on na nią spojrzał tak, jak zwykła osoba patrzy na kogoś – już nie był Czarnobogiem.

– Straż – wykrztusił po chwili niemal szeptem i jego głos był piękny jak muzyka, chociaż powiedział to bardzo cicho.

Odwrócił się i wskazał na drzwi, tak jak przedtem na świece, tylko teraz jego palce były całkiem proste i drzwi się otwały. Na zewnątrz nie było sań, tylko pusty dziedziniec.

– Straż! – zawołał głośno car i na dziedziniec wybiegli strażnicy.

Ci ludzie mieli miecze i zbroje, lecz na widok Starzyka zatrzymali się, patrząc z lękiem. Zaczęli robić przed sobą znak krzyża.

Car już miał wskazać ich ręką, tak samo jak przedtem drzwi i świece, lecz caryca nagle złapała za nią i zmusiła, żeby ją opuścił.

– Odwagi! – powiedziała do tych ludzi. Oni wszyscy spojrzeli na nią. – To władca Starzyków, który sprowadził na nasz kraj przekleństwo zimy i z bożym błogosławieństwem został schwytany. Musimy go zamknąć w lochu, żeby znów sprowadzić wiosnę do Litwasu. Czy jesteście bogobojnymi ludźmi? Przeżegnajcie się, weźcie świece w dłonie i nieście je wokół niego! Trzeba też znaleźć sznur i przywiązać do łańcuchów, żeby go ciągnąć.

Wszyscy ci strażnicy wyglądali na bardzo wystraszonych, lecz jeden z nich, równie wysoki jak Siergiej, tylko z dużymi wąsami, powiedział do carycy:

– Wasza Wysokość, ja się odważę, dla ciebie.

Wyszedł, przyniósł z dziedzińca sznur, podszedł do Starzyka i bardzo mocno przywiązał sznur do łańcucha, a potem cofnął się skrzywiony i zobaczyłem, że czubki palców ma białe i bezkrwiste, jakby odmrożone. Pomimo to trzymał sznur, a kilku innych mężczyzn podeszło i pomogło mu ciągnąć. Starzyk już wstał, tak że nie musieli go wlec po podłodze. Inni strażnicy też podeszli, wzięli świece i otoczyli go.

Gdy jednak próbowali go wyciągnąć z sali, nie dał się. Zamiast tego odwrócił się i spojrzał na Mirjem. Ona stała z rodzicami i patrzyła na niego. Obejmowali ją, a ona miała zbolalą i zaniepokojoną minę, jakby wciąż się bała, chociaż Starzyk był spętany. On jednak nie próbował jej dopaść. Powiedział tylko, jakby był bardzo zdziwiony:

– Moja pani, nie sądziłem, że zdołasz mi się odpłacić, gdy bez twego

pozwolenia zabrałem cię z twego domu, ceniąc jedynie twój dar. Jednak odpłaciłaś mi z nawiązką. Dowiodłaś swej wartości, każąc sownie zapłacić za tę zniewagę, i to po trzykroć: moim życiem, moim królestwem oraz wszystkimi jego mieszkańcami, a chociaż oddajesz mój lud na pastwę ognia, nie mogę twierdzić, że mam dług do spłacenia. Tak jest sprawiedliwie.

Pokłonił się jej bardzo nisko, a potem odwrócił się i wyszedł ze strażnikami, a Mirjem przycisnęła dłonie do czoła i wyglądała tak, jakby miała się rozpłakać.

– Co mam robić? – powiedziała. – Co ja teraz zrobię?

Rozdział 20

Nie zaskoczyło mnie to, że ojciec mojej ukochanej carycy miał sekretny loch za murami miasta, z wejściem zakrytym matą z trawy i słomy. Był to taki sam rodzaj dokładnego i przemyślanego planowania, jakiego nauczyłem się już spodziewać po mojej drogiej małżonce; niewątpliwie dobrze ją wyuczył.

W murze żydowskiej dzielnicy były wąskie drzwi, na końcu zaułka między dwoma domami, niedaleko od tego, w którym odbywało się wesele. Irina zaprowadziła nas do nich. Starzyk szedł milcząco i sztywno wyprostowany jak rzeźba z soli, otoczony przez strażników ze świecami, a ja zamykałem pochód. Musieliśmy tworzyć niesamowity widok. Demon w moim brzuchu – Czarnobóg, i jakże miło było w końcu poznać imię mojego pasażera; po tylu latach wreszcie zaczęliśmy się lepiej zaznajamiać – wciąż wił się i mruczał z radości. Dobrze, że o tak późnej godzinie na ulicach nie było nikogo prócz pijaków i żebraków.

Doszedłszy do muru, Irina odsunęła zasłonę bluszczu i otworzyła drzwi kluczem wyjętym z sakiewki, po czym na jej rozkaz strażnicy zwarli szyk, otaczając naszego więźnia ciaśniejszym kręgiem świec, zanim ten wysoki, przystojny i zbyt zuchwały, który szedł na przedzie, przeciągnął go przez drzwi. Starzyk nie stawiał oporu, chociaż chwyt nie zdołałby przeciągnąć go siłą. Nadal czułem ból wszędzie tam, gdzie uderzył mnie Starzyk; zadawał ciosy, jakby walił młotem w kowadło, a ja byłem dla niego kawałkiem dobrze rozgrzanego metalu, który chciał spłaszczyć.

Pomimo to demon wciąż rzucał moje ciało do ataku, wściekle chwytając powietrze moimi powyłamywanymi palcami, gdy moje połamane żebra przebijały mi płuca, pęknięte biodra rozeszły się tak, że powłóczyłem nogami, a z obwisłej dolnej szczęki zęby powypadały jak kamyki. Myślę, że nawet gdyby została ze mnie miazga, Czarnobóg kazałby jej sączyć się po podłodze i pokryłby jego buty moją krwią. Gdy Starzyk w końcu wepchnął nas do kominka i kazał demonowi tam zostać, zaszlochałbym z wdzięczności i ulgi, gdyby wyświadczył mi tę grzeczność i ostatnim pożegnalnym kopniakiem zmiażdżył mi czaszkę, kończąc moje męki.

Jednak zostawił mnie tam. A potem moja słodka Irina przyszła i objęła mnie jakby w groteskowej próbie ukojenia. Gdyby chciała mnie naprawdę pocieszyć, powinna poderżnąć mi gardło. Ona jednak zamierzała mnie wykorzystać, ona także, gdyż jestem zawsze taki użyteczny; uklękła i pospiesznie powiedziała:

– Ognisty krąg. Możesz zapalić świece?

Chyba z początku tylko szlochałem, a może się śmiałem, o ile byłem w stanie wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Raczej dość mgliście to pamiętam. Ona jednak złapała mnie za ramiona i potrząsnęła.

– Zostaniesz tak uwięziony na wieki, jeśli go nie powstrzymamy! – warknęła, a ja z obrzydzeniem i zgrozą zrozumiałem, że ma rację.

Och, a już myślałem, że zaznałem losu gorszego niż śmierć; ależ byłem absurdalnie, śmiesznie naiwny. Nie zostałem tak ciężko poturbowany, żebym miał umrzeć, miałem tylko leżeć w tych węglach i popiele. Wyobrażałem sobie, jak wszyscy uciekają z tego domu i z sąsiednich domów przed moim koszmarnym poskręcanyim ciałem leżącym w kominku. Zabili by deskami okna i drzwi, a może nawet spaliliby cały budynek i pogrzebali mnie pod górą osmalonych belek, a ja na wieki leżałbym pod nią z demonem wciąż wyjąącym w moich uszach i pożerającym mnie z braku kogokolwiek innego.

Tak więc wstałem i wydusiłem z siebie słabe zaklęcia oraz strużkę magicznej mocy użyczonej przez demona jak ochłap rzucony posłusznemu psu. Uwięziłem Starzykowego króla dla mojej ukochanej carycy i równie ukochanego pana. I oto zostałem nagrodzony: znów byłem cały! Mogłem oddychać, nie czując bulgoczącej w gardle krwi! Mogłem stać, chodzić i patrzeć, i och, jakże byłem za to wdzięczny, chociaż wiedziałem, że nie uciekłem przed przeznaczeniem. Tylko trochę je odwlokłem. Taki los mnie czekał prędzej czy później. Czarnobóg nigdy nie pozwoli mi odejść, nawet w śmierć. Dlaczego miałby pozwolić? Nie musiał. Zostałem mu oddany bezwarunkowo, bez żadnych klauzul drobnym drukiem. W tej kwestii teraz i w przyszłości mogłem zrobić to, co zawsze, czyli nic. Tylko czepiać się tych rzucanych mi ochłapów życia, pożerać je, oblizywać tłuste palce i starać się czynić to życie znośnym, jeśli miałem taką możliwość.

Tak więc wdychałem nocne powietrze, patrzyłem na moje znów piękne, kształtne dłonie i podążałem za moją carycą i strażnikami przez ulice i te wąskie drzwi, ponieważ dopóki Czarnobóg mógł pożywiać się Starzykiem, ja nie miałem się czego bać. Czuję go, ociążałego, sytego w moim brzuchu, dobrze nakarmionego potwora, niemal sennego z zadowolenia. Niechby tak spał długo.

Za murem Irina zaprowadziła nas na wzgórze i pod nędzne drzewko, po czym kazała strażnikom ustawić świece kręgiem wokół Starzyka.

– Tej nocy przysłużyliście się Litwasowi i Bogu. Zostaniecie za to

wynagrodzeni. Teraz wracajcie do miasta i zanim pójdziecie do pałacu, idźcie do kościoła podziękować Bogu i z nikim nie rozmawiajcie o tym, co widzieliście tej nocy.

Pospiesznie umknęli, jako najwyraźniej rozsądni ludzie, oprócz tego jednego dzielnego chwata, który ostrożnie umieścił koniec sznura w kręgu świec, po czym spytał Irinę:

– Wasza Wysokość, czy mogę zostać i ci służyć?

Irina spojrzała na niego.

– Jak cię zwą? – zapytała.

– Timur Karimow, Wasza Wysokość – odparł.

Tak, bardzo ochoczo chciał jej usłużyć, to było oczywiste, aczkolwiek podejrzewałem, że prędzej czy później chciałby za to zapłatę. Gdy tylko to pomyślałem, uświadomiłem sobie, że ma tatarskie cechy: był śniady, przystojny i barczysty, a jak można było sądzić po wąsach, pod hełmem miał czarne oczy pasujące do jasnych oczu. A skoro Irina nie nalegała, żebym odegrał rolę ogiera, ktoś będzie musiał to zrobić.

– Timurze Karimowie, dowiodłeś swojej wartości – powiedziałem, a on z zaskoczeniem zauważył, że owszem, to jej mąż stoi obok, jej mąż car Litwasu, który mógłby wyłupić mu oczy, uciąć język, głowę i ręce, a potem przybić nad zamkową bramą, a wszystko to za wypowiedzenie jednego słowa. Poczuliśmy pewną satysfakcję, gdybym zobaczył jego lekkie zdenerwowanie, lecz on tylko spojrzał na mnie z przygnębieniem i zazdrością, jakby nie liczył na żadne jej względy, tylko tęsknie marzył z daleka o swoim ideale i chwilowo zapomniał, że ona jest dla niego nieosiągalna. Cóż, może ten brak ambicji dałoby się uleczyć. – Niniejszym mianuję cię dowódcą straży przybocznej carycy i obys chroniąc mój największy skarb, zawsze wykazywał taką odwagę jak dziś w nocy.

Najwyraźniej przesadziłem, bo doskoczył do mnie, przyklęknął, złapał za rękę i ucałował moją dłoń.

– Wasza Wysokość, przysięgam na moje życie – rzekł drżącym głosem, jakby odgrywał jakąś rolę w sztuce, ale zabrzmiało to tak, jakby naprawdę był bliski łez.

– Tak, doskonale – mruknąłem, zabierając rękę.

Irina patrzyła na mnie, lekko marszcząc brwi, jakby nie pojmowała moich pobudek; znacząco spojrzałem na pochyloną w ukłonie głowę czarującego młodego chwata, a wtedy jej policzki pokraśniały nieoczekiwanym panieńskim rumieńcem, kiedy ją olśniło. Jakby mogła nie rozumieć tego po tych wszystkich przemowach o sukcesji, które mi wygłosiła.

– No? – zwróciłem się do niej.

Nie miałem nic przeciwko temu, żeby trzymać Timura pod ręką; nikomu nie

powie o naszych tajemnicach, nie zdradzi pięknej i umiłowanej Jej Wysokości.

Irina widocznie też doszła do tego wniosku, ponieważ po chwili wskazała ziemię przed Starzykiem i powiedziała:

– Kop tutaj.

Odrzucenie kamieni zakrywających włącz nie wymagało wiele pracy; gdy tylko został odsłonięty, Irina zapukała w drzwiczki, a te po chwili uchyliły się i w półmroku ujrzałem twarz teścia. Skinął głową Irinie i odsunął się, żebyśmy mogli wprowadzić Starzyka. Najwyraźniej nie marnował czasu: kilofem wykuł w skale krąg i napełnił go węglami. Wokół stał krąg zapalonych świec tworzących drugi pierścień umocnień, a ich zapas leżał na taczce czekającej pod ścianą. Wszystko bardzo sprawnie zorganizował.

Timur wciągnął Starzyka do środka kręgu, a potem wyszedł z niego i rzucił mu pod nogi koniec sznura. Starzyk zignorował to; stał w kręgu, zwrócony do nas lśniąca jak lód twarzą, z dumnie podniesioną głową pomimo pętającego go wciąż srebrnego łańcucha i wyglądał niewiarygodnie obco: to zimę uwięziliśmy w tym lochu. Nie wydawał się żywą istotą. Było coś dziwnego w jego twarzy, która zawsze wyglądała inaczej, ilekroć się na nią spojrzało, jakby jej rysy nieustannie topiły się i ponownie formowały. Nie był piękny, lecz przerażający; to znów był piękny, a potem taki i taki, a ja nie byłem w stanie przewidzieć, jaki będzie w następnej chwili.

Kiedy patrzyłem na niego, poczułem neodpartą chęć narysowania go, uchwycenia piórkiem i węglem, a nie tylko ogniem i srebrem. Spojrzałem na Irinę; w półmroku nieco jego zimnego światła odbijało się w jej twarzy, srebrnej koronie oraz czerwonych rubinach srebrzystej sukni i uświadomiłem sobie, że właśnie to wszyscy widzieli, kiedy patrzyli na nią: istotę podobną do Starzyka, jednak na tyle śmiertelną, że można jej dotknąć.

Czarnobóg poruszył się we mnie i cicho czknął, czego nigdy przedtem nie robił i co było obrzydliwie nieprzyjemne, a potem mnie popędził; zgrzytnąłem zębami i pstryknięciem palców zapaliłem węgle, które buchnęły czerwonym płomieniem. Timur drgnął. Starzyk nie wzdrygnął się, ale odniosłem wrażenie, że zrobiłby to, gdyby nie było to poniżej jego godności. Powstrzymałem się i nie zachęciłem go, żeby wzdrygał się do woli. Nigdy nie zauważyłem, żeby Czarnobóg zważał na czyjaś godność czy jej brak. Radował się jednym i drugim.

– Możemy już iść? – powiedziałem do Iriny. – Przykro mi opuszczać to czarujące miejsce, ale zdaje się, że jutro mamy być na innym weselu? Sporo ich ostatnio.

Irina odwróciła się plecami do Starzyka.

– Tak – mruknęła ponuro.

Nie wyglądała na uszczęśliwioną rezultatem swoich doskonale zaplanowanych poczynań, chociaż moim zdaniem dotychczas wszystko szło jak z płatka. Chyba że oczywiście nie znałem całego jej planu – na przykład tej części, zgodnie z którą miałem na zawsze zostać uwięziony w kominku, może skuty złotym łańcuchem i otoczony kręgiem lodu, co zdawałoby się poetycką sprawiedliwością. Tak, im dłużej o tym myślałem, tym większej nabierałem pewności, że coś takiego się szykowało. Ha, ależ jestem głupi – rzeczywiście szykowało. Ten nóż już zmierzał ku moim plecocom.

– Zaufany człowiek? – rzekł książę do Iriny, wskazując Timura. Skinęła głową.
– Dobrze. Pójdzie ze mną na górę, pomoże mi zakryć wjazd i stanie na straży. Idźcie prosto tunelem. Nigdzie nie skręcajcie. Po drodze jest kilka starych kanałów ściekowych.

Tak więc nasz spacer zapowiadał się naprawdę uroczo. Uśmiechnąłem się do Iriny z całego przepełnionego uczuciem do niej serca, służąc jej ramieniem. Spojrzała na mnie, znów spokojna i beznamiętna jak szkło, po czym wzięła mnie pod rękę. Zostawiliśmy milczącego i samotnego Starzyka w kręgu płomieni i srebra, po czym ruszyliśmy w głąb tego cuchnącego i ciemnego tunelu, pełnego szurzących pisków i zwisających jak robaki korzeni drzew. Trzymałem w dłoni płomień, którego czerwony blask tańczył na ścianach.

– Jakże dogodna droga ucieczki – zauważyłem. – Czy powinienem o niej pamiętać, gdyby twój ojciec kiedyś zbuntował się przeciw koronie? Choć teraz to już mało prawdopodobne, a może jednak? – Tylko na mnie spojrzała. – Zapewne uważasz mnie za idiotę – warknąłem.

Jej milczenie było jeszcze bardziej irytujące od jej pouczeń. Nie prosiłem o to wszystko: nie chciałem się z nią żenić, nie chciałem pomagać jej przeżyć, nie chciałem, by z jej powodu tłuczono mnie jak jajka na omlet. Czarnobóg tkwił w moim brzuchu jak żarzący się węgiel, ciężki i zadowolony – z siebie i bez wątplenia z niej. Nie mogłem nawet wepchnąć jej w jeden z tych ciemnych korytarzy i od niej uciec.

– Nic ci nie jest? – spytała mnie nagle.

Roześmiałem się; to było takie absurdalne.

– Czym jest odrobina cierpienia i trochę śmiertelnych obrażeń – zadrwiłem. – Naprawdę nie mam nic przeciwko temu. Jestem uradowany, że mogę się przydać. Hm, uradowany... czy rzeczywiście tak powiedziałem, czy może powinienem użyć innego słowa? Muszę się nad tym zastanowić. A czego właściwie ode mnie oczekujesz? Mam być ci wdzięczny?

Milczała.

– Zima się skończy – rzekła po chwili. – Litwas będzie...

– Nie gadaj o Litwasie – prychnąłem. – Odgrywamy teraz komedię dla dżdżownic czy może ćwiczysz przemowę, którą publicznie wygłosisz? Jakby Litwas był czymś więcej niż areną, na której ludzie niedawno skończyli się zabijać. Co mnie obchodzi Litwas? Szlachta chętnie poderznęłaby mi gardło, wieśniacy nie wiedzą, kto nimi rządzi, ziemi nic to nie obchodzi, a ja nie jestem nic winien im wszystkim ani tobie. Nie mogę powstrzymać cię od traktowania mnie jak pionka na szachownicy, moja pani, ale nie zamierzam pokornie ci dziękować za to, że pozwoliłaś, żebym był dla ciebie przydatny jak mała na jarmarku. Przystań udawać, że z radością nie zostawiłabyś mnie zakrwawionego na podłodze. Nie masz na podorędziu żadnego kandydata na następnego cara? Wygląda na to, że zapewne masz, na wszelki wypadek.

Przez chwilę milczała – i dobrze – ale jak dla mnie nie dość długo. Dotarliśmy do końca tunelu i przeszliśmy przez łukowaty otwór wykuty w kamiennym murze do małego i ciemnego pomieszczenia, w którym zręcznie zamaskowany fragment ściany odchyłał się, prowadząc do piwnic na wino. Gdy przeszliśmy na drugą stronę i zamknąłem za nami te drzwi, trudno było dostrzec, że tam są. Przesunąłem palcami po ceglach i ledwie zdołałem wyczuć ich krawędź, a i to tylko dlatego, że brakowało zaprawy. Czarnobóg sennie mruczał z zadowolenia; pójdzie tam jutro i znów będzie ucztował...

Odwróciłem się i zobaczyłem Irinę patrzącą na mnie w półmroku; zamknąłem płomień w dłoni i tylko odrobina światła palącej się na schodach lampy odbijała się w ciemnych stawach jej oczu, ukazując mi jej twarz.

– Nic cię to wszystko nie obchodzi – powiedziała. – A jednak zawarłeś pakt, żeby zostać carem, zając miejsce brata...

Jakby potwór łamał mi żebra, a te miażdżyły mi serce. Och, jak jej nienawidziłem.

– Obawiam się, że niezbyt polubiłabyś Karolisa, moja droga – wycedziłem przez zęby. – Jak myślisz, kto nauczył mnie zabijać wiewiórki? Nikt inny nie miał czasu dla pomiotu więdźmy, póki żył...

Urwałem; nadal nie mogłem spokojnie o tym myśleć. Nie o tym. Czarnobóg nawet poruszył się i wetknął jęzor w mój umysł, leniwie zlizując niespodziewany smakowity kąsek mojego cierpienia. Dobrze wiedzieć, że wciąż mogę go zadowolić, nawet gdy jest tak nażarty.

Patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Kochałeś go. I pomimo to zawarłeś ten pakt?

– O nie – odparłem rozwścieczony. – Nigdy nie miałem okazji paktować. Widzisz, moja matka nie miała tyle szczęścia co ty, słodka Irino. Nie miała korony, nie miała urzekającej urody ani Starzykowego króla, za którego mogłaby je kupić.

Tak więc zamiast nim zapłaciła podpisaniem paktu, a inkaust na nim wysechł, zanim wyszedłem z jej łona.

Kiedy Irina wróciła, szłam w kącie jej sypialni, najszybciej jak mogłam. Poszłam do Palmiry i powiedziałam jej, że car nie pozwala Irinie nosić dwa razy tej samej sukni, więc jeśli ma taką, którą mogłabym przerobić na Irinę do jutra, dam jej tę błękitną z rubinami, do przerobienia na Galinę. Ta nie będzie wiedziała, skąd się wzięły; Palmira również. Lepiej, żeby nie wiedziały. Dla nich mogły to być klejnoty, drogie i piękne, za które ktoś zapłacił złotem, a nie krwią. Z dala od okrucieństwa, które je stworzyło, będą tylko piękne. A ja będę miała zajęcie na tę noc, długą noc, zamiast siedzieć przy lampie i zastanawiać się, czy Irina wróci.

– Jednak musi być wspaniała! – powiedziałam. – Inaczej się nie nada: widziałaś, jak on się ubiera! Nie pozwoli, by ona wyglądała gorzej.

Tak więc Palmira dała mi suknię z ciemnego szmaragdowozielonego brokatu i jasnozielonego jedwabiu, z tak grubym srebrnym haftem, że młoda pokojówka musiała pomóc mi ją zanieść do pokoju. Suknia miała ponaszywane malutkie szmaragdy, nie tak cenne jak rubiny, lecz było ich tyle, że błyszcząca w świetle świec. Galina nosiła ją jako młoda dziewczyna, przed pierwszym ślubem. Teraz była na nią za mała, ale wciąż ją trzymała dla córki lub synowej. Dotychczas suknia nie była dla pasierbicy, lecz bez większych przeróbek będzie na nią pasowała, gdyż Irina miała tylko trochę mniejszy biust. Kończyłam już zwięzać suknię, gdy Irina wróciła do komnaty, a jej twarz nad tymi rubinowymi kroplami krwi była blada i ściągnięta.

Car podszedł do kominka i warknął na budzących się służących, żeby przynieśli mu wina, po czym wyciągnął do nich ręce, żeby zdjeli z niego ten czerwony aksamitny płaszcz, jakby nic się nie stało. Podeszłam, żeby ująć wąskie dłonie mojej dziewczynki, ale nie pozwoliła mi ich obejrzeć ani rozchylić płaszcza. Pomimo to objęłam ją, zaciągnęłam do mojego fotela i posadziłam na nim. Nie była zziębnięta, nie trzęsła się. Była jednak biała jak ośnieżone pole, jej włosy okropnie cuchnęły dymem, a gdy usiadła, zauważyłam krew na tej błękitnej sukni, prawdziwą zaschniętą krew, także na jej dłoniach i pod paznokciami, jakby kroila w niej mięso. Pogłodziłam ją po głowie.

– Przygotuję kąpiel – szepnęłam do niej. – Umyję ci głowę.

Nic nie powiedziała, więc porozmawiałam z lokajami i kazałam im przynieść wannę oraz zimną wodę do uprania sukni.

Car był już w samej koszuli i pił wino, podczas gdy służba znów ogrzewała mu łożo. Zanim przyniesiono wannę i przygotowano kąpiel, położył się na nim i zaciągnięto zasłony. Odprawiłam całą służbę i zdjęłam koronę z głowy Iriny,

która drgnęła i przytrzymała ją ręką, a potem spojrzała na łożę i zobaczyła, że on śpi, a wtedy ją puściła. Naszyjnik znikł z jej szyi, a ja nie pytałam, co się z nim stało.

Najpierw umyłam jej dłonie i przedramiona w miednicy. Ta była ciemna, więc wydawało się, że krew w niej jest tylko brudna i mętna, a nie czerwona. Wzięłam miednicę i drżąc, wyszłam na balkon, żeby wylać wodą na kamienie nisko w dole. Na tym placu ćwiczyli zbrojni księcia. Nie zwrócą uwagi na odrobinę więcej krwi na kamieniach. Zdjęłam z niej błękitną suknię i namoczyłam w zimnej wodzie. Plamy nie były stare; zejda.

Potem pomogłam Irinie wejść do wanny i umyłam jej głowę wodą z dodatkiem suszonego mirtu, który przyniosłam z komody w naszym dawnym pokoju: gałązki i liście słodko pachniały i po trzykrotnym wypłukaniu czułam już w jej włosach tylko mirt, a nie dym. Pomogłam jej wyjść z kąpieli, wytarłam ręcznikiem i posadziłam przy kominku, po czym rozczesałam włosy. Ogień dogasał, ale nie podłożyłam następnej kłody, gdyż w komnacie nie było jeszcze zimno. Ona siedziała na fotelu i oczy same się jej zamykały. Śpiewałam, szczotkując jej włosy, a po ostatnich pociągnięciach szczotki od czubka głowy po końce włosów oparła głowę o poręcz fotela i zasnęła.

Krew zeszła z błękitnej sukni. Wyjęłam ją, żeby ociekła, i wyniosłam miednicę na balkon, żeby znów wylać wodę. Jednak tym razem na zewnątrz nie było zimno. Poczułam ciepły podmuch na twarzy oraz woń świeżych liści i ziemi, zapach wiosny, który niemal zapomniałam, ponieważ tak dawno jej nie było. Stałam tam z miską pełną czerwonej wody i bez zastanowienia wdychałam ten zapach, aż rozboleły mnie ręce: miska była za ciężka, żebym mogła ją tak długo trzymać. Zdołałam oprzeć ją o kamienną balustradę i przechylić, a potem wróciłam do środka. Nie zamknęłam drzwi, tylko pozwoliłam wiosnie wejść do komnaty. Moja dziewczynka, moja dzielna dziewczynka tego dokonała. Poszła i wróciła zakrwawiona, ale przyniosła nam wiosnę. I wróciła, wróciła, co dla mnie było więcej warte niż wiosna.

Szorowałam tę błękitną suknię, aż zeszły z niej ostatnie ślady; oczywiście uważałam, ale rubiny były tak mocno przyszyte, że nie odpadły. Wzięłam suknię, powiesiłam ją na krześle i wyniosłam na zewnątrz, żeby wyschła; później dam ją Palmirze, a ona nigdy się nie dowie, że była poplamiona. Gdy się odwróciłam, żeby wrócić do środka, Irina stała obok fotela, owinięta ręcznikiem, i patrzyła za okno; długie włosy sięgały jej do kostek, już prawie suche. Na zewnątrz świtało, a ona boso wyszła na balkon. Już miałam powiedzieć: „Przeziębisz się, duszeńko”, ale powstrzymałam się i zamiast tego przesunęłam krzesło, żeby mogła podejść i stanąć przy balustradzie. Zbliżyłam się do niej i objęłam ją, żeby ogrzać. Z oddali

dochodziły nas ptasie śpiewy i popiskiwanie zwierząt, coraz bliższe, aż nagle rozległy się całkiem blisko, wokół nas; ujrzałam wiewiórki skaczące jak cienie w koronach drzew ogrodu poniżej na moment przed tym, zanim słoneczny blask oblał listowie, te miękkie nowe liście, i razem z Iriną oraz radosnymi ptakami patrzyliśmy, jak słońce oświetla świat zielonych, a nie ośnieżonych pól.

– Wszystko dobrze, Irinuszko, już wszystko dobrze – mówiłam cicho, gładząc jej włosy.

– Magreto – powiedziała, nie patrząc na mnie. – Czy on zawsze był taki piękny, Mirnatus, nawet jako mały chłopiec?

– Tak, zawsze – odrzekłam. Nie musiałam się nad tym zastanawiać; pamiętałam. – Zawsze. Takie piękne dziecko, nawet w kołysce. Byliśmy na chrzcinach. Oczy miał jak diamenty. Twój ojciec miał nadzieję, że będzie mógł go usynowić, bo twoja matka jeszcze nie miała dzieci, i sądził, że car może da się przekonać, że to byłoby lepsze niż jeden syn za dużo. Jednak twoja matka nie chciała wziąć niemowlęcia na ręce. Stała jak skamieniała i nie ruszała się. Piastunka nie mogła jej go dać. Och, jaki rozgniewany był twój ojciec.

Potrząsnęłam głową, przypominając to sobie: ksiązę krzyczał na nią, że rano ma pójść, wziąć dziecko na ręce i mówić o jego urodzie oraz o tym, jak ją smuci brak własnego potomka. A Silvija przez cały czas tylko stała przed nim, milcząc ze spuszczonej oczami, nic nie mówiąc...

I nagle wróciło do mnie wspomnienie jak kropla oliwy wypływająca na powierzchnię wody: krzyczał długo, a kiedy przestał, Silvija spojrzała na niego tymi srebrzystymi oczami i bardzo cicho powiedziała:

– Nie. W naszym domu pojawi się inne dziecko, które będzie nosiło koronę zimy.

A on przestał krzyczeć, wziął ją za ręce, ucałował je i już więcej nie wspominał o usynawianiu księcia. Jednak Irina urodziła się dopiero cztery lata później. Do tego czasu zupełnie o tym zapomniałam.

Teraz Irina patrzyła na wiosnę, moja caryca w koronie zimy i z sokolimi oczami ojca, a jej twarz była taka blada. Lekko ją uścisnęłam, próbując pocieszyć, ukoić ból.

– Wejdz do środka, duszeńko – szepnęłam. – Masz suche włosy. Zaplotę je i prześpisz się trochę. Wejdz i połóż się na kanapie. Nikogo tu nie wpuszczę. Nie musisz kłaść się na łóżku obok niego.

– Nie – odparła. – Wiem. Nie muszę z nim sypiać.

Weszła do środka, a gdy zaplotłam jej włosy, położyła się na kanapie, którą jej zaścieliłam. Potem wyszłam na korytarz i powiedziałam stojąc tam lokajom, że car i caryca są bardzo zmęczeni po zabawie i nie należy ich niepokoić, a sama

weszłam do środka i przeniosłam się z zieloną suknią pod okno, żeby dokończyć szycie w wiosennym powietrzu.

Gdy następnego dnia obudziłam się w domu dziadka, w pokoju było duszno. Jeszcze na wpół śpiąca powlokłam się do okna, żeby wpuścić trochę powietrza. Rodzice jeszcze byli w łóżku i kiedy szłam, stanęłam bosą nogą na pomietą haftowanej złotem sukni leżącej na podłodze. W nocy zdarłam ją z siebie, jak wąż zrzuca skórę, i padłam w nogach łóżka, mimo że rodzice wciąż coś do mnie mówili. Przestałam rozumieć ich słowa. Potem przestali mówić i tylko gładzili mnie po głowie. Zapadłam w sen przy ich cichej kołysance, czując znajomy zapach dymu palonego drewna i wełny, i było mi ciepło, wreszcie znów było mi ciepło.

Otworzyłam okno i ciepły podmuch owiał mi twarz. Z tego piętra domu dziadka widziałam pola i las za murami miasta, a wszystkie te pola był zielone, zielone, zielone, od żyta tak wysokiego, jakby rosło już przez cztery wiosenne miesiące, zielone od nowych liści już ciemniejących z nadejściem lata i wszystkich tych polnych kwiatów rozkwitłych jednocześnie. Drzewa owocowe w ogrodzie babci też były obsypane kwieciami, śliwy, wiśnie i jabłka kwitły jednocześnie, nawet w skrzynce na parapecie kwitły kwiaty, a w powietrzu unosiło się słabe brzęczenie, jakby wszystkie pszczoły na świecie pędziły tu, żeby pracować razem. Nigdzie wokół nie było widać ani śladu śniegu.

Po śniadaniu, którego smaku nie czułam, złożyłam tę złoto-srebrną suknię i zawinęłam w papier. Na ulicy były tłumy ludzi, gdy wyszłam z tą paczką. Mijając drzwi synagogi, usłyszałam śpiew, donośny, choć był już późny ranek i środek tygodnia. Na targu nikt nie pracował. Wszyscy opowiadali sobie rozmaite historie o tym, co się wydarzyło: o tym, że Bóg interweniował i oddał Starzyka w ręce cara, kończąc wywołaną czarami zimę.

Dzięki sukni przeszłam przez drzwi domu księcia, pokazawszy jej skraj służącemu, ale i tak musiałam przez godzinę czekać przed drzwiami dla służby, zanim ktoś w końcu przekazał jej wiadomość i Irina kazała mnie zaprowadzić na górę – ponieważ ona była carycą, która ocaliła królestwo, a ja tylko lichwiarką z żydowskiej dzielnicy w sukni z brązowej wełny. Gdy jednak otrzymała wiadomość, natychmiast wysłała po mnie kogoś – swoją starą przyzwoitkę Magretę, która zerkała na mnie niespokojnie i z ukosa, jakby uważała moją suknię i skromnie upięte włosy za przebranie, ale mimo to zabrała mnie na górę.

Irina była w swojej sypialni. Cztery kobiety siedziały razem przy kominku, gorączkowo przerabiając suknię niemal równie piękną jak ta potworność, którą przyniosłam; wyglądało na to, że wybiera się na następne wesele. Ona jednak była na balkonie, gdzie sypała okruszki ptakom i wiewiórkom, a one też wyszły

z gęstwiny, jak ludzie na ulice, wychudzone i głodne po długiej zimie, gotowe znosić towarzystwo człowieka w zamian za jedzenie. Kiedy rzucała im garść okruchów, ośmielały się podbiec do jej nóg, aby złapać kawałki i uciec, a potem zjeść zdobycz i wrócić po następną porcję.

– Muszę się z nim zobaczyć – powiedziałam jej.

– Po co? – spytała powoli.

– Zrobiliśmy coś więcej niż tylko powstrzymaliśmy go! – odrzekłam. – Jeśli będziesz go trzymać dla... – Zerknęłam przez ramię na zajęte pracą szwaczki i nie wypowiedziałam jego imienia – dla niego jako pokarm, to nie tylko zakończy zimę, ale także zniszczy jego królestwo. Wszyscy Starzykowie zginą, nie tylko on!

Irina skończyła sypać okruszki i pokazała mi puste ręce: pozbawione ozdób poza błyszczącym na jej palcu pierścieniem ze Starzykowego srebra, wąskim paskiem lśniącem zimnym światłem nawet w jasnym słońcu.

– A co innego kazałabyś nam zrobić? – Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. –

Mirjem, Starzykowie napadają na to królestwo, od kiedy osiedlili się tu pierwsi ludzie. Traktują nas jak robactwo niszczące ich drzewa, tyle że okrutniej.

– Tylko nieliczni! – powiedziałam. – Większość nie może tu przyjść, tak samo jak my nie możemy wejść do ich królestwa, kiedy nam się spodoba. Tylko najpotężniejsi z nich mogą otworzyć przejście... – Urwałam, uświadamiając sobie, że jeszcze pogarszam sytuację, zamiast ją naprawić.

– A ci, którzy mają władzę, decydują za resztę – powiedziała Irina. – Nie sprawia mi przyjemności myśl o śmierci wszystkich Starzyków, ale to ich król rozpoczął tę wojnę. On ukradł wiosnę, pozwoliby, żeby cały nasz lud, cały Litwas, umarł z głodu. Chcesz mi powiedzieć, że nie wiedział, co czyni?

– Nie – odrzekłam ponuro. – Wiedział.

Irina skinęła głową.

– Ja też nie mam czystych rąk po minionej nocy. Jednak nie obmyję ich krwią mego ludu. A nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

– Jeśli zaproponują nam pokój w zamian za życie, dotrzymają umowy. Oni nigdy nie łamią danego słowa.

– A od kogo miałyby wyjść ta propozycja? – spytała Irina. – I nawet gdyby... –

Spojrzała na sypialnię, jej sypialnię: komnatę, którą dzieliła z carem oraz żyjącym w nim żarłocznym, piekielnym stworem. Miała ponurą minę. – Nie będę udawała, że cieszę się z umowy, którą zawarliśmy. Jednak dziś w Litwasie jest wiosna i w zimie na stole każdego wieśniaka będzie chleb. – Popatrzyła na mnie. – Ja im go kupię – powiedziała cicho. – Nawet za cenę wyższą, niż chciałabym zapłacić.

Tak więc odeszłam z niczym, jedynie z jeszcze większą pustką w brzuchu. Jej przyzwoitka zatrzymała mnie na moment i zapytała, co chcę za suknię, ale ja tylko

potrzęsnałam głową i wyszłam. To jednak mi nie pomogło. Mogłam się pozbyć sukni Starzykowej królowej, ale byłam nią za długo, żeby po prostu o tym zapomnieć. Nie mogłam jednak powiedzieć Irinie, że się myli, ani nawet, że jest samolubna. Miała zapłacić cenę, której ja nie chciałam płacić: leżeć w łóżku z demonem u boku, i nawet jeśli nie pozwoli mu wepchnąć palców w jej duszę, to będzie czuła je na swojej skórze.

I za to kupi nam coś więcej niż wiosnę. Kupi nam wiosnę, lato i zimę; taką zimę, w której Starzykowa droga nie zalsni między drzewami i żadni rabusie w białych płaszczach nie przyjadą kraść naszego złota. Natomiast nasi leśnicy, myśliwi i rolnicy wejdą w las z toporami i sidłami na zwierzęta o białych futrach. Ona kupi nam las i zamarznąłą rzekę, a wszystko to da plony i drewno, tak że za dziesięć lat Litwas będzie bogatym państwem, a nie małym i biednym, podczas gdy gdzieś w ciemnym lochu Czarnobóg będzie miażdżył w zębach Starzykowe dzieci, kęs za kęsem, żeby nam było ciepło.

Wróciłam do domu dziadka. Moja matka niespokojnie czekała na zewnątrz, siedząc na schodach, jakby nie mogła znieść tego, że znikłam jej z oczu. Usiadłam obok niej, a ona objęła mnie i pocałowała w czoło, a kiedy położyłam głowę na jej ramieniu, gładziła moje włosy. Obok nas wiele osób wchodziło lub wychodziło z domu: weselni goście odchodzący z uśmiechniętymi minami. Już zapomnieli o nocy tańca pod białymi drzewami, o władcy zimy i ognistym demonie.

Tylko mój dziadek coś pamiętał. Tego ranka wysliznęłam się z sypialni, zostawiając śpiących rodziców, żeby zejść do kuchni na filiżankę herbaty i kromkę chleba, oszołomiona i próbująca zapełnić pustkę w duszy. Było jeszcze wcześniej i tylko kilkoro służących kręciło się po domu, zaczynając zastawiać stoły dla gości, którzy niebawem się zbudzą. Jednak po krótkiej chwili jeden z nich podszedł i powiedział, że dziadek chce mnie widzieć. Poszłam do jego gabinetu. Stał pod oknem i marszcząc brwi, patrzył na wiosnę, a potem spojrzał mi w oczy i nagle zapytał: „I co, Mirjem?” tak jak wtedy, gdy przyszłam pokazać mu moje księgi. Pytał, czy są dobrze prowadzone i zbilansowane, a ja odkryłam, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Tak więc poszłam do pałacu księcia, a teraz wróciłam, nie uzyskawszy odpowiedzi, po którą poszłam. Ta powinna być prosta. Sam Starzyk udzielił mi zgody; skłonił mi się bez nienawiści, a nawet przygany, jakbym miała prawo robić to co on i podpalić jego królestwo za to, że próbował skuć moje lodem. Co może zrobiłam, ale nie byłam Starzykiem. Podziękowałam Plamce, Tresce i Furarzowi, nadałam imię tej małej dziewczynce, o której nie chciałam myśleć. Ona z pewnością miała prawo czegoś ode mnie oczekiwać, nawet jeśli nikt inny w ich królestwie go nie miał.

– Jutro pojedziemy do domu – powiedziała cicho matka w moje włosy. – Pojedziemy do domu, Mirjem.

Tylko tego pragnęłam i tylko nadzieja na to dawała mi odwagę, ale już nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Wydawało mi się to równie nierealne jak szklana góra i srebrzysta droga. Czy naprawdę wrócę do mojego małego miasteczka, by karmić kury i kozy, codziennie dźwigając ciężar niechętnych twarzy ludzi, których uratowałam? Nie mieli prawa mnie nienawidzić, ale i tak by nienawidzili. Starzyk był opowieścią na zimowy wieczór. Był ich potworem, którego widzieli, rozumieli i wedle własnych wyobrażeń pokonali. Nie uwierzyliby, że im pomogłam, nawet gdyby usłyszeli opowieść o tym.

I mieliby rację, ponieważ wcale nie zrobiłam tego dla nich. Irina ich ocaliła i za to będą ją kochać. Ja zrobiłam to dla siebie i moich rodziców, a także dla takich osób jak mój dziadek, Basia, druga kuzynka Ilena, która zeszła po schodach i ucałowała nasze policzki, zanim wsiadła do czekającego powozu, aby wyruszyć do swojego domu w innym małym miasteczku, gdzie wokół stało siedem domów zamieszkałych przez Żydów, otoczonych nienawiścią wszystkich okolicznych wiosek. Zrobiłam to dla ludzi przechodzących ulicą przed domem mojego dziadka. Litwas nie był dla mnie ojczyzną, tylko rzeką, nad którą mieszkaliśmy, mój lud kulący się na jej brzegach, a czasem wezbrana fala przetaczała się po zboczu i wciągała niektórych z nas w głębiny, na żer dla ryb.

Nie miałam kraju, dla którego bym to zrobiła. Miałam tylko osoby, zatem co z tamtymi osobami: co z Plamką, Treską i Furarzem, których życie związałam z moim, i co z tą małą dziewczynką, której nadałam w darze żydowskie imię, zanim odeszłam, by zniszczyć jej dom?

Jednak już to zrobiłam i wydawało się, że nie jestem w stanie tego naprawić. Nie byłam tu nikim ważnym. Tylko dziewczyną, lichwiarką z małego miasteczka, która miała trochę złota w banku, a to, co kiedyś wydawało mi się fortuną, teraz wyglądało jak garść monet niemogąca się równać z najmniejszym kuferkim w skarbcu mojego Starzykowego króla. Tego ranka wzięłam srebrny widelec i trzymałam go w dłoni, nie wiedząc, czego właściwie chcę. Jednak to, czego chciałam, nie miało znaczenia. Nic się nie stało. Widelec pozostał srebrny i już nigdy nie miałam zobaczyć tego czaru, który rzucałam w zimowym królestwie. W królestwie, które wkrótce przepadnie na zawsze, zmyte przez tę przetaczającą się falę. I nie miałam już w tej sprawie nic do powiedzenia.

Tak więc weszłam z matką do budynku. W naszej sypialni spakowaliśmy te kilka rzeczy, które rodzice przywieźli z domu, a potem zeszliśmy na dół, żeby pomóc: w domu było jeszcze bardzo wielu gości, osób, których nie znałam, ale które były moimi krewnymi i ich przyjaciółmi, więc trzeba było gotować i zmywać

naczynia, zastawiać stoły i sprzątać z nich, karmić dzieci i nosić płaczące niemowlęta. Tłum kobiet wokół mnie wykonywał ten ogrom kobiecych zajęć, które nigdy się nie kończyły ani nie zmieniały i zawsze pochłaniały cały twój czas, domagając się go więcej – kolejna wezbrana fala. Zanurzyłam się w niej jak w rytualnej kąpieli i ochoczo pozwoliłam, by zamknęła się nad moją głową. Chciałam, by zatkała mi uszy, oczy i usta. Mogłam martwić się tym, czy wystarczy jedzenia dla wszystkich, czy chleb dobrze rośnie, czy wołowina dostatecznie długo się gotowała, czy jest dość dużo krzeseł przy stole; w tych sprawach mogłam coś zrobić.

Nikogo nie dziwił mój widok. Nikt nie pytał, gdzie byłam. Wszyscy, którzy zobaczyli mnie po raz pierwszy, całowali mnie i mówili, że wyrosłam, a niektórzy pytali, kiedy zatańczą na moim weselu. Cieszyli się, że tam jestem i pomagam, a jednocześnie nie miało to żadnego znaczenia. Równie dobrze mogłam być jedną z moich kuzynek. Nie było we mnie niczego szczególnego i byłam zadowolona, bardzo zadowolona, że znów jestem zwyczajna.

W końcu usiadłam przy stole, żeby nałożyć jedzenie na talerz, zmęczona noszeniem i gotowaniem, zmęczona na tyle, żeby nie myśleć. Goście zaczęli wychodzić, gdy posiłek zbliżał się do końca, żegnając się i znikając za drzwiami. Ja wciąż byłam pod wodą, jak rybka w stadzie, nierozróżnialna. Nagle jednak strumień wychodzących został zatamowany. Ludzie odsuwali się od drzwi, przez które wszedł lokaj w carskiej liberii, czerwonej, złotej i czarnej, rozglądając się wyniośle z lekką wzgardą zapożyczoną wyższości.

A kiedy wszedł, wstałam. To nie był mój dom, a ja byłam tylko niezamężną dziewczyną goszczącą u dziadka, ale wstałam i ostro powiedziałam do niego zza stołu:

– Po co tu przyszedłeś?

Przystanął, spojrzął na mnie i zmarszczył brwi, po czym rzekł chłodnym tonem:

– Mam list do Wandy Vitkus: ty nią jesteś?

Przez całe popołudnie Wanda pływała obok mnie w tym tłumie kobiet; nosiła ciężkie sterty talerzy i duże wiadra wody, i niemal nie rozmawiałyśmy, ale spoglądałyśmy na siebie i pracowałyśmy razem, wykonując bezpieczne i proste prace. Teraz stała na końcu pokoju, w drzwiach kuchni, i po chwili podeszła do lokaja, wycierając w fartuch mokre i czerwone ręce; a on obrócił się i wręczył jej list: gruby złożony pergamin zapieczętowany wielkim kawałem osmalonego czerwonego wosku z kilkoma zastygłymi kroplami jakby wyciekającej krwi.

Wzięła go do ręki, otworzyła i przez długą chwilę spoglądała nań, a potem podniosła fartuszek i zakryła nim usta, mocno zaciskając wargi; dwukrotnie gwałtownie kiwnęła głową, po czym złożyła list i ściskając go w dłoni, przycisnęła

do piersi, zanim odwróciła się i odeszła w głąb domu, ku schodom. Lokaj obrzucił nas lekceważącym spojrzeniem – nie liczyliśmy się, nie byliśmy ważni – po czym odwrócił się i odszedł równie szybko, jak przyszedł.

Ja wciąż stałam przy stole. Wokół mnie podjęto przerwane rozmowy, a strumień ludzi znów popłynął spokojnymi falami: „kiedy znów będziesz w mieście, ile lat ma już wasz najstarszy, jak interesy męża”, lecz ja nie weszłam z powrotem w ten nurt. Odsunęłam krzesło od stołu i poszłam na górę, do gabinetu dziadka. Był tam z kilkoma starymi mężczyznami i wszyscy rozmawiali basowymi głosami, paląc fajki i cygara, rozmawiając o pracy. Spojrzeli na mnie, marszcząc brwi: nie powinnam tam być, chyba że przyniosłam im więcej winiaku, herbaty i jedzenia.

Mój dziadek jednak nie zmarszczył brwi. Tylko popatrzył na mnie, po czym odstawił kieliszek i odłożył cygaro.

– Chodź – powiedział.

Zaprowadził mnie do sąsiadującego z gabinetem pokoiku, w którym trzymał ważne dokumenty zamknięte w szafce ze szklanymi drzwiami, zamknął za nami drzwi i spojrzał na mnie.

– Mam dług – rzekłam. – I muszę znaleźć sposób, żeby go spłacić.

Rozdział 21

Rankiem miałam na dłoniach czerwone ślady oparzeń po tym srebrnym łańcuchu, który trzymałam z Siergiejem i Steponem. Zeszłej nocy caryca powiedziała do mnie, zanim wyszła: „Jak mam ci się odpłacić?”. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć, ponieważ ja to robiłam: odpłacałam się. Mirjem zabrała mnie z naszego domu, płacąc sześć kopiejek, gdy byłam warta tylko trzy świnię dla ojca, który okradał ją i okłamywał. Dzięki jej matce miałam pełny talerz jedzenia, a serce pełne miłości. Jej ojciec błogosławił chleb, zanim mi go dawał. Nieważne, że nie znałam słów tych psalmów. Dawali mi go nawet wtedy, gdy nie wiedziałam, co robią, i uważałam, że są diabłami. Mirjem dawała mi srebro za moją pracę. Wyciągnęła do mnie rękę i uściśniła moją dłoń, jakbym była kimś, kto może zawierać umowy, a nie tylko osobą okradającą ojca. W jej domu zawsze było dla mnie miejsce przy stole.

A Starzyk chciał ją zabrać za darmo. Zmusił, by dawała mu złoto, żeby przeżyć, jakby należała do niego, ponieważ był tak silny, że mógł ją zabić. Mój ojciec był tak silny, że mógł mnie zabić, ale to nie oznaczało, że byłam jego własnością. Sprzedał mnie za sześć kopiejek, za trzy świnię, za dzban krupniku. Próbował sprzedawać raz po raz, jakby nie miało znaczenia, ile razy to robi. Tak właśnie uważał Starzyk. Chciał ją mieć, żeby zawsze dawała mu złoto, i nie obchodziło go, czego ona chce, ponieważ był silny.

Ja jednak też byłam silna. Miałam dość siły, żeby uleczyć panią Mandelsztam i nauczyć się magii, tej magii Mirjem, a potem użyć jej do zamiany trzech fartuszków w sześć kopiejek. Razem z Siergiejem i Steponem byłam dostatecznie silna, żeby nie pozwolić ojcu sprzedać mnie lub zabić. A minionej nocy nie wiedziałam, czy jestem dość silna, by powstrzymać Starzyka, nawet razem z Siergiejem i Steponem, nawet razem z rodzicami Mirjem. Jednak nie wiedziałam, że jestem dość silna, by zrobić te wszystkie rzeczy, dopóki ich nie zrobiłam. Musiałam to zrobić, nie wiedząc, czy potrafię. Później Stepon wtulił twarz w mój fartuszek i płakał, bo wciąż był przestraszony, i zapytał mnie, skąd wiedziałam, że

caryca rzuci czar i nie pozwoli Starzykowi nas zabić, a ja musiałam mu powiedzieć, że nie wiedziałam. Ja tylko wiedziałam, że trzeba to zrobić.

Tak więc gdy caryca spytała mnie, jak może mi się odpłacić, nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie zrobiłam tego dla niej. Nie znałam jej. Może była carycą, ale ja nawet nie wiedziałam, jak ma na imię. Pewnego dnia, gdy miałam dziesięć lat, jeden z sąsiadów przyszedł do naszego domu i powiedział, że car nie żyje, a gdy zapytałam, co to oznacza, powiedziano mi, że będzie nowy car. Tak więc nie rozumiałam, dlaczego śmierć cara ma jakieś znaczenie. A teraz, gdy zobaczyłam cara, nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Był straszny i ział ogniem. Powiedziałabym jej, że może mi się odpłacić, zabierając go z tego domu, ale on już odszedł ze strażnikami, którzy prowadzili Starzyka.

Lecz ojciec Mirjem usłyszał, jak mnie pytała, i widział, że nie wiem, co powiedzieć. Miał wielki siniak na policzku, a jego dłonie, którymi trzymał ze mną ten srebrny łańcuch, były poranione i drżące. Siedział z panią Mandelsztam i razem obejmowali Mirjem, całując jej włosy i gładząc po twarzy, jakby była dla nich więcej warta niż srebrne kopiejki, więcej niż złoto, więcej niż wszystko, co mieli. Kiedy jednak zobaczył, że nie wiem, co robić, pocałował Mirjem w czoło, wstał i utykając, przeszedł przez pokój do carycy.

– Ta dzielna dziewczyna i jej bracia przybyli do miasta z nami, ponieważ mieli kłopoty w domu. – Potem położył dłoń na moim ramieniu i łagodnie powiedział do mnie: – Usiądź i odpocznij, Wando, ja jej o tym opowiem.

Tak więc usiadłam z Siergiejem oraz Steponem, obejmując ich, a oni objęli mnie. Byliśmy za daleko, by słyszeć, co powiedział pan Mandelsztam, ponieważ mówił bardzo cicho. Jednak rozmawiał przez chwilę z carycą, a potem utykając, podszedł do nas i powiedział nam, że wszystko będzie dobrze. Uwierzylimy mu. Caryca już wychodziła. Przeszła przez te duże drzwi na dziedziniec, gdzie czekali na nią inni strażnicy. Dwaj z nich podeszli, złapali za drzwi i zamknęli je. A my zostaliśmy w domu sami.

W pokoju panował okropny bałagan. Na stołach pod ścianami wciąż zostało trochę jedzenia, które już zaczynało się psuć i przyciągać roje bzyczących much. Wszędzie leżały wywrócone krzesła, a od kominka na podłodze biegł rząd czarnych wypalonych śladów jak wgłębienia pozostawione przez człowieka w ciężkich butach. Ta wielka złota korona Mirjem leżała na podłodze przy kominku, całkiem zgięta i niemal stopiona. Nikt nie mógłby jej teraz nałożyć. To jednak nie było ważne. Popatrzylimy na rodzinę Mirjem, a oni na nas, po czym wszyscy wstaliśmy i pan Mandelsztam objął ramieniem Siergieja, a ja panią Mandelsztam i stworzylimy krąg, całą szóstką; byliśmy rodziną i znów odpędziliśmy wilka, powstrzymaliśmy go przez kolejny dzień.

Potem poszliśmy na górę i położyliśmy się spać. Nie uprzątnęliśmy tego bałaganu. Długo spałam w tym pięknym zacisznym pokoju na poddaszu, a gdy się obudziłam, na zewnątrz była wiosna i zdawała się być wszędzie, we mnie też. Chociaż miałam pęcherze na dłoniach, czułam się tak silna, że ani trochę nie martwiłam się tym, co się z nami stanie. Ucałowałam Siergieja i Stepona, a potem zeszłam na dół, żeby pomóc innym kobietom w porządkach, i już nie przejmowałam się tym, że nie rozumiem, co mówią. Gdy któraś powiedziała do mnie coś niezrozumiałego, ja tylko uśmiechałam się do niej, a ona też się uśmiechała i mówiła: „Och, zapomniałam!”, a potem powtarzała to, tylko słowami, które znałam.

Nosiłam talerze na stoły: we wszystkich pokojach były stoły, przy których można było siedzieć i jeść, a chociaż gości nie było tyle co wczoraj, to i tak stoły w każdym pokoju były obstawione krzesłami. W drugiej sali tanecznej też były stoły. Ktoś inny ją posprzątał i już nie widziałam tych czarnych śladów na podłodze, ponieważ rozłożono na niej wielki dywan i ustawiono stoły, a na kominku nie płonął ogień, bo było tak ciepło, że pootwierano okna. Zapach dymu znikł.

I wszędzie było jedzenie, tyle jedzenia, że trudno było znaleźć miejsce na następne półmiski. Gdy sama zgłodniałam, usiadłam przy stole i jadłam do syta, a potem znów pomagałam roznosić jedzenie dla następnych gości. Robiłam to długo. Po południu Mirjem i jej matka też przyszły i pracowałyśmy razem.

Właśnie odstawiłam dwa wiadra z wodą, którą przyniosłam ze studni, gdy usłyszałam jakiś hałas w sali ze stołami, a potem Mirjem, która spytała ostro i wyraźnie: „Po co tu przyszedłeś?”, jakby ktoś znów przybył, żeby nas skrzywdzić. Wyszłam z kuchni i stanęłam w drzwiach sali, a tam był ładnie odziany strażnik z mieczem i pytał o mnie. Powiedział, że ma dla mnie list. Wtedy przestraszyłam się, ale byłam w tym domu, z tymi wszystkimi ludźmi, i pomyślałam, że na to też jestem dość silna; tak więc podeszłam, wyciągnęłam rękę i pozwoliłam, by wręczył mi ten list.

List był opatrzony grubym kawałem wosku czerwonego jak krew, z odcisniętą pieczęcią w kształcie korony. Złamałam ją i spojrzałam na słowa. Umiałam je wypowiedzieć, bo Mirjem nauczyła mnie tego, tak więc bezgłośnie wypowiadałam jedno po drugim, a list głosił: „Niechaj będzie wiadome wszem i wobec na carskiej ziemi Litwasu, że na nasz carski rozkaz kobieta Wanda Vitkus oraz jej bracia Siergiej Vitkus i Stepon Vitkus zostają uwolnieni od wszelkich zarzutów o wszelkie popełnione zbrodnie. Niech nikt nie podnosi na nich ręki, a wszyscy nasi poddani darzą ich szacunkiem za ogromne i odważne usługi, jakie oddali nam i Litwasowi. Co więcej, otrzymują nasze pozwolenie, by udać się do Wielkiego

Lasu i osiedlić w dowolnym wybranym miejscu, w każdym opuszczonym domostwie, a następnie otrzymać od nas tytuł własności wszelkiej ziemi, jaką zdołają uprawiać lub ogrodzić na pastwiska w ciągu trzech lat – ta będzie należeć do nich i ich dziedziców”.

Poniżej tych słów było zamasyżycie nakreślone jeszcze coś, nie słowo, ale imię: „Mirnatus”, a pod nim „Car Litwasu i Rosonu. Wielki Książę Koronu, Irkunu, Tomoniec, Serveno, Książę Maralii, Roverny, Samatonii, Pan Markanu i Marchii Wschodnich” i na samym końcu tej listy „Pan i Władca Wielkiego Północnego Lasu”.

Patrzyłam na ten list i nagle zrozumiałam, dlaczego car jest ważny. To była magia, tak jak magia Mirjem. Car, ten straszny car, mógł dać mi ten list i teraz byliśmy bezpieczni. Już niczego nie musiałam się bać. Dzięki temu listowi nikt w miasteczku nie spróbuje powiesić Siergieja ani mnie. Zobaczą imię cara na tym dokumencie i będą się go bali, chociaż jest daleko.

Nawet nie musimy już wracać do miasteczka. Nie musimy wracać do domu naszego ojca, który może wciąż leży tam na podłodze, nie musimy wracać do tego gospodarstwa, gdzie nic dobrze nie rośnie, a poborca podatków przychodzi co roku. Ten list głosił, że możemy pójść do lasu i wziąć sobie tyle ziemi, ile chcemy. Mogła to być najlepsza ziemia, jaką znajdziemy. Mogła być pełna wielkich drzew, które zetniemy i sprzedamy za duże pieniądze. Wiedziałam, że duże drzewo jest wiele warte, ponieważ rok przed śmiercią matki rosnące na posesji sąsiada drzewo upadło, a on bardzo się natrudził, żeby szybko je pociąć, zanim przyjdą po nie ludzie bojara, i dwa duże kawałki schował w lesie. Tato zauważył to, a potem przy obiedzie powiedział nam, co widział.

– Spryciarz, zarobi na tym drewnie dziesięć kopiejek – rzekł kwaśno.

Mama jednak pokręciła głową i powiedziała:

– To nie jego własność, będą kłopoty.

A on rzekł:

– Co ty tam wiesz.

Lecz następnego dnia ludzie bojara przyszedli z wielkim wozem i załadowali nań kawałki drzewa, a był z nimi jeden człowiek, który popatrzył na nie i jakoś doszedł do tego, że części drewna brakuje, więc bili sąsiada, aż powiedział, gdzie je ukrył, a wtedy załadowali je na wóz i zostawili go leżącego na ziemi i zakrwawionego. Potem długo chorował, a jego żona musiała sama uprawiać rolę, ponieważ nie mógł chodzić. Pewnego zimowego dnia przysłała prosić o jedzenie i mama dała jej trochę. Tato zbił ją za to wieczorem, chociaż już miała duży brzuch.

Nas jednak nikt nie będzie bił za wycinanie drzew, bo car w tym liście napisał, że możemy to robić. Napisał, że są nasze. I że cała ta ziemia, którą zdołamy

uprawiać, będzie nasza. Mogliśmy mieć kozy i kury oraz siał żyto. I nawet nie musieliśmy budować domu. Mogliśmy wrócić do tej chatki, do tego domu, który nas uratował, gdzie już były ogród i stodoła, i uprawiać ziemię wokół niego. Ten dokument głosił, że mamy do tego prawo, ponieważ nikt w nim nie mieszkał. Pomyślałam, że wrócimy tam, wejdziemy do domu i obiecamy się nim opiekować, a ponadto przyrzekniemy, że gdyby ten ktoś mieszkający w nim kiedyś zechciał wrócić, oddamy mu najlepsze łóżko i tyle jada, ile zechce, i będzie mógł zostać tam z nami, jak długo będzie chciał.

A potem pomyślałam, że gdyby w ogóle ktoś przyszedł do tego domu – każdy, kto jest głodny i ma kłopoty – pozwolimy mu zostać. Chętnie znajdziemy dla niego miejsce przy naszym stole. Tak jak robi to pani Mandelsztam. To właśnie głosił ten list. Mogliśmy stworzyć taki dom jak jej i nakarmić każdego, kto by przyszedł.

Zaniosłam list na górę, do Siergieja i Stepona. Siergiej pomagał przy koniach, a Stepon starał się pomóc jemu, chociaż na dole wciąż było bardzo głośno, ale potem chciał wrócić na górę, bo nadal się bał, więc Siergiej poszedł z nim. Weszłam po schodach na poddasze i do pokoju, a potem pokazałam im list, a oni nie umieli czytać, ale zobaczyli tę wielką pieczęć, dotykali grubego i miękkiego papieru, a ja głośno i wyraźnie powiedziałam im, co jest na nim napisane, a potem zapytałam, czy chcą zrobić to, co ja chciałam, wrócić do tej chatki w lesie, gospodarzyć tam i pomagać każdemu przybyszowi, który będzie w tarapatach. Nie powiedziałam: „Zrobimy tak”, chociaż bardzo tego chciałam. Zapytałam, czy oni też tego chcą.

Siergiej ostrożnie wyciągnął rękę i wziął dokument. Pozwoliłam mu go potrzymać. Bardzo delikatnie dotknął palcem jednej z liter, sprawdzając, czy się nie zetrze. Nie starła się ani trochę.

– Tak – powiedział cicho. – Tak.

– Czy możemy ich poprosić, żeby poszli z nami? – spytał Stepon, myśląc o rodzinie Mirjem. – Możemy? Ja zasadzę tam orzech, a wtedy mama też tam będzie. Będziemy wszyscy razem i to będzie najlepsze.

Gdy to powiedział, rozplakałam się, ponieważ miał rację, to będzie najlepsze, tak dobre, że nawet nie mogłam o tym myśleć. Siergiej objął moje ramiona i powiedział Steponowi:

– Tak. Poprosimy ich, żeby tam poszli.

A ja ostrożnie otarłam z twarzy łzy, żeby żadna nie spadła na ten list.

Kiedy wyszłam z gabinetu dziadka, poszłam do pokoju rodziców. Siedzieli razem przy kominku, a Wanda i jej bracia zeszli do nich z poddasza. Wanda przyniosła list cara i dała go mojemu ojcu, który spoglądał nań ze zdziwieniem.

– Możemy przyprowadzić tam nasze kozy – mówiła Wanda do niego i mojej matki – i kury. Już jest ciepło. Do zimy możemy powiększyć dom. Zetniemy kilka drzew. Będzie dość miejsca.

Kiedy podeszłam i spojrzałam na list, na którym car podpisał się jako Pan i Władca Wielkiego Północnego Lasu, zrozumiałam: Irina już wyciągała rękę. Podarowała gospodarstwo Wandzie, żeby ta wraz ze swymi krzepkimi braćmi udała się do lasu ścinać drzewa, uprawiać rolę i budować dom, pierwszy z wielu.

– Mamy zostawić nasz dom? – powoli powiedziała matka. – Przecież mieszkamy w nim tak długo.

A wtedy zrozumiałam także, że Wanda zaprasza moich rodziców, żeby udali się tam i zamieszkali z nimi, w tym podarowanym przez cara gospodarstwie; chciała, by opuścili nasze miasteczko, nasz dom, naszą wąską wysepkę na rzece, której zawsze groziło zalanie przez powódź.

– A dlaczegoż to mielibyśmy w nim zostać? – powiedziałam. – Nie jest nasz. Należy do bojara. Wszystko, co kiedykolwiek w nim ulepszyliśmy, zrobiliśmy dla niego, za darmo; nie wolno nam nawet kupić go, gdybyśmy chcieli. Jeśli im pomożecie, Siergiej i Wanda wykarczują więcej lasu i powiększą gospodarstwo. To oczywiste, że powinniście iść z nimi.

Matka zamilkła; wszyscy popatrzyli na mnie, gdyż usłyszeli to, czego nie powiedziałam. Wyciągnęła do mnie rękę.

– Mirjem!

Z trudem przełknęłam ślinę. Na usta cisnęły mi się słowa: wyruszenie dopiero jutro, zostanie jeszcze dzień, ale pomyślałam o Rebecce, cieniutkiej jak sopelek błękitnego lodu. Ile minie czasu, zanim się stopi?

– Powinniście wyruszyć od razu – powiedziałam. – Jeszcze dzisiaj, zanim zajdzie słońce.

– Nie – rzekł stanowczo ojciec, wstając; mój miły, łagodny ojciec w końcu się rozgniewał. – Mirjem, nie. Ten Starzyk... miał rację! Zasłużył na to, co go spotkało! Taka kara spotyka niegodziwych.

– Tam jest mała dziewczynka – wykrztusiłam przez ściśnięte i obolałe gardło. Dłoń matki ścisnęła moją. – Nadałam jej imię. Mam pozwolić, by pożarł ją demon, ponieważ Starzyk był niegodziwy?

– Oni każdej zimy przybywają ze swego lodowego królestwa, aby kraść i mordować niewinnych – powiedział po chwili ojciec, to samo co wcześniej Irina, ale zaraz zapytał mnie błagalnie: – Czy wśród nich znajdzie się choć dziesięciu prawych?

Nabrałam tchu, wciąż się bojąc, lecz również czując ulgę; teraz już znałam odpowiedź.

– Znam tam troje takich – powiedziałam. Ujęłam drugą ręką dłoń matki i też lekko ścisnęłam. – Muszę to zrobić. Wiecie, że muszę.

Zaniosłam pogiętą złotą koronę na stragan Izaaka, gdzie zastępował go jego młodszy brat, który starannie przetopił ją na złote sztabki, a potem schowałam je do sakwy i poszłam na wielki targ w centrum miasta. Wymieniłam jedną po drugiej, nie przejmując się tym, czy robię dobry interes, bo zależało mi na czasie. Zamieniłam je na wóz, dwa silne konie pociągowe, skrzynię kurcząt, siekierę, piłę, młotki i gwoździe. Kupiłam pług, motyki i dwie ostre kosy, a także worki z fasolą i żytem na siew. Siergiej i Wanda byli ze mną; załadowali wszystko na wóz, całą stertę. Na samym końcu kupiłam dwa długie płaszcze z kapturami, identyczne, ciemnoszare; robiłam przy tym dobry interes, bo ich cena była dwukrotnie niższa niż poprzedniego dnia. Na straganie leżało ich mnóstwo.

Przejazd tym wyładowanym wozem do domu dziadka zajął nam dużo czasu; ulice były zatłoczone, więc jechaliśmy bardzo wolno, prawie wcale się nie przesuając. W pewnej chwili Wanda powiedziała: „Tam jest ślub” i kiedy spojrzałam w kierunku wielkiej katedry, dostrzegłam schodzącą z jej schodów księżniczkę, która miała na sobie moją Starzykową złoto-białą suknię, a na głowie małą koronę; uśmiechała się triumfalnie, idący obok niej małżonek również, w tłumie znamienitej szlachty. Ta suknia lepiej tam pasowała niż do domu mojego dziadka. Poszukałam wzrokiem Iriny; była już na dole schodów, razem z carem wsiadała do otwartego powozu. Jej srebrna korona lśniła w słońcu, a on po zajęciu miejsca podparł się na łokciu, ze zirytowaną i znudzoną miną, i nic nie zdradzało obecności demona kryjącego się w jego ciele. Pospiesznie odwróciłam wzrok.

Zanim dojechalśmy, zrobiło się późno, ale słońce jeszcze nie zaszło: w końcu było już prawie lato. Nie czekaliśmy na kolację. Teraz z kolei my mieliśmy odjechać, żegnając malejący tłum gości. Ucałowałam siedzących przy stole dziadków, a dziadek przytulił mnie i pocałował w czoło.

– Pamiętasz? – spytał cicho.

– Tak – odrzekłam. – Na ulicy za domem Amtala przy synagodze.

Skinął głową.

Wsiedliśmy na wóz i odjechali sprzed domu na oczach wszystkich, machając. Siergiej i mój ojciec siedzieli na koźle; konie drogo kosztowały, ale były silne i dobrze wyćwiczone, nietrudno było nimi kierować. Ja siedziałam z tyłu w płaszczu z kapturem naciągniętym na głowę. Nawet o tej porze na ulicach był duży ruch, jadłodajnie wystawiały stoły i krzesła na ulice, żeby ludzie mogli razem siedzieć na powietrzu, i musieliśmy skręcić w jedną z bocznych uliczek, przy której stały tylko kamieniczki i wołano dzieci do domów na kolację. Jechaliśmy nią, a gdy w pewnej chwili nikogo nie było w pobliżu, moja matka nakryła drugim

płaszczem dwa worki z ziarnem, żeby wyglądało, że to ja pod nim śpię. Stepon zdjął buty – moje stare buciki – i ułożył je tak, żeby wystawały spod płaszcza. Potem ześliznęłam się z wozu.

Stałam w cieniu między dwoma domami, gdy wóz dojechał do końca uliczki i skręcił w kierunku bramy żydowskiej dzielnicy. Tam i przy miejskiej bramie strażnicy będą pytali o imiona wszystkich pasażerów, a on poda moje wraz z innymi i zapłaci myto oraz kilka monet więcej, żeby przyspieszyć kontrolę. Gdyby Irina nabrała podejrzeń i jutro posłała ludzi, żeby mnie szukali i spytali, czy wiem, gdzie się podział Starzyk, wszyscy z przekonaniem powiedzą jej, że wyjechałam z miasta przed północą razem z moją rodziną; znajdą w rejestrze taki zapis sporządzony własnoręcznie przez strażników, z których żaden się nie przyzna, że za łapówkę tylko pobieżnie sprawdził pasażerów wozu.

Gdy wóz znikł mi z oczu, jeszcze niżej zsunęłam kaptur, zgarbiłam się jak stara baba i poszłam bocznymi uliczkami do synagogi, przy której spytałam jakiegoś zmierzającego na modły młodzieńca, gdzie jest dom Amtala. Pokazał mi. Bruk uliczki na tyłach synagogi był stary i wyslizgany, z wyżłobionymi w nim głębokimi koleinami i wieloma dziurami po brakujących kamieniach i zaprawie. Za domem znajdowało się niewielkie podwórze, tak wąskie, że ledwie mogła się w nim zmieścić jedna osoba, i zastawione starymi workami pełnymi śmieci. Kiedy jednak przecisnęłam się obok nich, znalazłam niezablokowaną kratę starej studzienki kanalizacyjnej. Z łatwością ją podniosłam i zobaczyłam drabinkę umożliwiającą zejście do studzienki. Umożliwiająca zejście wielu ludziom i znajdującą się w pobliżu synagogi na wypadek, gdyby pewnego dnia ludzie wdarli się do dzielnicy z pochodniami i toporami, tak jak na zachodzie, gdy babka mojej babci była dziewczyną.

Weszłam do studzienki i zasunęłam jej otwór kratą, po czym długo schodziłam po drabince, zanim stanęłam na dnie tunelu, w płytkiej kałuży wody. Kiedy schodziłam, nad głową widziałam malejący owal słabego, wieczornego, słonecznego światła. Nie miałam latarni ani pochodni, ale nie chciałam ich używać. Ktoś mógłby z daleka zobaczyć ich blask. Tę drogę musiałam pokonać po ciemku.

Odwrociłam się plecami do drabinki, wyciągnęłam ręce i wodziłam palcami po ścianach, aż znalazłam niewielkie wgłębienie w kształcie gwiazdy z sześcioma ramionami. Przesunęłam po nim dłonią i zaczęłam powoli iść w ciemności przed siebie, wodząc palcami po ścianie na tej samej wysokości. Zanim naliczyłam dziesięć kroków, znalazłam następną gwiazdę.

Wydawało mi się, że idę tak za nimi długi czas, chociaż to było niemożliwe: synagoga znajdowała się blisko miejskich murów. Jednak ta odrobina światła wpadającego przez kratę studzienki bardzo szybko znikła za moimi plecami

i byłam jak niewidoma, przytłoczona i ogłuszona moim własnym głośnym oddechem. Pomimo to raz po raz odliczałam kolejne dziesięć kroków, a jeśli nie znalazłam gwiazdy, to zatrzymywałam się i wodziłam palcami po ścianie, aż ją namacałam, albo cofałam się o krok i ponawiałam poszukiwania. Raz musiałam cofnąć się o dwa kroki, nie namacawszy niczego prócz gładkiej ściany, a potem – przestraszona – zrobić cztery kroki naprzód, zanim w końcu ją znalazłam. Potem gwiazdy znikły i ściana odsunęła się ode mnie, gdy potknęłam się o nierówne dno i upadłam rękami w lepłą wilgoć. Wstałam, wycierając dłonie w płaszcz, a potem zaczęłam szukać po omacku, aż znalazłam wylot bocznego tunelu wydrążonego w ziemi.

– Przed oblężeniem stała tam baszta – cicho powiedział mi dziadek w tym maleńkim pokoiku. – Ludzie księcia zniszczyli ją, wdzierając się do miasta. A później, gdy księżę odbudowywał mury, nie chciał stawiać nowej baszty. Miała solidne fundamenty. Były pieniądze na jej odbudowę. Nie chciał tego robić. Dlaczego? – Dziadek rozłożył ręce i wzruszył ramionami, lekko krzywiąc usta. – Dlaczego nie postawił wieży, żeby strzegła miasta? Tak więc gdy mury znów stanęły i robotnicy odeszli, mój brat Jozue i ja zeszliśmy do kanałów ze sznurkiem, żeby przeszukać je i nie zabłądzić. Znaleźliśmy tunel, który wykopał. Nikt poza nami o nim nie wie. Tylko mój brat, ja i twoja babka, a także Amtal i rabin. Amtal pilnuje studzienki. Opłacam za to jego czynsz. Kiedy się zestarzeje, powie o tym swojemu synowi. Nigdy nie skorzystamy z tego tunelu, ani do przemytu, ani unikania myta. Nikt nie wie, że o nim wiemy. Właśnie tam umieścili twojego męża, w lochach tej wieży na końcu tunelu. Teraz musisz mi coś powiedzieć, Mirjem. Ten tunel oznacza życie. Jeśli ich więzień zniknie, nawet jeśli nie zostaniesz schwytana, to ci wielmożowie, księżę i car, nie wzruszą ramionami i nie powiedzą: No cóż. Zechcą wiedzieć, jak to się stało. Będą szukać śladów stóp. Może zasypią boczne korytarze. A może wejdą w nie i znajdą studzienkę. Może nawet wyjdą na górę i zobaczą dom Amtala, a potem przyłożą nóż do szyi jego dziecka, a Amtal powie im, kto płaci mu za jej pilnowanie. Mówię to, żebyś zrozumiała, bo to wszystko nie musi się zdarzyć. Gdyby tu przyszli, nawet gdyby Amtal podał im moje nazwisko, mogę zrobić różne rzeczy. Mam bardzo dużo pieniędzy i jestem użyteczny dla księcia. Nie wpadnie w szal i nie zniszczy mnie, nie jest tego rodzaju człowiekiem. Ponadto być może nie zrobią niczego z tego, co powiedziałem. Mogą powiedzieć, że on jest czarodziejem i po prostu odleciał! Nie uciekł kanałami. Może na tym poprzestaną. Tak więc nie mówię, żebyś zważała na moje życie i życie twojej babci. Mówię ci, że jest wiele niebezpieczeństw. Niektóre są bardziej prawdopodobne od innych. Rozważ je wszystkie razem, a będziesz znała koszt. A wtedy powiedz: czy tyle jesteś dłużna? Czy tyle jesteś winna Starzykowi, który

przyszedł i zabrał cię bez twojej czy naszej zgody, wbrew prawu? To on odpowiada za skutki swoich działań, nie ty. Rabuś, który kradnie nóż i kaleczy się nim, nie może winić kobiety, która go naostrzyła.

Nie czekał na moją odpowiedź. Tylko położył dłoń na moim policzku, a potem wrócił do gości. Teraz przez moment stałam na tym zakręcie, czując pod palcami ziemię tunelu księcia, drogę ucieczki mojego ludu, którą mogłam zamknąć na zawsze, uwalniając Starzyka. Mogłam też sama zostać schwytana, jeśli na końcu tego tunelu stali strażnicy, a wtedy ta ofiara okazałaby się daremna. Już odpowiedziałam na to pytanie, ale będę musiała odpowiadać na nie przy każdym kroku, jaki przejdę w tym tunelu, i nie przestanę, dopóki nie dotrę do samego końca.

Gdy Mirjem zsiadła z wozu, zdjąłem buty i ułożyłem je tak, żeby wystawały spod płaszcza. Nie miałem nie przeciwko zdejmowaniu ich, ponieważ było ciepło, a poza tym i tak siedziałem na wozie. Cieszyłem się, że opuszczam to straszne miasto. Było jeszcze gorzej niż przedtem. Na wszystkich ulicach były tłumy ludzi, gdyż już nie było śniegu, więc powychodzili z domów i wszyscy chcieli mówić jednocześnie, robiąc potworny hałas. Leżałem na dnie wozu obok worków udających Mirjem i sam próbowałem udawać worek, ale nie byłem nim. Musiałem po prostu leżeć tam, zakrywać rękami uszy i czekać, aż wyjedziemy z miasta. Dopiero po długim czasie dojechaliśmy do tej wielkiej bramy miasta i pan Mandelsztam zsiadł, żeby zapłacić stojącemu przy niej mężczyźnie, ponieważ to miasto było takim okropnym miejscem, że musieliśmy zapłacić, żeby nas wypuścili.

Gdy jednak Siergiej wziął lejce i jak prawdziwy woźnica cmoknął na konie, a one raźnie ruszyły naprzód, wydostaliśmy się. Przez jakiś czas wszyscy byliśmy bezpieczni. Siergiej jechał drogą, dopóki brama nie znikła za zakrętem i nie widziało się jej z tyłu wozu. Kiedy zatrzymał konie, próbowałem, ale nie mogłem jej dostrzec, chociaż wciąż widziałem dym unoszący się z kominów tych wszystkich domów zamieszkałych przez tych wszystkich ludzi. Siergiej oddał lejce panu Mandelsztamowi, a sam zsiadł i spojrzał na mnie, na Wandę i pozostałych, po czym skinął nam głową na pożegnanie. Zamierzał wrócić pod mury miasta, ukryć się i czekać na Mirjem, jeśli uda się jej wydostać.

Nie podobało mi się, że Siergiej zostaje. A jeśli Mirjem się nie uda albo Starzyk przyjdzie sam? Mógł zabić Siergieja. Mógł znów go pozostawić leżącego bez ducha na ziemi. A jeśli zamiast nich zjawi się car? To byłoby równie niedobre albo jeszcze gorsze.

Jednak pan Mandelsztam chciał iść zamiast Mirjem, a potem przynajmniej

chciał iść razem z nią, ale Mirjem nie zgodziła się na jedno i drugie. Najpierw powiedziała, że Starzyk nie zrobiłby jej krzywdy, potem, że jedna osoba narobi mniej hałasu, a tam może stać strażnik, a w końcu przypomniała, że nie uda się zwieść straży przy bramie, jeśli na wozie będzie brakowało dwóch osób, ale to nie były prawdziwe powody. Prawdziwym powodem było to, że pan Mandelsztam był poturbowany. Wszędzie miał siniaki.

Wiedziałem to, ponieważ kilka tych fioletowych śladów wyłaniało się spod rozpiętej pod szyją koszuli, chociaż Starzyk tam go nie uderzył. Wiedziałem, jak mocno trzeba kogoś uderzyć, żeby sińce pojawiły się w innym miejscu. Tak mocno uderzył go Starzyk, więc wiedziałem, że ma takie ślady wszędzie pod ubraniem, a nawet gdyby nie miał, to i tak widać było, że jest poturbowany, bo utykał, czasem przyciskał dłoń do boku, oddychając ostrożnie, jakby to go bolało, i już dwukrotnie zasypiał w ciągu dnia.

Mirjem jednak nie powiedziała tego, tylko podała inne powody, i w końcu pan Mandelsztam rzekł:

– Zatem zaczekam na ciebie za murami miasta.

Mirjem nie zgodziła się i na to, lecz pan Mandelsztam stanowczo pokręcił głową, bo pozwolił jej powiedzieć nie przedtem, ale teraz już nie zamierzał jej słuchać i powiedział, że ona przecież nie wie, gdzie znajduje się ten dom.

Wtedy Siergiej rzekł do pana Mandelsztama:

– Ja na nią zaczekam. Pan nie może szybko chodzić. Ja przyprowadzę ją do chatki.

I pan Mandelsztam nadal się niepokoił, ale Siergiej był od niego większy i silniejszy, a ponadto niepoturbowany.

– On ma rację, tak będzie szybciej – powiedziała Mirjem.

Tak więc zdecydowano, że Siergiej zaczeka na nią, a tymczasem my pojedziemy dalej i jeśli ktoś przyjdzie szukać nas w chatce, zanim oni wrócą, będziemy się tam krzątać i powiemy, że Mirjem z Siergiejem już poszli po kozy.

– Wrócimy na długo przed tym – powiedziała Mirjem, jakby to było pewne, jakby ona i Siergiej mieli po prostu przejść się od miasta do chaty, ale wcale tak nie uważała.

W pierwszej chwili pomyślałem, że głupio mówi, bo przecież nie mogła wiedzieć, czy się jej uda. Ona jednak nie była głupia; po prostu wcale tak nie uważała. Odkryłem to, ponieważ poszliśmy do pokoju na poddaszu, żeby spakować nasze rzeczy, a Mirjem przysła do nas i powiedziała do Siergieja:

– Dziękuję. Jednak nie podchodź pod mury miasta. Kiedy zsiądziesz z wozu, zaczekaj między drzewami w pobliżu drogi. Znajdę cię tam, jeśli mi się uda.

Wtedy już wiedziałem, że wcale tak nie uważała. Ona też nie wiedziała, czy uda

się jej wydostać, i była zadowolona z tego, że Siergiej obiecał na nią czekać, ponieważ nie chciała, żeby jej ojcu stała się krzywda, a pan Mandelsztam nie zgodziłby się zostać przy drodze. Natomiast Siergiejowi kazała tam zostać, co mnie ucieszyło, lecz on popatrzył na nią i rzekł:

– Zaczekam na ciebie przy murze. Może będzie ci potrzebna pomoc.

A Mirjem uniosła ręce ku niebu.

– Gdybym potrzebowała pomocy, to nikt nie będzie w stanie mi pomóc – powiedziała. – A jak nie, to nie.

Siergiej jednak tylko wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, że zaczekam – rzekł i na tym stanęło.

Zamierzał czekać pod tym murem, gdzie mogli przyjść Starzyk albo demon, albo choćby tylko ludzie z mieczami. Ci ludzie, którzy wyprowadzili Starzyka z domu, byli równie duzi i silni jak Siergiej, no i mieli miecze oraz zbroje, które nie wyglądały na łatwe do przebicia, więc nawet jeśli nie byli tak groźni jak car czy Starzyk, to i tak wystarczająco niebezpieczni. Nie chciałem, by któryś z nich zabił Siergieja. Nie chciałem także, żeby któryś zabił Mirjem, ale jeszcze zbyt dobrze jej nie znałem, tak więc bardzo nie chciałem, żeby pani Mandelsztam się smuciła, co było dla mnie ważnym powodem, ale jeszcze bardziej pragnąłem tego ze względu na siebie, a więc i Siergieja.

Byłem tak zmęczony nieustannym strachem. Miałem wrażenie, że cały czas się boję, bez przerwy. Nawet nie wiedziałem, jak bardzo, dopóki tego ranka na krótką chwilę nie przestałem się bać, gdy Wanda przyszła do pokoju z tym listem od cara i pomyślałem, że wszystko się skończyło i już nigdy nie będę musiał się lękać, że mogę się przestać obawiać tylu rzeczy, a to było takie dobre i byłem taki szczęśliwy, ale teraz znowu się bałem.

To jednak nie zależało ode mnie. To zależało od Siergieja, a on nie zamierzał czekać między drzewami. Tak więc siedziałem na wozie, którym teraz powoził pan Mandelsztam, i widziałem, jak Siergiej schodzi z drogi między drzewa, tak by przejść lasem pod same mury miasta, tego straszego miasta, i obserwowałem go, aż znikł mi z oczu. A wtedy położyłem się na wozie obok worków. Te nie musiały już udawać Mirjem, więc pani Mandelsztam nakryła płaszczem mnie i podłożyła jeden z nich pod głowę, a ja wsunąłem rękę do kieszeni, zacisnąłem w garści orzech, który dała mi mama, i powiedziałem sobie, że wszystko będzie dobrze. Dojedziemy do tego domku, Siergiej wróci, ja zasadzę orzech, a mama wyrośnie i będzie z nami, i wszyscy będziemy razem.

Wóz jechał powoli, gdy byliśmy w mieście zapchanym tymi wszystkimi ludźmi, ale za murami podązał bardzo szybko. Dziwnie było jechać nieośnieżoną drogą. Już nigdzie nie było śniegu. Widzieliśmy mnóstwo zwierząt, takich jak wiewiórki,

ptaki, jelenie i króliki, które biegały wokół, uradowane wiosną. Jadły trawę, liście lub żołądź i były tak podniecone, że nie zważały na nas, na ludzi. Nawet króliki tylko spoglądały na nas z poboczy i jadły dalej; były tak głodne, że wcale się nie bały. Patrząc na nie, byłem szczęśliwy. Pomyślałem, że im też pomogliśmy. Tak jak powiedziała Wanda, że nasz dom będzie miejscem, w którym nakarmimy głodnych. Nakarmiliśmy nawet te zwierzęta.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy blisko domku, ponieważ przy drodze stał inny dom, który zapamiętaliśmy, z wielkim kołem od wozu przybitym z przodu stodoły i namalowanymi na bocznej ścianie kwiatami. Przedtem widać było tylko ich główki, bo resztę zasłaniał śnieg, ale teraz stopniał i widzieliśmy je całe. Były wysokie i piękne, czerwone i niebieskie. Gospodarz stał przy stodole i spoglądał na zieleniące się na polu żyto. Popatrzył na nas, a wtedy pomachałem mu ręką, a on pomachał mi w odpowiedzi i też się uśmiechnął.

– Nie zdołamy podjechać do samego domu – powiedział pan Mandelsztam, ponieważ do chaty nie prowadziła żadna droga, a drzewa wokół stały bardzo blisko siebie, ale zaraz okazało się, że się mylił albo źle to zapamiętaliśmy. Zobaczyliśmy to miejsce, gdzie wyszliśmy na drogę, pomiędzy dwoma dużymi drzewami, między które można było wjechać wozem. Pojechaliśmy dalej i wciąż było dość miejsca, chociaż nie aż tak dużo. Wóz nie był wielki i jakoś się przeciskaliśmy. Zaczęło się ściemniać.

– Może powinniśmy tu przenocować – powiedziała pani Mandelsztam. – Nie chcemy go ominąć.

Właśnie wtedy jednak Wanda zawołała:

– Widzę domek!

Ja też go zobaczyłem i zeskoczyłem z wozu, chociaż pan Mandelsztam mógł podjechać pod sam dom. Ominąłem wóz, wyprzedziłem konie i pobiegłem na podwórze, a domek był tam i na nas czekał.

Gdyby tylko Siergiej też już tam był, byłoby wspaniale, ale i tak było bardzo dobrze. Pomogłem panu Mandelsztamowi wyprzęgnąć konie, a potem oporządzić je i nakarmić. Prawie mogłem dosięgnąć ich grzbietów wyciągniętą ręką, a one stały spokojnie nawet wtedy, gdy je szczotkowałem. Przyniosłem z ogrodu dwie marchewki i dałem im, a one chętnie je zjadły, po czym pomogłem rozładować wóz z tymi wszystkimi dobrymi rzeczami, które przenieśliśmy do domu, a Wanda wypuściła kurczęta, które rozbiegły się po podwórzu i zaczęły grzebać w ziemi. Jutro zrobimy im kurnik. Tymczasem pani Mandelsztam gotowała kolację i z domku rozchodził się smakowity ciepły zapach, a z otwartych przez nią okien i drzwi padało światło.

– Idź i umyj ręce przed kolacją, Steponie – powiedział do mnie pan

Mandelsztam.

Poszedłem za dom, gdzie stała duża balia pełna wody. Nabrałem miednicę wody i już miałem umyć ręce, ale potem pomyślałem, że jeśli umyję ręce, to nie będę chciał znów ich ubrudzić, a potem zjemy i przyjdzie czas, by położyć się spać. Już zrobiło się późno. A ja nie chciałem dłużej czekać.

Tak więc wziąłem miednicę i wróciłem przed dom, po czym tuż obok drzwi wykopałem w ziemi dołek, wyjąłem z kieszeni orzech i włożyłem go tam. Wetknąłem go w ziemię i powiedziałem:


– Jesteśmy bezpieczni, mamó. Teraz możesz rosnąć i być z nami.

Już miałem przysypać go ziemią i podlać, gdy nagle zrozumiałem, że coś jest nie tak. Spojrzałem na biały orzech. Leżał na ciepłej brązowej ziemi i wydawał się nie pasować do tego miejsca. Jakbym próbował zasadzić monetę, żeby wyrosło z niej drzewo rodzące pieniądze zamiast owoców. Tyle że z monety nie wyrosnie drzewo.

Podniosłem orzech, oczyściłem z ziemi i położyłem na dłoni.

– Mamó? – powiedziałem do niego i zaraz potem wydało mi się, że ktoś pogłaskał mnie po głowie, leciutko, jakby nie mógł mnie naprawdę dotknąć. Wokół panowała głęboka cisza.

Rozdział 22

czywiście Wasylia przyjechała na swój ślub rozgniewana, niemal tak bardzo jak jej ojciec. Spodziewała się zostać carycą i zawrzeć małżeństwo w pełni uzasadnione zdrowym rozsądkiem. Zamiast tego ja triumfalnie zajęłam przeznaczone jej miejsce, a następnym kandydatem w kolejce do jej ręki był nieładny i trzydzieści siedem lat starszy od niej arcyksiążę, który pochował już dwie żony, zamiast pięknego młodego cara, który nałożyłby koronę na jej głowę.

Już to było wystarczająco irytujące, a na domiar złego zawlokłam ją przez śniegi i lody do Wyżni, nędznej dziury w porównaniu ze znajdującą się na zachodzie siedzibą jej ojca – wspaniałym zamkiem o grubych murach z czerwonej cegły. I doskonale wiedziała dlaczego, ponieważ zdawała sobie sprawę, co zrobiłaby na moim miejscu. Dumnie kroczyłaby przed tymi wszystkimi księżniczkami i córkami książąt, wysoko unosząc ukoronowaną głowę; a gdy przybylibyśmy na wesele, może zniżyłaby się do tego, żeby skinąć głową oraz chłodno i formalnie porozmawiać z tym lub owym spośród nas, który szczególnie zręcznie by jej schlebiał, żeby wkraść się w jej łaski. Ja nie byłabym jedną z tych osób. Tak więc wiedziała, że przywlokłam ją tutaj, żeby mi się kłaniała i mówiła do mnie Wasza Wysokość, odpłacając się za wszystkie drwiące chichoty i uśmiechy.

Wyobrazila to sobie tak dobrze, wchodząc po schodach i patrząc na mnie w mojej srebrnej koronie, że w oczekiwaniu na upokorzenie zacisnęła pięści i nie wiedziała, co z nimi zrobić, kiedy wyszłam jej naprzeciw, uściskałam i ucałowałam w oba policzki.

– Moja najdroższa Wasyljo – powiedziałam. – Zbyt długo się nie widziałyśmy. Tak się cieszę z twojego przyjazdu. Drogi wuju Ulryku – zwróciłam się do zaskoczonego księcia, który stał stopień wyżej niż ja wraz z Mirnatiusem i moim ojcem, a gdy wyciągnęłam do niego rękę, spojrzał mi w oczy i na moment zapomniał o gniewie. – Wybacz mi; trudno jest dziewczynie mieszkać tak daleko od przyjaciółek. Pozwolisz, że nie będziemy przedłużali tych formalności? Wejdźmy wszyscy do środka, napijmy się na powitanie i pozwól mi ukraść na

chwilę swoją córkę.

Zabrałam ją na górę, do tej wielkiej sypialni z otwartym balkonem, po czym odprawiłam służbę i cicho powiedziałam jej, że Litwas jak najprędzej musi mieć dziedzica i ożenek Mirnatiusa może nie wystarczyć; pozwoliłam, by sama wyciągnęła z tego odpowiednie wnioski. Potem jej i mój ojciec weszli razem, a za nimi podążał naburmuszony Ilias, i trzymałam Wasylię za rękę, gdy Mirnatius powiedział głosem zimnym jak zgasłe węgle:

– Stan małżeński niesie ze sobą tak rozliczne przyjemności, że postanowiliśmy obdzielić nimi innych: Iliasie, drogi kuzynie, pozwól, że przedstawię ci swoją oblubienicę.

Stał obok mnie w kościele, przez cały czas krzywiąc wargi w cynicznym uśmiechu. Wasylia była szczęśliwa, nie bez powodu – dałam jej złotą suknię Mirjem, tak wspaniałą, że bardziej wyglądała na carycę niż ja, i poślubiła przystojnego młodzieńca, który prześpi się z nią tej nocy z przynajmniej umiarkowanym zapałem. Mój ojciec zauważył ponurą minę Iliasa i kiedy moje służące pomagały Wasylii się ubrać, wyprowadził go na balkon i powiedział mu, że jeśli zamierza robić z siebie głupca, to znajdziemy kogoś innego. Natomiast jeżeli okaże się rozsądnym człowiekiem i usatysfakcjonuje dziedziczkę ogromnego majątku, nie będzie już musiał chodzić na pasku mamusi, gdyż będzie księciem i udziałnym władcą po śmierci Ulryka. Gdy wrócili do komnaty, Ilias ucałował dłoń Wasylii i nawet dość skutecznie próbował prawić jej komplementy. Okazało się, że nawet wielkie namiętności można zaspokoić w inny sposób.

Oczywiście Ulryk nie dał się tak łatwo ułagodzić jak córka i złościł się za dwoje, ale nic nie mógł zrobić; prosto z sypialni zaprowadziliśmy ich do kościoła, a Mirnatius skorzystał z przysługującego mu prawa i osobiście poprowadził pannę młodą do ołtarza. Tymczasem ja wzięłam Ulryka pod rękę i porozmawiałam z nim. Nawet gdyby chciał z nią uciec pod opiekę swoich żołnierzy, na moich skroniach lśniła srebrna korona i dopóki na nią patrzył, zapominał o gniewie, a po mieście już rozeszła się wieść, którą słyszeli jego ludzie: o zimie przerwanej dzięki magii.

Wesele było wspaniałe. Nawet gdyby nie podano nic więcej, same góry warzyw na stołach zadowolilyby wszystkich: przez ostatnie miesiące nawet arcyksiężęta nie kosztowali świeżej sałaty. Były tam całe wieże poziomek pospiesznie nazbieranych w lasach przez wszystkich, których mój ojciec zdołał zagonić do tej roboty, a chociaż jeszcze małe, były czerwone, słodkie i soczyste. Mirnatius kazał przynieść sobie całą miskę i zjadał jedną poziomkę po drugiej, przez cały czas z kwaśną miną wodząc wzrokiem po sali. Nie odzywał się do mnie, a ja do niego. Kiedy na niego patrzyłam, myślałam tylko o ostrym tonie jego głosu tam w lochu.

Matka była dla mnie kimś nierzeczywistym. Nie pamiętałam dotyku jej ręki ani

dźwięku jej głosu. Tym wszystkim była dla mnie Magreta. Jednak matka dwukrotnie zapewniła mi bezpieczeństwo: nosiła mnie pod sercem, dopóki nie zaczęłam oddychać, i dała mi odrobinę magii, która pozwoliła mi znaleźć w lustrze drogę do zimy. Otrzymałam od niej te dary i uważałam je za coś tak oczywistego, że nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że powinnam być jej za nie wdzięczna. A jeszcze bardziej mojemu bystremu, ambitnemu ojcu, który bez wahania wydałby mnie za męża za brutala, a nawet czarnoksiężnika. Nie sądziłam, że są jakieś granice tego, jak był gotów mnie wykorzystać. Jednak kiedy patrzyłam na Czarnoboga w dymie i czerwonych płomieniach miotającego się w kominku, miałam całkowitą pewność, że mój ojciec, który powiedział, że jest ze mnie dumny, nigdy nie sprzedałby demonowi mojej duszy za carską koronę.

W tych wąskich granicach nie było wiele czułości. Tylko chłód, przez całe moje życie. Nawet to było jednak lepsze od tego, co miał Mirnatius. Już nie mogłam go winić za to, że nie obchodzą go inni. A dlaczego mieliby go obchodzić? „Nikt inny nie miał czasu dla pomiotu wiedźmy” – rzekł, jedyne miłe słowa, jakie powiedział o kimkolwiek, a miał wtedy na myśli jedyną osobę, która poświęciła mu odrobinę uwagi.

Zazwyczaj syn straconej za czary żony zostałby zamknięty w jakimś odległym klasztorze, żeby nie spłodził niepożądanych dzieci, gdy jego brat został koronowany i zapasowy następca tronu nie był już potrzebny. Wyobrażałam sobie, że chciał uniknąć takiego losu, który byłby karą dla ambitnego człowieka, i to był jeden z powodów zawarcia tego paktu z demonem. Tyle że nie było to prawdą. Człowiek, który wykorzystywał używaną mu przez demona moc do budowania sobie pozłacanej klatki i poświęcał więcej czasu swojemu szkicownikowi niż wpływom z podatków, bez wahania udałby się na takie wygnanie. Mirnatius mógł spędzać całe dni ze swoim piórkim i szkicownikiem, pięknie rysując, i byłby zadowolony. Tymczasem demon zamordował mu ukochanego brata, żeby włożyć na głowę Mirnatiusa koronę, której ten nie chciał.

A teraz ja traktowałam go jak niesforne dziecko wlokące po podłodze lalkę, paktując z siedzącym w jego brzuchu demonem dla dobra królestwa, które nic go nie obchodziło, jakby nawet go przy tym nie było. Jakby się nie liczył, jakby był zupełnie nieważny. Nic dziwnego, że mnie nienawidził.

Nie dlatego żałowałam tego, co zrobiłam. Bo już tego żałowałam. Mirjem głośno protestowała przeciwko koszmarowi w lochu pod wieżą, gdzie skuta przez nią ofiara miała być w nieskończoność pożerana przez ognistego demona, i nie musiała mi mówić, że to jest złe. Jednak mogłam żałować tylko w stylu mojego ojca. Współczułam Starzykowym dzieciom i powstrzymałabym króla zimy w inny sposób, gdybym mogła. Uwolniłabym Mirnatiusa, gdybym miała okazję, zamiast

pogłębiać jego niedolę. Jednak świat, jakiego pragnęłam, nie był światem, w którym żyłam, i gdybym nie robiła nic innego, tylko go naprawiała, to nie dokonałabym niczego.

Nie mogłam nawet go przeprosić. Nie uwierzyłyby w moje dobre intencje i miałyby rację. Litwas wciąż trawiła choroba, którą należało uleczyć, a na tronie zasiadał demon. Byłam zadowolona z tego, że zimę powstrzymano, nieważne w jaki sposób, ale nie byłam tak głupia, by uważać, że możemy sprzymierzyć się z takim stworem jak Czarnobóg. Zeszłej nocy mogłam tylko pomóc mu lub pozwolić, by Starzyk zamroził nas wszystkich, więc wybrałam – nie tyle mniejsze zło, co nie tak natychmiastowe. Wiedziałam jednak, że gdy Czarnobóg wysączy życie z wszystkich Starzyków, weźmie się do nas, i nie zamierzałam pozostawić Litwasu na jego pastwę.

Tak więc jutro, gdy przybędzie Kazimierz, jeszcze bardziej rozgniewany niż Ulryk, mój ojciec szepnie mu do ucha o zdradzie. I gdy w końcu Starzykowy król zostanie doszczętnie pożarty w lochu, pójdą tam razem z Ulrykiem, żeby porozmawiać ze starymi kapłanami, którzy przed dwudziestoma laty przynieśli z katedry święte łańcuchy, aby spętać carycę i spalić ją na stosie. I tego dnia o świcie, gdy demon skryje się przed słońcem, przywiążą mojego męża do słupa i spalą go tak jak jego matkę, żeby uwolnić nas wszystkich z jego szponów.

Wiedziałam, że jeśli tak się stanie, nie kiwnę palcem, żeby temu zapobiec, nawet teraz, gdy wiedziałam, że Mirnatius jest niewinny. Pomimo to nie ocaliłabym go, nie wyrwała z tego pólzycia, rzucając na pastwę płomieni Litwas zamiast niego, tak samo jak nie próbowałabym uratować Starzykowych dzieci, zawierając umowę, której gwarancją byłoby życie moich rodaków. Miałam dość zimnej krwi, aby zrobić to, co trzeba dla ocalenia Litwasu.

Jednak przez to miałam pozostać zimna. Patrzyłam na Wasylię i Iliasa, który nachylał się do niej i szeptał jej coś, a ona się rumieniła, i zazdrościłam jej tak bardzo, jak mogłaby sobie życzyć, teraz, gdy nie mogłam już sobie pozwolić na marzenia, nawet nieśmiałe, o ciepłe w moim małżeńskim łóżu. Tylko to mogłam zrobić dla Mirnatiusa. Nie będę udawać, że potrafię być dla niego miła. Nie będę go znów prosić o wdzięczność, wybaczenie czy uprzejmość. I nie będę patrzyła na niego i chciała czegoś dla siebie jak jeszcze jeden głodny wilk oblizujący się nad już napoczętą kością.

Tak więc podczas posiłku siedziałam niemal w milczeniu, odzywając się tylko do siedzącego po mojej drugiej stronie Ulryka, podsuwając mu najlepsze kęski, schlebając i uspokajając najlepiej jak umiałam. Gdy zrobiło się późno i słońce za oknami zaczęło zachodzić, Mirnatius wstał, po czym wszyscy zaprowadziliśmy młodą parę do ich sypialni znajdującej się w głębi korytarza, niedaleko naszej.

Ulryk zobaczył, że inni mężczyźni z rodziny Mirnatiusa zajmują pokój po drugiej stronie korytarza i że Wasylia uśmiecha się do Iliasa, który wziął ją pod rękę i całował kolejno czubki wszystkich jej palców, a oboje są zarumienieni od wina i radości. Zgrzytnął zębami, ale potem przyjął zaproszenie mojego ojca i poszedł do jego gabinetu, gdzie wypili dobry winiak za swoje przyszłe wnuki, tak więc przynajmniej pogodził się z faktem, nawet jeśli jeszcze się nie uspokoił.

– Obawiam się jednak, że ty, moja droga małżonko, musisz pogodzić się z zimnym łóżem – zadrwił Mirnatius z nas obojga, gdy zostaliśmy sami w naszym pokoju, po czym zdjął koronę oraz pierścienie z palców i rzucił je na blat toaletki. Ostatnie promienie słońca wpadały przez balkon. – Chyba że chcesz posłać po tego ochoczego strażnika; jeśli tak, to będziecie mogli dobrze się bawić przez parę godzin. Droga tam i z powrotem jest dość męcząca, a wyobrażam sobie, że mój „przyjaciel” będzie chciał delektować się swoim posiłkiem.

Pozwoliłam mu drwić i nie odpowiedziałam. Gniewnie zmarszczył brwi, a potem nagle się uśmiechnął, czerwono, i – och, wołałam, gdy się gniewał.

– Irina, Irina – zanucił Czarnobóg, z dymem. – Pytam jeszcze raz. Czy przyjmiesz ode mnie jakiś cenny dar w zamian za króla zimy? Wskaż mi go, podaj mi cenę, a dam ci wszystko!

Nie miałam na to najmniejszej ochoty. Mirnatius skutecznie mnie wybawił od takiej pokusy. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek pragnęła czegoś tak mocno, żeby przyjąć to z jego rąk, widząc demona śmiejącego się do mnie pod maską jego nieruchomej twarzy. Próbowałam sobie wyobrazić, co mogłoby mnie do tego skłonić: umierające mi na rękach dziecko, którego twarzy jeszcze nie widziałam; wojna, która miała zniszczyć Litwas, zbliżające się do naszych granic hordy i moja straszna śmierć. Chyba nawet i to nie. Takie nieszczęścia kiedyś się kończą. Przecząco pokręciłam głową.

– Nie. Zostaw nas wszystkich w spokoju, mnie i moich bliskich. Niczego innego od ciebie nie chcę. Odejdź.

Syczał, burczał i łypał na mnie czerwonymi ślepiami, ale pieniać się, wyszedł. Magreta wśliznęła się do komnaty, gdy tylko odszedł, jakby czekała gdzieś na korytarzu. Pomogła mi się rozebrać i zdjęć koronę, potem zamówiła herbatę, a gdy ją przyniesiono, usiadłam na podłodze przy jej fotelu i oparłam głowę na jej kolanach, czego nigdy nie robiłam jako mała dziewczynka, bo ona zawsze miała jakąś pracę. Tego wieczoru choć raz nie musiała się posługiwać igłą czy drutami.

– Irinuszko, moja ty dzielna – powiedziała cicho, gładząc mnie po głowie. – Nie smuć się tak. Zima się skończyła.

– Tak – rzekłam, czując ściskanie w gardle. – Tylko że skończyła się, ponieważ podsyciłam ogień, Magro, a on chce więcej drewna.

Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło.

– Napij się herbaty, duszeńko – powiedziała i posłodziła mi ją bardzo mocno.

Na ścianie nie było już gwiazd wskazujących mi drogę, gdyż ta biegła prosto, ale mimo to szłam powoli. Staralam się iść środkiem tunelu i jak najciszej, pozwalając, by płaszcz ciągnął się za mną po ziemi i zacierał moje ślady; był długi i jego skraj nasiąknął wilgocią kanału. Nie zaszłam daleko, gdy mrok rozproszyło słabe światło za odległym zakrętem korytarza, które nadało ziemnym ścianom tunelu krzepiąco realny wygląd, uwidaczniając kamienie i korzenie drzew; już nie szłam po omacku i w nozdrzach czułam coraz silniejszy zapach dymu. Jeszcze sto kroków i w oddali ujrzałam gwiazdę żółtego blasku świec.

Był tak jasny w ciemności tunelu, że przestałam widzieć cokolwiek poza nim. Ruszyłam ku niemu. Światło stawało się coraz jaśniejsze, a moje kroki wolniejsze; przy każdym kolejnym coraz głośniejszy słyszałam to pytanie, które nieustannie sobie zadawałam. Łatwo było mi powiedzieć rodzicom, że muszę być dzielna, gdy byłam bezpieczna z nimi w izbie i matka trzymała mnie za rękę. Jeszcze łatwiej było stać przed Starzykiem i nie ustąpić. Wtedy przynajmniej byłam rozgniewana; chęć zemsty oraz rozpacz dodawały mi sił, i nie miałam do stracenia niczego, co ceniłam. Teraz na szali leżało bardzo dużo: moi rodacy, mój dziadek, moi rodzice, Wanda i jej dwóch braci, którzy mnie uratowali. I moje własne życie, o które tak walczyłam. Nie musiałam tego robić. Mogłam zawrócić, wyjść z tego tunelu i nadal być sobą, tak sprytną i odważną, jak chciałam być.

Jednak gdy powoli podeszłam bliżej, tak blisko, że zaczęłam dostrzegać kamienne ściany komnaty na końcu tunelu i padający na nie blask świec, nagle poczułam na plecach silny gorący podmuch, w którym i światło zamigotało. Przeszedł mnie dreszcz, bo wiedziałam, co to takiego. Ktoś tam za mną otworzył drzwi i teraz szedł tunelem do tej komnaty.

Miałam jeszcze chwilę, żeby ponownie zadać sobie to pytanie. Stałam teraz na skraju miasta. Do kanału miałam niedaleko, natomiast z pałacu księcia wiodła tu długa droga. Mogłam jeszcze odwrócić się i pobiec z powrotem. Nikt by się nie dowiedział, że tu byłam. Jednak pospiesznie poszłam dalej do przejścia, jak najciszej. Zerknęłam zza drzwi i nie ujrzałam żadnego strażnika, tylko krąg ociekających woskiem świec, z których pozostały zaledwie ogarki, a za nimi czerwoną linię płonących węgli. W powietrzu unosił się dym, chociaż nie aż tyle, ile się spodziewałam: w pomieszczeniu był przeciąg.

Nabrałam tchu i weszłam do komnaty, a Starzyk odwrócił się i zobaczył mnie. Na moment zastygł, a potem lekko skłonił głowę.

– Pani – rzekł. – Dlaczego przyszłaś?

Stał sam w ognistym kręgu pełgających płomieni. Ten srebrny łańcuch był owinięty wokół niego tak ciasno, że wpijał się w jego srebrzyste szaty. Nadal chciałam go nienawidzić, ale trudno nienawidzić kogoś skutego i czekającego na tego stwora zbliżającego się tunelem.

– Wciąż jesteś mi winien trzy odpowiedzi – odparłam.

– Na to wygląda – rzekł po namyśle.

– Jeśli cię uwolnię – powiedziałam – czy obiecasz nie sprowadzać znów zimy? Zostawić mój lud w spokoju i nie próbować zagłodzić wszystkich?

Gwałtownie się odsunął i wyprostował, błyszcząc.

– Nie, pani – odrzekł zimno. – Nie dam ci takiej obietnicy.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Starannie przemyślałam pytania, kiedy szłam tak długo w ciemnościach. Jedno miało skłonić go do zakończenia zimy, drugie do zostawienia mnie w spokoju, a trzecie do położenia kresu napadom. Miałam najlepszą możliwą pozycję przetargową. Nie brałam pod uwagę możliwości, że nawet teraz – skutą i czekający na śmierć, na śmierć ich wszystkich – nadal nie będzie...

– Zatem tak bardzo pragniesz zabić nas wszystkich – wykrztusiłam ze zgrozą. –

Bardziej niż ocalić swój lud... Nienawidzisz nas tak, że wolisz umrzeć w tym lochu, pożarty przez...

– Ocalić mój lud? – powiedział głośno. – Myślisz, że trwoniłem moją moc oraz skarby mego królestwa do ostatniej monety i poślubiłem osobę, którą uważałem za niegodną śmiertelniczkę... – nawet tak rozgniewany przerwał na moment i skłonił głowę, jakby znów mnie przeproszał – z jakiegoś mniej istotnego powodu?

Zamilkłam. Słowa nie chciały przejść mi przez ściśnięte gardło.

– I po tym wszystkim, co zrobiłem – dodał z goryczą, gniewnie na mnie patrząc – przychodzisz i pytasz mnie jak tchórza, czy kupię sobie życie, obiecując stać na uboczu i pozwolić, by zamiast mnie pożarł ich wszystkich? Nigdy! – warknął i zaczął rzucać słowa jak kamienie. – Będę mu się opierał, dopóki starczy mi siła, a gdy ich zabraknie, gdy dłużej już nie będę mógł trzymać góry poza jego zasięgiem, mój lud przynajmniej będzie wiedział, że odszedłem wcześniej i do końca zachowałem ich imiona w moim sercu. – Energicznie potrząsnął głową. –

I ty mówisz mi o nienawiści. To twój lud chciał się na nas zemścić! To wy koronowaliście pozeracza i uczyniliście go waszym władcą! Czarnobóg nie miałby dość siły, by zniszczyć naszą górę, gdyby nie wy!

– Nie wiedzieliśmy! – wybuchłam, z przerażenia odzyskując głos. – Nikt z nas nie wiedział, że car zawarł umowę z demonem!

– Zatem czy wasz lud jest tak głupi, że bezwiednie oddał się pod panowanie Czarnoboga? – spytał z pogardą. – Pięknie się wam za to odpłaci. Myślicie, że

będzie łaskawy? Dba o pozory, żeby się chronić, lecz gdy widzi okazję do zaspokojenia pragnienia, porzuca je bez wahania. Kiedy wyssie nas do ostatniej kropli, weźmie się do was, zmieni wasze lato w pustynną suszę, a ja z radością będę myślał o tym, że podzielicie los mój i mego ludu.

Podniosłam rękę i mocno przycisnęłam dłonie do skroni; głowa rozboleła mnie od dymu i strachu.

– Nie jesteśmy głupcami! – powiedziałam. – Jesteśmy śmiertelnikami, którzy nie mają magicznych umiejętności, chyba że narzucicie nam je siłą. Mirnatus został koronowany, ponieważ jego ojcem był car, a jego brat umarł; on był następny w kolejce do tronu, to wszystko. Nie potrafimy dostrzec demona kryjącego się w carze; nie mamy chroniącej nas magii, czy jesteśmy tego godni, czy nie! Nie musiałeś znać mojego imienia, żeby mi grozić i zabrać z mojego domu. I uważałeś, że to czyni mnie niegodną, nie siebie.

Drgnął, jakbym go uderzyła, po czym cały się zjeżył w okowach.

– Trzykrotnie dowiodłaś, że się myliłem – rzekł po chwili, zgrzytając zębami jak trąca o siebie kawałki kry. – Nie mogę zarzucić ci kłamstwa teraz, choćbym chciał. Pomimo to moja odpowiedź nadal jest odmowna. Nie obiecuję tego.

Rozpaczliwie próbowałam coś wymyślić.

– Jeśli cię uwolnię – powiedziałam po chwili – czy obiecasz przerwać zimę, gdy Czarnobóg zostanie zrzucony z tronu, i pomóc nam znaleźć na to sposób? Caryca pomoże! – dodałam. – Ona też chce się go pozbyć; widziałeś, że niczego nie chciała od niego wziąć. Pomoże, jeśli nie będzie to oznaczało, że wszyscy zamrzniemy! Wszyscy wielcy panowie Litwasu pomogą, żeby zakończyć zimę. Czy pomożesz nam go pokonać, zamiast zabijać nas, żeby pozbawić go żeru?

Nie mógł się ruszać, skuty tym srebrnym łańcuchem, tak więc tylko tupnął nogą i wybuchnął:

– Pokonałem go! Powaliłem go i związałem mocą jego imienia! To przez ciebie znów się uwolnił!

– Ponieważ próbowałeś mnie porwać wbrew mojej woli, żebym do końca życia pomagała ci przedłużać zimę, i groziłeś, że zamordujesz wszystkich, których kocham! – krzyknęłam. – Nie waż się twierdzić, że to moja wina; nie waż się mówić, że cokolwiek z tego jest naszą winą! Car został koronowany zaledwie siedem lat temu. Ty jednak wysyłasz swoich rycerzy po nasze złoto, od kiedy osiedlili się tu pierwsi śmiertelnicy, i nie obchodzi cię, że przy tym mordują i gwałcą dla rozrywki: nie jesteśmy w stanie was powstrzymać, więc spoglądasz na nas z wyższością z tej twojej szklanej góry i uważasz, że jesteśmy nieważni! Zaslugujesz na to, żeby tkwić tutaj i być pożerany przez demona, dlatego tu jesteś! Jednak córeczka Plamki na to nie zasługuje! Uratuję cię ze względu na nią, jeśli

pomożesz mi ocalić dzieci Litwasu!

Już miał się odezwać, ale zawahał się i spojrzął na wylot tunelu. Popatrzyłam w tę ciemną czeluść: dostrzegłam zbliżającą się słabą czerwoną poświatę rosnącego płomienia, a Starzyk obrócił do mnie głowę i powiedział:

– Dobrze! Uwolnij mnie, a obiecuję ci nie przedłużać zimy, gdy Czarnobóg będzie zrzucony z tronu, a mój lud bezpieczny; przyrzekam też pomóc ci go pokonać. Jednak do tego czasu nie dam ci słowa!

– Świetnie! – warknęłam. – I jeśli cię uwolnię, to czy obiecasz... – Zamilkłam, nagle uświadamiając sobie, że zostało mi już tylko jedno pytanie, nie dwa. Pospiesznie je zmieniłam: – Czy obiecasz w imieniu swoim i wszystkich Starzyków zostawić mnie i mój lud, cały Litwas, w spokoju? Zaprzestać napadów, gwałtów i mordowania dla złota czy z innego powodu...

Popatrzył na mnie, a potem odrzekł:

– Uwolnij mnie, a obiecuję ci, że nie będzie więcej łowów na was w zimowym wietrze; będziemy przybywać, jeździć po lesie oraz zaśnieżonych równinach i polować na zwierzynę o białych futrach, która należy do nas, i jeśli ktoś będzie na tyle głupi, żeby wchodzić nam w drogę, może zostać stratowany, lecz nie będziemy rozlewać krwi śmiertelników ani zabierać ich skarbów, nawet ogrzanego słońcem złota, chyba że w sprawiedliwej zemście za takie wcześniej wyrządzone krzywdy, i nie weźmiemy siłą żadnej kobiety, która odmówi swej ręki.

– To dotyczy i ciebie – dodałam znacząco.

– Przecież powiedziałem! – Znów spojrzął w kierunku tunelu, gdzie czerwone światło było coraz jaśniejsze i skakało po ścianach. Zbliżało się szybko. – Przerwij ognisty krąg!

Pochyliłam się i spróbowałam zgasić dmuchnięciem jedną ze świec, lecz jej płomień tylko zamigotał i nie zgasł. Była tak mocno przyklejona stopionym woskiem do podłoża, że nie mogłam jej oderwać. Musiałam pobiec do wylotu tunelu, nabrać rękami ziemi i sypać ją, jakbym gasiła płonący w kuchni olej, tak że w końcu poparzyłam sobie dłonie, nim mi się to udało. Jednak węgle były tak gorące, że nie mogłam ich ugasić garściami ziemi, więc zdjęłam płaszcz i złożyłam go tak, żeby jego wilgotna część znajdowała się na dole, a potem rzuciłam go, przerywając i ten krąg.

– Musisz mnie wyciągnąć! – powiedział Starzyk.

Wyciągnęłam ręce nad parzącymi płomieniami, złapałam sznur i przeprowadziłam go po płaszczu, zanim zapalił się pod jego stopami. Płomienie z taką furią wytrysnęły w górę, że zapaliły długi i wygięty czubek jego buta. Cały but zwęglił się na jego nodze w nagłym obłoku płomieni i dymu, a Starzyk, dysząc, zatoczył się na mnie. O mało nie upadłam pod jego ciężarem i ledwie udało mi się

oprzeć go o ścianę. Drżał, a oczy miał prawie zamknięte i przezroczyście z bólu; pajęczyna ledwie widocznych czerwonych linii pokryła całą jego nogę aż do kolana, gdzie zwęglona nogawka spodni wciąż lekko dymiła.

Złapałam srebrny łańcuch i spróbowałam zdjąć go przez głowę Starzyka, a potem zsunąć go do jego stóp, ale choć zawisłam na nim całym ciężarem ciała, nie mogłam. Rozpaczliwie rozejrzałam się po komnacie; w stercie węgla na czekającej taczce była wbita łopata. Złapałam Starzyka za ramiona i obaliłam na ziemię, żeby rozerwać łopata jedno ze srebrnych ogniw. Nacisnęłam stopą łopatę, jakbym kopała ziemię, usiłując przeciąć leżące na skale ogniwo; miało tylko cal długości i było cieńsze od mojego małego palca, ale nie dawało się rozerwać. Nie mogłam przerwać łańcucha i nagle za plecami usłyszałam dobiegający z oddali wściekły wrzask.

Nie obejrzałam się: co by mi to dało? Podniosłam łopatę i spuściłam ją na srebrny łańcuch, a potem upuściłam ją, uklękłam i złapałam go obiema rękami. Spróbowałam go przemienić; zamknęłam oczy i przypomniałam sobie te kufry w skarbcach, to uczucie, gdy srebro w moich dłoniach zmieniało się złoto. Cały świat skupił się w czubkach moich palców, tak bardzo pragnęłam to zrobić. Jednak łańcuch tylko rozgrzał się tak, że prawie parzył mi dłonie. Tunel rozbrzmiewał krokami biegnącego ku nam demona i wszystkie węgle nagle buchnęły płomieniem, nawet te na taczce; wokół nas kłębił się gęsty czarny dym.

Starzyk poruszył się i wyszeptał:

– Łopata. Szybko. Przyłóż ją do mojej szyi i naciśnij. Zabij mnie, a nie będzie mógł przeze mnie pożreć mego ludu.

Spojrzałam na niego ze zgrozą. Życzyłam mu śmierci, ale nie z mojej ręki; nie chciałam aż tak bardzo upodabniać się do Judyty, żeby ucinąć mu głowę.

– Nie mogę! – wykrztusiłam. – Nie mogę... patrzeć na ciebie i odciąć ci głowę łopata!

– Mówiłaś, że chcesz ocalić dziecko! – rzucił oskarżycielskim tonem. – Powiedziałaś, że to zrobisz! Ogień nas pożre, chcesz umrzeć jako kłamczyni?

Wciągnęłam haust dymu, czarnego i piekącego, który palił moje usta, nos i gardło, i łzy trysnęły mi z oczu. Nie chciałam umierać i nie chciałam zabijać; nie chciałam odejść z tego świata jako morderczyni, z krwią na rękach. Nie chciałam tego tak samo, jak nie chciałam wyjść na kłamczuchę. On jednak i tak miał umrzeć, straszniejszą śmiercią, a oni wszyscy razem z nim. Z tysiąca sposobów umierania nie wszystkie są jednakowo straszne.

– Obróć się na brzuch – szepnęłam, po czym znów wzięłam łopatę i stanęłam z nią nad nim, z oczami pełnymi łez, ledwie widząc go przez całun dymu...

...i w tym dymie błysnęło coś na środku jego znieruchomiałych pleców; zimny

błysk jak niebieskawy blask księżycy na śniegu: naszyjnik, którym Irina złączyła dwie części rozerwanego srebrnego łańcucha. Upuściłam łopatę i wyciągnęłam ku niemu rękę. Ktoś nagle złapał mnie od tyłu za włosy i szarpnął. Poczułam, że się palą, strasznie śmierdząc, ale czubkami palców zdołałam dosięgnąć naszyjnika, który pod moim dotknięciem zmienił się w złoty.

Demon puścił moje włosy. Kaszląc, upadłam na ziemię; mdliło mnie, a moje włosy wciąż się paliły, gdy znów ryknął z wściekłości. Nagle jednak ten ryk przeszedł w przeraźliwy pisk przypominający jęk zimowego wiatru przelatującego przez pokój, tak zimnego jak żarłoczne były płomienie, i wszystkie ognie wokół mnie zgasły: węgle zmieniły się w czarny popiół, wypalone świece pogrzyły komnatę w ciemnościach, w których słabo błyszcząca para czerwonych ślepi nade mną.

Powietrze, które teraz wciągnęłam w płuca, było czyste i zimne jak po śnieżnej zamieci, i chłodziło moją oparzoną skórę i gardło.

– Twoje zaklęcie zostało złamane, Czarnobogu – rzekł w ciemności Starzyk. – Mocą magii i godnej umowy jestem wolny! – Jego głos odbijał się echem od kamiennych ścian. – Nie możesz mnie już więzić. Umkniesz teraz, czy mam na zawsze zgasić twój płomień i zostawić cię wdeptanego w ziemię?

I z kolejnym zduszonym rykiem wściekłości czerwone ślepia znikły i usłyszałam głośny tupot nóg uciekającego tunelem demona. Zamknęłam oczy i zwinęłam się w kłębek na zimnych kamieniach, spazmatycznie łykając świeże zimowe powietrze.

Kiedy Magreta namówiła mnie, żebym znów się położyła, spałam przez jakiś czas; byłam zmęczona i cała obolała. Jednak zbudził mnie nagły świst wiatru wpadającego przez otwarte drzwi balkonu. Wstałam i wyszłam, żeby się rozejrzeć. W ciemności widziałam tylko pochodnie płonące na zamkowych murach, lecz wiejący mi w twarz wiatr znów był zimny i nagle nabrałam pewności, że Starzyk się uwolnił. I równie pewna byłam tego, że uwolniła go Mirjem. Nie wiedziałam jak i kiedy, ale byłam tego pewna.

Nie potrafiłam znaleźć w sobie gniewu, tylko strach. Rozumiałam jej wybór, choć nie był moim: nie chciała karmić płomienia. Ja też nie, ale ona uwolniła zimę, żeby mieć czyste ręce. Znów spadnie śnieg, jeśli nie w nocy, to rano, i wszystko, co wyrosło, zmarznie.

Wkrótce potem będą kolejne ofiary. Widziałam zapadnięte boki zwierząt, które tego ranka przychodziły jeść okruchy chleba; nie pożyłyby długo. Pomimo ogromnych możliwości mojego ojca tylko dzięki nagłej obfitości warzyw i owoców stoły biesiadne były tego wieczoru godne jego rangi. Nie było na stole całej

pieczonej świni ani dzika; zwierzyna i trzoda były zbyt chude, by cieszyć oko. Zapewne trzeba było zabić dwa razy więcej zwierząt niż zwykle, żeby wyprawić ucztę i widziałam, jak muzycy długo moczyli skórki chleba w cienkiej zupce, jaką im podano, ponieważ chleb był czerstwy. I to na stole księcia i weselu księżniczki. Wiedziałam, co to oznacza dla uboższych ludzi za murami miasta.

Jednak nie wiedziałam, co robić. Schwytaliśmy Starzykowego króla tylko dzięki pomocy Mirjem, a i tak o mało nas nie pokonał. Więcej nie popełni tego błędu. Chciałabym wierzyć, że Mirjem zawarła z nim jakąś umowę, pakt mający zakończyć zimę, o którym mówiła – lecz zapowiadający śnieg wiatr mówił co innego i nie było czasu na negocjacje. Jeśli jutro spadnie śnieg i zmrozi żyto, w radującym się dziś mieście wybuchną zamieszki, gdy tylko zostanie odgarnięty. A jeśli nie przestanie padać, wszyscy umrzemy z głodu, zasypani w naszych domach, chatach i pałacach. Czy możemy zrobić tak szerokie lustro, żeby przeszły przez nie nasze wojska? Jednak przybywający tu Starzykowi myśliwi swymi srebrzystymi mieczami kładli śmiertelników pokotem jak łąn zboża. Mogliśmy pozostawić po sobie pieśń, wypowiadając wojnę zimie, ale ludzie nie mogą się żywić muzyką.

Magreta okryła moje ramiona futrzanym płaszczem. Spojrzałam na nią. Była smutna i przestraszona. Ona też poczuła ten chłód.

– Twoja macocha byłaby zachwycona, gdybyś zechciała zaszczyścić ją wizytą w jej pokojach – powiedziała łagodnie.

Co należało rozumieć: wyjdźmy z tej komnaty, nie czekajmy, aż wróci tu car. Oczywiście Czarnobóg tu wróci, rozpalony, dziki i zły. Ogień i lód jednocześnie na horyzoncie, a moje małe królestwo wiewiórek pomiędzy nimi. Jednak on był też moją jedyną nadzieją na znalezienie jakiegoś sposobu, żeby je uratować.

– Idź do mojego ojca – poleciłam. – Powiedz mu, że chcę, by wysłał Galinę i chłopców na zachód tej nocy, natychmiast, na wakacje. Niech załadują płozy do powozu. Powiedz mu, że chcę, aby też z nimi wyjechał.

Uścisnęła moje dłonie.

– Chodź.

– Nie mogę – odparłam. – Noszę koronę. Jeśli ona coś oznacza, to właśnie to.

– A więc nie noś jej – powiedziała. – Zostaw ją, Irinuszko. Przynosi tylko strapienie za strapieniem.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

– Pomóż mi ją nałożyć – nakazałam łagodnie, a ona poszła i wzięła ją ze łzami w oczach, po czym znów nałożyła mi na głowę. Później łagodnie popchnęłam ją w kierunku drzwi. Pospiesznie odeszła zgarbiona.

Ziąb szybko się wzmagił. Ogień na kominku zgasł, ale i tak czułam zapach

dymu, z początku ledwie wyczuwalny, jak w długo niewietrzonym pomieszczeniu, a potem jak zbyt szybko spalonej za dużej ilości chrustu, zanim usłyszałam ciężkie i pospieszne kroki na korytarzu. Drzwi otwały się gwałtownie i do komnaty wpadł Czarnobóg, jeszcze skrywając swą obecność w ludzkim ciele, zdradzaną przez czerwone ślepia i żar jarzący się pod skórą Mirnatiusa; zaledwie jednak drzwi zatrzasnęły się za nim, gdy ryknął na mnie tak, że dostrzegłam żółte płomyki pełgające w jego gardle.

– Nie ma go! Uciekł, uwolnił się! Złamałaś obietnicę i pozwoliłaś mu umknąć!

– Nie złamałam żadnej obietnicy – odparłam. – Obiecałam przyrowadzić go i zrobiłam to; nie uwolnił się dzięki mnie, lecz wbrew mojej woli. Ja też nie chcę, aby był wolny i znów sprowadził zimę do Litwasu. Jak można go znów uwięzić lub powstrzymać? Powiedz mi, co można zrobić.

– On umknął, uciekł tam, gdzie nie mogę pójść! Otoczy swe królestwo murem lodu i śniegu, nie pozwalając mi ucztować! – Czarnobóg prychnął na mnie gniewnie; zaczął przemierzać komnatę tam i z powrotem w powolnym i nierównym tempie rozchodzących się płomieni. – Jest wolny i zna moje imię, a już raz mnie związał... Głodowałbym na zimnych kamieniach, żywiąc się jedynie kośćmi... Nie mogę wejść do jego królestwa! – Rozdygotany przystanął na moment, a potem parsknął jak pękająca w ogniu kłoda. – Posmakowałem go. Jest zbyt silny, zbyt wielki. Jego dłonie są pełne złota. Pokona mnie zimą, zgasi mój płomień w niekończącym się chłódzie.

Potem zwrócił się do mnie, patrząc tymi płonącymi ślepiami.

– Irino – rzekł śpiewnie – Irino, słodka i zimna jak srebro, zawiodłaś mnie. Nie dałaś mi mojej zimowej uczy. – Zrobił krok w moim kierunku. – Tak więc dotrzymam obietnicy i zamiast nim pożywię się tobą; tobą i wszystkimi, których kochasz. Jeśli nie mogę mieć króla zimy, poczuję na języku twoją słodycz. Ty dasz mi siłę!

– Czeka! – warknęłam, gdy zrobił kolejny krok w moim kierunku. Podniosłam rękę. – Czeka! Jeśli zabiorę cię do Starzykowego królestwa, zdołasz go tam pokonać?

Przystanął, a jego ślepia zapłonęły jak iskra padająca na garść słomy.

– W końcu zdradzisz mi twój sekret, Irino? – wydyszał. – Pokażesz mi teraz twoją drogę? Otwórz ją i pozwól mi tam wejść; po co mi wtedy jeden król? Będę ucztował na jego dworze, aż opadnie z sił, a i tak w końcu dostanę ich wszystkich.

Zaczerpnęłam tchu, patrząc na stojące w pobliżu lustro, moją ostatnią drogę ucieczki. Kiedy mu ją zdradzę, już nigdy nie będę miała gdzie się schronić. Miałam jednak tylko dwie możliwości: mogłam uciec tam sama i zostawić go, żeby posilił się wszystkimi poza mną, albo przeprowadzić go na drugą stronę i wiedzieć, że

może wrócić po mnie głodny. Wyciągnęłam rękę.

– Zatem chodź – powiedziałam. – Zabiorę cię tam.

Wyciągnął do mnie rękę Mirnatiusa, aby chwycić moje palce swymi smukłymi i kształtnymi, o ciepłej skórze, z dymem niczym mankiet spowijającym jego przegub. Odwróciłam się do lustra i gdy na nie spojrział, nagle z sykiem wciągnął powietrze, a ja wiedziałam, że zobaczył to samo co ja: zimowe królestwo za szkłem, płatki śniegu gęsto sypiącego między ciemnymi pniami sosen. Podeszłam do lustra, ciągnąc go za sobą, i razem weszliśmy w ośnieżony las.

On jednak znalazł się tam jako stwór z popiołu i płomieni, płonących czerwono za zaciśniętymi zębami i poczerniałym językiem, jakby Mirnatius był skórą, którą mógł zrzucić, a jego ciało rozżarzone węglem spowitym dymem. Zimny wiatr smagnął moją twarz, a stojący obok mnie Czarnobóg wrzasnął, przygaszony przez ten silny podmuch do ledwie żarzących się węgli i popiołu. Jednak po chwili zmagania czerwony blask znów zaczął przeświecać przez jego skórę; był zbyt głęboki i zbyt gorący, żeby tak łatwo dać się zgasić. Zimno wycofało się, pozostawiając wokół nas coraz szerszy krąg ziemi wolnej od śniegu. Znaleźliśmy się za tym małym domkiem, którym niedawno opuściłam; teraz spojrzałam na balię pełną wody, a lód w niej pękał i rozpadał się na kawałeczki, które łatwo się topiły.

Czarnobóg łapczywie wciągał powietrze z rozmarzonym, pożądlivym wyrazem twarzy.

– Och, to zimno – westchnął. – Och, ten słodki nektar, który będę pił. Cóż za uczta mnie tu oczekuje... Irino, Irino, pozwól mi cię nagrodzić, zanim ruszę w drogę!

– Nie – powiedziałam zimno i wzgardliwie.

Najwyraźniej sądził, że może wielokrotnie używać tego podstępu i nikt się nie zorientuje. Matce Mirnatiusa zawarta z nim umowa nie przyniosła nic dobrego, nawet jeśli pochowano ją w koronie, za którą zaprzedała swoje dziecko.

– Nadal nic od ciebie nie chcę poza tym, żebyś zostawił w spokoju mnie i moich bliskich.

Znów prychnął z niezadowoleniem, lecz był zbyt rozkojarzony, żeby się tym przejmować: zimny wyjący wiatr ciął jego twarz jak nożem, a on obrócił się i skoczył ku niemu, niemal jakby mógł go złapać w dłonie. Niewykluczone, że mógł, ponieważ skacząc, szeroko rozłożył ręce, jakby chciał objąć powietrze, i wiatr, który owiał mnie tam, gdzie stałam, za jego plecami, był ciepły. Pomknął pomiędzy drzewami ku rzece, pozostawiając za sobą głębokie ślady sięgające aż do ukrytej pod śniegiem trawy, a przy każdym jego kroku z ziemi unosił się wilgotny zapach wiosny. Nawet gdy znikł mi z oczu, te ślady powiększały się, topiąc śnieg wokół.

Rozdział 23

Starzyk wziął mnie na ręce, a może unosił mnie zimowy wiatr; tak czy inaczej zostałam wyniesiona przez właz na zbocze pagórka, z którego widać było znajdujący się niecałe pięćdziesiąt łokci od nas miejski mur i palące się za nim światła. Cokolwiek mnie niosło, upuściło mnie bezceremonialnie na ziemię – ciepłą ziemię, porośniętą bujną i miękką zieloną trawą, i choć była oszroniona wokół klęczącego Starzyka, jego skóra była wilgotna i błyszcząca, jakby się topił.

Jednak chwiejnie stanął na nogach, jednej wciąż bosej, i z błyszczącymi oczami uniósł ręce, a wtedy oszroniony krąg wokół niego zaczął się rozszerzać, źdźbła trawy kurczyły się i twardniały pokryte lodem, a ziemia pode mną stała się twarda i zimna, jakby teraz, kiedy był wolny, zamierzał znów przywołać tę zimę, która została przegnana.

– Zaczekaj! – zaprotestowałam z oburzeniem, podnosząc się na klęczki.

Zerknął na mnie.

– On już pożera mój lud! – warknął. – Nie pozwolę...

Urwał i gwałtownie się odwrócił, ale ułamek sekundy za późno; mimowolnie krzyknęłam, gdy miecz przeszył go na wylot, wchodząc z przodu pod żebrami i wychodząc na plecach, biały od lśniącego szronu i otoczony zimną mgiełką tryskającą z rany. Wbił go jeden z carskich strażników, ten chwyt, który wziął sznur, żeby wyprowadzić Starzyka z domu mojego dziadka. Najwyraźniej stał na straży w pobliżu włazu; jego wąsata twarz była blada, lecz zdeterminowana, miał szeroko otwarte oczy oraz zaciśnięte zęby i oburącz ścisnął rękojeść miecza.

Usiłował wyrwać go z ciała Starzyka, lecz nie zdołał i biały szron już mknął do jego urękawiczonych dłoni. Gdy do nich dotarł, palce strażnika natychmiast rozwarły się jakby wbrew jego woli i Starzyk runął na ziemię, patrząc w niebo zasnutymi mgłą, pobielającymi oczami. Zbrojny gapił się na niego, drżąc i załamując ręce; końce obleczonych rękawicami palców miał białe. Ja też się gapiłam, przyciskając dłonie do ust, powstrzymując kolejny krzyk. Miecz przebił ciało Starzyka na wylot. Nie pojmowałam, jak mógł zginąć; wydawało się to niemal

nierealne i miałam w głowie dziwną pustkę – nie mogłam zebrać myśli.

Jednak Starzyk wyciągnął rękę i uchwycił rękojeść sterczącego z jego ciała miecza, który pod jego dotknięciem zaczął pokrywać się warstwami szronu, aż zupełnie zbielał. Cały miecz zmienił się w lód. To wyrwało żołnierza i mnie z odrętwienia: on wyrwał zza pasa długi sztylet, a ja znów krzyknęłam: „Zaczekaj”, z trudem wstałam i złapałam go za rękę.

– Posłuchaj! Musimy powstrzymać demona, nie jego!

– Milcz, wiedźmo! – prychnął żołnierz. – To twoja sprawka, ty go uwolniłaś, żeby zniweczyć dzieło naszej błogosławionej carycy.

I uderzył mnie pięścią w twarz, aż zobaczyłam wszystkie gwiazdy i ugięły się pode mną kolana. Upadłam oszołomiona i wstrząśnięta, a on się odwrócił, żeby dźgnąć Starzyka.

A wtedy z otaczających nas ciemności wyłonił się Siergiej i powstrzymał go, chwytając za rękę. Obaj przez moment mocowali się nad Starzykiem. Siergiej był wysokim, silnym chłopcem, i och, jakże byłam teraz wdzięczna matce za każdy kubek mleka, każde jajko i każdy kawałek kurczaka, który mu dała. Często w myślach przeliczałam je na grosze, a teraz ponieważ żałowałam, że nie byłam hojniejsza; gdybym była, gdybym nakładała mu więcej na talerz i zachęcała go do jedzenia, może teraz byłby wystarczająco silny. Jednak nie; był jeszcze chłopcem, a żołnierz dorosłym mężczyzną w zbroi, wyszkolonym do zabijania dla cara. Ciężkim butem przydepnął stopy biednego Siergieja, który miał na nich łapcie ze słomy, po czym nagłym półobrotem rzucił go na ziemię, uwalniając rękę ze sztyletem.

Wtedy jednak nagle znieruchomiał. Jego zbroja, szyja i twarz przybrały dziwny, białawy odcień. Tkwiący w piersi Starzyka miecz rozpadł się na kawałki zamrożonej, niebieskawobiałej stali, rozrzucone na trawie wokół niego. Król zimy leżał na plecach z zamkniętymi oczami, których oszronione rzęsy kontrastowały z sinoblady kolorem policzków, ale wyciągnął rękę i złapał stojącego nad nim żołnierza. Lód rozchodził się spod jego dłoni, obejmując but, nogę i całe ciało napastnika, zamrażając go.

Twarz nieszczęśnika zbielała, skóra na policzkach popękała i zesza odmrożona. Ukryłam twarz w dłoniach i nie patrzyłam, aż było po wszystkim, i zostały po nim tylko leżące wszędzie wokół kawałki lodu oraz upuszczony sztylet, błyszczący i śmiercionośny.

Z trudem podniosłam się na klęczki, ostrożnie dotykając obolałej twarzy. Siergiej usiadł i też się krzywił, masując stopy. Lśniący Starzyk wciąż leżał na ziemi. Szron otaczał go coraz szerszym kręgiem, delikatnymi jak piórka wzorami pnąc się po źdźbłach trawy. Oddychał; to miejsce, gdzie miecz wbił się w jego

ciało, już pokryła gruba warstwa lodu, jakby zatkał ranę śniegiem. Jednak nie usiadł. Siergiej popatrzył na niego, a potem na mnie.

– Co robimy? – spytał mnie głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

W odpowiedzi tylko na niego spojrzałam. Nie miałam pojęcia, co zrobić z leżącym na ziemi Starzykiem, wokół którego zima rozchodziła się jak atrament w wodzie.

Pochyliłam się nad nim, a on otworzył powieki i spojrzał na mnie zasnutymi mgłą oczami.

– Możesz przywołać twoją drogę? – spytałam. – I sanie? Kazać im, żeby zawiozły cię z powrotem?

– Za daleko – szepnął. – Za daleko. Moja droga nie może biec pod zielonymi drzewami.

A potem znów zamknął oczy i leżał tam nieruchomo, bezsilny, ranny i może nawet umierający, właśnie teraz, gdy przestałam już pragnąć jego śmierci. Najwidoczniej postanowił pozostać dla mnie tak samo bezużyteczny, jak był przez cały czas. Miałam chęć nim potrząsnąć, zmusić, żeby wstał, tylko bałam się, że rozpadnie się na kawałki, poczynając od tego miejsca, gdzie przebił go miecz. Siergiej wciąż na mnie patrzył.

– Będziemy musieli go nieść – oznajmiłam ponuro.

Siergiej bał się go dotknąć i nie mogłam mieć mu tego za złe. Zdjęłam i rozłożyłam na ziemi mój mokry, ubrudzony popiołem płaszcz, a potem ostrożnie przesunęłam nań najpierw nogi Starzyka, następnie ramiona, a potem tułów, obejmując go w pasie. Nawet przy tym nie drgnął.

– W porządku – powiedziałam. – Chwyć za kołnierz, a ja złapię kraj.

A kiedy Siergiej próbował chwycić kołnierz płaszcza, Starzyk nagle się poruszył i próbował go uderzyć.

Przerażony Siergiej odskoczył, a ja puściłam mój koniec płaszcza.

– Co robisz? – warknęłam.

Obrócił ku mnie głowę.

– Nieproszony przychodzi mi z niechcianą pomocą! – szepnął. – Mam pozwolić temu tchórzliwemu wyrostkowi, temu podstępnemu złodziejowi, by uczynił mnie swym wiecznym dłużnikiem i mógł prosić, o cokolwiek chce?

Miałam ochotę podnieść ten sztylet i sama go dźgnąć.

– Czarnobóg nadal siedzi w tym zamku, gotowy pożreć nas wszystkich, ty leżysz półżywy na ziemi, a mimo to myślisz tylko o swojej dumie. Bądź sobie dumny, kiedy go już nie będzie!

On jednak tylko spojrzał na mnie karcąco.

– Pani – rzekł – będę dumny wtedy, a także przedtem; nie wyznaczam mojej

dumie granic.

Zgrzytnęłam zębami.

– Poproś go o coś! – powiedziałam do Siergieja, a on popatrzył na mnie tak, jakby myślał, że oszalałam. – Co ma ci dać za twoją pomoc? I nie żądaj mało – dodałam mściwie – skoro tak ceni swoją dumę.

Siergiej powiedział dopiero po chwili, bardzo wolno, jakby nie całkiem mi wierzył:

– Żeby... żeby moich plonów nigdy nie ścinał mróz?

Skinęłam głową, a kiedy Starzyk nie spróbował położyć go trupem na miejscu, Siergiej nabrał odwagi i dodał:

– I żeby żadne z moich stad nigdy nie zginęło w śnieżycy? I... – Ja wciąż go zachęcałam. – I żebym mógł polować w lesie nawet na białe zwierzęta?

Przy tym Starzyk lekko się skrzywił, więc Siergiej pospiesznie zamilkł, ale ja i tak uznałam, że tyle wystarczy.

– Słyszałeś! – powiedziałam do Starzyka. – I co ty na to? Obiecasz mu to w zamian za przeniesienie cię w bezpieczne miejsce? Czy będziesz tu leżał, aż wiosenne deszcze zupełnie cię roztopią?

– Wysoko się ceni jak na nędznego złodzieja – mruknął Starzyk. – Jednak szczęście się do niego uśmiecha; bardzo dobrze, zgadzam się.

A potem pozwolił swojej głowie opaść z powrotem na płaszcz i zwiotczał. Siergiej bardzo wolno podszedł do płaszcza, a potem jeszcze wolniej złapał za kołnierz, przez cały czas nie odrywając oczu od Starzyka.

– W porządku – powiedziałam. – Zgodził się.

Ale Siergiej tylko zerknął na mnie, jakby chciał powiedzieć, że woli się jednak nie spieszyć.

W końcu podnieśliśmy go i ruszyliśmy, chwiejąc się pod ciężarem kołyszącym się w hamaku z płaszczem. Trudno było go tak nieść i po jakichś dziesięciu minutach, gdy Starzyk nie przywołał śnieżycy, nie próbował nas zamordować, a nawet nie usiadł i nie powiedział ani słowa, Siergiej cicho powiedział do mnie:

– Zaczekaj. Poniosę go na plecach.

Postawiliśmy Starzyka i pomogłam Siergiejowi wziąć go na plecy, nadal owiniętego płaszczem. Siergiej lekko chwiał się i drżał pod jego ciężarem, ale teraz szliśmy nieco szybciej.

Powietrze było chłodne, nie mroźne, ale też nie tak ciepłe, jak powinno być na wiosnę, i gdy obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że drogę za nami pokrywa biały szron, a nad naszymi głowami nowe liście drzew więdną z zimna. Każdy mógł pójść za nami tym tropem. Bałam się, że zrobią to strażnicy, demon, a nawet gromada zwykłych ludzi rozpaczliwie pragnących pokonać zimę. Nikt jednak za

nami nie szedł, a potem usłyszeliśmy turkot kół wozu zbliżającego się z przeciwnej strony; przystanęliśmy i pospiesznie ukryliśmy się między rosnącymi przy drodze drzewami; niezbyt dobra kryjówka, gdyż lśniące igły szronu natychmiast otoczyły nas niczym rozkwitający kwiat, ale było jeszcze ciemno. Wóz nadjechał i minął nas, z błyskiem światła wjeżdżając między drzewa, gdzie zatrzymał się i usłyszałam głos ojca.

– Mirjem? – cicho wołał w mroku.

Wyszliśmy i położyliśmy Starzyka na wozie. Usiadłam przy nim, a Siergiej i mój ojciec obrócili wóz. Koła wozu skrzypiały, białe od szronu, który pełził po deskach. Konie niespokojnie strzygły uszami, nasłuchując, co się za nimi dzieje, i przyspieszając, ale wieźliśmy zimę ze sobą i nie mogły przed nią uciec. Przynajmniej była to krótka jazda; po tym, co mówił ojciec, spodziewałam się, że będzie dłuższa. Tymczasem chyba po niecałej godzinie wyjechaliśmy spomiędzy drzew i ujrzeliśmy domek stojący w ogrodzie, otoczony niskim murkiem. Ojciec i Siergiej zatrzymali wóz.

Wanda wyszła otworzyć nam bramę, a Siergiej zsiadł i ruszył z końmi do szopy. Ja potrząsnęłam Starzykiem, który oprzytomniał na tyle, że powiedziałam:

– Obiecuj to samo wszystkim, którzy tu mieszkają, jeśli ci pomogą.

Popatrzył na mnie zmrużonymi białymi oczami.

– Tak – wymamrotał i znów odpłynął.

– Położymy go na łóżku? – spytał ojciec, spoglądając na mnie zza wozu, lecz ja przecząco pokręciłam głową.

– Nie – odparłam. – W najzimniejszym miejscu, jakie znajdziemy. Jest tu jakaś piwnica?

Wracający z szopy Siergiej usłyszał moje pytanie i wzruszył ramionami.

– Możemy poszukać – powiedział, jakby myślał, że piwnica może pojawić się niespodziewanie; potem wziął lampę i poszedł szukać za domem i za szopą, aż nagle cicho zawołał: – Tu są drzwi.

Mój ojciec trzymał lampę, gdy Siergiej szarpnięciem otworzył zwykłe drewniane drzwi; owiał nas podmuch zimnego powietrza o zapachu zmarzniętej ziemi. Znieśliśmy Starzyka po drabinie do piwnicy. Była to duża ziemianka z zimną, kamienną podłogą. Gdy położyliśmy go na niej i zdjęli z niego płaszcz, szron szybko rozszedł się wokół i zaczął pokrywać coraz grubszą warstwą leżącego teraz nieruchomo Starzyka. Ojciec cicho krzyknął, gdy zbieleły mu palce, którymi ściągał z niego płaszcz.

Cofnęliśmy się i patrzyliśmy na Starzyka: twarz miał ściągniętą i skrzywioną z bólu, a ostre kontury jego kości policzkowych jeszcze przez moment lśniły wilgocią, ale ta warstewka wody natychmiast zmieniła się w lód i wydało mi się, że

zaczął swobodniej oddychać.

– Może dajmy mu trochę wody – powiedziałam po chwili.

Stojąca na zewnątrz Wanda podała nam wiadro i drewniany kubek. Napeliłam go, uniosłam głowę Starzyka i przytknęłam kubek do jego ust, a on wypił trochę. Pod dotykiem jego warg kubek pokrył się białym szronem, a na powierzchni wody już tworzyła się warstewka lodu, kiedy go zabrałam. Spojrzałam na jego bosą, poparzoną stopę, częściowo zniekształconą nie do poznania, jakby należała do topiącego się śniegowego bałwana. Wyjęłam z kubka warstewkę lodu i przyłożyłam do najbardziej uszkodzonego miejsca. Zapadła w ciało, nieco je naprawiając. Popatrzyłam na Wandę, która wciąż spoglądała na nas z góry.

– Czy jest tam więcej lodu? Może trochę kry na rzece?

Ona jednak już poszła nad rzekę, żeby przynieść wodę, i pokręciła głową.

– Wszystek się stopił – powiedziała. – Rzeka jest wolna od lodu, od brzegu do brzegu.

– Moglibyśmy umieścić go w słomie – zaproponował niepewnie ojciec. – Jak przechowuje się lód w lecie.

– Musimy zawieźć go do jego królestwa – powiedziałam.

Gdyby Czarnobóg znalazł nas tutaj, nie potrzebowałyby niczyjej pomocy, żeby uwięzić Starzyka w srebrnych okowach i ognistym kręgu. Tym razem zrobiłby to sam, a może nawet zdołałby go potem zmusić, żeby zdradził mu swoje imię i swój lud. Nie wiedziałam jednak, co robić. Jego droga nie mogła biec pod zielonymi drzewami, a zima w Litwasie pozostała tylko w naszej piwnicy. Kiedy z niej wychodziliśmy i Wanda usłużnie podała mi z góry rękę, gwoździe mocujące drabinkę oraz żelazna framuga drzwi były pokryte białym szronem i nieprzyjemnie zimne w dotyku, a trawa nad piwnicą zupełnie zeschnięta; ziemia pod naszymi nogami zamarzła i była twarda jak skała.

Gdy tam stałam w półmroku, patrząc na niego leżącego w piwnicy, bladego i nieruchomego jak posąg otoczony kręgiem szronu, przez las przeleciał silny powiew ciepłego wiatru, wichrząc moje włosy, a kiedy znów spojrzałam na drogę, zobaczyłam, że szron, który pozostawiliśmy na niej, już znikł jak poranna rosa. A o świcie wstanie gorące letnie słońce.

Chciałam jego śmierci, chciałam wciąż być na niego zła: za wszystko, co mi zrobił, i to, że nawet niczego nie żałował; jedynie tego, że nie wierzył, że mogę go zmusić, aby mi za to zapłacił. Jednak przeszłam tym tunelem, żeby uratować Rebekę, Plamkę, Treskę i Furarza, a on też próbował ich ratować. Poświęcił się dla nich; zapomniał o dumie i poślubił śmiertelniczkę, nie po to, by zgromadzić skarby dla siebie lub na podboje, lecz ratować swój lud przed strasliwym wrogiem. A teraz leżał tam półżywy i ścisnęło mnie w gardle na myśl o tym, że mam patrzeć,

jak się topi i znika, on i wszyscy inni, jakby nigdy nie wydarli ciemności swojego zimowego królestwa.

Srebrna korona na mojej głowie wydawała się dziwnie ciepła. Opatulona białymi futrami obserwowałam słabą czerwoną poświatę oddalającego się Czarnoboga: ogień wysłany przeze mnie na to lodowe królestwo, które dało mi schronienie. Wiejący mi w twarz wiatr niósł zamiast śniegu popiół oraz zapach palonego drewna i żałowałam tego tak samo jak Mirjem. Wiedziałam jednak, że musiałam to zrobić, a także zdawałam sobie sprawę, co muszę zrobić teraz. Musiałam wrócić do mojego królestwa, wezwać ojca i posłać po księży oraz błogosławiony łańcuch. Nie wiedziałam, jak długo Czarnobóg będzie się zadowalał pożeraniem Starzykowego ludu, ale kiedy skończy, powróci. A wtedy, za dnia, gdy będzie spał zwinięty i nasycony w brzuchu Mirnatiusa, zakujemy go w te łańcuchy i spalimy na stosie, unicestwiając jeden ogień drugim.

Im szybciej wyruszę, tym lepiej; musimy być gotowi, kiedy wróci. Nadal jednak stałam i patrzyłam na ogień w oddali.

– Przepraszam – powiedziałam, choć nie było tam nikogo, kogo mogłabym przeprosić.

Byłam sama w ogrodzie, w którym śnieg zaczął odsłaniać trawę. Żadne Starzykowe dziecko nie patrzyło na mnie oskarżycielsko, ani nawet mój uwięziony mąż; jedynym żywym stworzeniem w polu widzenia była samotna wiewiórka, która wyszła wygrzebać okruchy rozsypane przeze mnie kilka dni wcześniej. A gdyby ktoś jednak tam był, nic bym nie powiedziała. Nie miało znaczenia, że się tym przejmuję, że żałuję; ważne było tylko to, co zrobiłam i co zrobię.

– Uratowałam i twoje królestwo, gdybym mogła – powiedziałam wiewiórce, która nie zwróciła na mnie uwagi; interesowały ją tylko okruchy, które przynajmniej były przydatne, w przeciwieństwie do moich przeprosin. Wróciłam do balii pełnej wody. Spojrzałam w nią i ujrzałam moją sypialnię ze stojącą przed lustrem toaletką, na której Mirnatius zostawił pierścienie oraz niedbale rzucony piękny płaszcz. Jeden śmiercionośny ogień już rozpałam, a drugi miałam rozniecić... Na moment zamknęłam oczy i niepotrzebne łzy popłynęły mi po policzkach, spadając do wody.

Na oślep wyciągnęłam rękę, żeby przejść na drugą stronę, lecz zamiast w ciepłym powietrzu sypialni moja dłoń znalazła się w lodowato zimnej wodzie, a pod jej powierzchnią czyjaś dłoń napotkała moją i coś mi w nią wetknęła. Odskoczyłam zaskoczona tym dotknięciem i spojrzałam na to, co trzymam w ręku. Był to orzech jakiegoś dziwnego drzewa, owalny, gładki i mlecznobiały. Okryty odrobiną ziemi. Znów spojrzałam w wodę: sypialnia wciąż tam była i czekała.

Ostrożnie wetknęłam dłoń w wodę i tym razem nie poczułam jej; zobaczyłam, jak moja ręka wyłania się po drugiej stronie.

Jednak zamiast tam przejść, cofnęłam rękę. Ponownie spojrzałam na orzech w mojej dłoni. Powoli odwróciłam się i poszłam z powrotem do frontowych drzwi domku. Był przy nich skrawek gołej ziemi, odsłoniętej przez topniejący śnieg, na samej granicy pomiędzy zmierzchem a mrokiem; wyglądało to tak, jakby ktoś tam kopał. Pomyślałam, że może byłoby warto wetknąć ten orzech w ziemię. Nie wiedziałam, co innego mogłabym z nim zrobić, a został przysłany tutaj, do Starzykowego królestwa; nie sądziłam, że powinnam zabierać go ze sobą.

Położyłam orzech na ziemi i zaczęłam wygrzebywać dołek w ziemi, ale zanim skończyłam, wiewiórka dwoma susami doskoczyła do mnie i porwała go.

– Nie! – powiedziałam.

Naprawdę nie wiedziałam, czy powinnam zasadzić to drzewo, ale byłam pewna, że ten orzech nie miał być pożywieniem wiewiórki. Próbowałam ją złapać za ogon, kiedy uciekała, co było głupotą z mojej strony, bo oczywiście nie zdołałam. Jednak wiewiórka dobiegła tylko do na wpół zasypanej śniegiem furtki ogrodu, zatrzymała się przy niej i zaczęła kopać.

Wstałam i próbowałam do niej podejść, nie płosząc jej, chociaż z trudem przedzierałam się przez zaspę; śnieg, który nie stopniał, był mokry, ciężki i lepił się do moich spódnic i futer. Przy furtce sięgał mi powyżej kolan. Gdy podeszłam bliżej, wiewiórka upuściła orzech do wykopanej dziury i uciekła w las. Wprawdzie nie wykopała zbyt głębokiego dołka w śniegu, lecz w tym białym wgłębieniu orzech lśnił księżycowym blaskiem niemal jak Starzykowe srebro, najwidoczniej kryjąc w sobie jakieś życie.

Tym razem przezornie wetknęłam go do kieszeni i zaczęłam odgarniać śnieg, przekopując się przez zaspę. Palce szczypały mnie i piekły z zimna, a od mokrych kolan i stóp ziąb rozchodził się po całym moim ciele, gdy nie przestawałam kopać. Spróbowałam owinąć dłonie futrzanym płaszczem, ale to spowolniło pracę; zrezygnowałam z tej osłony i po prostu kopałam, choć dłonie mi zdrętwiały, a place wydawały się puchnąć, nawet jeśli wyraźnie widziałam, że nadal są takiej samej wielkości jak zawsze, tylko zbieleły z zimna.

W końcu dokopałam się do ziemi, zamarznętej, twardej i kamienistej. Musiałam wziąć kij ze stojącej przy domu skrzyni na opał, żeby podważać nim duże kamienie i spulchniać ziemię, łamiąc przy tym paznokcie i krwawiąc. Pomimo to kopałam, aż zrobiłam dziurę w zamarznętej ziemi, niezbyt głęboką, a wtedy zakrwawionymi rękami wyjęłam orzech, włożyłam do dołka i znów go zasypałam zamarznąłą ziemią ze śniegiem.

Wstałam i czekałam, aż coś się stanie. Nic jednak się nie wydarzyło. Las znów

był cichy i nie widziałam w nim żadnych innych wiewiórek czy ptaków. Nawet czerwony blask Czarnoboga znikł w oddali. Nie wiedziałam, co to oznacza. Chciałam, aby coś oznaczało, aby ktoś, ktokolwiek, usłyszał moje przeprosiny i dał mi szansę wszystko naprawić. Chciałam przynajmniej zadowolić jedną wiewiórkę. Tyle że ona może tylko miała nadzieję, że z orzecha wyrośnie drzewo, na którym kiedyś będzie mogła się żywić; a ja może nie będę wiedzieć, co zrobiłam. Nie miałam prawa żądać odpowiedzi i wyjaśnień; przybyłam tu jako najeźdźca.

Ręce i nogi miałam obolałe i zmarznięte, i nie mogłam tu dłużej zostać. Odwróciłam się i w mokrym płaszczu powlokłam się za dom, weszłam do bali, a gdy wyszłam z lustra po drugiej stronie, Magreta podbiegła do mnie, krzycząc ze zgrozy na widok moich brudnych, zakrwawionych i zmarzniętych rąk. Zaprowadziła mnie do umywalki i zaczęła je polewać wodą, myjąc do czysta.

Gdy patrzyłam z góry na mojego śpiącego w piwnicy Starzykowego króla, Wanda delikatnie objęła mnie ramieniem i powiedziała:

– Chodź do domu na śniadanie. Przyłożymy ci coś zimnego do twarzy. To pomoże.

Razem poszłyśmy w kierunku chaty. Usiłowałam wymyślić jakiś plan działania, lecz nagle zwolniłam i zatrzymałam się na podwórzu, rozglądając się z niedowierzaniem. Odwróciłam się i spojrzałam na szopę – tę małą znajomą szopę – a potem na dom. Stromy i kryty słomą dach nie był już pokryty grubą warstwą śniegu, lecz kształt miał ten sam, a blask ognia w kominku zapraszał do środka.

Pozostali przeszli jeszcze kilka kroków, zanim zorientowali się, że nie idę z nimi; popatrzyli na mnie ze zdziwieniem. Ja jednak odwróciłam się i pospieszyłam za dom, gdzie znalazłam głęboką balię pełną wody, przez którą chciała przeprowadzić mnie Irina. Zobaczyłam w niej odbicie mojej twarzy.

– To ten sam dom – powiedziałam głośno. Wanda podeszła i spojrzała na wodę, a potem na mnie. – Ten dom stoi także w królestwie Starzyków – powiedziałam. – Jest w obu światach.

Milczała chwilę.

– Codziennie znajdujemy tu różne rzeczy – powiedziała. – Takie, których potrzebowaliśmy, ale jeszcze poprzedniego wieczoru ich tu nie było. Ponadto ktoś przędzie za mnie wełnę i zjada nasze pożywienie.

Pomyślałam o przyzwoitce Iriny, Magrecie, którą umieściliśmy w chacie, żeby ukryć ją przed demonem.

– To ty ugotowałaś owsiankę? – spytałam, a Wanda skinęła głową.

Nie wiedziałam, czy to coś nam da. Po drugiej stronie będzie śnieg; sople zwisające z krokwi. Jednak nie mogłam sama po nie sięgnąć. Wróciłam do

piwnicy. Starzyk wyglądał trochę lepiej; słabe niezdrowe rumieńce zniknęły z jego policzków.

– To jest ten dom – powiedziałam mu, gdy jego powieki poruszyły się i spojrzał na mnie. – Domek czarownicy, o której mi mówiłeś. Ten, który stoi w obu królestwach. Czy jest jakiś sposób, żeby stąd wejść do twojego?

Patrzył na mnie jeszcze przez moment, zanim zrozumiał.

– Zamknąłem to przejście – szepnął. – Pozostały tylko szpary. Nie chciałem, by kolejni śmiertelnicy przez nie przeszli. Widocznie zostało otwarte...

– W jaki sposób? – spytałam. – Czym?

Zamknął oczy. Potem zaczerpnął tchu i znów je otworzył.

– Pomóż mi wstać – powiedział.

Razem dotarliśmy do drabiny. Spojrzał w górę, na prostokąt drzwiczek nad naszymi głowami, na gwiazdy migające na czarnym nocnym niebie, i wzdrygnął się.

– Nie pogorszy ci się, jeśli stąd wyjdiesz? – zapytałam. – Jest ciepło.

– I niebawem będzie jeszcze cieplej – rzekł. – Siły będą mnie opuszczać, a nie powracać. Muszę użyć tych, które mi zostały, dopóki je mam.

Wyszedł stopniowo na górę, a potem utykając i przyciskając dłoń do boku, poszedł w kierunku domu, ale przed drzwiami przystanął i spojrzał na pomarańczowy blask płonących na palenisku węgla. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, a ja przypomniałam sobie, jak Furarz z lękiem patrzył na ogień.

– Poczekaj – powiedziałam, weszłam do środka i pospiesznie zasypałam płomienie popiołem, gasząc je, po czym zamknęłam drzwi pieca. Odwróciłam się i przystanąłam, rozglądając się po izbie: moi rodzice trzymali się za ręce i patrzyli przez otwarte drzwi, Wanda obok nich, Siergiej trzymał pogrzebacz. Stepon już leżał skulony na zapiecku, nakryty płaszczem jak kocem, ale nawet on podniósł głowę. Wszyscy obserwowali Starzyka, który pochylił głowę, by nie zawadzić nią o nadproże, i wszedł do środka.

Jednak nie patrzył na nikogo z nich. Zamiast tego rozejrzał się po izbie, podniósł ręce i opuścił je jakby z rozpaczą, po czym podszedł do stojącej w kącie po lewej komody i otworzył ją. Moja matka się zdziwiła.

– Czy tu była komoda...? – zwróciła się do mojego ojca.

Starzyk jednak już otworzył na oścież drzwiczki komody i przetrząsał ją, niecierpliwie wyrzucając na podłogę wyciągane z szuflad rzeczy: naszyjnik z zielonych paciorków, podarty i zakrwawiony ciemnoczerwony płaszcz, bukietik zwiędłych róż, woreczek, który pękł i z którego na wszystkie strony rozsypały się suszone ziarenka grochu...

Odwrócił się i zobaczył, że się na niego gapimy.

– Pomóżcie mi! Inaczej nie udzielicie mi pomocy, którą obiecaliście!

– Czego mamy szukać? – zapytałam.

– Czegoś z mojego królestwa! – odrzekł. – Czegoś zimowego, co pomoże mi otworzyć przejście.

Wanda po krótkim namyśle poszła zajrzeć za piec, gdzie były półki, ale niewiele na nich stało.

– Nie ma już gdzie szukać – powiedziała.

Prychnął ze zniecierpliwieniem.

– Tam! – powiedział. – I tam.

Wskazał na dwoje drzwi w ścianach na lewo i na prawo od pieca.

Wszyscy wytrzeszczyliśmy oczy: przecież nie mogliśmy ich przeoczyć. Starzyk jednak tylko odwrócił się z powrotem do komody i w gorączkowym pośpiechu zaczął wyrzucać z niej kubki, chusteczki i łyżki, a Wanda po chwili otworzyła drzwi po lewej. Za nimi znajdowała się druga izba, która w żaden sposób nie zmieściłaby się w tym małym domku. Stało w niej wielkie drewniane łóżko z zasłonami, a po obu jego stronach dwie duże szafy. Za drugimi drzwiami słychać było ciche postukiwanie, a gdy ojciec ostrożnie je uchylił, odkrył za nimi spiżarnię z wiankami wiekowego suszonego czosnku zwisającymi z sufitu między wiązkami rozsypującej się lawendy oraz stojącym na środku masywnym drewnianym stołem z moździerzem i pistlem, który lekko się poruszał, jakby ktoś go używał, i wokół którego unosił się słaby zapach roztartych ziół.

– Jedna osoba powinna trzymać drzwi – zauważyła czujnie matka, gdy wszyscy ruszyliśmy na poszukiwania.

Wanda stanęła przy drzwiach sypialni, żeby trzymać je otwarte, gdy przetrząsaliśmy szafy i drewnianą skrzynię u stóp łóżka; wszystkie były zapchane stertami bezużytecznych, zwyczajnych, zżartych przez mole koszul i sukni z kieszeniami pełnymi kurzu, spleśniałych starych butów, płaszczy i koców. Jednak w wyglądającej na ciężką kieszeni jednej sukni znalazłam garść gładkich czarnych kamyczków, dziwnie błyszczących. Podbiegłam z nimi do Starzyka, lecz on rzekł ze zniecierpliwieniem:

– Nie! Do czego mi one? Mógłbym przez tysiąc lat wędrować przez podziemia goblinów i nigdy nie znaleźć powrotnej drogi; odłóż je na miejsce!

Pod poduszką moja matka znalazła stary i zaśniedziałą miedziak, którym również wzgardził, mówiąc:

– Nie mogę też wyśnić mojej drogi do domu!

Na półce w spiżarni znaleźliśmy piękny flakonik perfum, zakorkowany i z kilkoma kroplami płynu na dnie, lecz na jego widok Starzyk tylko wzruszył ramionami.

– Trucizna lub eliksir, jakie to ma teraz znaczenie? – rzekł, otwierając następną szufladę; trzy szare myszki wyskoczyły z niej, przebiegły po podłodze i wypadły za drzwi. Niebo w oddali zaczęło szarzeć, a bosa i zniekształcona noga Starzyka zostawiała mokry ślad na deskach podłogi.

– Może niczego tam nie ma! – powiedziałam.

Głowa opadała mu na pierś; zaprzestał poszukiwań i oparł się o drzwi.

– Coś tam jest! – rzekł. – Jest. Czuję na twarzy powiew wiatru z mojego królestwa, który szepcze mi do ucha i w kątach, choć nie potrafię powiedzieć, którędy wpada. Musimy to znaleźć.

– Ja nie czuję nic prócz gorąca – odparłam – chociaż ogień prawie zgasł.

Milczał chwilę, a potem podniósł głowę i na jego twarzy malowało się okropne przynębie.

– Tak – powiedział głuchym głosem. – Wiatr jest ciepły.

Spojrzałam na niego, nie pojmując.

– Co to oznacza? – spytałam czujnie.

– Czarnobóg tam jest – odparł Starzyk. – Dostał się do mojego królestwa. Jest tam!

Gwałtownie się odwrócił i w nowym przypływie rozpaczy zaczął wyciągać szuflady komody, jedną po drugiej, i rzucać je na podłogę, tak że połowa z nich się rozpadła, a zawartość rozsypała po izbie: szklane kulki, stalówki, chusteczki, szmaciana lalka, kłębki sznurka, garść groszaków, torebka zeschniętych cukierków, kłębki gręplowanej wełny, tysiąc i jeden drobiazgów niedbale upchniętych w jeden kłęb, ale żaden z nich nie pochodził z zimowego królestwa.

– Niczego nie znaleźliśmy – powiedziała cicho do mnie zmęczona i zakurzona matka, ponownie wychodząc z sypialni. – Zagląдалиśmy po trzy razy w każdy kąt. Chyba że pokaże nam jeszcze jakieś inne miejsce.

– To jest tutaj! – wykrzyknął do niej z gniewem. – Gdzieś tu jest!

Bezradnie rozłożyłam ręce, gdy cofnęła się zaskoczona, a wtedy kulący się na zapiecku Stepon powiedział cichutko:

– Ja to mam, ale nie chce rosnać.

Odwróciliśmy się. Wanda i Siergiej znieruchomieli, patrząc na niego. Stepon trzymał w ręku biały orzech, wielkości włoskiego orzecha. Starzyk zobaczył go i doskoczył do niego z krzykiem.

– Skąd go wzięłeś? – rzucił oskarżycielskim tonem. – Kto ci go dał?

Wyciągnął rękę, żeby mu go zabrać, ale Stepon zacisnął orzech w palcach, a Wanda stanęła pomiędzy nimi i gniewnie odpowiedziała:

– Mama mu go dała! Jest od niej, z jej drzewa, i należy do niego, nie do ciebie!

Starzyk zastygł, patrząc na nią.

– Życie śmiertelnika nie ma dość mocy, by skłonić śnieżne drzewo do owocowania! – rzekł. – Choćby nakarmić je jednym, dwoma, a nawet trzema, ledwie okryje się listowiem. Czyją krwią je podlaliście?

– Tato pochował tam piątkę dzieci – odparła Wanda. Twarz miała bladą, zaciętą i jeszcze nigdy nie widziałam jej tak rozgniewanej. – Wszystkich pięciu moich braci, którzy umarli. A na końcu mamę. Ona dała orzech Steponowi! Należy do niego!

Starzyk spojrział na nią, a potem na Siergieja i Stepona, jakby nimi szacował tych sześć nieobecnych osób; pięciu zmarłych przy narodzinach braci i matkę. Potem opuścił wyciągniętą rękę. Z pobladłą i straszną twarzą spojrział na biały orzech, na wpół ukryty w zaciśniętych palcach Stepona.

– Należy do niego – przyznał szeptem, jakby godził się na śmierć.

Ustąpił tak nieoczekiwanie, że nawet Wanda złagodniała. Wszyscy staliśmy tam, ten biały orzech lśnił takim samym blaskiem jak jego srebro, a Starzyk tylko spoglądał nań z rozpaczą i nic nie mówił, jakby nawet nie wyobrażał sobie, co mógłby za niego zaproponować. Cóż bowiem byłoby należytą zapłatą za cały ich ból, za tyle lat smutku? Ja nie wzięłabym tysiąca królestw za moją matkę.

Stepon znów spojrział na orzech, który trzymał w dłoni, a potem w milczeniu wyciągnął rękę. Starzyk jednak tylko na nią spojrział zgnębiony; nie sięgnął po orzech, jakby nie mógł go przyjąć.

Wtedy moja matka nachyliła się i pocałowała Stepona w czoło.

– Byłaby z ciebie dumna – powiedziała, po czym wzięła od niego orzech, odwróciła się i podała go Starzykowi. – Weź go i ocal Starzykowe dzieci. Cóż lepszego mógłbyś z nim zrobić?

On tylko patrzył na nią i nie ruszał się, aż wyciągnęłam rękę i wzięłam orzech, a wtedy spojrział na mnie bezradnie.

– Co mamy robić? – spytałam. – Jak go użyć?

– Pani – odparł – możesz użyć go, jak chcesz. Nie należy do mnie.

Popatrzyłam na niego z urazą.

– A zatem co zrobiłbyś, gdyby należał do ciebie?

– Umieściłbym go w ziemi i nakazał mu rosnąć – rzekł – aby otworzył mi drogę pod swymi konarami. Jednak nie mogę tego zrobić. Nie mam prawa do tego orzecha; nie usłucha mnie. I nie wiem, jak ty możesz go do tego skłonić. Śnieżne drzewo nie zakorzeni się na wiosnę, a tym masz w dłoniach ogrzane słońcem złoto, a nie zimę.

I wciąż się na mnie gapił – wyczekująco – jakbym zaskakiwała go tak często, że teraz też po prostu czekał, aż znów to zrobię, a tymczasem ja nie miałam zielonego pojęcia, co robić.

– Spróbujemy jeszcze raz – powiedziałam z braku lepszego pomysłu. – Możesz pójść i zamrozić ziemię?

Skinął głową. Gdy jednak otworzyliśmy drzwi, cofnął się, drżąc, i niemal upadł w podmuchu ciepłego powietrza, cieplejszego nawet niż wewnątrz domu; pachniało miękką wilgotną ziemią i wiosną. Pomimo to chwiejnie wyszedł z domu i stawiał mu czoło, zgarbiony jak człowiek, który musi walczyć z wyjąłym wichrem.

Obok drzwi znaleźliśmy kopczyk ziemi tam, gdzie Stepon wcześniej próbował zakopać orzech, dobrym miejscu, gdzie drzewo mogło rosnąć i ocieniać dom. Gdy jednak Starzyk dotknął ziemi, tylko odrobina szronu rozeszła się spod jego palców i znikła tak szybko jak para oddechu z szyby. Pospiesznie umieściłam orzech w dołku i spróbowałam wepchnąć go głębiej, naciskając dłoń Starzyka; srebrzysta poświata tylko przez moment spowiła jego palce i zgasła.

Zabrał dłoń i przez chwilę obserwowaliśmy ziemię, po czym potrząsnął głową. Wykopałam orzech i trzymałam go w dłoni, usiłując zebrać myśli. Drzewo nie mogło wyrosnąć na wiosnę. Nagle coś przyszło mi do głowy: w jaki sposób Czarnobóg znalazł się teraz w królestwie Starzyka, jeśli dotychczas mógł tylko patrzeć na nie z daleka?

Wstałam i pobiegłam za dom, do stojącej tam balii. Zajrzałam w nią. Wprawdzie była to tylko woda w drewnianej wannie, lecz po drugiej stronie mogło być coś więcej – na przykład stojąca tam w swej srebrnej koronie Irina, która zabrawszy Czarnoboga do zimowego królestwa, próbowała teraz ocalić Litwas przed Starzykowym królem, którego uwolniłam.

Nie wiedziałam, czy ona tam jest ani czy zechciałaby mi pomóc. Jeśli tak, to nawet nie umiałabym wyjaśnić, czego od niej oczekuję. Wiedziałam jednak, że po tej stronie sama nic więcej już nie zrobię. Pomyślałam o drzwiach otwierających się tam, gdzie wcześniej ich nie było, a potem zamknęłam oczy i zanurzyłam dłoń w wodę, wyciągając ją po nadzieję, po pomoc.

Moje knykcie nie uderzyły w dno balii. Sięgnęłam głębiej i w pewnej chwili dotknęłam czyjejs dłoni wyciągającej się z tamtej strony. Chwyciłam ją i wcisnęłam w nią biały orzech, a potem wyjęłam rękę z wody i spojrzałam na pustą dłoń. Zajrzałam również do balii, ale orzech znikł. Wyraźnie widziałam jej dno: nic tam nie leżało.

Jeszcze przez chwilę gapiłam się na to, sama nie wierząc, że to się udało, a potem biegiem wróciłam przed dom; wszyscy stali półkolem i patrzyli na Starzyka, który opierał się o ścianę, zmizerniały i błyszczący jak od potu, z wykrzywioną cierpieniem twarzą. Złapałam go za ramiona.

– Przeszedł na drugą stronę! Przeszedł! Co jeszcze mam zrobić?

Otworzył oczy, ale nie sądzę, żeby mnie widział; były zasnuwane białą-niebieską mgiełką.

– Każ mu rosnąć – szepnął. – Każ mu rosnąć, jeśli możesz.

– Jak? – spytałam, lecz on zamknął oczy i nie odpowiedział, a ja usiadłam z pustką w głowie.

– Mirjem – powiedział nagle ojciec. Spojrzałam na niego z rozpaczą. – Wprawdzie jest za wcześnie, ale drzewa jeszcze nie zaczęły kwitnąć i ten owoc nie jest dojrzały. Możemy się pomodlić o to, żeby dojrzał. – Spojrzał na Stepona, a potem na Wandę i Siergieja, po czym łagodnie dodał: – Niektórzy nawet mówią, że to pomaga znaleźć spokój tym, których dusze wróciły do tego świata w postaci owoców lub drzew.

Wyciągnął jedną rękę do mnie, a drugą do mojej matki. Staaliśmy tak, jak to zawsze robiliśmy na wiosnę przed jabłonką na naszym podwórku, i razem wypowiedzieliśmy słowa błogosławieństwa kwitnących drzew owocowych: *Baruch Ata Adonaj, Elohejnu, Melech Haolam, szelo chisar beolamo dawar, uwara wo brijot towot weilanot towim lehanot bahem bnei adam*. Zawsze lubiłam je wypowiadać: oznaczały nadzieję, głębokie westchnienie ulgi, to, że zima się skończyła i wkrótce będą owoce do jedzenia oraz obfitość wszystkiego. Jako mała dziewczynka na początku wiosny codziennie wychodziłam rano na podwórko i spoglądałam na gałęzie, wypatrując pierwszych oznak kwitnienia, żeby pobiec do ojca i powiedzieć mu, że możemy odmówić błogosławieństwo. Tym razem wypowiadałam je z większym zapałem niż kiedykolwiek, starając się dokładnie wyobrazić sobie każde słowo jako zapisane srebrnymi literami, które zamieniam w złote, kiedy je mówię.

Skończyliśmy i wszyscy staliśmy w milczeniu. Z początku nic się nie działo, a przynajmniej na to wyglądało. Potem jednak Stepon nagle krzyknął i pobiegł w kierunku bramy, machając rękami, żeby odgonić ptaszka, który przysiadł na ziemi, żeby coś dziobać. Stepon stanął tam i patrzył w dół z zaciśniętymi pięściami, dopóki nie dołączyli do niego Wanda z Siergiejem, a potem wszyscy pozostali. Z ziemi wyłonił się biały kiełek jak miękki robaczek.

Spoglądaliśmy nań ze zdumieniem. Widywałam już kiełkujące nasiona, na przykład fasoli, ale to rosło szybciej, jakby na naszych oczach w kilka chwil mijała wiosna: kiełek wyprostował się i zmienił w wiotkie białe drzewko, a to zaczęło podrygiwać jak człowiek, który wchodzi po linie i zatrzymuje się co chwilę, by złapać oddech, zanim wespnie się nieco wyżej. Białe listki korony rozwinęły się jak proporczyki, upiornie blade, po czym zatrzepotały i miarowo wydłużyły się w górę. Gdy drzewko sięgało mi do kolan, zaczęło wypuszczać cienkie jak bicze gałązki, które wyskakiwały z jego pieńka i otwierały kolejne białe liście. Musieliśmy się

cofnąć, żeby zrobić mu miejsce, a ono wciąż rośło, teraz już płynnie, stale i szybko.

Odwrociłam się i pobiegłam z powrotem do Starzyka. Nie ocknął się i nie poruszył; leżał oparty o ścianę domu, zmizerowany i siny, jakby spod lodowej skorupy wylaniało się jego wnętrze, a kiedy go dotknęłam, był cały mokry, ale Wanda podeszła i pomogła mi. Razem zanosiliśmy go do drzewa i położyliśmy przy nim, a wtedy nagle biały szron pokrył ziemię pod nim, białą korę, a nawet skórę Starzyka, i ta siność znów znikła pod tą mroźną warstwą. Wciągnął w płuca zimne powietrze, otworzył oczy, spojrzał na rozłożyste konary drzewa i zapłakał, chociaż ledwie to zauważyłam, gdyż łzy natychmiast zamarły na jego twarzy, tworząc lśniąca warstewkę.

Wstał, a drzewo było już tak wysokie, że mógł pod nim stać, chociaż jeszcze przed chwilą nie wydawało się aż tak duże, a gdy położył obie dłonie na jego pniu, obsypało się srebrzystymi kwiatami przetykanymi złotem. Wyciągnął rękę i czubkami palców dotknął kwiecica, patrząc na nie z rozbawieniem.

– Urosło, urosło – mówił Stepon; nim też wstrząsał szloch, gdy płakał, jakby nie wiedząc, czy się radować, czy smucić, a moja matka klęczała przy nim, obejmując jego chude ramiona i gładząc po głowie.

Starzyk odwrócił się plecami do drzewa i pchnął dłonią bramę, a gdy się otworzyła, za nią ciągnęła się biała droga biegnąca szpalerem białych drzew, ale już nie wiodła w dal ku zimie: na jej końcu była ciemność, chmura ognia i dymu. Popatrzył na nią ze ściągniętą twarzą, a potem przeszedł przez bramę i kawałek drogą, a pomiędzy drzew przybiegł do niego długimi susami biały jelen. Wszyscy podążyliśmy za Starzykiem do bramy, lecz na widok jelenia cała moja rodzina cofnęła się na podwórze. Przez moment widziałam go ich oczami, te ostre pazury i wielkie kły pod odsłoniętą górną wargą i zwisającym jęzorem, ale dla mnie był to teraz tylko zwykły jelen. Podbiegł do nas, a noga dosiadającego go Starzyka już nie była bosa; miał na niej srebrny but, a na sobie srebrną zbroję i białe futro. Spojrzał na nas z góry, wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

– Czarnobóg jest w moim królestwie. Co przyrzekłem, to uczynię: gdy zostanie przegnany, a mój lud będzie bezpieczny, nie sprowadzę już zimy. Prosiłaś o sojusz, żeby tego dokonać: czy pojedziesz ze mną i udzielisz pomocy, chociaż nie ma go już w waszym świecie?

Spojrzałam na niego i chciałam spytać, lekko urażona, co jego zdaniem mogę zdziałać w otwartej walce z ognistym demonem. Miałam brud pod paznokciami, obolałą szczękę, a na policzku siniak po uderzeniu przez żołnierza, i byłam tylko zmęczoną śmiertelniczką, która za bardzo udawała odważną w jego obecności. Jednak spojrzałam na to stojące obok mnie białe drzewo z długimi gałęziami obsypanymi kwieciami i wiedziałam, że nie ma sensu pytać. Tylko wzruszyłyby

ramionami i znów spojrział na mnie wyczekująco, spodziewając się jakiegoś czaru; magii, jaka zdarza się tylko wtedy, gdy słowami i obietnicami malujesz zbyt piękny autoportret, a potem usiłujesz się do niego upodobnić.

– Tak – powiedziałam. – Pojadę i zrobię co w mojej mocy, jeśli potem przywieziesz mnie tu z powrotem!

– Moja droga nadal nie może biec pod zielonymi drzewami, pani – odrzekł – a już kazałaś mi zakończyć zimę, jeśli zwyciężymy. Jednak lato nie będzie trwało wiecznie, nawet jeśli przestanę na nie wpływać, więc tyle mogę ci obiecać: dzień po tym, jak spadnie pierwszy śnieg, otworzę to przejście i odwiozę cię do twego rodzinnego domu.

Odwróciłam się: moi rodzice stali na podwórzu i nie byli sami. Mieli Wandę, Siergieja i Stepona, a za plecami dom, w którym było teraz mnóstwo miejsca. Będą bezpieczni, wszyscy będą bezpieczni, nawet jeśli nigdy nie wrócę z tej szalonej wyprawy zimową drogą; mieli kogo kochać, dla kogo żyć i z kim dzielić smutki, pomagając sobie wzajemnie.

Już zdawali się być daleko ode mnie, choć przeszłam zaledwie kilka kroków, a ich zwrócone ku mnie twarze miały niemal widmowy wygląd. Pomimo to podbiegłam do nich i wycalowałam wszystkich.

– Wypatruj mnie pierwszego dnia zimy – szepnęłam do matki, a jej palce wysunęły się z moich, gdy odwróciłam się, przeszłam przez bramę i ujęłam dłoń Starzyka, żeby wciągnął mnie i posadził na grzbiecie swojego rumaka.

Rozdział 24

Pojechaliśmy tą białą drogą, a śnieg zmieszany z popiołem siekł nasze twarze. Gorące drobinki parzyły moją skórę, ale mknęliśmy jak wichry; droga pod nami zmieniała się w rozmazaną srebrną smugę przy każdym skoku jelenia, który gnał tak prędko, jak chciał Starzyk, najprędzej jak mógł, i po kolejnym skoku znaleźliśmy się pod płonącymi sosnami, gdzie straszliwy czerwony kur z rykiem szalał nad naszymi głowami, a po następnym droga wypadła spomiędzy nich i biegła wzdłuż rzeki.

Tylko że była to wiosenna rzeka, hucząca, pełna popękanych kawałków kry, podskakujących i zderzających się, przepływających obok nas. Na niektórych lśniły rozsypane srebrne monety i Starzyk wydał okrzyk zgrozy, gdy ujrzał odtajały wodospad, którego ryczący nurt tryskał ze zbocza góry i z łoskotem spadał w chmurę pary. Przy niej Czarnobóg płasał i potrząsał rękami w powietrzu, skrzecząc z uciechy. Już nie był tylko płomieniem. Miał ludzkie kształty i był potwornie wielki: czarny jak węgiel, olbrzymi i pokryty grubą warstwą popiołu, poprzecinaną głębokimi szczelinami, przez które przezierały czerwone żyły żaru, płomieni tu i ówdzie tryskających z jego ciała. Wetknął twarz do spadającej wody i łapczywie ją żłopał, nadal rosnąc, jakby się powiększał, żeby pochłonąć więcej. Spadające na niego z wodą srebrne monety Starzyka błyszcząły jak pancerz na jego twarzy i ramionach.

Nie był tam sam: gromada Starzykowych rycerzy próbowała z nim walczyć, obrzucając go srebrnymi włóczniami z drugiej strony stawu, ale nie mogli podejść do niego wystarczająco blisko. Połamane i nadpalone drzewce unosiły się na wodzie, a on nawet na chwilę nie przestawał pić. Starzykowy król zeskoczył z rumaka.

– Trzeba bronić przed nim góry – zawołał do mnie. – Rób, co możesz!

A potem dobył srebrnego miecza, podbiegł do stawu i postawił stopę na powierzchni wody. Ta natychmiast zmieniła się w lód, a on pomknął po tej lśniącej białej drodze. Upojony ucztą Czarnobóg nie zauważył go w porę, a Starzyk uderzył

mieczem w potwornie wielką nogę, głęboko ją rozcinając. Czarnobóg wściekle ryknął, gdy z trzaskiem pokryła się warstwą lodu.

Pobiegłam drogą pod górę, do wysokiej srebrnej bramy w zboczu góry, i załomotałam w nią. Była zamknięta i zaryglowana.

– Wpuśćcie mnie! – krzyknęłam.

Zaraz usłyszałam zgrzyt dochodzący zza drzwi i pojawił się w nich Furarz, który trzymał wielką srebrną antabę i uchylił wrota na tyle, żebym mogła się przez nie przecisnąć. Wyleciał z nich podmuch zimnego powietrza, uciekającego i dostatecznie chłodnego, żeby mi uświadomić, jak ciepło jest już na zewnątrz, a twarz Furarza natychmiast zaczęła błyszczeć jak topniejący lód, chociaż stał w zaledwie uchylonej bramie. Natychmiast zamknął ją za mną i ponownie zaryglował, po czym zatoczył się blady.

– Furarzu! – zawołałam, próbując go podtrzymać.

Nie był tam sam; za nim, strzegąc bramy, stała cała gromada Starzykowych rycerzy, wszyscy z wysokimi tarczami z czystego niebieskawego lodu oprawionego w srebro, tworzącymi mur. Wycofali się spod otwartej bramy, lecz gdy Furarz ją zamknął, podbiegli do niej i pomogli nam, wciągając za ścianę lodowych tarcz. Pod jej osłoną Furarz otarł twarz i chwiejnie stanął na nogi.

Złapałam go za rękę.

– Furarzu, góra, ta szczelina, z której wypływa wodospad. Czy wiesz, gdzie ona jest? Możesz mnie tam zaprowadzić?

Spojrzał na mnie wilgotnymi i zamglonymi oczami, ale kiwnął głową. Razem pobiegliśmy drogą do serca góry, ślizgając się niemal przy każdym kroku; jej powierzchnia stała się śliska i w niektórych miejscach płynęły po niej strużki wody. Gdy w końcu dotarliśmy do wielkiej podziemnej sali, jej sklepienie wydawało się nieco niższe, jakby opadło, a gaj był pełen Starzykowych kobiet, które zwartą gromadą kulily się pod białymi drzewami i tworzyły mur ze swych ciał. Za nim dostrzegłam ciemniejsze postacie dzieci osłanianych przed coraz cieplejszym powietrzem. Spojrzały na nas z rozpaczą, gdy przebiegaliśmy obok; ziemia pod naszymi nogami miękła, a gałęzie białych drzew się gięły. Wąski strumień z bulgotem tryskał ze źródła i płynął przez gaj ku ścianie sali.

Furarz doprowadził mnie do tunelu biegnącego równoległe do strumienia. Grube kryształowe ściany spowijały nas lekką mgiełką i słychać było jakby cichy trzask kry pękającej wiosną na zamarznętym jeziorze. Nagle ścieżka urwała się w następnym tunelu o bardzo gładkich ścianach, w którym strumień zmieniał się w szeroką rzekę. Furarz zatrzymał się na jej brzegu, z przygnębieniem i lękiem patrząc na płynącą wodę.

– Dalej pójde sama! – powiedziałam. – Odejdź!

Zrzuciłam buty, wskoczyłam do wody i rozpryskując ją, pobiegłam tunelem z jej nurtem, aż doprowadził mnie do ogromnego pustego skarbcza. Przemknęłam na jego drugą stronę i przecisnęłam się przez wąskie przejście między strumieniem a stertą srebrnych monet, których wiele zabrała już woda. Przede mną ryczał wodospad. Dostrzegłam po jego drugiej stronie Czarnoboga, ledwie widoczny, potwornie wielki cień z jarzącymi się czerwono ślepiami. Zdołałam wspiąć się na ostatni wał monet zaniesionych przez wodę do wylotu tunelu, szerokiej i strasznej paszczy z potłuczonego szkła wyglądającego jak lekko stopione zęby; siedem lat minęło od koronacji Mirnatusa, gdy góra pękła po raz pierwszy.

Wyobraziłam sobie trzęsienie ziemi wstrząsające królestwem Starzyka i poszerzające się pęknięcie, przez które wdarło się ciepłe powietrze lata. Dostrzegłam nawet miejsca, gdzie próbowali je zasklepić lub zasypać, ale woda przedzierała się raz za razem, poszerzając szczelinę, z każdym rokiem zabierając trochę siły, którą Czarnobóg mógł chłeptać, siedząc na tronie. Skoro więc nie mogli zamknąć tej szczeliny, ich król co roku walczył z latem, jak mógł; odbierał nam coraz więcej uwięzionego w złocie słońca, żeby wywoływać śnieżyce i zimowe burze wiosną oraz jesienią, a rzeki pozostawiać skute lodem. I w końcu przybył po mnie, śmiertelniczkę szczycącą się umiejętnością zamieniania srebra, którego miał pełne skarbcze, w niezwykły oręż.

Srebrne monety płynęły z wodą jak stada rybek, przelatując między sterczącymi odłamkami; skarb, który był niczym w porównaniu z samą wodą, tą czystą zimną wodą będącą życiem ich wszystkich, upuszczaną górze, aby zaspokoić wieczne pragnienie. Czarnobóg wysysałby życie z całej góry i wszystkich mieszkających w niej Starzyków, a potem wróciłby do Litwasu i tam zrobiłby to samo. Wiedziałabym to nawet wtedy, gdyby nie powiedział mi tego Starzykowy król. Znałam ten wieczny, nigdy nienasycony głód stwora, który z lubością pożerałby istnienia i tylko udawał troskę o prawo oraz sprawiedliwość, chyba że stała za tobą jakaś inna moc, której nie potrafił oszukać ani pokonać.

Starzykowy król był na dole i wszyscy jego rycerze z nim, wokół lodowego kręgu, którym otoczył Czarnoboga. Walczyli ramię w ramię, z determinacją, a tam, gdzie trafiały go ich miecze, jego ciało pokrywało się lodem. Jednak nie mogli zgasić jego ognia. Skrzeczał z wściekłości i szron natychmiast zmieniał się w kłęby pary, gdy z ran tryskały płomienie. Nie mogli śmiertelnie go zranić. Stał się zbyt duży i nadal rósł; wciąż wysysał z nich siły, pomimo, że z nim walczyli. Podstawił złożone dłonie pod strumień spadającej wody, z odchylną głową pił ją wielkimi łykami i śmiał się, obrzydliwie bulgocząc, a z każdym łykiem robił się nieco większy.

Ostrożnie przytrzymując się krawędzi szczeliny, wychyliłam się i zawołałam:

– Czarnobogu! Czarnobogu! – Spojrzał na mnie oczami płonącymi jak stopiony metal w kuźni, a ja krzyknęłam do niego: – Czarnobogu, daję ci moje słowo! Mocą magii zamknę teraz tę szczelinę i zgaszę twój płomień na dobre!

Wytrzeszczył ślepie.

– Nigdy, przenigdy! – wrzasnął do mnie. – Jest moja, moja, to moja studnia!

Po czym skoczył na zbocze góry i zaczął się po nim pięć ku mnie.

Odwrociłam się i pobiegłam w głąb tunelu, gramoląc się przez góry i doliny srebra, a potem zaczekałam, aż dotrze do krawędzi szczeliny i zajrzy w nią, wypatrując mnie. Zaśmiał się i pięścią porozbijał resztki kryształowej ściany, poszerzając otwór.

– Wejdę tam i wysącze cię do cna!

Przeszedł przez otwór i ruszył za mną, a kłęby pary buchały z jego dłoni i brzucha, gdy przeciskał się tunelem. Zanurzył twarz w strumieniu i pił wielkimi łykami, z rozkoszą odchylając głowę do tyłu, śmiejąc się do mnie i pozwalając, by część wody spłynęła mu po brodzie, zanim popełznął dalej. Cofałam się w głąb tunelu, aż wdrapałam się na ostatni pagórek srebra i za plecami miałam skarbiec. On wciąż się zbliżał, wypełniając tunel czerwoną poświatą. Woda wrzała i z sykiem umykała przed nim, wspinając się na ściany; pod nim została tylko rzeka srebrnych monet przywierających do jego pełzającego ciała, do torsu, brzucha i nóg; te srebrne monety śniedziały na brzegach, lecz nie topiły się, a on znów parsknął śmiechem, który odbił się echem. Podniósł rękę okrytą niczym łuską srebrnymi monetami z wody i drwiąco mi pomachał.

– Starzykowa królowo, śmiertelniczko, myślałaś, że srebrny łańcuch może mnie powstrzymać?

– Srebrny nie – odrzekłam. – Jednak pewna przyjaciółka powiedziała mi, że niezbyt lubisz słońce.

Położyłam dłonie na ostatniej stercie srebra przede mną, na monetach zaledwie dostatecznie jeszcze chłodnych, by ich dotknąć, będących częścią tego ogromnego skarbu, i wszystkie razem, co do jednej, jednocześnie przemieniłam w lśniące złoto.

Wrzasnął z przerażenia, gdy srebro wokół niego się zmieniło. Monety pod nim natychmiast zaczęły się topić i zlewać w jeden strumień, jak krople wody, a topiąc się, wypełniły tunel blaskiem umykającego słonecznego światła, tak jasnego, że łzy stanęły mi w oczach. Prześwietlało kryształowe ściany góry, rozświetlając ją całą, a on znów wrzasnął, kuląc się i osłaniając głowę rękami, po czym rozpaczliwie próbował uciec, tyłem przeciskając się z powrotem przez tunel.

Jednak wszędzie tam, gdzie dotknęło go światło, warstwa popiołu i węgla się kruszyła, odsłaniając żywy ogień. Monety na jego głowie i ramionach topiły się,

tworząc grubą pajęczynę pokrywającą go całego, wypuszczającą jeszcze więcej słonecznego światła i pokrywającą jego brzuch kałużami złota. W tym świetle całe kawały jego ciała zaczęły odpadać, a kończyny pękać. Kurczył się, podrygując, wyjąc i wlokąc się z powrotem tunelem. Woda wciąż płynęła pod moimi nogami, lecz już go nie syciła: chłodziła szeroki pas matowego stopionego metalu, który za sobą pozostawiał, i nie dopływając do niego, buchała kłębamii pary skraplającej się na ścianach.

Teraz ledwie go widziałam przez ten opar. Skurczył się już tak, że zdołał się odwrócić, jego pajęczo cienkie i długie kończyny odłamywały się kawałkami od chudego tułowia, wypuszczając na końcach nowe palce rąk i nóg, a te niemal natychmiast też zaczynały pękać i odpadać, znikając w rozbłyskach trawiącego je ognia. Prawie dotarł do szczeliny; usłyszałam jego szloch i jęki, gdy ujrzał ogromny wał spiętrzonych złotych monet. W tunelu było już jaśniej niż w samo południe – nagromadzone w nim przez sto lat słońce lata rozbłysło, prześwietlając całą górę i wracając, a on z każdą chwilą malał.

Rozpaczliwie rzucił się na wał monet i gorączkowo czołgał się ku szczelinie, gdy złoto wokół niego topiło się, tworząc ocean światła. Przeciskając się przez otwór o poszarpanych brzegach, zamknął go; ostre szkło zerwało z jego boków grube płyty stopionego metalu, przez co jeszcze większe kawały jego ciała odpadały z nimi i stawały w płomieniach. Wtedy szklana ściana też zaczęła się topić i zmieniać w rozżarzony i świecący płyn, który spłynął grubymi jak liny strużkami, zamykając szczelinę. Kolejny wielki kawał ciała odpadł i demon z wrzaskiem runął w przepaść.

Z trudem łapałam oddech, stojąc na rzece zmatowiałego metalu. Tu i ówdzie leżały bryły nie całkiem stopionego złota, a krople wody spadały ze ścian tunelu jak deszcz. Gdy złocisty blask słońca gasł w ścianach góry – miałam nadzieję, że wracał tam, skąd się wziął – przepływająca pode mną woda wspięła się na wał i w wielkiej chmurze pary dotarła do szczeliny, chłodząc szkło i metal, zasklepiając otwór w zboczu góry płytą kryształu z zatopioną w nim pajęczyną metalu i drobkami złota.

Temperatura w tunelu natychmiast zaczęła opadać, na tyle, by wyziębić krople potu na moim ciele. Strużki ściekającej po ścianach wody już tworzyły białe pasma, a lśniące lodowe sopte wyrastały ze sklepienia, gdy lód zaczął skuwać strumień. Odwróciłam się i musiałam walczyć z prądem szybko zamarzającej wody, żeby wrócić do pustego skarbcza; zanim tam dotarłam, woda już niosła podobne do odłamków szkła ostre kawałki kry, wznoszące się i opadające na falach. Drzwi wielkiego skarbcza otwarły się nagle i do środka wpadł Starzykowy król.

Złapał mnie wpół i wyciągnął na brzeg. Ciężko dyszał; w ogniu walki kanciaste rysy jego twarzy nieco się wygładziły i przybrały sinoniebieski odcień, lecz nowe warstwy lodu już tworzyły się na niej równie szybko jak na powierzchni strumienia, a na ramionach wyrastały nowe lśniące sopte, najpierw białe jak szron, ale zaraz twardniejące i przezrocyste.

Jeszcze przez chwilę obejmował mnie w talii, niemal z przygnębieniem patrząc w głąb tunelu, na żyłki metalu w kryształach zamykającym otwór w zboczu góry. Potem znów na mnie spojrzał i wziął moje dłonie w swoje, ściskając je i patrząc na mnie, a błysk w jego oczach był niemal równie jasny jak słońce prześwietlające ściany góry. Patrzyłam na niego i przez moment myślałam, że on teraz... Nagle puścił mnie, cofnął się, przyklęknął i nisko pochylił głowę w dwornym ukłonie.

– Pani – rzekł – choć wybrałaś słoneczny świat na swój dom, zaprawdę jesteś Starzykową królową.

Włosy mojej biednej Iriny były w nieładzie, zmierzwiłone, zimne, mokre i zlepione tą samą czarną ziemią, którą miała pod połamanymi paznokciami posiniaczonych i zmarzniętych rąk. Zdjęłam z jej głowy koronę i odłożyłam na bok, po czym szorowałam jej dłonie, aż zmyłam z nich brud oraz krew i odzyskały kolor. Siedziała przybita, zgarbiona, a ja bandażowałam jej dłonie, gdy nagle podniosła głowę i spojrzała w lustro pobladała.

– Co się stało, Irino? – szepnęłam.

– Ogień – powiedziała. – Ogień wraca. Magreto, idź szybko...

Było już jednak za późno. Ze szkła wyłoniła się dłoń jak ryba wynurzająca się z nieruchomej wody i końcami palców chwyciła krawędź ramy lustra. Wyglądała jak tłąca się kłoda, pokryta szarym popiołem, z wierzchu spalona na węgiel, lecz pod nim wciąż płonąca żywym ogniem. Wyłoniła się druga ręka, a potem głowa i ramiona demona. Nie mogłam się poruszyć. Byłam myszą, zastygłą między drzewami sarną, która usiłuje być mała, nieruchoma i niewidoczna; kryłam się w ciemnym lochu za sekretnymi drzwiami, licząc na to, że nikt nie usłyszy mojego oddechu. Głos uwiązał mi w gardle.

Demon wyłonił się bardzo szybko, nieosłonięty żadnym złudzeniem nadającym mu pozory człowieczeństwa. Z przerażającą szybkością wyskoczył z lustra na podłogę. Smużki dymu unosiły się z jego pleców, gdy powłócząc czarnymi nogami, zatoczył się i dla zachowania równowagi przytrzymał się stolika, na którym leżała magiczna korona.

– Irino, słodka Irino, jakże okropnie mnie zdradziłaś! – syknął do niej. – Już nigdy nie będę ucztował w salach zimy! On przybył, przybył, ten król zimy, a królowa zamknęła przede mną górę! Wygnali mnie, pozbawili mocy, a ona

skradła mój ogień, aby naprawić mur!

Odwrócił się i machnięciem dymiącej ręki przewrócił lustro oraz stół; szkło rozsypało się wszędzie, a korona potoczyła się po podłodze i wpadła pod łóżko. Irina doskoczyła do mnie i popchnęła mnie w kierunku drzwi, lecz demon, choć powłóczył nogami, poruszał się o wiele szybciej niż my; błyskawicznie przemknął przez komnatę i zagroził nam drogę. Zaczął tupać nogami w podłogę i płomienie spowiły jego uda, a spod stóp wytrysnęły skry, jakby rozniecał ogień.

– Jestem taki spragniony, tak wyschnięty! – skarżył się skrzekliwym głosem. –

Znów muszę się napić! Chciałem delektować się tobą, Irino! Tak długo rozkoszowałem się twoim smakiem! Przynajmniej jeszcze zapłac mi, słodka Irino, i daj mi trochę twojego cierpienia.

Płakałam przestraszona, ale Irina stała spokojnie, zimna jak lód, nawet w obliczu demona.

– Przeprowadziłam ci Starzyka, Czarnobogu, tak jak obiecałam, i doprowadziłam cię do jego królestwa. I już raz płakałam nad tym, co tam zrobisz. Dałam ci wszystko, o co prosiłeś. Niczego więcej ci nie dam.

Warknął i rzucił się na nas. Kolana ugięły się pode mną ze strachu i opadłam na kanapę; nie mogłam patrzeć, gdy przemknął przez komnatę i złapał Irinę, a jego gorący oddech owiał nas jak wiatr, przerażający... Lecz nagle puścił ją, zawył, jakby się oparzył, i odskoczył, ściskając swoje dłonie.

Wyglądały jak dwie bryły węgla świeżo wyjętego z węglarki. Jęczał, syczał i zawodził nad nimi, otwierając je i zaciskając, jakby bolały go po całodziennej pracy. Gdy wyciągnął je przed siebie, tryskały z nich kłęby pary, dopóki nie spowiły ich trzaskające płomienie, znów rozżarzając do czerwoności. Wtedy oderwał od nich płonące furią ślepią i wrzasnął do Iriny:

– Nie! Nie! Jesteś moja! Moja!

Znów tupnął nogą, a potem odwrócił się i rzucił ku mnie, a ja w końcu krzyknęłam, odzyskując głos, gdy skoczył, aby zamiast jej złapać mnie.

Tylko przez moment czułam na twarzy dotyk jego straszliwych palców, rozpalonych jak w gorączce, spoconych i oślizłych. Jednak ten żar był w jego ciele i nie przeszedł w moje; w następnej chwili demon odskoczył ode mnie z wyciem, a czubki jego palców znów zmatowiały z zimna. Spojrzał na mnie z otwartymi ustami, w których płomienie piekielnego ognia szalały jak w piecu. Irina położyła dłoń na moim ramieniu.

– Mnie i moich bliskich – powoli mu przypomniawsza. – Masz zostawić w spokoju mnie i moich bliskich, Czarnobogu; dałeś słowo, a ja niczego więcej od ciebie nie chciałam.

Patrzył na nią, gdy otworzyły się drzwi. Pokojówka nieśmiało zajrzała do

komnaty, jakby usłyszała mój krzyk i przysła sprawdzić, co się stało. Ze zdumieniem popatrzyła na demona i otworzyła usta, lecz był zbyt straszny i ona też zastygła z przerażenia. Demon odwrócił się i ujrzał ją; natychmiast do niej doskoczył, ale zawahał się, nabrawszy ostrożności, po czym jednym palcem dotknął jej policzka, a ona odwróciła głowę, kuląc się z przerażenia i zasłaniając rękami.

Przycisnęłam dłonie do ust, powstrzymując krzyk, ale stojąca obok mnie Irina nawet nie drgnęła. Stała nieruchomo, wysoka i dumna, patrząc zimnymi i jasnymi oczami na demona, a na jej twarzy nie było zdziwienia, gdy ze skowytom cofnęła palec, odwrócił się i znów ruszył ku nam rozwścieczony. Jednak nie aż tak, by znów próbować nas dotknąć, chociaż bardzo tego chciał. Zatrzymał się i tupnął.

– Nie! – wrzasnął. – Nie! Obiecałem bezpieczeństwo tylko tobie i twoim bliskim!

– Tak – odparła Irina. – A ona też jest mi bliska. Wszyscy są mi bliscy, cały mój lud, każdy mieszkaniec Litwasu. Nie tkniesz już żadnego z nich.

Demon gapił się na nią i ciężko dyszał, w jego pustych oczodołach pełgały płomienie, a zęby były jak czerwone węgle. Zgrzytnął nimi i prychnął:

– Kłamczucho! Oszustko! Pozbawiłaś mnie uczyty! Ukradłaś mój tron! To jednak nie koniec. Znajdę nowe królestwo, znajdę nowe palenisko i sposób, żeby znów się posilić!

Teraz cały się trząsał. Płomień w nim ledwie się tlił i skóra znów pokryła ciało; twarz cara nakryła jak całun ten koszmar, pojawił się nawet jego piękny strój z jedwabiu, aksamitu i koronki. Skryłam twarz w dłoniach, aby na to nie patrzeć, i wtuliłam się w kąt kanapy, kiedy ruszył w kierunku drzwi. Irina puściła moje ramię.

– On też jest mój, Czarnobogu – rzuciła ostro. – Jego też musisz zostawić w spokoju.

Spojrzałam z przerażeniem: zastąpiła mu drogę. Demon zatrzymał się, spoglądając na nią pięknymi oczami cara, w których wciąż palił się czerwony błysk.

– Nie! – prychnął. – Nie zrobię tego! Został mi przyrzeczony na mocy uczciwej umowy i nie muszę ci go oddawać!

– Już to zrobiłeś – odparła Irina – kiedy kazałeś mu się ze mną ożenić. Żona ma większe prawo do męża niż matka do syna.

A potem zdjęła z palca srebrny pierścień, wyciągnęła rękę i złapała demona. Próbował się wyrwać, ale trzymała go mocno i błyskawicznie nałożyła pierścień na jego palec.

Spojrzał nań z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości, otwierając usta, aby

znów wrzasnąc, lecz nie zdołał i całe jego ciało wygięło się w łuk. Emanujące z jego brzucha światło zaczęło przesuwać się w górę, poprzedzane coraz jaśniejszą czerwoną poświatą jakby zapalanej świecy skrytej przez załom korytarza, i car nagle konwulsyjnie się wyprężył. Wielki rozżarzony węgiel wypadł z jego ust i upadł na dywan przed kominkiem. Natychmiast trysnął z niego wianuszek pomarańczowych płomieni, dymiąc i wściekle sycząc, prychając i trzaskając na nas z furią jak czerwone usta otwarte do ryku.

Jednak skulona po ścianą i przerażona młoda pokojówka na ten widok instynktownie sięgnęła po żelazne wiadro z piaskiem i popiołem, stojące przy kominku. Wysypała jego zawartość na płomienie, dusząc je w zarodku, i z trzaskiem postawiła na tym wiadro.

Puściła je i pospiesznie się cofnęła. Spod wiadra sączyły się cienkie smużki dymu, a na dywanie wokół niego pojawił się czarny dymiący krąg, ale nie rozszedł się daleko. Po chwili nawet ten dym znikł. Gapiła się nań, ciężko oddychając, a potem spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami i dotknęła policzka, na którym pozostała czarna smużka. Jednak dłonie miała ubrudzone sadzą i nowych czarnych śladów nie dało się odróżnić od tego pierwszego.

Cała się trzęsłam. Z przerażenia przez długą chwilę nie mogłam oderwać oczu od wiadra. Dopiero gdy ostatnia smużka dymu znikła, otrząsnęłam się i odwróciłam, by spojrzeć na moją dziewczynkę, moją carycę. Car przyciskał jej dłonie do swojej piersi, a pierścień na jego palcu lśnił bladym srebrem jak łzy spływające mu po policzkach; patrzył na nią oczami błyszczącymi jak szmaragdy, jakby była najpiękniejsza na świecie.

Rozdział 25

Siergiej i ja wróciliśmy do Pavysu trzy tygodnie później, gdy tatko Mandelsztam poczuł się o wiele lepiej i razem ze Steponem mógł doglądać drzew owocowych pod naszą nieobecność. I tak wszystkie rosły bardzo dobrze. Siergiej wrócił na drogę i poszedł do tego gospodarza, który miał stodołę z namalowanymi kwiatami; poprosił go, żeby pomógł nam pościnać drzewa i wykarczować kawałek ziemi za udział w zyskach ze sprzedaży drewna. Zawieźliśmy je do Wyżni, sprzedaliśmy na targu i kupiliśmy drzewka owocowe: jabłonie, śliwy i wiśnie. Wszystkie kwitły.

Gdy tatko Mandelsztam poczuł się lepiej, napisał wiele listów, żebyśmy je zabrali: po jednym dla każdego dłużnika.

– Mieliśmy szczęście – rzekł – więc bądźmy hojni. Ta zima dla wszystkich była ciężka.

Podejrzewałam, że ponadto myślał, że jeśli zjawimy się z tymi listami w miasteczku, wszyscy się ucieszą i nie będą chcieli nas powiesić. Zabraliśmy także list od cara, ale w końcu on był daleko. Nie musieliśmy się obawiać, że przyjdą po nas, ponieważ nikt nie miał czasu na tropienie zbiegów; wszystkie wiosenne prace trzeba było wykonać teraz, i to w pośpiechu, ponieważ już zaczynało się lato.

Pomimo to byliśmy zdziwieni, gdy wjechaliśmy do miasteczka. Pani Ludmiła zamiatała swoje podwórko.

– Hej, wędrowcy! Czy chcecie posilić się w podróży? – zawołała do nas.

Spojrzeliliśmy na nią, a wtedy zobaczyła, kim jesteśmy, zaczęła wrzeszczeć i wznosić ręce do nieba. Przybiegło kilku mężczyzn, którzy stanęli i wytrzeszczyli oczy.

– Żyjecie! – powiedział jeden z nich, jakby myślał, że nie powinniśmy.

– Owszem – rzekłam – żyjemy i zostaliśmy ułaskawieni przez cara.

Po czym wyjęłam list, otworzyłam go i pokazałam im.

Podniósł się straszny rwetes. Cieszyłam się, że nie ma z nami Stepona.

Przyszedł ksiądz i poborca podatków, który wziął list i głośno go przeczytał wszystkim mieszkańcom miasteczka. Potem oddał mi list i skłonił się.

– Cóż – powiedział – musimy wszyscy wypić za wasze powodzenie!

Z gospody oraz z domu pani Ludmiły wyniesiono stoły i krzesła oraz dzbany krupniku i cydru, po czym wszyscy pili za nasze zdrowie. Kajus nie przyszedł, tak jak jego syn.

Przez cały czas dziwiłam się, dlaczego myśleli, że zginęliśmy, ale wolałam nie pytać. Zamiast tego wyjęłam listy od pana Mandelsztama i rozdałam je wszystkim obecnym, a te do tych, których tam nie było, wręczyłam księdzu, żeby im je dał. Potem wszyscy byli naprawdę szczęśliwi i nawet wzniesli toast za zdrowie tatki Mandelsztama.

Potem pojechaliśmy do domu Mandelsztamów i załadowaliśmy na wóz cały dobytek. Tylko pani Gavelyté nie ucieszyła się na nasz widok. Pewnie zamierzała powiedzieć pani Mandelsztam, że kozy i kury należą teraz do niej i ich nie odda. Do tej pory jednak tak jak wszyscy wiedziała już o liście od cara, więc gdy przyszliśmy do niej z Siergiejem, oznajmiła tylko: „Cóż, te są jej” – i wskazała kilka chudych i chorych kóz.

Ja jednak spojrzałam jej w oczy i rzuciłam: „Powinnaś się wstydzić”. Potem poszłam i wzięłam właściwe zwierzęta, Mandelsztamów oraz nasze, i uwiązaliśmy je z tyłu wozu. Poszłam i zabrałam także wszystkie kury, które wsadziliśmy do klatki. Z domu zabraliśmy meble oraz wszystkie rzeczy z półek i starannie umocowaliśmy na wozie, a księgę rachunkową wetknęliśmy pod siedzenie na koźle i przykryliśmy kocem.

Skończyliśmy ładować i mogliśmy już wracać, ale Siergiej w milczeniu siedział na koźle i nie ruszał. Popatrzyłam na niego, a on na mnie.

– Myślisz, że ktoś go pochował? – rzekł.

Nic nie powiedziałam. Nie chciałam myśleć o tacie. Jednak Siergiej już o nim pomyślał, więc i ja także. I myślałabym, że leży tam, na podłodze naszego domu, niepogrzebany. I Stepon też mógłby zacząć o nim myśleć. Tak więc tato już zawsze byłby tam na podłodze, nawet gdyby go tam nie było.

– Pojedźmy tam – powiedziałam w końcu.

Pojechaliśmy wozem do naszego starego domu. Żyto wzeszło. Było mocno zachwaszczone, bo nikt go nie plewił, ale i tak wysokie i zielone. Zatrzymaliśmy wóz na polu, żeby kozy i konie mogły go sobie pojeść, a potem poszliśmy do białego drzewa. Razem położyliśmy dłonie na jego pniu. Było ciche. Mamy już tam nie było, a drzewo przy naszym domku w lesie nic do nas nie mówiło. Jednak mama już nie musiała do nas mówić z drzewa, ponieważ teraz mieliśmy mamę Mandelsztam i ona mówiła za nią.

Na gałęziach drzewa rosły srebrne kwiaty. Zerwaliśmy sześć i położyliśmy jeden na grobie mamy, a pozostałe na grobach dzieci. Potem weszliśmy do domu. Nikt nie pochował taty, ale nie było tak źle. Przyszły jakieś zwierzęta, które zostawiły tylko trochę kości i podarte ubranie. Nawet nie śmierdziało, gdyż drzwi były otwarte. Wzięliśmy worek i zebraliśmy do niego kości. Siergiej wziął łopatę. Zanieśliśmy worek do białego drzewa, wykopaliśmy grób i złożyliśmy w nim tatę, obok wszystkich pozostałych, które on wykopał, a ja umieściłam na nim kamień.

Nie zabraliśmy z domu niczego. Wróciliśmy do wozu i pojechaliśmy z powrotem do miasteczka. Do tej pory zrobiło się już późno, ale postanowiliśmy jechać dalej i zatrzymać się na noc w następnym miasteczku. Musieliśmy przejechać dziesięć mil, lecz droga była dobra, a wieczór bardzo ładny. Słońce jeszcze nie całkiem zaszło. Gdy wyjeżdżaliśmy z miasteczka, z naprzeciwka nadjechał inny wóz, zaprzężony w jednego konia. Był pusty, więc woźnica zjechał na bok, przepuszczając nas, ponieważ nasz był mocno wyładowany, a gdy podjechaliśmy bliżej i mijaliśmy go, zobaczyłam, że na koźle siedzi Algis, syn Olega. Przystanęliśmy i popatrzyliśmy na niego, a on na nas. Nie rozmawialiśmy ze sobą, ale już wiedzieliśmy, że wtedy nikomu nie powiedział, że nas widział. Skinęliśmy mu głowami, Siergiej szarpnął lejce i pojechaliśmy dalej. Do domu.

Ściany szklanej góry były już bezpieczne, lecz pomimo to lato i jesień w niej były ciężkie, gdyż w wyniku ataku Czarnoboga wyschło wiele podziemnych jezior, a jeszcze więcej winnic i sadów. Najpierw jednak karmiliśmy dzieci, a potem dzieliliśmy się tym, co zostało.

– Znów się zapełnią – powiedział mi Starzykowy król, gdy razem szliśmy podziemnymi korytarzami, sprawdzając rozmiary szkód.

Pochowaliśmy zabitych i opatrzyliśmy rannych, układając ich rzędami pod białymi drzewami; król ostrożnie brał płytki lodu z samego źródła strumienia i kładł na ich rany, dotykając ich dłońmi, nakazując rosnąć i łączyć się z ich ciałami. Niektóre z wielkich jaskiń zamknęły się jak żółwie, chowając się w skorupach, i trzeba je było na nowo otwierać, a na polach na dole usuwaliśmy zeschnięte winorośle i drzewa, przygotowując sadzonki z tych, które przetrwały.

Teraz przynajmniej potrafiłam wszędzie trafić sama. Albo bezwiednie nauczyłam się tej sztuki, albo góra okazywała mi swoją wdzięczność, bo ilekroć zaczynałam szukać jakiegoś pomieszczenia lub jaskini, właściwe drzwi i przejścia same się przede mną otwierały. I w tym nawale pracy znalazłam aż za dużo zajęć dla siebie. Starzykowie nie mieli pojęcia o prowadzeniu rachunków; zapewne należało się tego spodziewać, skoro nie zaciągali długów i przywykli do komnat odchodzących i przywoływanych jak koty.

Jednak przy całym tym bałaganie potrzebowaliśmy czegoś lepszego. Musiałam zarekwirować ich poetom papier i pióro, żeby zapisywać, w jakim stanie są wszystkie te pola i stawy oraz ile powinniśmy ich mieć, żeby dotrzeć do zimy. Podzieliłam zapasy na dni, żeby nikt z nas nie głodował pod koniec jesieni.

Ten czas początkowo wydawał się długi, ale nie było nawet wolnej godziny. Pod koniec dni mijały tak szybko, że pewnego dnia zdziwiłam się, kiedy ujrzałam po przebudzeniu drzewa wokół góry pokryte pierwszym śniegiem. Wiedziałam, że królewska droga znów jest otwarta. Tęskniłam za rodzicami, bardzo chciałam, by wiedzieli, że mam się dobrze, a mimo to przez długą chwilę patrzyłam na te drzewa, zanim dzwonkiem wezwałam służbę, żeby pomogła mi się przygotować.

Nie zajęło mi to wiele czasu. Już nauczyłam Plamkę i Treskę, jak mają układać dokumenty i prowadzić księgi; mój dziadek nie znalazłby w nich żadnych uchybień. Spakowałam w jeden tobołek wszystko, co było mi drogie: kilka sprasowanych srebrnych kwiatów, parę kiepsko uszytych rękawic zrobionych mi przez Rebekę oraz suknię, którą nosiłam na tańcach w środku lata. Nie była piękna; świętowaliśmy nasze przetrwanie kilka tygodni po tym, jak pochowaliśmy zabitych, i nie mieliśmy czasu ani sił na nic wielkiego. Suknia niewiele różniła się od zwyczajnej koszuli, lecz była z chłodnego srebrzystego jedwabiu przelewającego się przez palce jak woda i odbijającego przechodzące przez górę światło. Włożyłam ją i wplotłam kwiaty w warkocze, a potem tańczyłam w kółeczku, trzymając się za ręce z przyjaciółkami, nowymi i starymi, które pracowały ze mną, a w końcu król podszedł do mnie, skłonił się i razem poprowadziliśmy dwa rzędy przez gaj, tańcząc pod białymi gałęziami, gdy zrzucały swe ostatnie białe kwiaty, aby odpocząć do pierwszego śniegu.

Oczywiście król dotrzymał słowa: nie próbował mnie zatrzymać i w gaju czekały sanie. Po raz ostatni odetchnęłam powietrzem mojej sypialni, a potem odwróciłam się, opuściłam ją i zeszłam po wąskich schodach. Tego ranka białe drzewa znów zakwitły, całe okryte liśćmi i kwieciami. W ich kręgach nadal były luki, gdyż niektóre z nich zginęły w wyniku ataku Czarnoboga. Jednak w każdym takim pustym miejscu pochowano jednego z poległych rycerzy, kładąc mu na piersi srebrny owoc, i cienkie białe drzewka wyrosły z ziemi, gdy odmówiłam nad nimi modlitwę. Wciąż będą tu rosły, nawet kiedy wyjadę. Cieszyła mnie myśl, że zostaną tu po mnie.

Gdy jednak zeszłam niżej, pod baldachim listowia, zatrzymałam się i łzy stanęły mi w oczach: zobaczyłam przy saniach liczną kompanię zebraną przez Starzyka, siedzącą na ostrorogich jeleniach. Rycerze i szlachcice trzymali białe sokoły na wysadzanych klejnotami rękawicach, białe ogary kręciły się pod nogami ich rumaków, a ich jasne skórzane płaszcze błyszcząły srebrem i drogimi kamieniami.

Wielu z nich widziałam wtedy przy bramie lub opatrywałam pod drzewami. Jednak nie tylko oni tam byli; przyszło nawet kilku podekscytowanych i przestraszonych rolników, którzy byli wyraźnie zaniepokojeni moim wyjazdem do słonecznego świata, ale chcieli mnie pożegnać w swych najlepszych strojach, ze srebrem wplecionym we włosy. W pierwszym szeregu, tuż przy saniach, byli Plamka, Treska i Furarz, a nerwowo rozglądająca się szeroko otwartymi oczami Rebeka siedziała przed matką, długimi palcami ściskając plecione wodze.

Byli żywym obrazem całego piękna i niebezpieczeństwa zimowej nocy, więc gdy zeszałam na sam dół, a Starzykowi król wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wejść na sanie, stałam na nich jeszcze chwilę, patrząc u jego boku na nich wszystkich, a w końcu i na niego, by zachować w sercu ten obraz, gdy zamkną się za mną drzwi do zimowego królestwa.

Usiadłam, mrugając, by powstrzymać łzy, a on siadł przy mnie i sanie pomknęły po śniegu. Kiedy wyjechaliśmy z góry, niemal natychmiast po obu stronach drogi stanęły rzędy białych drzew ze zwisającymi z nich srebrzystymi łezkami sopli. Zjeżdżaliśmy w zimnym wietrze owiewającym nam twarze, z podążającym za nami wspaniałym orszakiem, dmącym w długie rogi o dźwięku czystym jak ptasi śpiew. Lud Litwasu nie musiał już się bać tej muzyki. Starzykowie będą teraz dla nich tylko ledwie pamiętanym szeptem pod ośnieżonymi drzewami. Może pewnego dnia urodzę córkę i gdy usłyszę ten tęskny dźwięk za oknem w zimową noc, opowiem jej o szklanej górze, o żyjących w niej Starzykach i o tym, jak z ich królem stawiałam czoło demonowi.

Spojrzałam na niego, siedzącego obok mnie. W tych ostatnich miesiącach częściej nosił proste szaty zwykłego robotnika, starając się ponownie otworzyć najniżej leżące zawałone komory i tunele, uleczyć rany góry tak, jak wyleczył swych rycerzy. Dziś jednak był równie wspaniale odziany jak pozostali i siedział dumny i jaśniejący, mocno trzymając dłońią poręcz sań. Nie wstrzymywał ich; podróż zakończyła się aż za szybko. Miałam wrażenie, że dopiero co ruszyliśmy, gdy wiejący mi w twarz wiatr przyniósł zapach sosnowego igliwia, a białe drzewa rozeszły się na boki dolinki, w której stało tylko jedno drzewko, jeszcze młode, lecz piękne, i z mnóstwem kremowych liści, tuż za drewnianą bramą, a za nim dom przykryty miękką pierzynką śniegu.

Na jego widok nie zdołałam powstrzymać uśmiechu: tyle już tu zrobili. Przez łyzy niewyraźnie widziałam cienkie promyki światła sączącego się przez szpary w okiennicach i drzwiach. Przyjazne smużki dymu unosiły się z trzech kominków znajdujących się w pomieszczeniach po obu stronach domu, a szopa była teraz przybudówką porządnej stodoły. Zobaczyłam duże stado kur i skrzynie z karmą; po podwórzu kręciło się kilka kóz. Tuż za domem stały rzędy drzewek owocowych,

a na słupie przy drzwiach wisiała lampa, oświetlając zapraszający do wejścia chodnik z odgarniętych ze śniegu kamieni, wiodący od bramy do domu.

Sanie zatrzymały się przed bramą, tuż przy drzewie. Starzyk wysiadł i podał mi rękę. Orszak wciąż był za nami, ale Plamka, Treska i Furarz już zsiadli; ktoś z pozostałych trzymał wodze ich rumaków. Wszyscy skłonili mi się. Zaczerpnęłam tchu, podeszłam do nich i ucałowałam ich w policzki, a potem zdjęłam złoty naszyjnik i umieściłam go na szyi Rebeki. Spojrzała na mnie, trzymając go dłonią.

– Dziękuję ci, Hojna – rzekła cicho i ostrożnie, a zaniepokojona Plamka lekko drgnęła, lecz ja pochyliłam się i pocałowałam ją w czoło.

– Bardzo proszę, śnieżynko – powiedziałam, a potem odwróciłam się, podeszłam do bramy i pchnęłam ją.

Otworzyła się, a jedna z kóz rozgrzebujących cienką warstwę śniegu przy ogrodzeniu zaprotestowała głośnym meczeniem i uciekła w kierunku stodoły, zapewne niezadowolona z tego, że jakaś tajemnicza nieznajoma pojawiła się znikąd na tym zacisznym podwórku. Drzwi domu natychmiast się rozwarły i stanęła w nich moja matka z szalem na ramionach i nadzieją na twarzy, jakby czekała przy nich. Krzyknęła i pobiegła ku mnie chodnikiem, czerwony szal spadł jej z ramion na śnieg, a ja wybiegłam jej naprzeciw i wpadłam w jej ramiona, śmiejąc się i płacząc, tak uradowana, że zapomniałam o smutku. Ojciec przybiegł zaraz za nią, a za nimi Wanda, Siergiej i Stepon. Wszyscy otoczyli mnie, moi rodzice, moja siostra i bracia, był tam nawet owczarek o grubym futrze skaczący wokół nas z taką radością, jakiej jeszcze nigdy nie widziałam, i próbujący lizać wszystkich naraz. Stanął na szeroko rozstawionych łapach, dwukrotnie głośno szczeknął, po czym zaskomlił, podbiegł z powrotem do nóg Siergieja i już tylko patrzył spoza nich.

Odwróciłam się; ten wspaniały orszak jeszcze nie zniknął, a Starzykowy król wszedł za mną na podwórze, nierealny jak zimowa baśń w ciepłym blasku lampy, urzeczywistniona przez zimną niebieskawą poświatę śniegu za jego plecami. Moi rodzice uścisnęli mnie nieco mocniej, czujnie na niego patrząc, ale ja miałam jego słowo i nie bałam się. Przełknęłam ślinę, z trudem podniosłam głowę i uśmiechnęłam się do niego.

– Pozwolisz, że tym razem ci podziękuję za przywiezienie mnie do domu?

Pokręcił głową.

– Pani – rzekł – byłbym niegodziwcem, gdybym związał cię takim podstępem.

Potem odwrócił się i skinął ręką, a Plamka, Treska i Furarz weszli na podwórze ze skrzyniami, a za nimi Rebeka z małym pudełkiem. Postawili je na ziemi i otworzyli: dwie były pełne srebra, trzecia złota, a pudełko zawierało drogie kamienie. Starzyk obrócił się do moich rodziców, którzy patrzyli na to ze zdumieniem.

– Macie w domu niezamężną córkę – rzekł do nich – o której rękę pragnę się ubiegać. Jestem panem białego lasu i władcą szklanej góry, skąd przybywam z orszakiem moich ludzi, którzy mają zaświadczyć o szczerości mych zamiarów, oraz darami dla waszego rodu na dowód mojego stanu, aby prosić was o zgodę na zaloty.

Rodzice spojrzeli na mnie przestraszeni. Ja nie odezwałam się słowem. Byłam zbyt zajęta przeszywaniem go wzrokiem: sześć miesięcy i nic mi nie powiedział, a teraz postanowił zrobić to zgodnie z jakimiś zwariowanymi regułami, niewątpliwie rządzącymi formalnymi zalotami Starzykowego króla. Wyobraziłam sobie ewentualne zabijanie smoków i inne bohaterskie przedsięwzięcia, a może nawet parę wojen. Nie, piękne dzięki.

– Gdybyś naprawdę chciał się do mnie zalecać – powiedziałam – musiałbyś zrobić to według praw mojej rodziny i poślubić mnie również zgodnie z nimi. Nie trać więc czasu!

Zamilkł, patrząc na mnie, a jego oczy nagle rozbliły; zrobił krok ku mnie i wyciągnął rękę.

– A jeśli to uczynię? Jakiegokolwiek one są, będę ich przestrzegał, jeśli dasz mi nadzieję.

– Och, będziesz musiał – powiedziałam i założyłam ręce na piersi, wiedząc, że to zamknie sprawę.

I nie żałowałam; nie mogłam. Nie żałowałabym utraty żadnego mężczyzny, który by tego nie zrobił, obojętnie kim by był i co mi oferował; nosiłam to w sercu przez całe moje życie, tę umowę między mną i moim ludem, że moje dzieci pozostaną Izraelitami, nieważne, gdzie będą mieszkały. Nawet jeśli w jakimś głęboko ukrytym zakamarku mojego umysłu mogła czasem pojawić się myśl, choć tylko na moment, że warto byłoby mieć męża, który prędzej poderznąłby sobie gardło, niż okłamał cię lub zdradził. Musiałby jednak cenić mnie przynajmniej równie wysoko jak swoją dumę. Nie ceniłam się tak nisko, żeby poślubić mężczyznę, który kochałby mnie mniej niż wszystko inne, co ma, nawet gdyby miał zimowe królestwo.

Wygarnęłam mu to wszystko bez ogródek, a gdy skończyłam, przez moment milczał, patrząc na mnie, a wtedy odezwała się moja matka:

– I żeby mogła przyjeżdżać do domu, ilekroć zechce odwiedzić rodzinę!

Posłałam jej gniewne spojrzenie, a ona mocno trzymała moją dłoń i przeszywała go wzrokiem.

– Moja droga otwiera się tylko zimą – powiedział do niej – lecz wtedy będę ją przywoził, kiedy zechce. Czy to was zadowala?

– Jeśli tylko zima nagle sobie nie zniknie, gdy nie będziesz chciał, żeby Mirjem

jechała! – zastrzegła sprytnie matka.

Nagle zapragnęłam zalać się łzami i przytulić do niej, a jednocześnie byłam tak szczęśliwa, że mogłabym głośno śpiewać, a kiedy znów na mnie spojrział, wyciągnęłam rękę i ujęłam jego dłoń.

Pobraliśmy się dwa tygodnie później i był to cichy ślub w naszym małym domu, ale dziadkowie przyjechali z Wyżni z rabinem książęcym powozem i przywieźli prezent: wysokie srebrne lustro w złotej ramie, przysłane z Koronu. A mój mąż trzymał mnie za ręce pod baldachimem, wypił ze mną wino i rozbił kielich.

A na akcie ślubu, w obecności mojej, moich rodziców i rabina oraz Wandy i Siergieja jako świadków, srebrnym inkaustem nakreślił swoje imię.

Nigdy jednak wam go nie zdradzę.

Polecamy również następujące książki tej autorki

Cykl „Temeraire”

Smok Jego Królewskiej Mości

Nefrytowy tron

Wojna prochowa

Imperium kości słoniowej

Zwycięstwo orłów

Języki węży

Próba złota

Krew tyranów

Liga smoków

oraz

Wybrana

Spis treści

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

Polecamy

Tytuł oryginału: *Spinning Silver*

Copyright © 2018 by Temeraire LLC
All rights reserved

This translation is published by arrangement with Del Rey, an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Projekt okładki: David G. Stevenson

Ilustracja na okładce

© Nicolas Delort

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Jacek Pietrzyński

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Moc srebra*, wyd. I, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8062-992-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**